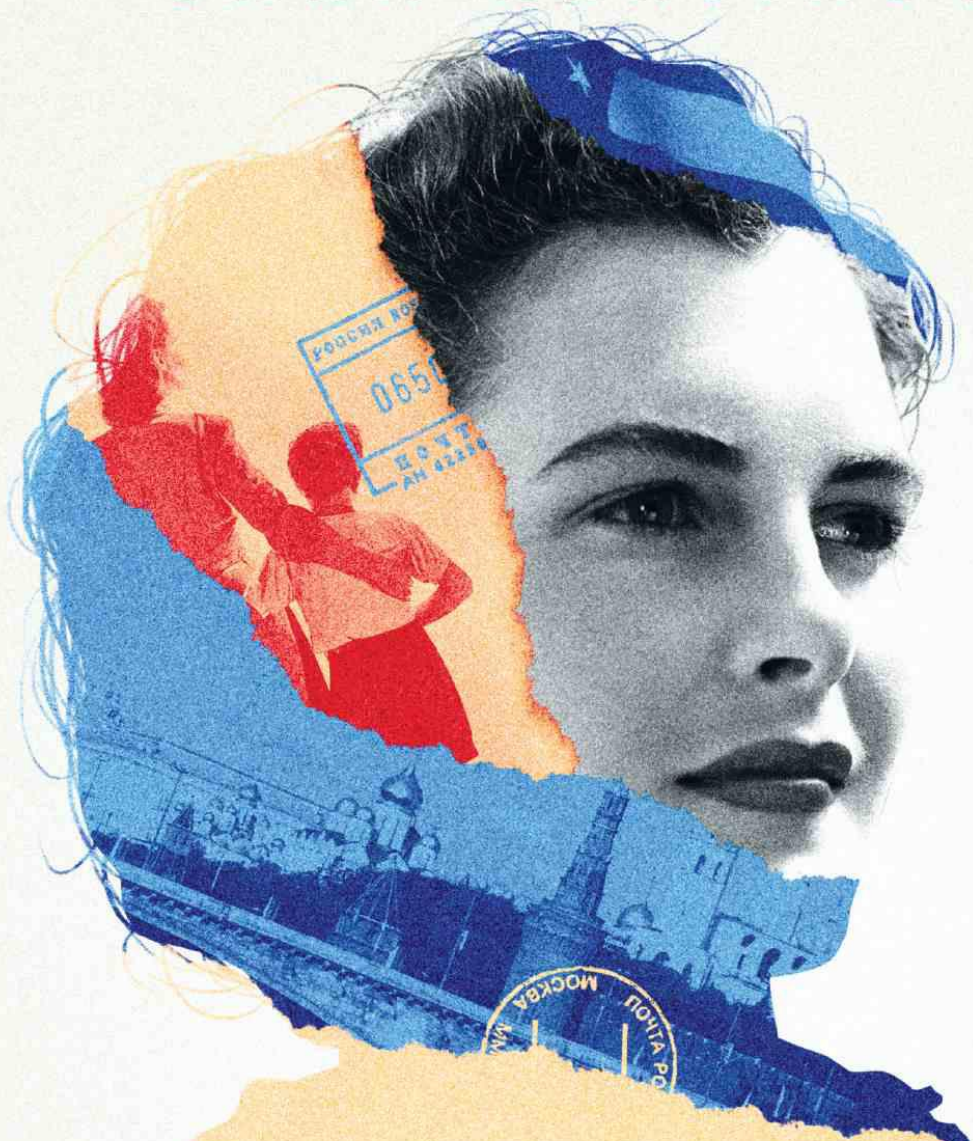
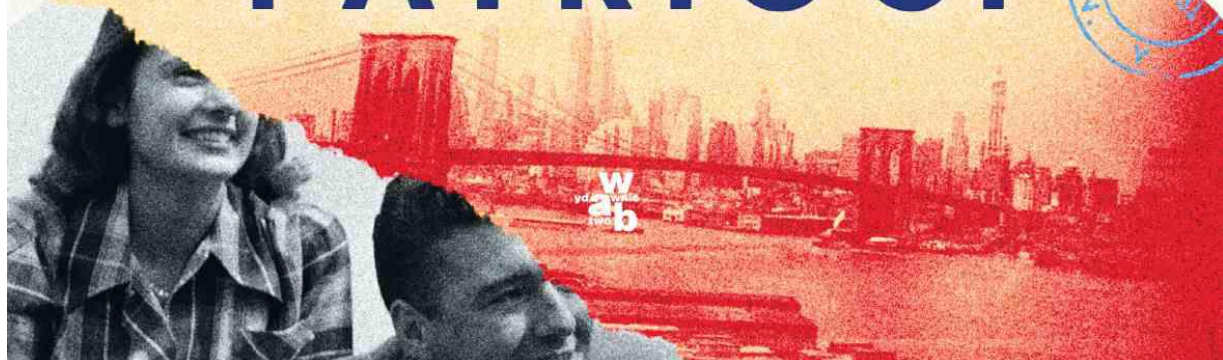


Arcydzieło! *Doktor Żywago* na nasze czasy.
Yann Martel, autor *Życia Pi*

SANA KRASIKOV



PATRIOCI



Sana Krasikov

PATRIOCI

przełożyła Dorota Konowrocka-Sawa



Dla T. Friedmana

Prolog



Chłopcu, który tamtej sierpniowej niedzieli zjawił się na peronie dworca w Saratowie, towarzyszył mężczyzna bez ręki. Oczekiwany przez nich pociąg miał przyjechać o szóstej. W tej wczesnowieczornej porze powietrze powoli stygło, a światło zmieniało kąt i barwę, obracając w złoto tumany kurzu wzbijanego butami spieszących się pasażerów. Torując sobie drogę w tłumie, mężczyzna wyciągnął z kieszeni kurtki skręta i wetknął go w zęby. Jedyłą ręką wydłubał z pudełka zapałkę, potarł ją opuszką kciuka o draskę i zgarbił się nad płomieniem. Zaciągając się, zerknął przez ramię, by sprawdzić, czy chłopak nie zginął w ciżbie.

Tak tłoczno jak tego lata nie było na stacjach od zakończenia wojny. By powstrzymać smród z publicznych klozetów, szaletowi lali do nich roztwór podchlorynu wapnia. Mężczyzna zabronił chłopcu samotnych wypraw do któregośkolwiek z tych przybytków, wiedząc, że roi się w nich od urków gotowych poderznąć człowiekowi gardło dla ukrytych pod koszulą pieniędzy. Fala przestępczości uderzyła w miasta dwa lata wcześniej, bo na wolność wypuszczono jako pierwszych morderców, złodziei, kieszonkowców, onanistów i prostytutki. Dopiero teraz, trzy lata po tym, jak dyktator wyzionał ducha, zwalniano pozostałych: tych z artykułu pięćdziesiątego ósmego, kontrrewolucjonistów i wrogów ludu w liczbie zbyt niedorzecznej, zbyt monstrualnej dla władzy trwającej w nieustannym lęku przed chaosem, by mogła wypuścić ich wszystkich naraz.

Przyjeżdżali z Workuty, z Peczory, z Inty, z Kołymy, z Kengiru i Permu. Tego lata zjechali z północy pociągami jak spławiane wezbraną rzeką kłody. Padały ich całe lasy – zrywanych, zwożonych, wiązanych, spuszcanych wreszcie na podnoszące się wody. Zimowy zrab przeprowadzano na szczycie z przerażającą gwałtownością.

Gdzieś z przodu przenikliwie gwizdnęła lokomotywa. Przy akompaniamencie przestawianych ze zgrzytem żelaznych zwrotnic ostatni raz napełniono samowary. Gdy rozległ się drugi gwizd, chłopak pomyślał, że wolałby wcale go nie słyszeć, po czym zrugał się w duchu za tchórzostwo. Mimo podejmowanych przez cały tydzień prób wciąż nie potrafił jej sobie wyobrazić. Szykując się do rozpoznania matki wśród pospiesznie wysypujących się z wagonu nieznamym, poczuł ogarniającą go rozpacz.

– Wagon dziewiąty – powiedział mężczyzna i puścił chłopca przodem.

Świeżo przycięte włosy spadały mu na czoło grzywką niepozwalającą się domyślić, że ma już dwanaście lat. Ubranie, choć nienowe, wykrochmalono i odprasowano.

Z pociągu wysiadła kobieta z zastygłym na ustach błagalnym uśmiechem. Jej zgniłozielona kufajka przypominała chłopcu waciak noszony przez rolnika

zaopatrującego ich sierociniec w ziemniaki. Na niechlujnie obrębjonej sukience wisiał gruby sweter. Walizka, którą postawiła na peronie – tekturowa, o okutych rogach – była tak mała, że nie potrafił sobie wyobrazić, by mogło się w niej zmieścić cokolwiek prócz pliku kartek. Blask, którym na jego widok rozjaśniła się twarz kobiety, przejął go nagłym wstrętem.

Była oczywiście starsza. Twarz miała bladą i obrzmiałą, rzeźbione niegdyś rysy zmieniło dziwne, krótkie cięcie włosów rozdzielonych przedziałkiem na boku na dwa gołębiosiwie pasma. Tylko te oczy, te błękitne oczy o ciężkich powiekach, zawsze tak silnie ogniskujące wzrok na jej twarzy, okazały się nieznośnie znajome.

Mężczyzna pchnął go lekko.

Kobieta przykucnęła i ujęła twarz Juliana w dłoń.

– Niech ci się przypatrzę, mój drogi... kochany chłopcze.

Potrzebował chwili, by pojąć znaczenie jej słów. Wypowiedziała je po angielsku, w języku, którego nie słyszał i którym nie posługiwał się od prawie siedmiu lat. Jakby drocząc się z nim, dodała:

– Nie poznajesz mnie?

– Oczywiście, że tak, mammo! – odparł po rosyjsku.

– Nie szkodzi. Zrobiła się ze mnie stara raszpla, co?

Nie znalazłszy odpowiedzi, z udawanym entuzjazmem wykrzyknął:

– Wezmę ci walizkę, mammo!

Pociąg odjeżdżał. Skrawki nieba przelatywały między wagonami. Gdzie się podziały jej włosy? Długie, gęste loki, w których zanurzał buzię, o których śnił całymi latami i które były wszystkim, co zdołał z niej zapamiętać... Ich utratę odczuł niemal jak zdradę. Stał, trzymając w rękach jej walizkę, a ona podeszła do Marka Pawłowicza, dyrektora domu dziecka, obiema rękami ujęła jego dłoń i zaczęła mu dziękować za wszystko, co przez te lata zrobił dla jej syna. Teraz, gdy przeszła na rosyjski, Julian zdumiał się raptownie: jej głos, zaskakująco czysty i donośny, skażony był silnym amerykańskim akcentem.

Jak mógł tego nie zapamiętać?

– Przykro nam będzie się z nim rozstać – powiedział dyrektor. – Julik był nam prawdziwą pomocą. – Zerknął przelotnie na odjeżdżający pociąg. – Sami się przekonacie, że to chłop na schwał. Bardzo pracowity.

– Przekonam się z pewnością – odparła, kładąc dłoń na ramieniu Juliana.

Pod jej dotykiem zeszywniał. Będzie musiał opuścić szkołę, porzucić rozgrywki za oborą, pożegnać się z kolegami, z całym swoim życiem. Na samą myśl o tym, że ma zamieszkać z tą kobietą, płakać mu się chciało ze złości. Ale dyrektor, jakby odczytując jego myśli, powiedział:

– Mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że zatrzymamy go jeszcze przez jakiś czas.

Nie było to pytanie, tylko obietnica, że zaopiekują się nim, póki ona nie stanie na nogi. Wszystko ustalono zawczasu. Postępowano tak wobec dzieci wszystkich więźniów.

W oczach kobiety wezbrała gorzka wdzięczność, lecz przecież spojrzała na Juliana, by się upewnić, czy się zgadza. Poczuł ukłucie wstydu. Było jasne, że matka nie ma

środków, by się nim zająć. Marek Pawłowicz zapytał, czy chciałaby przenocować, ale odparła, że poczeka na nocny do Moskwy. Tam uporządkuje swoje życie: uzyska rehabilitację na piśmie, poszuka pracy, znajdzie pokój, w którym będą mogli razem zamieszkać.

– Myślę, że do grudnia powinnam się ze wszystkim uporać – powiedziała z wymuszonym, lekko świszczącym śmiechem. – A potem będziemy wspólnie świętować Nowy Rok. To nie byle co, prawda?

Latami przepowiadał sobie, co jej powie, kiedy się wreszcie spotkają („Siadaj, mamo, odpocznij, ja się tobą zajmę”). Teraz czuł się jak rekrut, który się wyłgał z poboru.

– Po tak długim czasie cóż znaczy te kilka dodatkowych miesięcy? – dodała.

Z tymi słowami matka, widmo znużonej wyobraźni, wkroczyła na powrót w jego życie.

Księga I

1

Skoki jakościowe



Złamanie serca rodzinie było ceną za ocalenie własnego. Florence wbiła sobie tę dewizę do głowy i pozwoliła jej przeprowadzić się przez gehennę ostatnich sześciu tygodni. Była więc zaskoczona, gdy stojąc na górnym pokładzie liniowca Bremen, poczuła, że jej wiara słabnie. Osłoniwszy oczy wąską dłonią, spuściła wzrok na tłoczących się na nabrzeżu ludzi. Majowe słońce wdarło się do portu i oblało wszystko oślepiającym blaskiem. W powietrzu unosił się zapach węgla i zepsutej ryby. Drobne zielonkawe fale ścigały się od rufy statku do pirsu, na którym cisnęli się wśród obcych ludzi jej rodzice i młodszy brat. Krzyknęłyby do nich, lecz wiedziała, że jej głos utonie w jazgocie mew i odzywającym się nieregularnie niskim buczeniu potężnej syreny okrętowej.

Dopiero po kupieniu biletu Florence powiedziała rodzicom, że wyjeżdża.

– A więc Cleveland ci nie wystarcza! – Podniesiony głos ojca wstrząsnął salonem ich domu przy Flatbush Avenue. – Rosja! Chcesz pojechać tam, gdzie człowieka potrafią zastrzelić za to, że zjadł placek z własnej maki?

– Nikt z tych, którzy tam pojechali – odparowała – nie wspomniał, by kiedykolwiek spotkał się z czymś podobnym.

Ojciec odwrócił się do jej matki.

– Nikt nie wspomniał! Przekabacili ich jak pierwszych naiwnych, Florie. I ciebie tak samo.

– Jasne. A w fabrykach pewnie palą słomą, żeby dym szedł z kominów?

– Sądzisz, że jestem idiotą, który nie wie, jaki zakłamaný świat porzucił jego własny ojciec? Taka młoda dziewczyna jak ty aż się prosi, żeby ją zwerbować...

– Nikt mnie nie zwerbował!

Ale w jego oczach płonęła obłąkańcza podejrzliwość.

– Dawaj mi tu książeczkę partyjną!

– Nie mam żadnej książeczki! – krzyknęła załamującym się głosem. – Na litość boską, nie jestem komunistką!

– No to dlaczego, Florie? Podaj mi powód. Co to za wariactwo, żeby dziewczyna porzucała własny dom, własną rodzinę, wszystkich, którzy ją kochają? I jechała na drugi koniec świata!

Nie mogła mu zdradzić prawdy. Nie mogła pokazać ukrytej na dnie szuflady fotografii ciemnokookiego mężczyzny o wystających kościach policzkowych. Lepiej, by mieli ją za komunistkę niż za puszczałską.

– Nie wyjeżdżam na zawsze, tato! – zawołała głosem ochryłym od krzyku.

– Więc powiedz nam: na jak długo?

- Nie wiem. Rok, może dłużej.
- Chcesz zmarnować kolejny rok życia?
- Chcę swoje życie przeżyć.

– To jedź! Ja mam cię już serdecznie dość – rzekł jej ojciec. – Oby nigdy nie nadszedł dzień, w którym będziesz cierpieć tak jak my teraz.

Pomimo grózb rodzice przyszli się z nią pożegnać. Dla ochrony przed śnieżną rosyjską zimą mama podarowała jej swoje futro. Ojciec kupił kufer podróżny. Stali teraz i patrzyli, jak obsługa statku opuszcza go do ładowni, gdzie wobec całej reszty ładunku – ogromnych skrzyń i beczek, chromowanych automobili, ustawionych na sztorc fortepianów – skurczył się do rozmiarów pudełka zapalek. Brat Florence, Sidney, dał jej swój ukochany skautowski kompas Taylor Instruments, którego zimną frezowaną krawędź Florence wbijała sobie teraz z masochistyczną przyjemnością w opuszkę kciuka. Odkryła ten kompas w torebce już po wejściu na pokład. Chciała zejść ze statku i oddać go Sidneyowi, którego szczeciniaste niczym sierść piżmaka włosy wciąż dawało się dostrzec od czasu do czasu w stojącym na nabrzeżu tłumie, lecz było już za późno – na pokład wchodzili pasażerowie trzeciej klasy, nieporęcznymi tobołami blokując trap. Duńczycy, Polacy, Niemcy – wszyscy krępi i nabici w zimowych płaszczach i kaloszach. Wracali za pracą do ojczyzny, ciągnąc za sobą amerykańskie dzieci. Obserwując, jak tarabanią się na pokład, Florence poczuła się nagle tak, jakby oglądała stare nagrania z Ellis Island, puszczane teraz od tyłu z powodu kryzysu: masy imigrantów wracające na statek, przeganiane z powrotem przez ten wielki ludzki magazyn i machającą im na pożegnanie Panią Wolność.

Z zamyślenia wyrwała ją awantura na pokładzie. Ktoś żądał, by wniesiono mu do kajuty inkubator dla drobiu, odmawiając przekazania go do ładowni. Do sprzeczki włączył się kogut, próbując pianiem zagłuszyć trzeci gwizd parowca. Korzystając z całego tego zgiełku i zamieszania, jeden z Polaków zaczął obchodzić ludzi z puszką. Zobaczywszy Florence, wysoką, przystojną dziewczynę w szytym na miarę zielonym kostiumie, wziął ją omyłkowo za majątną młodą damę. Podszedł do niej i zaczął się przymawiać o pieniądze, z silnym akcentem gadając coś o zesłańcach bez grosza przy duszy. Jego słowa utonęły w trzepocie lin i portowym zgiełku. Florence wydawało się, że ktoś ją woła po imieniu, lecz głos ojca musiał być halucynacją zrodzoną w zawirowaniach wiatru. Otworzyła torebkę i dała mężczyźnie monetę.

Czuła, że jest już gotowa do wypłynięcia, lecz w tłumie wybuchło nowe poruszenie. Na trapie dziewczyna, może osiemnastoletnia, upuściła okulary i teraz macała wokół, przerywając tę czynność tylko po to, by odpowiadać ze złością ludziom, którym zatarasowała drogę. W krótkowzrocznym spojrzeniu zmrużonych oczu Florence rozpoznała nieugiętą przekorę kogoś, kto nauczył się bezczelnie obnosić ze swą dziwacznością. Zobaczyła dziewczynę przyzwyczajoną do bycia nie na miejscu. Najbardziej jednak uderzył Florence jej wygląd. Dziewczyna mogłaby być nią – może młodszą, niższą i pulchniejszą, lecz pod innymi względami wykazującą cechy niemal rodzinnego podobieństwa. Jej skóra była równie blada, a loki, tylko odrobinę ciemniejsze, miały silny skręt, który Florence nauczyła się poskramiać u siebie z pomocą płukanek i spinek. Ze statku posłano dziewczynie kogoś na pomoc i wkrótce okulary zostały

wydobyte spomiędzy desek trapu. Wrzawę zagłuszył ostatni gwizd dobiegający z wysokości statku. Z kominów buchnął węglowy dym, zapuszczono silniki holowników i wreszcie Bremen powoli wycofał się na Hudson.

Stadko mew o czarno obrzeżonych skrzydłach krążyło nad statkiem, pod którym woda burzyła się i rozstępowała. Tłum na nabrzeżu powoli rzedniał, unosząc ze sobą rodzinę Florence. Tylko mewy trzymały się blisko. Frunąc w ślad za Bremen, wznosiły się i opadały w powietrznym tunelu, który wydawał się popychać statek i wszystkich na jego pokładzie kursem nieodwracalnie prowadzącym na nieprawdopodobnie roziskrzony ocean.

Następnego ranka żadne drzewa ani budynki nie przesłaniały słońca. Florence usiadła w fotelu pod płóciennym daszkiem rzucającym na pokład ząbkowany cień i poczuła, jak bijący od oceanu chłód przyprawia ją o gęsią skórę. Wyciągnawszy okrągłe okulary słoneczne, próbowała czytać kupioną na podróż książkę Czerwona cnota. Relacje międzyludzkie w nowej Rosji Elli Winter, ale styl autorki utrudniał przebrnięcie nawet przez dwie pierwsze strony. Tymczasem o uwagę Florence konkurowała z książką pewna scenka: na najwyższym, przeznaczonym dla pasażerów pierwszej klasy pokładzie promenowała wysoka dama o zapadniętych policzkach i sylwetce wymizerowanego charta, uwieszona na ramieniu znacznie młodszego dżentelmena o ciemniejszej karnacji, który wypomadowane włosy zaczesał do tyłu niczym Rudolf Valentino. Wyprostowany jak świeca, zachowywał wspaniałą wojskową postawę nawet wtedy, gdy towarzyszka gładziła go po ramieniu i wąskimi wargami muskała mu ucho.

– No więc... Co o niej sądzisz?

Florence odwróciła się i napotkała wzrokiem dziewczynę z trapu. Szylkretowe okulary siedziały mocno na grzbiecie krótkiego nosa, nasadzony na kędziory włóczkowy beret przekrzywił się zawadiacko.

– Słucham?

– Ella Winter. Twoja książka. Kolejne popłuczyny po Margaret Mead, jakby mnie kto pytał.

Florence zmarszczyła brwi i zerknęła na okładkę.

– To musiało być dla niej prawdziwe rozczarowanie: odkryć, że jej Rosjanie nie są niepiśmiennymi barbarzyńcami jak Samończycy – podjęła dziewczyna bez wstępów.

– Czytałaś to? – spytała Florence nieufnie.

– Wszystkiego, czego potrzebowałam, dowiedziałam się z eseju opublikowanego w „The American”. Wydrukują każde tak zwane osiągnięcie naukowe, o ile tylko wyszło spod pióra pani Lincolnowej Steffens. Tobie się podoba?

Nie było to pytanie, tylko próba zdyskredytowania jej gustu, którą Florence uznała za niezasługującą na odpowiedź. Książka była istotnie zdumiewająco nudna, ale nieokiełznana arogancja dziwnej dziewczyny pchnęła Florence do kontrofensywy.

– A co z Dorothy Thompson? Jej też byś nie przeczytała, bo to pani Sinclairowa Lewis?

– Cóż to za nieuprawnione porównanie? – Dziewczyna klapnęła na sąsiedni fotel.

– Thompson jest królową dziennikarzy, a Winter zaledwie kolejną sufrażystką urodzoną dwadzieścia lat za późno.

Oczy dziewczyny, równie niebieskie jak oczy Florence, rozbłyły żądzą dyskusji, którą Florence uznała za irytującą – tym bardziej że sama przejawiała ją niegdyś w nadmiarze. Przeczuwała, że wdanie się w spór z tą istotą cofnie ją do tej wersji siebie, o której usilnie próbowała zapomnieć. Na uczelni i w szkole średniej zdobywała dobre oceny, lecz w głębi ducha wiedziała, że uwielbiani przez nią wykładowcy nie odwzajemniają jej podziwu. Nauczyciel historii pochwalił ją kiedyś w obecności innych uczniów, mówiąc, że jest dziewczyną z gatunku tych, co to „zrąbałyby dąb kijem baseballowym”. Teraz aż się kurczyła w sobie na myśl o tym, jak głucha była na dwuznaczność tej pochwały.

– Dlaczego sufrażystką? – zaciekała się z wyważoną nonszalancją.

– Miejsce kobiety z klasy pracującej jest obok mężczyzny z jej klasy, a nie obok kobiety z innej klasy. To podstawy Marks’a, o czym Winter wiedziałyby, gdyby tylko chciało jej się zagłębić w jego prace.

– A gdyby tobie chciało się zagłębić w jej prace, dostrzegłabyś, że zauważa, iż zdaniem Marks’a ma to zastosowanie jedynie w społeczeństwach, które nie wyeliminowały klasowości. A poza tym nie czytam jej po to, żeby analizować teorię.

– Wiedziałam! Płyniesz do Rosji, tak jak ja. – Dziewczyna wyciągnęła rękę. – Essie Frank.

– Florence Fein.

W ciągu niecałej minuty Florence została ostrzelana pytaniami. Którą klasą podróżuje? Skąd jest? Gdzie chodziła do szkoły? Gdzie ma zamiar się zatrzymać po przyjeździe do Moskwy?

– Hotel Intourist? – W głosie Essie zabrzmiała zgroza. – Oskubią cię. Wszystkich obcokrajowców liczą podwójnie.

Essie zamierzała ulokować się w bursie dla pracowników Instytutu Języków Obcych, gdzie miała już obiecaną posadę.

– Wyjeżdżam z Moskwy, gdy tylko kupię bilet do Magnitogorska – powiedziała Florence z nadzieją, że jej głos zabrmi tajemniczo, a przy tym jego ton zniechęci Essie do dalszych pytań.

Bremen zawijał po drodze do Kopenhagi, Gdańska i Lipawy, a Florence nie spotkała jeszcze nikogo, kto podobnie jak ona wysiadałby w łotewskim porcie i łapał pociąg do Moskwy. Z wypowiedzi Essie wywnioskowała, że dziewczyna lepiej od niej przygotowała się do podróży, pamiętając o zabraniu dodatkowych zdjęć paszportowych i przedmiotów na handel lub na prezenty. Jej zapobiegliwość podkopała wiarę Florence w przyszłość.

– Magnitogorsk! To aż na Uralu! – wykrzyknęła Essie, którą albo zachwyciła odwaga Florence, albo zdumiała jej lekkomyślność. – Masz tam pracę czy coś?

Florence na próżno szukała odpowiedzi. Sama nie wiedziała, za jakim snem goni: o radzieckim ludzie czy o konkretnym ciemnokim radzieckim człowieku.

W tym momencie z ogólnej sali wyszła na pokład grupka pasażerów. Jeden z mężczyzn zamachał do Essie.

– To twoi znajomi, ci tam? – zaciekawiała się Florence.

Essie wyglądała na zażenowaną.

– Nie, nie... Właściwie wcale nie płynę z nimi... – Naruszywszy prywatność Florence, zdawała się teraz zazdrośnie strzec własnej. – Widzisz, pojawiło się wolne miejsce i w ostatnim momencie udało mi się tanio kupić bilet... Oni wszyscy wysiadają w Gdańsku.

– Och. – Florence znów zerknęła na parę z pokładu pierwszej klasy. Charcica w jedwabnej piżamie z omdlewającym śmiechem przeginała do tyłu długi tułów, a jej opalony i wyfularowany kochanek ścisnął ją w talii, jakby chroniąc przed upadkiem na plecy. – Zupełnie jakby pozowali do zdjęcia – zauważyła.

– A przyszłoby ci do głowy, że ona właśnie ucieka przed prasą? – powiedziała nieoczekiwanie Essie.

– Wiesz, kto to jest?

– Wszyscy na statku wiedzą. To Mary Woolford, spadkobierczyni fortuny, która wyrosła na kładzeniu rur i kabli. A to jej nowy Alfonse, argentyński gracz w polo o legendarnych sukcesach. Och, już nie rób takiej zdziwionej miny, przecież widać, że za ciemny na Amerykanina. To jej mąż número tres.

Florence była rzeczywiście zdumiona, ale nie karnacją świeżo upieczonego męża, lecz biegłą znajomością okrętowych plotek, jaką wykazała się Essie.

– Patrz, znów mu poprawia koszulę.

– Pozostaje mieć nadzieję, że mu jej nie zatłuści pomadą – zakpiła Essie.

– Faj! – pisnęły obie jak na komendę i prawie się udławiły ze śmiechu.

– Znasz to powiedzonko? – wyksztusiła Essie. – Z tyłu klaczka kara, z przodu szkapka stara.

– No, ale on przecież lubi konie – zdążyła powiedzieć Florence, zanim w kolejnym ataku śmiechu obie zwinęły się na fotelach, zupełnie purpurowe na twarzach.

Essie zdjęła rękawiczki i otarła oczy, a Florence uzmysłowiła sobie nieoczekiwanie, że walczy z przemożnym uczuciem sympatii do tej dziewczyny z dołeczkami, które wyglądały, jakby ktoś je wywiercił świdrem.

– Nie patrz! – syknęła Essie, chwytając ją za nadgarstek. – Zaraz nam tu wmaszeruje kilku studenciaków.

Florence obejrzała się za siebie i rozpoznała dwóch młodych ludzi w swetrach z warkoczowym wzorem, którzy od śniadania kręcili się po pokładzie.

– Bardziej uczniaki niż studenciaki – poprawiła, po czym wyciągnęła nogi po kilka cennych dodatkowych centymetrów słońca, pozwalając chłopcom napatrzeć się do woli.

Dwaj młodzi mężczyźni naradzili się półgłosem, po czym podeszli.

– Nie chcielibyśmy przerywać wam rozmowy, dziewczęta – powiedział niższy o pogodnej twarzy i wydatnych uszach – ale kolega jest prawie pewien, że jesteś Normą Shearer.

Nie pierwszy raz słyszała to porównanie z ust chłopaka. Gdy była w dobrej formie, sama dostrzegała w lustrze podobieństwo: głęboko osadzone szaroniebieskie oczy, orli profil, nazywany często majestatycznym, rysy twarzy oscylujące gdzieś między niewinnością a arogancją.

– Jak dla ciebie, skarbie, mogę być i Alem Jolsonem – powiedziała – jeśli tylko masz lucky strike’a. Jak widzisz, skończyły nam się fajki.

Rozochocona morską bryzą odezwała się jak zawołana flirtiera.

Młodziak wyrócił kieszenie na wierzch.

– Przykro mi, panno Shearer, żadnego popalania przed turniejem, to rozkaz trenera. Możemy jednak przynieść z restauracji kilka rumaków pustyni...

Przynieśli. I przedstawili się: Jack i Brian, podróżują do Niemiec z klubem tenisowym New Haven na zaproszenie klubu tenisowego Rot-Weiss. Florence paznokciem otworzyła przyniesioną przez nich paczkę cameli i poczęstowała Essie.

– Rosja! No, to naprawdę skok na głęboką wodę – powiedział Brian, kiedy mu zdradziły, dokąd się wybierają. – Zamierzacie wziąć udział w budowie czerwonego rajdu?

– Owszem – odparła Essie bez cienia ironii.

Chłopcy uśmiechnęli się do niej z zakłopotaniem i odwrócili z powrotem do Florence, która spostrzegła, że za każdym razem, gdy Essie otwierała usta, stawało się coraz bardziej oczywiste, że powiedzenie czegoś, co pozwoliłoby jej utrzymać męską uwagę, zupełnie ją przerasta. Wkrótce chłopcy zmuszeni byli iść na trening (gdzieś w labiryntach okrętu znajdował się pełnowymiarowy kort), lecz wcześniej zapytali, czy po kolacji dziewczęta nie miałyby ochoty na drinka w towarzystwie kolegów z ich drużyny.

– O ile nie będziemy już leżeć w łózkach – powiedziała Florence, machając im na pożegnanie dłonią z papierosem.

Tamtego wieczoru Florence spotkała Essie po drugim dzwonku na kolację na wyłożonym dywanem korytarzu pod Kronprinz Lounge. Omiotła spojrzeniem jej sukienkę, potem buty i wreszcie powiedziała:

– Chodź ze mną.

Przysiadłszy na dolnym łóżku w kabinie Florence, Essie rozejrzała się z nieskrywaną zazdrością.

– I to wszystko masz wyłącznie dla siebie?

– Zwykle nie udaje im się sprzedać wszystkich biletów drugiej klasy. Jaki masz rozmiar buta?

– Sześć i pół. Nas to upakowali po ośmiu w kabinie, a tak naprawdę dziewięciu, bo jeszcze śpi z nami czterolatek, a ponieważ wszyscy są socjaldemokratami i przez całą noc dyskutują po polsku, oka się nie da zmrzyć.

– Mam tylko w rozmiarze osiem, ale nie szkodzi, wypchamy czymś noski. Masz, przymierz.

Florence podała Essie pantofle i luźną sukienkę z szerokimi, kimonowymi rękawami.

– A co jest nie tak z moimi butami?

– Wszystko dobrze, o ile nie zależy ci na odróżnianiu lewego od prawego, takie są toporne. – Florence zerknęła na sukienkę Essie. – Będziemy musiały podebrać w talii.

Choć Essie nie miała talii, o której w ogóle warto by wspominać.

– Największy problem mam z włosami – wyznała teraz żałośnie. – Przez całą tę sól w powietrzu wyglądają jak ptasie gniazdo. Jakbym miała takie loki jak ty...

– Możesz mieć. Wystarczy je zakręcić rozgrzanymi nożyczkami. Potem ci pokażę. Teraz jesteśmy już spóźnione.

Gracze z New Haven – było ich sześciu – zgromadzili się przy jednym z wysokich stołów w pobliżu baru. W grupie roztaczali budzącą grozę aurę dobrej kondycji. Pojawienie się Essie i Florence nie wzbudziło ich zainteresowania, o ile nie liczyć Briana, który radośnie przyciągnął więcej krzesel.

– Dwa rickeye poprosimy. – Popukał w szklanke. – Twierdzą, że skończył im się gin, więc delektujemy się bourbonem.

– Trzy rickeye – poprawił zaróżowiony dryblas obok Florence.

– Wypiłeś już tyle, że zaraz zarzygasz nam tu cały pokład, Kip – wtrącił ktoś.

Nieprzekonany Kip uniósł palec na kelnerkę.

– Jedno wam powiem: Puchar Davisa zrobił się za duży – odezwał się młody mężczyzna imieniem Leslie. – Człowiek już nawet własnego nazwiska nie usłyszy. Najwyżej „przewaga Stany” albo „Francja cztery, Anglia dwa”. Dźwigasz na barkach los całego, cholera, kraju.

Florence nie miała najbledszego pojęcia, o czym mówią, więc ucieszyła się, kiedy Brian spytał, czy naprawdę one dwie wybierają się do Rosji.

– A nie wyglądamy? – zapytała.

Kip obrzucił je znudzonym spojrzeniem.

– Francuziki chyba nie czują takiej presji.

– A Niemcy i owszem, mogę cię zapewnić – odparł Leslie. – No i Hitler dyszy im w gardło o tej ich fizycznej wyższości.

– Jak długo mają von Cramma, puchar może być ich. Wystarczy im jeden czempion.

– A który to von Cramm? – zapytała Essie, z opóźnieniem włączając się do rozmowy, ale mężczyźni nie zwrócili na nią uwagi.

– O ile von Cramm w ogóle zagra.

– A czemu miałby nie zagrać?

– On i stary Adolf niespecjalnie się kumplują. W zeszłym roku Cramm nazwał Herr Führera malarzem pokojowym.

– Słyszałem, że Ribbentrop próbował go zwerbować do partii, ale von Cramm wysłał go na drzewo.

– Za wysokie progi, co?

– Nie o to idzie. Ma pretensje, że wykopali mu z drużyny kumpla, Daniela Prenna. Florence dostrzegła rozbłyskujące w oczach Essie gniewne zrozumienie.

– To obrzydliwe – powiedziała. – To, jak wykluczają żydowskich sportowców.

– Tym Prennem to strzelili sobie w kolano – zauważył Brian.

– Prens jest niezłym graczem – przyznał Kip – ale nikt nie jest niezastąpiony.

Florence rozważała właśnie ripostę, ale Essie ją ubiegła.

– To dla mnie nie do pojęcia – ciągnęła – jak Niemcy w ogóle mogli uzyskać zgodę na organizację igrzysk, skoro eliminują z nich żydowskich sportowców...

– No po prostu nie do pojęcia! – zakpił Kip bez litości. – Jak Prennowi się nie podoba, to może pójść grać dla kogoś innego.

– Brytole podbiorą go w trymiga.

– Albo Ruscy. To jeden z nich, nie?

– Powinni wywalić Niemcy z rozgrywek – wyrecytowała Essie.

– A więc nie podoba ci się ich polityka? No cóż, a mnie się nie podobają bolszewicy i ich polityka – powiedział ostrzyżony na jeża chłopak ze spiczastym nosem. – Może to ich byśmy wyrzucili? A właściwie, skoro już podjęliśmy temat, to jeszcze tych rozkochanych w kozach Greków, czemu nie?

Essie dała się sprowokować i przypuściła atak po podsunętej linii rozumowania. Tyle że nikt jej nie słuchał. Nawet Florence wydawała się pinczerkiem wśród dobermanów.

– Gdyby nie to, że wokół sama woda, powiedziałbym, że twoja przyjaciółka wygląda jak ryba wyrzucona na piasek – wyszeptał Brian do Florence, którą własna milcząca zgoda na to, żeby Essie brała baty od gojów, napępiała wstydem.

– Dobra, chłopaki, na dziś już dość tej polityki – powiedział ktoś błagalnie. – Niech sobie to Komitet Olimpijski rozwiązuje.

– Już rozwiązał – powiedział Kip. – Brundage powiedział, że całe to gadanie o żydowskich sportowcach to zwykle zawracanie głowy.

– A te komitety przecież zawsze tak znakomicie sobie ze wszystkim radzą – wtrąciła Florence, korzystając ze sposobności. Wypiła koktajl do dna i zawiesiła zimne spojrzenie na Kipie. – To nie jest żadne zawracanie głowy, skoro połowa świata domaga się bojkotu.

– Nie połowa świata, tylko kilku żydków i komuchów, którzy chcą nas wpakować w nową wojnę. Dobranoc wszystkim – powiedział Kip, prostując się na swą pełną aryjską wysokość.

– Auf Wiedersehen! – zawołała za nim Florence i chwyciła Essie za rękę, zanim ta zdążyła wypuścić z gorącej czeluści swych ust jeszcze kilka rozżarzonych węgli.

– I tak właśnie wyglądają dziś lojalni patrioci, Florence! Pierwszej wody bigoci wymachujący amerykańską flagą. Oto kto tym wszystkim kieruje i oto dlaczego mam już dość tych wspaniałych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Florence słyszała wzbierające w nosowych pasażach Essie ciężkie łzy. Odkąd weszły do kabiny Florence, Essie nie zamilkła nawet na chwilę.

– Mnie nie musisz tego mówić – zapewniła pogodnie Florence.

Zastanawiała się, dlaczego konsternacja Essie napawa ją takim optymizmem, i właśnie do niej dotarło, że po raz pierwszy od rozstania z rodziną i wejścia na pokład statku jest absolutnie przekonana o słuszności swojej decyzji. Ameryka nie miała jej nic do zaoferowania.

– Aroganckie wieprze moczące ryje w modnych drinkach i chowające głowy w piasek. Hipokryci miziający się z faszystami, kiedy ci zbroją się przeciw całej Europie. To tacy właśnie ludzie byliby pierwsi do nazwania moich rodziców zdrajcami.

– Nie płacz, Essie. Albo czy mogłabyś przynajmniej zdjąć moją sukienkę?

– Przepraszam. – Essie wytarła nos w gołe ramię, po czym zdjęła sukienkę

Florence, odsłaniając dźwigary pozółkłego stanika i majtek. – Och, spójrz na mnie tylko! – wykrzyknęła. – Nie miałam nawet nowych gaci ani elastycznego pasa na tę podróż. Gdyby matka żyła, zabrałaby mnie na zakupy, ale ojca nie chciałam prosić o pieniądze. Och, Florence, nawet nie przyszedł mnie odprowadzić. A najgorsze jest to, że sama jestem sobie winna. Naprawdę. Bo to ja mu powiedziałam, żeby nie przychodził. Nie sądziłam, że posłucha... Nie rób takiej miny!

– Nie robię.

– Myślałam, że przyjdzie mimo wszystko. Tyle że tak paskudnie mu nagadałam. Naprawdę obrzydliwie... Widzisz, mieliśmy być na tym statku wszyscy razem. Ojciec, moja młodsza siostra Lily, no i matka... Och, uznałabyś, że jestem okropna, jakbym ci powiedziała.

– Skarbie, naprawdę nie. – Florence podniosła z podłogi stare ubrania Essie i usiadła obok niej. – Cokolwiek to było, wszystko już za nami.



Przez większość życia wołano mnie Julik, choć teraz jestem już Julianem. Mimo że przyszedłem na świat na czarnych brzegach Wołgi, akt urodzenia określa moją narodowość jednoznacznie jako amerykańską. Zaszczyt ten zawdzięczam matce, Florence Fein, która najwyraźniej uznała wówczas, że mądrzej będzie pozwolić im skatalogować mnie jako jankesa niż żydka. W 1943 roku, gdy ważyły się losy wcale nie tak pewnego zwycięstwa nad nazistami, jej decyzję mogła podyktować ta sama logika, dzięki której wszyscy żydowscy chłopcy z mojego pokolenia szli przez życie z nietkniętym napletkiem. Choć może to nie nacierający faszyści budzili obawy Florence, lecz jej radzieccy towarzysze?

Kto to może wiedzieć, do diabła?

Nigdy nie zapytałem o powody jej decyzji i wątpię, by odpowiedziała mi wprost, gdybym mimo wszystko zadał to pytanie. Zatajanie i przemilczanie stało się jej drugą naturą – podobnie jak wielu innych zakochanych bez wzajemności w przegranej sprawie. „Amerykanin” dla „Żyda” okazał się kamuflażem równie użytecznym jak sweterek dla ratlerka, lecz zmienił moje życie pod jednym istotnym względem: nadał wyraźny kształt (granic państwa, można by powiedzieć) mojemu poczuciu odrębności. Może dziś, kiedy dziecka nie może spotkać los gorszy od bycia zwyczajnym, nie ma w tym nic zasługującego na uwagę, ale za moich czasów, kiedy skromna, nierzucająca się w oczy prezencja była użytecznym dobrem, amerykańskość okazywała się piętnem czyniącym ze mnie odmienca i arystokratę. Nawet w państwowym domu dziecka, w którym przerażeniem napełniała mnie myśl o tym, że inni wychowankowie mogliby dowiedzieć się o mojej odmienności, upajałem się pełną goryczy dumą z sekretnych związków łączących mnie z seledynową częścią mapy, o której nauczyciele wypowiadali się z taką nabożną pogardą.

Dopiero gdy w 1979 roku postawiłem stopę na amerykańskiej ziemi, doznałem na powrót raptownego przeobrażenia w jeszcze jednego radzieckiego skarbeńka. Uprzejma konsternacja na twarzach klientów kazała mi się domyślać, że angielski, którym posługiwałem się (głównie w myślach) od czasów dzieciństwa, jest dla nich równie zrozumiały jak mandaryński. Chciałbym sądzić, że podczas trzech dekad przeżytych w roli obywatela amerykańskiego poczyniłem znaczne postępy na polu odzyskiwania ojcowizny. Piwo piję schłodzone. Nici dentystycznej używam regularnie. Napiwki zostawiam przynajmniej piętnastoprocentowe. Nie sposób dociec pochodzenia mojego akcentu. Gdy muszę wybrać się z powrotem do Rosji, z zadowoleniem stwierdzam, że byli krajanie widzą mnie głównie przez pryzmat mojego granatowego paszportu.

Ale po co ja tam w ogóle jeżdżę? Najprostsza odpowiedź brzmi: ponieważ zostałem zatrudniony w firmie, która dla poprawy stosunków dwustronnych i ugruntowania przyjaźni między naszymi wielkimi narodami uczyniła więcej niż dekady rozmów pokojowych i wszystkie traktaty o nierozprzestrzenianiu razem wzięte. Mówię o Wielkiej Nafcie. Przez ostatnie cztery lata pracowałem dla jednego z sześciu koncernów naftowo-gazowych, których waszyngtońskie biura zaciskają się ciasnym kręgiem (ktoś mógłby powiedzieć: pętlą) wokół stolicy naszego kraju. Moją osobistą domeną są lodołamacze – te tysiactonowe megalozaurowe, które przegryzają się przez lodowce, żebyśmy mogli tankować baki osadem z paleozoicznych cementarzy. Teraz, gdy kilka takich cementarzy odkryto w rosyjskiej części Arktyki, nie narzekam na brak pracy. Co kilka miesięcy pakuję poliwęglanową walizkę marki Rimowa i wsiadam na pokład niewyspańca do Moskwy. Rankiem przechodzę kontrolę na Szeremietiewie i lustrowany milczącym spojrzeniem celniczki z bezmierną wzdrgnięciem porównującej moją twarz ze zdjęciem paszportowym przypominam sobie, że w Rosji, podobnie jak każdy obywatel, jestem nikim. Za to odświeżające upokorzenie jestem sownie wynagradzany.

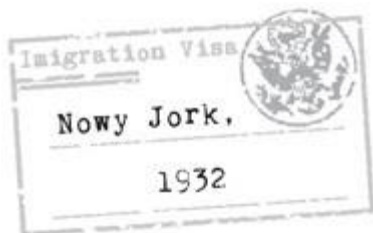
Mogłoby się zdawać, że pieniądze są jedynym powodem, dla którego tam wracam, ale to nie tak. Rzeczą, na którą liczę najbardziej, jest możliwość spotkania z Lennym, moim synem, który od dziewięciu lat goni za szczęściem w Moskwie. To odpowiednie słowo: goni. Jest kilka spraw, o których mi nie powiedział, a o których – tak się jakoś złożyło – wiem. Ale przekonanie go, żeby przestał topić pieniądze w Rosji i wrócił wreszcie do domu, okazało się trudniejsze niż wydobyć z tego kraju przed trzydziestoma laty mojej matki. W naszej rodzinie zawziętość i żądza podróżowania to cechy homologiczne. Gdyby Florence żyła, z pewnością zaimponowałby jej upór Lenny'ego. Jej nieugiętość była arcydziełem godnego protestu, równie monumentalnym jak jeden ze strajków głodowych Gandhiego. Kiedy w 1978 roku przygotowywaliśmy się do wyjazdu z kraju, nie tylko nie zgodziła się wyemigrować z całą resztą rodziny, lecz w ogóle odmówiła wymawiania słowa „Stany”. Dopiero gdy w oczy zajrzało jej widmo niepełnosprawności, zaczęła nieśmiało, jakby na próbę, podnosić ten temat. „Czy nadal zamierzacie wyjechać do... tamtego miejsca?” Tak to ujmowała. Tamto miejsce. Kilka lat temu przeczytałem o urazie neurologicznym, który dotyka czasem ofiary udaru. Osoba cierpiąca na tę przypadłość potrafi, spojrzawszy na żarówkę, nazwać jej części składowe: włókno, żarnik, bańka, potrafi opisać jej kształt i właściwości, ale za całe złoto Arabii nie zdoła jej wkłęcić i włączyć. Oficjalna nazwa tego schorzenia to agnozja, od greckiego słowa oznaczającego nieświadomość. Zmysły są nienaruszone, nie dochodzi do utraty pamięci, po prostu człowiek traci zdolność rozpoznawania, co jest czym. Często zastanawiałem się, czy podobna zbrodnia nie dopadła mamy.

Może byłbym dla niej bardziej wyrozumiały, gdyby była jeszcze jedną zwyczajną Rosjanką dotkniętą narodową odmianą syndromu sztokholmskiego zwaną patriotyzmem? Ale nią nie była. Była Amerykanką. Więcej: dorastała na obsadzonej więzami Flatbush Avenue na Brooklynie, w Erasmus Hall High dyskutowała na lekcjach o komentarzach do konstytucji Stanów Zjednoczonych, jako jedna z pierwszych studiowała matematykę na koedukacyjnym wydziale Brooklyn College, nastawiała odbiornik na Pogadanki przy kominku Roosevelta i patrzyła, jak James Cagney całuje Jean Harlow w filmach

Paramountu. Choćby nie wiem jak udawała, że tego wszystkiego nie pamięta, nigdy nie dałem się przekonać, że całe to nowojorskie wychowanie można usunąć z głowy ot tak, jak łuszczącą się farbę. I nawet teraz upieram się, że kiedyś musiała wiedzieć, jak pachnie wolność.

3

Brooklyn



Była gotowa zrobić wszystko, wyjechać dokądkolwiek, byle tylko uciec z Flatbush i rozpocząć życie, które miałyby jakiś sens, jakąś wagę i które musiało przecież istnieć gdzieś poza granicami Brooklynu, obszaru podobnie jak Polska czy Irlandia skazanego na funkcjonowanie po wieczność w cieniu władzy silniejszego.

Będąc w klasie prymuską, postawiła sobie za cel dostać się po ukończeniu Erasmus Hall do jednego z uznanych prywatnych college'ów żeńskich, gdzie miała spędzić cztery lata wśród niekonwencjonalnych młodych kobiet o rozbudzonej ciekawości świata. Jej wiara w to, że ojciec sfinansuje ten plan, mówiła wiele nie tyle o jej poczuciu własnej wartości, ile o sprawności Solomona Feina w ukrywaniu przed rodziną oczywistej sytuacji finansowej. Pierwszy rok w Hunter College upłynął Florence w dużej mierze na godzeniu się z tym rozczarowaniem. Tymczasem w październiku, na samym początku drugiego roku studiów, nastąpiło załamanie rynków giełdowych i jej rozgoryczenie ustąpiło miejsca radosnemu niedowierzaniu: mogła uczęszczać do college'u za darmo. Rok później nastąpił kolejny nieoczekiwany zwrot: brooklyńska filia Huntera połączyła się z City College of New York i została wydzielona w postaci Brooklyn College, pierwszego publicznego kampusu koedukacyjnego w mieście. Określenie „kampus” było nieco na wyrost: nieposiadająca jeszcze własnych budynków uczelnia wynajmowała sale w pięciu różnych biurowcach w niespokojnej dzielnicy biznesowej otaczającej Borough Hall. Uskakując przed tramwajami i pokonując tor przeszkód, jakim była Fulton Street, Florence szybko odkryła kawiarnie i kafeterie śródmieścia Brooklynu, gdzie na kanapki z peklowaną wołowiną wpadały gromady prawników z pobliskich sądów i kędzierzawych studentów tworzących jeśli nie mózg, to w każdym razie bliską mu synapsę ruchu studenckiego. Wcześniej nie miała pojęcia, że w ogóle istnieje coś takiego jak ruch studencki. A oto proszę, dyskutowali o wyższości Lenina nad Marksem i Stalina nad Trockim, a właściwie nie tyle dyskutowali, ile wrzeszczeli na siebie przez długi drewniany stół, wymachując kromkami razowca. Początkowo onieśmiałali ją ci chłopcy z New Utrecht High, którzy czytali Strike Strategy Williama Fostera i wiedzieli, jak założyć komitet, jak wydrukować broszurę i jak się zorganizować. I kiedy uczniowie Erasmus Hall ćwiczyli na zajęciach z wychowania obywatelskiego dyskusje jeden na jednego, chłopcy z Bensonhurst ogłaszali bojkoty mleczne, by zaprotestować przeciwko skokowym podwyżkom cen obiadów w uczelnianej kantynie.

Wydało jej się nagle szaleństwem, że w ogóle brała pod uwagę uczęszczanie do college'u, w którym dziewczętom zależało głównie na otrzymaniu papierka, a nauczyciele próbowali stać na straży ich zachowania i moralności. W Brooklyn College

dziewczęta były równie wojownicze jak chłopcy: nosiły krótkie włosy, workowate sukienki, sandały na bosych stopach i pukały do drzwi irlandzkich gospodyń domowych, by przekonywać je do stosowania środków antykoncepcyjnych. Były też bojowe w inny sposób, którego Florence nie potrafiła jeszcze naśladować. Z błogosławieństwem ich świętej patronki, anarchistki Emmy Goldman, rozstawały się swobodnie z cnotą, by nie popełnić powszedniejszego grzechu handlowania nią zgodnie z zakłamanymi regułami kapitalizmu.

Florence co tydzień zatrzymywała się przed uczelnianą tablicą ogłoszeniową, by uważnie przestudiować dział ogłoszeń o pracę. W ogłoszeniu mogło być napisane: „praca niepełnoetatowa dla absolwenta wydziału fizyki”, lecz kiedy ona, absolwentka wydziału matematyki, chciała poznać szczegóły, okazywało się, że praca nie ma żadnego związku ani z fizyką, ani z chemią, ani z astronomią, lecz polega na ciąganiu pojemników na śmieci albo zgarnianiu rozmokłego śniegu. Administracja przyporządkowywała oferty pracy do wydziałów, żeby nie ubiegał się o nie cały college.

O pracy w Amtorgu dowiedziała się od wykładowcy, któremu od czasu do czasu sekretarowała. Powiedział jej, że pewna organizacja mieszcząca się w północnej części miasta poszukuje sekretarki z głową do liczb.

– I znasz też trochę rosyjski, prawda? To może okazać się przydatne.

To ojciec uparł się, żeby studiowała matematykę, bo przecież branża ubezpieczeniowa wychodziła bez szwanku z największych gospodarczych sztormów. Florence była jednak prawie pewna, że praca polecona jej przez wykładowcę nie miała nic wspólnego z towarzystwem ubezpieczeń na życie, w którym Solomon Fein przepędzał dnie jako aktuariusz.

– Radziecka misja handlowa? – W pamięci zamajaczyły jej jakieś doniesienia prasowe na jej temat. Odkąd Stany nie uznały rządu bolszewików, działała ona de facto jako ambasada. – A czy to nie są głównie... szpiedzy? – zapytała niepewnie.

Profesor, stary siwy postępowiec woniejący tytoniem i mentolem, usilnie starał się nie okazać rozczarowania.

– Byłem do tej pory przekonany, że nie jesteś czytelniczką żółtej prasy, Florie. W każdym razie dział kontraktów obsadzony jest głównie przez Amerykanów. A jeśli obawiasz się, że poproszą cię o przedstawienie legitymacji partyjnej, to obawiasz się niepotrzebnie: żadnemu Amerykaninowi pracującemu w Amtorgu nie wolno być czynnym komunistą. To zbyt drażliwe kwestie dyplomatyczne. Zajmują się głównie sporządzaniem kontraktów importowo-eksportowych dla firm sprzedających do Rosji traktory, samochody, wyposażenie fabryk i tak dalej.

– Sądziłam, że nie robimy interesów z bolszewikami.

I znów wykładowca obdarzył ją smutnym uśmiechem.

– Podczas wojen napoleońskich statki pływały po kanale La Manche, przewożąc towary z Francji do Anglii i z powrotem. I to wszystko działo się w czasie, gdy oba kraje uwikłane były w krwawy konflikt. A czy my jesteśmy w stanie wojny z Rosjanami?

Radziecka misja handlowa – znana pod nazwą Amtorg – miała swą siedzibę na szykownej Piątej Alei, podtrzymując pozory legalności jako spółka akcyjna stanu Nowy Jork. W kręgach dyplomatycznych było jednak tajemnicą poliszynela, że zatrudnieni

w niej Amerykanie – łącznie ze Scoopem Epsteinem, szefem Florence – przyjmowali polecenia bezpośrednio z Moskwy. Jeśli nawet było tak naprawdę, Florence nigdy by się tego nie domyśliła z przemówień, jakie Scoop wygłaszał podczas wystawnych lunchów w dzielnicy finansowej do menedżerów amerykańskich przedsiębiorstw handlu zagranicznego. Nie mówił o międzynarodowym proletariacie, ale o tym, jak to „Związek Radziecki uświadomił sobie wartość amerykańskiej technologii i wydajności”. Opowiadał amerykańskim biznesmenom o milionach rosyjskich chłopów, którzy nigdy nie słyszeli o Rykowie czy Bucharinie, lecz wszyscy co do jednego znali nazwisko Henry’ego Forda. Nie umknęło uwadze Florence, że chociaż amerykański rząd nadal odmawiał oficjalnego uznania Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, amerykańscy biznesmeni ochoczo dostarczali swym świeżo wzbogaconym bolszewickim klientom stal, brojenia, tokarki, łożyska wałeczkowe i traktory. Amerykańscy klienci nie mieli czym płacić.

W Amtorgu była ledwie sekretarką, ale nużącą pracę rekompensowało jej podniecenie wywołane bliskością obracających się trybów władzy. Tutaj nawet jej skromne działania jawiły się jako doniosłe. Wykreślanie kontrowersyjnych paragrafów z umowy na dostawę na Ural dziewięciu tysięcy ton stali wydawało się aktem większej wagi niż wszystkie te wściekłe pohukiwania dziesiątek kawiarnianych towarzyszy. W ciągu jednego tygodnia zdarzało jej się w imieniu rosyjskiej fabryki AMO złożyć w Toledo Machine and Tool Company zamówienie na prasy do tłoczenia na zimno warte sto tysięcy dolarów, w Greenlee Company w Rockford w stanie Illinois zamówienie na automaty tokarskie wielowrzecionowe i jeszcze zadzwonić do Hamilton Foundry and Machine Company z Ohio, żeby podjęli rozmowy w sprawie kontraktu na asystę techniczną, dzięki której Rosjanie zdołaliby wyprodukować dwieście tysięcy ram podwozia dla nowego modelu samochodu ZiS.

Teraz, uwolniwszy się od przekleństwa uczelnianych stołówek, gotowa była przyznać, jak niewiele przyjemności sprawiało jej całe to rozemocjonowane pustostwo. Całe to gadanie o zmiążdżeniu burżuazyjnej maszyny państwowej obrażało jej szacunek dla dyscypliny i ciężkiej pracy. Pragnienie obalenia starego porządku wydawało się bezcelowe, skoro można się było przyczynić do budowy nowego. W pragmatycznym spokoju, jaki przenikał chaos zabieganego biura, wyczuwała przedziwną radość świata zrzucającego posiniaczoną skórę i dopuszczającego ją do jakiegoś wewnętrznego sanktuarium, do komnaty, w której miarowy zgrzyt i szum telefaksów i maszyn do pisania przypominał przytłumiony pomruk serca pompującego krew potężnym układem arterii.

Scoop Epstein, okrągły pięćdziesięciolatek o puciołowatej chłopięcej buzi, łączył w sobie mnóstwo przeciwstawnych cech: był hojny, a jednocześnie szchwany, chełpił się swymi koneksjami, a jednocześnie wielbił swą młodą asystentkę, zabierając ją czasem na spotkania z finansistami z Manhattanu i przemysłowcami z Indiany. Zanim jednak zabrał Florence na pierwszy lunch na Wall Street, bez ogródek wypowiedział się na temat jej nóg.

– Będziemy musieli poszukać ci jakiegoś innego stroju. Wełniane pończochy się nie nadają.

– Ale jest jeszcze zima! – zaprotestowała.

– Czyżby? Musiałem nie zauważyć. Masz naprawdę urocze nogi, Florence. Mogę być z tobą szczerzy? Welniane pończochy są dobre dla zakonnicy i przekupek. Nic w tym złego, że dziewczyna się atrakcyjnie ubierze.

Odczytawszy szczerą Scoopa nie jako przyganę, lecz dyskretną poradę mentora, przeszła za nim tamtego ranka z Piątej Alei do hurtownika na Siódmej, który okazał się jego kuzynem. Gdy stanęła na niewielkim podwyższeniu, ten drugi, cichszy Epstein zmierzył ją w talii taśmą, po czym przesunął wprawnymi palcami pod jej biustem i wokół szczupłych bioder, dopasowując do jej figury sztywną tkaninę. Jej nowa garderoba obejmowała filcowy żakiet z aksamitną lamówką, ołówkową spódnicę z wysokim stanem, kremową bluzkę z jedwabnej krepy i drugą, z morelowej satyny. Cena tych ubrań – po dużym rabacie – miała zostać potrącona z jej pensji. Florence, obejrzawszy w lustrze swoje nowe wcielenie, doświadczyła zaskakującej przyjemności ujrzania w końcu prawdziwej siebie.

– Piękna – zapewnił ją Scoop.

– Ha. Na kampusie by mnie ukrzyżowali, gdybym pojawiła się w takim stroju.

– Ludzie, z którymi się spotykamy, nie oczekują lunchu z działaczką społeczną.

– Czuję się jak flama jakiegoś bankiera – powiedziała nękana podziwem dla samej siebie i obróciła się bokiem. Z profilu prezentowała się jeszcze korzystniej.

– Florie, kochanie, jeśli masz zamiar afiszować się ze swoimi poglądami politycznymi, to naprawdę dalej zajdziesz w ładnej bluzce.

Ale w domu mama powiedziała:

– Myślisz, że w takich ubraniach jesteś kimś wyjątkowym? Przeciwnie, jesteś w nich pospolita jak kurz.

Rodzice wiedzieli, dla kogo pracuje, i nie aprobowali tego, lecz ponieważ jej starszy brat stracił pracę, a jego żona spodziewała się dziecka, nie mogli jej namawiać, by złożyła wymówienie. Tylko czasem dobiegały ją wieczorami odgłosy kłótni ojca z matką. W końcu to Zelda wypchnęła jego Florie w świat, żeby zarabiała na życie – do pracy, ze wszystkimi jej moralnymi zagrożeniami! I po co? Nie mieli co do garnka włożyć? On był od początku przeciwny. W obecności Florence wypowiadał się oględniej.

– Florie, do czego ci potrzebni tacy ludzie? To węże w ludzkiej skórze. Dziewczyna z taką głową jak twoja... Nie miałaś jeszcze pięciu lat, jak nauczyłaś się czytać i pisać – przypominał jej. – A pamiętam, jak w pierwszej klasie rodzice przyszli do szkoły, żeby posłuchać, jak dzieci recytują wiersze. Potrafiłaś zadeklamować nie tylko swój, ale i wszystkie inne. Podpowiadałaś szeptem dzieciom, które zapomniały, co mają mówić. Wykułaś całe strofy na pamięć.

Zaoferował pomoc w znalezieniu jej posady w firmie, w której sam pracował, ale w tamtych czasach, gdy Metropolitan Axe wylał właśnie jedną czwartą agentów ubezpieczeniowych, oboje wiedzieli, że dziewczyna, nawet z dyplomem matematyka, będzie najwyżej parzyć kawę i spisywać dyktowany jej tekst. W całej tej sytuacji to nie pogarda matki, lecz niezmordowane pochwały ojca i jego uparta wiara w jej wyjątkowość rozwścieczyły ją najbardziej.

Niewysoka pensja Florence nie wystarczała, by zatkać dziurę w ciekącej zaporze zmian zachodzących na Beverly Road. Któregoś wieczoru siedzącą w kuchni dziewczynę

odciągnął od lektury dźwięk ustawianych w jadalni talerzy. Gniewne ciskanie się po pokoju krzątającej się matki kazało jej nadstawić uszu, ale to głos ojca usłyszała jako pierwszy.

– Nie powiedziałaś jej jeszcze?

– Powiedziałaś, że po Rosz Haszana.

– A po Rosz Haszana jest Jom Kippur, a potem...

– Tak, Sol, potrzebuję w tych tygodniach pomocy! Myślisz, że twoja córka ugotuje dla wszystkich twoich krewnych?

– Dobrze, ale musimy uprzedzić tę kobietę od razu. Inaczej się nie godzi.

Szczękanie ustało.

– Nie wiem, co sądzić o całym tym pomysłem, Sol.

– Kiedyś radziliśmy sobie bez służącej. Teraz, gdy dzieci są duże, przychodzi tylko trzy dni w tygodniu.

Florence odłożyła jabłko. Kęś boleśnie stanął jej w gardle, gdy zorientowała się, że mówią o Sissy, starej niani, która ledwie kilka miesięcy wcześniej chętnie wysłuchiwała przy myciu podłogi kwestii Dydony, którą Florence ćwiczyła do szkolnego spektaklu.

– Nie mam dwudziestu lat – dobiegł ją zza drzwi głos matki. – Nie możesz ode mnie oczekiwać, że będę szorować te schody na kolanach.

– Florie może ci pomóc.

– Florence? Florence nie potrafi nawet wykręcić szmaty. Nie pozwoliłeś jej tu palcem ruszyć, o nie, broń Boże! Nie zwracaj Florie głowy, przecież czyta, daj się dziewczynie uczyć.

– No dobrze – powiedział ojciec pojednawczo. – Jeśli nie chcesz wymówić Sissy, możemy przestać płacić na synagogę.

– Czyś ty rozum postradał?

– I tak tam rzadko chodzimy.

– Sidney ma w kwietniu bar micwę.

– Może ją mieć w ośrodku kultury. Przynajmniej tamtejszy rabin nie utrzymuje trzech pomocników piszących mu mowy, kiedy on sam wyjeżdża pograć w golfa.

– Na jakich niewdzięczników byśmy wyszli, Sol, po tym, jak kantor Kleiner tak ciężko pracował z Sidneyem nad jego jękaniem się?

Sol zamilkł. W tym milczeniu Florence usłyszała wszystkie zastrzeżenia ojca do zinstytucjonalizowanej religii w ogóle, a do ambitnej wspólnoty Midwood w szczególności. Jako aktuariusz, który poświęcił lata pracy na zestawianie w tabelach najbardziej znaczących wydarzeń ludzkiego życia – urodzin, ślubów, wypadków, chorób, wreszcie śmierci – Sol nie wierzył w Boga Abrahama silniej niż w Boga grającego w oczko. Lecz Żyd ateista był mimo wszystko Żydem, więc odparł:

– Tylko do kwietnia, Zeldo.

Zelda wymówiła Sissy tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Pudełko po butach z pozostawionymi przez Sissy przedmiotami wręczyła Florence i poprosiła, by córka nadała je pocztą. Pudełko było wstrząsająco lekkie. Niewiele w nim było: para bakelitowych grzebyków do włosów, kieszonkowa Biblia opieczętowana stemplem „służba czynna” z 1914 roku i chustka na głowę z chińskiej krepy. Może to roztaczana

przez te przedmioty aura pustelnicstwa, a może wciąż jeszcze unoszący się nad chustką zapach olejku do włosów z bergamotki, woń niedawnego jeszcze dzieciństwa, powstrzymały Florence od natychmiastowego ich odesłania. Tym jednak, co poczuła, trzymając osieroczone przedmioty w dłoniach, były wyrzuty sumienia i solidarność tak silna i zdumiewająca, że aż jej zaparło dech. Rodzice wyszli z wizytą do Harry'ego w Riverdale, a Sidney ubierał się na lekcje Haftory. Poprawiając kołnierzyk, chodził za Florence z pokoju do pokoju, trajkocząc o nowym składzie Cardinalsów.

– Bez sensu, że sprzedali Grimesa Cubsom – narzekał z przenikliwością amatora. Odkąd Jankesi zmiażdżyli jego ukochanych Dodgersów, wierzył, że nadszedł czas, by za to wreszcie zapłacili. Jedynym zespołem w lidze, który miał szansę pobić Jankesów, byli Cardinals, ale oni obrali fatalną strategię. – Eliminują starych wyjadaczy z niższych lig i atakują weteranów z klubów farmerskich. Zyskają kilka łatwych zwycięstw, ale tak się nie buduje zespołu.

Z włosami przyklejonymi do czaszki, jakby go krowa przylizowała, potruczał za Florence na dół po schodach. Nieustanna paplanina brata zwykle ją bawiła; myślenie i mówienie nie stanowiły dla Sidneya czynności odrębnych, lecz jeden obrotowy mechanizm. Tego jednak ranka jego gadanina huczała jej w uszach jak syrena przeciwniegielna. Włożyła paczkę dla Sissy do torby z książkami i zaciągnęła paski.

– Dokąd idziesz?

– Odesłać Sissy jej rzeczy.

– To nie może ich sobie zabrać, jak wróci?

Florence milczała wystarczająco długo, by odwrócić się i spojrzeć na brata. Matka mu nie powiedziała?

– Gdzieś ty był, Sidney? Ona nie wróci.

– Co to znaczy: nie wróci?

– Mama ją zwolniła. Jak sądzisz: dlaczego przestała przychodzić?

– Myślałem, że ma wakacje. Tak jak my.

– Wakacje? – Florence przetrząsnęła torbę w poszukiwaniu świstka z harlemskim adresem.

– Zrobiła coś, co mamę rozzłościło?

– A czy ty czasem nie powinienes się przygotować na zajęcia w chederze?

Sidney jednak nie rezygnował.

– Ukradła coś?

– Nie, idioto! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem. Dlaczego mama ją zwolniła?

– Bo już nas nie stać na pomoc domową, capisci? A może nie zauważyłeś? Harry nie ma pracy, a my musimy do końca roku płacić składki na synagogę, żebyś mógł stanąć przed wszystkimi na dziesięć minut i wyjąkać trzy wersety Tory.

Nie spodziewała się, że na jego twarzy odmaluje się tak głęboka zgryzota. Zielonkawy brąz jego oczu jakby się roztrzaskał, niczym szklana buteleczka na leki.

– To nie moja w-w-wina! Ja w-w-w ogóle nie chcę tego robić!

Prawie na nią krzyczał.

– Za późno, lemingu. Zrobią z ciebie mężczyznę, czy ci się to podoba, czy nie,

nawet gdybyśmy przez okrągły rok mieli jeść rzepę. – Może poinformowanie go o tym w ten sposób było podłe, ale zasługiwał, by usłyszeć prawdę. – Idę do pracy, wrócę na kolację – powiedziała, kładąc dłoń w rękawiczkę na jego głowie gestem, który miał wyrażać czułość.

Nawet nie drgnął, więc nie pozostało jej nic innego, jak porzucić go niczym oklapłą szmacianą lalkę i wyjść na zimny lutowy poranek.

Otworzyła gabinet szefa, licząc na chwilę samotności, tymczasem zastała Scoopa z nogami na biurku, przewracającego świeże strony „Daily Workera”.

– Wcześniej wróciłeś!

– Na to wygląda.

Nie było go cały tydzień; podróżował wagonami sypialnymi po Środkowym Zachodzie, pośrednicząc w zawieraniu kontraktów z producentami stali. Teraz zdjął nogi w skórzanych butach z rogu blatu i powiedział:

– Wiesz, co uwielbiam w Ameryce? – Posłał uśmiech w stronę wiatraka pod sufitem i zacytował Whitmana: – „Jestem olbrzymi, zawieram tłumy”¹.

Opowiedział Florence, jak to zatrzymał się na stacji gdzieś w Ohio i obserwował, jak z obozu namiotowego po drugiej stronie torów wyłoniła się kobieta z dzieckiem. Przeprowadziła chłopca ostrożnie po deskach, żeby mógł przykucnąć i się załatwić, a potem, zerknąwszy na wagon, uniosła spódnicę i przykucnęła obok, buntowniczo wystawiając na widok pasażerów swoją kościstą pupę. W opowieści Scoopa Florence usłyszała uwielbienie dla bezbrzeżnej wzgardy, jaką ściągnęła na siebie jego ukochana Ameryka.

Rzucił „Daily Workera” i ułożył palce w piramidkę.

– Florence, mam dla ciebie propozycję – zaczął.

Grupa radzieckich inżynierów przyjeżdżała na osiem tygodni do Cleveland, by szkolić się z budowy stalowni w firmie inżynieryjnej McKee and Co. Delegacja miała przybyć w połowie czerwca. Mężczyźni potrzebowali tłumaczki i pośredniczki.

– Oboje wiemy, że jesteś zmęczona rolą zwykłej sekretarki.

– Chcesz, żebyśmy pojechała do Cleveland?

– Otrzymasz nowe stanowisko, skarbie. – Ułożył palce niczym ramkę wizytówki.

– Koordynator współpracy gospodarczej.

– Ależ, Scoop, ja pojęcia nie mam o stalowniach! A po rosyjsku mówię ledwo, ledwo.

– Część z nich zna angielski. I nie potrzebują kolejnego inżyniera, tylko kogoś, kto pomoże im opanować praktyczne aspekty życia w Stanach Zjednoczonych i nie pozwoli wpakować się w kłopoty.

Zastanowiło ją, jak konkretnie miałyby zapobiec wpakowaniu się grupy dorosłych mężczyzn w kłopoty, lecz nie chciała tym pytaniem podkopywać wiary Scoopa w jej kwalifikacje. Zapytała więc tylko:

– Gdzie miałabym mieszkać?

– Umieścimy cię w oddzielnym lokum.

– We własnym mieszkaniu?

– Jasne. O ile sobie tego życzysz.

– Nie wiem, co na to rodzice. Tak daleko i w ogóle.

Scoop rozłożył ręce.

– Florie, wiemy oboje, że drzwi tej misji handlowej nie będą otwarte wiecznie. Powstanie prawdziwej ambasady w Waszyngtonie jest tylko kwestią czasu. Roosevelt nie jest Hooverem i wie, że bolszewicy nie znikną. A mądra dziewczyna z praktycznym doświadczeniem w dyplomacji... – wymownie uniósł brwi – ...mogłaby być użytecznym pracownikiem. Realną kandydatką do pracy w ambasadzie.

Powstało pytanie – co Florence uzmysłowiła sobie, wracając na Brooklyn, uczepiona górnego uchwyty w tramwaju – jak przekazać tę wiadomość rodzicom. Nawet gdyby zdołała ich przekonać, że matkowanie sześciu obcokrajowcom jest uczciwym zajęciem dla dwudziestotrzyletniej dziewczyny, nawet gdyby udało jej się wymyślić jakiś zgrabny pozór tuszujący polityczny charakter tej pracy i pozwalający rodzicom sądzić, że zajmuje się zwykłą księgowością – nawet wówczas Sol i Zelda z pewnością zajęliby się jej zakwaterowaniem. Telefony u wiernych uczęszczających na nabożeństwa do synagogi Midwood dzwoniłyby tak długo, aż rodzice znaleźliby rodzinę mającą w Cleveland godnych zaufania krewnych, którzy mogliby umieścić ją w wolnym pokoju i czuwać nad jej prowadzeniem się in loco parentis. Ale jaki miała wybór? Sama pensja nie zapewniała jeszcze dziewczynie niezależności.

Zanim dotarła na Flatbush, niebo nad więzami przybrało odcień fioletu. Kuchennymi drzwiami wsunęła się do środka. Słyszac dobiegające z jadalni głosy rodziców, przygotowała się do obrony planu wyjazdu do Cleveland. Ale w pokoju był z nimi ktoś jeszcze: ktoś, kogo znajomy moralizatorski ton wyrażał oburzenie.

– Rozumiemy, że niektórzy chłopcy w tym wieku mogą nieroztropnie reagować na co drażliwsze zagadnienia Tory: prawa związane z czystością ciała, wydzielinami i tak dalej, i tak dalej...

Florence uchyliła drzwi na milimetr i zobaczyła siedzącego przy stole rabina Soffera, który wielką dłonią ścisnął kościste ramionko Sidneya.

– Jest miejsce na żarty, ale oczekujemy również, że chłopcy wykażą się pewną dojrzałością, zwłaszcza biorąc pod uwagę istotne przygotowania do wejścia w żydowską dorosłość.

– A co dokładnie Sidney powiedział na zajęciach, rabbi? – zapytał jej ojciec ostrożnie. – Synu?

Oskarżony milczał.

– Szmuelu? – ponaglił rabin, zwracając się do Sidneya jego hebrajskim imieniem. Przyproceedziwszy chłopca przed oblicze sprawiedliwości, wydawał się działać w zastępstwie rady, próbując przekonać Sidneya, że jeśli tylko wyrazi skruchę, wszystko zostanie mu przebaczone. Sidney zdecydował się jednak skorzystać z piątej poprawki.

– Powiedział chłopcom, że „koszerna” kobieta to taka, która czeka trzy godziny po wyjściu rzeźnika, zanim, ehm – rabbi odchrząknął – zaangażuje się w związek z mleczarzem.

Rozbawiony ojciec Florence mimowolnie prychnął nosem.

– Pojęcia nie mam, rabbi, gdzie on to mógł usłyszeć.

– Nie ma znaczenia, czy usłyszał to w domu, czy na ulicy...

– W domu na pewno nie – zaprotestowała Zelda.

– Rabbi, on jest zwykle dobrym, okazującym szacunek chłopcem – powiedział Sol.

– Nie wiem, co w niego wstąpiło.

Florence zabolął widok przesłuchiwanego brata. Wiedziała doskonale, jaki ten dzieciak potrafi mieć cięty język, ale wiedziała też, że zwykle starczało mu rozumu na tyle, by nie opowiadać takich żartów w zasięgu słuchu nauczycieli. Niezauważona, na palcach weszła po schodach do swojego pokoju. Wkrótce usłyszała, jak rodzice, raz po raz przepraszając, odprowadzają rabbiego do drzwi. Gdy się za nim zatrzasnęły, cały swój gniew wylali na Sidneya.

Podeszła cicho do łóżka, położyła się i zacisnęła powieki, by odgrodzić się od dobiegających z dołu krzyków. Obudziła się pół godziny później i zobaczyła pochyloną nad sobą twarz matki.

– Powiedziałaś Sidneyowi, że Sissy odeszła z jego winy?

Florence usiadła.

– Powiedziałaś bratu, że z powodu jego przygotowań do bar micwy będziemy przez okrągły rok jedli rzepę?

Twarc Zeldy, jej wąskie wargi i małe niebieskie oczka były wprost stworzone do okazywania rozczarowania.

– Chodziło mi o to, że musimy zacisnąć pasa. Sama słyszałam, że tata tak mówił.

– O co ci chodziło, tego nie wiem. Wiem, że to dziecko słucha wszystkiego, co mówisz. Robi, cokolwiek mu powiesz. A teraz przez wzgląd na ciebie próbuje doprowadzić do tego, żeby je wyrzucono z chederu.

– Nie kazałam mu tego robić! – Nie było jednak sposobu, by się bronić, nie wychodząc na tchórza. – Mogę z nim porozmawiać?

– Ani mi się waż! Wiesz, co jest dla tego chłopca najgorsze?

Nie odpowiedziała.

– To, że na ciebie naskarżył.

Wychodząc z pokoju, matka miała twarz tak ciężką od dezaprobaty, jakby chciała powiedzieć, że nawet lojalność brata dowodzi egoizmu Florence.

A gdzie, zastanowiła się Florence, gdzie mogła być teraz Sissy? Kobieta, która praktycznie ją wychowała? Czy troszczenie się o kogoś poza własną rodziną naprawdę było takim egoizmem?

Na dźwięk zdecydowanego trzaśnięcia drzwiami tak samo zatrzasnęło się serce Florence. Nie będzie prosić. Nie będzie błagać. Nie będzie przekonywać ani apelować. Następnego ranka pozwoliła Scoopowi kupić sobie bilet do Cleveland.



„Napędzamy przyszłość”. Tak brzmi nasz slogan. Wisi wprost nad drzwiami, którymi co rano wchodzę do lobby, ogromnego holu wyłożonego czarnym i białym marmurem, który ciągnie się od recepcji do przeciwległej ściany z niebieskich i czerwonych pikseli pulsujących ruchami ponad trzystu statków Continental Oil wypływających z portów całego świata. Ten zapierający dech w piersiach hol był pierwszym miejscem, w które zabrałem Jaszę Gendlera, starego przyjaciela, gdy złożył mi wizytę w Waszyngtonie. Z perspektywy czasu okazało się, że to był błąd.

Ostatni raz widzieliśmy się przed pięcioma laty. Przyplłynął z Hajfy; co kilka lat wyprawiał się w odwiedziny do dorosłego syna mieszkającego w Bethesdzie na przedmieściach Waszyngtonu.

– Przyjeżdż do śródmieścia, pokażę ci, gdzie pracuję – zaproponowałem, kiedy zadzwonił.

Jeśli ktokolwiek mógł docenić niesamowity obrót, jaki przybrało moje życie, to był to właśnie Jasza: jedyny żyjący człowiek, który nie tylko znał dziecinne zdrobnienie mojego imienia – Julik – ale i z uporem przy każdej sposobności je przywoływał. Jako sześć- i siedmiolatki graliśmy w ciupy i pikuty na zniszczonym ługiem dębowym parkiecie w korytarzu wspólnego mieszkania. W 1945 roku, kiedy rodzice przywieźli mnie z Kujbyszewa do Moskwy, mieszkanie (którego pierwotni właściciele uciekli w 1922 roku przed bolszewikami) zostało już tyle razy podzielone, że w schizmatycznej harmonii żyło w nim siedem rodzin. To był jedenasty rok pobytu mojej matki w radzieckiej wirówce. Mogę sobie wyobrazić, że to dość czasu, by zdążyła się wyzbyć burżuazyjnych nawyków z Brooklynu, przyzwyczaić do pierdzenia i wrzasków sąsiadów, ręcznego prania we wspólnej wannie i zamykania w szafie na klucz suchych produktów żywnościowych. Ale tam, gdzie Florence była obca, ja byłem swój; obaj z Jaszą stanowiliśmy produkt tego szczytowego osiągnięcia ewolucji zwanego mieszkaniem komunalnym. Zachodni naukowcy z upodobaniem utrzymują, że nasze radzieckie komunałki były przestrzeniami odzierającymi mieszkańców z prywatności. To nieprawda. Cóż mogło być dobitniejszym świadectwem własności prywatnej niż płatanina kabli prowadzących do siedmiu dzwonek przy drzwiach wejściowych? Siedem prymusów w kuchni? Siedem drewnianych desek klozetowych, które każdy lokator wybierający się do wspólnej toalety karnie wciskał pod pachę?

To były dobre czasy. Jeszcze zanim zaczęły się prawdziwe kłopoty. Zanim ludzie zaczęli znikać.

Kolejny raz spotkałem Jaszę w 1962 roku, kiedy natknęliśmy się na siebie jako

studenci uniwersytetu. Obaj chodziliśmy na zajęcia o nazwie „podstawy cybernetyki” prowadzone przez podstarzałego rudego astmatyka wyrzuconego na początku lat pięćdziesiątych za badania z zakresu technik informatycznych, która to dziedzina została wyklęta przez Stalina jako jedna z merkantylnych kurew imperializmu. Dekadę później do kogoś z wierchuszki dotarło, że kraj został zbyt daleko w tyle w wyścigu z Amerykanami, więc wyklętego profesora wytropiono (mieszał żywice w wytwórni lakierów przemysłowych) i przywrócono na stanowisko wykładowcy przedmiotu, za którego badanie został zwolniony. Bezbożność tego drobnego człowieczka ujawniła się już pierwszego dnia zajęć, gdy napisał na tablicy swe pełne imię i nazwisko: Arnold Pejsakowicz Lubarski.

– Ludzie zwykle zwracają się do mnie Arnoldzie Pietrowiczu – powiedział, obracając się do nas twarzą. – Wy możecie zwracać się do mnie, jak wam się żywnie podoba.

To ogromne „Pejsakowicz” pozostało na tablicy przez resztę wykładu, patronimik nie po prostu żydowski, lecz tak zuchwale i bezczelnie mośkowaty, że mimowolnie wykręciłem szyję, żeby zerknąć na twarze studentów siedzących za mną. Lubarski mógłby równie dobrze obwieścić, że jest Ben Gurionem we własnej osobie, który przyszedł wygłosić odczyt o syjonizmie. Dlatego zerknąwszy za siebie, wpiłem spojrzenie w zdumioną twarz Jaszy Gendlera, być może jedyne poza mną na tej sali Żyda, który zdołał przeskoczyć nieoficjalny limit przyjęć uniwersytetu.

Lubarski był jedynym na uczelni wykładowcą, który ośmielał się kpić z treści zatwierdzonych państwowym stemplem. Któregoś popołudnia przerwał wykład, by przeanalizować tekst popularnej piosenki.

– „Kocham cię, życie, i mam nadzieję, że to uczucie wzajemne”... Czy ktokolwiek mógłby mi powiedzieć, co to ma, u licha, oznaczać?

Zdjął okulary, by przyjrzeć się naszym bojaźliwym twarzom. Za każdym razem, gdy wchodziliśmy z Jaszą na jego wykład, przekraczaliśmy granice uniwersum, którego geometria płaska nie miała nic wspólnego z wypaczonymi realiami naszego codziennego życia. Każdym teorematem i każdym uniesieniem brwi Lubarski wydawał się mówić: „Młodzi ludzie, jaki sens mają «prawa» gwałcone przez tych samych urzędników, którzy je wydali? Jakim sposobem mogłyby się równać z wiecznymi, nienaruszalnymi prawami Newtona, Pascala, Bernoulliego i Einsteina?”

Zapamiętaliśmy z Jaszą na zawsze naszego drobnego, rudego profesora. Lubarski wyemigrował do Izraela i kilka lat później zmarł. Tego rodzaju wiadomości Jasza skrupulatnie kolekcjonował i przekazywał mi podczas naszej dorocznej rozmowy telefonicznej pierwszego stycznia. Tym sposobem stał się dla mnie bardziej rodziną niż przyjacielem; nasz związek scementowała wspólna historia. Bywało, że nie widywaliśmy się całymi latami, lecz gdy się wreszcie spotkaliśmy, Jasza mówił coś w rodzaju: „A pamiętasz ten bal sylwestrowy, na którym twój ojciec zrobił przebrania dla dzieci? Obu nas przebrał za wrony, mieliśmy takie czapki z dziobami z kartonu. To był Rok Wołu i wszyscy powiesili sobie na drzwiach obrazek byka, pamiętasz?”. A ja w okamgnieniu wszystko sobie przypominałem.

Z perspektywy takich łebskich młodzików jak Jasza i ja rewolucja techniczna

przypadła w idealnym momencie. Strategicznie obojętni na politykę i niedostrzegający jeszcze w sobie nikogo poza lojalnymi obywatelami Związku Radzieckiego wybraliśmy te dziedziny techniczne, które wydawały się względnie odporne na propagandę, a przy tym nieskazitelnie użyteczne dla społeczeństwa. Kwitowaliśmy slogany pogardliwym uśmiechem, a przecież byliśmy nie mniej idealistyczni i zakochani w sobie niż pierwsze pokolenie buntowników. Tyle że my pokładaliśmy wiarę nie w barykadach, lecz w wyrzutniach satelitów, a zamiast marszów mieliśmy akceleratory cząstek.

Jednak ja już dawno pogrzebałem idealistyczne wyobrażenia, podczas gdy Jasza obrósł nimi tak, jak obrasta skorupiakami statek, który osiadł na mieliźnie. Zostało mi to przypomniane podczas naszego powtórnego spotkania w Waszyngtonie.

– No cóż, chyba tego zawsze chciałeś, prawda? – Ziewnął teatralnie, demonstrując brak zainteresowania rozpulsowanym spektaklem w lobby Continentalu oraz rozpościerającym się z okna mojego gabinetu widokiem na National Mall. – Kariery przez duże K. W końcu dlatego wyjechałeś.

Niegdyś cienki jak słup telefoniczny chłopak stał się słupem z wydatnym brzuszyskiem. Strąkowate siwiejące włosy zapuścił trochę za bardzo, a teraz, przejeżdżając ręką po wysokim czole, odgarnął je do góry.

– Dlatego wyjechałem? – usiłowałem sprecyzować.

– No jasne. Nie pozwolili ci zrobić doktoratu, więc powiedziałeś sobie: „Nic tu po mnie, czas spakować manatki i ruszać do mitycznych Stanów”.

– Wyjechałbym wcześniej czy później. Wszyscy wyjechalibyśmy.

– Ależ! Chcesz mi powiedzieć, że gdyby ci dali ten twój wymarzony doktorat, nie zostałbyś tam z radością i nie budowałbyś statków dla nich? Jasny gwint, myślisz, że teraz dla kogo te statki budujesz? Komu pozwalasz się dorobić? Tym samym skurwysynom, co mieli na biurkach czerwone telefony.

– Rozumiem. Zatem ty wyjechałeś ze słusznych powodów, a ja z niesłusznych.

– Słuchaj, złożyłem podanie o wyjazd, jeszcze zanim wymyślili słowo otkaznik. Nie przechwalam się. To po prostu kwestia zasad. Kiedy wreszcie pozwolili mi wyjechać, już szósty rok pracowałem nie jako fizyk, tylko jako dozorca. Starczyło, żeby jakiś wróbel coś zaćwierkał, i nagle ani się obejrzałeś, jak cię wywalali z wydziału i jedyną robotą, jaką udawało ci się znaleźć, było sprzątanie wind. Ale powiem ci tak: przez wszystkie te lata nigdy nie sprzeniewierzyłem się swoim przekonaniom. I nigdy nie porzuciłem swojej działalności, a tego właśnie ode mnie chcieli.

Jasza uwielbiał robić aluzje do dysydenckiej „działalności”, która – z tego, co wiedziałem – ograniczała się do uczęszczania na kilka tajnych hebrajskich kompletów, na których można było spotkać dziewczyny. Zarówno w kwestii hebrajskiego, jak i dziewczyn Jasza zatrzymał się na etapie alfabetu.

– Jasza, czy to moja wina, że dla zasady postanowiłeś wyemigrować do kraju hołdującego eurosocjalistycznemu stylowi życia obejmującemu miesięczny urlop i wymuszone bezrobocie? Jeśli chciałeś zrobić karierę naukową, to mogłeś ją zrobić. Podjął ją tam, dokąd wyjechałeś.

– A nie, no jasne. Z tymi wszystkimi szczawiami wychodzącymi co roku z Technionu.

W Narodowym Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej Jasza ożywił się jeszcze bardziej. Na przymusowej wcześniejszej emeryturze miał mnóstwo czasu na żołądkowanie się z powodu izraelskiej polityki parlamentarnej i jednocześnie atakowanie rozmaitych teorematów, których dowodzenie zarzucił jako młody fizyk. Zajmował się również, jak mnie poinformował, pisanie „książki skierowanej do szerokiego grona czytelników”, stanowiącej antologię biografii wielkich matematyków. Obecnie pracował nad rozdziałem o norweskim matematyku Nielsie Henriku Abelu, który w wieku lat dziewiętnastu wymyślił teorię grup, a w wieku lat dwudziestu sześciu, odrzucony przez Francuską Akademię Nauk, bez grosza przy duszy zmarł na gruźlicę płuc.

Gdy dotarliśmy do ekskluzywnej restauracji, którą starannie wybrałem na nasz wspólny lunch, Jasza wciąż jeszcze mówił o niedocenionym geniuszu Abela. Nagle jednak zmienił temat, przechodząc od niedocenionych zmarłych do przecenianych żyjących.

– Kilka tygodni temu otwieram „Wiesti”, naszą rosyjską gazetę, i widzę recenzję jakiejś książki. Wydane w samizdacie, ale nazwisko autora poznaję. Pamiętasz sąsiadów z naszego mieszkania, Weinerów? Mieli dwie dziewczynki, Ditę i Marinę...

Wydobynam z pamięci jakieś mętne wspomnienie białych fartuszków i niebieskich kokardek we włosach.

– Mówisz o tych, którzy mieli krewnych na Ukrainie, co to przyjeżdżali i siedzieli po trzy tygodnie?

– Właśnie o tych. Ich ojciec miał takie opadające wąsy. Dita wyemigrowała do Izraela i kilka lat temu spisała jego „wspomnienia”. Błąd na błędzie. Drobne w ogóle pomijam, ale napisała między innymi, że ponieważ moja matka nigdy nie została aresztowana, to właśnie ona musiała być w naszej komunalce konfidentem. Wyobrażasz sobie takie rozumowanie? Bardzo naukowe, nie ma co. Miałem ochotę chwycić za słuchawkę i zadzwonić do wydawcy.

– Ale po co?

– Jak to po co? Żeby zapytać go, jak Dita to sobie wyedukowała! Tak między proczim, jeśli w ogóle był jakiś informator, to był nim pewnie sam Weiner. Albo Flora Solomonowna.

W tym momencie przestałem go słyszeć. Restauracyjny gwar wlał mi się do uszu ryczącym oceanem. Flora Solomonowna. Florence. Moja matka. Jasza wciąż trąkotał w podnieceniu, gestykulując frytką. Musiał na chwilę zapomnieć, do kogo mówi.

– Co ty gadasz? – przerwałem mu. – Chcesz powiedzieć, że moja matka donosiła?

Jasza z wahaniem ugryzł frytkę. Znajome drgnięcie kącika jego ust odpowiedziało mi, że się nie przejęczył. Powiedział to, co chciał. W jego tonie pojawiła się jednak nuta żalu, może nawet współczucia.

– Słuchaj, mnie tam nie było. Matka pod koniec straciła trochę głowę. Nie wiem, kto miał rację, a kto nie... i mało mnie to obchodzi. Ale wydać to drukiem, tak po prostu? Myślałem, że mnie szlag trafi.

– Daj spokój, Jasza. Ja cię za język nie ciągnąłem. Ty zacząłeś, więc teraz, proszę, skończ. Co powiedziałeś?

– O kim? O mojej mamie?

Milczałem.

Jasza przyglądał dłońią niesforne siwe włosy.

– Flora często z nią rozmawiała... Kiedy w mieszkaniu zaczął się cały ten chaos z aresztowaniami, powiedziała jej: „Rosa, jak ciebie zabiorą, to twojego chłopaka wyślą do waszej rodziny. A jak trafi na mnie, to co zrobią z Julikiem? To więcej niż pewne, że do moich krewnych w Stanach go nie odeślą. Co się z nim stanie?”. Mama powiedziała mi, że Flora była gotowa na wszystko. Gotowa posunąć się do wszystkiego.

– No proszę, oto prawdziwa dedukcja. – Czułem, jak ogarnia mnie coś zimnego i twardego. – Wniosek wysnuty z rozmowy nad prymusem.

Jasza, nie patrząc mi w oczy, pochłaniał swój pieczony mostek, jakby był połykaczem mieczy, choć związany z tym wysiłek zdawał się sprawiać mu pewną trudność.

– Mówiła różne rzeczy. Jakie to ma teraz znaczenie? Gdybyś chciał, z pewnością dotarłbyś do wszystkich faktów. – Zobaczyłem przezierającą zza przepaszającego uśmiechu satysfakcję. – Otworzyli na nowo archiwa. Nie mówiłeś mi przypadkiem, że chciałbyś uzyskać dostęp do akt matki?

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Ten to niczego nie zapominał. Rzeczywiście, żaliłem mu się kiedyś, że przegapiłem sposobność uzyskania dostępu do akt rodziców. Był taki czas po 1992 roku, kiedy Jelcyn ogłosił, że dokumenty ze starych archiwów KGB mogą zostać udostępnione wszystkim, których krewni zostali aresztowani, zabici bądź zesłani za rządów Stalina. Kilka lat później jednak dostęp do akt na powrót ograniczono, bez uprzedzenia i wyjaśnienia, jak to u nas w Rosji.

Jasza wytarł sos z talerza.

– Musiałeś o tym czytać. We wszystkich gazetach pisali.

– Niewiele miałem czasu na lekturę.

– Jasne. – Rozejrzał się wreszcie, chłonąc wzrokiem otoczenie z taką miną, jakby chciał powiedzieć: „Przecież widzę, że nie próżnowałeś”. – No cóż, jak jesteś nadal zainteresowany, to powinieneś się pospieszyć. Nigdy nie wiadomo, jutro mogą z powrotem wszystko utajnić. Tak to jest. Kilka lat tak zwanej wolności i znów dokręcają śrubę.

Uśmiechnąłem się.

– Pomyślę.

Uniosłem dwa palce, prosząc o rachunek.

– Lepiej zapalić choćby świecę niż przeklinać ciemności, prawda? – powiedział Jasza, wrzuszając nieznacznie ramionami. – Zwłaszcza jeśli i tak jedziesz tam w interesach.

– Mam dość napięty harmonogram.

Ugryzł kęs wołowiny.

– Jestem pewien, że znajdziesz chwilę.

Tej nocy nie mogłem zasnąć, rozmyślając o kontrargumentach, których nie udało mi się rzucić Jaszy w twarz. Moja matka „gotowa posunąć się do wszystkiego”, by ocalić

dziecko? Żarty sobie robił? Jej życiowa tragedia polegała na tym, że nie miała instynktu ochrony własnej rodziny. Przypomniałem sobie pewną rozmowę przy kuchennym stole w Moskwie. Wspominaliśmy moją starą nianię, Awdotię Grigoriewnę, starszkę mieszkającą po drugiej stronie korytarza, która świata poza mną nie widziała. Śmialiśmy się z mamą z tego, jak stara ciocia Dunia dziwacznie wymawiała „o”, gdy Florence powiedziała nagle:

– Jej rodzina pochodziła z jednej z tych wsi nad Wołgą, gdzieś pod Gorkim. Dunia zaproponowała, że pomoże nam się tam dostać, przechowa przez jakiś czas u krewnych, żebyśmy przeczekali po aresztowaniu taty.

– Więc dlaczego nie pojechaliśmy?

Roześmiała się, widząc moją konsternację.

– A co ja miałabym robić na wsi? Zbierać rzepę? Sadzić ziemniaki?

– A co takiego wyjątkowego robiłaś w Moskwie? Pisałaś listy do towarzysza Stalina? Wyciągałaś mnie z łóżka o świcie, żeby zająć lepsze miejsce w kolejce przed więzieniem?

– Nie miałam zamiaru porzucać twojego ojca. Musiałam się dowiedzieć, co się z nim stało.

– Wiedziałaś, co się z nim stało. A tak tylko ściągałaś na siebie uwagę.

Po tych słowach jej twarz przybrała wyraz niezrozumienia, za który lubiła się wycofywać, napotykając opór.

– Nie mogłam go tak po prostu zostawić – powiedziała wyzywająco.

– A co ze mną, mamó? Czy kiedykolwiek pomyślałaś o tym, co stanie się ze mną, kiedy po ciebie przyjdą?

Przez chwilę przeżuwała jedzenie, po czym rzekła:

– Tak, naprawdę o tym myślałam. Rozmawialiśmy o tym z twoim ojcem.

Zaskoczyła mnie.

– Mieliśmy pewność, że niezależnie od tego, co by się z nami stało, nie dopuszczą do tego, by coś złego spotkało dzieci. Wiedzieliśmy, że o dzieci zawsze ktoś się zatroszczy.

Roześmiałem się. Zatroszczy, no rzeczywiście! Istny cud, że wyznaczeni przez państwo opiekunowie nie wyrwali mi jako sześciolatkowi ręki ze stawu.

– Niezależnie od tego, co by się z tobą stało, mamó?

– Tak, niezależnie od tego, co by się z nami stało, państwo na pewno zatroszczyłoby się o dzieci – powtórzyła jak automat.

– Ale mamó, tobie w ogóle nic się nie musiało dziać! Nie rozumiesz? Nic z tego wszystkiego nie musiało się przydarzyć ani tobie, ani nikomu innemu.

I znów uniósł się ekran chroniący ją przed faktami, a jej spojrzenie przybrało ten charakterystyczny wyraz zakłopotania sygnalizujący, że wszelka komunikacja uległa zawieszeniu.

Ani logika, ani poczucie dobrego smaku nie ograniczały listy tematów, które matka potrafiła skwitować swoim słynnym milczeniem. Rozumiałem, że nie ma ochoty rozwodzić się nad okresem spędzonym w łagrze. Później jednak, w latach siedemdziesiątych, właściwie nigdy nie słyszałem, by wspominała o amerykańskiej

rodzinie, mimo że regularnie otrzymywaliśmy paczki wypchane swetrami, trampkami, markowymi dzinsami i kawą rozpuszczalną. Jeszcze później, już w Stanach, nie pozwoliła mi zmienić tabliczki z nazwiskiem obok domofonu przy wejściu do kamienicy na Brooklynie, w której znajdowało się jej dotowane przez państwo mieszkanie. Przez osiem lat naciskałem przycisk do mieszkania nieboszczki, niejkiej Marquity Muñiz. Kiedy pytałem matkę, kogo mają wywieść w pole te wszystkie zabiegi, odpowiadała zwyczajnie: „Ktokolwiek chce mnie znaleźć, wie, gdzie mnie szukać”.

Już dawno pogodziłem się z jej małomównością. Dlaczego więc po lunchu z Jaszą Gendlerem tak potwornie irytowała mnie myśl, że w życiu matki mogło być coś – coś potwornego i upokarzającego – o czym inni wiedzą lub wydaje im się, że wiedzą, a ja nie? Raz po raz ważyłem w myślach każde wypowiedziane do Jaszy słowo i czułem się coraz paskudniej z obojętnością, którą wówczas udawałem. „Dotknij gówna, a sam będziesz śmierdział” – była to kwintesencja mojego stosunku do wszelkich żenujących rewelacji. Ani przez moment nie dawałem wiary insynuacjom Jaszy, jakoby Florence donosiła na znajomych i sąsiadów sowieckim tajnym służbom. A jednak skręcało mnie na samą myśl o nieuzasadnionym wrażeniu, jakie musiała na nim wyrzeć moja maska rozbawionego niedowierzania.

I oto o północy, w spodniach od pizamy i z kieliszkiem koniaku w dłoni, pokonałem ku własnemu zaskoczeniu osiem stopni wiodących do gabinetu na poddaszu i włączyłem swojego della. Uchyliłem świetlik nad głową i wpuściłem do środka płynny bezmiar nocy wraz z rozdrażnionymi letnimi piskami kotów i szopów.

Uruchomiłem przeglądarkę i w okienku wyszukiwania wpisałem po rosyjsku „represje stalin FSB archiwa”. W ciągu 0,45 sekundy wyszukiwarka zwróciła 48 535 wyników. Większość odnośników prowadziła do artykułów prasowych lub naukowych, choć dalej pojawiło się więcej osobistych relacji: nieopublikowanych historii, wierszy i przydługich wynurzeń o braciach, ojcach i wujach pochłoniętych przez reżim Stalina. Internet nie pozostawiał wątpliwości, że grafomania – przypadłość, na którą Rosjanie zapadali, zdaniem Dostojewskiego, w sposób naturalny – rozwinęła się w chorobę równie zakaźną jak nieuleczalną. Wzdrygnąłem się na samą myśl o dorzucaniu własnego nazwiska do wykazu krajan wessanych bezpowrotnie w przeszłość.

Ograniczywszy wyniki wyszukiwania do najnowszych doniesień prasowych, znalazłem to, czego szukałem: artykuły w kilku ważniejszych gazetach omawiające obwieszczenie rządu rosyjskiego sprzed zaledwie kilku miesięcy. FSB odtajniła miliony dokumentów na temat ofiar represji i krewni mogli teraz wystąpić z wnioskiem o informacje dotyczące tych, którzy zostali straceni w więzieniu lub zesłani do łagrów.

W 1992 przegapiłem to okno. Byłem jak najdalszy od wyprawiania się z powrotem tam. Miałem pracę, a matka wydłużającą się listę niedomagań, którymi musiałem się zająć. Miałem też pewność, że ona sama absolutnie nie chce otwierać tych rozdziałów życia, które tak sumiennie pogrzebała w pamięci. Zastanawiałem się teraz, czy pomijanie tego tematu w rozmowach z nią nie wynikało z obaw o naruszenie jej prywatności. Nasze stosunki już i bez tego były wystarczająco napięte. We wspomnieniach tamtego lata wciąż pobrzmiwały echa naszej ostatniej kłótni, której przypomnienie sobie teraz było dla mnie prawdziwą udręką. Matka przeżyła udar i przez wiele dni miała sparaliżowaną prawą

stronę ciała. Stopniowo zaczęła odzyskiwać mowę i zdolność poruszania się, lecz było wykluczone, by mogła dłużej mieszkać sama. Z mieszanymi uczuciami przenieśliśmy ją razem z Łukija do pobliskiego kameralnego domu opieki. Mieszkała tam od prawie roku, kiedy przeszła operację nogi. Odwiedziłem ją kilka dni po wypisaniu jej ze szpitala i odkryłem, że nogi i plecy pokryte ma odleżynami. Tak zwani opiekunowie najwyraźniej zaniedbywali regularne mycie jej gąbką i staranne smarowanie ran maścią. Wściekły, zacząłem besztać pielęgniarkę na zmianie, władczą kretynkę, która nawet gdy pokazałem jej nie pierwszej czystości pościel, upierała się, że wszystko wykonywane jest właściwie i „zgodnie z procedurami”. Poinformowałem tę kobietę, że tylko osoba upośledzona umysłowo mogłaby nie zauważyć, że mojej matce doskwiera silny ból, i zażądałem rozmowy z lekarzem dyżurnym. Pielęgniarka wypadła z pokoju – może po to, by poszukać zwierzchnika, choć raczej po to, by pozalić się na mnie na papierosku czy co tam zwykle robiła zamiast zajmować się pacjentami.

Wszystko to jest jednak jedynie tłem zasadniczej części tej historii: kiedy ja ochrzaniałem pielęgniarkę, Florence, półleżąc na metalowym łóżku, wtrącała nieustannie, że „nic się nie stało”. Chciała wiedzieć, po co robię takie zamieszanie, skoro ona czuje się „absolutnie dobrze” (choć kilka minut wcześniej wyznała mi coś dokładnie przeciwnego). Uśmiechając się blado do swej opiekunki kretynki, upierała się, że „nie ma potrzeby robić kłopotu”.

Mogłem zrozumieć ten odruch łagodzenia sytuacji w obecności opiekunki, ale mama broniła własnej krzywdy nawet po tym, jak kobieta wybiegła z pokoju.

– Gdyby ci ludzie wykonywali swoją pracę jak należy, nie miałabyś takich odleżyn. Jakby mnie nie słysząc, powiedziała:

– Troszczą się na swój sposób. Oni wiedzą najlepiej.

Wiedzą, co robią. Wiedzą najlepiej. Wysłuchiwałem tej mantry przez całe życie. Pomyślałem wtedy: „Na litość boską, masz osiemdziesiąt dwa lata. Od trzynastu lat mieszkasz w wolnym kraju. Dlaczego musisz obnosić się kompulsywnie ze swoją lojalnością wobec każdego tyрана, który akurat w tym momencie przygina ci kark butem?”. Powiedziałem jednak tylko:

– Wystarczy, mamó. Teraz ja mówię.

Konflikt między nami nie przygasł aż do dnia jej śmierci niecały rok później. Teraz, gdy matkę pochowano razem z jej milczeniem, wygooglałem nazwiska aktywistów cytowanych w artykułach prasowych i natrafiłem na przedmiot moich poszukiwań: stronę Memoriału. Najwyraźniej było to rosyjskie stowarzyszenie zajmujące się rehabilitacją ofiar represji stalinowskich. Strona wyglądała nieszczególnie, gułag niedziałających odnośników, z których wiele, podobnie jak ofiary, które reprezentowała, wymagało „rehabilitacji”. Na samym dole jednak znajdował się adres kontaktowy info@memo.ru. Na jedną pełną minutę niespokojnie zawiesiłem nad nim kursor. Wyobraziłem sobie triumfującą twarz Jaszy. Jego zaproszenie okazało się wyzwaniem. Czego się bałem?

Kliknąłem na link i ułożyłem krótki list z zapytaniem, w jaki sposób i do kogo powinienem skierować wniosek o uzyskanie wglądu w dokumenty dotyczące rodziców. Oceniając stronę po wyglądzie, niewielką miałem szansę na odpowiedź. Nacisnąłem „wyślij” i zamknąłem okno. Jasza mógł być usatysfakcjonowany.

Ale nie ja. Jeśli w grę wchodziły jakieś sekrety, wiedziałem, że jest człowiek, który może mi je odsłonić. I już dawno powinienem był złożyć mu wizytę.

Avalon był ostatnim miejscem, które mogłoby się człowiekowi kojarzyć ze słowami „dom” albo „emerytura”. Hol wejściowy, w którym pyszniły się paprocie, palmy, głębokie fotele, rzeźbione drewniane stoliczki z egzotycznymi ozdobami z żelaza i wielki steinway w rogu, przypominał poczekalnię w jakiejś świetnej amerykańskiej ambasadzie. Mieszkańcy, snujący się w mokasynach i bermudach, sprawiali wrażenie urlopowiczów. W drodze na patio zerknąłem na kalendarz, w którym cotygodniowe aktywności przeplatały się z różnego rodzaju wydarzeniami:

AMELIA EARHART ZAGINIONA NA PACYFIKU, 1937 * Desery lodowe w niedzielę 14.00. * BIKINI DEBIUTUJE W PARYŻU, 1946 * RODZI SIĘ MARC CHAGALL, 1887 * Poranna gimnastyka 10.30 * Rozkosze łamania głowy * RODZI SIĘ MILTON BERLE, 1908 * Impreza karaibska z Garym Lovettem * JOHN DILLINGER ZABITY PRZEZ FBI W CHICAGO, 1934 * Hiszpański dla początkujących 16.00 * Kumple do pokera 14.00 * JFK JR. ROZBIJA SIĘ U WYBRZEŻY WYSPY MARTHA'S VINEYARD, 1999 * Nabożeństwo szabasowe * 10.30 Schmooze & News

Rozsiadłem się na wyłożonym terakotą tarasie w jednym z foteli wymoszczonych pasiastymi poduszkami i odchyliwszy głowę, wystawiłem twarz do słońca. Po niedługim czasie pojawił się wuj Sidney, bez skarpetek, w espadrylach, z egzemplarzem „The Wall Street Journal” pod pachą. Poruszał się sztywniej niż wówczas, gdy go ostatnio widziałem.

– Julian, mój chłopcze, dobrze cię widzieć! Siedź, nie podnoś się.

– Jak tam okrężnica, wuju?

– Bardzo dobrze. Doktor twierdzi, że nigdy nie widział dłuższej u człowieka moich rozmiarów. Szpula kiszek długich na milę. Najwyraźniej można mi jeszcze sporo ciachnąć. Gdyby znów zaszła potrzeba.

Litościwie wybawiał mnie z opresji. Czuję się paskudnie, że nie przyszedłem odwiedzić go wcześniej. Zdołał przekazać mi informację w lekkiej formie, ale bez powodzenia próbował ukryć fizyczne objawy niedawnej operacji i chemioterapii. Lekkie spodnie khaki nieźle maskowały patykowatość nóg, ale nie można było tego powiedzieć o koszulce polo odsłaniającej wychudłe ramiona, cienkie nadgarstki i wystające obojczyki. Harry, starszy brat matki, zmarł jeszcze przed naszym przyjazdem do Stanów; jego dzieci mieszkały teraz w Kalifornii. Sidney był ostatnim żyjącym krewnym, który ją jeszcze pamiętał.

– Więc czujesz się nieźle?

– A to już inna sprawa.

– Roboty macie tu chyba po kokardę. Lekcje hiszpańskiego. Gry planszowe.

– Nie biorę udziału w tej dziecinadzie.

– Wolisz grać w pokerka?

– Wolę grać w gin. Siądę do rozdania z każdym. Na co miałbyś ochotę? – zapytał, gdy pojawił się ktoś z personelu. – Przynieś mu filiżankę kawy, Deboro. Ze śmietanką.

I śledzia. Lubisz śledzie? Dobrze. A dla mnie omlet z białek i kawa. Czarna.

Umundurowana w strój pielęgniarski Debora uśmiechnęła się i odeszła z naszymi nieotwartymi jadłospisami.

– Jak się miewa Judy? – zapytałem.

– Moja córka i jej mąż są w Mjanmie. Poprzedniej wiosny zaliczyli Turcję. Co roku bardziej egzotyczny kierunek. Wygląda na to, że środkowe New Jersey nie znajduje się wystarczająco daleko, by skłonić ich do odwiedzin. Ale wiesz, co tu teraz mają? – powiedział, prawie podskakując. – Szkoleniowców od komputerów! Dwa razy w tygodniu uczą nas, jak wysłać e-mail do naszych wnuków. Jakby już nikt nie potrafił odebrać telefonu. Ale ja... ja zacząłem ostatnio handlować akcjami na komputerze. Ale tylko troszkę, a bisele.

– Nie wiedziałem, że ciągle grasz na rynku.

– Nie gram. Czytam prasę, przyglądam się liczbom i wsłuchuję się w siebie. – Mówienie o akcjach nieodmiennie go podniecało. – W zeszłym tygodniu zadzwonił mój broker i powiedział, że ma dla mnie cynk. Powiedziałem mu: „Jeff, znasz mnie od dwudziestu lat. Wiesz, jak mam na nazwisko, i wiesz, gdzie mieszkam. Dzień, w którym zaczniesz mi dawać dobre rady w handlu akcjami, będzie twoim ostatnim dniem pracy dla mnie”.

Rozbrajającą gburowatość Sida pokochałem już w Moskwie, tego dnia 1959 roku, w którym go poznałem. Miałem piętnaście lat, a on trzydzieści dziewięć: żwawy elegancik w szarym flanelowym garniturze, kapeluszu z rondem i lśniących czarnych butach z ozdobnie dziurkowanymi noskami, kroczący spiesznie, by powitać moją matkę i mnie w parku Sokolniki. Jako jednemu z dyrektorów nowojorskiej giełdy udało mu się wtedy uzyskać wizę delegata na Amerykańską Wystawę Narodową w Moskwie, gigantyczne targi techniki, na których Nixon i Chruszczow mogli zademonstrować światu, który z nich ma grubszą rurę. Pierwsze wspomnienie o nim mam wciąż w pamięci w ówczesnych kolorach Kodaka, na tle wszystkich tych makiet amerykańskich domów i samochodów, modelowych kuchni, pralko-suszarek jutra oraz innych fantastycznych artykułów gospodarstwa domowego, które miały dowieść nam, ludziom radzieckim, że naszym rywalom też nie można odmówić człowieczeństwa. Po raz drugi zobaczyłem go dwadzieścia lat później na lotnisku JFK. Tego pierwszego zimnego wieczoru po przylocie do Stanów właśnie Sidney razem ze swoją nieżyjącą już żoną Stellą powitał nas krzepiącym ostrzeżeniem, że Stany Zjednoczone są zwykłym obozem pracy z odrobinę tylko lepszym jedzeniem. Właśnie Sidney, po raz pierwszy obwożąc samochodem Łukiję i mnie nocą po luksusowym Manhattanie, powiedział: „Poradzisz sobie tutaj, Julianie. O ile nie pozwolisz, by zazdrość odebrała ci rozum”. Natychmiast znaleźliśmy wspólny język. Mogłem z nim porozmawiać o wszystkim tym, o czym nigdy nie zdołałem porozmawiać z matką. Podobnie jak ja, nie prowadził krucjat w imię sprawiedliwości. Natychmiast po wyjściu z wojska podjął żołąd i zaczął studia na wydziale inżynierii chemicznej w Northwestern University, a potem przez czterdzieści lat pragmatycznie urzędywistniał amerykański sen, do którego jego siostra odwróciła się plecami.

– Słusznie, ufać należy wyłącznie sobie. Domyślałem się, że właśnie dzięki temu nie straciłeś pieniędzy – zauważyłem.

– Ależ owszem, straciłem. Ale nigdy tyle, żeby zbankrutować. Nie jestem hazardzistą. Dorastałem w czasach wielkiego kryzysu, ludzie skakali wtedy z okien.

– Tak samo jak Florence. Tyle że ona wyniosła z tego chyba inną lekcję.

Sidney zastanawiał się przez chwilę i ostatecznie wzruszył ramionami.

– Byłem dzieckiem. Florie była starsza. Ci, co przeżyli tamte czasy, byli jak ci, co ocaleli z wojny, a twoja matka była zawsze bardzo wyczulona na wszelką niesprawiedliwość. Co wieczór wdawała się przy stole w sprzeczki z naszym ojcem. Wszyscy musieliśmy się wreszcie zgodzić, że przy szabasowej kolacji nie będziemy rozmawiać o polityce.

– A o czym rozmawialiście?

– No cóż, pamiętam, że kiedyś pokłócili się o górników z hrabstwa Harlan pobitych przez policję za udział w strajku. Tata powiedział: „Dzisiaj nikt nie ma pracy, a ci sobie strajkują”, a Florie, ta to miała refleks, odparowała: „Mają pracę, a i tak przymierają głodem, więc równie dobrze mogą głodować podczas strajku”. Każdego wieczoru wychodziło coś podobnego.

– Brzmi jak slogan, który pewnie gdzieś usłyszała.

– No, może – łaskawie zgodził się Sidney. – Ale wierzyła w to. Kiedyś, po jakiejś demonstracji, wróciła do domu cała posiniaczona. Twierdziła, że uderzyła policjanta, który ją złapał. Palnęła go torebką. Mogliśmy się tylko cieszyć, że nie wylądowała wówczas w więzieniu.

– A skoro już mówimy o policji, wuju... Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek miała jakieś scysje z policją w Rosji. To znaczy tajną policją. Mieli pewnie na oku imigrantów ze Stanów.

– A co cię skłoniło do takich przemyśleń? – zapytał Sidney, a między brwiami zarysowała mu się krytyczna bruzda.

– Zwykła ciekawość. Czy kiedykolwiek o czymś takim wspominała?

– Chodzi ci o to, jak ją wtedy wrzucili do tego lochu?

– Albo... wcześniej. – Zawahałem się. – Czy kiedykolwiek wspominała, że NKWD ją nękało albo... – Na końcu języka miałem słowo „zwerbowało”, ale nie potrafiłem się zmusić, żeby je wyartykułować. – Zastraszało – wydusiłem wreszcie.

I znów wargi Sidneya zacisnęły się w wyrazie niezadowolenia.

– Nie, nie, nie. Florie niczego się nie bała.

Chyba opacznie zrozumiał moje pytanie, a ja poczułem, że zmarnowałem okazję. Drażnienie tych drażliwych kwestii wydawało się niemożliwe.

– Niezależnie od tego, w co i z kim się angażowała, poświęcała się temu bez reszty. Cała rodzina twierdziła, że to ta praca w misji handlowej tak ją spacyła. Że w tym wszystkim chodziło o Rosjan, z którymi się związała. Pojechała tam chyba za jakimś kochankiem. W tamtych czasach to nie było takie znowu nic, rozumiesz. Nie to co dziś, kiedy kobiety wskakują do łóżka każdemu mężczyźnie, jakby to była gra w klasy. I wszystko na widoku, jak w witrynie Macy's. W moich czasach też gadano o wolnej miłości i tak dalej, ale ja mówię o ludziach szanowanych. Przyzwoitych młodych kobietach. To było a szande un a charpe. Wiesz, co to znaczy?

Roztropnie przytaknąłem.

– Wstyd i hańba. A pozor!

– Pa-ZOR – poprawiłem.

Jidysz, którym Sidney i mama nasiąkli, dorastając na Brooklynie, był tak przesycony rusycyzmami, zapewne z powodu litwackich korzeni dziadków, że Sid czasem mieszał języki.

– Ta twoja matka. Zawsze musiała iść przed pociągiem. A wiesz, co się dzieje z ludźmi, którzy idą przed pociągiem? – Znów utkwiał we mnie spojrzenie. – Zostają przejechani!

Wuj Sid nie znajdował upodobania w subtelnych metaforach.

– Ale czy jesteś pewien, że sama nie była komunistką?

– Ależ! Słuchaj... Wszyscy ci ludzie, których znała, byli pod tym względem trochę stuknięci. Urodziny Sacca i Vanzettiego mieli oznaczone w kalendarzach tak samo jak święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Ale nie, nie była komunistką. Była po prostu niecierpliwa. Chciała coś zrobić ze swoim życiem, coś wielkiego. Zawsze obracała się wśród ważnych osobistości, polityków i tak dalej. Raz poznała senatora Boraha... Gruba ryba, szef senackiej Komisji Spraw Zagranicznych. Wiesz, co o niej powiedział?

– Co?

– „To właśnie takie babki jak Florence Fein kręcą światem”. No i co na to powiesz? Staralem się sprawiać wrażenie, jakby mi to zaimponowało. Słyszałem to już wcześniej.

Po twarzy Sidneya przemknął grymas.

– Ech – powiedział, machnąwszy ręką. – Wszyscy ci głupcy gryzą teraz ziemię.



Wysiadłszy z pociągu w Cleveland, zderzyła się ze ścianą czterdziestostopniowego upału. Słońce spaliło uprawy i ugotowało ogrody; powietrze pachniało cementem i przejrzałymi pomidorami. Obiecane Florence mieszkanie okazało się pokojem w domu należącym do pary emerytów, państwa Shulte; wchodziło się do niego po schodkach z zewnątrz. Przed jej przyjazdem niczego nie naprawiono. Trzeciego dnia jej pobytu kołnierz na główce prysznic obluźował się i odpadł w kaskadzie rdzy zmieszanej z wątlm strumyczkiem wody. Była ósma rano i Florence była już spóźniona do pracy.

W wilgotnej podomce obeszła dom i stanęła przed drzwiami frontowymi Shulte'ów. Głośne stukanie nie wywołało żadnej reakcji. Zza drzwi dobiegał donośny dychawiczny głos ojca Coughlina szczekającego przez radio o żydowskim bolszewizmie. Florence wzięła uspokajający wdech i zastukała bardziej nagłaco. Chwilę później w progu stanęła Alva Shulte i obdarzyła ją swoim ściągniętym, nieprzyjaznym uśmiechem.

– Czy zastałam pana Shulte? Prysznic się popsuł i znów nie ma ciśnienia. – Florence spróbowała zajrzeć w głąb mrocznego przedpokoju, lecz szerokie plecy właścicielki domu skutecznie zasłaniały widok. – Za dwadzieścia minut muszę być w pracy.

Alva Shulte nie drgnęła nawet, by przywołać męża. Przez długą chwilę nie spuszczała z Florence uważnego spojrzenia, aż wreszcie, nie odwracając głowy, zawołała:

– Panie Shulte, mamy problem z wodą!

– Już biorę narzędzia, pani Shulte! – dobiegł głos z ponurego wnętrza.

Kobiety stały i czekały. Po twarzy Alvy błąkał się dziwny uśmieszek zdający się sugerować, że nie zdziwiłaby się, gdyby Florence podwędziła jej portfel z kieszeni. W końcu z mroku wyłonił się stary Shulte ze skrzynką narzędzi w ręku.

– Nie wiem, czy da się coś poradzić, skoro cała okolica puszcza teraz wodę – mówił, gdy Florence wchodziła za nim po schodkach wiodących do jej kwatery. – Syreny wyły cały ranek, a jak strażacy przyjeżdżają z tym swoim węzem, to nikomu porządnie nie leci.

Alva, która przyszła za nimi, stała teraz w pomalowanym na zielono pokoiku i obserwowała Florence, gdy tymczasem Dwayne Shulte zniknął w korytarzu, by naprawić prysznic.

– Pracujesz w McKee jako sekretarka?

– Niezupełnie.

Florence wyjrzała na korytarzyk. A niech się ta stara ropucha ugotuje z ciekawości.

– Dwayne mówił, że zajmujesz się księgowością.

Florence odwróciła się do niej.

– Jestem koordynatorką współpracy gospodarczej. Pracuję dla grupy zagranicznych klientów biznesowych.

W jej własnych uszach słowa te zabrzmiały idiotycznie. Przed kim się tak popisywała?

– Koordynatorka – powiedziała Alva. – A niech mnie. To pewnie ktoś potwornie ważny.

Florence wzruszyła ramionami.

– Znaczy to po prostu tyle, że jestem pośrednikiem. Kimś w rodzaju arbitra.

– Znam to słowo, skarbie. Nie wiedziałam tylko, że mają takie ważne stanowiska dla takich młodych dziewczyn, skoro tylu naszych chłopców nie ma dziś pracy.

Dwayne Shulte wycząpał z łazienki, wycierając ręce w spodnie.

– Dokręciłem ten kołnierz, więc z ciśnieniem jest lepiej, ale nie puszczałbym wody zbyt długo.

Zerknął na twarz Florence, potem na jej włosy, a jego spojrzenie jakby przygasało na myśl o tym, ile wody wymaga ich umycie. Sprawiał wrażenie rozczarowanego – z przyczyn całkiem odmiennych niż jego żona – że lokator, którego im przysłali, nie jest mężczyzną.

W sali konferencyjnej znajdującej się na szóstym piętrze budynku McKee środkowozachodnie słońce przedarło się przez żaluzje i legło wąskimi paskami na dębowym stole konferencyjnym. W Nowym Jorku ochronę przed letnim skwarem dawały kaniony wśród wysokościowców, lecz tutaj nie było się gdzie schronić. Negocjacje między Rosjanami a inżynierami McKee utknęły w martwym punkcie. Rosjanie twierdzili, że wykreślone przez ludzi z McKee projekty walcowni w Magnitogorsku do niczego się nie nadają. Moskwa odmawiała zatwierdzenia jakiegokolwiek budowy wymagającej takiej ilości betonu i stali.

– Chwileczkę, ustaliliśmy to wszystko trzy miesiące temu – powiedział Kyle Clement, Minnesotczyk z dołkami w policzkach. – Powiedzieliście, że chcecie taką walcownię jak ta w Gary. I taką wam właśnie wyrysowaliśmy.

– Obiecaliście nam walcownię zmodyfikowaną dla naszego kombinatu – powiedział Rosjanin, Fiodor Zimin.

– O zmodyfikowanym rozkładzie pomieszczeń, a nie taką, którą da się zbudować z drewna i cegieł!

– W Magnitogorsku mamy właśnie drewno i cegły. Gdybyśmy mieli stal, to nie potrzebowalibyśmy huty, tak?

Siedząca przy maszynie stenograficznej Florence pospiesznie próbowała nadać tej wymianie ognia jakieś ramy. Wysłano ją, żeby dopilnowała, by obie strony doszły do porozumienia, tymczasem odnosiła na tym polu spektakularną porażkę. Ludzie z McKee, nieufni wobec Rosjan i zaniepokojeni możliwością pozwu sądowego, uparli się, by zapisywała każde wypowiedziane podczas tego spotkania słowo.

– Sprawa wygląda tak: nie zaryzykujemy reputacji naszego przedsiębiorstwa dla konstrukcji, która się zawali, zanim wmurują ostatni kamień – powiedział inżynier Knur Anderson, mężczyzna o wargach tak wąskich, że niemal niewidocznych. – Możecie od

razu zatelegrafować do swoich chłopaków z Moskwy i powiedzieć im, że nie zmienimy tych rysunków ani o centymetr. Musimy przestrzegać naszego prawa budowlanego.

Siedzący po drugiej stronie stołu Rosjanie naradzali się, mamrocząc zbyt szybko, by Florence mogła ich zrozumieć. Przyjechała tu z przekonaniem, że podszlifuje rosyjski, tymczasem jako tłumaczka okazała się w dużej mierze zbędna, gdyż dwaj delegaci posługiwali się znośnym angielskim. Teraz ci dwaj – Zimin i zwalasty, ogorzały inżynier Siergiej Sokołow – odpowiedzieli na rzucone przez Amerykanów wyzwanie znudzonymi uśmiechami. Wiatrak furkoczący pod sufitem niezmordowanie szatkował ciszę, która zawisała w powietrzu, grożąc, że za moment osiądzie jak kurz. Milczenie trwało dobre jedenaście sekund, zanim Florence rzuciła się je wypełnić.

– Panowie, jestem pewna, że możemy wypracować rozwiązanie, które okaże się dla wszystkich satysfakcjonujące.

Sokołow przewrócił oczami, zapewne z powodu użycia przez nią burżuazyjnego terminu „panowie”. Poprawił się na krześle, jakby to było siodełko motocykla.

– Wasze prawo – powiedział, obrzucając Amerykanów cynicznym uśmieszkiem – wymaga wielu stalowych wzmocnień, których nam nie potrzeba. Zostało stworzone przez waszych magnatów przemysłu stalowego, żeby wyciskać forszę, nic więcej.

Knur Anderson wyciągnął z kieszeni ołówkę z wysuwającym grafitem i kilkakrotnie postukał nim w niewzruszony blat stołu.

– Wstępne szkice pokazaliśmy wam trzy tygodnie temu i wtedy słowem się nie odezwaliście. Gdybyście przychodzili do pracy trochę mniej skacowani...

– A gdyby nam nie robił koafiury przemysł stalowy...

– Koło pióra... Ależ co to za gadanie! – zdenerwował się Clement.

– ...ale domyślam się, że w Związku Radzieckim, gdzie macie pełne zatrudnienie – ciągnął Anderson – każdy może pojawić się w robocie na rauszu.

– Bardzo proszę, skupmy się na kwestiach merytorycznych – apelowała błagalnie Florence, ale obie strony całkowicie ją ignorowały.

– Wasza wola, możecie zerwać kontrakt – zasugerował Clement.

Na twarzy Sokołowa znów pojawił się wyraz rozbawienia.

– Owszem, ale zostanie zerwany z waszej winy.

W siedzibie McKee Florence dostała biurko z własnym telefonem ustawione w dziale kadr tuż obok biurka zawsze niezrozumiale ożywionego kierownika personalnego, Claude'a. Czekwała, aż Claude pójdzie do domu, żeby móc zadzwonić do rezydującego w Nowym Jorku Scoopa.

– Dotarły do ciebie najnowsze wieści, Florence? Wybuch na brukowanej drodze pod Frankfurtem, kilka godzin temu – powiedział Claude pogodnie.

– Potworne – rzuciła w roztargnieniu.

– Podobno samozapłon. Ciężarówkę z drobiem wyrzuciło na trzy metry. Wszędzie klatki z kurczakami.

– Ogromna szkoda.

– Nie dla tych kur, co zwiały. Założę się, że to dla nich jak Dzień Niepodległości. Powiedz, wybierasz się na festyn z okazji Dnia Niepodległości w Buford?

– Mam jeszcze mnóstwo zaległej pracy, Claude. W każdym razie postaram się.

– No to baw się dobrze czwartego, Florence.

– Ty również, Claude.

– A żebyś wiedziała, że będę.

Upewniwszy się, że Claude wyszedł, wybrała numer szefa.

– Scoop, masz minutkę?

– Dla ciebie, Florie, zawsze! Jak tam życie na prerii?

Na ulicy pod jej oknem spoceni, zakurzeni mężczyźni naprawiali drogę.

– Zabrnęliśmy w ślepy zaułek, Scoop. Sowietci domagają się zmiany projektów. Twierdzą, że McKee wciska im więcej zbrojeń, niż potrzebują. A teraz obie strony grożą zerwaniem kontraktu. – Zapachy płynnej smoły i rozgrzanego żwiru mieszały się w jej nosie w oszałamiający bukiet. – Jasna cholera.

Spróbowała zamknąć okno i niemal przytrzasnęła sobie palce.

– Hola, hola, zwolnij, Florence. Nikt tu nie będzie zrywał żadnego kontraktu. Sowietci po prostu ostro się targują.

– Ludzie z McKee upierają się, że nie zapłacono im za to, żeby odwalali dwa razy tę samą robotę.

– Zapomnij o McKee. Sowietci zawarli umowę z Burlington Steel z Pensylwanii. McKee są jedynie podwykonawcą Burlingtona.

– Nie rozumiem...

– Moskwa nie chce zamawiać sześciu tysięcy ton stali z Burlingtona, skoro większość tego może sobie załatwić tanio gdzieś bliżej, na przykład w Niemczech. Obiecali, że kupią stal w Burlingtonie, jeśli McKee zrobią im projekty, a Burlington tym z McKee płaci pewnie ekstra za każdy upchnięty w rysunkach metr zbrojeń.

– Tego nie było w kontrakcie... I nie wydaje mi się w porządku.

– W porządku to ustawiają świnki do rzeźni, skarbie. Prawdziwy kłopot w tym, że Sowietom skończyły się pieniądze.

– Jak to skończyły?

– Spadki w eksporcie zboża. Mieli chyba kilka lat słabych zbiorów.

Żadna z tych wiadomości jej nie uspokoiła.

– No to co ja mam zrobić, Scoop?

– Hm, zastanówmy się... Przypuszczam, że w McKee pójdą na jakieś ustępstwa, ale nie chcą gryźć ręki, która ich karmi. Namów ich, żeby trochę odpuścili. Chyba nie chcieliby stracić całego zamówienia, prawda?

Na sugestię, by użyła perswazji, poczuła gulę w gardle. To była jej pięta achillesowa. Nie przychodziły jej na myśl żadne słowa, którymi mogłaby przekonać nieugiętych ludzi z McKee, by nieco ustąpili.

– Po prostu... czasem naprawdę nie wiem, co ja tu w ogóle robię.

– Pilnujesz, żeby nasi radzieccy przyjaciele się nie zbiesili. Zajmij ich czymś. Nie miałaś w planach zabrania ich dziś wieczór na jakiś festyn?

– Festyn Czwartego Lipca. Jacyś miejscowi aktywiści próbują podtrzymać morale.

– No i znakomicie. To może pójdź do domu, zrób się na bóstwo, a potem pokaż naszym znajomym kawałek prawdziwej Ameryki?

Rozłączyła się i powieki jej opadły. Przy zamkniętym oknie słyszała grające cicho

na biurku Claude'a radio. Zapomniał je wyłączyć. Miała wrażenie, jakby nadawały dwie stacje jednocześnie, przełączając się co chwila między trajkotaniem prezenterów, reklamami, fokstrotem i niewyraźnym szumem. Pod powiekami zatrzymała obraz zmachanych, pracujących na zewnątrz robotników. Przed przyjazdem tutaj nigdy nie rozmyślała o „mężczyznach” jako o odrębnym gatunku człowieka, teraz jednak widok tych muskularnych Polaków i Słoweńców odbił jej się w głowie echem reprimend matki fukającej, że samotne mieszkanie budzi w dziewczynie „zamiłowanie do takiego życia”. Oczywiście Zelda jako niechrześcijanka nigdy nie określiłaby tego mianem „zamiłowania do grzechu”, ale pałacy, zalatujący siarką grzech wydawał się kwintesencją ścieżki, którą staczały się myśli Florence. Oczyma duszy widziała uśmiechającego się pogardliwie Siergieja Sokołowa, rozwalonego na odchylonym krześle. Jej umysł przypominał rozstrojone radio: na jednej częstotliwości z powagą recytowano fakty, lecz wystarczyło lekko obrócić głowę i słyhać było już tylko słodki, mroczny jazz.

W starym buicku, którego prowadził niski mężczyzna nazywany przez pozostałych Kotikiem, ledwie zmieścili się czterej Rosjanie i Florence. Kotik, przewodniczący tej obdartej delegacji, twarz miał poważną, skupiony być może na prowadzeniu auta, a może przejęty rangą swego stanowiska. Florence musiała się zmieścić z tyłu między zawianym Fiodorem Ziminem a barczystym Sokołowem, który przyszedł ubrany w wielki słomkowy kapelusz należący, jak domyślała się Florence, do gospodyni wynajmującej im bungalow w Tremoncie. Na jego głowie kapelusz wyglądał równie absurdalnie, jak musiałaby wyglądać jedwabna koszula na Paulu Bunyanie. Uchwyciwszy jej spojrzenie, Siergiej zmrużył oczy w szelmowskim, poufałym uśmieszku, biorąc jej zaskoczenie za podziw. A ponieważ to właśnie o Siergieju rozmyślała hipotetycznie tego popołudnia, poczuła oblewający ją rumieniec. Usilnie próbując uniknąć objiania się kolanami o jego nogi, przysunęła się bliżej Fiodora zajeżdżającego jak zaplecze browaru.

Zostawili samochód nieopodal błoni, na których miał się odbyć festyn, i zaczęli kluczyć w prowadzącym do wejścia labiryncie zdezelowanych ciężarówek i przyczep. Tego roku, gdy susza okazała się tak dotkliwa, w imprezie brała udział ledwie garstka miast z hrabstwa Cuyahoga, lecz mimo to Florence dostrzegła gospodynie domowe rozstawiające dzemy i placki z rabarbarem, a powietrze zawibrowało przenikliwymi piskami chłopców ćwiczących zaganianie świń. Nad łąkę napłynął tak pożądany wieczorny chłód, a zapach krowich placków zaczął ustępować korzennemu aromatowi goździków. Szacunek i serdeczna szarmanckość obcokrajowców budziły w niej przyjemną świadomość własnego wzrostu, sztywnej świeżości dopasowanej bawełnianej sukienki, rozwichrzenia upiętych na skroniach włosów. Bała się, że Rosjanie uznają cały ten festyn za dziecinadę, lecz nawet poważny Kotik ubawił się setnie, obserwując zawody w rżnięciu piłą i zmagania ciągników.

Dopiero gdy zaprowadziła ich na minirodeo odbywające się na przeciwległym krańcu błoni, zorientowała się, że towarzyszy jej nie czterech mężczyzn, lecz dwóch.

- Gdzie reszta?! – zapytała w panice.
- Nie martw się – powiedział idący za nią Siergiej. – Zwiedzają.
- Musimy ich znaleźć.
- Po co? Sami nas znajdą – odparł Fiodor.

Siergiej zdjął kapelusz i otarł pot z niskiego czoła. Jego twarz mogłaby sprawiać wrażenie tępej, gdyby nie malująca się w ciemnych oczach czujność. Florence uzmysłowiła sobie nagle, że te rysy mogłyby należeć do przestępcy lub poety; nie potrafiła bez zakłopotania przyglądać się mu otwarcie dłużej niż kilka sekund. Obok niego, na odwróconej skrzynce, usiadł jasnowłosy Fiodor i wyciągnął kłęb tytoniu. Skręcając w zamyśleniu papierosa, obserwował nastoletnich zaganiaczy bydła prezentujących się na padoku.

– Kowboje... Jak na filmie! – zauważył. – To są prawdziwe Stany.

– No, nie do końca – rzekła Florence, nie mogąc się powstrzymać. – To tylko tanie efekciarstwo.

– Tanie...?

– No, taki cyrk.

– Amerykański cyrk wcale mi się nie podobał – powiedział Siergiej. – Zabrali nas do Barnum & Bailey. Nie ma w nim – potarł palce, jakby z tarcia mogło zrodzić się słowo – arcyzmu.

– Bez wątpienia nie jest tak wyrafinowany jak wasz – zgodziła się Florence. – Macie dłuższą tradycję.

– Nie mówię o akrobatkach. Dlaczego wy, Amerykanie, chcecie oglądać poronione płody?

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

– Słucham?

– Kaleka dziewczyna z główką wielkości jabłka tańcząca, jakby była na przyjęciu urodzinowym.

– Masz na myśli tych z łepkami jak od szpilki, którzy są dodatkową atrakcją.

– Ludzi to bawi? Murzyn w klatce drapiący się jak małpa? On nie przyjechał z Afryki.

– Dobry Boże, te pokazy są po prostu koszarne. Właśnie to wam pokazali? No cóż, tacy to są właśnie ludzie z Ohio.

– Ty nie jesteś z Ohio.

– Nie. Ja pochodzę z Nowego Jorku.

– Nowy Jork... No, no, no! – powiedział Siergiej, okazując stosowne uznanie. – Obwieźli nas po Nowym Jorku, kiedy zeszlśmy ze statku. Pierwsze trzy dni. Ojej! Pociągi zawsze gwizdzą ci dokładnie nad głową. Wyglądają, jakby przetaczały się po budynkach.

– Co jeszcze zobaczyliście w Nowym Jorku?

Siergiej skonsultował się z Fiodorem.

– Akwarium? Rockefeller Center.

– Radio City Music Hall – wtrącił Fiodor.

Gdyby im nie przerwała, mogliby jej wyrecytować całą listę atrakcji.

– Zwyczajna tandeta dla turystów.

Zapadła cisza zmuszająca ją do zastanowienia, czy nie wyszła na osobę cyniczną.

– Nie lubisz Nowego Jorku? – spytał wreszcie Siergiej.

– Tego nie powiedziałam. To wspaniałe miasto, ale pokazali wam atrakcje dla przedszkolaków. Mogli was zabrać do Greenwich Village. Pokazać wam doki.

– No wiesz, Cleveland to nie Nowy Jork.

Zblazowana nonszalancja, z jaką Siergiej wypowiedział ten napszony bon mot, kazała się jej roześmiać. Uniósł wydatne brwi w wyrazie komicznego zaskoczenia.

– No cóż... To prawda – odparła. – Po prostu... powiedziałaś to jak ktoś pochodzący z Nowego Jorku.

Musiał uznać jej śmiech za zachętę, bo jego następne pytanie brzmiało:

– Masz w Nowym Jorku jakiegoś młodego człowieka?

– Nie mam żadnego „młodego człowieka”.

– A starego?

– Słucham?

– Dlaczego uciekłaś do Cleveland?

Spojrzała na niego w osłupieniu.

– Nie uciekłam. Podjęłam pracę. Tak samo jak ty.

Nie wydawał się przekonany.

– Zarobić na chleb – powiedziała, a chcąc się upewnić, czy zrozumiał, przeszła na rosyjski. – Zarabotać na kуска chleba.

Siergieja to rozbawiło.

– Na kusk chleba – poprawił i poklepał ją po głowie.

Fiodor zerknął na nią podejrzliwie.

– Skąd znasz rosyjski?

– Matka mojego ojca pochodziła z Litwy. Żyła rosyjskimi powieściami. Kiedy leżałam chora w łóżku, czytała mi fragmenty Eugeniusza Oniegina.

Fiodor przyglądał się jej natarczywie. Szukała w myślach czegoś, czym mogłaby go przekonać, że ich nie szpieguje.

– Chodziłam też na zajęcia na uczelni. Lepiej rozumiem, niż mówię. Chętnie nauczyłabym się więcej.

Fiodor rzucił niedopałek na wyschniętą ziemię i podniósł się ze skrzynki. Wydawał się na tyle przekonany, by powiedzieć po rosyjsku:

– No to musimy na ciebie uważać.

I mrugnął do Siergieja.

Ten odwrócił się do Florence.

– Doskonale. Ty będziesz mówiła do nas w twoim języku, a my do ciebie w naszym. A jeśli to nie zadziała, przejdziemy na francuski.

Po fajerwerkach ruszyli samochodem przez ciemność zalegającą prerie, aż wreszcie zobaczyli Cleveland jaśniejące na horyzoncie autostrady międzystanowej jak tytoń żarzący się na końcu długiego papierosa. Fiodorowi i Siergiejowi tak bardzo spodobał się ten wspólny wypad, że wystosowali wobec Florence zaproszenie na przyszłą niedzielę na wędzenie ryb, które zamierzali złowić z brzegu jeziora. Wsiadłszy do jadącego pod górę tramwaju, Florence dostrzegła w opuszczonych piecach i walcowniach ciągnących się wzdłuż rzeki wspomnienie dynamicznego niegdyś miasta. Bungalow Rosjan był ostatnim w kwartale opuszczonych domów, zamieszkanym swego czasu przez rodziny pracowników zakładów przemysłowych. Zastała Siergieja na tylnej werandzie: siedział na ławce i na najświeższym numerze „The Plain Dealer” skrobał pstrąga. Kilka stopni

nizej, na maleńkim podwóreczku, Fiodor rozpalał ogień pod wędzarnią zmajstrowaną z pojemnika na śmieci i rusztu z piekarnika.

– Twoje zdrowie – powiedział Siergiej, nalewając jej z dzbanka na mleko jakiegoś mętnego płynu.

Nie była przygotowana na zar, który spłynął jej do gardła.

– Skąd to wzięłeś? Smakuje jak spleśniały chleb!

– To od naszych nowych ukraińskich przyjaciół z West Side – powiedział Siergiej.

– A gdzie ich poznaliście, tych przyjaciół?

– W kościele – odparł Fiodor ze swojego miejsca przy śmieciowym grillu.

– Wasi przyjaciele was nabrali. Macie jakąś colę, żeby to rozcieńczyć?

– Gospodyni nie trzyma tu coli.

– Ani soli.

– Widziałam sklep spożywczy kilka przecznic dalej. Pójdę i przyniosę.

Siergiej oczyścił nóż i wrzucił resztę ryb do wiaderka z wodą.

– Pójdę z tobą.

Szli żwawo przez mały park na Lakeside. Słońce nadal paliło, choć była już piąta po południu. Przez płócienną sukienkę Florence czuła ostrą woń własnego potu.

– Jak komukolwiek udaje się funkcjonować w tym upale? Czuję się zupełnie rozbita – powiedziała, starając się iść krok za Siergiejem, żeby nie czuł jej zapachu.

– Jeśli chcesz... Masz ochotę przejść się nad jezioro ze mną i Fiodorem?

– Ostatnie, czego mi trzeba, to te tłumy – odparła zadyszana.

– Ten twój młody człowiek w Nowym Jorku... Jest żonaty? – zapytał Siergiej bez wstępów.

Florence zatrzymała się w cieniu arkad sądu górującego nad innymi budynkami.

– Za kogo mnie uważasz?

– Jesteś dziewczyną z Nowego Jorku. Nowy Jork to muzyka jazzowa. – Podskoczył lekko. – Za niekonwencjonalną młodą kobietę w typie Louise Brooks?

– Louise Brooks? Tego właśnie naopowiadali wam o amerykańskich kobietach? Że wszystkie jesteśmy pozbawionymi godności tchórzami nękanymi erotyczną obsesją?

Skinął głową.

– Tak.

– No to cóż, wybrałeś niewłaściwy numer – powiedziała, ruszając.

Wolałyby, żeby ta rozmowa nie bawiła jej tak, jak faktycznie było. Myśli o Siergieju plątały się przez cały tydzień gdzieś na obrzeżach jej świadomości, jakby czekając na jakąś formę uznania przez resztę umysłu. Szli teraz krok w krok, jego wolna dłoń znajdowała się ledwie kilka centymetrów od jej ręki, a jego zuchwałość niweczyła całą jej umysłową dyscyplinę.

– Ale to nieprawda... – powiedział smętnie. – Teraz to widzę. Amerykańskie kobiety są, jak to się u nas mówi, jak ziemniaki bez soli. Dziewczyny ubierają się jak staruszki. Nie są pociągające jak Rosjanki. Tutejsze kobiety są... ciotkami.

– Ciotkami?

– Cnotkami! – wyartykułował z naciskiem.

– Najpierw uchodzimy za wampy, teraz okazujemy się zakonnkami.

– Tak.

– No to jak wreszcie?

– I tak, i tak. Albo macie jakieś nierealistyczne wyobrażenia o seksie, albo kwitujecie go słowami: „To bez znaczenia!”. W Rosji to wszystko jest prostsze. Mówimy: seks jest równie nieistotny jak szklanka wody, gdy chce ci się pić.

Gdyby był kimś innym, spoliczkowałaby go. Zamiast tego powiedziała:

– Doprawdy? Jak to miło ze strony bolszewickich mężczyzn.

– Ale to powiedziała kobieta. Aleksandra Kołontaj. Spała z wieloma mężczyznami – wyjaśnił, szarmancko otwierając przed nią drzwi do sklepu spożywczego.

Florence zerknęła ponad jego ramieniem na dwóch stojących na zewnątrz mężczyzn, spluwających tytoniem z kącików ust.

– Ćśśś. Tutaj nie można tak mówić.

– Dlaczego? Kołontaj powiedziała to do Lenina.

– Może wasi przywódcy omawiają takie sprawy – wyszeptała – ale my nie. Sól poproszę – powiedziała i uśmiechnęła się skromnie do ekspedienta za ladą.

Mężczyzna w żółwym tempie sięgnął po drabinkę i ospale zaczął pięć się ku półce z produktami sypkimi.

– Bo w twoim kraju wszystko jest komercyjne – wyszeptał teatralnie Siergiej. – Komercja i mentalność burżuazyjna czynią seks „dekadenckim”. A tymczasem seks jest tylko częścią zdrowego ducha młodości.

Uśmiechnął się niewinnie, zachwycony, że udało mu się ją zbulwersować.

Sprzedawca w wysoko podciągniętych spodniach lekko pokręcił głową, jakby bardziej zmartwiony niż oburzony tą nieogłędnością.

– Życzy pani sobie jodowaną? – zapytał.

– Tak, bardzo proszę. I dwie cole – odpowiedziała Florence żywo.

Gdy już znaleźli się na zewnątrz, odwróciła się do wciąż uśmiechniętego Siergieja.

– Nie jestem tak burżuazyjna, jak mógłbyś sądzić.

– Wiedziałem. Masz mężczyznę w Nowym Jorku.

– A jeśli tak?

– Jednak nie wyszłaś za niego.

– Gardzę całą tą instytucją małżeństwa – powiedziała z nieprzekonującą stanowczością.

– No, no... Całą instytucją? – Siergiej udał umiejętnie, że zrobiło to na nim wrażenie.

– Chodzi mi o to, że większość dziewcząt wychodzi za mąż nie z miłości, tylko ze względów praktycznych. To taka hipokryzja. A poza tym w chwili, gdy kraj się rozpada, wychodzenie za mąż wydaje się czystym szaleństwem.

– Zatem mężczyźni cię nie interesują?

– Co? Tak. To znaczy nie. – Od tempa marszu i całej tej rozmowy zaczynało jej się kręcić w głowie. – Czuję po prostu, że moją energię lepiej byłoby spożytkować w jakimś... nie tak wąsko określonym celu.

– A co jest tym „wąsko określonym celem”? Twoja przyjemność?

– Przyjemność? Wielkie nieba, Siergiej, nie sądziłam, że jesteś hedonistą.

– Dlaczego miałbym być hedonistą? Hedoniści żyją wyłącznie dla przyjemności. W Rosji żyjemy również dla innych rzeczy. Dlatego seks nie jest tak istotny.

– No tak. Zapomniałam. Jak szklanka wody.

Jego smutne spojrzenie zdawało się mówić: „Kpisz ze mnie, nadobna pani”.

– Jestem taki jak ty – powiedział. – Żyję, by pracować. Budować. Lecz oto w co wierzę: gdy nie zaspokajasz popędu, to jakbyś sypał piasek w tryby własnego umysłu.

Mrowienie rozpląnęło się falą po jej ciele. Słoneczny żar nie usprawiedliwił nagłego zaróżowienia policzków.

– Przemówiłeś jak inżynier – rzuciła, przyspieszając, by jego spostrzeżenia nie zdążyły nabrać zbyt wielkiej wagi.

– Przemówiłem jak człowiek – powiedział Siergiej.

Piła colę na ogrodowej huśtawce, a Siergiej kończył czyścić ryby. Stojący pod sosną Fiodor szturchał gałęzią węgle w wędzarni.

– Wiecie, co uwielbiam w Europejczykach? – zapytała Florence, obciągając palce stóp. – Mężczyźni potrafią coś ugotować dla kobiety. I zrobić to równie dobrze jak ona.

– Słyszysz? – powiedział Fiodor. – Jesteśmy Europejczykami!

– Tamten to potrafi i gotować, i szyć, i wywałaszyć konia – powiedział Siergiej po rosyjsku. – Kozak!

– Nie to, co on – zachnął się Fiodor, jakby odpierał afront.

– Prawdziwy bohater wojenny – ciągnął Siergiej.

– Zastanawiam się, czy będziemy tu mieli coś podobnego – powiedziała Florence.

– Mam na myśli wojnę domową, tak jak u was.

– Ameryka miała już swoją wojnę domową, która położyła kres niewolnictwu pozwalającemu traktować człowieka jak własność – powiedział Fiodor. – Te same dialektyczne prawa przyczynią się do obalenia porządku kapitalistycznego opartego na niewolnictwie płacowym.

Florence zerknęła na Siergieja, który nic nie odpowiedziawszy, wszedł do domu umyć ręce.

– Tylko że nasi komuniści są inni niż wasi. W Nowym Jorku ciągle wychodzą na ulice protestować, ale ich żądania są absurdalne. Radykalne obniżki czynszów! Darmowa żywność i prąd dla biednych! Domagają się, żeby właściciele kamienic udostępnili niewynajęte lokale bezrobotnym. Żądają nawet, żeby to Komunistyczna Partia Stanów Zjednoczonych, a nie Departament Pracy, wypłacała zasiłki bezrobotnym. Równie dobrze mogliby sobie zażyczyć ciastek i szampana.

– Nie wiem nic na temat „waszych” komunistów. Wiem tylko, jakie są prawa materializmu historycznego – odparł Fiodor.

– No cóż, jeśli to ta żalosna zgraja ma nam przynieść rewolucję, to i za sto lat się nie doczekamy – powiedziała Florence. Cola i samogon rozpląnęły się jej w żyłach pierwotnym ciepłem. Zapał bojowy, który ją ogarnął, nie pozwalał milczeć. – Najbardziej mnie wścieka to, jak w tym kraju udajemy, że niby wszystko jest wspaniale. „Dobre czasy już za chwilę!” – zacytowała nagłówek z wysmarowanego rybą numeru „The Plain Dealer”, leżącego wcześniej u stóp Siergieja. – A teraz wszyscy wiwatują na cześć Roosevelta. Chwała mu! To on podpisał Akt Korekty Rolnej! To on znów zapewnia

Amerykanom pracę! Ale powiedzcie mi: którym Amerykanom? Nie kobietom. Nikt słowem się nie zająknął o tym, że kobiety tracą pracę z powodu przeciwdziałających nepotyzmowi praw, które właśnie podpisał. Jeśli twój mąż pracuje dla rządu, a ty akurat też, to cóż, pożegnaj się ze swą pracą. Jeden z małżonków musi odejść, ale myślicie, że ktokolwiek zwalnia mężczyzn? Nie, proszę państwa. To kobiety dostają kopniaka. Bo w tym kraju pracująca kobieta jest nie amerykańska, tylko zwyczajnie chciwa na pieniądze.

Miała świadomość, że Siergiej słucha zza siatkowych drzwi. Podniosła głos.

– Właśnie tak się to tutaj odbywa. Wybitna pani Gompers, wdowa po przywódcy największego związku zawodowego, jaki kiedykolwiek domagał się praw pracowniczych, ta pinda w jedwabnych pończoszkach, ma czelność mówić kobietom: dom, choćby nie wiem jak mały, jest wystarczająco duży, by wypełnić kobiecie czas i myśli. I to mówi jedna z tak zwanych postępowych kobiet, bohaterska pierwsza dama Amerykańskiej Federacji Pracy! – Czują, że musi mówić. Jak cudownie było uwolnić swoje przekonania, niczego nie zatajając. Wychyliwszy resztkę alkoholu z colą, powiedziała: – A moja gospodyni mówi do mnie: „Skarbie, nie mogę pojąć, gdzie jest sens w tym, żeby dawać pracę dziewczynie, skoro tylu naszych chłopców nie może wyżywić swoich rodzin”. I patrzy na mnie tak, jakby to z mojego powodu wszyscy ci prześwieceni chłopcy z Cleveland nie potrafili zarobić na życie.

– Właśnie z twojego powodu – powiedział Siergiej, wracając na werandę.

– A to jakim cudem?

– Bo kobiety będą pracować za mniej. Wasi szefowie tną wynagrodzenia, ale ich nie zwalniają. W takiej sytuacji mężczyźni, o ile chcą zostać, też muszą się pogodzić z niższą płacą. Marks już to wszystko opisał. Kiedy płace ustala wasz „wolny rynek”, kobiety i mężczyźni stają się naturalnymi wrogami.

Siergiej przedstawił te zrozumiałe same przez się zasady tak beznamiętnie, jakby recytował prawo budowlane.

– Jeśli tak bardzo chcesz pracować, przyjeźdź do Rosji – zasugerował Fiodor. – Natychmiast zapewnimy ci robotę. Nasze babki normalnie zasuwiają jak konie: powinnyś zobaczyć, jak przerzucają żwir albo malują budynki. Wyłączyliśmy je z reprodukcji i zapędziliśmy do produkcji.

– On chciał powiedzieć – wtrącił Siergiej – że kobieta z twoją energią byłaby ceniona, a nie zawstydzana.

– Nie musisz mnie tłumaczyć, Casanova – odparł Fiodor. – Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć. Dobra, dzieciaki, rybka gotowa. – Położył ostatniego pstrąga na drewnianej desce, usiadł na schodkach werandy i wychylił drugą szklankę samogonu. – A właściwie dlaczego taka dziewczyna jak ty tak bardzo rwie się do pracy? Znam dziewczyny w twoim wieku, które zdążyły już dwa razy wyjść za mąż i się rozwieść.

– Daj jej spokój – powiedział Siergiej.

– Dlaczego? Nie powinna mieć problemów ze znalezieniem sobie jakiegoś chłopca.

– Nie każda kobieta potrafi sobie znaleźć Fiodora – powiedziała Florence, uśmiechając się do Siergieja.

– Moja żona nie narzeka – odparował Fiodor. – Mieszka w naszym inżynierskim

kompleksie w Magnitogorsku i nie musi nawet kiwnąć palcem. Cały ranek się fiokuje, a po południu rozstawia służącą po kątach.

Florence wzięła sobie kawałek ryby.

– Szczęściara.

– Nie bądź taka mądra. Ma piekielne szczęście. Dzięki mnie żyje jak hrabina w angielskiej posiadłości.

– Angielska posiadłość na pustym rosyjskim stepie – zauważył Siergiej.

– Tylko posłuchajcie tego snoba! Członka byłej klasy wyzyskiwaczy!

– Jesteś kompletnie pijany, Fiodor.

– Pewnie, że jestem. Pewnie, że jestem. – Odwrócił się do Florence. – Zapytaj tego wyzyskiwacza, skąd tak dobrze zna angielski.

– Ten to nigdy nie przestanie pyłować, co? Cały swój życiorys nam tu zaraz wyłoży.

– Wiem, co mówię – powiedział Fiodor i odwrócił się nadąsany. – Nie życzę sobie prowadzić tej dyskusji w obecności naszej towarzyszki. – Napelnił sobie szklankę. – Wypijmy za kobiety. Kiedy nas kochają, wybaczą nam nawet zbrodnie! A kiedy nie, nie uznają nawet naszych cnót!

Florence uniosła prawie pustą szklankę.

– Wypiję za to.

Fiodor cmoknął i popatrzył znów na Siergieja.

– Wiesz, kto to powiedział, inteligenciku?

– Pojęcia nie mam.

– Honoré de Balzac! – Fiodor ściągnął wargi, parodiując francuską wymowę.

– Starczy tej błazenady, Fiodor. Może byś nam coś zagrał?

Fiodor wlał w siebie to, co zostało na dnie szklanki, i wszedł do środka. W bursztynowym świetle rozjaśniającym werandę Florence patrzyła przez siatkowe drzwi, jak zdejmuje ze ściany gitarę. Wziął ją pod pachę, wyniósł na zewnątrz i usiadł, żeby ją nastroić, po czym zaczął brzdąkać cichą, tęskną melodię. Z jego melancholijnego chropawego śpiewania udało się jej wyłuskać kilka zabłąkanych słów miłosnej ballady.

Siergiej usiadł na deskach u jej stóp.

– Rozumiesz, co śpiewa?

Pokręciła głową.

Cicho, by nie zagłuszać melodii, powiedział:

– Kochana, nie zwódź mnie, proszę, by serce mi nie pękło. Gęsi, łabędzie na niebie, nie twoja wina, że płaczemy.

Fiodor, zamknąwszy oczy, potrącał struny, a cykanie pasikoników z każdą kolejną frazą wydawało się przybierać na sile, jakby obawiały się, że zostaną zagłuszone. Wokół oświetlających werandę lamp krążyły ćmy, rzucając przedziwne cienie. Florence zapatrzyła się na czubek głowy Siergieja. W mdłym świetle jego włosy wyglądały jak związane siano. Palce zaświerzbiały ją nieodpartym niemal pragnieniem przeczesania ich.

– Założyłem mój stary kubrak – przetłumaczył Siergiej cicho. – Kochanie, dokąd poszłaś?

Kciukiem i palcem wskazującym otoczył nagą kostkę Florence i uśmiechnąwszy

się, zacisnął palce i rozluźnił uścisk, jakby jej szczupłość wydała mu się jakąś ciekawostką konstrukcyjną. Pozwoliła mu na to – i tak oboje słuchali piosenki Fiodora o nieodwzajemnionej miłości.

6 Stal



Większość clevelandczyków nigdy nie miała trudności ze zdobyciem butelki bimbru. Od pierwszych dni prohibicji skrzynki wysokiej jakości trunków spławiano z Kanady przez jezioro Erie na jachtach motorowych i dostarczano do punktów zrzutu wzdłuż brzegów rzeki Detroit. Stamtąd przewożono je ciężarówkami do piwnicznych barów i nielegalnych saloonów działających w całym mieście. To właśnie w jednym z tych tonących w półmroku przybytków Fiodor, któremu przed chwilą jakiś rosty clevelandczyk polskiego pochodzenia kazał zdjąć łokcie z baru, odwrócił się do Siergieja i powiedział wyraźnie w swoim rodzimym języku:

– Od tego tłustego, leniwego Polaka jedzie jak z klozetu.

W tej samej chwili tłusty, leniwy Polak zasunął Fiodorowi w kark, odpłacając mu za wszystkie prześladowania wycierpiane przez jego rodaków pod rosyjskim zaborem od czasu nieudanego powstania listopadowego 1830 roku. Fiodor zatoczył się do przodu, zdołał uniknąć kolejnego ciosu i wyprowadzić własny: pierwszy i ostatni, bo potem Polak uderzył go hakiem w szczękę, tym razem dla uczczenia nieudanego powstania styczniowego 1863 roku. Ostatnią karą (w odwecie za wojnę polsko-bolszewicką 1919 roku) był cios wyprowadzony tak nisko, że trafił Fiodora w pachwinę i dosłownie uniósł go w powietrze. Chwilę później nadeszła odsiecz w postaci wykidajły – małpiszona w garniaku, który przyszpilił Fiodorowi łokcie do boków i wyrzucił go na ulicę z ostrzeżeniem, że następnym razem jego czerwony tyłek zawiśnie na rzeźnickim haku.

Było już po północy, kiedy Florence usłyszała dwóch mężczyzn skrobiących w siatkowe drzwi jej kwatery. Włączywszy światło na ganku, zobaczyła zakrwawionego Fiodora uwieszonego na niezbyt uszczęśliwionym Siergieju. Dotknęła swej twarzy, sztywnej od białka, którym posmarowała ją na noc, i ciałniej owinęła się szlafrokiem.

– Wielki Boże... Co się stało?

– Wpuść nas. – Ciężkie buty Fiodora zahaczyły o próg, kiedy Siergiej wciągał go do środka.

Fiodorowi krew zaschła pod nosem, a wokół napuchniętych oczu zaczynały się już formować fioletowe kręgi.

– Nie możecie tu zostać – zaprotestowała. – Obudzą się gospodarze...

– Do domu mamy jeszcze dwa kilometry. Sam go tam nie zaniosę.

Halsując od prawej do lewej, cała trójka ruszyła zygzakami nieoświetloną ulicą. Światło przezierającego zza chmur księżycy odbijało się od fasad budynków użyteczności publicznej. Z zaułków płynęła woń ekskrementów.

– Oto nadjeżdża kawaleria! – wrzeszczał Fiodor, obejmując ich ramionami za

szyje. – A więc przywiodłeś tu swoją lewentyńską piękność, żeby przekonała się naocznie, jakie z nas łajdaki i opoje?

– Przekonuje się wystarczająco dobitnie na twoim przykładzie. Złap go pod ramię – pouczył Florence Siergiej.

– Ta klaczka je ci z ręki.

– Rozumie, co mówisz, baranie.

Z cienia złowróźnie wyglądającego składu wyłonił się plac rozładunkowy.

– Tym lepiej. – Fiodor odwrócił głowę do Florence i posłał jej pijacki uśmiech. – Wy, wszystkie inteligentne dziewczyny, zarzekacie się, że oddacie serce tylko prawdziwemu proletariuszowi, prawdziwemu robotnikowi, a potem na wyprzódki robicie słodkie oczy do takich farbowanych lisów jak on. Karierowicz.

Włokąc Fiodora, czuła jego wbijające się w jej ramię paznokcie.

– Sama się przekonasz, dziewczynko – wybełkotał, zionąc toksycznymi oparami. – My, Rosjanie, upijamy się, śpiewamy pieśni i płaczemy jak dzieci. A wy, Żydzi, zajmujecie się knuciem, jakby tu zarobić rubelka.

– Jest mnóstwo ubogich Żydów – wymamrotała Florence.

– Ale i ci ciągle próbują się wzbogacić. Albo zdobyć władzę. Popatrz na Litwinowa, Kamieniewa, Zinowjewa, wszystkie te szychy.

– Jedno oko już ci dziś podbili, Fiodor – ostrzegł Siergiej. – Chcesz mieć podbite drugie?

– A co ja, szargam jej cześć? Kto powiedział, że nie lubię Żydów? Znałem żydowską dziewczynę w Leningradzie, jeszcze przed rewolucją. Z powodu limitów nie pozwolono jej zamieszkać w mieście, więc wyrobiła sobie złoty bilet. – Odwrócił się do Florence. – Posługiwały się nim prostytutki, żeby móc przejść przez most i załatwić swoje sprawy. Wystaw sobie! Udawać, że jest się prostytutką, żeby móc studiować na uniwersytecie! Wy, Żydzi... Wyrzucić was drzwiami, to wejdziecie oknem. Więc czemu jej nie poprosisz, żeby nam pomogła, Sierioża?

– Jak chcesz poprosić, to poproś.

– A czemu ja? To nie ja jej wpadłem w oko. Wrócimy do domu z niczym i cały plan weźmie w łeb. I czyje wtedy głowy polecą?

– To nie jej problem.

– Co szkodzi zapytać... Ona coś wymyśli.

Ściągnąwszy z Fiodora wielkie buty, obrawszy go ze spodni i zwaliwszy w sypialni na zapadnięty materac, Siergiej wrócił do dużego pokoju, w którym Florence siedziała przy stole z dłońmi wetkniętymi między kolana.

– Nic mu nie jest?

– Jutro nic nie będzie pamiętał.

Położyła dłonie na krawędzi stołu i podniosła się raptownie.

– Odprowadzę cię do domu – zaproponował Siergiej.

– Poradzę sobie.

– Nie możesz iść sama.

– Jak mogłeś go zabrać w takie miejsce?

Siergiej bez słowa obejrzał się za siebie.

– Masz szczęście, że nie leży na dnie rzeki. Masz szczęście, że nie zgarnęła go policja! Pomyślałeś, jaki to byłby koszmar? Może nie dla ciebie, ale dla mnie? – A ponieważ nie wyglądało na to, by chciał jej cokolwiek odpowiedzieć, rozpalila się tym bardziej. – Nie jesteś we własnym kraju, rozumiesz to? Musisz być gotów na pewne ofiary.

– No dobrze, pójde kupić owcę i jutro ją zarżnę.

– Co?

– Powiedziałaś: ofiary.

– Dla ciebie to są żarty?

Walnął pięścią w stół.

– To co mam ci powiedzieć?

Wstał i podszedł do kuchennych szafek. Pogrzebał w kilku szufladach, aż wreszcie znalazł to, czego szukał: złożone żółte kartki listu. Rzucił je na stół i opadł z powrotem na krzesło.

– Żona Fiodora... Zostawiła go. Dostał ten list dzisiaj. Pisze, że nie chce już mieszkać w Magnitogorsku. Jest niecywilizowany. Brudny. Niekulturalny. Wróciła do Leningradu, by zamieszkać z przyjacielem.

Florence uniosła kartki, próbując przeczytać drobne, delikatne pismo. Zerknęła na Siergieja.

– Boisz się dostać taki list?

Znów siedział w rozkroku, jak na siodełku motocykla.

– Nie jestem żonaty. Wiesz o tym.

– Niewiele o tobie wiem.

– Byłem żonaty. Już nie jestem. Wszystko trwało ledwie rok. Próbowaliśmy. I daliśmy spokój.

Wyjaśnienie wydawało się nie budzić w nim żadnych emocji.

– Tak po prostu.

– Rozwód, małżeństwo... Tam, skąd pochodzę, to nieskomplikowane sprawy.

Uniosła list.

– Wiele spraw wydaje się tam prostszych.

– Nie – powiedział znużonym głosem. – Tylko to.

Ta wymiana zdań była jedynie wątlym echem ich wcześniejszej rozmowy. Zza drzwi sypialni dobiegł jęk i suchy kaszel.

– Muszę już iść.

Lecz jego dłoń sięgnęła do jej nadgarstka.

Przymus pracy, bycia użyteczną, wyrwania się z uścisku jałowości – może wszystko to było zapowiedzią głębszego pragnienia bycia wykorzystaną. Wyliminowaną. Może rozkosz bycia przypartą do ściany z głową wykręconą szarpnięciem za kręcone włosy, kiedy da się tylko płytko dyszeć, może źródłem tej i innych przyjemności były te same zatarte impulsy, które kazały sercu szukać sprawy wartej oddania się jej na pożarcie. Rozmaite uroki bycia uniesioną i rzuconą na łóżko, kiedy plecy trą o szorstkie włókna, a męczyzna unieruchamia ci nadgarstki nad głową, wbija wzwiedziony członek w twoje udo i zmywa przykurzony osad twoich myśli

szorstkimi pociągnięciami języka na twoim sutku – może to wszystko wyrastało z prastarej tęsknoty za tym, by zostać całkowicie wykończoną.

Unosząca się nad Florence twarz Siergieja była śmiertelnie poważna. To nie był czas na żarty. Nie został na niej ślad dziwnego wsiowego podniecenia obcokrajowca. Rościł sobie do jej ciała prawo, jakiego mógłby oczekiwać wieloletni kochanek. Gdy doszedł, plecy wyprężył mu jeden gwałtowny dreszcz, ale dokładnie w tym momencie z niej wyszedł, bo nawet w paroksyzmie namiętności zachował dość przezorności czy może doświadczenia, by wycofać się i przetoczyć na podłogę. Leżał tam kilka minut, wspaniały, jak go Pan Bóg stworzył, a Florence rozciągnęła się na poduszkach i pozwoliła głowie opaść w tył. W uszach słyszała zaskakująco głośny poranny świergot ptaków. Bolesność między nogami przyniosła nieoczekiwane spełnienie, choć może niekoniecznie przyjemność. Włożyła dłoń między uda i potwierdziła utratę dziewictwa czerwoną smugą na koniuszkach palców. Siergiej leżał na podłodze, wciąż nie otwierając oczu. Wydawało się, jakby nic nie zauważył. W głowie huczało jej z niewyspania, we włosach miała drobinki białka, oddech najprawdopodobniej cuchnący, do tego trzęsa się jak w febrze. A jednak nigdy nie czuła się tak odurzona własnymi potrzebami, tak rozbudzona, pobudzona i przerażona świadomością własnej wolności. Mimo uwielbienia dla Emmy Goldman, z chłopcami w swoim wieku nigdy nie posunęła się dalej niż do namiętnych pocałunków. Dopiero pięćset mil od domu mogła dopuścić, by do tego doszło. Próbowwała wzbudzić w sobie poczucie doniosłości tej chwili rozstania z przedłużonym dziewczęctwem, ale w głowie brzmiała jej tylko ptasia piosenka.

Przez odwrócone do góry nogami okno Florence dostrzegła rozświetlający niebo świt. Podniosła się i znalazła majtki, wielkie bawełniane majtasy, których widok napełnił ją nagłym skrępowaniem. Przyglądała się, jak porusza się pierś Siergieja, jak unoszą się i opadają miękkie, ciemne włosy na jego brzuchu i grubsze włosy wokół imponującego, choć obecnie nieszkodliwego członka, który Siergiej, wciąż nie otwierając oczu, prezentował w sposób pozbawiony wszelkich zahamowań. Ogarnęło ją przemożne pragnienie objęcia go palcami, zbadania jego realności dotykiem.

Jej dłoń nie zdążyła przybliżyć się do jego brzucha nawet o centymetr, gdy Siergiej uchylił jedno oko. Zerknął na nią jak uśmiechnięty cyklop, po czym usiadł raptownie i złożył pocałunek między jej obojczykami.

– Pachniesz... Co to jest?

Zawahała się.

– Nie wiem. Jajko? Powinnam już iść.

– Dlaczego? – zapytał, przesuwając drapiącym policzkiem po jej mostku.

– Nie chcę, żeby mnie tu spotkał.

– Nie martw się. Będzie spał do południa.

Szybko narzuciła przez głowę sukienkę.

– O czym mówił Fiodor zeszłej nocy?

Siergiej znalazł spodnie i włożył je, nie zwracając sobie głowy szukaniem bielizny.

– Nie wierzy w połowę tego, co mówi, a drugiej połowy nie pamięta.

– Chodzi mi o to, że wróćcie do domu z niczym.

Siergiej wciągnął w zamyśleniu powietrze i zapiął rozporek.

– Ludzie z McKee nadal odmawiają zmodyfikowania projektu walcowni, a my nie możemy się zgodzić na zakup całej wymaganej przez nich stali. Twierdzą, że nie ma czasu na wprowadzenie zmian, których oczekujemy.

– To naprawdę tyle zajmie?

– Może im. My z Fiodorem możemy to zrobić w trzy tygodnie... o ile będziemy dysponować wyjściowymi planami, na których będzie można wprowadzić zmiany.

– No to przecież powinni wam na to pozwolić. Ciągłe tylko narzekają, że nic nie robicie.

Siergiej uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Floro, moja słodka. Projekty nie wystarczą. Potrzebujemy specyfikacji.

– Jakich specyfikacji?

– Właściwości materiałowe, takie jak wytrzymałość, gęstość, sprężystość. – Westchnął. – Żeby móc to przeliczyć.

– McKee mają na szóstym piętrze całą bibliotekę specyfikacji technicznych.

Siergiej znów westchnął, jakby porozumienie było zgoła niemożliwe.

– Ale kto nas wpuści na szóste piętro?

– To nie są tajne materiały. Zwyczajnie poproście o pozwolenie.

– Moje doświadczenie życiowe mówi mi, że łatwiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie, Florence.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Dotknął jej skroni.

– W ogóle nic nie powinienem był mówić.

Trzeźwa, rozsądna część jej umysłu podpowiadała, by nie ciągnąć tematu. Florence patrzyła, jak Siergiej zapina koszulę na okazałej piersi.

– Poczekaj – odezwała się. – Powiedz mi.

Z namysłem potarł brodę.

– Nie chcą stracić zlecenia od Burlington Steel. Nie chcą przyznać, że fabrykę da się zbudować z tańszych materiałów. Jest tylko jeden sposób, by wybić tej argumentacji zęby: pokazać im, że można to zrobić! – Doszedł do górnego guzika koszuli. – Więc teraz rozumiesz... na czym polega nasza trudność.

W pojęciu Florence trudność polegała na tym, że Rosjanie rozpaczliwie potrzebowali się uprzemysłowić, tymczasem McKee z Burlingtonem przysięgli się, by zawyżyć koszty i wycisnąć ich do ostatniej kopiejki.

– To raczej niesprawiedliwe wobec was.

Siergiej wzruszył ramionami.

– Biznes to biznes, tak się chyba mówi, nie?

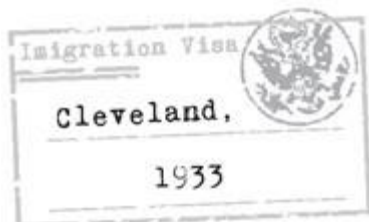
– Myślę, że mogłabym zdobyć dla ciebie te specyfikacje – powiedziała ku własnemu zaskoczeniu.

Spojrzał na nią z niemal czułym zdumieniem.

– Naprawdę gotowa byłabyś to zrobić? – Raptem jakby stracił pewność siebie. – Nie, nie mogę cię o to prosić.

Lecz w jego błagalnym spojrzeniu była już ta radosna mieszanka wdzięczności

i podziwu, której jakaś cząstka Florence wydawała się potrzebować jak powietrza.
– Będziemy musieli zachować ostrożność – powiedziała.



Dorastając jako jedynak w przedrewolucyjnym Petersburgu, Siergiej Sokołow nigdy nie uważał się za członka proletariatu. Jego ojciec, Arkadij, syn ślusarza, awansował na stanowisko brygadzysty w Zakładach Putiłowskich, gdzie przerabiał projekty turbin Rateau i kotły niszczycieli typu 1911, na które odlewnia dostawała zamówienia od Francuzów i Niemców. Matka Siergieja, Jelena, była szwaczką rozchwytywaną przez damy z towarzystwa. Sokołowowie zarabiali dość pieniędzy, by móc zapisać Siergieja do jednej z najlepszych męskich szkół w mieście: II Gimnazjum w Petersburgu w pobliżu soboru Świętego Izaaka. Uczęszczając na lekcje z dziećmi urzędników, lekarzy, kupców, duchownych i pomniejszych ziemian, Siergiej miał wspiąć się jeszcze wyżej niż jego ojciec – jako świetnie wykwalifikowany inżynier został zatrudniony w jednej z wielu fabryk, które niczym ceglany cień rosły wokół miasta marmurowych kolumnad. Zanim Siergiej rozpoczął szóstą klasę, Arkadij, dobrze już po pięćdziesiątce, miał w fabryce własny gabinet i ustalał płace i godziny pracy robotników, wyczekując chwili, w której będzie mógł przejść na emeryturę i odpocząć na rodzinnej działce pod miastem. A potem przyszła rewolucja i marzenia Arkadija o przeniesieniu się na wieś legły w gruzach. Zakłady Putiłowskie upaństwowiono, działkę Sokołowa zarekwirowano na potrzeby sanatorium pracowniczego, a Sokołowowie zmuszeni byli cierpieć w milczeniu, gdy ich pięciopokojowe mieszkanie podzielono i zapchano rozjazgotanymi, niepiśmiennymi robotnikami, którzy w mgnieniu oka zniszczyli meble i podłogi.

Dla młodego Siergieja, którego klasa wraz z nagłą emigracją kolegów raptownie się skurczyła, rewolucja otworzyła niejasne perspektywy. Widział kretynów, których wyniosła do władzy, wysłuchiwał skarg ojca na nowy związek zawodowy, którym rządzą już nie mistrzowie rzemiosła jak on, lecz nieudolni dyletanci, widział, jak cierpiała jego matka, kiedy nowi „sąsiedzi” opierali zabłocone buty na jej obitych brokatem krzesłach. Jednocześnie podniecały go przemysłowe ambicje Rosji: budowa stalowni na Syberii i rafinerii na Morzu Kaspijskim, plany budowy fabryk w Stalingradzie. Jako chłopiec zakochany w maszynach podzielał bolszewickie umiłowanie wielkości. Znużenie rodziców nie mogło przytłumić jego zadziwienia wielkimi zaporami przerzucanymi przez szerokie rzeki, cudownymi machinami, tak skomplikowanymi, że nie potrafił sobie wyobrazić, jak ludzki umysł mógł je zrodzić, a ludzka dłoń zbudować. Wiedział, że po to, by zapewnić sobie miejsce w nowym porządku, w szeregach awansujących młodych inżynierów, będzie musiał wstąpić do partyjnej młodzieżówki: Komsomołu. Ale w Piotrogrodzkim Instytucie Politechnicznym okazało się to niełatwe.

Niedługo po rozpoczęciu przez Siergieja studiów przeprowadzono wśród studentów pierwsze czystki. On też został wezwany do sali i przesłuchany przez nieprzychylną trójkę, w której znalazł się ubrany w robotniczą skórzaną kurtkę sekretarz komitetu partyjnego o obwisłych policzkach. Pytali go o matkę i ojca, dziadków, wujów, dawnych kolegów z gimnazjum. Ze względu na ojca będącego niegdyś brygadzystą w carskiej fabryce zachodziła wątpliwość, czy Sokołowowie są prawdziwymi proletariuszami, czy może wrogim elementem klasowym. Siergiej starał się odpowiadać na pytania krótko i powściągliwie, skrywając strach i nie okazując urazy. Powiedział, że jego ojca, prostego człowieka, awansowano z hali fabrycznej na najniższy szczebel kierowniczy ze względu na kwalifikacje. Mówił o tym, jak sam, zanim poszedł na politechnikę, przez rok pracował w tej fabryce, w walcowni.

W ramach czystek wydalono wszystkich studentów pochodzących z burżuazji. Jego oszczędzono, lecz niewiele brakowało. Siergiej rozumiał wtedy, że bardziej niż pozostali będzie musiał uważać, żeby nie podpaść. Dwie pierwsze próby wstąpienia do Komsomołu zakończyły się porażką. Dopiero na przedostatnim roku studiów dano mu kolejną szansę dzięki poręczeniu pewnej dziewczyny – zapalanej blondyneczki Olgi, aktywistki Komsomołu, z którą jakimś sposobem się związał. Oczarowana jego imponującym wzrostem i chłodną rezerwą, zagięła na niego parol. Dość szybko się zorientował, że chociaż onieśmielał wysokie, szczupłe piękności, w tych co czupurniejszych dziewczynach jego postura budziła chętkę zdobycia go, jakby był alpejskim szczytem.

Właśnie w tamtym roku rząd rozpoczął kolektywizację rolnictwa i Olga zapowiedziała, że jesienią pomoże mu zdobyć bilet wstępu do Komsomołu, o ile Siergiej odrobi latem prace społeczne z jej brygadą. I tak to w czerwcu zamienił zwykłe spodnie na kombinezon i pojechał ze studencką brygadą do miasta Tichwin, kształcić wieśniaków z okolicznych wsi.

W wielu kolektywizowanych siłą wioskach chłopci zarżnęli już cały inwentarz, by uniknąć przekazywania go kolektywom. Siergiej nigdy nie widział rynku, na którym byłoby tyle mięsa. Wołowe i wieprzowe tusze przyciągały stada much. W wiosce Ługiny wieśniacy byli zamożni i nie chcieli się przyłączyć do kolektywu. W kościele, z którego zwalono wieżyczkę, młodzi komuniści pokazywali im zdjęcia dorodnych kobiet na polach pszenicy, z pełnymi koszami na ramionach, i lśniących ciągników i kombajnów, które dostaną, gdy tylko zapiszą się do kolektywu.

– Najpierw dajcie nam maszyny, a potem zastanowimy się nad tym, czy zapisać się do kolektywu – powiedział siwowłosy rolnik, wywołując pełne aprobaty okrzyki pozostałych.

– Stary kułak, a jak się wymądrza – skwitowała później Olga.

– Dlaczego sądzisz, że jest kułakiem? – zaciekał się Siergiej. – Nikogo nie zatrudnia... Ma trzech synów osiłków, którzy pomagają mu uprawiać ziemię.

– Nie bądź dzieckiem, Sierioża. Nikomu, kto uprawia ziemię własnymi rękami, tak dobrze się nie powodzi. Ten człowiek jest kułakiem i znajdziemy kogoś, kto to zezna.

W następnym tygodniu na posiedzeniu regionalnego komitetu partyjnego pojawił się podpity żyłasty wieśniak i powiedział, że staruszek zatrudnił go podczas zbiorów, po

czym dorzucił, że jest spekulantem, bo skupował od mieszkańców wioski świńską szczecinę, wyrabiał z niej szczotki do włosów i sprzedawał z zyskiem w mieście. Wszystko to była jedna wielka farsa. Olga dosłownie suflowała pijakowi jego kwestie. Siergiej domyślał się, że przekupiła go kilkoma butelkami wódki. Nie wystąpił przeciw niej na posiedzeniu, ale zaprotestował, gdy zostali sami.

– Mnóstwo wieśniaków dorabia sobie handlem na boku. To nieprawda, że jest spekulantem.

– Jaki ty jesteś głupi, Sierioża. Prawdą jest to, co zostało zapisane podczas naszego posiedzenia.

Dowiedział się, że wichrzyciel zatruje całą wieś, a skłonność Siergieja do bronienia go dowodzi jedynie braku „prawdziwej świadomości klasowej” i stanowi przejaw intelektualnego idealizmu, który, wedle jej słów, jest tchórzostwem burżuazji.

– Chcesz dostać bilet wstępu do Komsomołu, a boisz się budować socjalizm.

Nigdy się nie dowiedział, co się stało ze starym wieśniakiem, który zaprotestował podczas zebrania. Najpewniej zarekwirowano mu ziemię i dom, a jego razem z trzema synami zesłano na Syberię.

Tego lata dowiedział się, jak naprawdę robi się rewolucję.

Jakie to dziwne, że tyle lat później, tak daleko od domu, znów pomyślał o Oldze. We Florence było coś, co mu ją przypominało. Nie chodziło o podobieństwo fizyczne, choć obie były w jego typie: gadatliwe kobietki, które świetnie wiedziały, jak nosić sukienki. Tym, co jeszcze je łączyło, była pewna impulsywność, jakby były dziewczynkami, które chcą się jak najszybciej uporać z nielubianymi obowiązkami. Inaczej niż on, który ważył każde słowo i czyn – najpierw robiły, potem myślały. Florence pomogła mu przechytrzyć inżynierów z McKee. Co z tego miała? O ile zdołał się zorientować, nic. A teraz, gdy jej gospodarze wyjechali do krewnych, pożyczyła sobie ich chevroleta, nie troszcząc się nawet o to, by sprawdzić poziom oleju czy wziąć odpowiednią mapę.

Aby uprzedzić narastający upał, wyjechali o poranku, wsadziwszy na tył samochodu dzbanek wody, a na siedzenie między sobą butelkę dzinu, z której Florence zdążyła już wydudlić przynajmniej jedną czwartą.

– Powiem ci, za czym nie będę tęsknić, kiedy już stąd wyjadę – powiedziała, gdy wyjeżdżali z miasta. Loczki nad jej uszami furkotały na wietrze, gdy samochód pędził po wybojach. – Nie będę tęsknić za wysłuchiwaniami tych okropnych kazań radiowych, które ciągle nastawiają Shitowie. – Shitami zaczęła nazywać Shultów, Dwayne’a i Alwę, których samochód tymczasowo sobie przywłaszczyła. – Nie dość, że mają ciągle włączony odbiornik, to jeszcze jak ojciec Coughlin zaczyna te swoje tyrady o Murzynach i „żydowskim spisku”, to podkrecają na pełen regulator, pewnie po to, żeby doleciało do mnie na górę. A jak nie on, to „wielebny” Smith. Nigdy nie zapominają o tytułach, te świry, ci boży ludzie, zawsze gotowi nam przypomnieć, przez kogo tak cierpimy. Zrzućmy na kogoś winę, byle tylko nie podważać całego tego załganego kapitalistycznego układu, jakim są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. O nie, proszę państwa!

W odpowiedzi położył dłoń na jej nagim udzie, tam gdzie szyfon sukienki podjechał do góry. Zatrzymali się na wczesny lunch przy rozstawionym przy drodze

stoisku jakiegoś farmera, przed którym wypisany kredą szyld zapraszał na brzoskwinie i kurczaki. Florence była już tak ubzdryngolona, że musiał ją przekonywać, żeby wzięła brzoskwinie, a zostawiła w spokoju kurczaki. Potem uznała, że chce pozwedzać wieś, więc zjechali samochodem na piaszczystą drogę wijącą się wśród pól. Kolejny błąd.

Rozgrzane powietrze gęstniało coraz bardziej. Im dalej od Cleveland, tym bardziej brązował poryty bruzdami coraz suchszy krajobraz. Zeschłe zielska odchyłały się od asfaltu, a tam, gdzie kilka dni wcześniej przeszły gwałtowne burze, leżało przygięte do ziemi zboże. Florence zapatrzyła się w dal, gdzie kukurydziane rżysko spotykało się z płaskodennymi chmurami.

– Słyszałam, że zeszłej zimy wszystko tu pachniało spaloną kawą.

– Kawą... Dlaczego?

– Bo zamiast węglem palili kukurydzą. – Odwróciła się, by na niego spojrzeć szklistymi od alkoholu oczami. – Wyobrażasz to sobie?

Nie miał chęci nic sobie wyobrazać. Nie był w nastroju do angażowania się w kolejną dyskusję o absurdach „całego tego kapitalistycznego układu” ani wysłuchiwania kolejnej perory o amerykańskim stylu życia, razem z jego niechcianymi dobrami i niepożądanymi ludźmi.

W czasie, który mu jeszcze pozostał, chciał zanurzyć się w zmysłową glorię kraju, którego z pewnością nigdy więcej nie zobaczy. Prawdę mówiąc, był zaskoczony, że w ogóle dali mu zezwolenie na wyjazd, wzięwszy pod uwagę jego wątpliwe pochodzenie klasowe. Świadczyło to o tym, jak niewielu specjalistów mieli do wyboru: takich, co to potrafili odróżnić wkręt od żarówki i mówili poprawnie po rosyjsku, o angielskim nie wspominając. Gdzie byli? Wypędzeni. Wygnani. Zastrzeleni. Kto został? Naród – mitologizowana zgraja określana mianem „ludu”, w imię której wykonywano całą tę szeroko zakrojoną pracę. Wątpił, by okazali mu wdzięczność, gdy wywiąże się już ze swego obowiązku. Teraz chciał już tylko napawać się fakturą skórzanego siedzenia i dotykać wyglansowanego drewna kierownicy obracającej się lekko pod jego palcami. Pozwolił sobie na przelotne zaciekawienie, jak by to było – mieć samochód. Wszyscy inżynierowie pracujący w McKee jeździli najnowszymi fordami i mieszkali we własnych domach. Nie byli lepszymi fachowcami niż on. Prawdą było, że kryzys kapitalizmu obniżył w tym kraju poziom życia, ale jeśli komuś zostało chociaż kilka pensów, był nadal wolnym człowiekiem. Wiedział, że gdyby tu mieszkał, poradziłby sobie, tak jak całkiem nieźle radzili sobie ci mężczyźni. Przez krótką chwilę rozważał, czy tu nie zostać, ale nie miał takiej możliwości. Aresztowaliby jego rodziców w Leningradzie i wymierzili im jakąś potworną karę, której nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Zerknął na siedzącą na fotelu pasażera Florence. Oczy miała zamknięte jakby z bólu, a twarz zarumienioną – czy to z gorąca, czy od ginu, nie potrafił zgadnąć.

Słońce zaciążyło jej na głowie jak pokrywa wjazdu. W przyszłym tygodniu Siergiej wróci do domu, a ona do Nowego Jorku. Chciała, by okazał choćby cień smutku z powodu rozstania. Otworzyła oczy i zapatrzyła się w przednią szybę. Byli już w innym miasteczku, prawie identycznym jak poprzednie, tylko bardziej pustym: jedna ulica ze

zbrązowiałą wieżyczką kościoła, opustoszałe witryny z dyndającymi w przykurzonych oknach pomarańczowymi reklamami napojów Nehi i Coca-Cola. I ona myślała o ludziach z McKee. Nie było szans, by którykolwiek widział ją z Siergiejem, ale teraz nie miało to już znaczenia. Jej irytacja samą sobą i Siergiejem zaczęła przybierać charakterystyczny odcień mckeeizmu. „Skok”, który zaplanowali z Siergiejem, by dostać wgląd w specyfikacje, przerobić projekty i dowieść, że stalownię w Magnitogorsku można skutecznie zbudować z tańszych materiałów, udało się przeprowadzić niemal bezbłędnie. Słowami Fiodora: wybili argumentacji zęby. „Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolona” – oto co powiedział Florence Knur Anderson. Clement tylko potrząsnął głową. Wydedukowawszy, że to ona pomogła Rosjanom, amerykańscy inżynierowie patrzyli na nią tak, jakby była albo nieobliczalną zdrajczynią, albo konkursową idiotką. Niepokój Florence, płynący ze świadomości, że między sobą uważają ją za renegatkę, przytłumiło przekonanie, że jedynie wyrównała szanse obu stron. Trudniejsze do zignorowania były pogardliwe uśmiešky. Gryzła ją myśl, że mężczyźni z McKee uważają, że sypia z jednym z Rosjan. Drażniła tym bardziej, że domyślali się słusznie. Od wielu tygodni cierpiała w Cleveland na rodzaj moralnej zamartwicy. Chciała, by Siergiej odkupił jej rozpacz i poświęcenie, na które zdobyła się dla niego – ale jak? Nie było przepisu na miłość, o ile można to było nazwać miłością. A to, co mówili do siebie w ciemnościach... Cóż, to również było częścią gry.

– Czy możesz nas sobie wyobrazić? Razem? Gdybyś ty nie mieszkał tam, a ja tu?

– Jasne, czemu nie?

– Och, ale wówczas nie byłbyś tym, kim jesteś. Byłbyś kimś innym. I ja też.

Zdumiewające, jak ta brednia potrafiła ich rozniecić. Ostatnio po wszystkim potrafiła się nawet rozszlochać; pocieszał ją wtedy pocałunkami, a całe to teatrum było w jakiś sposób konieczne, by nadać znaczenie temu, co inaczej byłoby po prostu zwykłym pukankiem.

Przez większą część lata nie rozmawiali o tym, co robili, ale jej ciało, jak się okazało, nie potrzebowało pomocy w odczytywaniu oznak swoich pragnień. Zasypiała we własnym pokoju, lecz najcichszy dźwięk Siergiejowego palca drapiącego w środku nocy o siatkowe drzwi potrafił całkowicie ją rozbudzić. Jego widok w świetle lampy na ganku potrafił ożywić w niej tę nieważką, tłumioną przez cały dzień tęsknotę. Nigdy jej nie ponaglał. Potrafili całować się tak długo, aż brodę miała poobcieraną, a usta odrętwiałe, tak długo, aż pożądanie całkowicie ją paraliżowało. Rozumiała teraz, co mieli na myśli ludzie, włącznie z jej matką, mówiący, że dziewczęta dają się „złapać”. Jakby nie było innych dróg do miłości, jak tylko te niebezpieczne, innych sposobów na ukojenie serca, jak tylko te paczące ducha.

Droga zwęziła się i musieli teraz jechać wolniej. Silnik co chwila krztusił się i parskał. Po prawej stronie pojawił się kolejny cmentarz parafialny, nad którym pochylały się wierzby płaczące. Za schludnie pobielonym ogrodzeniem wystawiono w długim szeregu kilka stołów piknikowych. Florence wskazała na znak: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie”².

– Pewnie rozdają tu zupę.

– Gospodyni, od której wynajmujemy, też robi zupę dla Kościoła. Poczciwa

kobieta.

– Boże, błogosław Ameryce. Darmowa zupa dla każdego, jak okiem sięgnąć.

– Czemu jesteś taka złośliwa? – zapytał. – Daj mi mapę.

Te wszystkie znaki drogowe były dla niego kompletnie niezrozumiałe. Wypatrywał czegoś, co mogłoby ich zaprowadzić z powrotem do szosy.

– Nie jestem złośliwa. – Rozpostarła między nimi furkoczącą mapę. – Mówię tylko, że w tym kraju filantropia jest dla niektórych ludzi sposobem oczyszczenia się z grzechów. Morgan, Rockefeller... Oni wszyscy rzucają kilka pensów ludziom, których wcześniej obrabowali.

Wiedziała, że zachowuje się jak zołza, zatruwając im ostatnie wspólne chwile.

– Nie mówiłem o Rockefellerze. Mówiłem o starszych kobietach przygotowujących zupę – powiedział niecierpliwie. Wziął mapę i przyjrzał się sieci niebieskich żyłek.

– Ta mapa ci nie pomoże. To Ohio, a dwadzieścia minut temu wjechaliśmy do Indiany.

– I nic nie mówisz?!

– Nie widziałeś znaku?

Zamknął na chwilę oczy.

– Nic się nie stało – powiedziała tonem, który miał być krzepiący. – Jesteśmy gdzieś blisko tego brzegu mapy. Jak mówił Fiodor: to ci sami ludzie, którzy bronią swoich interesów z bronią w ręku i...

– Fiodor! Poważnie? Jego teraz słuchasz?

Oczy rozbłysły jej gniewem i zażenowaniem.

– A co w tym złego?

– Nic. Myślę tylko, że lepiej, żebyś przestała trajkotać i przyjrzała się mapie – powiedziałem stłumionym z irytacji głosem.

Odwróciła twarz, próbując przełknąć wzbierające łzy. Gdy wspinali się na wzgórze, silnik zawył głośnie. Siergiej docisnął gaz, ale chevrolet tylko zadygotał, a spod tylnych kół obracających się z niepokojącym piskiem wyprysnęły ziemia i kamienie.

– Co się dzieje? – zapytała.

Siergiej zacisnął zęby i zredukował bieg. Samochód zadrgał boleśnie. Siergiej stanął i wyłączył silnik, gdy spod maski buchnęła para.

– Ciort! – wymamrotał. Wysiadł i stanął, zaglądając pod maskę. – Za kierownicę – zaordynował nagle.

Wrzucił luz i Florence przesunęła się na siedzenie kierowcy. Siergiej pchał, a ona dociskała obcasem pedał gazu. Chevy rzucił się naprzód, po czym zgasł z kolejnym parsknięciem. Na skraju pola, w kukurydzianym rzysku, zerowały wrony. Florence poczuła, że słabnie i rozplywa się w upale. Jakby wszystko sprzysięgło się przeciw nim. Rozejrzała się za jakimiś oznakami ludzkiego życia, lecz dostrzegła tylko odległą sylwetkę stodoły, rysującą się na tle nisko wiszących chmur. Siergiej zaklął głośnie i kopnął w oponę.

– No to idziemy – obwieścił.

Chwycił kurtkę i dzbanek wody z tylnego siedzenia. Pozostało tylko kilka kropel,

które pozwolił wypić Florence. Wsiadłszy, dostrzegła pod autem oleisty wyciek. Sznur czarnych kropel ciągnął się, jak daleko sięgała wzrokiem.

– Cały czas mieliśmy wyciek?! – wrzasnęła, kuśtykając za nim. – Jak mogłeś nie zauważyć?!

Odwrócił się do niej, a spojrzenie miał ciężkie jak kamień.

– Chciałabyś sobie na mnie pokrzyczeć?

Wlokła się za nim, utykając lekko. Pole i ciągnące się jego skrajem ogrodzenie z drutu kolczastego zaczynało jej wirować przed oczami.

– Dokąd nas ciągniesz? Nie masz pojęcia, dokąd prowadzi ta droga!

Zaczęła mieć zawroty głowy. Słońce na zachodzie oślepiało. W tumanie kurzu opadła na kolana.

– Wstawaj, Floro.

– Nie – zaskomlała.

– Wstawaj!

Pokręciła głową.

– Ja idę.

– To idź! Idź! – Nienawidziła tej potrzeby, którą zdradzał jej głos. – Wracaj sobie do Rosji. No idź!

Siergiej odwrócił się i patrzył na nią przez chwilę, która wydawała się bardzo długa. Florence pozwoliła powiekom opaść, a potem znów je otworzyła. Siergiej przykucnął obok.

– A więc tu się to wszystko skończy? Na polu kukurydzy?

Zemdliło ją. Zemdliło od ciągłego zmuszania go, żeby ją pocieszał. Zemdliło od obcowania z własnym słabym ciałem. Od czepiania się. Od wymuszania na nim słów, którymi odpłaciłby jej za wszystkie te parne nocne godziny spędzane w jej łóżku.

– Wybacz mi. – Otarła ramieniem mokry policzek. – Nie chciałabym, żebyś zapamiętał mnie jako głupią Amerykankę.

Nachmurzył się życzliwie.

– Głupią? Jesteś przeciwieństwem głupoty, Floro. Co ja bym bez ciebie zrobił? – Spojrzał na nią już poważniej. – Ale zbyt mocno porusza cię całe zło tego świata. Za bardzo się przejmujesz – perorował. – Szaleństwem jest spalać się z powodu spraw, których nie można zmienić.

Poczuła się niemal idiotycznie polechtana jego słowami, jego prawdopodobnie fałszywym przekonaniem, że jej serce, jej poczucie sprawiedliwości są tak pojemne, że obejmują cały świat.

– Więc co sprawia, że nie możesz iść dalej? – Dotknął jej twarzy i odsunął loczek ze skroni. – Odrobina kurzu? Odrobina upału? Odrobina ginu?

Wyciągnął rękę.

Pozwoliła się podnieść z ziemi. Światło na horyzoncie przybrało barwę słońca. Gruntową drogą szła w ich kierunku ciemna, podświetlona od tyłu postać mężczyzny w dżinsach i kapeluszu. W padających z boku promieniach zachodzącego słońca wydawało się, jakby otaczała go aureola.

Dom farmera oddalony był zaledwie o milę na południe i mężczyzna szybko wrócił

do nich ciężarówką, wioząc łańcuch do podholowania chevroleta.

Florence siedziała na schodkach ganku jego domu, trzymając pod pachą kawałek owiniętego w ściereczkę lodu. Podobnie jak samochód, padła ofiarą udaru słonecznego. Teraz dzięki lodowi i popijaniu osłodzonej wody powoli wracała do siebie. Na polu w kolorze imbiru Siergiej i rolnik mozolili się nad silnikiem. Niedopalone cząstki paliwa i oleju nagromadziły się pod denkami tłoków, powodując wyciek. Florence przyglądała się, jak Siergiej zeskrobuje z tłoków nagar. Zdjął koszulę i położył ją ostrożnie na zaworach, by ochronić je przed kurzem. Bursztynowe światło nadało brązowy odcień opalenizny skórze na napiętych mięśniach pleców i jasny połysk włosom na brzuchu i klatce piersiowej. Nigdy nie potrafiła reagować obojętnością na jego ciało.

Po ziemi przesunęły się widma chmur. Jakiś ptak przefrunął nad jej głową, ścigany własnym cieniem. Rolnik podawał Siergiejowi narzędzia, nie przestając mówić. Opowiadał mu o zmianach, które zaszły po wojnie. O tym, jak ludzie sobie kiedyś pomagali, pożyczając kukurydzę, jeśli ktoś miał słabe zbiory.

– Nie trzeba było żadnych kwitów. Wystarczył uścisk dłoni. – Farmer uchylił kapelusza, odsłaniając łysinę otoczoną krótko przystrzyżonymi włosami. – Teraz został tylko bank, który każe człowiekowi podpisywać umowy na dwadzieścia stron, zanim da mu worek ziarna.

Siergiej, pochylony nad silnikiem, wymamrotał coś, co rozbawiło farmera. Nawet tutaj potrafił znaleźć z ludźmi wspólny język. Florence zastanawiało, jak to możliwe, że przychodzi mu to tak łatwo, skoro dla niej okazywało się takie trudne? Czy to dlatego, że wychował się w miejscu, w którym egalitaryzm był nie tylko teorią, ale i praktyką?

Na posiadłości farmera wił się nieprzejrzysty strumyk. Tak właśnie się czuła: jak bezimienna struga. Na powierzchnię jej wspomnień wypłynął teraz cytat z Miasteczka Middlemarch: „Jej natura, jak rzeka, której Cyrus odebrał siłę, rozdzieliła się na strumyki, nie posiadające znanych nazw na ziemi”³. Przepisała to do notesu, gdy miała szesnaście lat, poruszona przejmującym tragizmem potężnej rzeki zmuszonej poświęcić swą energię na rzecz bezimiennych strumieni. Już jako szesnastolatka pieściła w myślach wizję czekającego ją wyjątkowego losu. Czy przyszło jej do głowy, że Eliot zwyczajnie opłakiwała tragedię bycia kobietą? Jeśli tak, to ona, Florence, wierzyła, że zostanie jej to oszczędzone. Wszędzie wokół niej kobiety potrząsały krótko obciętymi włosami, skracaly sukienki, zapisywały się na uniwersytety i dmuchały papierosowym dymem na całą masę dusznych wiktoriańskich przykazań. KobiECE nieposłuszeństwo było w modzie, a ona, co zrozumiała dopiero teraz, była zbyt młoda, by pojąć, że na modzie się kończyło. Omyłkowo wzięła formę za treść, modny trend za prawdziwy postęp. Ameryka nie zmieniła się ani na jotę. Obietnica, którą zamachano jej przed nosem, gdy miała szesnaście lat – szansa, by wolna duchem dziewczyna wyrosła na wolną kobietę – została w ciągu tych kilku lat, gdy już przeobraziła się w kobietę, wycofana tak stopniowo, że Florence właściwie tego nie zauważyła.

Na jej kolanach leżała kurtka Siergieja. Poprosił Florence, żeby ją pottrzymała razem z dokumentami, które w niej nosił. Wsunęła dłoń do kieszeni chłodnej podszewki i wyjęła je. Były cięższe, niż się spodziewała. Rozłożyła sztywną książeczkę, a potem cienki jak bibułka „paszport zagraniczny”, przypięty zszywką do jednej ze stron. Jego

zdjęcie, przedstawiające bladą i poważną twarz, przyklejono na dole. Część twarzy opieczętowano mu jednym z trzech identycznych ciemnoczerwonych stempli, przystawionych na stronie z różną siłą. Papier był chłodny i delikatny w dotyku. Oto był silnik napędzający mobilność Siergieja. Trzymając go w dłoniach, poczuła się uwięziona w tym kraju. Wsunęła dokumenty z powrotem do kieszeni kurtki. Patrzyła, jak na polu Siergiej kilkakrotnie zapuszcza silnik, który powrócił do życia z hukiem salwy armatniej. Wysiadł z samochodu i energicznie ruszył w jej stronę, wycierając w ścierkę umazane smarem ręce.

– Księżniczko – obwieścił – powóz czeka.

Florence wróciła do domu tydzień później, a tymczasem paszport, który tuliła w dłoniach, wyruszył w towarzystwie swego właściciela parowcem do Europy. Na fińskiej granicy został przekartkowany i poddany uważnej kontroli przez radzieckiego urzędnika, którego szkła lśniły spokojną wrogością. Siergieja zabrano do małej celi i przesłuchano na okoliczność odbytej podróży. Odpowiedzi nie miały znaczenia. Żadne słowa nie zdołałyby rozwiać spizowej chmury podejrzeń, na które zapracował sobie ofiarną służbą dla kraju. Cenę za amerykańskie lato miał płacić po wieczność. Na stole między nim a przesłuchującym go urzędnikiem leżały przedmioty, które przywiózł: zestaw znakomitych przyrządów kreślarskich, maszynka do golenia Gillette, kościane spinki do mankietów, woda kolońska. Energicznie wybrano je z jego rozdętej walizki. W Stanach każdy zakup nęcił go obietnicą wyrafinowania i wysokiej jakości, lecz na stole wszystkie te przedmioty wydawały się powleczone wstydem, dowodząc jego apetytu na krzykliwe bezguście tego dekadentckiego kraju. Celnik kazał mu pokwitować ich odbiór.

– Czegoś tu brakuje – powiedział nagle Siergiej.

Chodziło o rzeźbioną broszkę z leucytu, o której nie ośmieliłby się wspomnieć, gdyby nie to, że przywiózł ją dla matki.

– Proszę złożyć skargę – powiedział celnik, a jego oczy błysnęły drwiną.

Gdy pociąg przekroczył granicę radziecką, zaczęła się burza. Był koniec września, zimny deszcz wypłukał intymne ciepło lata. Siergiej zamknął oczy. Grom zabrzmiał jak łoskot zamykających się za nim monstualnych wrót.

W marcu, kiedy śnieg wciąż padał na wybrane do połowy wzgórza Magnitogorska, Siergiej dostał list od Florence. Nie zdziwił się specjalnie. Napisał do niej pierwszy, wysyłając list na adres radzieckiej misji handlowej w Nowym Jorku: świąteczne pozdrowienia, które miały dotrzeć do adresatki tuż przed sylwestrem. Odkrył, że właściwie za nią tęskni, a w każdym razie tęskni za ich clevelandzkim latem, upałem i zapamiętaniem, beztroską brawurą i otwartością Florence. W Magnitogorsku wszystko się skomplikowało: budowa walcowni ślimaczyła się i grzęzła z powodu nowego kierownictwa, które wszystko robiło po łebkach, byle spełnić nierealistyczne normy śrubowane przez Moskwę. Popęłnił błąd, mówiąc o tym otwarciu. Zadarł z niewłaściwymi ludźmi. O żadnej z tych spraw nie wspomniął w liście do Florence.

Koperta, która dotarła na biurko Florence w Amtorgu, była cienka jak bibuła. Gdy Florence ją otworzyła, wypadła z niej fotografia. To był Siergiej: mała postać przed wielkim ceglany budynkiem. Ubrany w biały podkoszulek wepchnięty w podciągnięte wysoko drelichowe spodnie, osłaniał dłonią oczy przed ostrym słońcem środkowej Rosji.

Życzył jej szczęśliwego Nowego Roku i miał nadzieję, że jego list dotrze wcześniej niż rok 1934. Budowa walcowni ogromnie posunęła się do przodu, a on chciał podziękować Florence za pomoc przy jej projektowaniu i za wszystko, co dla niego zrobiła, za odegranie roli przewodniczki i latarni morskiej w obcym kraju, a zwłaszcza za to, że dzięki niej nigdy nie zapomni tego spędzonego w Ameryce lata. Właśnie skończył czytać powieść „Jacka Londona, wielkiego amerykańskiego pisarza”. Córka śniegów, taki nosiła tytuł, a jej bohaterka, Frona Welse, przypominała mu Florence. „Dzielna, bezpretensjonalna kobieta” – tak opisał Fronę albo Florence, a może obie. Rozumiał teraz, jakie miał szczęście, że oto zrzędzeniem losu spotkali się, choćby na krótko. Cieszył się ogromnie, mogąc wspominać te kilka tygodni.

Florence czytała te linijki, czując, jak ogarnia ją dziwna potrzeba zakładania to jednej, to drugiej nogi na nogę. Odruchowa reakcja jej ciała na zapisane na kartce słowa, na samo cyryliczne pochylenie pisma Siergieja, była jak impuls elektryczny. Słyszając w głowie jego głos, Florence czuła, jak nawiedzają ją duchy każdego pocałunku, każdej pieszczoty tamtego lata. Czy ten strumień nieskrywanych uczuć z jego strony należało przypisać tłumaczeniu? Czy te niedwuznacznie romantyczne nuty były w Rosji standardową walutą? Przebiegła wzrokiem pozostałe strony. Z heroicznym entuzjazmem, który wydawał się do niego całkiem niepodobny, Siergiej opisywał potężne piece i fabryki wyrastające na stepie. „Jak daleko zaszliśmy. I ile jest jeszcze do zrobienia!” Zdjęcie, pisał, nie oddaje rzetelnie skali przedsięwzięcia. Któregoś dnia będzie musiała przekonać się o tym sama, na własne oczy.

Florence przeczytała ostatnią linijkę jeszcze raz, czując, jak coś przewraca się jej w żołądku. Czy to było zaproszenie?

W ciągu kilku następnych tygodni próbowała ułożyć odpowiedź. Swobodą i rozmachem nie zdołała dorównać epistole Siergieja. Zza jej prób uderzenia w te same nonszalancko romantyczne nuty przeświecała rozpaczliwa tęsknota. Marzyła o tym, by wylać na papier wszystkie ponure myśli, ale nie chciała naruszyć pielęgnowanego przez Siergieja obrazu dzielnej i hożej bohaterki Jacka Londona. Dopiero pod koniec stycznia zdołała wreszcie coś wystukać na swej przenośnej maszynie do pisania.

23 stycznia 1934

Drogi Siergieju,

Twój list spadł mi jak diament z nieba. Radość przyniósł mi widok tej zwycięskiej, beztrudnej twarzy, którą tak dobrze zapamiętałam z Cleveland. Wszystko to wydaje się dziś ledwie snem. Czasem zastanawiam się, patrząc na śnieg kryjący opadłe liście, wdychając zapach deszczu, czy to nie był sen. Może dlatego, że od powrotu towarzyszy mi często poczucie, że prawdziwa, istotna część mego życia rozgrywa się gdzie indziej?

Być może przeczytałeś w gazetach, że prezydent ogłosił zniesienie tej wstrętnej prohibicji. Nasz Nowy Rok był więc znacznie weselszy od poprzedniego. Poza tym niewiele się zmieniło i nie będę Cię zanudzała szczegółami. Ludzie mówią, że wiele się poprawiło dzięki Rooseveltowi. Może i tak, ale jak dla mnie wszystko to dzieje się nie

dość szybko. Powtarzałeś często, że powinnam przekonać się na własne oczy o wspaniałości Magnitogorska. Myślę, że to zrobię.

Wcale nie zamierzała tego napisać, ale umieściwszy te słowa na kartce, uzmysłowiła sobie, że to prawda.

Obawiam się, że jeśli tu zostanę, trafię w szeregi obojętnych lub co gorsza, wielomównych malkontentów, a nic nie wydaje mi się bardziej przerażające. Jakkolwiek nazwać to nowe trawiące mnie pragnienie zobaczenia świata na własne oczy, objawiło się ono wreszcie w pełni. Teraz, kiedy absolutnie świadomie postanowiłam zobaczyć Związek Radziecki, dzięki powiązaniom Amtorgu uzyskanie wizy nie powinno być zbyt trudne. Mam nadzieję, że najpóźniej wiosną zdołam wyruszyć w drogę.

Może więc uda nam się spotkać?

Twoja Flora



W liście nie była całkiem szczera. Pragnienie porzucenia pracy i kraju nie było do końca jej wyborem. Wieść o nielojalności Florence dotarła do Nowego Jorku przed nią; Scoop okazał współczucie, lecz nie pomoc.

– Masz dobre serce, Florence. Zrobiłaś to, co uznałaś w tamtych okolicznościach za słuszne i przyzwoite.

Tyle że, jak jej przypomniał, pierwsza zasada dyplomacji nakazywała nie mówienie lub robienie rzeczy właściwych, lecz unikanie mówienia i robienia rzeczy niewłaściwych.

– Ale sądziłam, że oczekujesz ode mnie, że pomogę Rosjanom – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała niepotrzebna bezradność.

– Powiedziałem ci – skorygował – żebyś spróbowała pomóc ludziom z McKee i chłopcom z Magnitogorska znaleźć kompromis.

Do Florence dotarło, że Scoop rozwiązałby problem, zapraszając mężczyzn takich jak Clement czy Knur Anderson na wieczór z pieczonym świniakiem i domową nalewką; tego rodzaju męskie sposoby budowania więzi i rozsądzania sporów były jej – sztywnej, dobrze ułożonej młodej kobiecie ze Wschodniego Wybrzeża – całkowicie niedostępne. Wiedziała jednak, że zwracając Scoopowi uwagę na ten fakt, wypadłaby jeszcze żałośniej. Już i tak rozczarowanie brzmiące w głosie jej szefa było dla niej boleśniejsze od wszelkich reprimend.

Amtorg miał się wkrótce zwinąć. Roosevelt mimo sprzeciwów Kongresu uznał Związek Radziecki. Zgodnie z przewidywaniami Scoopa w Waszyngtonie miał wkrótce powstać konsulat i transakcje handlowe nie będą już musiały przechodzić przez skomplikowaną sieć dyrektorów i przedstawicieli Amtorgu. Scoopowi udało się skłonić grupę menedżerów odpowiedzialnych za eksport, by zatrudniła go do lobbowania wśród nowych ludzi Roosevelta za wolnym handlem i niższymi cłami.

– Wygląda na to, że stary pies zaprzęgowy będzie teraz działał solo – powiedział do Florence.

Nie było szans, by załatwił jej teraz pracę w nowej ambasadzie.

– Mogę zadzwonić do paru starych przyjaciół po Nowym Roku – odparł, kiedy zatelefonowała do niego do Waszyngtonu.

Nie przypomniała mu o tym, że nalegała już dwukrotnie.

– Zaczynam sądzić, że łatwiej mi będzie znaleźć pracę w Rosji – rzuciła, spodziewając się, że Scoop zaprzeczy.

Ale on powiedział tylko:

– Może i tak. W Moskwie roi się od Amerykanów.

– Nowy Paryż – powiedziała tonem, w którym rzewna tęsknota walczyła o lepsze z sarkazmem.

– Lepiej niż Paryż. O ile zdołasz ich skłonić, żeby ci płacili w dolarach. Bądź stanowcza: powiedz im, że nie przyjmujesz niczego z wyjątkiem oficjalnych środków płatniczych.

I jego głos wypełnił się znów jak żagiel wylewnymi pouczeniami, które nie kosztowały go ani pensa.

Na Bremen Florence oszczędziła Essie większości szczegółów swoich niepowodzeń i powiedziała jedynie, że jedzie do Magnitogorska, by spotkać się z człowiekiem, który otworzył jej oczy na czekające w Rosji możliwości.

– Wie, że przyjeżdżasz?

– Napisałam do niego, ale odpowiedź nie doszła przed moim wyjazdem.

– Hm. W tej części kraju poczta potrafi zawodzić. Może powinnaś wysłać najpierw telegram?

Siedziały w koszulach nocnych. Essie przeniosła swoją nędzną walizeczkę do wynajętej przez Florence kabiny drugiej klasy. Roztropną sugestią Essie Florence zbyła machnięciem ręki, ale ten prosty pomysł z powodów dla niej samej niepojętych wzbudził w niej większe przerażenie niż myśl o tym, by wsiąść do pociągu i przejechać tysiąc sześćset kilometrów na Ural.

– W Magnitogorsku wszyscy się znają. Nie sądzę, by chciał ściągać na siebie uwagę telegramem. Znajdę go, jak tam dotrę.

– No cóż, to też jakiś plan – powiedziała Essie niepokojąco zgodnie.

Podczas wielotygodniowej podróży Essie opowiedziała Florence swoją historię. Kiedy Florence chodziła na sobotnie lekcje do szkoły przy synagodze Midwood, Essie spędzała sobotnie poranki w kole robotniczym na Bronksie, studiując życie patriarchów: Marksa i Trockiego. W zapleśniałym, pachnącym farbą drukarską mieszkaniu Franków jedynymi obchodzonymi świętami był 17 listopada (rocznica rewolucji październikowej) i 1 maja (Międzynarodowy Dzień Pracy), kiedy to Essie i jej młodsza siostra przyłączały się do wychodzących na ulicę rodziców i śpiewały co sił w płucach Międzynarodówkę wraz z innymi członkami młodzieżówki Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, w szeregach której Essie znalazła się, zanim skończyła jedenaście lat. Letnie miesiące spędzała na obozie Kinderland w Massachusetts, „świadomym obozie letnim”. Wierni modelowi sowieckiemu obozowicze odgrywali na pół autonomiczną rolę proletariatu, podczas gdy dorośli opiekunowie obejmowali przywódczą rolę partii. Jednakże podczas roku szkolnego sprawy miały się inaczej.

– Zawsze sądziłam, że to nic złego, no wiesz, być biednym i nie mieć eleganckich ubrań, i mieć gumę wlepioną we włosy, bo odmówiłam złożenia przysięgi wierności. Dzieci wołały na mnie „bękart”, bo rodzice wzięli przyzwoity ślub, dopiero gdy miałam sześć lat. Znosiłam to, bo wiedziałam, że matka i ojciec mają w małym palcu więcej zasad i odwagi niż wszyscy ci paskudnicy razem wzięci.

Wyglądało jednak na to, że pracodawcy Maxa Franka mieli na te sprawy inny pogląd; po tym, jak wylano go z kilku posad w fabryce „ze względu na jego nieskazitelne przekonania”, ojciec Essie, pewien, że rząd robotniczy nigdy w Stanach Zjednoczonych

nie powstanie, zdecydował się uciąć pieniądze i zabrać bliskich do Rosji. Cała rodzina była już gotowa do przeprowadzki, kiedy mama Essie zapadła na zdrowiu z powodu niewinnego zapalenia zęba, które raptownie przeniosło się na serce. Podróż przełożono, a pieniądze wydano na konowałów, a później na kremację. Plan jednak nadal obowiązywał, a Max znów oznajmił, że oszczędza pieniądze na podróż.

Minął rok. Potem kolejny. Essie pracowała w fabryce psich obroży, pobierając jednocześnie wieczorne lekcje rosyjskiego. Pewnego dnia zasnęła na fabrycznej podłodze, co skończyło się nieomal zmiżdżeniem palca w przebijaku do skóry. Po tym, jak szef potracił jej z wypłaty za zablokowanie maszyny, wróciła do domu roztrzęsiona i zażądała jasnej deklaracji, kiedy rodzina wyjedzie do Rosji.

– I wtedy ojciec mówi mi: „Essie, chciałem poczekać, aż będziesz gotowa to usłyszeć, ale powiem ci to teraz: żenię się”. Z kim? Już ci mówię. Z Melmy Skolnik z czwartego piętra, tak mi powiedział. Serce we mnie zamarło, Florence. Ona jest niecałe siedem lat starsza ode mnie! Prawdziwa jędrza, do wszystkiego się wtrąca. Kiedy matka zachorowała, ta zaczęła przychodzić do nas z obiadami, oczy wypłakiwać, no daj takiej palec... No to ja do niego: „A co z tym wszystkim, o czym kiedyś z mamą rozmawialiście? Co z waszymi marzeniami?”. A on mi na to: „Nit mit szeltn un nit mit lachn ken men di welt ibermachn. Śmiechem ani klątwą świata nie zmienisz, Essie”. I tak jakoś wzruszył ramionami. Po co jechać na koniec świata? Bierzmy z niego to, co najlepsze, tutaj, tak mi mówi. I wyobraź sobie, miał czelność powiedzieć: „Wiesz, Lilly potrzebuje matki”, kiedy to ja jej przez cały ten czas matkowałam! No więc powiedziałam mu: „Do diabła z tobą, ja jadę”. Miałam już wizę, potrzebowałam tylko biletu. Zanim wyszłam, powiedziałam mu, że od początku wiedziałam, że to matka miała zasady i odwagę, a nie on. On się po prostu dostosował, tak jak dostosował się do tej cacke. Ludzkość nie robi się słabsza ani głupsza, tak mu powiedziałam. Och, powiedziałam tyle paskudnych rzeczy, Florence. Powiedziałam mu, żeby nie zawracał sobie głowy odprowadzaniem mnie, a on po prostu zwiesił głowę jak dziecko i odparł, że uszanuje moje życzenie. A ja przecież wcale nie chciałam, żeby je uszanował! Chciałam, żeby walczył, Florence, walczył o mnie.

Florence siedziała i z uwagą kiwała głową. Łzy i żal Essie wywierały na nią kojący wpływ. Czują, jak ogarnia ją pogodna życzliwość.

– Jestem pewna, że on wie, że go kochasz, podobnie jak Lilly.

Otoczyła Essie ramionami i wciągnęła w nozdrza cierpki zapach jej ciała, zdradzający jej udrękę. I właśnie wtedy, tak nagle, uczucie, które ogarnęło ją dzień wcześniej – że popełniła błąd, zostawiając rodzinę, która przecież o nią walczyła, że pomyliła się w tylu innych sprawach – powróciło z tak mdlącą siłą, że aby się od niego uwolnić, musiała się położyć.

– Źle się czujesz? – zaniepokoiła się Essie.

– To chyba tylko ocean.

Florence usiadła i wyjrzała przez iluminator. Pienista czarno-zielona zasłona morza raz po raz uderzała w szkło. Zapiekl ją w gardle smak gulaszu, który zjadła na kolację, i targnęło nią do przodu.

– Poczekaj! – zawołała Essie bezradnie. – Polecę po jakiś garnek!

Essie przyniosła krakersy i kwaśne cukierki, które dawały ulgę w chorobie morskiej, i nakarmiła nimi Florence, podczas gdy ogromne fale waliły nieprzerwanie w burtę statku. Kiedy sztorm ucichł, zabrała ją pod parasolką na górny pokład, by Florence zaczerpnęła świeżego powietrza. Niebo zaciągnęło się łuskowatymi fioletowymi chmurami. Florence uczepiła się ramienia przyjaciółki, starając się nie spoglądać w dół na pieniającą się czarną wodę. Cieszyła się, że ma Essie przy sobie. Choć początkowo wydawała się jej niezdarna, okazało się, że ma niezwykłą wiedzę o wszelkich przyziemnych sprawach związanych z podróżowaniem. Zabroniła Florence przesiadywania cały dzień w zamknięciu i kazała jej możliwie często spoglądać na horyzont. Gdy morze całkiem się uspokoiło, zaczęła doradzać jej również we wszystkich innych kwestiach. Poinstruowała, by na rosyjskiej granicy nie wymieniać dolarów.

– Dadzą ci po urzędowym kursie dwa ruble za dolara. Nie bierz. Jak już wjedziesz do kraju, wymienisz je sobie po dwadzieścia pięć za dolara.

Poradziła, jak nie pozwolić rosyjskim celnikom na skonfiskowanie maszyny do pisania.

– Powiedz im, że masz na nią oficjalne papiery. Zrób zamieszanie i postraszyć ich telefonem do ambasady.

Pouczyła, że nigdy nie zaszkodzi trochę posmarować.

– Masz jakieś nagrania jazzowe albo ładne pudełeczka pudru?

Florence przygryzła wargę. Zapakowała do bagażu róż i perfumy, ale chciała po nie sięgnąć dopiero przed spotkaniem z Siergiejem.

– Celnicy palną ci mówkę – ciągnęła Essie – jakie to one są niby dekadencje i szerzą moralne zepsucie. Nie kłóć się. Po prostu pozwól im coś sobie wziąć dla żony czy matki.

W Gdańsku większość pasażerów wysiadła i na statku zrobiło się ciszej. Zanim dotarli do wybrzeża Łotwy, morze przybrało łagodniejszy, bałtycki odcień. W 1934 roku państw bałtyckich nie wcielono jeszcze do Związku Radzieckiego, co stało się dopiero później, na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow, Florence nie mogła więc zobaczyć ani sowieckich, ani niemieckich wojskowych buciorów na kamieniach, którymi wybrukowano wąskie uliczki Lipawy. W Rydze żadne czerwone transparenty nie szpeciły stromych żółtobrunatnych dachów.

Zajęły pokój w staromodnym pensjonacie, gdzie obudziło je czyste, rozwibrowane bicie kościelnych dzwonów. W orzeźwiająjącym chłodzie poranka wszystko wokół nich przywodziło na myśl miniaturowe królestwo. W Rydze kupiły bilety do Moskwy, na Dworzec Bałtycki. Wsiadły do jaskrawoczerwonego pociągu zdobnego całą masą polerowanych mosiężnych ornamentów, jednego z tych wspaniałych zabytkowych modeli parowych, które nie kursowały już w Stanach. Pod kotłem palono nie węglem, lecz drewnem i dla uzupełnienia zapasów musieli się często zatrzymywać w gęstym lesie, gdzie drwale w filcowych kapeluszach i ciężkich butach układali wzdłuż torów stopy drewna, by sprzedawać je liniom kolejowym. Florence spostrzegła, że bliżej rosyjskiej granicy wszyscy sprzedawcy opału zniknęli.

Ciemny sosnowy las przemknął za oknem, przybliżył się, znów cofnął.

– Spójrz, Florence! Żołnierze Armii Czerwonej! – krzyknęła Essie w podnieceniu,

gdy pociąg wtoczył się na drewnianą stację, gdzie na wiacie wymalowano napis wzywający robotników wszystkich krajów do łączenia się. Do pociągu weszli sztywno wyprostowani inspektorzy ubrani w mundury khaki i zabrali się do rewidowania bagaży. Essie skonfiskowali czasopisma „Life” i „Silver Screen” położone przezornie na samym wierzchu (w gruncie rzeczy Essie, co Florence szybko spostrzegła, sprawiała wrażenie wręcz uradowanej przywilejem zdania swych „antyradzieckich” lektur). Gdy rewizja dobiegła końca, Essie zapewniła Florence, że wyszła na tym całkiem dobrze, tracąc jedynie ostatnią paczkę cameli i buteleczkę perfum Shalimar. A jednak pierwszym uczuciem, którego doznała Florence przy przekraczaniu radzieckiej granicy, nie było zdumienie, lecz wrażenie pogwałcenia. Powtarzała sobie, że głupotą jest się złościć, skoro większość amerykańskich pieniędzy miała nadal bezpiecznie schowaną za dekoltem. Głupotą musiało być również przekonanie, że podobne kontrole nie odbywają się na każdej stacji kolejowej świata. Każde inne rozumowanie wymagałoby zbyt głębokiego przewartościowania nadziei wiązanych przez nią z krajem, do którego właśnie wjeżdżała.

Wkrótce jej oczy rozjaśniły się na powrót widokiem majestatycznych sosen, rozwichrzonych brzoź i domeczków o rzeźbionych okiennicach, podobnych do tych, jakie widywała w babcinej książce z opowiastkami. Niezadługo jednak sielski pejzaż złuszczył się gwałtownie, odsłaniając ogromne, ogłuszające, zgrzytliwe i rozdudnione miasto.

Rozkołysany korytarz wagonu momentalnie wypełnił się ludźmi, a Florence i Essie wypchnięto wraz z kuframi w ruchliwe mrowie moskiewskiego Dworca Bałtyckiego. Na wielkim placu w chromowanych zderzakach radzieckich fordów błyskały odbicia koni i drewnianych wozów. Na chodniku brodaci woźnice z epoki Tołstoja rozmawiali z wypomadowanymi kierowcami taksówek. Essie swoją szorstką ruszczyzną, umiejscawianą przez kierowców raczej nad Bałtykiem niż na Bronksie, zaczęła się targować i wkrótce dziewczyny ruszyły, z morderczą prędkością oddalając się Prospektem Mira, gdzie ich gaz niemal ocierał się o turkoczące tramwaje wypchane ludźmi przyciśniętymi płasko do drzwi i okien.

To był moskiewski czerwiec, wczesny wieczór zgęstniały od ceglanego pyłu ze startego bruku i dryfującego w powietrzu topolowego puchu. Na chodnikach tłumy ściśnięte w kilku rzędach rozpychały się przed witrynami sklepów.

– Och, Florence, czy sądziłaś kiedykolwiek, że to wszystko będzie takie ogromne?
– westchnęła Essie.

I rzeczywiście, proporcje tego miasta wydały się Florence iście mezopotamskie. Moskwa jawiła się jej azjatyckim kłębowiskiem krętych ulic, drewnianych chałup i powozów konnych, lecz z chaosu tego pierwszego miasta wyłaniało się już drugie. Ulice zbudowane tak, by mógł przejechać nimi wózek ciągnięty przez osiołka, rozpruto i zastąpiono bulwarami dwa albo i trzy razy szerszymi od Park Avenue. Piesi obchodzili po ułożonych na ziemi deskach gigantyczne wykopy pod fundamenty. Z rowów, w których powstawał rozległy podziemny system kolejowy, wychylały się żurawie. W powietrzu unosił się zapach trocin i opiłków metalu.

Essie wysiadła pierwsza, na Baumanskiej, w dzielnicy, którą ich kierowca nazwał „niemiecką”.

– Będzie mi cię brakowało, Essie! – powiedziała Florence i mocno objęła

przyjaciółkę.

Bała się, że jeśli ją puści, rozszoła się bez pamięci. Nikogo w tym mieście nie znała i nagle odczuła ten fakt w całej jego przytłaczającej grozie. Essie też z trudem powstrzymała łzy.

– Żałuję, że nie zostajesz, Florie. Byłabyś mi tu siostrą. Mogłabyś dostać pracę w instytucie... No cóż, widzę, że podjęłaś już decyzję. – Zdjęła zmoczone łzami okulary i podała Florence świstek z adresem. – Odszukaj mnie, jak wrócisz z Magnitogorska.

Stała na ulicy jeszcze długo po tym, jak czarny gaz-A wraz z jej przyjaciółką zanurzył się na powrót w późnopołudniowym strumieniu aut.

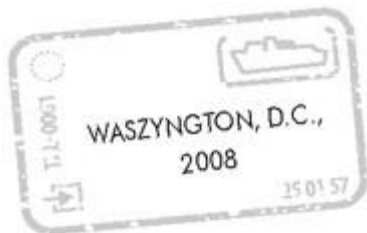
Hotel Nowomoskowskaja znajdował się w samym centrum starówki, a recepcjonistka była bez zarzutu, prędką i układną, póki Florence nie dowiedziała się, że ma zapłacić za cztery noce z góry.

– Ale zostaję tylko na jedną noc, najwyżej dwie.

– Cztery noce minimum, by otrzymać zameldowanie w Moskwie. Zasada Intouristu.

Kierownik recepcji uprzejmie wziął od niej pieniądze, po czym wypełnił obowiązek notarialny, przystawiając na jej dokumentach cztery identyczne pieczęcie, dokładnie takie, jakie widziała na dokumentach Siergieja. W pokoju, przy rozsuniętych zasłonach, doczekała się wreszcie nagrody: widoku tak bezwstydnie triumfalnego, że nie mogła uwierzyć, iż to nie pocztówka porwana ze stojaka. Słońce zachodziło właśnie nad placem Czerwonym, przemieniając bruk w rozmigotane zmarszczki. Kopuły soboru Wasyla Błogosławionego lśniły niczym zwieńczenia słupków przy zakładzie fryzjerskim, niczym kopce bitej śmietany karykaturalnie odcinające się od ścian granitowego mauzoleum. Wydawało się, jakby w kontrastach tej panoramy krył się jakiś przekaz o chaotycznej naturze ludzkiej i ponurej godności człowieka. Godności i władzy. Władzy i celu. Florence miała pewność, że musi coś w tym być, ale trud rozszyfrowania ukrytego wątku zniechęcił ją. Świadomość wysączała się z niej powoli. Niemal od miesiąca była w drodze, podróżując statkami, pociągami, samochodami i powozami, a teraz zastanawiała się, czy naprawdę przystanęła, czy też jej stopy z własnej woli podejmą marsz. Z zamyślenia wyrwała ją mucha bzycząca nad dwiema mandarynkami. Uniosła jedną z nich z patery i przytrzymała ją w dłoni, czując ciężar i fakturę nawoskowanej skórki. To chyba był dowód, że naprawdę się tu znalazła? Uniosła owoc do nosa i wciągnęła intensywną woń. Od tej chwili już zawsze moment przyjazdu do Rosji miał się jej kojarzyć z zapachem mandarynek. Nawet wtedy, gdy nie sposób było dostać choćby jednej.

Księga II



Blackberry pokazuje 7.04. Widoczny przez jajowate okienko samolotu półksiężyc rozplywa się jak znak wodny. Stewardesa Finairu silnym pchnięciem zamyka luk nad moją głową i uśmiecha się niemal kokieteryjnie. I pomyśleć, że kiedyś wydawały mi się zimne, te nordyckie kociaki przestworzy. Co ja mogłem wiedzieć? Nic – dopóki nie zacząłem latać klasą biznes. Po chwili jedna z nich podchodzi z pytaniem, czy może mi przynieść coś do picia. Odpowiadam, że wystarczy mała szkocka. Nachyla się z uśmiechem zdającym się sugerować, że oto staliśmy się współuczestnikami jakiegoś rozkosznego spisku, którego nigdy nie pojęłyby te hordy liczykrupów z dalszych rzędów.

Gdyby tylko ten czar dawało się rozciągnąć na współpasażerów, odkryłem jednak, że jest wprost przeciwnie. Siedzącemu obok mnie nie można nic zarzucić. To milczący Fin, a ten naród, Bogu dzięki, nie widzi potrzeby gawędzenia. Dwa rzędy z przodu to zupełnie inna historia: rosyjski szlachcic z fryzurą w kaczy kuper, który ostatnie minuty przed wylotem poświęca dręczeniu przez motorolę jakiegoś nieszczęsnego pomagiera. Tego kogoś, z kim rozmawia, zdążył już nazwać pokraką, mutantem i wyskrobkiem. Przez ten jego głos czuję, jak napinają mi się mięśnie karku w oczekiwaniu na to, co przyniesie nadchodzący tydzień.

Pozwalam powiekom opaść. Mam dziś nieprzyjemne podejrzenie, że trzepotanie w żołądku nie jest wynikiem przygotowywania się przez moje ciało do rozstania z grawitacją. W luku nad głową zmieściłem pięć kilo podręczników, które moja żona uparła się dostarczyć naszemu synowi. Tuż obok leży cienka teczka zawierająca mój akt urodzenia, stary paszport matki i książeczkę oszczędnościową z epoki Związku Radzieckiego. Nie budzi we mnie najmniejszego entuzjazmu myśl o zaprezentowaniu tych kruchych dowodów ziemskiej egzystencji mojej matki w biurze archiwów FSB, dosłownie dwa kroki od więzienia, przed którym wystawałem z nią godzinami, gdy zanosiliśmy ojcu paczki żywnościowe, które nieodmiennie wracały nieotwarte. Wystarczy mi, że jeżdżę do Rosji, bez zapuszczania się w ciepłe jeszcze bebechy Związku Radzieckiego. Oprócz tego czekają mnie narady z L___ Petroleum i próba przywrócenia rozumu synowi. Będę miał naprawdę pracowity tydzień. Wreszcie startujemy, a po niedługim czasie pojawia się Panna Finlandia z moją szkocką – dwa szoty z odrobiną cytryny – którą stawia ostrożnie na luksusowym podłokietniku. Drink smakuje wycieńczeniem, jak cieniste patio i cyprusy.

Późny zwrot w mojej karierze pracownika koncernów Wielkiej Nafty rozpoczął się przed pięcioma laty, w marcu 2003 roku. Jechałem z biura w Annapolis do D.C., żeby zjeść lunch z moim przyjacielem Tomem. Kierujący morskim oddziałem Continental Oil

Tom Boston pochodził z Ohio: potężne łapska i brzuszysko, do tego nalana twarz, na której malowało się głupkowane zdumienie sprawiające, że wszyscy ci gładcy Europejczycy i drwiący Rosjanie poważnie nie doceniali amerykańskich genów. Wtedy jeszcze Continental był moim klientem. Oficjalnym celem lunchów z Tomem było informowanie go o aktualnym statusie projektów realizowanych przez moją firmę dla jego działu. Po zdaniu sprawozdania, co zajmowało zwykle siedemnaście minut, potrzebnych kelnerce na przyniesienie nam steku czy łososia, rozluźnialiśmy się i podejmowaliśmy rozmowę o tym, co nas naprawdę interesowało: godzinach wylatanych przez Toma jego cessań czy moich turniejach taekwondo (w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat zdobywałem właśnie czarny pas).

– Sztuka polega na tym, by udawać, że wszystkie te kopniaki i ciosy zadawane są komuś innemu – powiedziałem, przypominając sobie nagle, że było to akurat coś, czego nauczyłem się dawno temu, jeszcze w domu dziecka.

– I to jest właśnie zaleta pochodzenia z rodziny takiej jak Bostonowie – skwitował triumfalnie Tom. – Jak cię dziś stłuką na kwaśne jabłko, to jutro będą się musieli zmierzyć z czwórka twojego rodzeństwa i sześciorgiem kuzynów.

Dzieciństwo Toma różniło się od mojego właściwie pod każdym względem, jeśli nie liczyć zasadniczego faktu, że obaj dorastaliśmy w biedzie, nie uświadamiając sobie w sumie jej rozmiarów. Do tego obaj, pozbawieni jako dzieci kontaktu z morzem, oddaliśmy życie wielkim statkom. Lecz poza wszystkim innym tego przewymiarowanego, przesympatycznego Amerykanina ze Środkowego Zachodu i mnie, zwartego, kontestującego Żyda, połączyło przekonanie, że życie jest długim pokazem mistrzostwa w przewyciężaniu spuścizny dzieciństwa. Tamtego dnia Tom wybrał restaurację w hotelu Park Hyatt, robiącą znacznie większe wrażenie niż burgerownie, ku którym zwykle się skłaniał. Darował sobie wstępy.

– Mam interesujące wieści – powiedział, gdy tylko usiedliśmy.

– Tak?

– Continental zawarł umowę z L___ Petroleum na zakup od rosyjskiego rządu sześcioprocentowego pakietu udziałów.

– I to ma być dobra wiadomość?

– A co ty myślisz? Dzięki temu uzyskaliśmy właśnie dostęp do miliarda baryłek ropy. Zapewne za chwilę nasze akcje przyjemnie drgną.

– Dobra, dzwonię do maklera.

– Bez żartów. W tej chwili to są jeszcze poufne informacje, więc ani pary z gęby.

– A ile daliście za ten przywilej?

– Mniej niż dwa miliardy.

Wziąłem ze stołu menu.

– Powinieneś zapytać – pouczył mnie Tom – ile na tym zarobimy.

– Przykro mi to mówić, przyjacielu, ale wy możecie najwyżej stracić. Minęło ile? Jakieś pięć, sześć lat, odkąd cała branża naftowa ruszyła do Rosji. Podaj mi przykład chociaż jednego przedsięwzięcia, które okazało się dochodowe. Ciągłe zmieniają system podatkowy. Naruszają warunki kontraktów. Nie płacą zobowiązań. Łatwiej tam pijaka wyciągnąć z nałogu niż uruchomić jakiś biznes.

To samo klarowałem od czterech lat synowi, ale Lenny obstawał przy „perspektywie długoterminowej”.

– A może byś się tak nie przejmował pieniędzmi Continentala? Nie zbankrutujemy, zapewniam cię. Nie jesteś ciekaw, gdzie wiercimy? Podpowiem ci: tam jest zimno.

– To dobrze, Tom. Bardzo dobrze.

– Czemu się uśmiechasz?

– Pingwiny.

– Jakie pingwiny?

– Pingwiny, które zdaniem Kremla będziecie truć, kiedy już zdecydują się was wykopać.

– Tam nie ma żadnych pingwinów.

– Putin osobiście je tam dostarczy.

Tom odchylił się na krzesło i założył mięsiste ręce za głowę.

– Za pięć lat – podjąłem – zaczną twierdzić, że wierciliście w środowisku wrażliwym na zanieczyszczenia, i ogłoszą, że wytruliście wszystkie ryby albo niedźwiedzie polarne, po czym zażądają, żebyście przekazali im połowę zysków albo zabierali się do diabła. Najpierw wystosują ostrzeżenie. Jest to bądź co bądź kraj chrześcijański.

– Jak jesteś taki mądry, to może powinieneś pracować dla nas.

– Nie stać was na mnie.

Z palcami wciąż zaplecionymi za głowę Tom powiedział:

– Podaj sumę. Ile dostajesz w Herbert Engineering?

Czyżbyśmy negocjowali? Wystarczyło jedno pytanie Toma, żebym się zaczerwienił. To było jak obcesowa propozycja złożona po zalotach tak długich, że wszelki erotyzm wyparował z nich lata temu.

– Lubię pracować dla Herberta. Wolno nam przyprowadzać psy do biura.

– Nie masz psa.

– Podczas lunchu ludzie grają na trawnikach we frisbee.

– Możesz sobie grać we frisbee na naszym trawniku.

Nie odrywał ode mnie spojrzenia i nawet okiem nie mrugnął.

– Do czego mnie potrzebujesz? Jestem stary.

– Reagan miał sześćdziesiąt dziewięć lat, gdy został prezydentem.

Nie musiał mi o tym przypominać. Wśród rozmaitych spraw, które nas przypadkiem łączyły, było i niezłomne uwielbienie dla Ronalda Reagana. Biorąc pod uwagę, że obecnie urząd sprawował mały Bush, niewielu osobom mogłem się przyznać, że jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiłem jako świeżo upieczony Amerykanin (zgodnie z prawem otrzymał obywatelstwo z chwilą przekroczenia granicy USA), było oddanie głosu na Ronniego.

– A czym się teraz zajmujesz w Herbercie? – ciągnął Tom. Przygotował sobie to wystąpienie. – Modernizujesz statki straży przybrzeżnej, które przestały być nowoczesne dobre trzydzieści lat temu. Podtrzymujesz przy życiu lodołamacze zamówione w połowie lat sześćdziesiątych. I właśnie tym chcesz się zajmować, przechodząc na emeryturę?

Wzmianka o emeryturze dosłownie podniosła mi włosy na głowie. W wieku

pięćdziesięciu dziewięciu lat nie wyzbyłem się jeszcze ambicji. Przeciwnie: w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat odkryłem, że ambicja została mi zaszczerpiona minionymi rozczarowaniami i chęcią zrekompensowania sobie w drugiej połowie gry szans utraconych w pierwszej.

Tom nakreślił perspektywy: L-Pet był poważnie zainteresowany sięgnięciem do arktycznego potencjału. Chcieli uruchomić spółkę joint venture z Continentalem, by postawić platformę wiertniczą w na wpół zamrożonym Morzu Barentsa, skąd ropę można byłoby przewozić do portu w ciepłym Murmańsku.

– Arktyka jest zamrożona przez osiem miesięcy w roku, Tom. Zawsze twierdziłeś, że przewożenie przez nią czegokolwiek statkami jest nieopłacalne.

– Na razie. Ale to się wkrótce zmieni.

– Sądziłem, że wy, ludzie od ropy, nie wierzycie w globalne ocieplenie.

– Bzdura. Stoimy po prostu na stanowisku, że zmiany klimatyczne są zjawiskiem naturalnym, a nie wywołanym przez człowieka. Obszar wód otwartych Arktyki szybko się powiększa, a Morze Barentsa stopniowo się ociepla. L-Pet ma ropę, my mamy technologię.

– Jaką technologię?

Murmańsk może i był ciepłym portem, ale otaczał go lód gruby na pół metra. Ropa wymagała dowiezienia, tymczasem korytarze były zbyt wąskie dla konwencjonalnych lodołamaczy.

– To jest właśnie najpiękniejsze. Wyprodukujemy własne tankowce wahadłowe o podwójnej funkcji. Trzy wahadłowce, które będą przewozić ropę i łamać lód. Całkowicie nowa koncepcja.

Nie wierzyłem własnym uszom. Jeszcze rok temu taki pomysł mógł wyjść ode mnie, a teraz próbował mi go sprzedać Tom. Kiedy zwróciłem mu na to uwagę, odparł:

– Możesz wprowadzić go w życie. Ciągle dłubiesz przy statkach innych ludzi. Koniec z tą zabawą we Frankensteina. Czas zaprojektować coś własnego.

– Ależ mogę to zrobić, pracując dla Herberta. Co więcej, wyjdzie wam to taniej.

– Tak, ale w Herbercie pracujesz również potencjalnie dla Exxon, Chevron i diabli wiedzą kogo jeszcze. Może chcemy cię wycofać z obiegu?

Argumentom finansowym mogłem się opierać, ale wobec apeli do mojej próżności okazałem się bezbronny. Głupiec ze mnie, zawsze byłem po inteligencku łasy na pochwały.

Tego popołudnia Tom użył wobec mnie całego swego nieodpartego uroku i iście reaganowskiej zdolności perswazji. Nie musiał się aż tak wysilać. Sarkazmem maskowałem niezaprzeczalny fakt, że oto za siedem miesięcy skończę sześćdziesiątkę i przyszłość nie złoży mi już wielu tego rodzaju ofert.

Tom zastrzegł, że bym nie odpowiadał od razu, tylko przespał się z tematem. Niemniej formalna oferta przyszła na mój numer domowy faksem, zanim zdążyłem zaparkować na podjeździe. A ujrzawszy kwotę... Jak w ogóle miałbym zasnąć?

Gdybym znał prawdziwe motywy kryjące się za propozycją natychmiastowego zatrudnienia, być może znalazłbym w sobie dość tupetu, by poprosić o dwa razy tyle. Tom nie szukał najbiegłego budowniczego okrętów, lecz osoby posiadającej cechy, które

zupelnym przypadkiem trafily sie akurat mnie. Tego wieczoru jednak, trzymajac w dloni ciepla jeszcze oferte, uzmyslowilem sobie, ze proponowana mi intratna wspolpraca stanowi rzadka okazje wprowadzenia kilku nieco zbyt poznych korekt moich rodzicielskich zaniedban. Moze jedynym sposobem na wyciagniecie syna z Rosji byl moj powrot do niej?



Lenny Brink aż do dnia swoich trzydziestych czwartych urodzin żywił przekonanie, że mężczyzna, który przed trzydziestkąpiątką nie ma na koncie miliona, przegrał życie. Zmuszony był dokonać pewnych modyfikacji tej teorii. Kiedy przed dziewięcioma laty przyjechał do Moskwy, liczba lat w tym równaniu wynosiła trzydzieści. W jego rozumieniu problem polegał na tym, że siły globalizacji niczym siły entropii w zupełnie niekontrolowany sposób przenikały nieustannie przez społeczne i narodowe membrany, aż wreszcie wszystko się do siebie upodobniało. Potwierdzeniem tego zjawiska była tamtego dnia zatopiona w zieleni rezydencja Kuskowo, miniaturowy moskiewski Wersal, w którym ekspaci i współpracujący z nimi Rosjanie zgromadzili się świętować niepodległość Stanów Zjednoczonych. Letnią rezydencję hrabiostwa Szeremietiewów zbudowano dla zaspokojenia europejskich ambicji rosyjskiej arystokracji, lecz tamtego dnia białe marmurowe popiersia w pałacowych ogrodach przyozdobiono stuprocentowo amerykańskimi banerami Kodaka i Avonu. Nad brzegiem stawu z ozdobnymi karpiami unosił się niczym lewitujący mnich dmuchany Ronald McDonald. Wypełnione helem balony w niezniuansowanych odcieniach bieli, czerwieni i błękitu spletały się z gałęziami wiekowych rosyjskich sosen. Widoczny w oddali różowawy pałac trochę nie pasował do wszystkich tych uroczystości, lekko zażenowany jak korpulentna, trzymająca się nieco z boku przyzwoitka. Tutaj, wzdłuż terenów miejskich pamiętających czasy imperium, korporacyjni sponsorzy Amerykańskiej Izby Handlowej ustawili stoiska i namioty z jedzeniem z okazji Dnia Niepodległości.

Ostra woń buchająca znad szaszłyków niosła się w cień sosen, gdzie przy piknikowym stole przysiadł Lenny, garbiąc potężne plecy, bez reszty zajęty pochłanianiem drugiego hot doga. Niebo zaczęło przybierać kolor szampana, a w przesyconym zapachem grilla powietrzu unosiły się strzępki rozmów prowadzonych po japońsku, niemiecku, niderlandzku i w dialekcie Teksasu.

– Gdyby głupota była ziemią, jego pokrywałaby chyba z akr. Paniom powinienes to chyba przeliczyć na hektary, Dmitri – mówił właśnie do swoich rosyjskich towarzyszy jakiś rosły nafciarz stojący może pół metra dalej.

Swoboda, z jaką te amerykańskie bieługi korzystały ze swej uprzywilejowanej pozycji białych bóstw, irytowała Lenny'ego tym bardziej, że sam czuł się zupełnie do niej niezdolny. Nawet jednak z prostacką obcesowością Teksasńczyków czuł się lepiej niż z dobiegającymi go przypadkowo rozmowami prowadzonymi denerwująco potoczną angielszczyzną, ukrywającą pochodzenie rozmówców (Moskwa? Berno? Cleveland?) i będącą już nie wyuczonym esperanto europejskich biznesmenów, lecz uniwersalnym

zargonem, który dawało się przyswoić przez osmozę dzięki wielogodzinnym maratonom Zagubionych i Prawa ulicy na DVD. Jego wszechobecność podczas tego pikniku wzbudzała w Lennym rozsadzającą głowę panikę, wzmaganą mdlącym niepokojem, który odczuwał od rana. W trakcie tych dziewięciu lat, podczas których pojawiał się na przyjęciach organizowanych przez Izbę z okazji uzyskania przez Amerykę niepodległości, jeszcze nigdy nie było tak trudno jak dziś odróżnić rodowitych Rosjan od przyjezdnych z zagranicy. Wciąż potrafił wyłowić wzrokiem kilka garniturów z Hongkongu i aż nadto katolickich krzyżyków, ale niezawodnie niegdyś obecna grupa osobników w adidasach i spranych dzinsach tak się skurczyła, że trudno było liczyć na to, że podtrzyma jego poczucie wyższości. Jej miejsce zajęła szybko rosnąca chmara posiadaczy grubych bawełnianych koszul, eleganckich pastelowych swetrów i żeglarskich mokasynów – uniwersalnego letniego stroju międzynarodowej elity. Przez krótką chwilę Lenny obawiał się, że z powodu pomiętej lnianej marynarki mogą go omyłkowo wziąć za krajowca.

Przy stole piknikowym towarzyszyło mu dwóch młodszych menedżerów pracujących dla tego samego co on funduszu inwestycyjnego. Przedwcześnie łysiejący Nowozelandczyk perorował właśnie z goryczą o bezwzględności życia, kierując swoje uwagi do młodego Amerykanina z Wirginii, rozwodzącego się na temat byłej żony, Ukrainki. Była żona, z którą Wirginijski nadal okazjonalnie sypiał, ciągnęła z niego kasę na swój dekoratorski biznes.

– Człowieku, to jak z psem Pawłowa: uwarunkowałeś ją, żeby chciała od ciebie więcej forsy.

Wirginijski przytaknął gorliwie, zupełnie tak, jakby godząc się być dręczonym i wykorzystywanym przez Słowianki, zasłużył na medal za waleczność. Lenny uzmysłowił sobie nagle, że żaden z tych głupców nie ma pojęcia, że grupa Abacus zwolni ich natychmiast, gdy tylko dopnie kontrakt, na mocy którego sprzeda się Westhouse Capital Partners. Pocieszał się, że on sam, jako starszy menedżer oczekujący awansu na partnera, jest bezpieczny. Swoim towarzyszom przysłuchiwał się akurat wystarczająco długo, by obiecać sobie, że weźmie się ostrzej za własną słowiańską dręczycielkę, Katię, po czym zdecydowanym ruchem zmiął serwetkę, wrzucił ją do przepelnionego kosza na śmieci i podjął przerwana wędrowkę po trawniku. Odkąd trzy tygodnie temu ze sobą zerwali, szarmancko przeniósł się na kanapę, tymczasem Katia nadal zajmowała sypialnię. Minał prawie miesiąc, a ona wciąż nie znalazła dla siebie lokum, chyba nawet go nie szukała. Rano poruszył ten temat przy śniadaniu i tyle osiągnął, że Katia przypomniała mu z płaczem znad kuchenki, że to on zaciągnął ją do tego miasta, z dala od pozostawionych w Petersburgu ukochanej mamoczki i młodszej siostrzyczki. Czy miała porzucić pracę i całe swoje życie teraz, gdy stała mu się niepotrzebna? Może właśnie widok jej łez i smarków kapiących niehigienicznie na omlet z kiełbasą, który dla niego smażyła, skłonił Lenny'ego do złożenia spontanicznej obietnicy dopłacania jej do czynszu przynajmniej przez kilka tygodni. Obietnica uciszyła chlupanie; mógł sobie na nią pozwolić, ponieważ był pewien premii po sfinalizowaniu transakcji z WCP, który to bonus, nawet po dotrzymaniu świeżo podjętych zobowiązań wobec Katii, umożliwi mu odbudowanie uszczuplonych oszczędności. Tego pogodnego popołudnia niepokoiło go

tak naprawdę jedynie to – pomijając wątpliwej jakości parówki w hot dogach, które z trudem trawił – że minęły już trzy dni, odkąd jego przyjaciel Austin powiedział mu w największym zaufaniu o zbliżającej się transakcji, a do tej pory nikt słowem się o niej nie zająknął. Oczywiście było jeszcze za wcześnie na podawanie tego do publicznej wiadomości, ale Austin zapewniał go, że będąc już niemal partnerem, bez dwóch zdań pozostanie na pokładzie, gdy Abacusa wchłonie większa firma.

Chcąc zorientować się ukradkiem, co jest właściwie grane, tym razem zostawił Katię w domu. Teraz jednak zwątpił w swoją przebiegłość, wspominając łatwość, z jaką Katia nawiązywała z ludźmi niezobowiązującą rozmowę, na którą nie potrafił się nagle zdobyć. Ledwie przed pół godziną spostrzegł Alexa Zaparotnika, partnera zarządzającego Abacusa, gościa trzy lata od niego młodszego, fraternizującego się z jakimiś różowymi koszulami, które otaczał charakterystyczny nimb Wielkiej Czwórki. Alex, który na pewno go dostrzegł, w geście pozdrowienia zaledwie lekko uniósł brodę.

Teraz, przemierzając rozległy, nasiąknięty piwem trawnik Kuskowa, Lenny czujnie wypatrywał potencjalnych sojuszników. Dobiegająca z kilku zestawów głośników pulsująca muzyka elektroniczna gwałciła mu uszy. Wśród spazmatycznych house'owych bitów i zapętlonych kobiecych jęków ledwie rozróżnił krzepiąco piskliwe wokalizy Noego, swojego przyjaciela, stojącego pod jednym z czerwonych parasoli Coca-Coli z jakimiś ludźmi z Alpha Capital.

– To byłaby strata waszych pieniędzy – klarował głosem bucza przeciwmgłowego Noe – ponieważ wszystkie te cudowne rzeczy równie dobrze jak w Dubaju możecie dostać w Pattayi: opium, egzotyczną broń palną, małe dziewczynki, małych chłopców, białe rekiny. Tajowie, widzicie, są ludźmi bardzo otwartymi, trochę jak... rozdokazywane koty. – Adresatkami mądrości Noego były dwie młode rozchichotane kobiety; zsumowane obwody ich talii z pewnością nie mogły dorównać brzuszysku Noego, który właśnie jednej z nich, brunetce z malutką pupką, zgrabnie opiętą dzinsami ze sznurowaniem na łydkach, lubieżnie położył dłoń na biodrze. – Wchodzisz do dowolnego klubu w Pattayi, a oni tam mają tancerki, które strzelają piłeczkami pingpongowymi z cipki. – Przykucnął, żeby zademonstrować, a jego towarzyszki wybuchły piskliwym śmiechem. – Mówię absolutnie poważnie. Znam faceta, któremu taka piłeczka prawie wybiła oko. Zapytajcie mojego kolegę, on wam o tym opowie – powiedział, chwytając Lenny'ego pod ramię.

– Pojęcia nie mam, o czym on, do diabła, mówi – zapewnił Lenny dziewczyny.

Obie, ocenił szybko, były na jego gust za młode. Blondynkę, choć uroczą, nękał jeszcze trądzik młodzieńczy. Lenny nie potrafił dociec, co te nimfetki pociągało w Noem, rozlazłym tłuszczochu przypominającym Garfielda. Jedynym wyjaśnieniem były furmanki pieniędzy, które Noemu udało się zarobić przez lata pracy w Moskwie na zarządzaniu amerykańskimi inwestycjami Michaiła Fridmana, którą to robotę w przekonaniu Lenny'ego jego przyjaciel zawdzięczał niezwykle wprost fizycznemu podobieństwu do samego oligarchy. Być może sam fakt bycia amerykańskim sobowtórem oligarchy, choćby paskudnego, zagadkowo wpływał na nienaturalną śmiałość Noego wobec kobiet.

– Rozmawialiśmy właśnie z dziewczynami o podróżach. Julia i Marina dopiero co wróciły z Soczi, mam rację?

– Rosyjskie Saint-Tropez – zauważył Lenny.

– A teraz wybierają się do...

– Kairu! – obwieściła Julia.

– Od Arabów lepiej trzymajcie się z dala – ostrzegł Noe. – Wiecie, co z tymi ciapatymi robi widok białego dziewiczego ciała.

Julia i Marina, zamiast się przestraszyć, znów zachichotały i zgodziły się, że Egipt faktycznie byłby o niebo lepszy, gdyby nie roilo się w nim od Arabów.

– Dlaczego nie lubicie Arabów? – zapytał Lenny.

Julia wzruszyła ramionami.

– Tańczyłam kiedyś obok Araba w klubie. Oni... wonieją.

Powszedni rasizm rosyjskich kobiet nieodmiennie go zdumiewał. Argument smrodu słyszał wysuwany przeciw Afrykańczykom, Arabom, wszystkim mieszkańcom Kaukazu, a nawet cierpiącym na niedoczynność gruczołów potowych Azjatom. Na kontynencie euroazjatyckim uprzedzenia przemierzały się na wschód jak prąd strumieniowy.

– Marinie nie przeszkadza ich zapach. Chce być stewardesą w Emirates.

– Ci z Emirates to nie Arabowie! – pogodnie zaprotestowała Marina. – To Dubaj!

– Mogę z tobą pogadać? – zapytał Lenny.

– Dziewczyny zaprosiły nas na przyjęcie.

– Muszę z tobą porozmawiać. Wybaczcie nam. – Odciągnięcie Noego na bok wymagało nieco siły. – Myślę, że coś jest na rzeczy z tym dealem z WCP. Przed chwilą widziałem Zaparotnika. Zachowywał się... sam nie wiem...

– Ile razy ci mówiłem, żebyś zapomniał o tym facecie? Chodźmy na imprezę. Halo, jest czwarty lipca.

– Jest szósty lipca. Muszę znaleźć Austina. Kurde. Gdzie to przyjęcie?

– Nie wiem. Na Kuźnieckim Moście, w mieszkaniu jakiegoś cwela z BP, z którym mieszka ich przyjaciółka Dasza.

– No-a! – zawołała Marina przez trawnik. – Idziesz? Dasza czeka przy wyjściu!

Noe machnął ręką w kierunku rzędu toi toiów.

– Ustawimy się tylko w ogonku dla bezrobotnych i zaraz was dogonimy.

– Jakbym był jakąś panną, którą próbuje splawić.

– Ciebie tu pot oblewa z powodu tego wielbiciela majonezu, a powinieneś przede wszystkim zadać sobie pytanie, dlaczego w ogóle chcesz się urabiać po łokcie w WCP. Masz wystarczająco dużo klientów, żeby pójść na swoje.

– To nie takie proste... – Lenny nie umiał sobie przypomnieć, co kiedyś naopowiadał, by stworzyć takie wrażenie. Może po prostu podtrzymywał złudzenie pozwalające Noemu sądzić, że on, Lenny, troszczy się tylko o siebie, jak z pewnością zrobiłby na jego miejscu Noe? Obrzucił spojrzeniem rojące się na trawniku tłumy. – Muszę znaleźć Austina. Potem możemy iść.

– Jest tam, obok tego burdelu.

Noe brodą wskazał scenę obok prowizorycznego pawilonu Procter & Gamble, w której Lenny rozpoznał źródło zapętlonego techno. DJ ewidentnie już dawno zszedł z posterunku, a jego miejsce zajęły dwie Rosjanki we fluorescencyjnych bikini, tańczące

niezmordowanie dla zahipnotyzowanego, półprzytomnego tłumu białych mężczyzn.

– Zaczekaj tu, dobrze?

– Mam nadzieję, że to nie rozkaz, bo w planach mam odlać się i iść na imprezę.

Ale Lenny już kluczył po polu minowym usianym czerwonymi plastikowymi kubkami i butelkami w stronę zbitego tłumu pod sceną, gdzie półnagie tancerki ruszały się ponętnie w stroboskopowych światłach. Ponad morzem ludzkich głów obróconych twarzami do sceny podrygiwała niczym boja czerwona baseballówka Austina.

– Hej, stary! – W oczach Austina rozbłysła krzepiąca iskra prawdziwej radości. – Nie sądziłem, że wpadniesz.

– Czemu nie?

– Co?

– Wszystko jedno. Co robisz później?

Austin zdjął czapkę i otarł ogoloną na łyso głowę.

– Może ruszę się do Bleachers, popatrzeć, jak Raysi rujną swoją szansę w play-offach.

Lenny zastanawiał się czasem, co ludzie tacy jak Austin w ogóle robili w Moskwie. Mimo deklarowanego staromodnego uznania dla „innych kręgów kulturowych” Austina nie pociągała ani kultura wysoka tego miasta, ani dostępne w obfitości zepsucie. Dosłownie co wieczór zasiadał z upodobaniem w jednym z kanadyjskich pubów i śledził punktację w baseballowych starciach Florida – Florida State.

– Żarty sobie robisz? Przecież nie nadają tego nawet na żywo – zdziwił się Lenny. Austin się rozejrzał.

– Katia też przyszła?

– Nie, została w domu.

– Wszystko u was w porządku?

– Tak, wszystko okej. Rozmawiałeś dziś z Saszą Zaparotnikiem?

– Uhm... No tak, widziałem Alexa.

Na dźwięk imienia Zaparotnika uśmiech Austina z dobrodusznego stał się nieprzenikniony.

– No więc co to za sprawa z ugadywaniem facetów z WCP przez całe popołudnie?

– Lenny miał nadzieję, że się myli. Zgadywał na ślepo tożsamość różowych koszul, myśląc, że Austin to sprostuje.

Ale Austin tego nie zrobił.

– No to co, złożyli ofertę czy jak? – Lenny starał się, by w jego głosie zabrzmiał optymizm.

– Tak – powiedział Austin słabo. – Złożyli ofertę.

– No i dobra. Zatem... zachowamy wszystkich naszych starych klientów, tak?

– Lenny...

– Warunek jest taki, że zostawiają nas wszystkich w jednym dziale, tak? Pełna autonomia...

– Lenny, proszę, zamknij się na chwilę.

Ale Lenny nie mógł się zamknąć. W tym momencie bał się, że jeśli urwie, usta mu spuchną jak pacjentowi w klinice dentystycznej po nowokainie i nie zdoła wykrztusić ani

słowa.

– Lenny. WCP nie bierze nikogo prócz partnerów.

– Miałem zostać partnerem.

– Ale w tym momencie nim nie jesteś i o tym właśnie mówię.

– A dlaczego? To ty mi powiedziałeś, jak zaczynaliśmy, że przed upływem roku będę partnerem.

– Lenny, ściągnąłem cię tu, ale nie mogę cię cały czas prowadzić za rączkę. A zresztą to Alex dopina ten deal, nie ja, a ty dobrze wiesz, jak się ostatnio między wami układa.

– No właśnie nie wiem. Może mi powiesz? W dniu, w którym mu przyprowadziłem Actophage, wyglądał na szczerze uradowanego.

– Wszyscy doceniają to, co udało ci się osiągnąć.

– Kurde, Austin...

– Lenny, to nie moja decyzja.

– Kurde, powiedz mi jeszcze, że się za mną wstawiałeś. To jedna wielka bzdura. Austin powoli wypuścił powietrze i utkwiał wzrok w oddali.

– Oczywiście, że tak, ale wiesz dobrze, że nadepnałeś mu na odcisk.

– A konkretnie co mu takiego zrobiłem?

– A konkretnie mówisz na niego Sasza, żeby nie szukać daleko.

– On ma tak, kurwa, na imię.

– Wszystko jedno. Niektórym klientom dajesz do zrozumienia, że jesteś partnerem.

On nie uważa, żeby to było fajne.

– Jest nas czwórka. Klienci zakładają, że wszyscy jesteśmy partnerami.

Po twarzy Austina przemknęło powątpiewanie. Był typem, który często się nie zgadzał, ale rzadko się spierał.

Prawda była taka, że Lenny naprawdę uważał się za partnera pod każdym względem – z wyjątkiem nazwy stanowiska, a fakt, że nie uczyniono go jeszcze partnerem oficjalnie, był jedynie przeoczeniem, którego skorygowanie pozostawało w jego przekonaniu jedynie kwestią czasu.

– Dobra, dobra, nie odchodź – powiedział. – Po prostu... pomóż mi zrozumieć. Co on powiedział?

– Czemu to sobie robisz, Len?

– Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

Austin znów otarł głowę bokiem czapki, po czym zatopił się w uważnym studiowaniu plam potu.

– Uważa, że nie zawsze masz poczucie ważności naszej misji. Że czasem myślisz jak... jak...

– Jak kto?

– Jak Rosjanin.

– On nazywa mnie Rosjaninem! Co to, do cholery, ma w ogóle znaczyć?

– Ciągłe rozprawiasz o „szerszej perspektywie”, stawiasz wszystkim kolejki i...

– A co w tym złego, że mam gest?

– Nic. Po prostu cała ta aura uradowanego towarzysza, którą roztaczasz, również

w kontaktach z klientami. Typowy maniłowizm.

– Zgubiłem się, Austin.

– Maniłow z Martwych dusz Gogola... Czytałeś chyba.

Lenny był podwójnie zaskoczony: faktem, że Austin to czytał, oraz jego przekonaniem, że Lenny wykaże się przynajmniej podobną znajomością kanonu.

– No, piętnaście lat temu – skłamał. – Ale o co biega?

– Maniłow to ten, co od zawsze śnił na jawie o przerzuceniu przez rzekę mostu, na którym kupcy rozstawia stoiska i będą sprzedawać swe towary wieśniakom. Ale gdy ktoś przerywał mu te sny pytaniem o kwestie praktyczne, jego umysł nie umiał tego przetrwać.

– Nie potrzebuję tu, kurwa, streszczenia książki.

Austin nasadził czapkę na głowę i poprawił daszek.

– Lenny, coś sobie znajdziesz. Przykro mi. – I jakby zobaczywszy kogoś w oddali, uniósł rękę w geście pozdrowienia. – Muszę iść – powiedział, przed odejściem po męsku ścisnąwszy ramię Lenny'ego.

Lenny jakby nagle wrósł w ziemię. Stopy zaciążyły mu ołowiem, a zresztą i tak nie zaufałyby kolanom, że nie ugną się pod nim, gdyby chciał zrobić krok. Niecały metr dalej dwie dziewczynki, pięcio- albo sześćioletnie, z zachwytem imitowały zmysłowe wygibasy tancerzek ze sceny. Lenny usłyszał własny szaleńczy chichot.

W 2001 roku, kiedy Alex był jeszcze Saszą, bladolicym absolwentem Uniwersytetu Moskiewskiego, którego ziemista cera i zgarbione plecy zdradzały niezliczoną liczbę godzin spędzonych w lepkiej poświacie monitorów komputerowych, wysłano ich we dwóch, by przeprowadzili standardową analizę fabryki silników pod Plusińskiem na wschodniej Syberii. Fabryka była niewypałem; w ciągu czterech lat prowadziła bez skutku negocjacje z trzema różnymi firmami konsultingowymi. Zanim Lenny dotarł do Rosji, najlepsze fabryki zostały już rozdrapane przez wielkie fundusze inwestycyjne, a te marne – kupione za bezcen i оголоcone ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Rzutki młody pracownik funduszu inwestycyjnego musiał się wykazać nie lada przedsiębiorczością, by znaleźć prawdziwy inwestycyjny klejnot. Fabryka silników była pierwszym zadaniem zwiadowczym przydzielonym im po ukończeniu kiepskiego sześciotygodniowego programu szkoleniowego, podczas którego uczyli się wypełniać raporty finansowe i arkusze oceny ryzyka. „Samolot klasy biznes” zarezerwowany dla nich przez WCP okazał się rządzającym jakimś-40. Kostia, ich kierowca i przewodnik po Plusińsku, był niskim krętaczem o sylwetce ćpuna, właścicielem nieogrzewanej półcieżarówki, którą dałoby się rozmrozić chyba tylko lutlampą, a którą Kostia manewrował przerażająco umiejętnie po pełnym dziur torze przeszkód, jakim okazał się plusiński system połączeń drogowych. Obserwując przez okno samochodu Kostii obraz wzięty żywcem z Tarkowskiego – próchniejące słupy energetyczne, ogłupionych nerwicą frontową rolników i pomarańczowy śnieg – Lenny czuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu. Pomyślał o wszystkich swoich przyjaciółach, którzy zostali w Stanach razem z tą ich biurową pracą, ziołem i kablówką. Pieprzyć Rodzinę Soprano, pomyślał. Pieprzyć Z Archiwum X. On tutaj, kurde, miał ten szajs na żywo. Kowboj na kresach prywatnej przedsiębiorczości.

Okazało się, że Plusińska Fabryka Silników jest w znacznie lepszym stanie, niż którykolwiek z nich mógłby przypuszczać. Kiedyś była przodującym radzieckim zakładem, wytwarzającym głównie generatory i silniki dla przemysłu obronnego. Nie dobiły jej długi (skromne, jeśli porównać z typową rosyjską fabryką) ani przestarzałe wyposażenie (to, które miała, wciąż nadawało się do wykorzystania), ale fakt, że jego zarząd, hołubiony latami z powodu roli odgrywanej przez fabrykę w sektorze obronnym, nie chciał sprzedać pakietu większościowego żadnej firmie zagranicznej. Fabryka przypominała niebrydka właściwie kobietę, która z powodu wygórowanych oczekiwań została starą panną.

Od Lenny'ego i Saszy nie oczekiwano, że dobiją targu tam, gdzie zawiedli inni swaci. Ich zadaniem nie było doprowadzenie kierownictwa fabryki na ślubny kobierzec z niechcianym zagranicznym inwestorem, lecz zwyczajne przeanalizowanie kilku liczb i złożenie sprawozdania, z którego powinno wynikać, czy z perspektywy potencjalnego nabywcy fabryka w ogóle warta jest uwagi. Zadanie nie mogło pochłonąć więcej niż dwa popołudnia, a tym samym resztę czasu można było spędzić w miejscowej bani, na imprezowaniu z tanimi plusińskimi dziewczynami (Lenny dogadał się już z Kostią, który zaoferował się załatwić zarówno zakąski, jak i dziewczyny). Sasza Zaparotnik miał jednak inne plany. Porozmawiał z jednym z inżynierów od silników i dowiedział się o „pobliskiej” elektrowni geotermalnej, znajdującej się, bagatela, jakieś osiemset kilometrów dalej.

Niewielkie złoża termalne zostało porzucone przez rząd radziecki z początkiem poprzedniej dekady już po wykonaniu odwiertów i założeniu sieci energetycznej – państwu skończyły się pieniądze i projekt został przerwany. Teraz właścicielem złoża był koncern naftowo-gazowy, który na sprzedaży ropy zarabiał tyle, że pozwolił elektrowni marnieć, nie dokonując żadnych nowych inwestycji. Sasza wykoncypował, że łatwo przekona koncern do sprzedaży zakładu, i w tym momencie Lenny przestał za nim nadążać. Zaparotnikowi można było wybaczyć ocenę, że osiemset kilometrów to wedle rosyjskich standardów niewielka odległość, ale gość musiał być albo wariatem, albo nacjonalistą, żeby tłuc się w zatęchłej parówce kolei transsyberyjskiej tylko po to, żeby wepchnąć łeb do geotermalnej dziury. Jasne, to musiało boleć – patrzeć, jak prężny niegdyś ojczysty przemysł zostaje starty na proch, a zastępy wujów i dziadków ze znakomitym wykształceniem wyrzucane są na bruk. Ale energia geotermalna? Serio? W kraju, z którego dosłownie lała się ropa? Nie, dzięki.

To mniej więcej powiedział Lenny Saszy, zostawiając go na stacji w Plusińsku, zanim samotnie wrócił samolotem do Moskwy. Nie mieli okazji dłużej porozmawiać przed wspólnym zaprezentowaniem swoich odkryć partnerom firmy. I właśnie wtedy Sasza przedstawił zaskakującą argumentację przemawiającą za inwestycją w mały zakład geotermalny. Choć próba znalezienia kupca na geotermię w kraju zasobnym w ropę mogłaby się wydawać sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem, bliższa analiza wykazała, jak miało się przekonać WCP, że złoża znajduje się w tej części Rosji, w której istnieje niezaspokojony popyt na energię elektryczną, a jej cena jest jedną z najwyższych w kraju, jako że większość paliwa trzeba transportować z bardzo daleka. Zakład przeoczono, bo wszyscy byli przekonani, że w surowym klimacie ukończenie budowy okaże się zbyt

kosztowne. Tymczasem istniało proste rozwiązanie: zakład można było zaprojektować w modułach, które wyprodukowano by w cieplejszym regionie zachodniej Syberii, a następnie przetransportowano drogą lotniczą i zmontowano na miejscu. Najtrudniejsza część projektu – odwiert – została już wykonana przez Sowieców. Zakład mógłby właściwie z miejsca ruszyć z produkcją energii i sfinansować w ten sposób nowe odwierty. Gdyby jednak nabywca gotów był wyłożyć jakieś, powiedzmy, szesnaście milionów dolarów na inwestycje, projekt zacząłby się zwracać dosłownie z dnia na dzień. Przy zatrudnieniu na poziomie zaledwie dwunastu stałych pracowników, jak raportował Sasza, koszty operacyjne są naprawdę niskie. Większość pozostałych prac można wykonać przy pomocy tanich robotników sezonowych.

Nie mając podczas całej prezentacji Saszy dosłownie nic do dodania, Lenny czuł, jak w wyschniętych nagle ustach rośnie mu coś kwaśnego. Ten wyskrobek pomyślał o wszystkim. Znalazł nawet japońską firmę potencjalnie zainteresowaną inwestycją. Wyreżyserował całość precyzyjnie, nawet słowem nie zdradzając się z tym przed Lennym, gdy poprzedniego wieczoru we dwóch przygotowywali prezentację.

Było to jednak siedem lat temu i wiele się od tego czasu zmieniło. Lenny'emu udało się osiągnąć kilka sukcesów. Miał smykałkę do ubijania interesów w trasie i zawsze potrafił zapewnić klientom odrobinę rozrywki. W głębi ducha był zaskoczony ofertą od Abacusa. Ze strony Zaparotnika mógł to być prezent na zgodę, no a poza tym dwaj pozostali partnerzy, obaj blisko zaprzyjaźnieni z Lennym, byli facetami od liczb, którym brakowało sprzedawcy. Sasza, który posługiwał się już wówczas imieniem Alex, przeobraził się w jednego z tych odruszczonych Rosjan obnoszących się ze swoimi zanglicyzowanymi imionami i dyplomami London School of Economics. Lenny wiedział, że wyrażanie pogardy dla Alexów tego świata uczyni go jedynie łatwym celem odwrotnie skierowanej pogardy żywionej wobec niego przez Alexa. Wydawało się, że Zaparotnik potrafi przejrzeć wszelkie podejmowane przez Lenny'ego próby wejścia w biznesową zażyłość, sięgając wzrokiem aż do jego neurotycznego imigranckiego rdzenia, jakby jego wewnętrzną tragedią była sama przynależność do tej zdezorientowanej klasy ekspatów, których rodziny uciekły ze Związku Radzieckiego tylko po to, by ich dzieci mogły powrócić niczym łososie i unurzać głowy w szambie świeżo zdemokratyzowanej Rosji.

Pod niebem zmieniającym barwę od szampana do fuksji Lenny powlókł się w kierunku bramy wejściowej. Lepki, słodkawy smród spalonego na grillu tłuszczu obudził w nim dziwną tęsknotę. Przypomnił mu dwa lata korporacyjnego życia na Uniwersytecie Rutgersa – pikniki na trawie, obserwowane z zazdrością przez niezrzeszonych pierwszo- i drugoroczniaków. Ze swoimi „braćmi” nie utrzymywał kontaktów ani specjalnie za nimi nie tęsknił. Tym, czego mu brakowało, była sama przynależność, pewien kodeks lojalności. Wydawało mu się, że w Moskwie na nowo go odnalazł. W pewien sposób on i zaprzyjaźnieni z nim ekspaci stworzyli tu swego rodzaju bractwo. Znajome miejscówki – Bourbon Street, Molly's, Miszka Pub – całonocne popijawy, spoufalanie się przy kieliszku, nieustający dopływ chętnych dziewczyn, wszystko to miało ten sam uczelniany posmak życia toczącego się bardzo szybko, a jednocześnie jakby stojącego w miejscu. A przy odrobinie dojrzałości i odrobinie pieniędzy w kieszeni udawało mu się nim nawet cieszyć. Zawsze zakładał, że w Moskwie

jego i jego amerykańskich przyjaciół wiąże ten właśnie kodeks lojalności. Kiedy się to wszystko zmieniło? Od którego momentu faceci w rodzaju Austina zaczęli brać stronę Saszy? I czy to możliwe – ta myśl przerażała go najbardziej – że od samego początku się mylił? Że przez cały ten czas stał na trawniku sam?

Przy bramie wejściowej zastał Noego sępiącego szluga od jakichś nieznajomych, chociaż w którejś kieszeni musiał mieć – Lenny był tego pewien – paczkę własnych.

– Gdzie się podziewałeś, do diabła? – zachnął się Noe, ze złością dmuchając dymem. – Powiedziałeś: pięć minut.

– Przepraszam. Są dziewczyny?

– Pojechały!

– Wyleciałem z dealu z WCP.

– A więc obaj mamy pecha. Kurde, chłopie, nienawidzę tak wypuszczać zdobyczy.

– Przykro mi.

– Tobie zawsze jest przykro. Zrekompensuj mi to jakimś dobrym żarciem. Aż mnie skręca od tej cateringowej karmy.

To Noe wpadł na pomysł wybrania się do Nocnego Lotu, by podnieść na duchu Lenny'ego, którego jednak całodzienne opychanie się tłustymi hot dogami i rozgotowaną kukurydzą nie usposobiło przychylnie do rena z rozmarynem ani carpaccio z łosia w sosie truflowym. W tym stanie ducha nie potrafił się również zdobyć na odpieranie natarczywej serdeczności całej sali rzucających mu zalotne spojrzenia kociaków o posągowych kształtach. Przez ostatnie dwadzieścia minut siedząca w rogu kasztanowowłosa uwodzicielka posyłała mu zagadkowe uśmiešky z gatunku tych zrozumiałych jedynie dla dwojga ludzi. Rok temu ta sztuczka mogła się udać, ale ostatnio jedyne, co Lenny czuł w obecności prostytutki, to niejasne wyrzuty sumienia i przemożne pragnienie ocalenia jej. Fakt, że tyle piękności o boskich kształtach musiało uprawiać swój fach w restauracjach obsługujących obmierzłych tłustych cudzoziemców w średnim wieku, był w jego oczach jeszcze jednym dowodem na głęboką, immanentną niesprawiedliwość tego świata.

– Rozchmurz się – powiedział Noe, zatapiając nóż w łosinie.

– Dlaczego musieliśmy przyjść właśnie tutaj? Jest mnóstwo przyzwoitych restauracji, do których mogliśmy się wybrać.

– Ależ to jest przyzwoita restauracja. Ma stronę internetową!

– To burdel, dla którego restauracja jest przykrywką.

– To pięciogwiazdkowa restauracja, w której gotuje jeden z najlepszych skandynawskich kucharzy świata. Wszystkie dziewczyny pracują tu na własny rachunek i żaden alfons nie grozi, że im potnie twarz. Co więcej, informuję cię, że niektóre z nich poszły ze mną do domu za darmo.

– Cieszę się, że jesteś z siebie dumny.

– Jestem dumny i powiem ci dlaczego: bo to sporo mówi o mojej sile perswazji. Powiedziałem ci trzy miesiące temu, gdy położyłeś łapę na tym dealu z Actophage, żebyś poszedł do Zaparotnika i zagroził, że odejdziesz, o ile nie zrobią cię partnerem. No i co zrobiłeś? Dałeś się wyruchać za komplementy. Myślałeś w kategoriach wspólnoty: niech wszyscy mają udział w podejmowaniu decyzji, podzielmy się nagrodą, pomoc wzajemna,

dobrze mówię? No i dokąd tym sposobem zaszedłeś? To nawet w Stanach nie działa, a z takimi facetami jak Zaparotnik to w ogóle zapomnij! Ci ludzie nie wierzą w ducha kolektywu od czasów kolektywizacji.

– Dziękuję ci za ten cenny wykład.

– Niech ci idzie na zdrowie.

– Tu chodzi nie tylko o Zaparotnika. Mówię o całości. To wszystko było kiedyś ekscytujące. A teraz stało się takie... – Lenny szukał odpowiedniego słowa – ...olewczó burżuazyjne. Może czas, żebym wrócił do Stanów.

– I co robił? Przez dwanaście godzin na dobę przeklejał liczby ze sprawozdań finansowych do arkuszy kalkulacyjnych? Obdzwaniał do upadłego potencjalnych klientów w oczekiwaniu na narożny gabinet?

– Mama nalega, żebym zrobił magisterkę.

– Pewnie, że nalega. Wszyscy imigranci chcą, żeby ich dzieci były drugim pokoleniem miernot z oprawionymi dyplomami na ścianach. To zamulona glinianka, mój przyjacielu, czego oni zwyczajnie nie chcą przyznać.

– Nie wiem. Któregoś wieczoru szedłem do domu i nagle otoczyła mnie sfera psów. Cała masa przerażających bezpańskich suk z wyciągniętymi sutkami, obskakiwały mnie, szczekały, szczyrzyły zęby, jakbym im ukradł ostatni kawałek szynki. Przysięgam na Boga, Noe, nigdy wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło. Albo tak się ich namnożyło w tym mieście, albo potrafią zwęszyć słabość.

Noe odczekał, aż Lenny skończy mówić, po czym łypnął na niego znad blatu, nie unosząc pochylonej i z szacunkiem potakującej głowy.

– Słuchaj... Misza Fridman ma przyjaciół dziergających ciekawe deale. Popytam, zobaczę, kto zatrudnia. Ale zanim zapuścimy się zbyt daleko w egzystencjalne rozważania, czy możemy ustalić, że dziś się po prostu odprężymy? Mam na talerzu znakomitą porcję mięsa, a tam, po drugiej stronie sali, siedzi piękna, elektryzująca kobieta, której uśmiech sugeruje niedwuznacznie, że mogę jej wylukrować twarz jak pączka.

Wykorzystał ten moment, żeby zerknąć ponad ramieniem Lenny'ego i puścić do niej oko.

– No świetnie. Teraz tu podejdzie i się do nas dosiądzie, a my będziemy musieli postawić jej kolację.

– Niech cię o to głowa nie boli, sknerusie, ja płacę.

– Przykro mi, że jakoś nie mam ochoty spędzić wieczoru na zabawianiu rozmową dziwki.

– Te panie to nie są dziwki. Dzwinki to możesz sobie znaleźć na poboczu wylotówki na Leningrad razem z grupką Dagestanek ustawiających się w kolejce do obciążania. Te tutaj to zalotne, tajemnicze istoty robiące użytek ze swych wymienialnych na gotówkę zalet. A może wolałbyś sączyć pedalski koktajlik w klubie ze striptizem, gdzie każda laska ma wytatuowaną na dupie listę zasad obowiązujących w lokalu? A teraz zachowuj się, bo tu idzie.

– Dobryj wieczor – powiedziała dziewczyna z uśmiechem, po czym dodała bardziej oficjalnie po angielsku: – Czy mogę się przysiąc?

Noe szarmanckim gestem wskazał jej krzesło, po czym wstał i je dla niej odsunął. Opadła na siedzenie jak wąż zwijający się w ceramicznym naczyniu zaklinacza. Miała na sobie obcisłe czarne spodnie, wisiorek z kolorowym kwiatem i top na ramiączkach bez pleców wyglądający jak kałuża rtęci podtrzymywana srebrnymi nitkami.

– Mój przyjaciel chciałby zgadnąć, jak ci na imię – powiedział Noe, a Lenny mógł tylko przecząco kręcić głową. – No, dalej.

– Wika.

– Nie.

– Żana.

Pokręciła głową.

– Poddaję się.

– Byłeś blisko. – Zachęcająco poklepała Lenny'ego po rękę. – Jana.

Jana była niezaprzeczalnie i oszałamiająco piękna. Miała jasnobrązowe oczy, zgrabny nos i krzywy ząbek, który odsłaniała w uśmiechu, a który przydawał łajdackiego wdzięku jej pneumatycznej urodzie.

Noe gestem polecił kelnerce przynieść menu dla ich gościa. Jana, ledwie zerknąwszy na jadłospis, wybrała dwie przystawki i kieliszek jednego z lepszych win, składając zamówienie z niepokojącą znajomością rzeczy.

– Jano, mój przyjaciel Leonard i ja dyskutowaliśmy właśnie na temat populacji bezpańskich psów w tym mieście. Zawsze jakoś z większym uznaniem myślę o mieście, które pozwala mnożyć się kotom, nie psom.

– Naprawdę? – zapytał Lenny.

– Tak. Odpowiada to bardziej wyrafinowanej kulturze.

Co ten Noe wyprawiał? Godzinę temu przyssał się do dwóch nastolatek, a teraz zgrywał światowca? Żeby zrobić wrażenie na kim? Dziewczynie na godziny?

– Jedne i drugie są cholernym utrapieniem.

Lenny usłyszał głos, który wydobył z siebie tylko po to, by przeciąć ciężkie od gównianej pretensjonalności napięcie.

– Wyrażaj się.

– Powinno się je wszystkie wystrzelać, żeby się nie włóczyły i nie gryzły ludzi.

Na twarzy Jany odmalowało się przesłiczne przerażenie.

– Ależ nie, jest całkiem na odwrót! Psy są dobre, to ludzie są okrutni. Był taki pies, mieszkał w metrze, bardzo przyjazny. Ludzie go karmili, nadali mu imię Malczik, „mały chłopiec”. No i jakaś słynna modelka szła ze swoim psem, który się na Malczika rzucił. Mnóstwo ludzi to widziało! – mówiła z uroczym przekonaniem. – A ta modelka wyjęła nóż i ciach!, wbiła go Malczikowi w grzbiet.

– Chcesz powiedzieć, że dźgnęła psa nożem w plecy? – Lenny wymienił z Noem przestraszone spojrzenia.

– Tak, tak! A potem uciekła z Rosji! Mnóstwo ludzi się wściekło. Różne osobistości i aktorzy poprosili zarząd metra, żeby wystawił Malczikowi pomnik.

– Pomnik? Psu?

– Statua Upadłego Kundla – podsunął Noe.

– Tak, pokazywali to w telewizji.

– No, no – powiedział Lenny. – Skoro to miasto ma pieniądze na wystawianie pomników bezpańskim psom, to może oddałoby nam przysługę i kilka z nich dla odmiany wysterylizowało?

I znów Jana spojrzała na niego tak, jakby kompletnie oszalała.

– Wysterylizowało, no naprawdę. – Odwróciła się do Noego i ciachnęła palcami, by potwierdzić, że rozumie. – Užas! Gdyby wysterylizowali mężczyznę, nie byłby już prawdziwym mężczyzną! Jak się wysterylizuje psa, to on nie jest już prawdziwym psem.

Noemu aż się oczy śmiały. Lenny nie miał wątpliwości, że linia rozumowania Jany coraz bardziej go oczarowuje. Zaproponował, by przenieśli się z tą rozmową w jakieś wygodniejsze miejsce, na przykład do jego château, i gestem poprosił o rachunek. Jana, uśmiechając się zgodnie, powiedziała, żeby poczekali minutkę, to zejdzie po swoje rzeczy.

Na zmytej deszczem i rozświetlonej neonami ulicy Lenny dostrzegł, próbując zatrzymać taksówkę, że mówiąc o swoich rzeczach, Jana nie miała na myśli filigranowej torebeczki, ale przedmiot znacznie większy – sądząc z twardego futerału, zapewne skrzypce.

W łazience Noego umycie rąk po skorzystaniu z toalety okazało się zadaniem niełatwym. Umywalkę, gigantyczne naczynie z artystycznie dmuchanego szkła, rozszczepiała na dwie części ogromna szczelina.

– Masz zepsutą umywalkę! – wrzasnął Lenny, przekrzykując szum splukiwanej wody.

– No to skorzystaj ze zlewu w kuchni! – odkrzyknął Noe.

Lenny pokręcił głową i wytarł ręce w dżinsy. Nieodmiennie zaskakiwało go absurdałne zamiłowanie Noego do pretensjonalnych nowinek. Poszedł do kuchni, czerpiąc niewielką pociechę z myśli, że gdyby to on miał kasę Noego, zrobiłby z niej lepszy użytek. Myjąc ręce w zlewie, obserwował znad wyspy Noego i Janę. Siedzieli na kanapie i porównywali rozmiary swoich dłoni. Noe pożądliwie rozplęwał się nad delikatnością dłoni Jany, a ta z kolei skarżyła się, że gdy miała sześć lat, jej palce uznano za zbyt krótkie, by mogła grać na pianinie, wskutek czego musiała wybrać skrzypce.

– A matka nie wypuszczała mnie z domu bawić się z koleżankami czy pograć w piłkę, żebym sobie nie połamała palców.

– Biedna Jana. – Noe ze współczuciem zmarszczył brwi. – Biedna, biedna Janoczka.

– Chyba będę się zbierał – oznajmił Lenny.

Noe podniósł wzrok.

– Nie, zostań! Jana nam zagra.

– Tak! – powiedziała dziewczyna, cofając energicznie pięknie wyeksponowane ramiona w chwili, gdy wstawiała z kanapy.

– Zaraz wracam.

Noe zostawił ich samych i poszedł zrobić drinki.

Jana stała przy sięgającym od podłogi do sufitu oknie, podziwiając widok na ciągnący się niżej bulwar Cwietnoj. Palce, które Lenny'emu wcale nie wydały się krótkie, dotknęły zimnego szkła.

– Klasa! – powiedziała jakoś bez emocji. – Najlepszy widok, jaki widziałam w Moskwie.

Lenny zaciekawił się przelotnie, z iloma wcześniej oglądanymi widokami mogła go porównać.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Z Woroneża.

– Woroneż jest ładny.

Jana odwróciła się i zmierzyła go sarkastycznym spojrzeniem.

– Oczeń.

Nieszczerólnie. Jej nagłe przejście na rosyjski przekłuło dyskretny balon pozornej zażyłości i towarzyskiej oglądy. Lenny zastanawiał się, jak one to wyczuwały? Mógł nie wypowiadać ani słowa po rosyjsku, a dziewczyny i tak zawsze się orientowały, że jest stąd.

– Co robisz? To znaczy w ciągu dnia? – zapytał idiotycznie.

– Studiuję. Gnesinka.

Wskazała na futerał.

– To znakomita szkoła.

– Owszem, nawet bardzo.

– Chcesz być muzykiem orkiestrowym? Na przykład w orkiestrze teatru Bolszoi?

Jana rzuciła mu zagadkowe spojrzenie. Chyba była niezadowolona, że rozmowa przybrała tak osobisty i poważny ton.

– Jak to się mówi, pułkownicy mają dzieci. Muzycy również, tak się jakoś składa.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się do okna.

Chryste, co było z nim nie tak? Dlaczego ciągle próbował zagadywać te rajskie ptaki i sprowadzać je do poziomu zwykłych dziewczyn? Jana wyglądała, jakby jej ulżyło, kiedy do pokoju z trzema kieliszkami koniaku na tacy wmaszerował Noe i rzekł:

– Niech więc rozpocznie się koncert!

Kiedy Jana weszła z powrotem do salonu, miała na sobie motyli wisiorek, buty na dziesięciocentymetrowych obcasach i nic poza tym. Włosy spływały jej jak Lady Godivie na małe, twarde sutki, łono skromnie zasłoniła lśniącymi skrzypcami. Trzymanym w opuszczonej na biodro dłoni smyczkiem kołysała w tył i w przód, jakby to był palcat.

– Zagram wam Dvořáka – obwieściła i płynnym ruchem uniosła skrzypce, odsłaniając skromny trójkącik. Brodę oparła na podbródku skrzypiec i raptownie zaczerpnąwszy powietrza, wybiegła spojrzeniem w bezkresną miejską noc. Zaczęła grać.

Lenny zrozumiał, że nigdy w życiu nie słuchał takiej muzyki. Strzępki wysokich tonów przecinały ciszę i znikwały w nagłym olśnieniu jak atakujące ziemię pioruny. Muzyka wydawała się brać ciało Jany w posiadanie, wyrastać z pomalowanych paznokci stóp i wznosić się wygiętą bladą nogą, na której wykwitł bolesny brązowy siniak. Wibrowała w długim, szczupłym tułowiu i wreszcie, wyzwalana ruchem napiętego nadgarstka, uwalniała rozwibrowany jęk skrzypiec. Tylko twarz Jany pozostawała ściągnięta i nieobecna, tymczasem gra zyskiwała impet i z każdym pociągnięciem smyczka oddalała się coraz bardziej od dzikiego buntu ku czemuś dumnemu i niemal wzdurliwemu, ku niezgłębionemu smutkowi. Jana chwiała się na rozkołysanych

obcasach jak most, jej kolano od czasu do czasu podrygiwało lekko, jakby chcąc ją powstrzymać przed rzuceniem się naprzód. Błede piersi i wystające jak gumka na ołówku sutki sterczały wstydliwie na zewnątrz, jakby odsuwały się od siebie, podskakując w takt porywającego występu.

Noe pokręcił głową.

– Ależ ona ma, kuźwa, klasę – wyszeptał. – Nigdy nie wiem, czy to niebo, czy piekło zsyła nam te laski.

Lenny marzył o tym, żeby Noe się zamknął, a jednocześnie walczył z niewypowiedzianą tęsknotą i narastającą erekcją, co w sumie tylko wzmagало przejmujący wstyd i samotność, które odczuwał przez całe popołudnie. Patrzył, jak Jana – o ile tak właśnie miała na imię – atakuje skrzypce. Nad górną wargą i między rozdzierającymi serce piersiami utworzyła się cieniutka warstewka potu. Lenny pozwolił powiekom opaść i skupił się na wszystkich po kolei zawodzących frazach składających się na drabinę dźwięku, która prowadzi coraz wyżej i wyżej... Dokąd? Chciał podążyć za nutami do ich najwyższej i najcieńszej otchłani – i zostać tam na zawsze. Boże, jak bardzo nienawidził tego miasta. A przecież nie potrafił znieść myśli o tym, by wyjechać. Gdzie indziej znalazłby tyle miłosierdzia?



Mój samolot siada na pasie tuż przed ósmą wieczorem. Moskiewskie niebo jest jeszcze rozświetlone, spody miedzianych chmur odbijają ostatnie tego długiego dnia promienie słońca.

Dzwonię do Lenny'ego z taksówki. Ożywiony na swój zwykły sposób rozmawia ze mną o tym, gdzie zjemy kolację.

– Lubisz befsztyk z polędwicy, staruszku? Dobrze, dobrze. A może kuchnia włoska, pasta i mule?

Świetnie, odpowiadam, pozostawiając na boku fakt, że po tak długim locie nigdy nie jestem głodny.

– Albo nie, ormiańska! – ciągnie. – Znam świetne miejsce.

Mówi, że zabierze mnie do najbardziej bombowej miejscówki w dzielnicy. Zanim dojeżdżamy do hotelu, wymienia jeszcze kilka miejsc, do których moglibyśmy się wybrać, demonstrując biegłą znajomość rozmaitych kuchni i napomykając o swej zażyłości z kilkoma ich szefami. Mimochodem zastanawiam się, czy nie zapomniał, z kim rozmawia, i czy nie uznał mnie za klienta. Ale może wszystko to ma przypomnieć staremu ojczulkowi, jak nieodwracalnie wrósł w ten kraj, jak bardzo się zmoskwiczył jego syn.

Przed upływem godziny wychodzę spod parującego, wyszorowanego na błysk hotelowego prysznicza, wycieram się do sucha i przygotowuję do naszej późnej kolacji. Powietrze na zewnątrz jest ciepłe i przyjemnie bliskie, jakby skądś zza tych olśniewających pastelowych fasad wyglądało morze. Twerska jest nienagannie utrzymana, niemal szwajcarska w swej czystości. Żadnego porzuconego niedopałka, choć wydaje się, że każdy z mijających mnie ludzi kopci jak parowóz.

Panuje nastrój niemal – jak by to powiedzieć? – odświętny, do tego stopnia, że właściwie żałuję wcześniejszych cynicznych myśli o Lennym. Jego maniakalny entuzjazm wylewający się ze słuchawki był zapewne jedynie sygnałem, że cieszy go perspektywa spotkania z ojcem. Mimo swoich poplątanych układów był zawsze szczery w swym pragnieniu uszczęśliwienia wszystkich wokół. Tyle że nieświadomy, w jakim wiadrze zimnej wody będę zmuszony dziś wieczór utopić jego rewię. W walizce mam pięć kilogramów podręczników w miękkich okładkach, wydrukowanych na lśniącym papierze, przygotowujących do testu GMAT. To prezent od matki Lenny'ego, która zapowiedziała mi, że mogę nie wracać, o ile nie przekonam naszego syna, by postąpił „w jedyny rozsądny sposób”.

Pocieszam się, że tylko wykonuję rozkazy, a tymczasem wdycham chmury spalin, niewyraźną woń mokrego jeszcze lakieru i zapaszek rozlanego piwa, co przypomina mi,

że jestem w mieście, które znam znacznie lepiej niż mój syn. W trakcie kolejnych wizyt zacząłem myśleć o Moskwie jak o skomplikowanej kobiecie, z którą związałem się w czasach młodości, a która w późniejszych latach zaskoczyła mnie tym, że nie starzeje się z wdziękiem (jak ja), lecz odmładza kolejnymi, coraz droższymi zabiegami liftingu. Przy każdym spotkaniu zauważam jakieś nowe uzupełnienia. Butik Canali tam, gdzie kiedyś była apteka. Jaskrawe światła kasyna w miejscu swojego lombardu. Nawet szklana piramida na szczycie nowego urzędu miasta, którą wypatrzyłem podczas jazdy, lśni obscenicznie jak diament o fasetowym szlifie na palcu flamy nafcjarza. Twerska była tak wykolagenowana i wysilikonowana, że już dawno przestałem widzieć w niej Gorkiego mojej młodości. Dziś mijalem całe kwartały remontowanych budynków, przyozdobionych rusztowaniami i wciśniętych w gorset jasnozielonych siatek, pod którymi dyskretnie je naciągano i wypełniano.

Przyjeżdżam jako pierwszy do restauracji, która okazuje się sympatycznie domowym pustawym ormiańskim lokalem. Kelner o krzaczastych brwiach wprowadza mnie do środka i z niewyjaśnionych przyczyn wręcza menu po angielsku.

Zjawia się Lenny. Świeżo ogolony i chyba przytył z pięć kilo od naszego ostatniego spotkania. Wskazuję na angielskie menu.

– Co mnie zdradziło? Nie wyglądam ani nie mówię bardziej z cudzoziemska niż kierownik sali.

– Rozejrzyj się. Kto jeszcze poprosił o miejsce w strefie dla niepalących?

Racja! W piwnicznym kącie sali jadalnej jesteśmy sami i pewnie dobrze się składa. Na drugim końcu siedzi hałaśliwa brygada sześciu dżentelmenów o byczych karkach, a zastawiony lasem butelek blat stołu dosłownie ugina się pod ciężarem. Nawet ze swego kąta słyszę, jak jeden z nich ciągnie jakąś bezsensowną bełkotliwą historię o tym, jak to kiedyś znokautował kangura.

– Dobrze wyglądasz – mówię Lenny’emu nie do końca zgodnie z prawdą.

– Staram się zachować kondycję – odpowiada ku memu zdumieniu.

– Naprawdę?

– Ostatnio trochę gram w tenisa.

Wierzę mu na słowo, chociaż przypomina raczej piłkę niż zawodnika. Do tego włosy, których trochę za długo nie podcinał, zaczesał do tyłu jak alfons. Szkoda. Kiedy trochę o sobie zadba, jest całkiem przystojnym facetem.

– No więc jakie masz plany na ten tydzień? – pyta.

Mówię mu, że zostaję tylko do poniedziałku razem z moim szefem, Tomem, który przyjeżdża jutro. Oceniamy przetargi dla przemysłu stoczniowego.

– Szukamy firmy czarterowej, która popilotuje nam kilka tankowców wahadłowych z wybrzeża Nanac do terminalu w pobliżu Murmańska. – Jestem zaskoczony, że nie pamięta. – To joint venture, o którym ci opowiadałem, to z L___ Petroleum.

Unosi brew.

– L-Pet? Robisz z nimi interesy? Ci faceci to pacholki Kremla. Są praktycznie jednym z wydziałów FSB.

– Nie mieszamy się w politykę. To powinno być dość proste.

I wtedy Lenny, jakby chciał mi przypomnieć, o ile lepiej ode mnie orientuje się w tutejszych realiach, mówi:

– Tutaj nic nie jest proste.

Z drugiej strony sali dobiega nas dźwięk tłuczonego szkła.

– No i patrz, co żeś zrobił, Sawa – mówi jeden z łysych gości, goryl w lawendowej koszuli. Wołają kelnera, żeby posprzątał, a biedny Sawa próbuje dokończyć historię o kangurze. Nie ma szans. Przyobleczony w lawendę gospodin obwieszcza, że zmęczył go cały ten cyrk i każe pozostałym „posprzątać”.

– Jak się miewa Katia? – pytam, kiedy para ramion potężnych jak dębowe konary wywleka Sawę z sali.

Lenny zasysa powietrze.

– To koniec. Mniej lub bardziej.

Staram się sprawiać wrażenie osoby zatroskanej tą informacją. Katia jest bez wątplenia miłą dziewczyną. Przyzwyczailem się nawet do krzyżyka, którego nigdy nie zdejmuję, oraz jej zamiłowania do interpretowania snów i odczytywania przyszłości z fusów kawy po turecku. Odkąd Lenny przeniósł się do Moskwy, przestałem oczekiwać, że trafi na kobietę z charakterem. Ale czy wymagam za dużo, prosząc opatrność o kogoś, czyje spojrzenie na historię dwudziestego wieku nie ogranicza się do stwierdzenia, że „potworność radzieckiego komunizmu była klątwą, która dosięgła lud rosyjski za zbrodnię zaszlachtowania własnego cara”? Owszem, mój syn spotyka się z monarchistką.

– No to mniej czy bardziej? – pytam. – Wyprowadziła się?

– Nie, ale uzgodniliśmy, że będziemy się spotykać z innymi.

– Ale jak to sobie wyobrażasz? Jak jedno ma randkę, to drugie śpi na kanapie?

Wygląda na bardziej tym żartem zdeprimowanego, niż według mnie by należało.

– Wyprowadzi się, jak tylko pomogę jej załatwić jakąś miejscówkę.

– No, to nie powinno być szczególnie trudne – mówię zachęcająco. – To wielkie miasto. Mnóstwo mieszkań.

– Żarty sobie robisz? Tutaj czynsze są wyższe niż w Nowym Jorku.

Przez chwilę uważnie studiuję jego twarz.

– Lenny, chyba nie obiecałeś płacić jej czynszu? Tak czy nie?

Recytuje mi po raz kolejny historię o tym, jak to Katia „porzuciła” swoją rodzinę i pracę w Petersburgu, żeby przenieść się dla niego do Moskwy. Na samodzielne życie jej nie stać, a do Petersburga nie może wrócić, bo do ich mieszkania wprowadził się ostatnio kochanek matki.

– Wszystko się bardzo skomplikowało.

– Skomplikowało się jej, nie tobie.

– Nie rozumiesz, jak to działa.

– Jest jakiś protokół? – drażę. – To znaczy na opłacanie czynszu kobiecie, z którą nie chce się już mieszkać? Jesteś jakimś mafiosem, który musi raz w tygodniu puknąć swoją lejdi? Nawet to mógłbym zrozumieć. To jest przynajmniej logiczne. Ale z tego, co słyszę, ty w ogóle nie chcesz mieć z nią do czynienia.

– Zostaw ten temat, tato – mówi, ale sam tego wcale nie robi. Zamiast tego zaczyna wyliczać mi rozmaite zalety Katii: jej uprzejmość, delikatność i oddanie. Nie osmielam

się zapytać, dlaczego ktokolwiek chciałby porzucić takiego anioła. – Jesteśmy zupełnie różni – mówi ze stoickim spokojem.

Uśmiecham się szeroko, przyjmując to do wiadomości.

– W porządku, Lenny. Ale nawet przyzwoitość musi iść w parze z posiadanymi środkami finansowymi. Skąd weźmiesz pieniądze na opłacenie alimentów? W ogóle masz teraz pracę?

Krew odpływa mu z twarzy. Palcami o poobgryzanych paznokciach przeczesuje włosy.

– Wiedziałem. Cholera, nikt w tej rodzinie nie umie trzymać języka za zębami.

– No dobra, twoja siostra nam powiedziała. No i co z tego? Jeśli masz kłopoty, to chcielibyśmy ci pomóc.

– Powiedziała wam, jak mnie wystawili Austin i reszta moich przyjaciół?

– Teraz przynajmniej wiesz, kim są twoi przyjaciele. Drużba drużbą, a służba służbą.

– Taa. No, nie oplakuję ich w każdym razie. Pojawiło się już kilka opcji.

Przygryzam wargę.

– Może nie powinieneś podejmować pochopnych decyzji. Daj sobie czas. Przeanalizuj wszystkie możliwości.

Nie odpowiada od razu.

– A co konkretnie sugerujesz? – mówi wreszcie tonem, w którym rozpacz można by pomylić z sarkazmem.

Wykorzystuję okazję i wyciągam z walizki dwa tomy podręczników do GMAT-u. Lenny krzywi się, jakbym położył na stole uwalane gacie.

– Niech się domyślę, czyj to był pomysł.

Uśmiecham się.

– W pokoju hotelowym mam jeszcze dwa.

– Jest w tym jakiś haczyk?

– To poważna oferta, Lenny. Wróć do domu. Pomieszkać z nami kilka miesięcy albo ile będziesz chciał. Pucz się. Jak już dostaniesz się na studia biznesowe, pomożemy ci opłacić pierwszy rok.

– A mama będzie mi przynosiła do pokoju kanapki z szynką i ogórkiem, tak? Mam trzydzieści cztery lata, na litość boską, nie szesnaście.

Nie zdążywszy ugryźć się w język, wypalam:

– No i jaki masz plan? Zostać tu i konkurować z miejscowymi geniuszami matematycznymi?

Nie spodziewałem się, że na jego twarzy odmaluje się tak przejmujący ból.

– Ty i mama wciąż sądzicie, że oprawiony w ramki dyplom jest odpowiedzią na wszystko. A to tylko twoje cholerne imigranckie urojenie.

– Daj spokój, Lenny. – Próbuję się uśmiechnąć.

– A poza tym za stary jestem, żeby wracać do szkoły.

Dostrzegam szansę, by się zrehabilitować.

– Nie jesteś za stary. Kiedy wyjechałem z tego kraju i zacząłem wszystko od początku, byłem dwa lata starszy od ciebie.

Ale już słyszę swoją żonę łajającą mnie za to, że znów paplam o sobie. Jej zdaniem wszystkie rady, których udzielam Lenny'emu, sprowadzają się do tego, że „ty jesteś kimś, a on nikim”. Podejrzewam, że częściowo jest to kwestia wpływu naszej córki, Maszy, mistrzyni freudowskiej analizy, która lubi powtarzać, że fakt wychowywania mnie przez samotną, „zranioną” psychicznie matkę spowodował u mnie „dysfunkcje drugiego pokolenia”.

– Słuchaj – mówię – jesteś tu od... zastanówmy się, dziewięciu lat? Tak się składa, że wiem, że co siedem lat człowiek uwalniany jest od wszystkich zobowiązań. Może umyć ręce, odejść, zacząć z czystą kartą. Jak nie chcesz mi wierzyć, to zajrzyj do Tory. To się nazywa rok sabatowy.

Wybałusza oczy, jakbym nagle zwariował.

– Od kiedy to zaczytujesz się Torą?

Uśmiecham się.

– Nie musisz podejmować decyzji w tym momencie. Po prostu... zastanów się nad tym.

Wstaję za potrzebą, zostawiając Lenny'ego jego myślom. Gdy dochodzę do toalety, drogę zastępuje mi drobna babuszka ze szczotką na krótkim trzonku. Robię krok w prawo. Ona tak samo. Przesuwam się w lewo, ale ona uprzedza mój ruch, łagodna, lecz zdecydowana nie pozwolić mi przejść. Błyska przeproszającym, złotozębnym uśmiechem i wskazuje na toaletę dla pań. Postanawiam się wstrzymać. Zawracam i siadam z powrotem naprzeciwko Lenny'ego.

Przez chwilę jemy w ciszy, podręczniki do GMAT-u oddzielają nas jak mur berliński. Wreszcie Lenny mówi:

– Co tam się dzieje, do cholery?

Jeden z fagasów, którzy zaciągnęli Sawę do męskiej toalety, wraca. Chyba rozkrwawił sobie o coś rękę. Zgarnia ze stołu płócienną serwetkę, jak opaskę uciskową owija nią sobie mięsistą dłoń i wylewa na ranę pół butelki wódki. A potem, jakby nic się nie stało, siada obok pozostałych i wraca do picia. Panisko w lawendowej koszuli rzuca w bałagan na stole kilka banknotów i w ciągu minuty wszyscy za jego przykładem ruszają do drzwi. Uznaję, że to pora dobra jak każda inna, by ponownie zajrzeć do przybytku z trójkątem. Z ulgą stwierdzam, że babuszka nie trzyma już warty. Gdy jednak pchnięciem otwieram wahadłowe drzwi, zastaję ją w środku: balansując na podnóżku, wyciera gąbką lustra nad umywalkami. Odbicie nas obojga przysłania krwisty rzucik w kształcie idealnego łuku. Zamykam się w kabinie. Z sąsiedniej dobiegają odgłosy wymiotów przerywane zdławionymi, lecz pełnymi paradoksalnej godności wdechami. Wychodząc, salutuję babuszcze zmywającej gąbką krew z kafelków.

– No dobra, wezmę książki – mówi Lenny po moim powrocie. – Jak obiecasz, że przestaniesz mnie nękać powrotem do domu.

– Takie dostałem rozkazy, Lenny.

Przesuwa je z powrotem w moją stronę.

– Proszę, po prostu je weź. Nie mogę zawieźć ich z powrotem twojej matce.

Kręci głową. I wtedy wraca pijany Sawa. Z męskiej toalety idzie slalomem między pustymi stolikami jak pasażer kroczący niepewnie korytarzem rozkołysanego pociągu.

Krzywo zapiętą koszulę pokrywają dziwne plamy. Kiedy orientuje się, że kumple go zostawili, twarz pochmurnieje mu w lęklwym rozczarowaniu. Wymieniamy z Lennym spojrzenia. Posiniaczony, zakrwawiony Sawa wytacza się przez szklane drzwi i przystaje, by rozejrzeć się za swymi przyjaciółmi i dręczycielami. Na próżno.

Twarz Lenny'ego rozciąga się w szerokim uśmiechu.

– Witaj doma, tato! – mówi, uroczyście rozpościerając ramiona. – Witaj doma!



W chwilach gniewu moja żona stwierdza, chyba nie bez racji, że popełniam tyle błędów w komunikowaniu się z naszym dorosłym synem, ponieważ sam nie miałem ojca, który byłby mi przewodnikiem na drodze do męskości. Ale to, co ona wzgardliwie nazywa podejściem niezaangażowanym, nie wynika z niewiedzy – o czym jest głęboko przekonana – lecz właśnie nadmiaru wiedzy. Niezależnie od tego, jakie nauki można by wyciągnąć z czarnej dziury ziejącej pomiędzy moim raptownie przerwany dzieciństwem a przedwczesną dorosłością, nie były one czymś, co gotów byłbym przekazać własnym dzieciom. A ta odrobina istotnie wartościowej wiedzy, którą posiadałem... No cóż, nie mogę stwierdzić z absolutną pewnością, że ma jakąkolwiek wartość w świecie, w którym wszyscy prowadzimy obecnie takie jawne i niewinne życie.

Gdy tylko napomknę komukolwiek, że od szóstego do trzynastego roku życia wychowywałem się w państwowych domach dziecka, mój rozmówca przywołuje na twarz wyraz, który na własny użytek nazwałem Ceremonią Purpurowego Serca. Jakby nagle odkrył, że zamiast nóg mam protezy. Chciałby zobaczyć kikuty, ale pilnuje się, żeby nie spuścić wzroku. W jego głosie odzywa się nabożne współczucie.

Chcąc tego uniknąć, nieczęsto wspominam o tamtym okresie życia. Kiedy już prawda wyjdzie na jaw, wszystkie moje słowa i przemilczenia staną się ciężkie od heroicznych implikacji i w końcu brzmienie własnego głosu zacznie irytować mnie bardziej niż dyskretna dociekliwość rozmówcy. A tak naprawdę po prostu nie chce mi się korygować ich dickensowskich wyobrażeń o sieroctwie. Ustawiczny głód, bezlitosne kary – wszystko to jest częścią mojej historii, ale tylko częścią. Łut szczęścia lub łaska boska sprawiła, że wylądowałem w domu, w którym do dzieci odnoszono się w sposób cywilizowany. A może nawet z uczuciem.

Byłem szczęściarzem również z innych względów: moje formalne sieroctwo przypadło na ten powojenny okres, w którym uczucia narodu przechyliły się na naszą korzyść. Nie byliśmy już nasieniem kułaków, kryminalistów i kontrrewolucjonistów. Nasza poniewierka nie stygmatyzowała już nas jako przestępców, lecz dowodziła patriotycznego poświęcenia rodziców. W całym kraju sierocińce pękały od nieletnich ofiar wojny i właśnie wśród potomstwa martwych bohaterów próbowaliśmy ukryć się my – mali wrogowie. Chyba tak właśnie było ze mną. Moja pierwsza lekcja utrzymywania tajemnic.

Lata powojenne były czasem niedoboru i racjonowania żywności, a jednak różnorodność pożywienia wydawanego w Domu Dziecka im. Nadieżdy Krupskiej była

ogromna: biały chleb, owsianka, kasza gryczana, kasza perłowa, miód, konserwy, jajka, żółty ser, biały ser z rodzynkami, kompot, groszek, ogórki, kapusta, marchewka, pomidory, a od czasu do czasu nawet kiełbasa i arbuzy. Skąd się to wszystko brało? Mieliliśmy sponsorów: opiekę nad sierocińcem sprawował lokalny kołchoz i związki zawodowe z miejscowej fabryki. Tak naprawdę jednak stał za tym nasz dyrektor, Marek Pawłowicz Guczkow, niezwykle biegły w zapewnianiu nam wsparcia.

Widzę go, jakby to było wczoraj. W Domu Krupskiej pojawiłem się ledwie tydzień wcześniej. Stoi przed nami w auli, czymś w rodzaju sali gimnastycznej ze starym pianinem na brzegu niewielkiej sceny. Jest młody, ma nie więcej niż trzydzieści pięć, może trzydzieści sześć lat i zaczyna już łysieć; cienkie brązowe włosy szesał z wysokiego czoła do tyłu. Ma na sobie miękki, przesiąknięty zapachem tytoniu brązowy garnitur. Pustego rękawa nie przypiął do ramienia, jak zwykli robić inni inwalidzi wojenni, lecz po prostu wsunął go do kieszeni marynarki. W dłoni trzyma coś małego i białego.

– To takie samo mydło, jakiego używają Francuzki – informuje nas i unosi je wyżej, byśmy wszyscy mogli zobaczyć. – Francuzki to damy, bardzo kulturalne, a ich poziom kultury mierzy się tym, jak traktują własne rzeczy. Nie dopuszczają, by mydło rozmiękało w kałuży wody. Po użyciu opłukują je i zostawiają, o tak, zupełnie suche.

Siedzę tam, w tej sali, w rzędzie siedmio- i ośmiolatek, z odchyłoną głową i rozdziawioną buzią. Wszyscy chłopcy ostrzyżeni są tak samo: na jeża, żeby nie załęgły się wszy, z krótką grzywką spadającą na czoło.

Marek Pawłowicz krąży między pianinem a masztem flagowym. Nad jego głową wisi portret naszego Znakomitego Przywódcy i Nauczyciela, Ogrodnika Ludzkiego Szczęścia, któremu winni jesteśmy wdzięczność za radosne dzieciństwo. Aula jest pełna światła – dolnej połowy okien nie zamalowano farbą jak w moim poprzednim sierocińcu, by uniemożliwić nam wyglądanie na zewnątrz, a obcym zagłądanie do środka. Wypełnia ją miły gorzkawy zapach wrześniowych liści, jakby gdzieś zostawiono otwarte drzwi. Wszystko to wydaje mi się jeszcze nie do końca realne, jak fragment snu zapamiętany z jakiegoś innego, blaknącego w pamięci, przedinstytucjonalnego życia. Guczkow mówi, a dzieci powtarzają za nim:

– Ponieważ mieliśmy szczęście dostać mydło... i ponieważ nie jesteśmy świnkami, będziemy dbać o nie jak ludzie cywilizowani i nie pozwolimy, żeby rozmiękało.

Wypowiadam te słowa zahipnotyzowany bielą mydła tak czystego, że mimo odległości niemal czuję jego zapach.

W poprzednim domu dziecka, w którym mnie umieszczono, szorowano nas szorstkim mydłem do prania z dodatkiem amoniaku, który drażnił skórę i zmuszał do ciągłego drapania. Pilnowali nas niczym skutych łańcuchem więźniów niekryjący wzgardy potężnie zbudowani nadzorcy.

– Pogratulować! Przywieźli nam nowy transport tych małych wrażliwych skurwieli.

– Pasożyty krew z nas wypijają, kiedy my dla takich jak oni ręce tu sobie urabiamy po łokcie.

W tej ordynarnej formie nasi opiekunowie powtarzali tylko tezy marksistowskiej teorii nadwyżki siły roboczej: oni tu cały dzień pracują – karmią nas, kąpią, przebierają –

a my nic nie wytwarzamy. Wkrótce zaczęły się docinki innych dzieci.

– Jak zginął twój tata?

– Zastrzelili go podczas wojny.

– Nie, wcale nie. Zastrzelili go jak wściekłego psa.

Nic się nie mogło przed nimi ukryć. Mówiono im wszystko i o wszystkim wiedzieli – że ojciec nigdy nie walczył na wojnie, a mamę za zdradę zesłano do łagru.

Wszystko to przytrafiło mi się jeszcze przed ukończeniem pierwszej klasy. Szkołę pokochałem od pierwszego dnia; łatwo przystosowałem się do dyscypliny w klasie i wyrazistej dykcji mojej nauczycielki, Lidii Warłamowny, do jasno wytyczonej ścieżki ku sukcesowi i nagrodzie. Bardzo chciałem się wyróżnić, lecz instynktownie pojmowałem etos kolektywu – uznania nie można było zdobyć, obdarzenie mnie nim było przywilejem nauczyciela. Podnosiłem rękę często, ale nie natrętnie. Pomagałem dzieciom, które uczyły się wolniej. Zyskiwałem coraz większą biegłość w sztuce zadowalania dorosłych.

W pierwszym domu dziecka nie przydało mi się żadne z tych doświadczeń. Kilka dni po przyjeździe pożyczyłem zapasowe majtki chłopcu, który niechcący popuścił. Kiedy sprawa wyszła na jaw, ukarano nas obu klęceniem na grochu, co okazało się jedną z mniej wymyślnych i stosunkowo łagodnych kar, jakie miały mnie dotknąć w ciągu sześciu następnych miesięcy.

Jeśli nawet czegoś mnie w tym okresie uczono, to nic nie pamiętam. Może oprócz elementu edukacji fizycznej: musztry, na którą chłopcy i dziewczęta musieli stawiać się razem, bez koszulek, choć niektórym dziewczynkom zaczęły już rosnąć piersi.

Bito nas z byle powodu: za wymiotowanie zepsutym jedzeniem, którym nas karmiono, za gwizdanie w budynku, za to, że zapomniawszy się, zaczęliśmy ssać kciuk – za okazanie jakiegokolwiek dziecięcej potrzeby czy słabości. Przed aresztowaniem mama obiecała mi kupić nowe buty; z ostatniej pary skórzanych mokasynów zacząłem już wyrastać. Nikt tego oczywiście nie zauważył, a kiedy zabierano mi stare rzeczy i wręczano nowe, byłem zbyt przerażony, aby się odezwać. Ale już w tydzień po przyjeździe stopy miałem obolałe i poobcierane; paznokieć na paluchu prawej zaczął mi wrastać, co przy każdym kroku powodowało taki ból, że aż zaciskałem powieki. Próbując odciążać prawą stopę, zacząłem lekko utykać z nadzieją, że otaczający mnie dorośli ze współczuciem to dostrzegą. I w końcu któryś dostrzegł. To była jedna z młodszych opiekunek, szczupła dziewczyna o przejrzystych niebieskich oczach, z bliznami po trądziaku. Może sama wychowała się w sierocińcu i była jego „absolwentką”? Jeśli nawet tak było, nie uwrażliwiło jej to na nasze potrzeby.

– Co tak powłóczysz nogami jak osioł?

Powiedziałem jej, że buty mnie cisną i boli mnie palec.

– Czyli to, co od nas dostajesz, już ci nie wystarcza?

Zaprotestowałem, próbując wyjaśnić, że to moje stare buty, a nie para, którą mi dano. I to był mój drugi błąd. Oczy zapłonęły jej morderczo. Spierałem się z nią w obecności innych.

– W porządku – powiedziała i zaczęła mnie rozbierać. Zdjęła mi buty i skarpetki, potem koszulę, spodnie, podkoszulek i wreszcie majtki. Otworzyła szeroko okno i kazała

mi stać w nim, gdy inni się przyglądali. Była połowa lutego. Na podwórku, na którym było głównie błoto, skorupa śniegu przywarła do na wpół zamarznętej ziemi. Stałem nagi na wietrze, a ona robiła pozostałym wykład o poświęceniach, na jakie zdobywał się ten kraj, otaczając opieką takie niewdzięczne dzieci jak ja.

Pamiętam, że drżałem. Ramiona, uda i pośladki pokryła mi gęsia skórka. Staralem się powstrzymać łzy. I nie chodziło o upokorzenie związane ze stanem nago przed innymi, lecz o nieznośne ukłucie bycia tak niezrozumianym. Zahartowałem moje siedmioletnie ciało, sztywne z zimna, bezgłośnym, nieugiętym gniewem – gniewem na nieobecną matkę, że nie kupiła mi nowych butów, kiedy ją prosiłem, gniewem na samego siebie, że nie wyjaśniłem tej dziewczynie, że to moje własne – moje własne! – buty, a ja nie jestem wcale niewdzięcznym ani złym chłopcem.

Nie wiem, jak długo kazała mi stać w tym otwartym oknie. Jak zwykle miałem szczęście i skończyło się ledwie przeziębieniem, a nie potężnym zapaleniem płuc.

– Mam nadzieję, że dostałeś nauczkę – powiedziała, gdy było już po wszystkim.

Owszem. Nauczyłem się, że kiedy boli cię palec, to boli tylko ciebie i nikogo więcej.

Przypuszczam, że stałe ugruntowywanie się w żarliwej niechęci do nas wymagało od nich unicestwienia w sobie naturalnego współczucia dla cierpiącego dziecka. Czuliśmy ich obrzydzenie, nie umiając odgadnąć jego źródła. Tymczasem w ich oczach byliśmy predestynowani do występku. Dlatego najokrutniejsze kary prowokowało szukanie współczucia, tak jak ja szukałem go z moim palcem. Dla tak występnej nieświadomości własnej winy nie mogło być litości ani usprawiedliwienia.

Przekonanie opiekunów o naszych skłonnościach przestępczych było tak głębokie, że zaczęło nabierać cech samospełniającej się przepowiedni. Obowiązujący kodeks postępowania zaczęliśmy przyswajać prawie od razu po przyjeździe. Kiedy przyszła moja kolej, kazano mi zakraść się do kuchni i podwędzić dwie butelki kefiru. Gdyby mnie złapali, na pewno dostałbym baty, ale karę gwarantowała również odmowa wykonania polecenia wydanego przez starsze dzieci. Ostatecznie stchórzyłem i wróciłem w mrok z pustymi rękoma. Rano ze stoickim spokojem przyjąłem karę polegającą na tym, że zapięto mnie w powłoczce na kołdrę i metodycznie skopano, zadając serię szybkich, tępych ciosów. To była jedna z naszych zwykłych koszarowych „zabaw”, tak zwany kot w worku. Nie byłem już wtedy taki głupi, żeby błagać o litość. Próba wzbudzenia współczucia tylko zagrzałaby ich do bicia. Niedługo potem patrzyłem, jak tę samą karę wymierzono innemu chłopcu. Był ode mnie starszy, ale szczuplejszy i drobnokościsty. Pamiętam, że podszedłem do niego po rozpięciu powłoczki. Leżał w środku, zwinięty w kłębek, ramiona mu się trzęsły, kiedy z piersi wydarł się zdławiony szloch. Pamiętam, że na mnie spojrzał – miał taki zamglony, błagalny wzrok. Czego ode mnie chciał? Pocięchy? Pewnie nawet nie. Prawdopodobnie chciał tego samego, czego ja oczekiwałem od opiekunki z bliźniami po trądziku: okruchu współczucia. Ale nie sposób postawić drugiemu człowiekowi żądania większego niż to, by cierpiał razem z tobą. Krew odpłynęła mi z kończyn i napełniło mnie obrzydzenie dla tej nagiej, drżącej potrzeby pobitego chłopaka. Bez satysfakcji myślę o tym, że potrafiłem być tak bezduszny. Chciałem do niego podejść, ale wiedziałem, ile mnie to będzie kosztować. Coraz bardziej

uodparniałem się na własne ludzkie odruchy. Chociaż i „nieładzki” nie jest właściwym słowem. W końcu cóż jest bardziej ludzkiego niż okrucieństwo wzbudzone słabością bliźniego?

Ze wszystkich sił odsuwałem od siebie myśl o tym, jak bardzo zostałbym moralnie i psychicznie skrzywiony, gdyby pozostawiono mnie w tym miejscu. Ale szczęście znów się do mnie uśmiechnęło. Do mojej eksmisji z tego ponurego przytułku, którego nazwa uleciała mi z pamięci, doszło po incydencie z rudą szmatą. Dostaliśmy razem z jakimś innym wrogim pasożytem polecenie umycia podłogi w długim korytarzu. Krępa woźna przyniosła nam wiadro wody, po czym ulotniła się, nie mówiąc, gdzie mamy szukać szmat i szczotek. A może powiedziała, tylko nie mogliśmy ich znaleźć? Tak czy inaczej, wzięliśmy się do szukania schowka na miotły, uchylając po kolei rozmaite drzwi, aż wreszcie w jakimś pustym pokoju na stole znaleźliśmy rdzawoczerwoną szmatę wystarczająco miękką, żeby mogła nam posłużyć jednocześnie za ścierkę do kurzu i szmatę do podłogi. Na zmianę przeciągaliśmy nią po podłodze i wciskaliśmy między ściany a zatłuszczone grzejniki, żeby nas nie oskarżono, że sprzątamy po łebkach. Użyliśmy jej do wytarcia zastarzałego brudu z listew przypodłogowych i śladów butów ze schodów. Miękką tkanina wchłaniała brud jak zaczarowana.

Woźna wróciła niedługo później, a gdy zobaczyła, co zrobiliśmy, szczotka wypadła jej z ręki. Kobieta ze świstem wypuściła powietrze, rzuciła się w kierunku szmaty i przerażona chwyciła ją w ręce. Próbowiła ją wyprać w wiadrze, ale na wodzie unosił się już kożuch brudu. Kiedy odwróciła szmatę na drugą stronę, zobaczyłem, że to wcale nie szmata, tylko aksamitny sztandar, jeden z tych, które wisiały w co drugim pokoju, ozdobiony profilem naszego wielkodusznego wąsatego przywódcy o oczach jak zawsze zmrużonych w uśmiechu.

– Starczy, że człowiek na moment się odwróci, żeby tym małym Abramom coś do łba strzeliło! – krzyknęła.

Dwa dni później wyciągnięto mnie na porannym apelu i wsadzono w pociąg do Saratowa. Byłem pewien, że wywalili mnie za wycieranie podłóg twarzą Stalina – dziecinny umysł nie podsuwał mi innego wyjaśnienia. Skąd mogłem wiedzieć, jak było to niedorzeczne? Woźna nie pisnęłaby nikomu o popełnionym przeze mnie przestępstwie. Uprała sztandar i słowem nie wspomniwała o zdarzeniu, wiedząc doskonale, czyja głowa poleciałaby pierwsza, gdyby się zdradziła. Teraz to jest dla mnie oczywiste, ale gdy jako siedmiolatek siedziałem głodny i sam w pociągu, nie miałem pojęcia, dokąd jadę ani co mnie tam czeka. Przeszło mi przez myśl, żeby wyskoczyć, zgubić się w tłumie, zacząć żyć na ulicy. Ocaliło mnie moje tchórzostwo.

Zbudowany przez nadwożańskich Niemców Dom Dziecka im. Nadzieży Krupskiej znajdował się poza miastem, w wiosce Sokołowy. W pokoju nie śmierdziało myszami, a okien ani nie zakratowano, ani nie zamalowano białą farbą. Pierwotny budynek był długi i niski, zbudowany z bali pochodzących z rozbiórki domów, z których wywłaszczono zesłanych na Syberię kułaków. Gdy podczas wojny liczba dzieci zaczęła rosnąć, dobudowano skrzydło. Pobliski kołchoz oddał sierocińcowi dwa akry najbardziej jałowej ziemi. To tam, w naszym „gospodarstwie”, mieszkała stara krowa z wyschłymi wymionami i koń, który kroku nie zrobił, o ile się go nie poganiało, lecz którego my,

dzieci, uwielbiałyśmy za uroczyste przejażdżki, które czasem nam organizowano. Personel zaparł się i jakimś cudem zdołał wyhodować na tej niewielkiej działeczce trochę roślin. Wiosną wszyscy zakasywaliśmy rękawy, wysiewaliśmy pszenicę i sadziliśmy ziemniaki i inne warzywa, korzystając z nasion i sadzonek od skolektywizowanego gospodarstwa.

Jaki łaskawy los ofiarował mi to schronienie? Moje myśli biegną mimowolnie ku Awdotii Grigoriewnie, naszej dawnej sąsiadce, mojej niani. Oczyma duszy widzę, jak mnie szuka, jak obchodzi wszystkie ośrodki w mieście, do których przydzielano dzieci, i wreszcie dowiaduje się, gdzie jestem. Wyobrażam sobie, jak znajduje kogoś, kto prowadzi moją sprawę, jakąś urzędniczkę o blond włosach upiętych wysoko na dumnej głowie, i błaga ją:

– Znajdźcie temu chłopcu jakiś dobry dom. Rosja jest wielka... Może gdzieś na południu?

– Wyślemy go tam, gdzie będzie miejsce.

Może w zewnętrznej powłoce kobiety zarysowuje się jakaś szczelina współczucia, którą Awdotia potrafi wypatrzyć?

– On jest dla mnie jak własne dziecko. Syn mi zginął pod Stalingradem. Ja widzę przecież, że w tych oczach dusza chrześcijańska mieszka.

– Proszę natychmiast przestać. Przyjrzę się temu. Proszę przyjść za tydzień.

Następnego dnia Awdotia wraca z owiniętym w gazetę metrem bostońskiej wełny. Stara niania wie coś, czego ja jeszcze nie wiem: że tego chłopca trzeba wysłać daleko, jak najdalej od Moskwy, jak najdalej od wielkiej maszyny, która zmeła jego rodziców. A może kochana Awdotia nie odegrała wcale takiej roli? Nie mam najbledszego pojęcia, co odmieniło mój los. Pamiętam jedynie pulchną blond urzędniczkę, ostatnią z szeregu bezimiennych biurokratów, wsadzającą mnie do pociągu i nazywającą „szczęściarzem”, zanim pokazała mnie konduktorowi. I rzeczywiście, miałem szczęście.

Dom Krupskiej był, ogólnie rzecz biorąc, przybytkiem czystości i prostoty. Zasady były sztywne, ale nie arbitralne: jedzenia nie wolno było wynosić z jadalni, niczego nie można było zostawiać na talerzach, niczego nie należało marnować. Marek Pawłowicz często przysiadł się do nas przy posiłkach i w odpowiedzi na nasze usilne prośby opowiadał nam o wojnie, w której odległych echach słyszeliśmy historie naszych własnych – prawdziwych i wyobrażonych – ojców. Miał niezwykły dar opowiadania. Samym tylko głosem potrafił przywołać z niebytu piekielną pożogę od granatów wybuchających za umocnieniami. Powtarzał rozmowy dowódców z plutonami, jakby zdarzyły się dosłownie wczoraj. W każdej z tych historii dokonywano walecznych czynów, przechodzono próby charakteru, dotrzymywano niemożliwych obietnic. W każdej teatralnej pauzie słyszeliśmy artyleryjski wybuch tak donośny, że krew rzucała się nam do uszu.

Wszyscy znali historię o tym, jak Marek Pawłowicz stracił rękę. Którejś nocy pełnił wartę i akurat wtedy Niemcy przypuścili atak, posyłając za jego osłonę pocisk moździerzowy. Kompletnie go zasypało. Odkopali go i ocalili mu życie przyjaciele. Wszystkie opowieści Marka Pawłowicza nieodmiennie kończyły się w ten sam sposób: nauką o wartości przyjaźni. W trakcie tych posiłków chłopcy, których ojcowie zginęli

w walce, przybierali pozy bohaterów. W tych, których rodzice zniknęli w sposób mniej honorowy, wzbierała niema zazdrość. A co ze mną? Jakie myśli przebiegały przez moją małą głowę, kiedy tak siedziałem zahipnotyzowany, przysłuchując się wszystkim tym kronikom bohaterstwa? Wiedziałem, że ojciec dokonał podczas wojny czegoś równie heroicznego, czegoś, co wiązało się z dokumentami, ale nie z bronią. Lecz przecież na tle opowieści Marka Pawłowicza o żarliwym i krzepkim męstwie pokojowy heroizm mojego ojca wypadł blado. Jak każdy chłopiec dorastający w tamtej epoce pieściłem własne sny o potędze: dowodzące mego oddania sprawie fantazyjne sceny w stylu Czapajewa, imię Stalina na mych wilgotnych wargach. Nie liczyło się to, czy przeżyłem: liczył się rehabilitujący mnie wizerunek, jakim pragnąłem się zapisać w pamięci potomnych. I wreszcie tu, w tym nowym domu dziecka, przynosząca odkupienie przyszłość zdawała się leżeć w zasięgu ręki.

Nigdy nie uwierzyłem, by rodzice byli wrogami – to słowo wiązałem jedynie z niemieckimi faszystami. Wiedziałem jednak, że nie byli prawdziwymi Rosjanami. Ze mną i między sobą rozmawiali w innym języku. Gdybym potrafił ująć to słowami, wyznałbym wiarę w to, że jedno z nich lub może oboje po prostu popełnili jakiś błąd, błąd człowieka z zewnątrz, beztroski, płynący z rozkojarzenia błąd, jakiego nigdy nie popełniłby prawdziwy Rosjanin. To ta beztroska rzuciła ich w piekielny krąg nieporozumień, którego zakładnikami staliśmy się wszyscy. Moje zadanie podczas rozwikływania całej tej sprawy polegało na tym, by się nie wychylać do momentu, kiedy będę mógł dać świadectwo. Poręczeniem niezłomnej lojalności rodziców stanie się mój niezaprzeczalny patriotyzm. Moja odwaga i szczerłość, mój dar przywódczy – wszystko to będzie można wciągnąć do ewidencji. Tak w każdym razie przedstawiał się mój plan, kiedy wreszcie znów zacząłem chodzić do szkoły. Postanowiłem być dobrym chłopcem, jakim nie pozwolono mi się stać w moim pierwszym sierocińcu. W tym celu natychmiast zapisałem się do kilku kółek zainteresowań, czyli klubów plastycznych prowadzonych przez naszego nauczyciela, oraz do klubu młodego technika dla dzieci zainteresowanych nauką wyrobu narzędzi gospodarskich. Miałem nadzieję, że z moim talentem plastycznym (byłem uzdolnionym artystą specjalizującym się w realistycznie krwawych scenach batalistycznych) i szczerym entuzjazmem zostanę uznany za odpowiedniego kandydata do pionierów. Moja dobroć nie płynęła z pobudek wyłącznie altruistycznych. Gdybym nie zdołał zrehabilitować rodziców, chciałem przynajmniej odkupić siebie. Wobec braku krewnych gotów byłem powierzyć się opiece wielkiej komunistycznej rodziny. Postępowałem prawdopodobnie wzorem otaczających mnie dorosłych. W nowym domu o rodzicach nie wyrażano się z pogardą – nie wspomniano o nich w ogóle. Jeśli dziecko się zapomniało i przypadkowo wymówiło słowo „mama” albo „tata”, opiekunowie reagowali na tę eksplozję chłodną obojętnością. Stanowiło to coś w rodzaju naruszenia etykiety. Powinno mnie to uspokoić, lecz jedynie zwróciło moje lęki do wewnątrz. W poprzednim miejscu, gdzie za taką gafę można było zarobić w skórę, jak ścigane zwierzę zachowywałem czujność pozwalającą unikać sideł i potrzasków. Tutaj, gdzie uchodziłem za „zwykłego” rosyjskiego chłopca, bałem się odkrycia mojej prawdziwej tożsamości.

Ale kim ja właściwie byłem? Odkąd zabrano mnie z domu, zaczęło się ze mną dziać

coś dziwnego. Ciało stało się jakby obce. Własnego głosu słuchałem, jakby należał do kogoś innego. Obserwowałem siebie nieswoimi oczami. Słuchałem tego chłopca, jakbym starał się dowiedzieć, kim jest, ocenić go, oszacować. Z czasem ten obserwowany przeze mnie chłopiec stał się już nie mną, lecz kimś innym, dzieckiem, którego ojciec zginął na wojnie, a matka, może pielęgniarka, umarła w jakiś heroiczny sposób. Patrzyłem, jak ciało tego chłopca wchodzi w szeregu innych ciał do stołówki. Oglądałem go we wspólnej łazience, spryskującego się zimną wodą. Poruszała mnie samotna, niezłomna walka tego stworzenia o godne znoszenie przeciwności losu i zachowanie skromności i odwagi mimo okrucieństw tego losu. Od świtu do zmierzchu odgrywałem sekretnie jego rolę. Uczepiłem się go jak brata i bałem się, że mogą nas rozdzielić.

Lęk przed zdemaskowaniem nie był dla mnie czymś całkiem nowym. W dniu, w którym poszedłem do szkoły, przestałem odpowiadać matce po angielsku. Nauczyła się już, żeby nie mówić w tym języku przy sąsiadach, ale nie lubiłem go używać nawet na osobności. Osłabiałem czujność dopiero po zmroku i wtedy pozwalałem, by śpiewała mi na dobranoc kołysanki, które nuciła mi od urodzenia: Little Bo Peep, Farmer in the Dell, Row, Row, Row Your Boat i inne, na przykład Angels Watching Over Me, Roll the Old Chariot Along, He's Got the Whole World in His Hands. Skąd mogłem wówczas wiedzieć, że były to pieśni religijne śpiewane przez czarnych, które niania mojej mamy śpiewała jej, gdy ta była małą dziewczynką? Pod cienkim kocem na metalowym łóżku w domu dziecka nuciłem sobie niektóre z nich tak cichutko, że już ciszej się nie dało. Co innego mi pozostało? Spaliśmy sami, bez szmacianych lalek czy wypchanych króliczków, które moglibyśmy przytulać. Słowa i melodie to było wszystko, co zostało mi po matce, której obraz zaczynał się już zacierać.

Moje dwie egzystencje, nocną i dzienną, wyraźnie rozdzielała reguła zabraniająca nam, dzieciom, wchodzenia do sypialni w ciągu dnia po zasłaniu łóżek (od tamtej pory przez większość życia unikałem pokusy wchodzenia do sypialni przed wieczorem). A jednak któregoś ranka, na samym początku pobytu, złamałem tę regułę i po śniadaniu wśliznąłem się z powrotem do skrzydła sypialnego. Po co? Nie potrafię sobie teraz przypomnieć. Zapomniałem czegoś? Niezależnie od powodów, ledwie stanąłem pod drzwiami, usłyszałem dobiegające ze środka głosy.

– Oni przyniosą wstyd temu miejscu!

Głos należał do kobiety, którą nazywaliśmy Sierżantem, a która co rano na apelu wyciągała z szeregu jedno czy drugie nieszczęsne dziecko, i kazała mu się przyznawać do świeżo popełnionych grzechów (brudne ręce, podwędzone papierosy). Domyśliłem się, że tym razem omawia dowody demoralizacji znalezione pod poduszką jednego ze starszych chłopców. Wiedziałem, że powinienem zwać, ale ciekawość kazała mi wstrzymać oddech i nie pozwoliła ruszyć się z miejsca. Przedmiotem, który znalazła Sierżant, okazał się list. Konkretnie list miłosny od dziewczyny z sierocińca. Przeczytała na głos kilka linijek, po czym oceniła autorytatywnie:

– Obrzydlistwo! Nie przypomina nawet piosenek z radia!

– Powiedziałem, że zajmę się tym osobiście.

Rozpoznałem lekko schrypnięty baryton Marka Pawłowicza.

– Ale to moim zadaniem jest dopilnowanie, by wyszły stąd... nietknięte –

powiedziała Sierżant. – Prowadzimy sierociniec, nie burdel. Co zrobimy, jak jutro pojawi się kolejna gęba do wykarmienia?

- Przestań mnie straszyć i przestań sama się bać.
- Musisz ich przykładnie ukarać, zanim na takie pomysły wpadną pozostali.
- Nic takiego nie zrobię i ty również nie.

Siedząc w kucki za otwartymi drzwiami, patrzyłem, jak Sierżant wychodzi sztywnym krokiem z pokoju. Nawet mnie nie spostrzegła. Wyraz zaciśniętych ust pokazywał wyraźnie, co sądzi o zmuszaniu jej do respektowania takich poleceń.

Czy pojąłem scenę, która rozegrała się przed moimi oczami? Bardzo powierzchownie. Wyczułem, że Marek Pawłowicz dał do zrozumienia, kto tu jest szefem, co mnie ucieszyło, bo bałem się Sierżant i nie lubiłem jej tak samo jak pozostali. Lecz mimo wszystko ta wymiana zdań mnie zaniepokoiła. Podważała zasadę, która od dawna była nam wpajana. Na ścianie klasy obok portretów Lenina i Stalina wisiał portret Pawlika Morozowa. Każdego dnia wybierano spośród nas „kontrolerów”, którzy sprawdzali czystość paznokci i obecność woszczyzny w uszach wszystkich dzieci. Ci zanadto pobłażliwi, którzy przymykali oko na przewiny przyjaciół, padali ofiarą donosów składanych zwykle przez małe dziewczynki samorzutnie mianujące się nadzorcami naszej klasy. Wcześniej wprawiano nas w sztuce obnażania niedostatków innych, a ja niestety nie byłem całkiem na nią odporny.

Niedługo później zostałem wysłany do gabinetu Guczkova za wdanie się w paskudną bójkę. Postanowienie, że będę modelowym obywatelem, opuściło mnie na chwilę, po tym jak pewien chłopiec przewrócił jedyną dostępną szachownicę, którą rozłożyłem pieczołowicie, doczekawszy się na swoją kolejkę. Chłopak był wrednym lizusem, który już wcześniej próbował narobić mi kłopotów, a co gorsza traktował mnie jak oszusta – i bałem się, że nie bez racji. Zwykle puszczałem jego złośliwości mimo uszu, ale to była jawna prowokacja. Jeśli w pierwszym domu dziecka czeokolwiek się nauczyłem, to tego, że rachunki należy wyrównywać od razu albo w ogóle. Nie umiałem się bić. Sięgnąłem do twarzy chłopaka, rozumiejąc, że moją jedyną szansą jest zrobienie czegoś kompletnie wariackiego, zanim zdąży zareagować. Wbiłem mu paznokcie w policzki, tak wysoko, jak zdołałem sięgnąć. Uderzył mnie w brzuch, ale w tym momencie dolną część jego twarzy trzymałem już w szponach i nie puszczałem. Krew trysnęła mu z wargi. Kolejny cios łupnął mnie prosto w ucho i zawibrował mi w czaszce, jakbym był głuchym doświadczającym udarowych wstrząsów werbla. Świat zatonął w ciemności. Upadając, może się nawet uśmiechałem.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i za obolałe ucho wprowadzono mnie do środka. Drzwi się za mną zamknęły. Dyrektor wskazał mi krzesło. W pokoju unosił się charakterystyczny zapach: intensywna woń fajkowego dymu, wełny i męskiego potu.

Oczy miał ciemno podkrążone. Wczorajszy zarost czepiał się obwisłej skóry wcale niebrzydkiej twarzy. Kiedy przemówił, poczułem jego głos w piersi.

– Wystaw ręce, Julij. – Odwrócił mi dłonie wnętrzem do góry. – Widzę, że obcięli ci te szpony. Co sobie właściwie myślałeś?

Dziwnie się poczułem, słysząc swoje imię w jego ustach. Gdy Guczkow przechadzał się po korytarzach, otaczała go aura wyjątkowości, a oto dostąpiłem

prywatnej audiencji, lecz nie za dokonanie czegoś niezwykłego ani nawet za honorowy bunt, ale za brudny, oportunistyczny chwyt.

– No więc?

– To nie ja zacząłem... – powiedziałem i zacząłem rozprawiać o szachownicy, pozostawiając na boku kwestię wcześniejszych docinków chłopaka. Czułem, że Guczkow uważnie mi się przygląda, kiedy tak trajkoczę. Żalowałem każdego słowa już w chwili, w której wylatywało z moich ust, lecz nawet gdy z nosa zaczęły mi płynąć gile, próbowałem jakoś pozbierać swoje alter ego – porządnego, surowego chłopaka, który nie zniżał się nigdy do takich samousprawiedliwień. Ale mój sobowtór mnie opuścił. Czułem, że twarz mam coraz bardziej mokrą. Coś we mnie pękło.

W końcu mi przerwał.

– Nie rozwiązujemy tu problemów pazurami. Czy to jasne?

Pokiwałem głową.

– Mów.

Teraz, gdy oczekiwano ode mnie słów, odebrało mi mowę.

– Rozumiesz po rosyjsku? – warknął.

Zdobyłem się na to, by przytaknąć.

– A po angielsku?

Poczułem, jak moje ciało sztywnieje.

– Jesteś amerykańczik, co?

Serce tłukło mi się w piersi jak kanarek próbujący wydostać się z klatki. Nie mogłem zaczerpnąć tchu.

– Czego się boisz? Nie wysyłamy cię tam.

– Nie.

– Co nie? Nie boisz się?

– Nie jestem Amerykaninem – powiedziałem. Te drwiny wciąż dźwięczą mi w uszach. Słyszę je nawet teraz. Wróg. Wróg. – Amerykanami byli moi rodzice.

Obserwował mnie spod półprzymkniętych powiek.

– Dlaczego „byli”?

– Nie żyją – odparłem niewzruszenie.

Może nawet w to wierzyłem. W tamtej chwili może nawet tego chciałem.

Marek Pawłowicz nie odpowiedział. Sięgnął za pazuchę i z jakiegoś zakamarka pod koszulą wydobył długi łańcuszek z mosiężnym kluczem. Zręcznie zdjął łańcuszek z szyi, a ja patrzyłem, jak przykuca, by otworzyć szufladę biurka. Nad horyzontem blatu dostrzegłem jego ramię i bezwładnie zwisający rękaw. Po raz pierwszy zrozumiałem, że nawet proste ruchy nie przychodziły mu łatwo, że musiał obrócić całe ciało, by otworzyć zamek, jakby przekręcał upartą śrubę. W końcu otworzył szufladę i coś z niej wyjął: ciężką skórzaną księgę, którą umieścił na biurku. Znalazł kartkę papieru i przesunął ją w moją stronę.

– Jesteś wystarczająco duży, by pisać.

Z walącym sercem pojąłem, co to za księga. Strona, na której otworzył, była gęsto zapisana adresami.

Wstał i podszedł do miejsca, w którym siedziałem. Postawił obok mnie kałamarz.

Mocno ująłem pióro, które mi podał, lecz w głowie miałem pustkę.

Marek Pawłowicz zaczął dyktować.

– Zdrastwuj, dorogaja mamoczka...

Notowałem jego słowa jak skryba. Zerknął z góry na moje nierówne pismo.

– W pierwszym słowie jest „w”... Och, nieważne. Idźmy dalej.

Mój pierwszy list do matki składał się z czterech zdań. Zaczynał się od „Tu jest ciepło”, a kończył na „Zakolegowałem się tu z jednym chłopcem. Ma na imię Kola”.

– I co teraz? – zapytałem.

– A jak sądzisz? Napisz: „Ucałowania, Twój syn, Julik”.

Z drugiej szuflady biurka wyciągnął kopertę. Znalazłszy właściwy wpis w księdze, przepisał hańbiący adres więzienia, do którego list miał zostać wysłany. Skończywszy, włożył księgę z powrotem do szuflady i zamknął ją na klucz.

Patrzyłem, jak długi łańcuszek i błysk mosiądzu znikają pod szorstką płócienną koszulą, ukryte w miejscu, do którego jedynie dyrektor mógł mieć dostęp.

– Na dziś wystarczy – powiedział. – Następnym razem będziesz miał więcej do opisaniania.

Jeśli chodzi o Kolę, to poznałem go na stołówce. Dwa lata ode mnie starszy, choć trudno się było zorientować. Chudy, długoszyi i blady jak albinos. Oczy jak szparki powinny nadawać jego twarzy wyraz skrytości, ale nie, wydawało się, że patrzy nimi niemal łagodnie, jakby każde miejsce, w którym akurat się znalazł, było jedynie przystankiem. Próbowałem nawiązać rozmowę, zachwycając się jedzeniem.

– No pewnie, istne sanatorium. Będiesz jadł ciastka? – zapytał.

Spojrzałem na cynowy talerz i leżące na nim dwa zawinięte w papier ciasteczka. Była niedziela i to był nasz smakołyk na Święto Rewolucji Październikowej. Obserwowałem, jak w trakcie posiłku Kola odgryzał kawałki kielbaski i wpychał je do kieszeni. A ponieważ nie zaprotestowałem, chwycił moje ciasteczka i zrobił z nimi to samo.

– Ej!

– Za późno. Co spadło, to przepadło.

Nie miałem ochoty wszczynać bójki z tym kurduplem, zwłaszcza że podwędzenie ciasteczek uznałem za gest niemal przyjazny, a przyjaciel był czymś, czego najbardziej teraz potrzebowałem. Wynoszenie jedzenia ze stołówki było sprzeczne z zasadami.

– Każą ci wybebeszyć kieszenie – ostrzegłem.

– A ty co, dyrekcja domu dziecka?

Kilka tygodni później podsadzał mnie przez metalową bramę za zrujnowaną oborą. Po drugiej stronie bramy biegła ścieżka do głównej drogi na miejski bazar. Tego dnia, jakiś czas po mojej audiencji u Guczkowa, świeży śnieg stopniał i w błotnistym gruncie wyraźnie odciskały się ślady podeszew i końskich podków. Mokra breja kłaskała nam pod butami. Kiedy już nie można nas było dostrzec z domu dziecka, Kola spuścił spodnie, żeby odlać się w kępie czarnych sosen. Kiedy z powrotem wepchnął koszulę w majtki, odczepił coś, co miał schowane po wewnętrznej stronie spodni. To była rękawiczka z jednym palcem, przymocowana spinką do włosów tuż poniżej kieszeni. Wystawił palec przez dziurę w dnie kieszeni i pomachał nim, żeby mi zademonstrować, jak przemycał

jedzenie na zewnątrz. Wewnątrz przyszpilonej do nogawki rękawicy znajdowały się kawałki kiełbasy i ciasteczka, a do tego połamany grzebień, niedopałek papierosa i kilka zapalek. Teraz, gdy znaleźliśmy się na wolności, Kola zapalił otwarcie, jak dorosły, i w podziękowaniu za słodczyce pozwolił mi kilkakrotnie się zaciągnąć.

– Co zrobisz z ciastkiem?

– Sprzedam.

– Za co?

– Za gwizdek.

– Spinkę też tak zdobyłeś?

– Nie, wziąłem z domu cioci Marusi. Znalazłem w pudełku z guzikami. Ciocia mieszka niedaleko.

– To co ty tu właściwie robisz?

– Podoba mi się tutaj. A poza tym, jak wypuszczą z paki mamę, to zamieszkać z nią.

Struchlałem. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby jakiś chłopak mówił, że jego matka siedzi w pace, a co dopiero żeby wspominał o tym tak swobodnie jak Kola.

– A co ona zrobiła, ta twoja matka?

– Wyciągała dzieci z kobiet.

– Pomagała przy porodzie.

– Nie, wyciągała je szydełkiem, zanim urosły. Jak kobiety ich nie chciały.

– Krzyczały?

– Kobiety? No jasne. Ale dzieci nie. Jak je wyciągała, to była już tylko krew i bebechy.

– Znaczą widziałeś?

– Pewnie. Patrzyłem, jak wychodziła wywalić wiadro z odpadkami. Czasem zdarzały się włosy, ale głównie bebechy.

– A twój tata?

– Zamarzył w zaspie. A twoi oboje nie żyją?

Zawahałem się.

– Mój ojciec... chyba tak – usłyszałem własny głos. – Mama jest w obozie.

Zaskoczyła mnie własna szczerość. Kola wyciągnął ze mnie prawdę, nie używając niczego choćby zbliżonego do inwazyjnych procedur, o jakich z taką swobodą rozprawił.

– Jest wrogiem?

– Nie wiem.

– No wiesz, za coś musieli ją tam wysłać.

Poczułem, jak przywiera do mnie dobrze mi znane uczucie bezwartościowości. Zadawałem sobie to pytanie od miesięcy i w mojej głowie jedno wyjaśnienie wyparło wszystkie inne. Teraz chciałem je przetestować, sprawdzić, czy przetrwa na wolnym powietrzu.

– W naszym pokoju stało żelazne popiersie Lenina. Jego podstawą mama często łupała orzechy laskowe.

Solidne żelazne popiersie było idealnym dziadkiem do orzechów. Pamiętam, jak

ojciec kiedyś ją ostrzegął, że jeśli ktoś to zobaczy, zostanie zabrana „w głąb”.

– Leninem! – Po twarzy Koli przebiegł krzepiący wyraz przerażenia. – Moja powiedziała, że kocha Lenina nad życie!

Na bazarze byłem nie po raz pierwszy. Pozwalano nam chodzić tam w niedzielę pod opieką starszych dzieci, którym dawano kilka kopiejek, żeby kupiły nam lody albo tyle ziaren słonecznika, ile mieściło się w rożku z gazety. Dla wszystkich było to ulubione miejsce, ten wiecznie zmieniający się krajobraz: porządek i energia o poranku, tłumy przez całe popołudnie, a o brzasku bałagan jak na głównej ulicy miasta po paradzie. Kola szedł tam jednak nie jako widz, lecz uczestnik transakcji. Chodziłem za nim od stoiska do stoiska, gdy podejmował kolejne próby barteru.

– Babuszka, dacie kilka monet za słodycze?

Gdy tylko rozpoczęliśmy nasze handlowe przedsięwzięcie, dobiegł nas wrzask jednego ze sprzedawców.

– Złodzieje! Kradną ze swojego domu dziecka! – krzyczała kobieta zza piramidy buraków i marchwi, wymachując w powietrzu różowymi poodmrażanymi dłońmi. – Karmią was i ubierają, a wy, kanalie, okradacie państwo!

– Uspokój się, ciociu! To moje. Nikomu tego nie ukradłem.

– Nie dość, że złodzieje, to jeszcze kłamcy! Przychodzą tu i próbują przehandlować koszulę z pleców za papierosy. Był tu taki jeden, miał szalik na sprzedaż.

– Ale to nie my, ciociu – powiedział Kola. – Czy ktoś mógłby kazać się tej krowie zamknąć?

– Ciekawe, kto to był – myślałem głośno, kiedy wracaliśmy w gasnącym świetle dnia. Miałem już pewne podejrzenia.

– Obstawiałbym, że Łysek.

Łyskowi znacznie bliżej było do bezwzględnego karła niż do zwykłego dziecka. Widziałem, jak znęcał się nad kotami błakającymi się po podwórku – związywał im łapy i rzucał nimi o pień drzewa. Jednego sparaliżowało, gdy roztrzaskał mu miednicę. Przeganiał młodsze dzieci z huśtawek i karuzeli, po czym zawisał z szyderczą miną na którymś z urzędów. Dziki śmiech upodabniał go do kryminalisty. Podejrzewaliśmy go o jakiś rodzaj upośledzenia umysłowego, lecz to dawało mu jedynie nieokreśloną przewagę nad resztą.

– Jak dorobił się przyzwiska Łysek, skoro nie jest łysy?

– Jak przyjechał, całą głowę miał w krwawych ranach – wyjaśnił Kola. – Mieszkał na boczniczy i zakładał się z włóczęgami. – I wytłumaczył, jak to działało: – Kiedy wygrał, to dawali mu jedzenie. Kiedy przegrał, to pozwalał im wyrwać sobie kępkę włosów.

Po przyjeździe do Domu Krupskiej początkowo nieustannie wodziłem wzrokiem za Łyskiem, uważałem jednak, by namolnym gapieniem się nie sprowokować go do bitki. Zbyt długie przyglądanie się było równoznaczne z wyrażeniem pragnienia rychłej śmierci. Dom dziecka, zamiast go ucywilizować, pogłębił jego zdziczenie. Ostatnio zaczął z premedytacją łamać zasady uczciwej walki dopuszczającej jedynie ciosy wymierzone gołą pięścią i każącej przerwać przy pierwszej krwi. Wyciągnięcie noża, jak zrobił to podczas swego ostatniego starcia z nowym chłopcem, było jawnym pogwałceniem zasad i wymagało natychmiastowej interwencji. Ktoś pobiegł po Guczkowa i wkrótce dyrektor

pojawił się, roztrącił gapiów i odciągnął Łyska za kołnierz tą swoją jedyną, zaskakująco silną ręką. Kiedy wrócił, zdjął z głowy filcowy kapelusz i zażądał, żeby wszyscy, którzy mają przy sobie jakąkolwiek broń, natychmiast ją do niego włożyli. Wystąpiło dwóch chłopców. Wrzucili do kapelusza małe, tępe ostrza, jakie widywałem w ich rękach, gdy ciskali nimi jak strzałkami w pień drzewa.

– Następny skonfiskowany nóż i mogę was zapewnić, że nie skończy się na wygarnianiu przez miesiąc gnoju – ostrzegł.

Gdy szliśmy z powrotem w stronę domu dziecka, było dotkliwie zimno. Pod stopami chrzęściła zamarznięta ziemia.

– Powinniśmy mu powiedzieć? – zapytałem Kołę.

– A masz jakiś interes, żeby się wychylać?

Kilka dni później Łyska wywołano na porannym apelu.

– Gdzie jest szalik, który ci wydaliśmy? – zapytał Marek Pawłowicz.

Na wargach chłopaka zaigrał pogardliwy uśmieszek.

– Zgubiłem.

– Za wszystko tutaj płacimy – powiedział dyrektor, przechadzając się wzdłuż szeregu. Wciąż zwracając się do Łyska, dodał: – W zeszłym miesiącu bardzo podobało ci się sadzenie ziemniaków. W tym miesiącu na pewno znajdziesz przyjemność w rąbaniu drew na zimę.

Udając, że patrzymy na Marka Pawłowicza, usiłowaliśmy zerknąć na Łyska, który wetknąwszy sobie lewe ramię za plecy, naśladował dumny krok przechadzającego się przed nami Guczkowa. W grupie starszych dzieci rozległy się złośliwe chichoty. Łysek uchwycił miarowy krok dyrektora i nierówne kołysanie się jego barków. Zachichotali mimowolnie nawet ci, którzy uznali takie przedrzeźnianie za wredne. Zabolał mnie widok wyśmiewanego za plecami bohatera wojennego. Odkąd Marek Pawłowicz zapewnił mnie, że tajemnica adresu mojej matki jest u niego bezpieczna, byłem mu oddany bardziej niż kiedykolwiek. Teraz czułem, jak skóra cierpnie mi chęcią rzucenia się na Łyska. Mogłem znieść jego wredność, lecz nie udawanie, że za zwykłą złośliwością kryje się szlachetny bunt. Poprzysiągłem, że mi za to zapłaci.

Następnego ranka stałem pod starym budynkiem w szkolnym mundurku, czując pod plecami twardość obłych bali. Przed spojrzzeniami osłaniała mnie szopka na narzędzia. Nasłuchiwałem, jak pozostałe dzieci wychodzą i ruszają w codzienną trzykilometrową drogę do szkoły. Wiedziałem, że zostaną ukarani za spóźnienie, ale to, co zamierzałem zrobić, było ważniejsze od lekcji. Zaczekawszy, aż ucichną głosy wibrujące w krystalicznie czystym powietrzu, wśliznąłem się z powrotem do głównego budynku. Przypatrzcie się teraz młodemu bohaterowi: nauszniki furkoczące na wietrze, prujący się ściągacz za krótkiego swetra, który zaczynam nerwowo skubać. Zimne powietrze kłuje mnie w płucach. Kiedy podeszwy chrzęszczą na zmrożonym śniegu, próbuję się rozgrzać wizją Marka Pawłowicza, z którym piszę drugi list do matki (nie dostałem jeszcze odpowiedzi na pierwszy). Jego błędne pierwsze wrażenie na mój temat, kiedy to uznał mnie za kłamcę, zostało już sprostowane, skoro podzieliłem się z nim tym, co wiedziałem. Kładąc mi dłoń na ramieniu, Marek Pawłowicz mówi, że jestem chłopcem, na którym można polegać. Układając list do matki, wciąż jeszcze czuję bijące od niego ciepło.

Dotarłszy pod drzwi gabinetu dyrektora, odkryłem, że nie jest sam. Zza uchylonego lewego skrzydła usłyszałem głosy: jeden szorstki i poważny, drugi wyważony i układny. Ze swego punktu obserwacyjnego dostrzegłem błysk wypolerowanych wojskowych butów i zamaszystość ciężkiego mundurowego płaszcza w kolorze szaroniebieskim, kojarzonym zwykle z oficerami milicji. Powędrowałem wzrokiem wyżej, ku pagonom. W gabinecie było dwóch nieznajomych: jeden pochylał się nad biurkiem Guczkova w sposób zdradzający jakąś niejasną groźbę, drugi krążył po pokoju, strzepując szron z niedźwiedziej czapy. Ciężkie buty zostawiały na podłodze ślady roztopionego śniegu. Wstrzymałem oddech i nadstawiłem uszu. Mówili chyba coś o tym, że jakiegoś chłopaka z miasta odwieźli do szpitala po krwawej walce na noże. Dyrektor zapytał, czy chłopak zidentyfikował napastnika, na co jeden z milicjantów uśmiechnął się i zapewnił, że uzyskali od niego wszystkie potrzebne informacje.

– Przypuszczam zatem, że nic nie powinno stanąć na przeszkodzie wyjaśnieniu tej sprawy – powiedział Marek Pawłowicz.

W ich głosach zabrzmiało wyraźne niezadowolenie z tej wymijającej odpowiedzi. Ten, który się wcześniej nie odzywał, zaczął mówić coś o „nałogowych recydywistach”, których małoletniość nie może chronić przed działającym z pełną mocą wymiarem sprawiedliwości.

Momentalnie, niczym olśniony rozbłyskującą o północy błyskawicą, zorientowałem się, że mówią o Łysku. Wciągnąłem w nozdrza zapach wilgotnych wojskowych płaszczy, czując przyspieszone bicie serca. Och, to właśnie za to Łysek przehandlował szalik – za następny nóż! Poczulem się tak, jakbym wchodząc na zwykłe przesłuchanie, znalazł się nagle przed wypełnioną do ostatniego miejsca widownią. Jeśli kiedykolwiek miała się nadarzyć sposobność przedstawienia się światu jako prawy i odważny chłopiec, za jakiego chciałem uchodzić, to właśnie wtedy. Czułem, że muszę natychmiast zapukać w drzwi i powiedzieć tym umundurowanym mężczyznom wszystko, co wiem.

Usłyszałem, jak Marek Pawłowicz odpowiada tym swoim przyjemnym, a jednocześnie stanowczym w oporze głosem:

– Na terenie ośrodka nie dopuszczamy posiadania noży ani jakiegokolwiek innej broni i dzieci ich ze sobą nie noszą.

Z niewyjaśnionych powodów zmartwiałem, nie potrafiąc się zmusić, by zastukać. Niełatwo to wyjaśnić nawet teraz, ale obecność milicjantów w jakiś sposób odebrała mi odwagę. Było coś w tych ich butach, w tej zimnej, zawilgłej woni rozchodzącej się w starej, przesiąkniętej tytoniowym dymem ciasnocie gabinetu, lecz tak naprawdę chodziło chyba o głosy. Prześladowało mnie wspomnienie aresztowania matki. Kiedy tak stałem, kompletnie sparaliżowany, bałem się, że zmuszą Marka Pawłowicza, by wyciągnął sekretną księgę, w której obok nazwiska kobiety uwięzionej za zdradę widniało moje. Wchodząc tam w tym momencie, utraciłbym na dobre przybraną tożsamość. Chcieliby wiedzieć, kim jestem, a Guczkow musiałby im powiedzieć. Chyba właśnie wtedy zrozumiałem, co oznaczało słowo „bohater” w swym pierwotnym, greckim znaczeniu: kogoś, kto każde swe zwycięstwo musi okupić karą nałożoną przez zazdrosnych bogów.

Nie zrobiłem nic. Słuchałem wznoszących się i opadających głosów znajdującej się w środku trójki i pozwalałem minutom płynąć. W końcu głosy doszły do jakiegoś podszytego napięciem porozumienia, a Marek Pawłowicz zezwolił na otwarcie wszystkich pokoi do rewizji. Widziałem, że to rozwiązanie wcale ich nie usatysfakcjonowało. Jeden z nich uśmiechnął się sardonicznie.

– Możecie mieć pewność, że to zrobimy.

Marek Pawłowicz wyprowadził ich na zewnątrz. Otarli się o mnie ciężkimi płaszczami, w ogóle mnie nie zauważając. Tylko dyrektor, mijając mnie, uniósł brew. Jeden z milicjantów, zanim zamknął drzwi, z grubsza rozgarnął butem zaspę, która utworzyła się na tylnych schodkach. Dyrektor się odwrócił i wokół jego oczu dostrzegłem ciemne kręgi.

– Od dawna tu stoisz?

W wyrazie jego twarzy było coś, co tak mnie przeraziło, że bałem się odezwać.

– Co jest? Mowę ci odjęło?

– Ja coś wiem.

Wpuścił mnie do gabinetu.

– No dobrze.

Powiedziałem mu o krzyczącej na bazarze kobiecie i o zaginionym szaliku Łyska. Moja spowiedź jakby jeszcze bardziej go zmęczyła.

– On ma na imię Lowa, a nie Łysek. Właśnie to przyszedłeś mi powiedzieć?

– To był on.

– Widziałeś, jak sprzedawał szalik i kupował nóż?

– Nie, ale ona powiedziała...

– Wystarczy. Tutaj nie rzucamy bezpodstawnych oskarżeń. Pozwoliłeś się ponieść wyobraźni. Z kim jeszcze podzieliłeś się tymi wymysłami?

– Z nikim!

– A więc zachowaj je dla siebie. Zrozumiano? No to idź już.

Następnego dnia spadło więcej śniegu. Wracalem ze szkoły do domu dziecka przybity, obserwując spływające z nieba wielkie, mokre płatki. No i co mi przyszło z odgrywania „dobrego”? Na twarzy Łyska wciąż malowała się prostacka wyższość. Nikogo się nie bał, nie uznawał żadnej władzy. Jego drwiny podszyte były świadomością pewnego faktu: Marek Pawłowicz chciał nas rozstawić po kątach, jakby był naszym ojcem, ale nim nie był. I nie był żadnym bohaterem. Prawdziwi bohaterowie nie żyli. Zdjąłem rękawiczki i poczułem na palcach ukłucia zimna. Z pobocza drogi zgarnąłem garść ostrego żwiru ze śniegiem i ulepiłem twardą kulę. Nie celując specjalnie, posłałem ją w kierunku chłopaczka idącego dwa metry przede mną. Ku memu zdumieniu uderzyła go w potylicę tak, że runął głową do przodu w śnieg.

– A więc teraz postanowiłeś być chuliganem. – Marek Pawłowicz zamknął za sobą drzwi. – Mogę cię zapewnić, że jest to zawód, w którym nie odniesiesz sukcesu.

Mój wzrok przyciągnął błysk metalu na biurku dyrektora. Guczkow podszedł do blatu i podniósł nóż, chwytając go za twardą celuloidową rękojeść.

– Skonfiskowałem go kilka dni temu. – Widziałem w jego oczach, że mu nie zaimponowałem. Czyżbym naprawdę sądził, że pozwoli milicji przeszukać ośrodek, nie

przeszukawszy go uprzednio samemu? – Chcieli wzywać chłopców, jednego po drugim, i po kolei z nimi rozmawiać. Powiedzielibyś im to, co mnie?

– Powiedzieli nam, że jeśli nie pomożemy im złapać chuliganów, będziemy równie źli jak oni.

Pożałowałem tych słów już w chwili, w której je wymawiałem.

– A więc wskazałbyś na Lowę?

– Nie wiem – powiedziałem wyzywająco.

Uniósł brodę, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy. Spojrzenie miał przenikliwe jak snop światła omiatający dno mętnego stawu w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu. Nie wiedziałem, czego szuka. Wiedziałem jedynie, że to coś ma niebezpieczną moc.

– Jestem pewien, że to zrobił – powiedziałem.

– Założmy, że tak. Zgodnie z obowiązującym prawem dwunastoletnie dziecko można uwięzić na dziesięć lat. Pomyślałeś o tym, jaki jest los kogoś, kogo wyślą do obozu poprawczego? Zostawia go w brudnych koszarach, bez ogrzewania, żeby kulił się jak pies nad lampą naftową. Inni pobijają go, albo gorzej, za skibkę czerstwego chleba. W takim miejscu Lowa się nie poprawi.

Ale mnie Lowa nie obchodził. Miałem tego świadomość i pewność, że Guczkow też ją ma. Jakby czytając mi w myślach, powiedział:

– A jeśli chodzi o ciebie, Juliju Brink, to jesteś myślącym chłopcem. Potrafisz dodać dwa do dwóch. Twoja inteligencja sprawi, że ludzie będą się chcieli tobą posłużyć. Pozwól więc, że coś ci poradzę: uważaj na instynktowne porywy. Są zawsze najszlachetniejsze i najbardziej niebezpieczne.

Nigdy nie udzielono mi lepszej rady.

Wyczułem niejasno, że obiektem poszukiwanym przez Guczkova w mętym stawie mojego jestestwa było właśnie to. Moje szlachetne porywy, jak to nazwał. Do tego momentu nie uświadamiałem sobie, że potrafię kogoś skrzywdzić. Wiedziałem jedynie, że mogę zostać skrzywdzony.

Guczkow uwolnił mnie od swego spojrzenia. Wydawał się mieć pewność, że go zrozumiałem. Skąd ją czerpał? Wciąż nie potrafię powiedzieć.

Wypuścił mnie tylnymi drzwiami – tą samą drogą, którą poprzedniego ranka weszli milicjanci. Po krótkim zimowym dniu szybko zapadała noc. W lodowatym powietrzu wisiał dym z palącego się drewna. Kilka zimowych ptaków zakrzyczało gdzieś wysoko na czubkach drzew. Wśród ich odległego narzekania usłyszałem inną piosenkę. Poszedłem ścieżką prowadzącą od tylnego wejścia w kierunku szop dla zwierząt. Tutaj, za płotem, zobaczyłem Łyska w uszance ze ściągniętymi nausznikami, przerzucającego metalową łopatą gnój do wiadra. Nucił sobie jakąś melodię, jakąś miłą dla ucha, bezwstydną śpiewkę o sześciu włamywaczach posuwających starą damę ku jej wielkiej uciezce. Słyszac czyjeś kroki, urwał i oparł łokieć na łopacie. Moje spojrzenie napotkało porozumiewawczy obleśny uśmiezek.

– Nigdy ci nie dość smrodu? – zapytał niemal przyjaznym tonem. – Założę się, że sam chciałbyś sobie poszuflować to gówno, co?

A potem – świadomy, że ma teraz publikę – zaśpiewał swą piosnkę z jeszcze większym upodobaniem, posyłając głos aż ku czubkom drzew.

Księga III



Losem Magnitogorska było po wsze czasy przyciągać rzeczy ku sobie. Na długo przed tym, zanim mit Góry Magnetycznej przyciągnął pierwszych bolszewickich zwiadowców na koniach, zanim drgnięcia igieł kompasu skłoniły odkrywców do wyprawienia się na nieurodzajne kresy carskiego imperium i zanim Baszkirowie odpierający atak Mongołów zobaczyli w zdumieniu, jak strzały napastników lecą z powrotem, przyciągnięte siłą oddziaływania magnetycznej góry, na długo wreszcie przed tym, zanim sama góra była choćby zmarszczką na dolnej wardze Uralu, niewidzialna siła pchała Europę ku nieuchronnemu zderzeniu z Azją, pociągając kontynenty ku trwającemu tysiące lat burzliwemu małżeństwu.

Florence Fein nie była ani pierwszym, ani ostatnim pielgrzymem porwanym w orbitę tego miasta. Kiedy jej pociąg, przepelzwszy wreszcie długą drogę wśród stepów, okrążył miasto na górze, przez zamazane brudem okno ogarnęła spojrzeniem monstrialne mrowisko krzyżujących się linii kolejowych, rafinerii i pieców wynurzających się z mgły, której były sprawcą i źródłem.

Korytarz pociągu był całkowicie zastawiony kosztami, kuframi i tobołami tych, którzy przyjechali tu za pracą. Przed rozpoczęciem podróży Florence wyobrażała sobie, że rosyjski wschód jest czymś podobnym do amerykańskiego zachodu: terytorium, przez które przewalają się fale osadników, a tymczasem odkryła bezgraniczną pustkę ciągnącą się bez początku i bez końca. Tych kilku ludzi, których dostrzegła na małych stacyjkach przy torach, stało w milczeniu, unosząc sznury cebuli i pasternaku, za kopiejkę wpychając jedzenie przez okna pociągu. Spojrzenie ich oczu, dzikie i puste, zawstydzalo i przerażało Florence. W Amtorgu słyszała plotki o głodzie na południu, lecz nie potrafiła sobie wyobrazić, by ci brodaci inwalidzi mogli przed nim uciekać. Pasażerowie, z którymi odbywała swą wędrówkę, byli na szczęście w całkiem odmiennym typie: wsiadali do wagonu z gotowanymi na twardo jajkami, chlebem i kostkami cukru, które ssali, popijając herbatą, i wszystkim tym z radością się dzielili. Jej podróż wymagała czterech przesiadek i zajęła osiem dni i nocy. Reakcja Florence na widok Magnetycznego Miasta była reakcją fizyczną – drapaniem swędzącej skóry głowy. Przetłuszczone włosy, usiana wypryskami broda, skurczony i podrażniony żołądek, nieświeża do obrzydliwości bielizna czekały z niecierpliwością na miejskie wygody.

Jej ciało miało się jednak bardzo rozczarować.

W ceglanej fortecy ośrodka dla przyjezdnych drobna kobieta o marsowej minie wyrzuciła z siebie serię gwałtownych pytań o miejsce pochodzenia Florence i jej

umiejętności, po czym umieściła jej nazwisko przy liście przedsiębiorstw budowlanych. Kiedy Florence zaoferowała się pracować jako tłumaczka, kobieta poinformowała ją, że zostanie oddelegowana tam, gdzie uznają za stosowne. Dostała świstek z numerem baraku, którego nie udało się odnaleźć nawet chłopcu przydzielonemu jej do pomocy. Dzielnice mieszkalne Magnitogorska, co szybko stało się widoczne, były jednym wielkim garnizonem, na który składały się identyczne rzędy bielonych chat. W różowej poświacie wieczoru roily się i bzyczały chmary much i komarów, kłując nieprzyzwyczajone ciało lawirującej między błotnistymi kałużami Florence.

– Wasza willa – powiedział chłopak, zostawiając Florence wraz z jej kufrem przed dormitorium numer dziewiętnaście.

Zza rozciągniętych sznurów na bieliznę patrzyła na nią jakaś kobieta. W odpowiedzi na nieśmiały uśmiech Florence bezceremonialnie zlustrowała ją spojrzeniem od góry do dołu, ściągnęła ze sznura prześcieradło i weszła z powrotem do swej odstręczającej kwatery. Być może w tym właśnie momencie Florence zrozumiała, jak dalece była zagubiona. Jakimś cudem dwa miesiące podróży zdołały przed nią ukryć prosty fakt, że nie ma pojęcia, co właściwie robi w tym miejscu. By przetrwać wyprawę statkiem i pociągiem, przekonała samą siebie, że od dawna już żyła zbyt wygodnie. To jej umiłowanie komfortu zamykało ją, jak ostrzegwał Marks, w burżuazyjnym więzieniu, z dala od elektryzującego ośrodka Historii. Teraz, rozglądając się po swym prowizorycznym odrażającym schronieniu, przylgnęła do tej myśli równie żarliwie jak do barierek na Bremen, by nie zemdliło jej po nagłym szarpnięciu. Odkryła, że w barakach nie ma żadnych udogodnień – kuchenek, łazienek czy pryszniców. Wodę przynosiło się z pompy na zewnątrz, która była obecnie zepsuta, więc kobiety i mężczyźni dzielący to „dormitorium” musieli wędrować pół kilometra do następnej. Wychodek był niczym więcej jak budą z niezapewniającym intymności przepierzeniem oddzielającym rząd pięciu otworów dla mężczyzn od rzędu pięciu otworów dla kobiet. Do tej tak zwanej toalety nie dawało się wejść inaczej, jak oddychając ustami. Zatkanie nosa i zamknięcie oczu było konieczne nie tylko po to, by uniknąć smrodu i widoku, ale i by chronić błonę śluzową przed działaniem żrącej chmury sproszkowanego chloru. Po tej wyrafinowanej torturze ulgę przynosił powrót do przepelnionych baraków, gdzie po korytarzach niosła się woń kapuśniaku znad kilkunastu domowej roboty prymusów zmieszana z oparami nafty.

Pokój dzieliła z trzema kobietami: matką i córką oraz wiejską dziewczyną, której ciąża rysowała się już wyraźnie pod ciężkim kombinezonem. Matka, która mogła mieć równie dobrze trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt lat, pierwszego wieczoru dotknęła granatowego wełnianego żakietu Florence, nietaktownie pomacała jej bluzkę w pepitkę i natychmiast zaoferowała za nie dwieście rubli. Wstrząs, jaki przeżyła Florence, zetknąwszy się z tak handlowym powitaniem, został wyparty przez jeszcze silniejszy wstrząs, którego źródłem było zdumienie, że oto zwykła kobieta z klasy robotniczej może mieć tyle gotówki. Florence nie miała jeszcze wówczas pojęcia, że w Magnitogorsku pieniędzy nie brakowało. Niewiele natomiast było rzeczy, na które dałoby się je wydać. W sklepach dla robotników półki uginały się pod ciężarem bochnów razowego chleba, ale nie było masła. Pudełka kawy zbożowej ustawiano w piramidy, ale cukier był

rarytasem. Matka, która tak naprawdę miała trzydzieści dziewięć lat – dość, by pamiętać rewolucję – twierdziła, że ekspedienci odcinający jej kartki żywnościowe kłamali, utrzymując, że branża cukrownicza nie zrealizowała planu na ten rok. W końcu podczas wojny był cukier. A teraz nie ma wojny! Wiele rzeczy w Magnetycznym Mieście uznawała za oburzające.

– Prawdziwa Amerykanka w jednym łóżku, a w drugim ta, co to ją król Anglii posunął – prychnęła.

– Możesz się odpieprzyć, ty stara, brudna trokistko? – odcięła się wiejska dziewczucha.

– Trokistko, nieuku! Nauczyłoby się toto pisać, zanim zaczniesz pyskować – rzuciła kobieta do Florence.

Zapytali ją, dlaczego nie mieszka na Bieriezowce, osiedlu dla cudzoziemców, w przytulnym zaułku usadowionym między dwoma wzgórzami, do którego ponoć doprowadzono nawet bieżącą wodę. Nie udało jej się wymyślić nic lepszego oprócz tego, że nie przyjechała na kontrakt jako specjalistka, lecz jako wolontariuszka.

– To w Stanach brakuje sienników i połamanych stołków, że tak ci się spieszyło, żeby się tu zjawić? – zapytała córka.

Florence próbowała w odpowiedzi odmalować ponury obraz trudności, z jakimi borykała się w Stanach Zjednoczonych klasa robotnicza (w poczet której się obecnie zaliczała), lecz ani matka, ani córka nie potrafiły oderwać wzroku od jej sznurowanych skórzanych trzewików. Gdyby wyznała zwyczajnie, że przyjechała do Magnitogorska w poszukiwaniu utraconej miłości, być może z radością przytuliłyby ją do ciepłych, niosących pociechę piersi. Była jednak zbyt dumna, by przyznać się nawet sama przed sobą, a co dopiero przed nimi, do czegoś, co na całą tę szlachetną podróż mogłoby rzucić nie jasne światło odwagi, lecz przygaszony blask nocnej lampki tęsknoty.

Jej zdobyte w Stanach doświadczenie okazało się przydatne: wysłano ją do pomocy kierownikowi robót nadzorującemu budowę zakładu chemicznego. Amerykańscy doradcy przydzieleni do nadzorowania montażu fabryki wrócili do Pensylwanii piorunem, jak tylko Rosjanie zaczęli im płacić nie złotymi dolarami, lecz bezwartościowymi rublami. Do podobnych exodusów dochodziło w całym tym chaotycznym obozie. Doły pod fundamenty ziały w ziemi niczym prastare kraterzy, wypełniając się wodą i larwami. Wokół nich stały niczym umęczone zwierzęta przy wodopoju porzucone koparki o startych przekładniach i maszyny do płukania kruszywa. Florence widziała wykonywaną ludzkimi rękoma pracę, która powinna była zostać wykonana przez maszyny. Mężczyźni o ostro rzeźbionych rysach i kobiety o twarzach krągłych i mięsistych wykopywali ziemię krótkimi szpadlami, gołymi rękami przrzucali żwir i realizowali w praktyce doktrynę równości płci, równe ładunki cegieł dźwigając na swych równie zgiętych plecach.

Choć budowa zakładu chemicznego stanęła na dwa miesiące, podczas których kierownik robót ze złością próbował odcyfrować instrukcje montażu pozostawione przez Amerykanów, gotowość Florence do pomocy jakoś wcale go nie ucieszyła. Wymachując krótkimi, tęgimi ramionami, oskarżył Amerykanów o sabotaż. Zmieszał z błotem ich projekty i zademonstrował lojalność wobec Związku Radzieckiego, dowolnie je

modyfikując. Mimo całej tej perory nie sprawiał wrażenia człowieka groźnego. Codziennie informował Florence, że prace zostaną wkrótce podjęte przez firmę niemiecką. Tymczasem musiał się pogodzić z jej obecnością.

Ponieważ kierownik robót nie miał dla niej żadnego zadania prócz roli greckiego chóru, Florence mogła właściwie bez przeszkód kręcić się po niezliczonych budowach Magnitogorska w poszukiwaniu Siergieja. W samo południe kluczyła wśród zarośli drutu kolczastego, ostrożnie zstępowała w swych sznurowych trzewikach po stromych skarpach zwirowisk i kulila się pod bezbożnie szczękającymi żurawiami. Pytała o Siergieja w zakładach metalowych i przy piecach koksowniczych, w składach drewna, na Osiedlu Nowomagnickim i Osiedlu Października. Zaczęły się rozchodzić pogłoski o cudzoziemce polującej na jakiegoś inżyniera, widać dziwkarza. Urzędnicy taksowali ją spod krytycznie zmarszczonych brwi; na ich biurkach leżały gazety ze stolicy, w których ostrzegano przed zagranicznymi wichrzycielami, sabotażystami i szpiegami kapitalizmu. Fakt, że domysły, które wzbudziła Florence, miały charakter nie tyle polityczny, co obyczajowy, dowodził sporego oddalenia Magnitogorska od Moskwy.

Stała właśnie w Klubie Inżynierów i Techników, bezmyślnie przesuując spojrzeniem po przylepionych do ściany notatkach i czekając na rozmowę z organizatorem, gdy usłyszała za sobą znajomy głos.

– Czy mnie oczy nie mylą? Flora? Flora Solomonowna?

Przebiegł ją dreszcz. W mdłym świetle żarówki nad wejściem dostrzegła mężczyznę w tweedowej czapce, którego policzki zarośnięte były gęstą blond szczecią.

– Tak, nazywam się Flora.

Mężczyzna klasnął w dłonie.

– Ślicznotka z Cleveland! Najpierw pomyślałem sobie: niemożliwe!, więc podszedłem bliżej. Rozpoznałbym tę twarz na końcu świata – rzekł, po czym dodał ciszej: – Fiodor Zimin... Nie pamiętasz mnie?

Florence serce zabiło mocniej. Owszem, przypominała go sobie. Policzki miał zapadnięte i nieogolone, ale był to ten sam człowiek, te same niebieskie oczy i ten sam długi nos.

– Fiedia, oczywiście! Zmieniłeś się. Zeszczuplałeś.

– Korzystam z dobrodziejstw naszej zdrowej diety – powiedział Fiodor, klepiąc się po płaskim brzuchu. – Podobnie jak ty, widzę! Och... To nie do wiary!

Florence przygładziła włosy. Po dwóch tygodniach spędzonych w Magnitogorsku ubrania zaczęły na niej wisieć, ale obeerzeć mogła się tylko w małym kieszonkowym lusterku, które zawiesiła nad swoją pryczą.

– Przecież obiecałam wam, że przyjadę – powiedziała, przybierając lekki, żartobliwy ton.

Rozległ się gwizdek obwieszczający południe. Do środka zaczęli wchodzić mężczyźni w kamizelkach i uwalanych smarem spodniach. Dziewczyny w kolorowych chustkach ruszyły w kierunku kantyny. Fiodor ujął Florence pod ramię.

– Ustawmy się w kolejce, zanim ci barbarzyńcy opróżnią koryto.

W sali jadalnej roilo się od ludzi. Kelnerki przeciskały się między drewnianymi stołami, niosąc ogromne tace zastawione miskami zupy i tłuczonych ziemniaków.

W powietrzu unosił się ostry zapach kiszonej kapusty. Dla Florence zabrakło łyżki, więc Fiodor dał jej swoją.

– Nie martw się, zawsze mam własną – powiedział i wyciągnął z kieszeni aluminiową łyżkę. – Przykro mi, że nasza kuchnia nie jest bardziej wykwinna – sumitował się, polerując łyżkę podszewką kamizelki.

– Dla mnie wystarczająco.

Patrzył z zaskoczeniem, jak łączywie siorbie zupę rybną.

– Tak naprawdę karmią tu lepiej niż w naszej stołówce – powiedziała. – Przynajmniej w tej zupie znalazła się odrobina mięsa.

– Chyba nie mówisz poważnie. Przecież jesz pewnie z innymi cudzoziemcami... Musiało zostać jeszcze kilku, którzy nie wrócili do kraju.

– Nie jestem specjalistką na kontrakcie walutowym.

Na twarzy Fiodora pojawił się wyraz niepokoju i konsternacji. Nie drażył jednak tematu.

– Mimo wszystko jesteś uprawniona do książeczki Insnabu, pozwalającej robić zakupy w sklepie dla cudzoziemców – wyjaśnił. – Można tam dostać wszelkiego rodzaju smakołyki. Masło, rybę, nawet gruzińskie wino.

Nie miała serca mu powiedzieć, że nie przyszło jej do głowy, by się o coś takiego ubiegać.

– Ale to chyba nie do końca sprawiedliwe, prawda? – odparła. – Oczekiwać specjalnego traktowania, gdy pozostali sobie od ust odejmują?

Fiodor przyjrzał się jej uważnie spod ściągniętych brwi.

– Zawsze byłaś dziwna, Floro Solomonowna. Czekaj sprawiedliwości, a wkrótce będziesz zebrać jak kaleka pod krzyżem.

Już miała się roześmiać, gdy Fiodor, słysząc nagłą wrzawę gdzieś z tyłu, odwrócił głowę. W kącie sali rozległ się łoskot odsuwanych krzeseł i upuszczanych talerzy, a zwykły zgiełk dookoła ucichł jak ucięty nożem. Dwóch mężczyzn zerwało się na równe nogi. Florence nie dosłyszała, co było źródłem konfliktu. Atmosfera w sali jadalnej stała się isticie teatralna. Mężczyzn, klnących i spluwających na podłogę, rozdzielono.

– No i proszę – powiedział Fiodor, odwracając się do niej. – Oto człowiek jutra. Jak lubi to ujmować nasza propaganda: „Nie wytapiamy tu stali, lecz ludzi!”. I to prawda: przyjeżdżają pociągami wieśniacy w butach z kory brzozonej, a my robimy z nich prawdziwych proletariackich osłów.

Florence się roześmiała.

– Ależ brakowało mi twojego zabawnego towarzystwa, Fiedia.

– Naprawdę? – zapytał i wzrok zasnuła mu smętna mgiełka. – Ciekawy moment wybrałaś, dziewczynko – powiedział nagle. – Przyjechać tu, kiedy cała reszta twoich wyjeżdża. Nawet Siergiej się stąd zabrał.

Poczuła węzeł zaciskający się w piersi, skrzep żalu zapadający się niczym ołowiana kula w głąb brzucha.

– Siergieja nie ma w Magnitogorsku?

Jakiś odblask jej wstrząsu odbił się w wyrazie twarzy Fiodora.

– No proszę. A ja myślałem, że pokonałaś całą tę drogę dla mnie.

Zesztywniała, po czym uświadomiła sobie, że to żart. Jednak dostrzegalny wysiłek, z jakim się roześmiała, nie umknął uwadze Fiodora.

– Tak – powiedział, smętnie kiwając głową. – Nasz przyjaciel wyjechał na dobre. Do Moskwy. Szczęśliwe zdarzenie, biorąc pod uwagę, gdzie mógł wylądować.

– Co masz na myśli? Nadepnął komuś na odcisk?

– Spostrzegawcza z ciebie ptaszka – powiedział Fiodor i zniżył głos tak, że musiała się nachylić, żeby go usłyszeć. – Nasz Siergiej popełnił błąd. Narzekał na niedobory materiałowe, na co nasz nowy dyrektor powiedział mu: „Jak trzeba ci materiałów, to idź i ich sobie poszukaj”.

– Co to znaczy: „Idź i ich sobie poszukaj”?

Fiodor rzucił jej rozdrażnione spojrzenie.

– Zakoleguj się z kim trzeba, Floroczko. Znajdź odpowiedniego człowieka w całym tym łańcuchu, napij się z nim czy coś, aż obieca ci pomoc.

– Ale przecież to nie robota Siergieja – zaprotestowała.

– No cóż, on tak nie uważał. Uznał, że facet próbuje go tylko osadzić, żeby sobie nie myślał, jakim to jest specjalistą, że niby pracował w Stanach! Napisał do Moskwy, a jego list odesłano tym samym ludziom, których próbował zdemaskować. No ale musiał mieć jakieś znajomości na górze, skoro go przenieśli, zanim zrobiło się naprawdę gorąco.

– I gdzie teraz jest?

Fiodor westchnął.

– Gdzieś w przemyśle lekkim. Albo może w samochodowym czy w metalurgii. Jakoś tak dziwnie go skierowali.

Z tonu Fiodora Flora wywnioskowała, że chociaż Siergiej się wywinął, nowy przydział był jakiegoś rodzaju degradacją.

– Uznałem, że lepiej ci o tym powiedzieć, zanim wspomnisz o naszym przyjacielu przy kimś, przy kim nie powinnaś tego robić.

Dopiero po chwili Florence pojęła sens jego słów. Spurpurowiała. Poczowała, że umiera ze wstydu na samą myśl o tym, że Fiodor szukał jej po całym Magnitogorsku tak samo, jak ona szukała Siergieja. A przecież próbował tylko oszczędzić jej zakłopotania. Więcej tego tematu nie poruszył. Twarz miał nadal poważną i spiętą.

– Rozejrzyj się wokół siebie, Floroczko. I posłuchaj mojej rady: kup sobie bilet na pociąg, zanim ci się przetrą ostatnie pończochy.

Koniec końców, odkrycie, że Siergiej wyjechał, przyniosło Florence ulgę. Tym sposobem jej ponura przygoda nie została splamiona porażką – nie uciekła od razu po przyjeździe, bo zabrakło jej charakteru. Przeciwnie, została i zniosła ten bulwersujący brud, przewalczyła mdłości i nieustanny głód, wytrzymała dręczących ją przełożonych, wybaczyła ciskającym się po nocy pijakom, którzy rycząc przy akompaniamencie akordeonu, nie pozwalali jej zasnąć. Teraz, gdy żegnała się z tym miejscem, mogła sobie nawet pozwolić na jakieś ciepłe uczucia wobec niego.

Wróciwszy do baraku, zastała przed nim kobiety trzepiące kijami sienniki. W pokoju natknęła się na matkę myjącą ściany parującą szmatą. Ze zsuniętych na środek prycz zdjęto pościel.

– No to mamy lipiec – obwieściła matka.

Weszła córka z parującym czajnikiem w ręku. Wspiąwszy się na krzesło, spróbowała wylać wrzątek na coś przypominającego plamę pleśni w rogu pod sufitem.

– Co tam jest?

– Kłopy! A co innego?

Tego słowa Florence nigdy nie słyszała, ale jego sens momentalnie przeszył ją dreszczem: pluskwy. Dziewczyna oblała wrzątkiem ściany w kilku miejscach, po czym zeszła i resztkę wody wylała na ramę okna. Oblepiono ją starymi gazetami, utkano je również od środka, by zapobiec przeciągom.

– Zerwij to wszystko – poleciała matka. – A ty – odwróciła się ze złością do Florence – idź nagotuj więcej wody, a nie się gapisz jak sroka w gnat.

– Jaki sens myć ściany? – wymamrotała dziewczyna w ciąży, która właśnie weszła do środka. – Tyle z tego będzie, że przeleżą na sufit.

– Po twojemu mycie rąk też nie ma sensu – ofuknęła ją matka.

Spały w łózkach zsuniętych na środek, czując bijące od siebie ciepło. Sen Florence był przedłużeniem jawy: snuła w nim marzenia o łaźni, o umyciu się i upraniu ubrań przed podróżą. Krople spadły jej na twarz i zadrżały na wargach. W niemal nieprzeniknionej czerni otworzyła oczy i w wypaczonym oknie ujrzała stalową szarość nocy. Na policzek tuż pod okiem spadła kolejna kropla. I poruszyła się.

Pierwszym objawem szaleństwa jest skowyt, który raz uwolniony, niezdolny jest ucichnąć. I właśnie taki dźwięk eksplodował w ciemnościach pochrapującego pokoju. Ktoś już się gramolił włączyć światło, a tymczasem Florence wrzeszczała i machała rękami, próbując coś z siebie strzepnąć.

– Dostały się jej we włosy!

– No i dobrze jej tak. Taki gąszcz powinna sobie zakrywać. Weźcie ją uspokójcie.

Żadna się jednak nie ruszyła. Stały pod rozkołysaną żarówką i patrzyły, jak Florence drapie się po twarzy i szarpie za włosy.

– To bez sensu – zauważyła ciężarna. – Teraz to już się wgrzyzły na dobre.



Tamtego upalnego letniego ranka 1934 roku, gdy Florence brnęła przez Magnitogorsk, a gospodarka amerykańska przez wielki kryzys, prezydent Roosevelt usiadł prosto, by zjeść podane mu do mahoniowego łóżka śniadanie i wypalić w fifce z kości słoniowej pierwszego z czterdziestu codziennych cameli. Doradcy FDR dobrze wiedzieli, że najlepszą porą na uzyskanie audiencji jest wczesny ranek: tuż po przyniesieniu przez służącą siekanego mięsa z jajkiem, a przed przybyciem punktualnie o dziesiątej służącego, który ubierał prezydenta i zapinał mu na nogach stalowe aparaty ortopedyczne. Mniej znany był fakt, że pierwszą osobą wchodzącą co rano do prywatnych apartamentów Roosevelta nie była pani Roosevelt, lecz sztywniejsza i posepniejsza postać Henry'ego Morgenthaua, sekretarza skarbu. Przypadkowy obserwator, któremu nadarzyłaby się sposobność zajrzenia do prezydenckiej sypialni, mógłby uznać łysiejącego mężczyznę w marynarce z wysokim kołnierzem za księdza udzielającego ostatnich sakramentów, gdyż spotkania Roosevelta z Morgenthauem miały charakter bardzo uroczysty. Prezydent, któremu nie udało się ostatnio podnieść cen artykułów spożywczych za sprawą reform agrarnych, w obliczu kolejnej rewolty farmerów obrał strategię bardziej radykalną, polegającą na podniesieniu cen drogą gwałtownej dewaluacji dolara. Odprawiany tamtego lata przez Morgenthaua codzienny poranny rytuał był zdecydowanie świeckim obrzędem ustalania kursu złota na dany dzień.

Była to elementarna gra popytu i podaży: chcąc zdewaluować dolara i podnieść ceny, amerykański rząd zniósł parytet złota i zaprzął swą niewiarygodną, świeżo zdobytą potęgę do skupowania kruszcu na rynkach światowych. W tym eleganckim mechanizmie był tylko jeden zgrzyt. Od jakiegoś czasu rynki w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku zalewane były zagadkową nadwyżką złota. I to nie jakiegoś tam zanieczyszczonego złota, lecz sztabek tak czystych, że próby nadgryzienia ich okazywały się równie beznadziejne jak próby zatopienia zębów w stwardniałej na kamień masie karmelowej. Anonimowe sztabki nie miały oznaczeń. Wyróżniała je tylko gładkość, jedwabista gładkość identyczna z tą, jaka cechowała monety wybijane za cara. Innymi słowy, musiało być to złoto wydobywane przez więźniów w kopalniach rosyjskiej Arktyki.

– Co ci Rosjanie, w kości z nami grają? – zapytał ze złością prezydent. – Są na tyle głupi, żeby zabić własny rynek, pompując po cenach dumpingowych takie ilości złota?

– Skłaniałbym się ku tej tezie, panie prezydencie – odparł Morgenthau kwaśno. – Ich pojmowanie rynku towarowego jest dość prymitywne.

– Bzdura, Henry! Ci bolszewicy gotowi są na złość nam odmrozić sobie uszy. To czysty sabotaż!

- A może po prostu...
- Co?
- Może po prostu na gwałt potrzebują gotówki?
- No to może ktoś powinien im powiedzieć, że jeśli chcą lekką ręką wydać gotówkę na amerykańskie maszyny i fabryki, to niech lepiej dadzą sobie spokój z tymi gierkami.
- Zrozumiałem, sir.

Opuszczając prezydencki apartament, Morgenthau zaczął układać w głowie list. Nie miał władzy, która pozwoliłaby mu zakazać amerykańskim firmom prowadzenia interesów z Rosją, tak jak nie miał jej i prezydent. Nawet na samym szczycie władza nie składała się z jednego gigantycznego przełącznika, lecz z milionów delikatnych dźwigniek, które należało dyskretnie nacisnąć.

Listy, które zaczęły nadchodzić do departamentu walutowo-dewizowego Banku Państwowego ZSRR w Moskwie, wprawiały w zakłopotanie tonem zawołowanej groźby i jeszcze bardziej zawołowanej prośby. Zdania, w których pobrzmiwała nuta troski, mogły się raptownie przerodzić w szantaż – i odwrotnie. Zadanie odczytania tej kaskady pism z amerykańskiego Departamentu Skarbu, od rozmaitych wierzycieli Związku Radzieckiego i zagranicznych firm eksportowych spoczęło na barkach Grigorija Grigoriewicza Timofiejewa, dyrektora wydziału walut zagranicznych. W opinii Timofiejewa, byłego dyplomaty, odpowiedź na taki zalew wrogiej korespondencji musiała być wyważona, lecz stanowcza, a znalezienie złotego środka wymagało znacznie więcej czasu, niż miał do dyspozycji. Tymczasem pewnego chłodnego, pogodnego sierpniowego popołudnia rozwiązanie jego problemu stanęło w drzwiach. Ładna, poważna kobieta, która weszła do jego gabinetu, uśmiechała się niepewnie, wyglądzając bluzkę. Cudzoziemskiego pochodzenia nie zdradziła jednak wcale nadmierna strojność, lecz chód, sprężysty chód, którego nie kryły nawet falbaniaste ubrania. Skórę miała zaróżowioną od letniego słońca, ale jej oczy, niebieskie, spuszczone, zdradzały pracowitość i gotowość spełniania oczekiwań. Przysłało ją Amerykańskie Biuro Handlowe, niegdysiejszy Amtorg.

Timofiejew wskazał jej krzesło.

- Pracowaliście dla radzieckiej misji handlowej w Nowym Jorku?

Przebiegł wzrokiem list z misji podpisany przez niejakiego Scoopa Epsteina.

- Tak. Specjalizowałam się w kontraktach handlowych – odpowiedziała młoda kobieta dość szkolnym, ale zrozumiałym rosyjskim. – Przemysł stalowy, maszyny przemysłowe, wyposażenie specjalne...

- Nie musicie streszczać. W jakim celu przyjechaliście do Związku Radzieckiego?

Wielokrotnie zadawano jej to pytanie w Magnitogorsku i Florence odkryła, że jej odpowiedzi, jakiegokolwiek by były, nie satysfakcjonują Rosjan. Ponieważ jej motywy i tak uznawano zawsze za podejrzane, zdecydowała się w końcu na pochlebstwo.

- Jestem pod ogromnym wrażeniem wszystkiego, co w tak krótkim czasie udało się w Związku Radzieckim osiągnąć. Chciałabym swoją pracą przyczynić się do rozwoju społeczeństwa, które idzie naprzód, a nie tkwi w stagnacji jak...

Timofiejew jej przerwał.

- Wielu ludzie przyjeżdża do ZSRR nie po to, żeby tu żyć i pracować, lecz po to,

by natychmiast po wyjeździe obsmarować nas w burżuazyjnej prasie. Jak wiecie, mnóstwo już tu było tak zwanych naocznych świadków rzucających na nas oszczerstwa.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu Timofiejew, większość tych ludzi padła ofiarą własnych nierealistycznych oczekiwań. Moja decyzja o przyjeździe do Rosji nie była decyzją łatwą. Nie miałam złudzeń.

– Żadnych złudzeń, co? – Sprawiał wrażenie, jakby jej przemowa mu się spodobała, lecz kiedy rozdzwonił się jeden z dwóch stojących na jego biurku telefonów, uniósł dłoń, by się nie odzywała.

Gdy odebrał, Florence zaczęła błędzić wzrokiem po wyposażeniu gabinetu. Pod jedną ze ścian stała mahoniowa biblioteczka, w kącie na trójnogu wielki niebieski globus. Podłogę wyfroterowano na wysoki połysk. Na zielonej podkładce do pisania tuż przy łokciu Timofiejewa stała szklanka herbaty w ozdobnym filigranowym uchwycie odbijającym promienie porannego słońca, które wpadało przez rozsunięte zasłony. Łysiejący, lecz szykowny Timofiejew był pod każdym względem równie wytworny i elegancki jak jego gabinet. Miał spokojne, inteligentne spojrzenie, długi, kościsty nos i zgrabnie przystrzyżoną, nieco spiczastą bródkę. Wyglądem starał się być może naśladować Lenina, ale osobą, którą tak naprawdę przypominał, co Florence nieoczekiwanie sobie uzmysłowiła, był Szekspir. Nad Timofiejewem wisiał nadnaturalnych rozmiarów portret towarzysza Stalina, również siedzącego i pracującego przy swoim biurku. Florence porównała w myślach tych dwóch i uznała, że Stalin wypada gorzej. Timofiejew odłożył słuchawkę i obdarzył Florence bystrym spojrzeniem zmęczonych oczu.

– Wedle referencji jesteście uczciwi i godni zaufania – zauważył w nieszczerzy, schlebający sposób, który kazał Florence skromnie spuścić oczy. – A jak z ostrością widzenia?

– Słucham? – Wciąż jeszcze myślała o tym, czy Timofiejew użył słowa „godna zaufania” w znaczeniu politycznym, czy zawodowym.

– Czy nosicie okulary?

– Nigdy nie było takiej potrzeby.

– Dobrze. A zatem możecie to odczytać. – Przesunął po blacie skrawek papieru wyglądający jak świeżo wydrukowany dolar. – W rogu – powiedział, wskazując odpowiednie miejsce.

– Ten banknot jest prawnym środkiem płatniczym pokrywającym wszelkie zobowiązania publiczne i prywatne, i...

– Co to za głupota: prawny środek płatniczy?

– Tutaj jest napisane: „wymienialnym na obowiązującą walutę w Departamencie Skarbu Stanów Zjednoczonych lub dowolnym banku Systemu Rezerwy Federalnej”.

– Czy to jest jakaś szarada? Banknoty wymienialne na... banknoty! To właśnie piszą nad głową pana Waszyngtona. Keynes, ten angielski ekonomista, przekonał wasz rząd i połowę Europy do upłynnienia kursu walut wobec złota. Ale Stany, jak zwykle, chcą zjeść ciastko i mieć ciastko: wasz sekretarz skarbu codziennie ustala nową cenę dolara, a potem żąda od nas informacji, ile złota mamy w rezerwie. – Wskazał piętrzący się na jego biurku stos kopert. – Możecie uprzejmie napisać tym wybitnym ludziom, że

każdego ranka wyczekujemy tej informacji równie gorączkowo jak oni. Zakładam, że potraficie pisać na maszynie, Fein. Doskonale.

Pytania w kwestionariuszu zatrudnienia wręczonym jej przez Grigorija Grigoriewicza były początkowo proste: nazwisko, patronimik, data i miejsce urodzenia, narodowość (napisała „amerykańska”), wykształcenie, znajomość języków obcych, ale potem stały się całkowicie niezrozumiałe; Florence poczuła się tak, jakby wypłynęła na oceaniczną głębię.

– Co mam wpisać jako pochodzenie społeczne? – zapytała Timofiejewa.

Nie pochodziła z chłopstwa, szlachty, duchowieństwa ani warstwy robotniczej. Jej ojciec pracował w firmie ubezpieczeniowej. Czy to był handel, czy działalność spekulacyjna?

– Napisz „klasa średnia” – powiedział Timofiejew niecierpliwie, po czym zmarszczył brwi, jakby chciał się jednak głębiej zastanowić. – „Niższa klasa średnia”. – Lecz zanim zdążyła wykonać polecenie, wyjął jej dokumenty z ręki i powiedział, że lepiej będzie, jak sam wpisze odpowiedzi. – Ważne, żeby niczego nie przekreślać – dodał tajemniczo.

Okazało się, że Bank Państwowy ZSRR jest zainteresowany nie tylko pochodzeniem społecznym Florence, ale i jej stanem cywilnym, wszystkimi miejscami, w których mieszkała od urodzenia, wszystkimi organizacjami politycznymi, do których kiedykolwiek należała, karalnością wszystkich członków rodziny, wzrostem, kolorem włosów i znakami szczególnymi w rodzaju pieprzyków, utykania czy niskiego czoła. Można by pomyśleć, że wypełnia dokumentację własnego aktu oskarżenia. Słuchając jej niepewnych, zawikłanych odpowiedzi, Timofiejew przestał ją w końcu o cokolwiek pytać i zaczął wpisywać odpowiedzi według własnego uznania.

– Miejsce zamieszkania.

– Pozwolono mi zamieszkać w bursie przy Instytucie Języków Obcych, pod warunkiem że w przyszłym tygodniu zacznę nauczać. Ale skoro już mam tę pracę, to chyba załatwię sobie inne...

– Przykro mi to mówić, ale Gosbank nie zapewnia zakwaterowania. Uzyskanie zgody na dodatkowy pokój trwa zwykle wiele miesięcy. Możecie coś podjąć w mieszkaniu komunalnym.

– Macie na myśli wynajem spekulacyjny? Nie chciałabym zrobić niczego... niewłaściwego.

Timofiejew przewrócił oczami.

– Kto wam, cudzoziemcom, wciska te bzdury? Otwórzcie gazetę: całe strony ogłoszeń. Ceny od metra kwadratowego. Cokolwiek tam sobie ustalicie z gospodarzem, to już wasza sprawa. No dobrze, nie róbcie takich wielkich oczu. Poproszę moją Klaudię Aleksiejewną, żeby się rozpytała. Kiedy usłyszą, jak mówicie, to jasne, że krzykną wam tyle, że pensji wam nie starczy na czynsz.

Gdy biurokracji stało się zadość, wyszedł z nią do głównej sali. Księgowi i urzędnicy bankowi pilnie stukali tu na maszynach i sadzili atramentowe kleksy, przesuwali koraliki liczydeł z prędkością, jaką Florence widziała wcześniej jedynie w chińskich pralniach. Na widok jej zdenerwowania w szekspirowskich oczach

Timofiejewa błysnęła dobroduszną drwiną. Wyciągnął rękę.

– Witamy w Gosbanku.

Dla Florence rozpoczął się okres permanentnego pośpiechu i niekończącej się biegania; nigdy później nie zdołała sobie przypomnieć, ile upłynęło tygodni, zanim niezliczone problemy, z którymi codziennie się zderzała, zaczęły przybierać postać znajomej rutyny. O ósmej rano biegła ulicą Solianka, by zdążyć na jeden z zatłoczonych tramwajów toczących się na Kuźniecki Most. O dziewiątej siedziała już przy biurku, otoczona rozdzwonionymi telefonami i rozstukanymi maszynami do pisania. Po raz kolejny odczuła krzepiącą bliskość niezmiernych i niepojętych dźwigni Władzy. Poranne godziny poświęcała na przeczytanie od deski do deski gazet dotyczących światowych finansów, prześledzenie cen kruszców i przygotowanie dla Timofiejewa raportu na temat ich wahań. Po obiedzie w stołówce, który jadła razem z pozostałymi urzędnikami, wchodziła po marmurowych schodach do przesiąkniętego zapachem tytoniu gabinetu Timofiejewa i porządkowała korespondencję szefa z zagranicznymi bankami i ministerstwami skarbu, po czym spisywała swą poprawną angielszczyznę to, co jej dyktował – nie tyle tłumacząc same słowa (co z pomocą słownika terminów finansowych nie byłoby takie trudne), ile odzierając je ze sztywnej manieri radzieckiego autokraty i nadając im pogodniejszy, amerykańsko-paternalistyczny styl, którego nauczył ją Scoop Epstein, gdy prowadzili interesy z dyrektorami ze Środkowego Zachodu.

Florence odkryła, że jej praca w wydziale walut zagranicznych jest pod każdym niemal względem lustrzanym odbiciem pracy, którą wykonywała w Amtorgu, tyle że zamiast ułatwiać zakup amerykańskiej stali za rosyjskie złoto, stała się akuszerką wymiany rosyjskiego złota na waluty umożliwiające zakup amerykańskiej stali – odwrotna alchemia depozytów, banknotów i pokwitowań. Jej nowy szef, Timofiejew, choć nie wyrażał zadowolenia tak kwieciste jak Scoop, okazał się patronem bardziej wielkodusznym. Rozwiązawszy kwestię zakwaterowania Florence poprzez znalezienie jej odpowiedniego, choć wcale nie taniego pokoju w mieszkaniu komunalnym, zabrał się do jej radzieckiego wykształcenia, zapisując ją na zajęcia z pedagogiki politycznej w Moskiewskiej Fabryce Lamp Elektrycznych. Od tej chwili Florence dwa razy w tygodniu wychodziła z pracy wcześniej, biegła przez rozjazgotany tłum kłębiący się w dzielnicy robotniczej i zajmowała miejsce w auli wykładowej pełnej młodych robotnic i pracowników budowlanych. Odkryła z ulgą, że wielu spośród jej kolegów ma jeszcze uboższą od niej znajomość zasad gramatyki i z jeszcze większym niż ona trudem sporządza notatki. Chłopcy i dziewczęta ledwie kilka lat od niej młodszy skwapliwie wymazywali swe chłopskie pochodzenie, wplatając w rodziną ruszczyznę wszelkiej maści zapożyczenia: klasa, dialektyka, materializm, indukcja, radiofonizacja. Przeżywali te słowa jak żrebaki, które znalazły w sianie pęki piór. A jednak było coś poruszającego, coś wręcz wspaniałego w tym kolektywnym trudzie wygładzania swej mowy tak, by nadać jej proletariacką powagę. Nawet w Hunter College, wśród synów i córek imigrantów, Florence nie spotkała się z tak niezwykłą, tak skoncentrowaną uwagą, takim zapalem do samodoskonalenia. Uświadamiała sobie niejasno, że taka sama metamorfoza zachodzi w niej samej. Dopiero teraz, próbując wyrazić się zrozumiale w nowym języku, poczuła, jak opada ciężące na niej od urodzenia brzemie wyjątkowości. Tak jakby sama

konstituująca ją materia znajdowała w nowej mowie nową formę – bez wątpienia nie tak elegancką, lecz w jakiś sposób wolną od ograniczeń jej nerwowego pośpiechu, jej ustawicznych przeprosin i wyjaśnień: niewyróżniającą się, surową i pospolitą jak świeżo przykrojona bawełniana tkanina w kratkę. Stwierdziła, że próba wpasowania się może być wyzwaniem bardziej ekscytującym niż wysiłek wyróżnienia się. Odkryła w sobie talent do podchwytywania utartych zwrotów, klisz, frazesów, wszelkiej maści banałów i łączenia ich tak zręcznie, że dla kogoś o mniej wprawnym uchu wypowiadała się niemal jak rodowita moskwianka. Zaczęła sobie cenić nieuprzejmość, bo właśnie gburowatość obcych, szatniarzy czy sklepikarek, utwierdzała ją w przekonaniu, że nie jest już uznawana za delikatną zagubioną cudzoziemkę, lecz za autentyczną kobietę radziecką.

Można by sądzić, że zapomniała o Siergieju, ale nic bardziej mylnego. Wystarczyły wzmianki Fiodora o „metalurgii” i trochę pytań rzuconych tu i tam, by Florence domyśliła się, że Siergieja mogli zatrudnić w jednym tylko zakładzie – w gigantycznej fabryce Sierp i Młot położonej nad rzeką Jauzą. Ale teraz, gdy była już prawie pewna, gdzie go szukać, zdarzyło się coś dziwnego: jej dusza nomady, zawsze tak stanowcza, zawahała się. Niczym Odyseusz patrzący na Itakę Florence odkryła, że nie potrafi pójść dalej. Wiedziała, że się zmienia: staje się nowym człowiekiem uwalniającym się od indywidualizmu, który zmusza do domagania się specjalnej uwagi. Chciała, by Siergiej zrozumiał, jak bardzo się zmieniła, a przecież właśnie to pragnienie czyniło jego zaspokojenie niemożliwym. Sam akt szukania Siergieja trącił desperacją. W końcu minął rok. Może miał inną kobietę? Powtórnie się ożenił? W głębi ducha Florence nie czuła się gotowa na spotkanie z Siergiejem, które nie obejmowałoby porwania jej w ramiona, namiętnego pocałunku w usta i zakrzyknięcia: „Hura!”. Dlatego, niczym drzemiący Odyseusz, Florence pozostała tam, gdzie była, czekając na nadejście jakiejś tajemniczej ostatecznej przemiany.



Marzenie Florence o całkowitym zjednoczeniu się z tą tytaniczną abstrakcją pod nazwą „Lud” spełniło się w końcu 7 listopada 1934 roku. Tego ranka obudziły ją dalekie dźwięki marszowej muzyki dobiegające z ulicznych głośników. Pod jej oknem ustawiono oddział kobiet dzierżących miotły z brzoźowych witek.

Miała się spotkać z Essie na umówionym rogu ulicy Marosiejka, gdzie dziewczyna maszerowała z kolumną amerykańskich pracowników fabryki AMO. Od Florence, jako pracownicy Gosbanku, nie oczekiwano udziału w marszu, lecz ona chciała chociaż zerknąć na Stalina i pozostałych Bohaterów Rewolucji. Kolumna pęzła do centrum miasta, gdzie miała przejść przez plac Czerwony. Florence przeciskała się skrajem tłumu tak długo, aż dostrzegła machającą do niej dłoń Essie obleczoną w czerwoną rękawiczkę.

– Spóźniłaś się – powiedziała Essie, przyciągając Florence do siebie.

– Przepraszam.

– Właśnie znów ruszamy.

Nad nimi, na elewacjach budynków, umieszczono przypominające monstrialne papierowe lalki posągi wielkich przywódców. Wszędzie wokół powiewały na wietrze czerwone sztandary.

– To Joe, a to Leon – powiedziała Essie, przedstawiając Florence dwóch stojących obok niej mężczyzn.

Jeden, mechanik w średnim wieku ubrany w watowaną kurtkę, miał na ramieniu cienką czerwoną opaskę organizatora parady. Obok niego stał młodszy nieogolony mężczyzna w gangsterskim tweedowym kaszkiecie i płaszczu z podniesionym kołnierzem. Z jego mięsistych, zbyt różowych warg zwisał papieros. Ktoś zatrąbił, dając sygnał, że wszyscy mają się z powrotem ustawić.

– Do szeregu! Do szeregu! – krzyčili organizatorzy. – Od tej chwili się nie zatrzymujemy!

Młody gangster wypluł niedopałek i zrównał się z Florence. Policzki poróżwiały mu od chłodu. Zanim zwrócił się do niej po angielsku, dwukrotnie zlustrował ją spojrzeniem.

– Pierwszy raz jesteś. To widać.

Pewność tej konstatacji odebrała Florence chęć odezwania się. Niezrażony mężczyzna obrzucił ją sardonycznym spojrzeniem czarnych oczu.

– I nie pracujesz w AMO.

– Zgadujesz.

– Nikomu nie powiem, nie martw się. Ja też tam nie pracuję. Kiedyś tak, ale już

nie. – Przysunął się do niej o krok i uchylił na moment połę płaszcza. – Ale zachowałem swoją starą przepustkę. Jeśli w tym mieście uda ci się uzyskać jakikolwiek dokument, to radzę ci, dobrze go pilnuj.

– Może lepiej nie mówmy tak głośno po angielsku? – zasugerowała.

Gangster wzruszył ramionami i obrócił się do Essie.

– Skąd jesteś?

– Park East, Bronx.

– Nie do wiary. A ona?

– Florence to dziewczyna z Brooklynu – odparła Essie.

Florence pożałowała, że Essie nie ugryzła się w język, bo chłopak powiedział natychmiast:

– No proszę. A konkretnie?

– Beverly – odparła, nie patrząc w jego stronę.

– Beverly i co dalej?

Ta indagacja zaczęła ją drażnić.

– A co cię to obchodzi, wybierasz się tam? – usłyszała własne słowa.

– Jaka delikatna.

– Florie jest z Flatbush – dopowiedziała gorliwie Essie.

– Florie z Flatbush – powtórzył młody człowiek z nutą satysfakcji, jakby wydarł jej jakąś brudną tajemnicę. – A gdzie to jest? Prospect Park? Millionaire Park?

– Bardziej na południe. Na Flatbush mieszkają bardzo różni ludzie.

– Taa, no pewnie. Bardzo różni lekarze i bardzo różni prawnicy. Nie bądź taka drażliwa – powiedział i przyjaźnie poklepał ją po plecach. Patrzył w tłum przed sobą, ale triumf z dokonanego odkrycia odmalował mu się na twarzy uśmiechem, którego radość wydawała się rozchodzić na zewnątrz, poza kąski ust, gdzie potargane czarne włosy przybierały postać kędzierzawych baczków.

Florence nie przychodziła do głowy żadna reakcja, która nie polegałaby na daniu mu w twarz. Już prawie otwierała usta, by zaprotestować, lecz w tym momencie wszystkie rozmowy na ulicy utonęły w powodzi muzyki i wiwatów lejących się z głośników. Bruk chodnika zagarnęli pracownicy fabryk z całego miasta.

– Wiwatuja! To znaczy, że się pojawił! – krzyknęła Essie.

Ich kolumna zaczęła truchtać naprzód, próbując dołączyć do tych z przodu. Florence poczuła, że dotyka zelówkami bruku, którym wyłożona była otwierająca się przed nimi niezmiernie przestrzeń placu Czerwonego. Kolumny na przedzie pochodu rozeszły się w dwie strony, ogarniając Kreml niczym morską pianą opływająca zamek z piasku. Florence bywała już na demonstracjach, ale żadna nie przypominała tej, której ogrom przerósł jej możliwości poznawcze. Była tylko jedną z tysiąca, jedną z dziesiątek tysięcy. Uczestniczyła w festiwalu konformizmu. Ponad rozśpiewanym, rozkrzyczanym tłumem głos oficjalnego przewodniczącego uroczystości niósł się jak grzmot, pozdrawiając maszerujących, sławiąc bezinteresowny wysiłek Wielkiego Ludu Radzieckiego, potęgę konstruktywnej pracy, przywódców Partii idącej na czele proletariatu. Z każdym krokiem ku mauzoleum nastrój w tłumie stawał się coraz bardziej podniosły. Wiedzieli, że jest wśród nich Stalin, i zachowywali się tak, jakby on również

był świadomy ich obecności. Młode kobiety dostawały z podniecenia spazmów, oczy wzbierały im łzami. Mężczyźni w przyływie dumy prostowali się tak, jakby w każdej chwili każdy z nich mógł zostać wybrany z tłumu przez samego Stalina.

– Tam jest, uniósł rękę! – krzyknął ktoś za Florence.

– To Woroszyłow, idioto!

– Nie, tam, stoi obok Budionnego!

Bolszewickich przywódców zgromadzonych na szczycie mauzoleum dało się rozróżnić nie łatwiej niż szachowe pionki, lecz Florence była całkowicie pewna, że dostrzegła błysk oczu Józefa Stalina, tych oczu, które patrzyły na nią każdego dnia pracy z olejnego obrazu nad biurkiem Timofiejewa. Zwolniła, by mieć lepszy widok, ale czerwoarmiejcy szturchali gapiów kolbami wypolerowanych karabinów i tłum pchnął ją do przodu.

– Masz dobry widok, Flatbush? – zapytał ją młody człowiek, kiedy już przeszli na drugą stronę mauzoleum.

– To tak będziesz mnie teraz nazywał?

– A jak chciałabyś, żebym cię nazywał?

To pozornie niewinne pytanie sprawiło, że poczuła się tak, jakby ktoś miał jej za chwilę podwędzić portfel.

– Florence – powiedziała i w tym momencie w tłumie za nimi podniosły się wiwaty. Stalin pozdrowił robotników. Florence próbowała przyłączyć się do wzbierającego „Huraaa!”, ale w jej głosie nagle zabrakło przekonania. Gdzieś uleciało zapomnienie, które ogarnęło ją zaledwie chwilę wcześniej. Muzyka z głośników nie niosła jej już naprzód ku wspaniałej przyszłości, lecz wstecz, ku wspomnieniom o tym, jak kiedyś, w wieku piętnastu lat, wymknęła się z jedną ze szkolnych przyjaciółek na pasterkę do kościoła Świętego Franciszka. Wybrała się tam wiedziona ciekawością, ukrywając tę wyprawę przed rodzicami, i od początku do końca czuła się jak oszustka. Katolicy uśmiechali się do nich serdecznie, sądząc, że są pobożnymi dziewczętami wielbiącymi Chrystusa. I teraz, tak samo jak wówczas, jakiś mroczny, zbuntowany zakątek jej serca groził unicestwieniem jej zachwytu i uznaniem całej tej sceny za farsę. To chyba ta „Flatbush”. Tak, była tego pewna, to ta „Flatbush” zdjęła zakłęcie. Obrzydliwa sugestia, że jest intruzem wśród proletariackich spadkobierców Rewolucji. Odwróciła się, napotykając wzrokiem śliczne wargi, wciąż wygięte w tym rozwścieczająco ironicznym wyrazie. Nad tłumem huczały głośne wiwaty i tym razem chłopak przyłączył się do nich, gwizdząc i pohukując donośnie jak pijaczyna na Mardi Gras.

Tego wieczoru w Klubie Pracowników Zagranicznych mieszczącym się na ulicy Hercena było tłoczno od wszelkiej maści ekspatów. Austriacy z lewicowego Schutzbundu i uparci niemieccy socjaliści tańczyli fokstrota, uchodźcy polityczni z Węgier i Czech wirowali w szerokich obrotach rumbi, kominternowcy ze Stanów podnosili się z miejsc, gdy tylko orkiestra zaczynała grać lindy hop, i nawet szczupli, brodaci anarchiści z Włoch ruszali w tany na wyslizganym parkiecie. Polityczny zapal popołudnia został dosłownie

utopiony w powodzi taniego szampana. Ci, którzy wzięli się do świętowania wcześniej, zataczali się teraz po lodowatych ulicach albo leżeli w rynsztokach. Na wpół zamrożone usta bełkotały bez ładu i składu jakieś patriotyczne slogany.

Florence знаła niewielu cudzoziemców, postanowiła więc nie oddalać się za dużo od Essie. Nie zdążyła jeszcze zatańczyć i okazja chyba przepadła: z parkietu schodzili amatorzy, ustępując miejsca zawodowcom. Dosłownie metr dalej dostrzegła Leona z parady, tego z niewyparzoną gębą. Zanim zdążyła się odwrócić, Essie zawołała do niego, przekrzykując muzykę:

– Zgubiłyśmy cię na moście!

– Przykro mi – powiedział, podchodząc, choć wcale nie sprawiał wrażenia, jakby było mu przykro.

– Rozglądałyśmy się, ale na nabrzeżu był za duży ścisk!

– Znajomy musiał iść załadować ciężarówkę i zwrócić wszystkie rekwizyty do fabryki, no i zgarnął mnie po drodze. Coś mi jednak mówiło, że was tu znajdę.

Przy tych słowach przenosił wzrok to na Essie, to na Florie.

Florence, postanowiwszy nigdy więcej się do tego człowieka nie odezwać, utkwiała spojrzenie w podłódze. Jakaś para, drobna Rosjanka i młody czarnoskóry mężczyzna, rozgrzewała się przed występem przy akompaniamencie gwizdów i zachęcających okrzyków tłumu. Florence uderzyła myśl, że w większości regionów Stanów Zjednoczonych zaprotestowano by prawdopodobnie przeciw takiemu połączeniu – jeśli nie na gruncie prawa, to moralności. Czarnoskóry obnosił cienki francuski wąsik, a jego blond partnerka, pospolitej urody dziewczyna o nieskazitelnej figurze, miała na sobie sukienkę w groszki, która przy szybkich, zgrabnych obrotach tancerki unosiła się, ukazując majteczki.

– To Skaczący Jim Cosgrove i jego dziewczyna, Polly – poinformował Leon, choć Florence wcale go o to nie pytała.

– Znasz go? – Essie była bardzo zaintrygowana.

– Jimmy’ego wszyscy znają. Polerował parkiety we wszystkich hotelach: National, Metropol... Tańczył dla wszystkich szych.

– O rany... Jest niesamowity! To zawodowiec?

Florence patrzyła w milczeniu, jak Skaczący Jimmy wybija obcasami skomplikowany rytm. Górna połowa jego ciała pozostawała niby to mimochodem idealnie wyprostowana.

– Tak naprawdę jest studentem – powiedział Leon. – Na KUMNZ: Komunistycznym Uniwersytecie Mniejszości Narodowych Zachodu. Ale nie wydaje mi się, by kiedykolwiek pojawił się na zajęciach. Hotelowe restauracje płacą mu niezłe sumki za wykonywanie co wieczór lindoczki dla gości. Że nie wspomnę o darmowych drinkach: wypija je szybciej, niż zdążają mu dolewać. Ci Rosjanie oczu nie mogą od niego oderwać. Zwłaszcza żony komunistów. Większość z nich w życiu nie widziała czarnoskórego. Kiedyś po występie podeszła do niego jakaś para i próbowali pomacać jego włosy, a potem go pytali, czy mógłby powiedzieć kilka słów „po murzyńsku”.

– Mam nadzieję, że kazał im trzymać łapy przy sobie – odezwała się Florence, choć poprzysięgła sobie milczeć.

– On się tym kompletnie nie przejmuję – odparł Leon. – Zarabia tu więcej szmalu w tydzień niż w Chicago w miesiąc. Takich jak on mają tam od metra, a tu jest prawdziwym unikatem.

Odwróciła się do niego z chłodnym wyrazem twarzy.

– Masz na myśli oryginalność jego występów? A może to jego powinniśmy zapytać, jak się czuje, odgrywając rolę Bambo dla Rosjan jak jakiś tańczący niedźwiedź...

Jej ton go zaskoczył.

– Daj spokój. Ten człowiek ma talent. Dlaczego nie miałby na tym zarobić? – Odwrócił się do Essie. – Twoja kuzynka zawsze taka sztywna?

Florence nie miała okazji go poprawić ani w kwestii pokrewieństwa, ani swej postawy życiowej, bo w następnym zdaniu Leon zapytał Essie, czy ma ochotę zatańczyć.

Zbitki fortepianowych akordów pulsowały w eterze ciepła ludzkich ciał, a Florence stała samotnie i patrzyła, jak Leon i Essie suną krokiem podstawowym po parkiecie. Essie sięgała Leonowi do ramienia, lecz jemu udawało się mimo to puszczać ją z wdziękiem w obroty i przyciągać z powrotem w zgięcie swego ramienia. Florence zupełnie nie rozumiała, co ją napadło, żeby zachować się tak paskudnie. Wszystko wokół, łącznie z muzyką, wydawało jej się takie dziwne. Wypatrzywszy ją stojącą samotnie, jeden z schutzbundowców podszedł i zapytał, czy ma ochotę zatańczyć. Nie miała, lecz przyjęła zaproszenie. Przesuwali się po parkiecie szerokimi, niezgrabnymi kołami. Pozwoliła Austriakowi objąć się mocno, lecz głowę odchyliła lekko na bok, by nie czuć jego kwaśnego oddechu. Gdy tylko utwór się skończył, wyplątała się z jego objęć i odnalazła Essie, która wciąż jeszcze łapała oddech, stojąc z dłonią na przedramieniu Leona.

– Gdzie nauczyłeś się tak tańczyć?

Leon otarł pot z czoła. Z rozpiętej od góry koszuli wyzierały kępkę włosów bujnie porastających kościstą klatkę piersiową.

– W naszych okolicach jak w sobotni wieczór zgłodniałeś, najlepiej było zorientować się, kto z sąsiadów właśnie się żeni. Człowiekowi pilnującemu przy drzwiach mówiliśmy zwykle z kolegami, że matka jest na górze, a sprawa pilna, bo lodówka się zaczęła rozmrażać. No to nas wpuszczał. Pięć minut później zaczynaliśmy podrygiwać na parkiecie i niedługo trzeba było czekać, żeby cała reszta się podniosła i zaczęła tańczyć. No i wtedy wślizgiwaliśmy się do kuchni i zaczynaliśmy się opychać rogalikami, owocami, śledziem, zapijaliśmy to wszystko mineralną i zwiewaliśmy ile sił w nogach.

– W domu was nie karmili? – zapytała Florence.

– Jasne, że tak – odparł, najwyraźniej puściwszy w niepamięć jej wcześniejsze afronty. – Zupa ziemniaczana na śniadanie, placki ziemniaczane na obiad, na kolację tłuczone ziemniaki...

– Więc ty też wychowałeś się w Nowym Jorku? – zaciekała się Essie.

– Allen Street. Ale nie wiem, czy się wychowałem. Chyba bardziej zostałem przeciągnięty za uszy.

Essie rozśmieszyło to do łez, Florence natomiast próbowała wyglądać na rozbawioną głównie po to, by wzbudzić w nim przekonanie, że ich wcześniejsze spięcia należy złożyć na karb niezrozumienia. Ku jej zdumieniu wywołało to efekt zgoła nieoczekiwany: Leon spojrział na nią nieśmiało jak wierny psiak i obciągnął na siebie

koszulę. Ruch był nieznaczny, ale nie pozostawiał wątpliwości, że chłopak wiedział, na co patrzyła Florence, przez co ich rozejm zyskał jakiś niezręcznie intymny wydźwięk.

Przez panujący na sali zgiełk znów zaczęły przebijać taneczne akordy. Essie pierwsza rozpoznała melodię.

– Stardust! – wykrzyknęła. – Grają Hoagy’ego Carmichaela na akordeonie!

I rzeczywiście. Florence uzmysłowiła sobie, co ją tak zaskakiwało w tej muzyce: wszystko to były niemodne już kawałki, które jakimś cudem dotarły na rosyjską ziemię, stając się po drodze czymś w rodzaju wędrownej cygańskiej wersji samych siebie, tak jak ona i Essie. Nie miała wątpliwości, że Leon czuje się teraz zobowiązany poprosić jedną z nich do tańca, ale jego dylemat rozwiązała zmierzająca w ich kierunku wysoka postać. Postać przybrała kształt patykowatego mężczyzny w okularach, który wykrzykując imię Leona, aż wspiął się na palce.

– A niech mnie kule biją! – zawołał Leon. – Seldon Parker!

– Witajcie, towarzyszu! – rzekł Seldon ze wspaniałym angielskim akcentem. Po kolei uściśnął dłonie obu dziewczętom. – Proszę mi wybaczyć, potwornie się dziś ubzdryngoliłem.

– Podejrzewam, że byłeś w starym dobrym Metropolu – powiedział Leon – na niejednej kolejce z chłopakami z Alfą i Omegi.

– Nie wymawiałbym tych sylab zbyt głośno, przyjacielu. Zresztą i tak doszło do pewnych zmian... Teraz nazywają się Braćmi Chrystusowymi.

– Od kiedy?

– Odkąd łatwiej zapamiętać YMCA4 niż OGPU5.

– Sądziłem, że obecnie funkcjonują pod nazwą NKWD – powiedział Leon.

Seldon wyjął chusteczkę i otarł krople potu z czoła.

– Za dużo w tym mieście skrótów, kurczę blade, człowiek traci rachubę. Do tego ciągle się zmieniają – zwrócił się do Florence. – Osobiście wolałem, jak wszyscy mówili na tajną policję po prostu Czeka.

– A co z TZOK-iem?

– A to co znowu?

– Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Komunizmu.

– Ej, brzmi całkiem nieźle. Chyba sobie zanotuję.

– Jak już Seldon stąd wyjedzie, to napisze grubą, poważną książkę – powiedział Leon. – Tyle że jakoś nie może wyjechać.

– A o czym będzie ta książka? – zapytała Essie, po czym została uszczęśliwiona obszernym opisem zainteresowań Seldona skupiających się na kwestii proizwołu: pojęcia samowoli w stanie czystym.

I podczas gdy Seldon zasypywał nieszczęsną, coraz bardziej zdezorientowaną Essie teoriami na temat „rosyjskiego braku wyczucia współmiernej relacji między przyczyną a skutkiem”, Leon zrobił krok w kierunku Florence i powiedział:

– Ciągle mu powtarzam, żeby się pospieszył i wrócił do Londynu, gdzie wreszcie będzie mógł zacząć rozkoszować się Moskwą.

– Jak to?

– Problem z pisarzami polega na tym, że nie potrafią się dobrze bawić, kiedy się

właśnie bawią. Dopiero z perspektywy czasu.

– Zakładam, że nie jesteś pisarzem.

– No i tu się właśnie mylisz. Pracuję razem z Seldonem. Obaj piszemy dla TASS.

– Telegraficznej Agencji Związku Radzieckiego? To ten wielki budynek na Gorkiego?

– A więc słyszałaś o niej? – powiedział Leon z udawaną skromnością.

– Sowieci nie mają własnych reporterów?

– No ale my, rozumiesz, piszemy wiadomości na eksport.

– Po angielsku?

– A po jakimu, w suahili? Piszemy i wydajemy oddzielne czasopismo. Czytają je nawet w Stanach. Nazywa się „Sovietland”.

– „Sovietland”? – Spojrzała na niego koso. – Jest w ogóle takie miejsce?

– Oczywiście. W Sovietlandzie jest cała masa cudownych rzeczy. Nowiutkie domy towarowe z gramofonami i odkurzaczami na półkach, kawiarnie dla robotników, gdzie zapłata jest wyłącznie sprawą honoru.

– Wydaje się cudownym miejscem do życia.

– Cierpliwości, Florence. Cierpliwości.

– Nic dziwnego, że tylu ludzi przyjeżdżających do Związku Radzieckiego wyjeżdża stąd rozczarowanych – powiedziała. – Najpierw czytają te brednie, a potem wracają do Stanów i szkalują ZSRR tak, że w głowie się nie mieści.

Leon wyszczerzył się niewinnie, dokładnie takiej reakcji się spodziewając. Rozłożył szeroko ręce.

– Dobra. Niech więc ci kłamcy dalej sobie głoszą swoje kłamstwa.

– On jest rzeczywiście wyjątkowy – powiedziała Essie, zrzucając buty i padając plecami na łóżko Florence. Przez moment Florence sądziła, że przyjaciółka ma na myśli Leona, lecz ta dodała po chwili: – To, jak mówi... Jakby zwracał się... wprost do człowieka.

Było już po północy. Florence wskazała na drzwi, by przypomnieć Essie, że nie są same, że za każdą ścianą ktoś mieszka.

– Przynajmniej masz własne cztery ściany – powiedziała Essie. – Spróbuj sobie pomieszkać w jednej sali z dwudziestoma ośmioma osobami.

Zebrała sukienkę i zdjęła ją przez głowę. Florence ściągnęła pończochę, wyprostowała nogę przed lustrem, po czym ściągnęła drugą.

– To ta cała otoczka – powiedziała Florence. – To machanie chusteczkami, te omdlenia. Wystarczy, że usta otworzy, a wszyscy klaszczą na wyścigi. Obejdzie się.

Wyjęła z szafy zapasową koszulę nocną i zmianę pościeli i dała to Essie.

– Ale to akurat nie wina Stalina – zaprotestowała Essie. – Przecież on wcale nie oczekuje takiego uwielbienia. Wysztycha je we wszystkich przemówieniach. Wyśmiewa tych, co robią z niego bóstwo na ołtarzu, zamiast wziąć się do roboty.

– Nie przeczę – powiedziała Florence, na powrót wyjmując Essie z rąk pościel i rozścielając ją na łóżku. Irytowało ją, że Essie nie potrafi zrobić najprostszej rzeczy, o ile

nie przestanie mówić.

– A zresztą – ciągnęła Essie – on wie doskonale, że nie wielbią w nim Stalina człowieka, tylko to, co reprezentuje: Partię i wszystko to, co uczyniono dla Ludu... To, jak cały ten kraj został zjednoczony.

Odwróciły kódrę na drugą stronę i z pościeli buchnął zapach wykrochmalonej świeżości. Ułożyły się na wąskim łóżku głowami w przeciwne strony, jak karciana figura. Essie zachichotała w ciemnościach, kiedy Florence chwyciła ją za lodowatą stopę.

– No nie! Wkładaj skarpetki!

– Ale kompletnie przemoczyłam buty! – zaprotestowała Essie.

– Nie chodzi o to, że są zimne! Te małe paznokietki masz ostre jak brzytwa.

Florence zapaliła osłoniętą abażurem lampę i wysliznęła się z łóżka. Z zamykanej na klucz szuflady biurka, w której trzymała dolary i kosztowności, wyciągnęła małą torebkę z przyborami do szycia, po czym położyła sobie pulchne paluszki Essie na kolanach.

– W zimie nikt nie ogląda moich stóp – powiedziała Essie.

– Twoich majtek też nikt nie ogląda. Ale to nie oznacza, że masz ich nie zmieniać.

Essie skrzywiła się, ale zmilczała, gdy Florence w przerażającym skupieniu obcinała jej paznokcie.

– W żadnym sklepie nie udało mi się znaleźć dobrych nożyczek – powiedziała Essie buntowniczo. – A naprawdę szukałam. Niechby to były nawet nożyczki do haftów. Znalazłam tylko takie wielkie nożyce krawieckie. Używają ich dziewczyny w bursie, ale ja się boję. Mówią, że związek zawodowy fryzjerów zawarł pod stołem jakiś układ z producentem, przez co wszystkie nożyczki trafiają najpierw do nich, a dla reszty nic nie zostaje.

– Możesz dostać nożyczki w sklepach Torgsinu. Przyjmują dewizy, wiesz o tym.

– Nie mogę trwonić dolarów na jakieś zachcianki, Florie.

Florence przerwała obcinanie i podniosła wzrok.

– Jak sobie chcesz. Ja tam zawsze powtarzam, że nie ma kobiet brzydkich, są tylko zaniedbane.

– A ja uważam, że to trochę niesprawiedliwe – powiedziała Essie – że my to sobie możemy kupować w tych sklepach importowane rzeczy, ale poza nami już nikt.

Florence przeprowadziła już to rozumowanie i wiedziała, dokąd prowadzi.

– A co w tym niesprawiedliwego? Kraj potrzebuje dewiz, a ja potrzebuję nożyczek do paznokci. Chodzi mi o to, że komitety partyjne też mają swoje sklepy, tak samo jak kremlowscy lekarze i tak dalej. Nie jesteśmy jedyne. – Odłożyła nożyczki. – Praca tych ludzi ma dla państwa wartość. Może nie mają czasu na wystawianie w kolejkach. Nasza praca również jest wyjątkowa, Essie. Powinniśmy być z niej dumne, a nie zmieniać się w estетки.

– Chyba chodzi ci o ascetki.

– Wszystko jedno.

Florence uzmysławiała sobie, że w osnowie jej wywodu może być jakaś kapitalistyczna nić, lecz czuła się usprawiedliwiona w swym rozumowaniu. Jej praca była naprawdę cenna i ważna. Dlaczego nie miałyby jej uprawniać do tabliczki czekolady od

czasu do czasu?

– Chyba masz rację – mruknęła Essie sennie i umościła się na poduszce. Florence zgasiła światło i leżały teraz w milczeniu, masując sobie nawzajem zmęczone stopy. Essie zaczęła cichutko nucić melodię, w której Florence rozpoznała rozkołysane cygańskie Oczy czornyje.

– Oczy czornyje – zanuciła Essie – occhi diwnyje...

Florence przyłączyła się do niej cichutko:

– Oczy strasnyje i priekrasnyje...

– Kak lublu ja was, kak bajus' ja was – zaśpiewały jednym głosem. – Ja uwidiel was, och, w niechoroszyj czas.

A potem Essie umilkła i Florence domyśliła się powodu.

– O czyich czarnych oczach śpiewałaś?

Milczenie Essie pogłębiło się, lecz Florence wywnioskowała odpowiedź ze sposobu, w jaki Essie spięła stopę.

– Ładnie dziś razem tańczyliście – powiedziała zachęcająco.

– To dzięki niemu. W tańcu z nim każda dziewczyna wyglądałaby ładnie.

– Pan Przeciągnięty za Uszy rzeczywiście potrafi przebierać nogami na parkiecie, nawet jeśli jest odrobinę bufonowaty.

– Dlaczego bufonowaty? – zaciekała się Essie, podciągając się nieco na poduszce.

– Och, nie wiem... Może po prostu trochę za bardzo wygadany, chyba to miałam na myśli.

– Zabawne. Zapytał mnie, czy powiedział coś, co mogło cię zdenerwować.

– Ciebie zapytał?

– Poprosiłby cię do tańca, Florie, gdyby nie uważał, że mu odmówisz. – Palce Essie znów czujnie zeszywniały. – Podoba ci się?

– Och, proszę cię, Essie.

– A czego mu brakuje?

– Niczego mu nie brakuje. Nie twierdę, że nie jest przystojny. – Florence zastanawiała się niepewnie przez chwilę, czy nie przyznaje czasem, że Leon jest atrakcyjny, aby ukryć fakt, że jej zdaniem faktycznie był. – Po prostu nie jest w moim typie.

– A jaki jest twój typ?

– Nie Amerykanin, może od tego zacznijmy.

– Och.

– Ale nie twierdę, że ty nie powinnaś... Po prostu wydaje mi się niemądre pokonywanie całej tej drogi tylko po to, żeby...

– ...robić tyle hałasu o faceta mieszkającego po drugiej stronie East River.

Jeśli nawet ulga lub uraza przemknęły po twarzy Essie, skryła je ciemność. Po chwili Florence poczuła, że Essie odwraca się do ściany.

– Dobranoc, Essie.

– Dobranoc – usłyszała w odpowiedzi.

Jeszcze przez jakiś czas wpatrywała się w ciemność, po czym zasnęła.



Dwa dni później Florence wyprawiła się na poszukiwania człowieka, który sprawił, że znalazła się w Moskwie. Tramwajem, którym rzucało na wszystkie strony, jechała nabrzeżem Jauzy, na którym popękał asfalt, mijając składy węgla, magazyny i kamienne fortyfikacje monastyrów zarekwirowanych na hotele pracownicze. Zmierzała na przedmieścia.

Wyobrażała sobie, że zakłady metalurgiczne Sierp i Młot okażą się ogromną ceglana fabryką podobną do tych z Nowego Jorku. Podjechawszy jednak bliżej, uzmysłowiła sobie, że ma przed sobą w gruncie rzeczy niewielkie miasteczko. Wsiadła z tramwaju i pod naporem chaotycznej rzeki ludzi prawie się przewróciła. Na wąską sukienkę narzuciła stare futro matki i teraz w tłumie wywatowanych kufajek czuła się jak wyfiokowana dziedziczka z Anny Kareniny. Jeden rzut oka za otwartą bramę utwierdził ją w przekonaniu, że na terenie zakładów każda fabryka ma własną straż. Pojmowała, że choćby nie wiedzieć jakim błędem było samo pojawienie się tutaj, jeszcze większym musiało być zaanonsowanie się tym wartownikom w niedźwiedzich czapach. Zastygła w niezdecydowaniu, potrącana przez cisnących się przechodniów. W tramwaju zdołała się ogrzać, lecz teraz z każdą chwilą było jej zimniej. Tłum rzedniał, wkrótce brama zostanie zamknięta. Nie wiedząc, co zrobić, jak tonący, który chwyta się przepływającej kłody, mimowolnie wyciągnęła rękę w kierunku mijającego ją łokcia. Łokieć należał do kobiety, wymizerowanej Rosjanki o twarzy koloru przepalającej się żarówki, która pod dotykiem Florence rozjarzyła się złowróżbną jasnością.

– Przepraszam bardzo – powiedziała Florence, cofając się o krok. – Szukam kogoś... Pracującego w tej fabryce inżyniera.

– Zaraz zadzwoni dzwonek. Żadnego inżyniera ci tu teraz nie znajdę.

– Czego ona chce, Inna? – zapytała jakaś dziewczyna o nieco zdrowszej cerze, z chustką na głowie.

– Szukam inżyniera o nazwisku Sokołow.

Dziewczyna zerknęła na nią z zaciekawieniem.

– Wszyscy inżynierowie siedzą w tamtym budynku, o tam, daleko.

– Możemy cię zaprowadzić do działu kadr – podsunęła chuda kobieta, jakby od początku starała się pomóc.

– Nie... Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

– Wszyscy muszą się zameldować – powiedziała pierwsza dziewczyna.

– Ja... Może trafiłam pod niewłaściwy adres.

– No to w końcu wiesz kogo szukasz czy nie?

– Tak, on jest – wyraźnie słyszała własne słowa – moim kuzynem.

– Kuzynem, tak?

Na tle ich prostackiego, zwyczajnego rosyjskiego jej obcy akcent wyróżniał się równie barokowo jak jej futro.

– Jestem jego kuzynką – podjęła. – Z Armenii. Przyjechałam dziś rano pociągiem. Miał mnie odebrać na dworcu. Może zapomniał. – Zaskoczyło ją, jak łatwo przyszło jej to kłamstwo. – Może wysiadłam po niewłaściwej stronie. W tym mieście wszystko jest takie wielkie, można się całkiem zgubić. – Westchnęła, nie ukrywając, że stara się wzbudzić współczucie. – Może któraś z was mogłaby mi po prostu przekazać, że tu jestem. Nazywa się Siergiej Sokołow.

– No dobra, poczekaj tam – powiedziała dziewczyna w chustce, dając znajomej znak, żeby weszła sama i jakoś ją wytłumaczyła.

– Powiedz mu, że to Flora! – zawołała za nią Florence. – On będzie wiedział.

Czekała na zimnie, a pasiasty cień, który rzucała brama fabryki, bladł stopniowo pod powalą chmur. Tego ranka słońce było zwodniczo jasne – bez niego zimowy dzień odsłaniał nagie kły. Wymyślając sobie w duchu właściwie bez powodu, niemal nie zwróciła uwagi na wysoką postać, która podeszła do bramy.

Był szczuplejszy, niż się spodziewała, spod naciągniętej na oczy czapki nie było widać twarzy, lecz charakterystyczne przygarbienie potężnych barków mogło należeć tylko do niego. Gdy strażnik otwierał bramę, Siergiej zerknął zza prętów. Nie znać już było mocnej letniej opalenizny, którą Florence tak dobrze zapamiętała. Spojrzenie mu zbladło i zmroczniało. Spojrzał na nią jak na zjawę, na obcego człowieka, którego nie sposób umiejscowić w pamięci.

– Nie poznajesz mnie? – powiedziała Florence, składając dłonie.

Jakby mimowolnie leciutko się uśmiechnął.

– Kuzynka Flora?

Lecz dopiero wtedy, gdy ironicznie uniósł brwi, Florence rzeczywiście go rozpoznała.

– A więc mnie odnalazłaś.

Tego wieczora rozebrali się w jej pokoju szybko, zdejmując z siebie nawzajem zimową odzież jak sztywne gazowe bandaże.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał.

A ona nie potrafiła przestać. Absurdalność tego spotkania zupełnie odebrała jej rozum.

Idąc z nim od przystanku tramwajowego, na którym się umówili, zabawiła go opowieściami o zdezorientowanej Amerykance, jaką była, wysiadając na stacji w Magnitogorsku, o bezradnym Czerwonym Kapturku rzuconym w bezkresne lasy socjalizmu. Kładąc dłoń na biodrze, naśladowała mieszkające z nią w pokoju wieśniaczki, przedstawiając je jako swe powierniczki i przewodniczki po tych leśnych ostępach. W rozświetlonych latarniami ciemnościach roześmiane spojrzenie Siergieja błąkało się po jej twarzy i wkrótce zaczął uzupełniać jej opowieść wybranymi szczegółami własnego „pionierskiego życia” w Magnitogorsku, tak że wreszcie pojawiła się nić splatająca ich wspólną przeszłość z terażniejszością. Ale gdy tylko znaleźli się w pokoju, zamknął drzwi

i brutalnie przyciągnął ją do siebie. Kochali się pospiesznie i gwałtownie na wąskim niewygodnym łóżku, roztrącając wszystko na boki. Jego włosy w jej palcach. Szok gwałtownego pchnięcia w jej wnętrzu sparaliżował ją na moment jak skok do zimnego basenu, ale już po chwili wszystko to wydało się dziwnie znajome. Doszedłszy do siebie, wyczerpani i oszołomieni, okazali się tak wygłodniali jak ludzie po ciężkiej chorobie.

Na szczęście była na to przygotowana. Zanim wyszła się z nim spotkać, nakryła biurko obrusem i ustawiła na nim pastę z marynowanych grzybów, pomidory konserwowe, jesiotra, plastry zimnego mięsa, kawior, wino i brandy. Teraz, owinięta wielką narzutą w szkocką kratę, patrzyła, jak Siergiej nadziewa na widelec pomidorek, małą czerwoną kulkę, podnosi go do oczu i uważnie mu się przygląda. Połknął ten kwaśny przysmak za jednym zamachem, krzywiąc się odrobinę, po czym popił haustem brandy. Florence siedziała, koniuszkami palców odkrywając na nowo krzywiznę jego pleców, a on tymczasem pochylił się nad biurkiem, przyrządzając sobie wyrafinowaną kanapkę z masłem, kawiolem i ogórkiem.

– Nie tylko czerwony kawior, ale i czarny... Jak go zdobyłaś?

Uśmiechnęła się. Na zakup tych kilku wykwinnych produktów w dobrze oświetlonych alejkach sklepu tylko dla cudzoziemców, gdzie jej kaspijski jesiotr, gruzińskie wino i pomidory, na które nie było sezonu, zostały sprawnie zapakowane przez uśmiechniętą i uprzejmą dziewczynę, w niczym nieprzypominającą biało odzianych cerberów pilnujących półek w zwykłych moskiewskich sklepach, poszedł całomiesięczny przydział kartek Insna.

– Smakuje jak z jesiotra – powiedział z uznaniem.

– Skąd wiesz?

– Chodź, pokażę ci. – Wziął na łyżkę więcej czarnej ikry i rozprowadził ją cienko na posmarowanym masłem chlebie. – Widzisz, jajeczka są sprężyste i pulchne, nie kleją się do siebie. Ostatni raz miałem to w ustach, hmm, czekaj, daj mi pomyśleć – wbił wzrok w sufit – w dwudziestym ósmym roku. Nie, dwudziestym siódmym! W sylwestra.

Klepnęła go w ramię.

– Siergiej, ciebie to się zawsze żarty trzymają.

– Wcale nie!

– Widziałam kawior w sklepach spożywczych.

– Sklepach spożywczych? Aaa, no tak. To też pamiętam. Mieliśmy sklepy o takiej nazwie, zanim je przekształcono.

– Przekształcono?

– No tak, w muzea.

– Jakie muzea?

– Muzea wspomnień smaku! Uważasz, że żartuję? W zeszłym tygodniu wszedłem do jednego z tych... muzeów. Mieli na wystawie ser, taki sam jak ten. Wszedłem do środka i poprosiłem o pół kilo, a ekspedientka... o przepraszam, przewodniczka wycieczek odparła, że to nie na sprzedaż, tylko na pokaz.

Wciągnął w nozdrza zapach chleba i pociągnął łyk alkoholu.

– Na długo przyjechałaś do Moskwy?

– Rok. Może dłużej, kto wie?

Między jego brwiami zarysowała się głęboka zmarszczka. Na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy, że zamierza się na nim uwiesić, Florence dodała szybko:

– Mam własny kąpiel, mam pracę, poza tym nie mam żadnych planów. Chociaż chodzę na zajęcia.

Ale jego wydawało się to zupełnie nie interesować.

– A twoja wiza?

– Prosta sprawa. Nocny pociąg do Helsinek, tamtejsza ambasada przedłuża wizę na kolejne sześć miesięcy albo rok.

– A więc naprawdę chcesz tu zostać?

– To takie dziwne? Tutaj mam poczucie, że jestem częścią tego wszystkiego. A w domu... Robiłam tam cokolwiek, co miałoby jakieś doniosłe znaczenie? – Wydawało jej się, że nie zdoła opowiedzieć o tym, co robi w Moskwie, nie wychodząc na osobę niezadowoloną i zbuntowaną. – Tutaj dostaję na biurko listy od najważniejszych osób na świecie – ciągnęła. – Doradców gospodarczych, premierów. Wiesz, że pomagałam zbierać fundusze na budowę nowego domu kultury? Uczestniczę w budowie socjalizmu.

W próżni rozbawionego milczenia Siergieja jej śmiertelna powaga wydała się nagle pusta i zadufana. Siergiej starał się robić wrażenie człowieka, któremu to imponuje, ale jego przyjazne wysiłki zaczynały ją irytować. Czas było zmienić temat.

– Nie zapytam, czy za mną tęskniłeś – powiedziała z mimowolnym rozdrażnieniem.

Siergiej wychylił kolejną brandy.

– Koszmarnie – rzucił tonem, w którym dawało się wyczuć jednocześnie ironię i żarliwość. – To nie był łatwy rok.

Zanim zdążyła się powstrzymać, powiedziała:

– A czy zagłuszałeś tęsknotę wieloma dziewczynami, czy tylko jedną?

Grzbietem dłoni powoli otarł kącik ust.

– Nie jestem mnichem, jeśli o to pytasz.

– Jakże to ma w gruncie rzeczy znaczenie? Nawet jeśli jesteś żonaty...

– Nie jestem żonaty.

– Ale kogoś masz.

Jego milczenie nasuwało odpowiedź twierdzącą.

– Nie oczekiwałam, że zarezerwujesz dla mnie wieczory – podjęła. – Jesteś tu teraz, i to dobrze. Przyjdź, kiedy będziesz miał ochotę.

Przyjrzał się trzymanemu w dłoni kieliszкови, obracając go między kciukiem a palcem wskazującym. Odstawił go, dołał wina i podał jej.

– Już dziękuję. Od tego wina kręci mi się w głowie.

Odsunęła z twarzy wilgotny kosmyk włosów – ogarnął ją nagły chłód. A przecież była zadowolona, że powiedziała, co powiedziała. Cieszyła się, że zostało to wyartykułowane otwarcie. Teraz niech on nad tym duma.

Siergiej stanowczo pokręcił głową.

– Na ból głowy jest tylko jedno lekarstwo. – Ostrożnie przechylił porcelanowy dzbanek, nalewając herbaty do filiżanki Florence, po czym uniósł brwi, rozczerowany jej

zawartością. – Co to za szczynty? Oszczędzamy czy co?

– Zawsze taką robię.

– Florencjo, moja droga, w Rosji musisz znać się na dwóch rzeczach: picciu wódki i parzeniu herbaty. Gdzie ona jest?

Florence znalazła czarne lakierowane pudełko, w którym trzymała luzem liście herbaty. Siergiej wziął obfitą szczyptę, by dokonać demonstracji.

– Herbata musi być gęsta jak krew i ciemna jak ludzka dusza. – Zamknął pudełko i obrócił je w dłoni. – W tym trzymasz herbatę?

– Tak. To źle?

Gdy napar naciągał, Siergiej obracał przedmiot w rękach, jakby rozbawiony jego prozaicznym zastosowaniem; tak samo mogłoby go rozbawić dziecko noszące na szyi stetoskop. Florence kupiła owalne pudełeczko na straganie, wybierając je spośród innych równie ładnych przedmiotów. Na czarnej lakierowanej powierzchni namalowano precyzyjnymi pociągnięciami pędzla młodzieńca przyciskającego do piersi pióra z ogona ptaka ognistej barwy.

– To Ognisty Ptak, prawda?

– Żar-ptak – poprawił ją Siergiej. – Znasz tę opowieść?

Nalala sobie mocnej herbaty i odchyliła się na krzesło, gotowa słuchać. Siergiej przysunął krzesło bliżej i roztaczając ciepły opar alkoholu, zaczął opowiadać baśń o Żar-ptaku.

– W dalekim królestwie – zaczął – mieszkał dzielny książę o imieniu Iwan, mianowany przez króla strażnikiem drzewa o złotych jabłkach stojącego pośrodku sadu jego ojca. Zadaniu temu nie sprostał wcześniej żaden z leniwych braci Iwana: obaj się pospali i dali sobie skraść złote jabłka. Kiedy więc przyszła kolej na Iwana, ten przywiązał do gałęzi dzwoneczki, aby obudziły go, gdy do sadu wtargnie nieproszony gość. Dzwoneczki zabręczały w samym środku nocy, a gdy Iwan otworzył oczy, pomyślał, że to słońce musi tak błyszczeć. Nie było to jednak słońce, lecz wspaniałe płomienny ptak o jastrzębich pazurach. Iwan skoczył chyżo, by schwycić go za ogon, ale zdołał wyrwać mu tylko jedno, jedyne pióro. Urzeczony pięknem stworzenia i jeszcze ciepłą po nim pamiątką poprzysiągł sobie odnaleźć Żar-ptaka. Wkroczył do lasu, dzierżąc pióro rozświetlające mu drogę jak pochodnia, i po długiej wędrówce dotarł na polanę, gdzie ze swymi służkami kąpała się księżniczka. Zapomniawszy na chwilę o ptaku, zaczął igrać z powabnymi ślicznotkami, lecz gdy nad lasem zaległa gęsta ciemność, księżniczka wyznała oczarowanemu księciu, że wraz z towarzyszkami musi wrócić do zamku złego króla czarodzieja, który intruzów przemienia w kamienie. „Nie idź za nami – ostrzegła – bo ściągniesz na siebie nieszczęście”. Iwan, nie zważając na przestrożę, wśliznął się do zamku za służkami tuż przed tym, zanim zamknęły się wrota.

Siergiej urwał, by przeplukać gardło brandy. Florence czekała, aż podejmie opowieść, ale wyglądało na to, że właśnie w tym momencie postanowił ją zakończyć.

– Kogo w takim razie szukał naprawdę Iwan: księżniczki czy Żar-ptaka? – zapytała.

– Może jednego, a może drugiego.

– Ale co się stało później?

– A stało się to – powiedział Siergiej sucho – że Iwana pochwycił magik.

Dojadł resztę kanapki.

– Musi być jakiś ciąg dalszy.

– Ależ jest. Wolisz wersję z szarym wilkiem czy z gadającym niedźwiedziem?

– Czy Iwan uratował księżniczkę? Czy doścignął Ognistego Ptaka?

Siergiej przytaknął, przeżuując.

– Tak. Ale nieprędko. Po wielu nieszczęśliwych zdarzeniach.

– Wrócił do domu?

– Wiele lat później. W łachmanach. Nikt go nie rozpoznał.

Przestał mieszać herbatę i starł jej drobinę kawioru z kącika ust.

– Wracaj do domu, Floro.

– Co? – Wbiła w niego spojrzenie.

– Uwierz mi, socjalizm nie potrzebuje twojej pomocy.

Zaśmiała się bez przekonania.

– Przecież to ty mi napisałeś, że powinnam tu przyjechać i zobaczyć wszystko, co buduje się w Związku Radzieckim.

– I sądzisz, że właśnie w nim jesteś? Idziesz sobie, kupujesz jedzenie w sklepach dla wybranych i sądzisz, że mieszkasz w...

– Chwileczkę, ja tego wszystkiego nie potrzebuję. – Machnęła ręką nad nakrytym stołem, którego cudowna obfitość zdążyła już w większości zniknąć. – I jakoś nie widziałam, żebyś sobie odmawiał dokładki. Skoro nie chciałeś, żebym tu przyjeżdżała, nie musiałeś tak entuzjastycznie zachwalać...

Spojrzał na nią jak na idiotkę.

– To było skierowane do tych, którzy otwierają koperty nad parą. Myślałem, że się zorientujesz.

– No cóż, przykro mi, że twoim zdaniem jestem tak potwornie naiwna. Głupia Amerykanka, która przyjechała tu uwiesić się na tobie...

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Czują, jak ogarnia ją palący wstyd.

– Floro.

Wargi drżały jej tak, że nie mogła sformułować zdania.

– Co cię tu trzyma? – zapytała. – Nie musisz tu siedzieć.

Powoli, nie spierając się z nią, Siergiej wstał. Gdy się ubierał, wbiła wzrok w rozgrywający się bezgłośnie za szybą spektakl padającego śniegu. Owinęła się ciasniej narzutą.

– Muszę tu siedzieć – powiedział nagle. – Floro, popatrz na mnie.

Spojrzała i uzmysłowiła sobie, że Siergiej nie mówił o jej pokoju.

– Nie rozumiesz, co próbowałem ci powiedzieć?

Teraz to ona zdecydowała się milczeć.

Wziąwszy do ręki kapelusz, z czymś na kształt czułości przesunął palcami po gładkiej skórzanej ręczce jej kufra. Ale kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiał rozkaz.

– Zabierz jutro swój kufer ze skarbami na dworzec, wsiądź do pociągu do Helsinek i wypłynij pierwszym statkiem.

Patrzyła oniemiała, jak Siergiej wciska koszulę za pasek spodni. A potem, tonem

upiornie podobnym do tego, jaki przybierali wykładowcy na szkoleniach politycznych, powiedziała:

– Jedynym pociągiem, do którego mam zamiar wsiąść, jest lokomotywa przyspieszająca w przyszłość. A jeśli ty chcesz z niej wyskoczyć, to uważaj, żebyś nie połamał nóg!

Wypowiedziawszy tę deklarację, natychmiast pożałowała, że nie może jej cofnąć, chociaż w głębi ducha była właściwie zadowolona, że znalazła wreszcie słowa, które zrobiły na nim wrażenie. Na twarzy Siergieja odmalowało się już nie obrzydzenie, lecz panika. Oskarżyła go o nielojalność. Niedowierzenie w jego oczach dało jej przelotne, upajające poczucie władzy. Rachunki między nimi zostały wyrównane. A przecież zdawała sobie sprawę z ceny tej władzy, która rozdzieliła ich ostatecznie barierą nie do przekroczenia.

– Niech ci szczęście sprzyja w twych wojażach, Floro.
Były to ostatnie słowa, jakie do niej wypowiedział.



Wracaj do domu, Floro.

Przez długie tygodnie te słowa wypływały z jej podświadomości w najmniej odpowiednich momentach. O spotkaniu z Siergiejem nie powiedziała nikomu, nawet Essie. Odnajdując w sobie tę samą siłę woli, która pozwoliła jej wiele dziesięcioleci później zamknąć w niedostępnej szufladce umysłu słowo „Ameryka”, postanowiła nigdy więcej nie wypowiadać jego imienia. Nabrała przekonania, że jeśli przypadkiem przez nieostrożność je wypowie, to nadal osoba, która je nosi, będzie powodem jej przyjazdu do Rosji.

Jego słowa czepiały się jej jednak uporczywie i wypływały raz za razem w częstych listach od ojca i matki: „Wracaj do domu, Florence”. „Wracaj do domu, kindeł”. Przed spotkaniem z Siergiejem potrafiła prześliznąć się nad pochyłym, błagalnym pismem rodziców. Po nim samo dotknięcie pergaminowego papieru tych listów napępiało ją bolesną tęsknotą. Ledwie tydzień wcześniej brat napisał jej, że rozpoczął naukę w szkole Erasmus Hall High, wyśmiewając się z tych samych nauczycieli, na których lekcjach niegdyś i ona się męczyła. Czytając list, niemal słyszała brata świetnie parodiującego głos Eddiego Cantora. Teraz, gdy siedziała przy biurku, bledząc się do późna nad tekstem, który podyktował jej Timofiejew tego popołudnia, wzbierająca samotność ukąsiła ją tak dotkliwie, że musiała natężyć całą siłę woli, by zacisnąć zęby i zdławić ból. Już trzykrotnie próbowała przepisać na czysto notatkę Timofiejewa, ale każda kolejna wersja była bardziej usiana błędami od poprzedniej. Podniósłszy załzawione oczy, dostrzegła, że biurka wokół niej opustoszały. Wszyscy już wyszli do domu. Wyciągnęła z maszyny niedokończony tekst wraz z kalką i nawinęła na wałek czystą kartkę.

Kochany Sidy!

Ahoj. Kiedy dostaniesz ten list, świąteczne przysmaki będą już zapewne tylko wspomnieniem. Wygląda na to, że poczta dociera dwa razy szybciej ze Stanów tutaj niż w odwrotną stronę, więc na wszelki wypadek już teraz życzę Tobie i całej brygadzie SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU! Pytasz, co zamierzam robić podczas Święta Dziękczynienia? Powiem Ci: trudno tu dostać indyka, ale zdobyłam kurczaka. „Rzucili je” (jak tu mówimy) dosłownie kilka domów od miejsca, w którym pracuję. Jedzenie tu jest dobre i tanie, więc nikt nie głoduje, ale czasem nie wiesz, co rzuca, póki nie ustawisz się w kolejce. Nabrałam już wprawy w tym, co Sowieci określają mianem zabawy w myśliwych i zbieraczy. Ponieważ w sklepach są oddzielne kolejki po każdy rodzaj produktów – masło, chleb, mortadelę – sztuczka polega na tym, by dowiedzieć się z góry,

ile każda z tych rzeczy będzie kosztować, pójść prosto do kasy, wziąć pokwitowanie, ustawić się w najwolniejszej kolejce i poprosić osobę, która stanie za tobą, żeby popilnowała ci miejsca. Kiedy ta osoba trzyma ci miejsce, ustawiasz się w kolejce, która posuwa się szybciej, zgarniasz swój chleb czy tam masło i pędem wracasz do pierwszej kolejki. Jeśli osoba stojąca za tobą nie jest typem wyjątkowo wrednym, mogą ci się upiec nawet cztery takie wybiegi, jak w baseballu. Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy wszyscy postanowią zrobić sobie bazę z tego samego ogonka! Wtedy doliczają ci czas i może się okazać, że zanim dochapiesz się mortadeli, zjedzą ci chleb, po który przyszedłeś.

Nie pokazuj tego mamie, bo wyśle mi kolejny skropiony łzami list, w którym opisze, jak to sobie oczy wypłakuje, i doda jeszcze jedną przypadłość do długiej listy dolegliwości taty, które mi już opisała, a które wcale go nie męczą. Potrafię się tutaj o siebie zatroszczyć. (A jeśli to czyta, to informuję, że porządnie się odżywiam). Tak naprawdę sprawy idą w coraz lepszym kierunku. Mój rosyjski jest już na tyle dobry, że mogę uchodzić za niezbyt rozgarniętą tutejszą dziewczynę. Miasto też coraz bardziej się rozrasta i coraz szybciej unowocześnia. Przyszłość, o której wszyscy mówią, tutaj naprawdę się dzieje! Wkrótce będziemy mieli pierwszą luksusową linię metra! Piszę „my”, bo ogromna liczba mieszkańców Moskwy, włącznie z Twoją siostrą, brała udział w jego budowie podczas „subotników” czy innych dni pracy w czynnie społecznym, przekopując ziemię i kamienie, wywożąc taczkami gruz i tak dalej. Nawet jeśli to drobna pomoc, to jak wszyscy się w nią włączają, to mają poczucie, że metro należy do nich. Kiedy je wreszcie otworzą, będzie miało marmurowe kolumny, piękne oświetlenie i schody ruchome tak długie, że chłopcy będą chcieli jeździć nimi w górę i w dół cały dzień. Mam nadzieję, że przyjedziesz tu przekonać się na własne

Palce nie posłuchały rozkazu, by pisać dalej.

Okłamywanie rodziców było proste. Robiła to całe życie. Z Sidneyem jednak nie pójdzie tak łatwo. Nigdy jej nie odwiedzi. Wyobraziła sobie, jak zjeżdża tymi prowadzącymi w głąb ziemi schodami. Sama. Niekończąca się jazda. Ku wieczności.

Głęboka, izolująca cisza, w której utonęło jej ciche pochlipywanie, uzmysłowiła jej, że znów pada śnieg. Podniosła wzrok na katedralną ponurość gigantycznych okien zaczernionych atramentem nocy. W ziarnistej czerni dostrzegła drganie opadających płatków. Ile razy o poranku, widząc śnieżną pajęczynę na szybach, chciała wczłogać się z powrotem pod koc i pozwolić swemu posiniaczonemu sercu zapaść w hibernację jak cebulce żonkila.

Powiedz mi, co mam zrobić!

Usłyszała wyszeptane przez siebie słowa, ale nie wiedziała, do kogo je kieruje. Do Boga? Minęły lata, odkąd ostatni raz się modliła. Do młodszego brata? A może... Między wysokimi oknami wisiał portret. Siedziała pod wąsatym wszystkowidzącym obliczem Przywódcy od tak dawna, że prawie go już nie zauważała. Fakt, że do tej pory nie udało jej się odczuć deklarowanego przez innych bezwarunkowego oddania Józefowi Stalinowi,

wydawał się jeszcze jedną oznaką jej obcości. Czuła, że zdołałaby uciec przed swą niewypowiedzianą samotnością, gdyby tylko uwierzyła, odrzuciwszy choć część wątpliwości. I teraz, w tej lodowatej, niepokojonej wiatrem ciszy usłyszała: Wierzę tylko w jedno. W siłę ludzkiej woli.

To były słowa Stalina; w jej głowie wybrzmiały jak akt oskarżenia. Dorośnij, Florie, nakazała sobie stanowczo. A przecież uzalanie się nad sobą miało swój urok. Pojęła, chyba po raz pierwszy, jak wyjątkowe zadowolenie przynosiło upajanie się własną nędzą i jak niesmaczna była taka postawa w wydaniu innych. Może gdyby posiedziała tak dłużej, dostrzegłaby w Siergieju kogoś więcej niż kochanka, który ją odtrącił. Może przyszłoby jej do głowy, że wzgardziwszy nią, próbował dać jej szansę na ocalenie. Ale przejściowe stadium jej melancholii zakłócił nieoczekiwany dźwięk. To był zgrzyt drzwi do gabinetu Timofiejewa. Florence założyła, że wraz z pozostałymi poszedł już do domu, a tymczasem wychodził z gabinetu dopiero teraz, zapinając długi płaszcz i nasadzając na głowę czarny astrachanowy kapelusz.

Wyszarpnęła list z maszyny, ale kartka, z urywanym piskiem, dała się wyciągnąć dopiero po dłuższej chwili.

– Flora?

– Grigorij Grigoriewicz... Nie widziałam was.

– Budynek zostanie wkrótce zamknięty.

– Porządkowałam pewne... Straciłam poczucie czasu.

– Płakałaś?

– Och, nie. To po prostu ten śnieg. Jest taki... piękny.

Zatroskany, zmrużył oczy widoczne za bursztynowo zabarwionymi soczewkami.

– Jadłaś kiedyś soliankę?

Jednocześnie pokręciła głową i otarła twarz ramieniem.

– Moja żona robi najlepszą soliankę w Moskwie. Dziś jej spróbujesz, dobrze?

Mamy gości na kolacji i chciałbym, żebyś nam towarzyszyła.

– Och, nie jestem odpowiednio ubrana.

– Wyglądasz całkiem odpowiednio. Weź płaszcz.

Kamienicę, w której mieszkał Timofiejew, beżową secesyjną rezydencję na Prieczistience, obsługiwali odzwierny w liberii i staromodny windziarz, który zawiózł ich ozdobną klatką windy na najwyższe piętro. Gdy Timofiejew otworzył drzwi, w płynącym ze środka ciepłe Florence, w ciężkim futrze, zaczęła spływać potem. Stukanie jej obcasów utonęło w tkany chodniku kryjącym blask lakierowanej podłogi w przedpokoju. W salonie, do którego schodziło się po dwóch stopniach, zgromadziło się już kilkoro gości. Na eleganckiej sofie siedzieli dobrze odżywieni dżentelmeni i wysoka kobieta, której siwoblond włosy i szarawa cera nasunęły Florence skojarzenia z jakimś gatunkiem egzotycznej ćmy.

– To naturalne, że nowy teatr potrzebuje nowego, że tak powiem, wystroju – powiedział mężczyzna tonem, w którym brzmiało wyrobienie.

– Pamiętam, Max, że w zeszłym roku mówiłeś coś zupełnie innego – odezwała się ruda piękność, którą Florence uznała za młodą madame Timofiejew. Nierozczesane loki spływały jej do połowy pleców. Usta miała pełne i umalowane. Nagie ramiona okryła

jedwabnym szalem, który otulił sprężyste mięśnie. Skromne wyszywane kapcie wydawały się jedynie wzmacniać wrażenie niewymuszonej elegancji.

– Nie zmieniłem zdania, Ninoczka. Zawsze uważałem, że nasz teatr powinien unikać podejścia, że tak powiem, archeologicznego. Odgrzebywanie starych sztuk nie wnosi nic nowego.

Florence nie zdjęła jeszcze butów, gdy kudłaty pies zaczął obwąchiwać jej spódnicę.

– Przestań natychmiast, Miszka! – zawołała Ninoczka, szorstko ciągnąc psa za obrozę. – Przepraszam za tego tłustego głupka.

Przez moment Flora sądziła, że mowa o siedzącym na sofie mężczyźnie.

– Jest uroczy! Jaka to rasa?

– To kundel. Znaleźliśmy go na ulicy – odparł Timofiejew, biorąc od niej futro.

– Nigdzie na świecie nie ma takiej rasy, która odpowiadałaby rosyjskiemu psu domowemu – wtrącił siedzący na kanapie mężczyzna. – Mieszanka wszystkich najgorszych odmian. Przesypia całe dnie i całymi nocami szczeka.

Nina, zabrawszy psa do kuchni, wróciła z koniakiem.

– Grisza, nie powiedziałeś mi, że twoja Amerykanka jest taka urocza – powiedziała, po czym dokonała wylewnej prezentacji dwojga gości: Maxa, krytyka teatralnego, „absolutnego geniusza”, oraz Waldy, która, jak wyjaśniła, dopiero co wróciła z Danii, gdzie podróżowała z sowiecką delegacją po krajach skandynawskich.

– Jest pani dyplomatką? – zapytała Florence.

– Nie, nie. – Kobieta skromnie zmrużyła oczy. – Załedwie tłumaczką.

– Walda specjalizuje się w językach nordyckich. Zna ich całe mnóstwo: fiński, szwedzki, angielski, niderlandzki.

Nina mogłaby umieścić na tej liście jeszcze portugalski i baskijski, gdyby nie zniknęła znów w kuchni, gdzie zaczęła wydawać donośne polecenia starszej służącej, do której zwracała się „Olgo Iwanowna”. Florence skonstatowała, że żona Timofiejewa jak każda dobra gospodyni potrafi hojnie szafować pochlebstwami, a jednak mimowolnie, wręcz fizycznie zarażała się jej żarliwym entuzjazmem.

– Zawsze stałem na stanowisku – powiedział Max, zwracając się do Timofiejewa – że niezależnie od tego, jak wielką rolę odgrywałaby klasyka, nie zaspokoi w pełni potrzeb nowych widzów. Muszą pojawić się nowe tematy odpowiadające nowej mentalności.

– Nie mam nic przeciwko nowej mentalności, ale dlaczego adaptacje muszą być zawsze takie nudne? – przerwał mu Timofiejew. – Dlaczego akcję Hamleta trzeba umieścić w Uzbekistanie? Dlaczego sztuki Moliera muszą się toczyć w hali fabrycznej?

– Maxim, skarbie, nie ma czegoś takiego jak nowe tematy – rzekła Nina, wchodząc z kieliszkami. – Jest tylko jeden nieśmiertelny temat.

– Jaki, moja droga?

– Miłość!

– Miłość będzie zawsze przedmiotem zajmującym – powiedział Max – ale musi zostać podporządkowana bardziej złożonym kwestiom społecznym.

Walda o twarzy ómy, przysłuchująca się temu wszystkiemu z rozbawieniem, uśmiechnęła się do Florence z kanapy.

– Miłość niczemu się nie podporządkowuje! – oświadczyła Nina, nalewając sobie drinka, jak domyśliła się Florence, nie pierwszego tego wieczoru.

– Ale dlaczego nie połączyć obu tych wątków? – zasugerował Timofiejew. – Osadzić akcję Romea i Julii w kołchozie.

– Cóż za spektakularny pomysł, Grisza – rzuciła Walda.

– Na zdrowie! – wzniosła toast Nina.

Gdy zajmowali miejsca przy stole, Timofiejew nalał Florence kieliszek wina i mrugnięciem ponaglił ją do upicia łyka. Umoczywszy wargi, pierwszy raz naprawdę poczuła, że towarzystwo, w którym się znalazła, sprawia jej przyjemność. To było jak przeblysk wspomnień z dzieciństwa, kiedy pozwalano jej czasem zostawać do późna z dorosłymi, a ona odkrywała, że mimo całej egzotyki zakazanej, ciągnącej się do nocy zabawy dorośli, których znała, nie robili nic nadzwyczajnego – zwyczajnie jedli, rozmawiali i śmiali się! O ileż łatwiej było przebywać wśród tych beztrudnych, ironicznych intelektualistów, wyjątkowych ludzi nienarzekających na brak wygod, niż wśród tego wielkiego, prostego narodu rosyjskiego, soli tej ziemi, z którym musiała się codziennie użerać, jakby próbowała pokonać jakieś wrogi, stawiające opór medium.

– To kwestia rozłożenia akcentów – ciągnął Max, trzymając się uparcie tematu. – Przyjrzyjcie się naszej nowej produkcji, Zmartwychwstaniu. Nawet Tolstoj, pisząc ten dramat, nie uzmysławiał sobie tkwiącego w nim geniuszu. Wybiegł spojrzeniem poza całe to religijne moralizatorstwo i w obecnej sytuacji nie jest to już romans rozgrywający się pomiędzy służącą a bogatym łajdakiem, lecz wspaniały obraz stosunków społecznych! Obraz ucisku chłopstwa i jego ignorancji! Zepsucia arystokracji i hipokryzji Kościoła!

Słowa Florence zaskoczyły ją samą.

– Tylko ile zmian można wprowadzić do historii – zaczęła i zawahała się, gdy spojrzeli na nią wszyscy obecni – zanim Tolstoj stanie się... no cóż, zwykłą propagandą?

– Nasz gość dokonał słusznego spostrzeżenia – powiedziała Nina, patrząc na Maxa, a on zaczął odpowiadać na pytanie, nie kierując swej wypowiedzi bezpośrednio do Florence.

– Owszem, odwiedzający nas cudzoziemcy często zwracają uwagę na „propagandę” w naszym teatrze, lecz przy tym są całkowicie ślepi na propagandę we własnym. Weźmy dziewczęce chórki w Paryżu czy Nowym Jorku, wasze follies. Młode i, mógłbym dodać, już nie tak młode kobiety przez dwie godziny bez przerwy eksponują nogi i biust. Jak to nazwać, jeśli nie propagandą seksualną? Takie spektakle bojkotujemy, proponując w zamian zdrowsze sztuki.

– Mógłbyś zmienić zdanie na ten temat, Max, gdyby kiedykolwiek trafiła ci się taka sztuka – powiedział Timofiejew.

Zbywszy ten przytyk szerokim uśmiechem, Max podjął:

– Uważam, że to urocze, iż obcokrajowców tak niepokoi wpływ propagandy na sztukę, gdy tymczasem moskiewskie teatry wciąż pokazują więcej klasyki niż jakakolwiek inna stolica i robią to z większym powodzeniem. Oklaskiwany ostatnio w Londynie Czechow mógłby liczyć co najwyżej na uprzejmą tolerancję moskiewskiej publiczności.

– A skąd może pan to wiedzieć? – zapytała Florence.

– Sztukę omówiła tutejsza krytyka teatralna, a także prasa zagraniczna.

Ośmielona winem Florence uległa nagłemu impulsowi, który kazał jej zaoponować.

– Ale nie widział jej pan na własne oczy. Powtarza pan to, co przeczytał.

Na tę uwagę Max zareagował wzgardliwym, nieco zażenowanym śmiechem. Wymamrotał w odpowiedzi coś, czego Florence nie udało się całkiem zrozumieć, co miało jednak sugerować, że jej uwaga była absurdalna.

Teraz to ona poczuła się skępowana. Chciała zaimponować biesiadnikom celną ripostą, a tymczasem wywołała niezręczną ciszę przy stole. W końcu przerwał ją Timofiejew.

– Floro, przecież to ty w pierwszej kolejności, pracując dla naszego wydziału walut zagranicznych, powinnaś się orientować, że każdy obywatel wyjeżdżający za granicę jest bezpośrednim obciążeniem dla kraju. Potrzebuje dewiz, które w innych okolicznościach mogłyby zostać wykorzystane na zakup towarów importowanych potrzebnych społeczeństwu. Naturalnie nasz rząd nie może pozwolić na to, by każdy obywatel ot tak podróżował sobie za granicę, o ile wydane na niego pieniądze nie przynoszą stosownego zwrotu...

– Grigoriju Grigoriewiczu, nie chciałam insynuować...

– Rząd z radością zezwoliłby wszystkim miłośnikom teatru na wyjazdy do Londynu na spektakle, ale abstrahując od kosztów, każdy obywatel Związku Radzieckiego w kraju kapitalistycznym jest, jak wiesz, narażony na manipulacje, w wyniku których może stać się przyczyną incydentu dyplomatycznego...

– Przestań prawić kazania tej nieszczęsnej dziewczynie, Grigoriewicz – powiedziała Nina, podnosząc się z krzesła. – Ona nie miała nic takiego na myśli. Cała ta rozmowa robi się zbyt skomplikowana na nasze babskie mózdzki. Chodź, Floroczko, pomożesz mi w kuchni.

Florence przeprosiła i wstała od stołu, ale jej ulga ustąpiła miejsca zaskoczeniu, gdy poprowadzono ją nie do kuchni, częściowo zasłoniętej potężnymi plecami Olgi Iwanowny, ale dalej korytarzem, do sypialni. Żyrandol pod sufitem oświetlił łożo nakryte satynową kremową narzutą i ozdobione frędzlami abażury. Na środku pokoju stała toaletka z lustrem, a na niej kolekcja wykwintnych flakoników z perfumami i słoiczków z kremami, jakich Florence nie widziała w żadnym sklepie.

– Nie miej do siebie pretensji o Maxa – powiedziała Nina, wyjmując z toaletki brązowy kluczyk. – Jest geniuszem, to oczywiste... Geniuszem płynięcia z dowolnym aktualnym prądem. Raz na jakiś czas warto odrobinę przytrzeć mu nosa.

– Nie chciałam powiedzieć nic nieprzyjemnego...

– Nie musisz przeproszać, skarbie, ale pozwól, że udzielę ci pewnej rady. – Nina stała przed przepastną dębową szafą, otwierając ją kluczykiem. – Mówię to tylko dlatego, że twój rosyjski, choć oczywiście bardzo dobry, ogólnie rzecz biorąc... No, w każdym razie nie chciałabym, żebyś potknęła się na pewnych niuansach etykiety.

W sypialni było ciepło i duszno, lecz to nie dlatego Florence zrobiło się nagle za gorąco. Dotarło do niej, że przez tę swoją niewyparzoną gębę może nie dostać następnego zaproszenia do ożywionego salonu Timofiejewów.

– Szczerze mówiąc, wolałabym nie poruszać w tym mieszkaniu tematów politycznych – powiedziała Nina, otworzywszy drzwi szafy. – Kimże w końcu jesteście, by sądzić, że możemy sobie wyobrazić, co właściwie dzieje się na górze? Mam rację? Niech już tam partia rozstrzyga to wszystko za nas, żebyśmy mogli zająć się kwestiami bardziej życiowymi.

Nachyliła się do lustra na wewnętrznych drzwiach szafy i pociągnęła usta szminką, jakby chcąc zademonstrować, jakimi to bardziej życiowymi kwestiami wolałaby się zajmować. I właśnie wtedy ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – zaśpiewała Nina, nie odrywając oczu od swojego odbicia.

Drzwi się otworzyły i do środka weszła na paluszkach Walda.

– Musiałam uciec przed tą fanfaronadą.

– Ależ oczywiście.

Florence dostrzegła teraz, że Walda trzyma w ręce niedużą walizkę.

– Mam z tym wrócić później? – zapytała niepewnie.

– Nie, chciałabym, żeby Flora też rzuciła okiem. Zobaczmy, jakie tu mamy dobra.

Walda otworzyła walizkę i zaczęła rozkładać na łóżku bluzki, sukienki, rękawiczki i kapelusze. Przykładając jeden z ciuszków do swego szczupłego ciała, Nina zawirowała i zwróciła się do Florence:

– Czy właśnie to noszą w Nowym Jorku?

– Naprawdę trudno mi powiedzieć.

Nina zmarszczyła brwi. Nie takiej oczekiwała odpowiedzi. Wyraz jej twarzy sugerował, że Florence powinna nauczyć się przynajmniej odgrywać wykwintną cudzoziemkę, nawet jeśli nią nie jest.

– To z Finlandii – powiedziała Walda, jakby stanowiło to wystarczające poręczenie jakości i stylu. – Patrzcie, ma suwak, jak sukienki Elsy Schiaparelli.

– No nie wiem.

Nina na różne sposoby przykładała sukienkę do figury.

I nagle, tak po prostu, Florence zrozumiała, co się tu rozgrywa. Ależ była głupia! Walda i Nina nie bawiły się w przebieranki, lecz negocjowały. Walda, wróciwszy właśnie z zagranicznych wojaży dla dobra swego narodu, przysparzała teraz współobywatelom innych korzyści społecznych, odświeżając importowaną garderobę Niny.

– Jest ładna, ale jak na Nowy Jork odrobinę za wąska w talii – usłyszała Florence własne słowa wypowiedane z tą nutą pewności siebie, której od niej oczekiwano. – Nosimy troszkę luźniejsze sukienki, o takie.

– Można popuścić – pospiesznie zapewniła Walda.

– No dobrze, poproszę moją krawcową, żeby na to zerknęła. Ile za nią chcesz?

– Och, to możemy ustalić później – odparła Walda.

– Jak sobie życzysz. – Nina zniosła sukienkę do szafy i wróciła z ozdobioną frędzlami czarną chustą w karminowe róże. – A tak – powiedziała, zawiązując Florence pod brodą chustę z lekkiej wełny – ubieramy się w Moskwie. Zachowaj to sobie na zawsze, skarbie.

Było już po jedenastej, gdy Florence wyszła z mieszkania Timofiejewów. Kunsztowne zdobienia kutej bramy, którą otworzył przed nią odźwierny, przyprószył

śnieg. Mimo przesywającego, pozbawionego zapachów zimna Florence promieniała szczęściem, rozgrzana winem. Nie była już Florie z Flatbush. Nie była już porzuconą przez kochanka włóczęgą. Zniknęła jakaś niewidzialna bariera dzieląca ją od tego miasta. W przytulnej oazie salonu Timofiejewa ogarnęło ją to poczucie wyjątkowości i przynależności, którego skąpiło jej dawne życie na Brooklynie. Aby uzyskać do niego wstęp, musiała jedynie odgrywać wymaganą od niej rolę kosmopolitki. Nawet jej gafę przy stole puszczono w niepamięć jako zwykłe faux pas. W przyszłości będzie uważniejsza. Jakże niepotrzebne były te wylane kilka godzin wcześniej łzy, jakże iluzoryczne to poczucie osamotnienia. Wystarczyło uciszyć wątpliwości, a życie gotowe było otworzyć przed nią swe podwoje.

Gdzieś w głębi jej serca – mniej ateistycznego, niż Florence skłonna byłaby przyznać – czaiła się pewność, że oto zanieciona w biurze modlitwa została natychmiast wysłuchana. Lecz kto jej wysłuchał: Timofiejew, Stalin czy Bóg? W alkoholowym upojeniu ta trójka jakimś cudem zlała się w jedną osobę boską o trzech tak różnych obliczach. Trójca święta. Na gencjanowym niebie kołysały się kable telefoniczne ozdobione włochatymi soplami pobrzękującymi na wietrze jak dzwonki. Miała prawie dwadzieścia pięć lat, a nigdy wcześniej nie widziała niczego tak cudownego. Wystawiła język i poczuła na nim smak płatka śniegu. Była pewna, że jeśli tylko podda się szczęściu, będzie ono trwać wiecznie.



Przerazające jest uzmysłowienie sobie, ile niewiary wymaga istnienie wiary. To, co znamy jako ślepą wiarę, podtrzymywane jest nieprzeliczonymi aktami niewiary.

– Eric Hoffer

Skopiowałem sobie ten cytat do pliku na laptopie. Natrafiłem na niego kilka lat wcześniej w książce *The True Believer*, czyli „Prawdziwy wyznawca”, którą zostawiła dla mnie córka. Czytała to na zajęciach na uczelni i sprezentowała mi jako piekielnie potrzebne uzupełnienie tego, co jest według niej moją trójcą świętą białych staruchów: Clancy’ego, Grishama i Dershowitza. Otworzywszy wreszcie Hoffer’a, aż się wzdrygnąłem, gdy dotarło do mnie znaczenie powyższych słów i tego, co było dalej:

Wszystkie czynne ruchy masowe walczą więc o to, by umieścić nieprzepuszczający faktów ekran pomiędzy rzeczywistością a swymi wyznawcami. (...) To właśnie zdolność prawdziwego wyznawcy do „zamykania oczu i zatykania uszu” na fakty niezasługujące na to, by je zobaczyć czy usłyszeć, jest źródłem jego niezrównanej lojalności i hartu ducha. Nie przerazi go zagrożenie, nie zniechęcą przeszkody, nie zachwieją nim sprzeczności, bo zaprzecza ich istnieniu.

To była ona. A ja sobie przez te wszystkie lata wyobrażałem, że to mnie jednemu ciążyły „nieprzeliczone akty niewiary”, z których wymurowana była piramida niedających się podważyć przekonań mojej matki.

Nie usprawiedliwiała jej nawet członkostwo w partii. Dumna była z tego, że mimo dziesięcioleci spędzonych w Związku Radzieckim nigdy nie nosiła legitymacji partyjnej (choć w Rosji wstąpienie do partii nie było tak proste ani automatyczne, jak sobie wielu wyobrażało, a już na pewno nie dla cudzoziemców). Nie była przez to jednak ani odrobinę mniej ślepo oddana Wielkiej Idei. Oddała się jej nawet mocniej niż legiony legitymujących się przynależnością do partii stalinistów i trockistów, którzy pozostali w Nowym Jorku, by przez kolejne czterdzieści lat werbalnie okładać się po głowach. Wszyscy ci niechlujni, aż do połowy lat siedemdziesiątych nieodzywający się do siebie (dla zasady!) czerwoni byli, co tu dużo gadać, mocni tylko w gębie. Matki nie interesowały ich akademickie dyskusje. Ponad całą tą gadaniną chciała przeskoczyć prosto ku przeszłości.

Nigdy mnie nie dziwiło, że pojechała do Rosji, zastanawiałem się jednak często, dlaczego w niej została, co było przecież kwestią zupełnie odrębną. Jakie (a raczej czyje) zakłęcie sprawiło, że ten bezbarwny krajobraz przeobraził się w jej oczach w jedną

z żywych, proletariackich, wielobarwnych mozaik zdobiących nadal to kupieckie miasto?

We wspomnieniach matki z okresu tuż po przyjeździe na pierwszy plan wybija się jedna osoba: mężczyzna o nazwisku Timofiejew, jej szef w Banku Państwowym ZSRR. (Przez całe życie matka miała niewiele przyjaciółek i chyba wolała odgrywać rolę nieporadnej, nieobyczej w świecie kobietki przy boku starszych panów w określonym typie). Nie mam powodu przypuszczać, by doszło między nimi do czegoś niestosownego. Jak wynikało z jej opowieści, Grigorij Grigoriewicz Timofiejew był żonaty z szesnaście lat młodszą od niego aktorką teatralną, gruzińską księżniczką z Tbilisi, której zamiłowanie do luksusu stawiało go często w kłopotliwym położeniu. W relacji mamy jedną z cnót Timofiejewa było to, że nawet w towarzystwie nigdy nie pił nic mocniejszego od gruzińskiej wody mineralnej, który to zwyczaj przejął od swych przodków starowierców – rosyjskiego odpowiednika amerykańskich kwaków: kupców, kapitalistów i opozycjonistów, którzy potajemnie walczyli z samowładztwem caratu, oferując zbiegłym chłopom pańszczyźnianym schronienie i pracę w fabrykach.

Kiedy Florence poznała Timofiejewa, to, co pozostało z religijnych rygorów i kupieckiego ducha przodków, przybrało bardziej ograniczoną postać bezwzględnej trzeźwości i energicznej pogoni za socjalistyczną efektywnością. Jestem przekonany, że to właśnie swada, z jaką Timofiejew potrafił rozprawiać o tej ostatniej, przekonała matkę o niepodważalnej racjonalności radzieckiego systemu. Zapytałem ją kiedyś, co pomyślała po przyjeździe o całkowitym ograniczeniu wolności prasy. „Przecież musiałeś zauważyć, że gazety nie podają żadnych prawdziwych informacji – powiedziałem. – Nie wydawało ci się dziwne, że w gazetach nie ma rubryk z komentarzami? Dowcipów rysunkowych? Krzyżówek? Nie przyszło ci do głowy, że wszystkie te oficjalne obwieszczenia i statystyki są ciut za mocno naciągane?”

I co mi odpowiedziała? „No wiesz, Timofiejew często powtarzał, że to bzdura, że niby zagraniczne czasopisma są w ZSRR zakazane. Były jak cała reszta towarów luksusowych – importowanie ich oznaczałoby, że rząd musiałby za nie zapłacić. I owszem, rosyjska prasa państwowa bywała często nudna, no wielka szkoda, ale... musisz docenić, ile w tym kraju udało się już zrobić od czasu rewolucji. Jaki pożytek mieliby ludzie ze wszystkich tych dyskusji w gazetach? Większość z nich podpisywała się nadal krzyżkami”. Pamiętam, że powtarzała to cierpliwie niczym nauczyciel gapowatemu uczniowi, jak być może powtarzał jej samej Timofiejew. „Niemowląt nie karmi się przecież twardymi kotletami, prawda? Zwycięstwem był już sam fakt, że w ogóle czytali gazety”.

Podejrzewam, że fragment o niemowlętach, dla których mięso trzeba najpierw przeżuć, jest dosłownym cytatem. Mama wydawała się bardzo przywiązana do tego wyjaśnienia jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych, jak kaczątko, które uznawszy but gospodarza za swoją matkę, ślepo mu ufa nawet wtedy, gdy ten but miażdży mu kręgosłup.

Mogę sobie wyobrazić te wieczorne spacerunki na początku zimy, które matka i jej mentor odbywali z biura na ulicy Nieglinnej do jego domu na Prieczistience, gdzie madame Timofiejew podejmowała w salonie gości. O tej godzinie nieskazitelna szara uroda Moskwy osiąga apogeum. Oczyma duszy widzę warstewkę oleju, lśniącego niczym

macica perłowa na powierzchni rzeki. Mijają potężne fundamenty niewzniesionego jeszcze kamiennego mostu. Florence od ponad dwóch tygodni obserwuje pracujących na budowie mężczyzn. Teraz widzi, że prace zostały porzucone, a robotnicy z taczkami przenieśli się osiemdziesiąt metrów w dół rzeki, by robić wykop pod kolejne fundamenty. Pyta Timofiejewa, czy to możliwe, że budują drugi most tak blisko pierwszego?

Wprawne oko dostrzeże bez trudu, co się wydarzyło: zakręt rzeki uniemożliwił połączenie pierwotnie planowanego mostu z ulicą po drugiej stronie. Typowo sowiecki błąd na rysunku, wynikający ze zwykłej niechlujności, lekceważony tak długo, aż zrobiło się za późno. Ale Timofiejew, poprawiając astrachański kapelusz, kwituje jej pytanie śmiechem. „Moja droga Floroczko, jeśli kiedykolwiek masz się stać prawdziwą kobietą radziecką, musisz najpierw zrozumieć, że wielki naród rosyjski jest narodem maksymalistów. Nasza ambicja przypomina miłość: nie cierpi zwłoki i rywali. Zbudowaliśmy największy samolot wojskowy świata, który rozbił się przy pierwszym locie. Zbudowaliśmy jednak inne, równie wielkie, i te wciąż latają. Rzuciliśmy wyzwanie Francji i skonstruowaliśmy niezrównany balon stratosferyczny, ale nie potrafiliśmy unieść go w powietrze. Spróbowaliśmy jeszcze raz i pobiliśmy wszystkie rekordy świata!”

To nie były próżne przechwałki. Już wówczas zaszczepiał w mojej matce tę kluczową sowiecką zdolność postrzegania życia nie takim, jakim ono jest, ale takim, jakim się staje. A jeszcze lepiej: jakim powinno się stać. Wszystko, przez co przechodzą, jest zarodkiem czegoś innego. Grząski przepust zawałony śmieciami mocą słów przeobraża się w przyszły akwedukt. Kwartał wyburzonych domów, których mieszkańców usunięto siłą, nie jest zasypaną gruzem parcelą, lecz Pałacem Ludowym – w budowie. W umyśle matki przyszłość i teraźniejszość już teraz harmonijnie się ze sobą stapiają.

Nie przewiduje eksplozji, która za moment je rozerwie.



Zima 1934 roku była monotonnie śnieżna, więc trudno winić Florence za przeoczenie gwałtownych i nieprzewidywalnych wahań na politycznym barometrze. Wszedłszy rankiem drugiego grudnia do swego biura w Gosbanku, poczuła się nagle jak w domu pogrzebowym. Nad wszystkimi biurkami unosiły się ciężkie opary żałoby i niepokoju. Łzy rachmistrzów ciężkimi kroplami spadały na gigantyczne księgi rachunkowe. W pierwszej chwili Florence poczuła się zakłopotana.

– Co się stało? – zapytała, odwracając się do siedzącego obok urzędnika.

– Na litość boską, nie słuchasz radia? – Było to nie tyle pytanie, ile oskarżenie.

Tak naprawdę Florence słuchała radia bezustannie. Radiodbiorniki w moskiewskich mieszkaniach, podobnie jak megafony na moskiewskich ulicach, były urządzeniami, w których producent nie przewidział wyłącznika. Już miesiąc po przyjeździe do Rosji prawie całkiem przestała zwracać uwagę na trzeszczące komunikaty płynące od rana do wieczora z odbiornika stojącego we wspólnej kuchni. Nie była jedyną aspirującą do miana kobiety radzieckiej osobą, która opanowała dar słuchania i niesłyszania. Ale przegapić wiadomość o „zbrodni stulecia”?

Najzwyczajniej w świecie zasnęła. Wypadłszy z domu na przystanek tramwajowy bez zaglądania do kuchni choćby po to, by ugotować sobie jajko, nie zauważyła sąsiadów z komunałki pochylonych nad odbierającym na falach długich odbiornikiem w kształcie nagrobka, który właśnie w tym momencie nadawał z namaszczeniem mowę pochwalną.

Teraz jej kolega z biura powiedział:

– Gdzieś ty była, dziewczyno? Zabili Siergieja Kirowa!

– Kto go zabił? – zapytała Florence z niepokojem, pod którym miała nadzieję ukryć pytanie zbyt żenujące, by je zadać: kim był Siergiej Kirow?

Dla tych niezaznajomionych z mordami politycznymi Matuszki Rossiji: zabójstwo Siergieja Kirowa, pierwszego sekretarza komitetu leningradzkiego, zabójstwo porównywalne do zamachu na JFK, spowite nieprzeniknioną mgłą sprzecznych zeznań i zebranych na miejscu dowodów, dało asumpt do tysięcy teorii spiskowych, w dużym stopniu przypominając sprawę Kennedy’ego (włącznie z samotnym strzelcem, który został niemal natychmiast zabity). Należy też wspomnieć o podobieństwie postaci samego Kirowa do JFK pod względem wyglądu i charyzmy. Jego rosnąca popularność polityczna mogła wkrótce przyćmić Wielkiego Przywódcę. No bo sami oceńcie: po jednej stronie przystojny, postawny Słowianin, po drugiej ospowaty mieszkaniec Kaukazu; tu leningradczyk: dynamiczny i towarzyski lider, tam Osetyjczyk: odludek, paranoik i socjopata, który trzymał towarzyszy z Politbiura do świtu o czystej wódce, samemu

popijając tylko wodę.

– Cholerni rzeźnicy! – odezwała się księgowa z drugiego końca sali. – Jak ziemia może rodzić takich łajdaków!

Ale skąd ta liczba mnoga? – zastanowiła się Florence. Czyż nie ujęto zabójcy? Odpowiedź zdawała się oferować gazeta w ręku księgowej.

– „Podwójni agenci, nędzne kanalie – podjęła, nie wyrażając już własnego obrzydzenia, lecz po prostu czytając na głos z rozłożonej na jej biurku «Prawdy» – zaprzysięgli wrogowie socjalizmu, podnieśli rękę nie na jednego człowieka, lecz na całą rewolucję proletariacką. Lud pracujący domaga się jednym głosem kary dla zabójców!”.

Wiadomość o morderstwie rozogniła całą salę i połączyła wszystkich w podnieconą, posępną wspólnotę. Jakby wokół Florence rozgrywało się jakieś wielkie przesłuchanie: chór starannie wyselekcjonowany do Króla Edypa. Ale kto dokonał wyboru? I wtedy właśnie nasza bohaterka dostrzegła niezauważoną wcześniej postać, kobietę w zapiętej pod samą szyję białej bluzce tak ciasno opinającej okazały biust, jakby to była uprząż spadochroniarza.

– Wystarczy tego guzdrania się, towarzysze – zakomenderowała spadochroniarka i na ten rozkaz pracownicy rozbiegli się do biur. Wszystkim z wyjątkiem Florence tożsamość tej kobiety nadzorującej komitet partyjny banku była doskonale znana. – Starczy tego chlupania – skarciła dziewczynę, która wciąż zażawionymi oczyma czytała gazetę. – Bierzcie się do pracy.

Florence wzięła to za dobrą monetę i zapukała jak co rano do gabinetu Timofiejewa. Zastukawszy kilkakrotnie, nacisnęła klamkę. Pojęła swój błąd, gdy tylko spoczęły na niej zaczerwienione oczy szefa.

– Czego chcesz? – zapytał krótko, wręcz obcesowo.

Brodę miał w nieładzie, łagodne zwykle spojrzenie wprost oszalałe ze wzburzenia.

– Przyszły raporty na temat rynków srebra – obwieściła niemądrze, wskazując na trzymaną pod pachą teczkę.

Właśnie w tym momencie za skrzydłem otwartych drzwi, poza polem widzenia Florence, plecy szerokie jak grzbiet nosorożca, przyobleczone w gruby pancerz czarnej skóry, obróciły się powoli, by ich właściciel mógł obejrzeć intruza. Trzymając w ręku jedną z książek Timofiejewa, mężczyzna w skórzanym płaszczu zlustrował Florence spojrzeniem, które nie było niemiłe. Florence dopiero niedawno zaczęła pojmować znaczenie skózanego okrycia w radzieckim życiu. Sięgający za kolana skórzany płaszcz, pierwszy i prawdopodobnie jedyny wkład komunizmu w światową modę (pomijając prześwietny kołnierz Mao), symbol nieugiętości proletariusza i rewolucyjnej męskości, noszony był początkowo przez bolszewickich obrońców klasy pracującej, po czym stał się ulubionym strojem tajnej policji. Obezwładniającego wpływu płaszcza nie łagodziło nawet to, że w tym momencie nad jego kołnierzem widoczna była napuchła, zaniedbana twarz mężczyzny w średnim wieku.

– Czy waszym zdaniem to odpowiednia chwila, towarzysko Fein? – zapytał Timofiejew.

– Proszę mi wybaczyć.

– Następnym razem pukajcie.

Ale przecież zapukała! Wracając do biurka, czuła się jak kościelny dzwon, za który gwałtownie szarpnięto. Gdy usiadła, broda i dłonie wciąż trzęsły się jej z upokorzenia.

Nie przyszło jej do głowy, że być może jej szef i mentor nie chce w obecności czekisty sprawiać wrażenia człowieka zbyt zaprzyjaźnionego z pracującą dla niego cudzoziemką. Gdyby zajrzała do porannej „Prawdy”, być może dostrzegłaby, że do jednego worka z „nędznymi kanaliami i zaprzysięgłymi wrogami socjalizmu” wrzucono „zakamuflowanych wrogów na żołdzie obcego wywiadu”. A tymczasem, nie pojmując, co zrobiła źle, oparła policzek na pokrywie maszyny do pisania i rozplakała się cichutko. Jej rozpacz nie mogłaby lepiej wpisać się w tę sytuację.

– Nu, nu... – Ktoś stanął za nią i poklepał ją po ramieniu. Ocierając łzy z oczu, Florence odwróciła się i zobaczyła, że to kierowniczka biura. – Łzy nie wskrzeszą nawet świętych, moja droga – powiedziała kobieta. A potem, wciąż tonem pocieszenia, dodała: – Teraz wreszcie na dobre pozbędą się tych szkodników. I wtedy to oni będą płakać.

Florence przypomniał sobie to proroctwo trzy tygodnie później, stłoczona w jednej sali z pozostałymi pracownikami w biurowych trzewiach banku. Mała aula nabrzmiewa ciepłem zimowego potu wielu ciał. Tylko jedno skrzydło okienne pozostawiono otwarte na oścież; poranny wietrzyk wprawia w drżenie liście trzech ogromnych fikusów przycupniętych na parapecie. *Ficus elastica*, powszechnie znany pod nazwą figowca sprężystego, we wczesnych latach rewolucji nienawistny symbol drobnomieszczańskiego domatorstwa, obecnie zrehabilitowany przez wszechmocny proletariatus. Żadna inna roślina, jak się okazuje, nie rośnie tak bujnie i soczyście w zatęchłym ciepłe grzejników radzieckich sal obrad. Na tym tropikalnym tle pojawiają się niczym głowy plemiennej starszyny twarze członków bankowego komitetu partyjnego i komitetu WKP(b). Na przeciwległej ścianie wisi flaga z czarnym kirem.

W trakcie ostatnich tygodni nagłówki atakują jeden po drugim z taką siłą, że nie uchodzą nawet uwadze Florence. W ciągu tygodnia od zabójstwa aresztowano i stracono łącznie stu trzech białogwardzistów. Ich nazwisk nie podano do wiadomości publicznej, ujawniając jedynie, że przekradli się do Związku Radzieckiego przez Łotwę, Finlandię, Polskę i Turcję w celu zamordowania Kirowa i innych przywódców. Nieco później aresztowano również Grigorija Zinowjewa, starego rewolucjonistę i towarzysza broni Lenina; jego wina została już stwierdzona, choć od procesu dzielą go jeszcze dwa tygodnie. A to dopiero początek listy. W ciągu dwóch lat liczba zamieszanych w zabójstwo jednego tylko człowieka wzrośnie tak, że znajdzie się wśród nich miejsce dla stu czterech leningradzkich kontrewolucjonistów, siedemdziesięciu ośmiu konspiratorów „moskiewskiego centrum” (które przeobrazi się w nikczemne „trockistowsko-zinowjewowskie centrum terrorystyczne”), dwunastu leningradzkich czekistów – i nie tylko. Śmierć Kirowa stanie się niewyczerpanym źródłem nowych wrogów aż do roku 1941, kiedy jej płodność zostanie tymczasowo zakłócona wybuchem wojny.

Ale powróćmy do auli z jej zrehabilitowanymi fikusami. Przecież skoro ideologicznie niepoprawne figowce można ocalić od drobnomieszczańskiej wulgarności, to ta młoda kobieta poddawana dziś osądowi również może odkupić swoje winy w oczach współpracowników. Ze swego miejsca Florence dostrzega tylko podrygujący kok

stenografistki zapisującej zarzuty.

– Wsteczność.

– Przytępiona czujność polityczna.

– Niezerwanie kontaktów.

– Ale jak? – pyta rudowłosa dziewczyna drżącym głosem. – Jak miałam zerwać kontakty? Przecież on jest moim ojcem.

To nie jest pytanie retoryczne. Jej małe oczka prześlizgują się po zgromadzonych, jakby ktoś naprawdę mógł podsunąć prawidłową odpowiedź. Na widok desperacji w jej oczach Florence przechodzi zimny dreszcz.

Dziewczyna, jak się okazuje, jest córką jednego z „zinowjewczyków”. Florence pierwszy raz słyszy, że Zinowjew i Kamieniew byli wiele lat temu członkami opozycji politycznej.

– Doprawdy, zaskakujecie mnie, Gołubcowa – mówi kobieta, w której Florence rozpoznaje spadochroniarkę z imponującym biustem. W jej tonie nie ma nic wojowniczego. Przeciwnie, pobrzmiwa w nim niemal radość. – Kiedy ujawniono nazwiska aresztowanych spiskowców, nie przyszłście do komitetu poinformować o swoich powiązaniach z wrogami.

– Sama w to wszystko nie mogłam uwierzyć.

– Nie wierzyliście, że byli winni? – pyta mężczyzna na końcu stołu.

– Nie... Tak.

– Sądziliście, że partia zgarnia ludzi za nic?

– Ja... byłam zdezorientowana.

– Ale nie na tyle zdezorientowana – podejmuje kobieta – żeby nie skontaktować się ze starymi przyjaciółmi w Leningradzie i nie dopilnować, żeby wasze nazwisko nie znalazło się na żadnej liście działaczy Instytutu Smolnego.

– Cztery lata temu odpowiadałam tam za organizację, ale od tego czasu mieszkam tutaj.

– A jednak przez cały swój pobyt tutaj nie zadzwoniliście nigdy do nikogo w Leningradzie z prośbą, by usunął wasze nazwisko ze wszystkich list... Jak to wyjaśnicie?

– Wyznaję absolutnie szczerze, nie miałam pojęcia o jakichkolwiek intrygach zasugerowanych mi przez...

– Co macie na myśli, mówiąc „zasugerowanych przez”? – pyta jakiś inny mężczyzna. – Uparcie, mimo całej masy dowodów, odmawiacie zadenuncjowania terrorystów.

Lecz przewodnicząca spotkaniu kobieta unosi dłoń, by uprzejmie go uciszyć.

– Czy wiedzieliście, czy nie, nie ma dla sprawy znaczenia. Zamiast natychmiast zgłosić wszystkie swoje powiązania, zaczęliście knuć, jakby tu kryć własne plecy, zgłaszając się po pomoc do wuja...

– To on mi to podsunął, i to tylko dlatego, że nie byłam już członkiem...

– Nikogo tu nie interesuje wasze alibi – odzywa się mężczyzna z końca.

Florence wciąż nie pojmuje, do czego dziewczyna miałyby się właściwie przyznać, chociaż jest już jasne, że gdyby nawet przedstawiła jakieś nowe zeznania, sąd natychmiast

odrzućliby je jako niewystarczające i nieszczerze. Przez ostatnie dwa tygodnie Florence próbowała zrozumieć lawinę demaskacji w gazetach, ale wciąż nie potrafi sobie poradzić z uporczywie powracającym paradoksem: liczba czekających w odwodzie potencjalnych winowajców wydaje się po prostu zbyt wielka. Skoro Kirowa zabił białogwardziści, to przecież „zinowjeczycy” są poza podejrzeniami. I odwrotnie. Matematyczna część jej inteligencji uporczywie przeprowadza coś, co uznaje się tu za heretycką logikę eliminacji. Florence zastanawia się, co sądzić o partii, skoro w sprawę zaangażowani byli wszyscy ci bolszewicy: członkowie Komitetu Centralnego. Czy nie mieli innej możliwości wypowiedzenia się, że musieli się uciec do morderstwa? Marzy o tym, by omówić te sprawy z Timofiejewem, ale jej szef ostatnio szorstko ją od siebie odsuwa. Poświęca całe dnie na spotkania, a Florence przekonuje się, że wystarczających trudności nastęrcza jej wyjaśnienie jego coraz bardziej zagmatwanych, dyktowanych każdego ranka tekstów, więc co tu mówić o rozwikływaniu zagadnień politycznych. I nagle słyszy w głowie głos Niny, żony Timofiejewa: „Kimże w końcu jesteśmy, by sądzić, że możemy sobie wyobrazić, co właściwie dzieje się na górze?”. Wraca myślami do tej odpowiedzi, jakby sięgała po amulet. Ogromną pociechę przynosi jej przypominanie sobie, że nie zna – i nie może znać – odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie jest członkiem partii. Nie jest nawet Rosjanką. Powtarza sobie tę mantrę, by odpędzić wyrzuty sumienia, które mogłaby nieopatrnie poczuć, nie stając w obronie nieszczęsnej dziewczyny na podwyższeniu. Doprawdy, cóż mogła zrobić poza obserwowaniem, jak zarzyna się na ołtarzu ofiarnym rudowłosa nieszczęśnicę? Jeden niewłaściwy ruch i to Florence mogłaby kłaść głowę na pieńku.

Jej milczenie jest przejawem zbiorowej niemoty, która opanowała cały kraj. W 1934 roku w Związku Radzieckim zbrodnie w afekcie już niemal się nie zdarzają. Podobnie wypadki, przestępcze niedopełnienie obowiązków i wszelkie działania popełniane w zbawiennym cieniu oportunistów. Wszelkie wykroczenia, o których pisze prasa, są przejawem działania w zмовie.

Wypadki przemysłowe? Sabotażyści!

Niezrealizowanie planu produkcyjnego? Sabotażyści!

Morderstwa i, owszem, nawet gwałty – wszystko to partyzanckie podchody w wojnie przeciwko klasie pracującej. Przeoczony nagłówek na ostatniej stronie dziennika „Izwestia” ledwie tydzień przed sprawą Kirowa głosi: „Młoda pionierka zawleczona siłą i zhańbiona na polu pszenicy”. Kim byli napastnicy? Kułakami!

Pozostaje pytanie: czy kula, która przebiła kark Kirowa, a w dalszej kolejności, w sensie metaforycznym, czaszki wielu, wielu innych, uczyniła choćby niewielki wyłom w murze podziwu Florence dla wybranego przez nią kraju? Wszystkie dowody zdają się przemawiać za tym, że wydarzenia, do których doszło zimą 1934 roku, nie doprowadziły jej do jakichkolwiek trwałych wniosków na temat systemu sowieckiego. A może to wszystko było znacznie prostsze? Tamtego roku w grudniu uwagę Florence zaprzętały całkiem inne sprawy: znów się zakochała.

Wedle tego, jak Leon Brink odmalował swoje dzieciństwo grupie przyjaciół, świadomość rewolucyjną zaszczepiono mu już w łonie matki. To właśnie ta uparta, pomyłona kobieta „przeciągnęła go za uszy”; ojca nie było. Odkąd skończył trzy lata,

kiedy inni żydowscy chłopcy z okolicy zaczęli uczęszczać do chederu, on zabierany był na strajki i demonstracje, gdzie pozostawiano go, by czekał w rozwrzeszczanej, stłoczonej na chodniku ciżbie, podczas gdy jego matka okładała łamistrajków obciążoną ołowiem parasolką i kłuła ich zastrzonymi szpilkami do włosów. Batia Brink, robotnica z zakładów przędzalniczych i zwolenniczka Clary Lemlich, wychowywała swego syna na diecie pogardy dla gospodarczej tyranii, która – jak powtarzała z upodobaniem – gotowała się w kotłach kapitalizmu i wypływała na powierzchnię jak szumowiny.

Jej wrogość wobec kapitalizmu była produktem unikalnie amerykańskim, lecz korzenie nienawiści do religii sięgały młodości spędzonej w Polsce, znajdującej się wówczas pod zaborem rosyjskim. Jako dziewiętnastolatka wyszła za biednego, lecz błyskotliwego młodego człowieka, który jako jedynak mógł się wywinąć od poboru. Rok później wszystkie wyjątki cofnięto. Obawiając się śmierci młodego męża w służbie cara Mikołaja, Batia sprzedała wszystko i wysłała go do Ameryki. W pierwszych listach pisał, że trudno mu znaleźć pracę i nie może jej nic wysłać na życie. Cierpiała, czytając jego listy, cierpiała jeszcze bardziej, gdy miesiące mijały bez jednego słowa. Wyglądało na to, że mąż nie zamierza opłacić jej drogi za ocean, choć ona opłaciła ją jemu. Po jakimś czasie udała się do rabina błagać, by napisał do jej męża do Nowego Jorku z prośbą, by zgodził się dać jej list rozwodowy, którego nie mogła sobie wręczyć sama. Tymczasem rabin polecił jej krewnym zebrać dla niej pieniądze i wsadzić ją na statek do Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku odszukała męża i przez krótki czas żyli razem w wynajmowanym pokoju, gdzie, słowami Leona, „wypełnił ją po brzegi nasieniem”, po czym znów zniknął, tym razem wybrawszy się na Zachód i zostawiwszy ją z długami u rzeźnika i w sklepie spożywczym. Od tamtego dnia Batia, pracując w dusznych halach po sześć, siedem dni w tygodniu, by ubrać i nakarmić swe jedyne dziecko, nigdy nie przestała wyrzekać na tchórzostwo mężczyzn i hipokryzję „rabinicznych namiestników”, których władza unicestwiła jej niewinność. Jej fanatyczna pogarda, komicznie odmalowywana przez Leona, który z nieodmiennym zapałem rozbawiał nią publiczność, wydała się Florence tak odmienna od łagodnego ateizmu jej ojca, że sama w sobie sprawiała wrażenie jakiejś egzotycznej wiary. Bo cóż innego, jeśli nie żarliwa pobożność, mogło wyjaśniać smakowite uczyty z czterech dań, które ledwie wiążąca koniec z końcem matka Leona wydawała raz do roku w Jom Kippur, w dniu postu, by zgorszyć i wyszydzić swych pobożnych sąsiadów?

Leon Brink miał naturalny dar przeobrażania swojego życia w coś w rodzaju wodewilu, a może nawet mitu. Był to talent nie tak znów rzadki wśród pewnego rodzaju zbuntowanych wyrzutków, których lata trzydzieste rzuciły do Moskwy, wolnych duchów z dumą wyrzekających się swych kapitalistycznych ojczyzn. Ci młodzi ludzie, głównie Żydzi, napływali z Bronxu i Manchesteru, ale i z miejsc tak egzotycznych jak Missoula w stanie Montana. Przypatrzcie się im teraz: Florence i jej przyjaciele w kawiarni Moskwa na placu Puszkina, niezamawiający nic poza kawą dla dziewcząt i karafką wódki dla chłopców, by pozwolono im siedzieć godzinami i gadać bez końca (życie towarzyskie, jak wszystko inne, prowadziło się kolektywnie). Tyle ich rozmów kręci się wokół Ameryki – jakby profanując miejsce swojego urodzenia, odprawiali rytuał pozwalający ukoić tęsknotę za domem. Przypatrzcie się, jak jeden po drugim wchodzi na taflę

lodowiska na Pietrowce, tak pochłonięci dyskusją, że już za chwilę cała grupka wylądaje na pupach, zręcznie omijana przez miejscowych.

Leonowi Brinkowi jako jedynemu spośród Amerykanów udaje się utrzymać równowagę. Z ust zwisa mu zapalony papieros. Florence odtrąca jego wyciągniętą dłoń i bez pomocy dźwiga się z lodu. Leon wyciąga więc rękę do Essie, która przyjmuje ją z wdzięcznością.

Czy Florence wciąż jeszcze gniewała się za to, że nazwał ją Flatbush? Czy uznała za przechwałki jego opowieści o sypaniu na schodach pożarowych i wykorzystywaniu East River w charakterze toalety publicznej? W końcu jak wszyscy oni był teraz cudzoziemcem, wolnym od konieczności wystawiania w kolejkach i znoszenia chronicznych niedoborów oraz moralnego napastowania uchodzącego w Rosji za obsługę klienta. Wszyscy dość szybko przywykli do społecznego awansu. Z grząskiego ślepego zaułka amerykańskiej biedy i ciemnoty Leon awansował na uprzywilejowane stanowisko dziennikarza działu zagranicznego agencji TASS, któremu to przywilejowi towarzyszył zarezerwowany stolik w dowolnej hotelowej kawiarni oraz dwa bilety na każdy nowy koncert, sztukę i film. Jak biednemu chłopcu z gorszej dzielnicy udało się przejść taką transformację? Wyglądało na to, że pomyłonej Batii nie brakowało pragmatyzmu. Swego syna, wówczas dwunastoletniego, wysłała do pracy u noszącego binokle zecera Meyera Levitsky'ego, który uczył chłopca drukarskiego fachu i pożyczał mu książki, tak że w wieku lat piętnastu młody Brink miał już za sobą lekturę większości rosyjskich klasyków i filozofów politycznych. W Klubie Pracowników Zagranicznych i w kawiarni Moskwa, które przyciągały podobnych mu ekspatów, bez wahania cytował obszernie fragmenty Bakunina, Tołstoja, Żabotyńskiego i Marksa. Jedynym niecytowanym przez niego w tym rewolucyjnym towarzystwie autorem był Horatio Alger, którego książki odegrały nie mniejszą przecież rolę w doprowadzeniu do szczęśliwego końca wspianego procesu metamorfozy, jakim było życie Leona Brinka.

Florence nie potrafiła wyjaśnić niepokoju, który ogarniał ją znieca, gdy Leon stawał na czele całego towarzystwa, ni to siedząc, ni to stojąc za rogiem stołu, trzymając się oparcia krzesła albo czyichś ramion, jakby podświadomie oczekiwał, że lada moment coś go porwie w błękitne niebo. Nawet kosmyki jego włosów i kępkę baczków wydawały się przeciwstawiać sile ciężenia. Cokolwiek to było, Florence nie mogła się opierać w nieskończoność.

Jej kapitulacja rozpoczęła się pewnego srebrzystego moskiewskiego wieczoru, gdy przebiegłszy tak szybko, jak tylko mogła, ku fortecy teatru Bolszoj, natknęła się na Leona czekającego na nią pod jednym z kremowych filarów. Nie było tam żadnego z ich przyjaciół.

– Gdzie są wszyscy?

– Mnie pytasz?

– Myślałam, że Essie też idzie.

– To nie przyszła z tobą? – zapytał niewinnie.

– A Seldon gdzie?

– Niedysponowany. Zeszłego wieczoru odgrywaliśmy rolę gości honorowych jakichś Gruzinów. Ostrzegalem go, że wino jest jak zmienna kochanka, która niespiesznie

wychodzi o poranku. Z kolei stara dobra wódka...

– Spóźnimy się – powiedziała Florence ze zniecierpliwieniem. – Masz bilety?

Z wewnętrznej kieszeni nędznego płaszczka Leon wyciągnął dwa bilety na Lady Makbet mceńskiego powiatu.

We wspianym westybulu rozpoczął się zaciekły wyścig do szatni. Rosyjskie szatnie nie były – zarówno wtedy, jak i dziś – udogodnieniem, z którego można by nie skorzystać. Zakraść się do opery, nie pozostawiając tam wcześniej okrycia, zostałyby uznane za niewybaczalne grubiaństwo nawet przez duchy tak zbuntowane jak Leon i Florence. Usiadłszy w końcu z programem, Florence próbowała przeczytać libretto spektaklu, który miała za chwilę obejrzeć. W 1934 roku, zanim Stalin całkowicie zdławił awangardę, Rosja cieszyła się ostatnimi dniami artystycznego nowatorstwa zapoczątkowanego w epoce rewolucji. Pożegnalne przebłyski eksperymentalnej belle époque, na której końcówkę Florence jeszcze zdążyła, umocniły ją w przekonaniu, że kraj, do którego przyjechała, jest bardziej wolny niż ten, który opuściła. Spróbowała wczuć się w akcję tragifarsowej opery o żonie kupca zakochanej w czarującym parobku. Dokonując adaptacji muzycznej tej mrocznej historii Nikołaja Leskova, Szostakowicz dążył do podporządkowania się przemożnemu dyktatowi socrealizmu, lecz na własną zgubę nie zdołał stłumić swych artystycznych idiosynkrazji. Co mogło wyjaśniać, dlaczego siedzącej w operze Florence muzyka sprawiała takie kłopoty. Na scenie, tocząc wokół oszalałym spojrzeniem, Katerina pałała żądzą do parobka Siergieja i skręcała się konwulsyjnie, mordując najpierw teścia, potem męża. Wraz z nią jęczała i dyszała muzyka. Akcja w dużej mierze rozgrywała się na przykrytym aksamitną kapą podwójnym łóżku kupca.

Nie mniej podniecający od dusznego klimatu opery był napięty bezruch siedzącego obok niej mężczyzny. W stojącym powietrzu spowiła ją marynarska wyrazistość jego wody kolońskiej. Przez cały czas trwania spektaklu kolano Florence pozostawało unieruchomione w pozycji, która miała zapobiec przypadkowemu kontaktowi. Nie miała się czego obawiać. Leon trzymał ręce przy sobie, uwodzenie pozostawiając Szostakowiczowi. Operę wystawiano już w Leningradzie i do Leona dotarły pogłoski o jej podniecających właściwościach. Nie przypadkiem zaaranżował wszystko tak, by przy tej właśnie okazji spotkać się z Florence sam na sam.

– I jak ci się podobało? – zapytał, gdy rozbłysły lampy.

Oddali już bilety szatniarce i odebrali płaszcz. Dwugodzinne wysiłki Florence, by okiełznać rosnące podniecenie, zaowocowały teraz staropanieńską zgryźliwością.

– To niezgorsza opera – powiedziała, pozwalając Leonowi pomóc sobie przy wkładaniu płaszczka – jeśli nie przykłada się nadmiernej wagi do takich rzeczy jak melodia, kadencja czy budzący sympatię bohater.

Krytyka Florence była swego rodzaju przecuciem nieopublikowanej jeszcze zjadliwej recenzji „Prawdy”: „wulgarna”, „prymitywna”, „epileptyczna”. „Towarzysz Szostakowicz prezentuje nam najprymitywniejszy naturalizm... – napisał recenzent. – Kompozytor najwyraźniej nie zwracał sobie głowy dociekaniem, czego radziecka widownia oczekuje od muzyki i czego w niej szuka”. Wskutek wybuchu oficjalnego gniewu sztukę zdjęto z afisza na trzy dekady.

– Chcesz powiedzieć, że Katarzyna nie wydała ci się urocza? – zapytał Leon, przekrzywiając głowę, a w jego głosie odezwała się kpiąca nuta.

– Ta kobieta to potwór.

– A nie bystra, elektryzująca dama marniejąca w koszmarnych warunkach społeczeństwa opresyjnego?

– Planuje morderstwo z zimną krwią!

– Zabija kilku facetów, no i co?

– W imię miłości do zadeklarowanego bawidamka!

– I tu się mylicie, towarzyszeko Fein. Zbrodnia Katarzyny nie jest zbrodnią z miłości. Zbrodnia z miłości byłaby grzechem duszy. Katarzyną natomiast owdładnęły pogańskie furie. Stąd tytuł: Lady Makbet... – I tutaj Leon zrobił coś najmniej oczekiwanego: zacytował Szekspira. – „Śmiem wszystko zrobić, co mężom przystoi, / A kto śmie więcej, ten nie jest człowiekiem”⁶.

Przez chwilę Florence stała, przyglądając mu się w światłach moskiewskiego wieczoru, a z jej ust buchały srebrzyste lodowate obłoczki.

– A więc czytałeś Szekspira...

– O tak, nadobna pani. Obsadzono mnie nawet w roli Makdufa w spektaklu City College.

– Nigdy nie wspomniałeś, że chodziłeś do City!

Przeholowawszy może nieco z pretensjami do erudycji, Leon pospiesznie się wycofał.

– Zrezygnowałem jeszcze przed końcem pierwszego roku.

– Jak to?

– Doszedłem do wniosku, że college nie ma mi nic do zaoferowania.

Jego ciągle przechwałki przypominały niekończące się wystąpienie w obronie własnej.

– A poza tym skończyły mi się pieniądze – poprawił się. – Nawet jeśli nauka nic nie kosztuje, to życie owszem. Pomyślałem, że więcej się nauczę, podróżując. Miałem wspaniały pomysł, żeby przejechać pociągiem przez całe Stany, ale okazało się, że uprzedziło mnie już z tysiąc koleś. Może wylądowałbym ostatecznie w Argentynie, gdyby nie to, że mieli akurat przewrót wojskowy.

– No i została ci Rosja.

– Prawdę mówiąc, wybierałem się do Chin. Ale potem przeczytałem o Birobidżanie, Żydowskim Obwodzie Autonomicznym... Syberyjski Syjon Stalina! No i nie musiałbym się już uczyć chińskiego.

– Nie sądziłam, że masz duszę osadnika.

– Żartujesz? Uwielbiam pogranicze! Przekonały mnie obrazki w takiej broszurze... No wiesz, te przedstawiające młodzieńca, który wygląda jak jakiś Herkules z Berdyczowa noszący worki z ziarnem. I krzepkonoga lewantyńska księżniczka brzdąkająca na bałajce. Jedyne, czego nie umieścili w broszurze, to obrazek komara.

– Istny raj.

– Nie spodziewałem się francuskiej Riwiery. Ale kiedy wysiadłem z pociągu Kolei Transsyberyjskiej, okazało się, że peron to tylko kilka desek rzuconych w błoto.

Odwróciłem się do kierownika pociągu i pytam: „Daleko jeszcze do Birobidżanu, towarzyszu?”, a ten się roześmiał: „Dwa lata, synu!”. No ale dotarłem tam, skierowali mnie do pracy przy osuszaniu bagien. Dwie noce później miałem ugryzienia komarów na ugryzieniach komarów. Właściwie nie wadziłaby mi tak bardzo perspektywa pożarcia żywcem, gdybym sam miał coś do jedzenia. Ale chyba opiekunowie tego zoologu o nas zapomnieli.

– Co masz na myśli, mówiąc „nas”?

– Upchnęli wszystkich cudzoziemców w jednej wiosce: Polaków, Bułgarów, Szwabów, tych z Ameryki Południowej. Nie zdziwiłbym się, gdybym znalazł tam jakiegoś Zulusa. Można by pomyśleć, że ktoś chciał się przekonać, czy potrafimy zbudować kolejną wieżę Babel. Gdybyśmy nie byli tak załatani, co chwila biegając do latryn z rozwolnieniem, może nawet udałoby się nam pozabijać.

– Długo tam zostałeś?

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale ugrzęzłem na prawie cztery miesiące. Kiedy wreszcie powiedziałem tym mamzerom, że rezygnuję, zagrozili surowymi reperkusjami. Powiedzieli, że jeśli „nie odsłużę swego”, nigdy nie dostanę w ZSRR żadnej pracy.

– No i co zrobiłeś?

– Powiedziałem im Sei gesund i vaffanculo, moją najlepszą włoszczyzną.

– No i tyle zostało z marzeń o żydowskiej republice – skwitowała Florence.

– Jak by to ująć? To nie była kwestia zbyt dużej liczby Żydów, lecz niewystarczającej ilości wszystkiego innego. Widzisz, tak sobie myślę, że wszędzie, gdzie jest nas tylko trochę, działamy jak nawóz. Ale wszyscy na kupie? – Pokręcił głową. – Jedna wielka sterta gnoju.

Florence roześmiała się mimowolnie. Zanim zdążyła złapać oddech, Leon powiedział:

– Co robisz jutro wieczorem?

Od tamtego zimowego wieczoru znów zaczęła kłamać. Spławiła Essie, mówiąc, że po pracy chodzi na zebrania komitetu. W pracy uchylała się od zebrania, twierdząc, że musi uczestniczyć w zajęciach z edukacji politycznej (jedyna dopuszczalna wymówka), po czym zrywała się z nich, żeby pójść z Leonem do kina Udarnik na nowy film Czapajew.

Zapomniawszy na chwilę o czystkach i o polityce, w 1934 roku w Moskwie można się było naprawdę niezłe zabawić. Florence wysłuchała pierwszej w życiu symfonii i obejrzała pierwsze przedstawienie baletowe. Nie posiadała się ze zdumienia, że tyle kultury wysokiej dostępne jest tak tanio. Na widowni widziała ludzi wyglądających i ubierających się jak zwykli robotnicy. Ich głód sztuki napawał ją dumą. Oto mieszkała w mieście, które uznało rozdział na sztukę wysoką i niską, klasyczną i współczesną, elitarną i popularną za burżuazyjny przeżytek. Przekonywała samą siebie, że te randki z Leonem nie są tak naprawdę randkami. Znajdowali się w końcu w egalitarnej Rosji; nie było powodu, dla którego kobiety i mężczyźni nie mogliby się przyjaźnić. Nie było żadnego migdalenia się ani nawet trzymania za rękę; Florence pilnowała, by kończyło się na rozmowach. Próbowwała nawet wyjść nieco przed szereg i zabawić się w swatkę.

– Co sądzisz o Essie?

- Miła dziewczyna.
- Ma takie ładne oczy, prawda? – podsunęła Florence zachęcająco.
- Tak. I tak blisko osadzone.

Ich zaloty toczyły się w dwóch scenografiach: rosyjskiej rzeczywistości i nowojorskich wspomnień. Spacerując po arbackim bruku, Leon opowiedział jej, jak w dzieciństwie pracował na stoiskach z odzieżą przy Canal Street.

– Wiesz, dlaczego wszystkie te garnitury na Canal mają przyklejonych tyle malutkich etykietek z ceną?

- Dlaczego?
- Bo pod każdą z nich jest dziura!

Popijając z kubków pieniący się kwas chlebowy w parku Gorkiego pod transparentem obwieszczającym, że „Życie stało się lepsze, życie stało się weselsze”, wspominali napoje z kremem jajecznym, które pili na Brooklynie.

- Ile bym dała za odrobinę syropu czekoladowego w tym tutaj!
- To nic nie da, musisz znać przepis.
- Ty go znasz, jak przypuszczam.
- Pewnie. Ten barman z Green Street przekazał mi sekretną recepturę.
- Tylko tobie.

– A żebyś wiedziała. Zrobiło mu się mnie żal, bo nigdy nie miałem bar micwy. Zabrał mnie do kuchni i pokazał, jak to robi. I powiedział: „Dziś stałeś się mężczyzną”.

Nigdy nie miała pewności, czy on nie zmyśla tego wszystkiego na poczekaniu. Po jakimś czasie było jej to jednak obojętne.

- Nigdy nie widziałam, żebyś nadużywał alkoholu, Leonie.
- Alkohol kłóci się z moim cierpieniem.

W towarzystwie Leona chodziła na wykłady do Domu Kultury i Państwowego Teatru Żydowskiego na Bronnej, by zobaczyć słynnego Solomona Michoelsa w Królu Learze. Ale to w Metropolu Leon dostał w końcu swoją szansę.

Restauracja w hotelu Metropol zasługiwała na miejsce w panteonie najwspanialszych przybytków rozrywki dwudziestego wieku. Witrażowy sufit znajdował się – lub takie było pierwsze wrażenie Florence – na wysokości niemal dziesięciu metrów. Przeszlone drzwi otaczały ze wszystkich stron ogromną salę jadalną dającą się obserwować z góry z podpartych kolumnami balkonów. Krzykliwość Metropolu, podobnie jak Ritza czy Copacabany, z powodzeniem przechodziła próbę czasu. W latach trzydziestych jego mosiężne zdobienia i pluszową czerwoną tapicerkę otaczał już nimb bezpowrotnie minionej chwały, wrażenie lekko wytartego i zleżałego luksusu harmonizujące z szamerowanymi złotem liberiami kelnerów, z których część pracowała tu jeszcze za caratu.

Metropol, podobnie jak restauracje w pozostałych dewizowych hotelach, był jednym z tych miejsc, których nie zamknięto, by zaspokoić burżuazyjne apetyty zamieszkałych w Moskwie i odwiedzających ją cudzoziemców, szczególnie dziennikarzy uwielbiających przesiadywać w znakomicie zaopatrzonym barze, popijać whisky i przypatrywać się zjawiskowym barmankom. I dlatego to właśnie w Metropolu ta zbieranina korespondentów, do której zaliczał się Leon, postanowiła powitać Nowy Rok.

Na parkiet, na którym roilo się od odsłoniętych ramion i nagich pleców, projektory rzucały skrzącą się fontannę czerwonych, zielonych i niebieskich iskier. Zmatowiałe lustra otaczające salę bankietową przypominały zaparowane okna do innego świata. Na zewnątrz, na dwudziestostopniowym mrozie, rozgrywał się zwykły zimowy spektakl proletariatu: po chodnikach przemykali z siatami ludzie w ubogich kożuchach. A w środku istne tropiki: pióra zdobiące maski na oczy, goździki rozkwitające w butonierkach, wypomadowane głowy oparte na bujnych biustach. Na zewnątrz w zamkniętych na głucho sklepach leżały skąpe racje czarnego chleba i solonej słoniny. W środku dzika kaczka z solianką, śledź pod pierzynką buraczków z chrzanem. Na ulicach śnieg. W środku konfetti. Tam bełkotliwe, zaczepne wycie pieśni masowych. Tutaj jazz!

Florence i Essie pojawiły się w chwili, w której rozmowy przy stoliku zaczynały już zdradzać tę obłądną, beztroską lotność całonocnej popijawy. Sześciuosobowa orkiestra strojąca ponownie instrumenty ustąpiła miejsca na scenie parze cygańskich skrzypków w haftowanych kamizelkach, mężczyźnie i młodej kobiecie.

– Myślisz, że to prawdziwa Cyganka? – zapytał mężczyzna o imieniu Alistair.

– Nie bądź śmieszny! Prawdziwe mają takiego zeza jak kociaki z chowu wsobnego! – powiedział Seldon Parker, obok którego usiadła Florence z zamiarem ignorowania Leona.

– Sądziłem, że cygańskiej muzyki zakazano – wtrącił łysy Australijczyk, na którego mówiono Michaels.

– Ale to było w zeszłym miesiącu – sprostował Seldon. – W tym uchylili zakaz.

– Seldon jest na nich cięty, odkąd zeszłego lata relacjonował ten słynny cygański proces – poinformował Leon siedzących przy stole.

– Nie ma na świecie gorszej łachudry niż koniokrad! – obwieścił Seldon z przekonaniem. – Albo złodziej samochodów, co na jedno wychodzi. Rząd od lat próbuje zrobić z nich przyzwoitych ludzi radzieckich, ale to jedna wielka porażka. Wieszają w tych swoich namiotach plakaty z Leninem i kradną dalej. – Zwrócił się do Florence. – Zauważyłaś, że choćbyś nie wiem ile im dała monet, nigdy nie są zadowoleni? Dałem kiedyś jednej wiedźmie wszystkie drobne z kieszeni, a ta mnie pyta, gdzie reszta. No przecież to trzeba mieć tupet!

– Ale czemu ona miałaby cierpieć za to, że ty miałeś zły tydzień? – zawołał Leon z drugiego końca stołu. Wydmuchał kółko dymu i pozwolił mu się rozwiać, zanim spojrzał na Florence.

Usiadła po przeciwnej stronie stołu z nadzieją, że w ten sposób delikatnie Leona od siebie odsunie. Teraz serce waliło jej jak młotem, a ona raz po raz obracała w głowie powody, dla których postanowiła położyć kres temu, co się między nimi działo – cokolwiek to było. Trzy dni wcześniej, gdy spotkała się z nim w teatrze na Bronnej, zdradził jej, że latem skończy dwadzieścia jeden lat.

Ledwie dwudziestolatek! Próbowwała ukryć zaskoczenie i udało się jej na tyle opanować mimikę, by powstrzymać go od zgadywania, ile ona ma lat (za miesiąc kończyła dwadzieścia pięć). Z pewnością wyjaśniało to wojowniczość, z jaką starał się zwrócić na siebie jej uwagę, ukryte pod płaszczkiem skromności przechwałki

i obcesową arogancję. Sądziła, że przyczyną tego wszystkiego jest jej niedostatek siły woli, niedostatek wyobraźni, skoro przebywszy całą tę drogę do Moskwy, dała się omotać Amerykaninowi, do tego z Lower East Side. A teraz ogarnął ją wstyd i niemal panika na myśl o tym, że ten Amerykanin okazał się ledwie chłopcem, bez korzeni i z radosną żądzą podróży. Panika nie pozwoliła jej tknąć wykwintnych dań. Po fiasku z Siergiejem straciła na chwilę czujność, ale nie miała zamiaru bezrefleksyjnie się angażować. Teraz, gdy nieco otrzeźwiała, należało to uciąć i stać się wreszcie tą poważną osobą, w którą zamierzała się tutaj przeobrazić. Z półmiska promieniście ułożonych wędzonych ryb spojrzały na nią paciorkowate oczy. Czas było odciąć przynętę.

– Essie, wiedziałaś może – zaczęła zachęcająco – że oboje z Leonem chodziliście do jednej ze szkół prowadzonych przez koła robotnicze?

– Naprawdę? A do której? – zainteresował się Leon, wsuwając do ust pieróg.

– Bronx East – odparła Essie, ożywiając się. – A ty?

– East Broadway – powiedział obojętnie – ale nie zagrzałem tam miejsca.

No i tutaj podobieństwa się kończyły. Teraz niepokój Florence udzielił się i Essie. Może łatwiej byłoby jej znieść obojętność Leona, gdyby reszta siedzących przy stole mężczyzn tak otwarcie nie wodziła wzrokiem za barmankami prześlizgującymi się między stolikami z tacami papierosów i sztucznych ogni. Była to jeszcze jedna cecha odróżniająca Metropol od świata na zewnątrz: w restauracji relacje płci miały charakter jawnie handlowy. Michaels przywołał piękność o tatarskich oczach i kupił od niej kilkanaście zimnych ogni – za dolara i możliwość poklepania jej po obleczonej w satynę pupie. Niepoprawne zachowanie Australijczyka zostało skwitowane ledwie karcącym kiwnięciem palca.

– Zawsze są takie... przyjazne? – spytała Essie z nieskrywaną grozą.

– Jasne! – powiedział Seldon. – Niektóre pozwolą się nawet puknąć. Oczywiście nie za darmo.

– Michaels się w jednej z nich zakochał – rzucił Leon w kierunku Florence teatralnym szeptem. – Ma na imię Nelly.

– Była arystokratka – powiedział Michaels rzewnie. – Nieszczęsna ofiara rewolucji. Takie delikatne istoty nie są stworzone do codziennej harówki radzieckiego człowieka pracy.

– Ale Nelly nie chce mieć z nim do czynienia – ciągnął Leon. – Specjalizuje się w Japończykach.

– Ale on chyba wie, że te dziewczyny przekazują wszystko tajnej policji? – zaciekała się Essie.

– Wie? To jego jedyna nadzieja – skwitował Leon. – Pojęcia nie macie, jak go wyczerpuje wymyślanie ciągle nowych tajemnic państwowych dla przyciągnięcia jej uwagi.

Te uwagi, oficjalnie skierowane do Essie, przeznaczone były chyba również dla Florence, która miała nadzieję, że powrót do życia towarzyskiego w grupie przywróci jej relacji z Leonem znamiona platonicznej przyjaźni. Nie przewidziała jednak, że fizyczny dystans nie zniechęci go, lecz okaże się hipnotyzującym wyzwaniem. Uzmysławiała sobie zażenowana, że Leon obserwuje każdy jej ruch (czyż nie wybrała miejsca przy stole tak,

by mógł podziwiać jej profil, który – jak uparcie twierdził – jest zachwycający?).

– Co za szkoda, że wszyscy mają w nosie australijskie tajemnice – skonkludował Seldon, po czym podniósł się z miejsca z kieliszkiem w dłoni. – Zdrowie naszych amerykańskich przyjaciół! – I chociaż kolana niebezpiecznie się pod nim uginały, trzymał kieliszek elegancko od dołu przez płócienną serwetkę. – Proponuję, byśmy czule pożegnali tysiąc dziewięćset trzydziesty czwarty, pierwszy okrągły rok, w którym ten znakomity kraj udzielający nam gościny był uznawany przez Stany Zjednoczone.

– Wnieśmy toast za to, że nie żyjemy już w grzechu! – wykrzyknął Leon ze swego końca stołu. – Za nas – powiedział, zachęcając resztę biesiadników do stuknięcia się kieliszkami, co wszyscy ochno uczynili.

– Ile mamy jeszcze czasu na te sentymentalizmy? – zapytał Seldon.

Michaels zerknął na zegarek.

– Zostało jeszcze dwanaście minut starego dobrego trzydziestego czwartego.

Na tę wiadomość Leon bezceremonialnie zwrócił się do Florence:

– Pora na ostatni taniec?

Florence pozwoliła swej serwetce opaść na stół. Zerknęła na Essie, uśmiechnęła się przepaszająco i wstała, ociągając się nieco, by stworzyć wrażenie, że zgadza się z grzeczności. Jej próby pojednania ich były bezcelowe. Romansowe przygody Essie zawsze cechowały rozdmuchane nadzieje i bardzo szybkie ustępstwa. Florence wychyliła do dna kieliszek szampana i wyprostowała się. Fizycznemu wrażeniu opadania towarzyszyła kolumna szampańskich bąbelków uderzających jej do głowy, a ich cierpkie musowanie uwolniło ją od poczucia winy z powodu niesprawiedliwości, jaką było przepuszczenie jej przed czekającymi w kolejce do wejścia Rosjanami tylko dlatego, że zwróciła się do portiera Metropolu po angielsku. Niesprawiedliwości nadmiaru pośród niedoborów. Nieudanego odrzucenia zalotów młodego człowieka, którego nie mogła przecież potraktować poważnie. Ale był sylwester – na miłość boską! – a ona była już zmęczona zdręczaniem się tym wszystkim. Zdecydowanie odstawiła kieliszek na stół i pomaszerowała przed Leonem na parkiet, nie czekając, by mógł poprowadzić ją za rękę.

Sześciuosobowy zespół grał znany szlagier, lekko tylko zmieniony molową tonacją akordeonu. Piosenka przypominała słowiańską interpretację starego przeboju Guya Lombarda, którą w istocie stanowiła. Nie było wokalisty, ale Leon Brink wymruczał słowa prosto do ucha Florence:

– „Posłuchaj mnie... Co ty tu odgrywasz, mała kokietko? Żarty sobie robisz z tego, który cię kocha... Łamiesz serca, którymi owładnęłaś, mała kokietko. Szczerze serca, czule marżące o tooo...”

Florence uśmiechnęła się ostrożnie, przyzwalająco, lecz zwróciła twarz w bok, w ostatniej chwili unikając jego warg. Kątem oka obserwowała siedzącą przy stole przyjaciółkę. Chcąc wyglądać atrakcyjnie, Essie nie założyła okularów i teraz rozglądała się krótkowzrocznym spojrzeniem, mocząc wargi w szampanie jak przystępujące do komunii dziecko, które udaje pobożność.

– „Hmm, la dididi, mała kokietko...” – zaśpiewał Leon. Jak ryjące zwierzę zanurzył nos w wonnym koczku na karku Florence.

– Zachowuj się przyzwoicie.

– Czemu?

– Ludzie patrzą.

Rozejrzał się.

– Naprawdę? Nie zauważyłem.

Przez ostatnie trzy tygodnie zabierania tej dziewczyny na miasto nie wytargował od niej nic poza kilkoma buziakami na mokrych parkowych ławkach. Po to, czego odmówiono mu na osobności, sięgnął teraz na parkiecie, jak wyposzczony nastolatek.

– Przestań! – żachnęła się, kiedy zlizął z jej ucha kropelkę potu.

– O co ci chodzi? Nie usiadłaś obok mnie. A teraz... czekasz na jakiegoś innego gościa?

– Nie o to chodzi.

Jej odpowiedź nie była, w najściślejszym tego słowa znaczeniu, prawdziwa. Mimo spotkań z Leonem nie potrafiła przestać rozmyślać o ironii swego położenia: o tym, że jej przewodnikiem po tym pięknym mieście miał być Siergiej, a był ten przekonujący, wygadany młodzik z Allen Street. I chociaż żywiła do Leona coraz cieplejsze uczucia, nad ich spotkaniami wciąż unosił się duch Siergieja. Widziała go w barczystych plecach widzów teatru, w ciemnoblonde czuprynach w parku, we wszystkich zwalistych typach, których w Moskwie nie brakowało.

– No to o co chodzi? Rogi mam czy jak?

– Leonie, wydaje mi się, że może odniosłeś mylne wrażenie.

– To znaczy?

– Jestem sporo od ciebie starsza. Mam prawie dwadzieścia pięć lat.

Skwitował jej wyznanie szelmowskim uśmiechem.

– No i?

I wtedy uzmysłowiła sobie, że on już wie.

– Przyrzekam nie mieć wam za złe waszego bezprzykładnego tchórzostwa, madame towarzyszko, jeśli zapomnimy o dzielącej nas różnicy pokoleń.

– Widzisz, nawet ty sądzisz, że to...

– Co?

– Nie uchodzi.

– Nie uchodzi?

Określenie było tak staroświeckie, że aż dostał czkawki ze śmiechu.

– Tak. Kiedy kobieta jest starsza od mężczyzny.

– Naprawdę mnie pani zaskakuje, panno Fein. Nie sądziłem, że jest pani podatna na tego rodzaju drobnomieszczańskie filisterstwo.

– Leonie, ty jesteś... właściwie jeszcze chłopcem.

– Ależ nie ma powodu się przezywać. A co z Krupską i Leninem? Im też nie uchodziło?

Obrócił Florence w miejscu.

– Och, Leonie.

– A Katarzyna Wielka i Potiomkin? Była o dobre dziesięć lat starsza od tego upudrowanego starego pedzia.

I wtedy wreszcie Florence poddała się i parsknęła śmiechem.

– Ale ona była królową!

Leon zlustrował ją szybkim spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: A ty nie jesteś?

Florence, bynajmniej nie obojętna na takie tanie pochlebstwa, zarumieniła się. Otoczyła dłońmi jego szczupłą szyję. W zmatowiałym lustrze zwielokrotniającym kilkanaście innych par kręcących się po parkiecie dostrzegła siebie, opierającą lekko głowę na jego ramieniu. Zakręciło ją w nosie od zaskakującego, ale nawet przyjemnego zapachu brylantyny na mocno wypomadowanych włosach. Leon w nadziei na oszołomienie Florence klasą kupił smarowidło tego popołudnia w sklepie muzycznym sprzedającym je jako smar do puzonów. Walcujący obok zażywni, wystrojeni starsi państwo obrócili głowy i uśmiechnęli się, dostrzegłszy w młodych kochankach szczęście całej radzieckiej młodzieży.

I może właśnie wobec tej ich wizji Florence aż się wzdrygnęła. Czy to przecucie ich wspólnej przyszłości kazało jej się cofnąć? Bo nagle oczyma duszy zobaczyła ich dwoje tańczących na krawędzi świata, nieświadomych, że zaraz spadną. Pewna, że przecucie jej nie myli, pojęła nagle, że dręczący ją tego wieczoru niepokój sięga znacznie głębiej niż do nieszczerých kobiecých wyrzutów sumienia. Tym, co czuła w towarzystwie Leona, był lęk tak czysty, że niemal obezwładniający. Lecz co dziwne, nie lękała się o siebie, tylko o niego. Jakby godząc się na jego miłość, sprowadzała na niego nieszczęście, jakby kazała mu płacić za to uczucie najwyższą cenę.

Skąd to wszystko wiedziała? Nie umiałyby wyjaśnić. Jedyne słowa, jakie przyszły jej do głowy, brzmiały:

– Leonie, chciałabym, żebyśmy byli przyjaciółmi. Na razie.

Ale jej mgliste jasnowidzenie nie mogło się mierzyć z jego stanowczością.

– Chcesz mnie doprowadzić do obłędu? – zapytał, przypatrując się uważnie jej twarzy.

– Nie!

– Nie chcesz mnie widzieć?

– Chcę powiedzieć, że wolałabym, żeby to wszystko... rozgrywało się trochę wolniej, nic więcej.

– O ile wolniej, Florence? Nawet zimna melasa powinna wiedzieć, w którą stronę ma spłynąć.

Wśród wybuchów śmiechu i pijackich wiwatów ich piosenka utonęła w wydłużonym szeleście sekcji perkusyjnej szemrzącej ostrzeżenie o zbliżającym się odliczaniu do północy. Karuzela różowych i zielonych świateł przemknęła po twarzy przyglądającego się jej badawczo Leona.

– Już łapię. Jesteś z tych, co to lubią, jak je koleś rzuci na podłogę – powiedział nieprzyjemnym tonem. – Albo przyciśnię gdzieś do ściany, a one będą odwracać główkę i chlipać: „Nie, nie, nie”, napawając się każdą minutą. – W jego głosie zazgrzytała pogarda, nie zostało w nim nic z dawnej figlarności. – Nie sądziłem, że jesteś jednym z tych kruchych, czepliwych powojów...

– Daj mi spokój, idioto!

Zrobiła krok w bok i zatchnęła się, gdy chwycił ją mocno za nadgarstek.

– Robisz do mnie oczy, odkąd się poznaliśmy. Niech ci się nie wydaje, że nie

wyświadczyłbym ci tej uprzejmości, gdybym uznał, że tylko tego oboje chcemy.

– Puść mnie!

I ku jej zaskoczeniu puścił, szarpnąwszy ją przy tym tak, że aż się zatoczyła w tył na obcasach.

Stała, trzymając się za obolały nadgarstek.

Obserwowała, jak Leon maszeruje w stronę przeszklnych drzwi, otwieranych właśnie przez kelnera. Między nimi zawisło okrucieństwo słowa „uprzejmość”. A przecież jego oczy mówiły co innego; zanim się odwrócił, rozbłysły bólem i upokorzeniem.

Perkusja zaczęła odliczanie.

Florence rozejrzała się po otaczających ją twarzach, pewna, że wszyscy na nią patrzą. Ale zespół znów zaczął grać, tym razem jakąś tęskną, przypominającą hymn melodię, i cała uwaga skupiła się na biało wyfraczonym szefie tej niewielkiej orkiestry, który w takt pulsującej melodii wznosił toast.

– Za Nowy Rok! Za nowe szczęście!

Wśród tłoczących się gości Florence dostrzegła Seldona Parkera w na wpół zaparowanych okularach, pochylającego się, by zapalić papierosa od zimnego ognia w dłoni Essie. Dostrzegłszy Florence, Seldon pokiwał jej ręką. Ich twarze, zimne ognie, nienaturalnie głośne pijackie śmiechy wydały jej się nagle nierealne. To, do czego dopuściła, tak radykalnie rozeszło się z tym, co zamierzała osiągnąć, że po raz kolejny dopadło ją bolesne podejrzenie co do samej siebie, którego najwyraźniej nie mogły zagłuszyć żadne wysiłki czynienia dobra i stawania się lepszym człowiekiem: poczucie, że mimo zamiaru prowadzenia uczciwego życia, w którym nikomu nie szkodzi, wszystko, co powiedziała i zrobiła, było kłamstwem. Zdana była na łaskę popędów – lojalności i rywalizacji, bezinteresowności i gigantycznego narcyzmu – zbyt sprzecznych, by dało się je pogodzić. Miała pewność, że Leon mylił się co do niej pod każdym względem – nie była ani prowokatką, ani dziwką – a mimo to obawiała się, że zdarł kryjącą ją zasłonę. Widziała, jak definitywnie potrafił się od niej uwolnić, jak bezlitośnie umiał ją osadzić, gdy przeholowała, i przyniosło jej swego rodzaju pociechę, że oto wszystko, co na jego temat sądziła, okazało się nieprawdą.

Skręciła w stronę lobby, dokąd się skierował.

Nigdzie nie było go widać.

W foyer, pod rozszczepionym światłem żyrandoli, siedzieli na kanapach pochyleni ku sobie, pogrążeni w poważnych rozmowach Rosjanie i niecierpliwi kochankowie nieczekający na noworoczny dzwon.

I wtedy go dostrzegła. Wychodził z szatni z płaszczem w rękę. Uniósł głowę i zobaczył Florence. Zanim zdążył odwrócić wzrok, zawołała go po imieniu. Nie poznała głosu, który wydobył się z jej krtani – głosu przypominającego pisk uchodzącego z balonika powietrza.

Z wyraźnym wahaniem czekał, aż do niego podejdzie. Zegar zaczął bić, z sali bankietowej dobiegło skandowanie: „Sześć! Pięć! Cztery!”, a potem zbiorowe, radosne: „Hurraa!”, zagłuszone wybuchem granej przez zespół muzyki.

Podeszła do niego, westchnęła teatralnie i zwiesiła głowę.

– Masz dwadzieścia lat, Leonie. Skąd właściwie możesz wiedzieć, czego chcesz?

Jakby unikając jej wzroku, pobiegł spojrzeniem ku drzwiom, zza których dochodziła muzyka.

– To nie jest kwestia wyboru, Florence. Człowiek wchodzący do windy nie ma wyboru. Wszedłem sam, zgoda, ale nie mogłem wybrać piętra, nie było żadnych guzików. Zwyczajnie zjechałem prosto na dół.

Miejsce, w którym stali, było chłodne i wilgotne, przesiąknięte stęchłym zapachem garderoby. Żadną miarą nie była przygotowana na poczucie, że tyle może dla kogoś znaczyć. Był młody, owszem, ale mówił jak mężczyzna. A może, pomyślała, właśnie za sprawą młodości znajdował w sobie taką pewność? Nie miał rodziny, którą musiałby uwzględnić w swych planach. Nie oglądał się ustawicznie przez ramię jak Siergiej. Niczym niezwiązany, był wolny, by bezgranicznie ją pokochać. Uzmysłowiła sobie, że z takim oddaniem może nie spotkać się bardzo długo.

Zaskoczył go pocałunek, który złożyła na jego rozluźnionych wargach, i z początku odwzajemnił go z niezdecydowaniem zakłopotanego dziecka, a potem z energią kogoś, kto rozplątuje bolesny węzeł. Zamknęła oczy i pozwoliła mu przywrzeć ustami do jej włosów, przycisnąć czoło do jej czoła. Ich bliskość była tak logiczna! Jak mogła kiedykolwiek przypuszczać, że znajdzie w sobie siłę, by się wycofać.

– No dobrze, Potiomkin – powiedziała, ujmując go za rękę. – Wracajmy do środka, zanim wypiją nam całego szampana.

I w ten sposób Leon i Florence rozpoczęli rok 1935.

Wiosną mieli już mieszkać razem we własnym pokoju, na oszałamiających jedenastu metrach kwadratowych, które w końcówce lat naznaczonych jeszcze emancypacją od czasu do czasu przydzielano parom żyjącym w niezarejestrowanych „małżeństwach rewolucyjnych”.

Z tego okresu zachowało się ich wspólne zdjęcie, które przetrwało tylko dlatego, że Florence wysłała je rodzinie w Stanach. Zrobione podczas wycieczki na Krym, namiastki podróży poślubnej, przedstawia ich na kamienistej plaży w towarzystwie dwóch innych par. Mężczyźni klęczą na piasku, kobiety w kostiumach kąpielowych ze śmiechem przysiadają im na plecach, przybrawszy pozy typowe dla bardzo w tamtym czasie popularnej „fotografii sportowej”. Florence, blada w ciemnym kostiumie, siedzi na muskularnych, opalonych barkach Leona. Ten wpatruje się w obiektyw, podejrzliwie mruży oczy w słońcu, z kącika ust zwisa mu papieros. Na odwrocie fotografii napisano tylko „Jałta '35”.

Przez trzy kolejne lata Leon Brink co roku prosił Florence Fein, by formalnie go poślubiła, i za każdym razem Florence odpowiadała półzartem: „Zaskakujesz mnie, Leonie Naumowiczu. Nie sądziłam, że jesteś podatny na tego rodzaju drobnomieszczańskie filisterstwo”. Sama nie rozumiała tych oporów. Może gdzieś w głębi serca wciąż nie potrafiła pogodzić się z myślą, że „stała” część jej życia – małżeństwo, stabilizacja, rodzenie dzieci – wydarzy się pod flagą z sierpem i młotem. A przecież tańcząc w pierwszych radosnych godzinach Nowego Roku, nie mogła wiedzieć, że nitka, którą rozwinęło zabójstwo Kirowa, splecie się w końcu z ich własnym życiem. I że jej decyzji o poślubieniu Leona ostatecznie nie da się oddzielić od długiego

łańcucha wydarzeń zapoczątkowanych w dniu, w którym charyzmatyczny pierwszy sekretarz komitetu leningradzkiego został nagrodzony za lojalność kulą.



Wygląda na to, że stary hotel Metropol nadal działa. Nigdy na dobre nie zamknął podwoi, w przeciwieństwie do niezliczonych innych moskiewskich przybytków. Przez wszystkie te lata, gdy mieszkalem w Moskwie, pozostał w zasadzie niezmienny. Obecnie odrestaurowano go w pełnym blasku secesji i wszystkie detale – bajeczne mozaiki, gipsowe fryzy, ozdobne balkony – błyszczą carskim splendorem. Gdy podjeżdżamy, przed wejściem stoją zaparkowane bmw. W środku, przed salonem z biżuterią, widać chmurnych łysych osobników w towarzystwie blondynek o wyдутых usteczkach.

– Jak w Hollywood – zauważa Tom, mój szef, gdy przechodzimy obok.

– Tyle że mniej tu komunistów – dodaje.

Nasi koledzy z L-Petu zasiedli już przy stole we wspaniałej sali jadalnej. Zwyczaj, który utarł się podczas tego rodzaju spotkań bilateralnych, nakazuje radośnie i bez wahania spełnić trzy pierwsze toasty, przy czym wznosi się je zgodnie ze ściśle przestrzegany scenariuszem: pierwszy za powodzenie wspólnego przedsięwzięcia, drugi za zdrowie Faraza Abuskałajewa, dyrektora zarządzającego L-Petu, wreszcie trzeci „za nas, za was, za naftę i gaz!”.

Trunki do spełnienia tej triady nalewane są nie ze zwykłych, pospolitych butelek, ale z cywilizowanych kryształowych karafek ustawionych przez naszego kelnera na przeciwległych końcach naszego eliptycznego stołu bankietowego.

Następują krótkie prezentacje, poczynając od gościa honorowego po mojej prawej stronie: Iwana Kabłukowa (Trep, jak z upodobaniem określamy go z Tomem). Oficjalne stanowisko Kabłukowa w L-Pecie to wiceprezes ds. komunikacji i bezpieczeństwa korporacyjnego, choć właściwie wszyscy się domyślają, czym się tak naprawdę zajmuje. Jest ode mnie o jakieś pięćdziesiąt kilo cięższy i wygląda na dziesięć lat starszego, choć twierdzi, że urodził się w czterdziestym siódmym, co oznaczałoby, że jest cztery lata młodszy. Jeśli jest prawdą to, co o nim mówią, to chyba nigdy nie miał specjalnych uzdolnień akademickich, bo dopiero w 1992 roku udało mu się ukończyć Rosyjski Państwowy Uniwersytet Nafty i Gazu. Po prawdzie nigdy nie miałem okazji się dowiedzieć, jak Trep przeżył pierwsze czterdzieści pięć lat życia. Biorąc pod uwagę jego związane z bezpieczeństwem stanowisko, zakładam, że miał coś wspólnego z prawem. Trudno powiedzieć, po której stronie. Łatwo natomiast stwierdzić, że Kabłukow nie ma najmniejszego pojęcia ani o ropie, ani o statkach. Kiedy ostatni raz spotkaliśmy się w Helsinkach, gdzie wypróbowałem nowy system napędu naszych tankowców w testowych basenach lodowych przedsiębiorstwa Aker, w trakcie całej dyskusji

z fińskimi inżynierami siedział obok mnie w milczeniu niczym płatny zabójca, ani na chwilę nie zdjąwszy ray-banów, jakby uczestniczył w turnieju pokera. Co jakiś czas odwracał się do mnie i pytał: „Na chiera nam wsio eto nužno?”. Na chuj nam to wszystko potrzebne?

A ponieważ zawsze chętnie służę ludziom pomocą, gotów byłem wyjaśnić mu, na chuj nam to wszystko potrzebne, tyle że w połowie spotkania się ulotnił. Zobaczyłem go dopiero na kolacji, na której objawił się z jakąś dwumetrową dziewczyną, blondyną w kozaczkach na szpilce wylewającą się z etoli ze srebrnego lisa. Przez cały posiłek rżała jak koń. Można by sądzić, że przyprowadził ją, żeby się nią pochwalić, ale w trakcie trzydniowej podróży Kabłukow nie robił nic, tylko nieustannie na nią wyrzekał.

– Znów muszę zabrać to padło na zakupy. Ta klabzdra nie da mi spokoju, dopóki nie kupię jej w Helsinkach dwóch walizek futer. Jakbyśmy w Rosji nie mieli własnych! Co ona sobie myśli, że skąd Finowie biorą te niby ich?

Zacieśniliśmy nieco znajomość ostatniego wieczoru, w saunie, przy kotletach z kurczaka i osiemdziesięcioprocentowej fińskiej wódce Koskenkorva.

– Jest łagodniejsza – wyjaśnia.

Mam wtedy szansę zobaczyć, że nasz wiceprezes ds. bezpieczeństwa jest wielbicielem sztuki: cały tors od pępka po szyję pokryty ma wzorami. I nie są to tatuaże z gatunku tych, co to przypominają, że matka jest tylko jedna, lecz zdradzające członkostwo w pewnych ekskluzywnych towarzystwach, o których prostym ludziom takim jak ja lepiej nic nie wiedzieć. Przez dwie parne godziny niewiele miałem do oglądania poza stu osiemnastoma kilogramami wytatuowanego mięsa owiniętego w prześcieradło. Trep chyba ze dwanaście razy wznosił ten sam toast: „Za czas spędzony z przyjaciółmi, którego kostucha nie liczy do rachunku!”

Skoro już rytualnie wychłostaliśmy się nawzajem pękiem brzoźowych witek, odnosi się do mnie z braterską serdecznością.

– Jak się miewasz, przyjacielu? – pyta przy stole bankietowym, zręcznie nalewając mi do kieliszka równe trzydzieści gram, aż po brzeg.

– Znakomicie, Iwanie Matwiejewiczu. A wy?

Wzdycha.

– Miewałbym się znacznie lepiej, gdyby ci dwaj nie bzydzeli mi do ucha.

Po lewej ręce Kabłukowa siedzą jego zastępcy: Muchow i Serdiuk. Muchow był wcześniej kapitanem tankowca we flocie handlowej. Teraz nadzoruje wydział bezpieczeństwa i zgodności L-Petu. Jego wyobrażenie o środkach bezpieczeństwa można podsumować jednym zwrotem: awos’ da niebios’, co można z grubsza przetłumaczyć jako „będzie, co ma być”. Na przykład „Trzymajcie kciuki, to uda się to przewieźć” albo „Miejmy nadzieję, że utrzyma się na wodzie”. Bezsprzecznie jednak wolę towarzystwo Muchowa od kompanii Serdiuka – czy też „kapitana” Serdiuka, jak mamy się do niego zwracać. Jest byłym dowódcą atomowego okrętu podwodnego, zatrudnionym przez L-Pet przed dziesięciu laty w dniu przejścia na wojskową emeryturę. Niski, przysadzisty, ostrzyżony na jeża, o płaskich wargach, które rzadko się uchylają, by coś powiedzieć. W tych niewielu zdaniach, które dane mi było usłyszeć, chętnie posługiwał się królewskim „my”: „Chcielibyśmy, żeby to zostało przeprowadzone tak i tak”, „Mamy

z wami coś do omówienia”. Brwi ma ustawicznie zmarszczone jakby był Seanem Connerym wytyczającym kurs nad dnem Atlantyku.

Oprócz Toma i mnie w bankiecie uczestniczy jeszcze dwóch mężczyzn, chłopaczków w wieku mniej więcej Lenny’ego: Walery Gibkow i Steve McGinnis, Rosjanin i Kanadyjczyk tworzący Grupę Roboczą PolarNieft. McGinnis i Gibkow nie pracują ani dla Continentala, ani dla L-Petu, ale dla spółki akcyjnej, którą powołano do prowadzenia naszego wspólnego przedsięwzięcia. Są, że tak powiem, kamerdynerami oligarchii z L-Petu, a ich obecność tego wieczoru stwarza przyjemną strefę buforową. Zwłaszcza Gibkow sprawia na mnie wrażenie człowieka, który nie jest ani durniem, ani świrem. Jeśli Rosja ma jakąkolwiek przyszłość, to nadzieje należy pokładać właśnie w tych młodych ludziach, którzy słowo „biznes” interpretują zgodnie z jego pierwotną definicją jako „działalność przynosząca zyski”, a nie z miejscowym znaczeniem obejmującym łapownictwo i zabór mienia.

Na razie zdążyliśmy wyrazić się z uznaniem o wędzonym łososiu bałtyckim, gulaszu z jesiotra i niezwykle kruchej cielęciny oraz zgodzić się co do tego, że wódka (Cîroc? Klejnot Rosji?) wchodzi „bardzo gładko”. Teraz, gdy rozlano już pierwsze sześćset gram, Kabłukow kiwa palcem na kelnera i zamawia „resztę”.

Ledwie zdążę spróbować strogonowa, na stole materializują się dwie następne karafki. Wiem, że z moją trzeźwością nie jest dobrze, skoro za każdym razem, gdy podnoszę wzrok na błękitny szklany sufit restauracji, czuję się tak, jakbym spadał do ogromnego basenu. Ale może to tylko najzwyczajniejsza dezorientacja, może zwodzi mnie nie oko, lecz ucho podrażnione dźwiękiem niepowstrzymanego odlewania się cherubinka sikającego z wierzchołka marmurowej fontanny. Ten dźwięk przywodzi na myśl „zaawansowane metody przesłuchań”, będące obecnie tematem rozmowy Toma i Muchowa.

– Waterboarding... To brzmi jak jakiś letni sport – mówi Muchow, uśmiechając się zjadliwie. – Wy, Amerykanie, potraficie nawet tortury przedstawić tak, że sprawiają wrażenie rozrywki w czasie wolnym.

– No wiesz, Oleg, technicznie rzecz biorąc, to nie jest tortura, tylko symulacja – prostuje Tom. – Więzień ma wrażenie, że tonie, ale w rzeczywistości nie tonie.

– Technicznie rzecz biorąc, mamy w Rosji takie powiedzenie: „Kura nie ptak, baba nie człowiek”. A wy w Stanach mówicie: „Waterboarding nie tortura, obciążanie nie seks”.

– Strasznie śmieszne – mówi Tom. – Rozumiem, do czego zmierzasz, ale można powiedzieć, że to drugie jest również pewnym rodzajem, hmm, symulacji.

W tym momencie Kabłukow nachyla się do mnie i wyznaje tym swoim szorstkim głosem:

– Do diabła z całą tą polityką. O czym oni tak bredzą jak te tumany z G8? Napijmy się. – Napełnia mi kieliszek po brzegi, nie roniąc ani kropli. – No, przydałoby się jeszcze jakieś damskie towarzystwo – mówi i jednym szybkim haustem opróżnia kieliszek, zanim swój zdąży podnieść do ust.

– Skoro o towarzystwie mowa – mówię – jak się miewa twoja uroczą przyjaciółką? Przypomnij mi, jak ma na imię?

Kablukow burczy coś z pełnymi ustami, a ja zaczynam wątpić, czy to właściwy kierunek konwersacji.

– Te wszystkie telki mają nasrane we łbie. Moja żona ma jedną zasadę. Nie zawraca sobie nimi głowy, byle cała zabawa nie trwała dłużej niż trzy miesiące.

– Nowa telka co trzy miesiące! – wykrzykuję.

– Nie. Tego nie powiedziałem. Musisz uważniej słuchać. Trzy miesiące to granica.

– Widzę wyraźnie, że dla Kablukowa jest niezwykle istotne, bym poprawnie przyswoił sobie tę zasadę. Jest w końcu człowiekiem rodzinnym. – Trzy miesiące to wystarczająco długo.

– To bardziej dla twojego niż ich bezpieczeństwa.

Z powagą kiwa głową.

– W każdym razie – mówi – są w życiu ciekawsze rzeczy.

Tym mnie zaintrygował. Cóż takiego mogło zaciekawić Trepę bardziej niż strzeliste blondynki? Na odpowiedź nie czekam długo.

– Konie!

– Wystawiasz je do wyścigów?

– Co? Nie! Rozmnażam cholery!

– Same nie mogą?

– Rozumiem, że to żart, Brink, ale to poważna sprawa. Kardynalna zasada hodowli koni brzmi następująco: żadnej sztucznej inseminacji. Inaczej koń nie dostanie paszportu. Dlatego przysyłają klaczki do mojego chłopaka prywatnymi samolotami, żeby mógł je wychędożyć jak złoto. Jest zbyt cenny, żeby go wystawiać do wyścigów. Jego dziadek był jakimś Wielkim Duńczykiem. Nie powiem ci, ile za niego dałem, ale powiem ci, ile na nim zarobiłem. Czternaście baniek. Nie ma to jak życie emerytowanego czempiona. Całymi dniami nic nie robi, tylko żre i bzyka, żre i bzyka. Wszyscy szejkowie z saudyjskiej rodziny królewskiej wsadzają swoje klacze w samoloty, żeby mój ogier je posunął. Arabowie mają kompletnego świra na punkcie koni. To część ich tradycji, baśnie z tysiąca i jednej nocy i tak dalej. Wszystkie konie, które w zeszłym roku wygrały wyścigi, wszystkie!, to jego potomstwo. Tatusiek ma na całym świecie dzieci, o których nawet nie wie. – Kablukow zniża głos prawie do szeptu. – Trzymam go w specjalnej stajni, rozumiesz? Nie tutaj. Nie jestem idiotą. W Rosji albo by go zarżnęli, albo porwali, albo jedno i drugie. Nie, jest bezpieczny w Anglii. I tylko dwie osoby wiedzą, gdzie ta stajnia jest: ja i jej zarządca.

Wszelkie uczucia, jakie Trep mógłby żywić do swej nowej kochanki, bledną w obliczu afektu do końskiego Casanovy. Jakby do tego stopnia utożsamiał się z tym ogierem czystej krwi – podniety libertyńskiego życia, ryzyko bycia zamordowanym – że przez chwilę muszę się zastanowić, czy przypadkiem nie opisuje siebie.

Ale nawet skupiając się na Trepie, nie potrafię nie słyszeć śmiechów dobiegających z drugiego krańca stołu, gdzie Muchow, nasz seryjny błazen, przeszedł z powrotem na rosyjski, by uraczyć młodych pracowników PolarNieftu dowcipami na temat Michaiła Chodorkowskiego, młodego barona naftowego, którego pięć lat temu aresztowano na płycie lotniska i wysłano w pobliże chińskiej granicy, by tam oczekiwał swego marnego losu.

– Bieriezowski i Chodorkowski siedzą razem w bani. Bieriezowski odwraca się i mówi: „Misza, serio, albo zdejmij krzyżyk, albo włóż gacie”.

Śmieją się wszyscy łącznie z Tomem, który nie rozumie ani słowa, ale szeroki jankeski uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Wszystko tak tylko dla żartu. Jedyne kapitan Serdiuk się nie uśmiecha.

– A niech gnije w Czicie, złodziejaszek – wtrąca stanowczo i bierze się do krojenia cielęciny. – Niech siedzi i myśli, jak siedzieli zwykli Rosjanie.

Zerkam na szczerzącego się Toma i postanawiam oszczędzić mu tłumaczenia. To, co Serdiuk miał na myśli, jest dla mnie jasne: a niech ten Żyd siedzi i duma, jak siedzieli zwykli Rosjanie. Witaj doma, słyszę w uchu szept Lenny’ego. Mam poczucie, że w tym tygodniu będzie to mój prywatny refren. Pojęcia nie mam, jak mój syn dzień po dniu znosi ten powszechny antysemityzm.

Ale tak szczerze mówiąc, jak ja sam go znosiłem?

– Ten tam jest w porządku – podejmuje Kabłukow, kiwając głową w stronę Toma.
– Zwykle wam, Amerykanom, trzeba wszystko akuratnie wyłożyć, jak krowie na rowie.
– Grube paluchy rozkłada jak szpony na moim bicepsie. – Dlatego dobrze mieć do rozmowy jednego z nas. Nawet jeśli – znów wzdycha – Matuszka Rossija nie jest już dla was wystarczająco dobra.

– Życie prowadzi nas w sobie tylko znanym kierunku, Iwanie Matwiejewiczu.

Teraz jest już dla mnie jasne, że Tom zatrudnił mnie nie tylko ze względu na wiedzę techniczną, lecz i dlatego że Continental szukał przyjaznego ambasadora, kogoś naturalnie rosyjskiego i równie naturalnie amerykańskiego, kto mógł załagodzić ewentualne konflikty, by uniknąć konieczności angażowania prawników (w tej części świata w gruncie rzeczy bezużytecznych). Mam wrażenie, że Kabłukow mnie testuje, domagając się dowodu przynależności. Tyle że jestem zbyt pijany albo zbyt skołowany po zmianie czasu, żeby go przywołać do porządku.

– Dla mnie jest już za późno – mówię, odruchowo przybierając ten sam tęskny ton.
– Ale mój syn za skarby świata by się stąd nie ruszył. – Słowa docierają do mnie, zanim sobie uświadomię, co właściwie wygaduję, ale wyznanie wywołuje uśmiech na twarzy Kabłukowa. Krzaczaste brwi wyjeżdżają mu znad oprawek ray-banów.

– Naprawdę? Wasz chłopak się tu wychował?

– Nie. Wyjechał z nami do Stanów, kiedy miał sześć lat. Przeniesienie się z powrotem tutaj było jego własnym pomysłem. Chciał spróbować szczęścia w ruletce razem z resztą młodych buntowników. A twoje dzieci?

Kabłukow ignoruje pytanie.

– A co on robi, twój syn?

Wyjaśniam, że pracuje w finansach, ale rezygnuję ze szczegółowego opisu jego ostatnich przygód.

– Podziwiam ludzi, którzy są kowalami własnego losu – mówi Kabłukow. – Szczęście nadal się do niego uśmiecha?

Zaskakuje mnie jego uwaga. To nie w jego stylu interesować się czymkolwiek, co ktokolwiek miałby do powiedzenia. Wzruszam ramionami.

– Sam masz dzieci. Często ci się zwierzają?

Trep z powagą kiwa głową i klepie mnie otwartą dłonią po ramieniu, po czym oparłszy się na nim, podnosi się z krzesła.

– Przyjaciele – ogłasza – wybaczcie, ale niestety muszę opuścić nasze przemile zgromadzenie.

– Tak szybko, Iwanie Matwiejewiczu? – oponuje pogodnie Muchow.

– Przyłączycie się do nas jutro, na pierwszą rundę wyborów? – pytam.

Trep kręci głową.

– Obawiam się, że niecierpiące zwłoki interesy wzywają mnie do Tallinna. Ale moi dwaj kompani zapewnili mnie, że mamy tu naszych ludzi – mówi, zwracając się do mnie. Jego ciepła, nadnaturalnej wielkości dłoń ciąży mi na ramieniu. – Zawierzam całkowicie waszemu zdrowemu rozsądkowi – ciągnie, patrząc na mnie. Wypija do dna swój ostatni kieliszek, po czym rusza w stronę przeszlonych drzwi, z komórką przylepioną już do ucha.

Gdy tylko Kabłukow wychodzi z sali, jego dwaj podwładni wpadają w szampański nastrój. Muchow natychmiast przywołuje kelnera, by napełnił opróżnioną karafkę. Serdiuk zsuwa resztę cielejących kotletów ze srebrnego półmiska na swój talerz. Czuję wciąż na obojczyku uścisk paluchów Kabłukowa. Dociera do mnie, co powiedział – że zawiera całkowicie naszemu „zdrowemu rozsądkowi”, nie naszej „wiedzy”. Odwracam się do Serdiuka, pochłoniętego nadziewaniami na widelec i połykaniem mięsa.

– Co to za niecierpiące zwłoki interesy w Tallinnie?

Serdiuk nie przerywa jedzenia, jakby mnie nie słyszał. Uznaję, że nie będę się powtarzał, i dolewam sobie wódki. Po drugiej stronie naszej strefy relaksu zastawionej pustymi półmiskami i karafkami Muchow rzuca kolejny dowcip, tym razem o nowej serii zdjęć, które wyciekły z Abu Ghurajb. Rumsfeld poinformował żadną sensacji prasę, że najnowsza partia jest jeszcze pikantniejsza od poprzedniej, ale jeśli obywatele Stanów Zjednoczonych mają ochotę rzucić na nią okiem, to muszą najpierw wybrać Busha na kolejną kadencję.

McGinnis tłumaczy ten zleżały żart Tomowi, na którego twarzy dostrzegam ledwie skrywane obrzydzenie – to bardziej odruch fizyczny niż stan emocjonalny, jakby powąchał zepsute mięso. Chcę wyjaśnić Muchowowi, że są tylko dwie kadencje, a Bush już dawno zwolnił Rumsfelda, ale jaki sens ma wyjaśnienie czegokolwiek? Ostatnimi czasy obrona Ameryki nie przynosi chluby. Minęły trzy lata, a obrazy są wciąż świeże w ludzkiej pamięci: dziewczyna z cofniętym podbródkiem, wyglądająca jak dziesięcioletni chłopiec w bojówkach, ciągnie na smyczy nagiego Irakijczyka. Oto jak obnażono amerykańskie zepsucie; świat nie może się napatrzeć.

Jestem zaskoczony, kiedy Serdiuk, opróżniwszy talerz, odwraca się do mnie i odpowiada na pytanie:

– Estończycy mają rafinerię na wybrzeżu. I to myśmy ją tym łachmaniarzom zbudowali, w osiemdziesiątym drugim. Potem położył na niej łapę ten zaklinacz szcurów Chodorkowski. No i teraz jest, rozumiecie, do wzięcia. No więc złożyliśmy ofertę, a ci uznali, że lepiej wyjdą, sprzedając ją Czechom.

– Chcecie przelicytować Czechów? – pytam, choć mam podejrzenie, że nie taką strategię obrał L-Pet.

– Daruj sobie te idiotyczne pytania. Transnieft zakręcił im kurek dobre parę miesięcy temu. – Obserwuję, jak dłoń Serdiuka przekręca niewidoczny zawór ropociągu. – Mieli okazję się przekonać, jak lojalni są Czesi. No i teraz burmistrz Tallinna dosłownie błaga nas na kolanach, żebyśmy raczyli kupić jego starą fabrykę. Ale jak się możesz domyślić, teraz to my sobie posiedzimy i spokojnie poczekamy.

A więc na tym polega rola wiceprezesa ds. komunikacji i bezpieczeństwa korporacyjnego. Kabłukow, ten czuły capo, zostaje wysłany do Tallinna, aby sfinalizować nieukończoną misję dyplomatyczną alla famiglia. Teraz, kiedy L-Pet we współpracy z rosyjskim gigantem mającym monopol na przesył ropy naftowej odciął rafinerii dostawy, doprowadził ją do bankructwa, radykalnie obniżył jej wartość i odstraszył zagranicznych zalotników, teraz, kiedy połamał już Estończykom golenie, gotów jest ostatecznie sprzedać im wózek inwalidzki. Zaskakuje mnie to, że właściwie mniej mnie porusza rola egzekutora odegrana przez Kabłukowa niż stosunek do całej tej sprawy Serdiuka. Za kogo się mają ci beczelni Czesi, by chcieć kupować naszą rafinerię? I za kogo się mają ci brudni Estończycy, by chcieć sprzedawać to, co dla nich zbudowaliśmy?!

– No ale naprawdę, co tu się roztkliwiać i histeryzować nad kilkoma zdjęciami? – mówi Muchow, podejmując przerwany wątek. – Możemy wyciągnąć kilka niezłych podobnych fotek od naszych braci Czeczenów w Czernokozowie. Rzecz w tym, że cała ta afera... O co w niej chodzi? O mit. Jaki mit? Ano taki, że wasi amerykańscy żołnierze walczą w białych rękawiczkach. – Te słowa kieruje już do wszystkich siedzących przy stole, porzucając rolę błazna i wchodząc bez reszty w skórę agitatora. Przygotowuję minę na to, co zaraz nadejdzie: Wasze wojsko to sadystyczni bandyci, nie lepsi od naszego Specnazu! Wasza demokracja to nędzna namiastka, taka sama jak rosyjska! A wasza rzekomo wolna prasa... Tej szarady nawet nie próbujemy rozwiązywać. – No i na co wychodzi? Ano wychodzi na to, że wszyscy są dokładnie tacy sami! – mówi jak na zawołanie. – Tylko że nasz Departament Stanu nie zawraca sobie głowy publikowaniem corocznego raportu o tym, co to niby zrobił w tym roku dla demokracji.

Rozsadza go duma płynąca ze słusznego sprzeciwu wobec prawości. Nie zazna spokoju, póki mnie nie przekona, że każda amerykańska instytucja jest takim samym misternym oszustwem jak rosyjska bezkresna wioska potiomkinowska.

No i proszę, rzeka alkoholu znów pociągnęła nas do tej rozległej zatoki epistemicznej, w której każde obłąkane twierdzenie jest zrozumiałe samo przez się, a prawdy uniwersalne ciąga się na przesłuchania. To Strefa Wolna od Logiki, w której niejednokrotnie byłem przypierany do muru i zmuszany do zeznawania, że Roosevelt naprawdę nie wiedział o planowanym bombardowaniu Pearl Harbor, lub wzywany do tego, by „dowieść”, że palenie papierosów faktycznie powoduje raka.

– Nie zapomnij wspomnieć o tym, że Neil Armstrong nigdy nie stanął na Księżycu – podsuwam. – Że to wszystko było zwykłym oszustwem wyreżyserowanym w jakimś hollywoodzkim studiu.

Patrzy na mnie z ukosa, próbując stwierdzić, czy mówię poważnie. Ostatecznie okazuje się jednak, że interesuje go inne lądowanie.

– Co do Księżyca to nie mam zdania – mówi. – Ale chętnie dowiedziałbym się, co się stało z pozostałymi samolotami.

– Jakimi samolotami? – pytam.

– Dajesz spokój, z tymi z jedenastego września! Było siedem.

Wymieniam spojrzenia z chłopakami z PolarNieftu.

– Nigdy nie słyszałem o żadnych siedmiu samolotach – mówię.

– No, no. – Muchow w osłupieniu rozgląda się po otaczających go twarzach. – Oni wam tam naprawdę nic nie mówią, co?

– No dobrze, jaką macie teorię? – pytam. – Że to wszystko ukartowała CIA?

– Skąd mam wiedzieć? Może CIA? Może FBI...

– A może KGB, jasne. Może nie zagłębiajmy się dziś zanadto w te niebezpieczne teorie.

– A kto tu mówi o teoriach? Jesteś inteligentnym człowiekiem. Mówię tylko, żebyś się zastanowił, kto na tym wszystkim skorzystał.

– Zgodnie z tą logiką – odpieram – Kreml wysadził budynki mieszkalne i oskarżył Czeczenów, żeby wasze wojska mogły z powrotem wejść do Groznego.

Tom, mimo bariery językowej wyczuwając w moim oskarżeniu potencjał zapalny, zaczyna unosić rękę, by rozładować napięcie toastem. Nie zdąża go jednak wznieść, bo Muchow rozpromienia się – nie z gniewu, lecz z radości!

– Jasnoje dzieło! – wykrzykuje. – Oczywiście, że tak!

Wyciąga rękę, jakby chciał ucałować mnie w krnąbrne czoło, a z twarzy bije mu blask samozadowolenia człowieka, któremu w końcu udało się dowieść swego.



Było już po dziewiątej, gdy Florence się obudziła. Obok niej z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami leżał Leon. Ramię zarzucił jej na pierś, na wpół zagarniając ją ku sobie. Wyplątała się z jego objęć ostrożnie, ale i tak uderzyła kostką o drewnianą nogę stojącego przy łóżku fotela.

Zanim wprowadzili się z Leonem do ich i tylko ich jedenastometrowego pokoju, Florence wyobrażała sobie to miejsce jako sowiecką wersję czegoś w rodzaju artystycznej pracowni typowej dla Greenwich Village. W przeciwieństwie do maleńkich pokoi przepierzonych płytami pilśniowymi, jakie zajmowali ich sąsiedzi, lokum, które miała dzielić ze swym świeżo upieczonym konkubentem, miało własny piec i okno w wykuszu rzucające na ściany prostokąty światła, złotego moskiewskiego światła, które podkreślało rysunek drewna na nagim parkiecie i wypełniało pokój atmosferą duchowej i intelektualnej kontemplacji. Florence była przekonana, że ograniczenia przestrzeni zdoła zrekompenzować oszczędnym doбором niezwykłych mebli: łóżko za dnia będzie pełniło funkcję kanapy, postawiony na boku kufer stanie się regalem, szeroki okienny parapet będzie służył za miejsce do czytania, a biurko Leona da się z pomocą barwnej serwety przekształcać w stół. Nie wzięła jednak pod uwagę tego, że wspólna kuchnia na końcu korytarza okaże się o wiele za mała, by wszyscy lokatorzy mieszkania mogli przechowywać w niej jedzenie i naczynia (a gdyby nawet, Florence nie zaryzykowałaby zostawienia w niej własnych rzeczy, żeby nikt ich nie zwędził), więc ostatecznie jej medytacyjnemu parapetowi trzeba było wyznaczyć rolę półki na chleb, olej, pomidory, mąkę, konserwy i słoje ogórków. Na biurku Leona też musiało się znaleźć miejsce na przedmioty codziennego użytku: lampę naftową, prymus i kosz bielizny do wyprasowania. Z tego kosza Florence wyłowiła teraz suchy ręcznik. Narzuciła na siebie szlafrok, złapała wiadro i mydło zza drzwi, po czym pomaszerowała w kierunku wspólnej łazienki, przerażona dźwiękami czyichś wysiłków dobiegającymi z przyległej toalety.

O ile życie w bezwzględnym reżimie narzuconym przez niemłodą właścicielkę mieszkania na Pietrowce przypominało kwaterowanie w rygorystycznie prowadzonej bursie, mieszkanie w dziewięciopokojowej komunałce nasuwało skojarzenie z pobytem na oddziale państwowego szpitala: dom wypełniały opary pośpiechu i niezgody, nieustanne napięcie grożące w każdej chwili wybuchem. W tym ścisku wszystko mogło wywołać zawiść i nienawiść. Im bardziej pogarszała się sytuacja polityczna, im częściej nagłówki codziennych gazet ostrzegały przed „szpiegami i sabotażystami”, tym wyraźniejsza stawała się wzajemna wrogość.

– Nie dość, że podgryzają nas z zewnątrz, to jeszcze ci tutaj na nas pasożytują –

powiedziała któregoś dnia w kuchni sąsiadka, Witkina, odłożywszy na stół gazetę. Mówiąc to, nie patrzyła na Florence. Nie musiała.

Florence była jednak świadoma również tego, że prawdziwą przyczyną jej kłopotów nie są dominujące obecnie polityczne wiatry, lecz jej osobowość. Nie podejmowała gry. Nie chciała tracić czasu na wysłuchiwanie narzekań Witkiny na reumatyzm ani przeżywać jej starych rewolucyjnych przepraw, kiedy to odrzucała awanse bardzo ponoć atrakcyjnych oficerów. Nie miała też cierpliwości do plotkowania z osobą, której akurat przyszło do głowy przeszkodzić jej w gotowaniu, by zwerbować ją do najnowszej entente. Choć w sumie pojmowała niepisane zasady życia w komunalce, zgodnie z którymi mężczyźni mogli zachować w razie sporów pewnego rodzaju neutralność, a kobiety nie, w praktyce zniżanie się do poziomu złośliwych plotkar tylko po to, by żyć z nimi w zgodzie, uwłaczało jej dumie i niezależności.

Ledwie dwa lata wcześniej chciała mieszkać „z ludem”, ze wspaniałym narodem rosyjskim, teraz jednak, gdy wtłoczono ją do dusznych pomieszczeń razem z tą monstrualną abstrakcją, musiała nauczyć się znosić jej bezbrzeżną ignorancję i złośliwość, wszechobecną zawiść i małostkowość. Wydawała się zupełnie pozbawiona talentu do ustępstw, które Leonowi przychodziły z czarującą łatwością. Potrafił tak długo zalotnie przypoehlebiać się starej wiedźmie, która ich kąt kuchni nazywała „jewriejskim stoliczkiem”, tak długo reagować na prowokacje kobiety teatralną życzliwością, że wreszcie paskudna szantrapa umykała z kuchni kompletnie zdezorientowana, mrucząc pod nosem jakieś nienawistne brednie. Nie uchylał się i od wypicia późnym wieczorem kilku głębszych z Garikiem, Ormianinem o obwisłych policzkach pracującym w zakładach drobiarskich. „Składanie zamówienia na dostawę” – tak Leon określał te ciągnące się do późnej nocy posiedzenia nad wódką i ogórkami, podczas których Florence siedziała w łóżku, czekając jak jakaś usychająca z miłości dziewczeczka, aż ten wróci i zacznie ją półprzytomnie obmacywać. No i rzeczywiście, kilka dni później docierała obiecana nagroda w postaci kurczaka. Ale Florence nie dawała się zwieść: żadne skruszone żarciki o przymusie przestrzegania tych męskich rytuałów nie mogły ukryć przed nią faktu, że w głębi ducha Leon wydawał się czerpać z nich przyjemność.

Uświadamiała sobie tę fundamentalną różnicę między nimi: Leon zawsze żył tak, jak teraz żyli: w wynajmowanych mieszkaniach, w biedzie, w koszmarnym ścisku. Szybko nauczył się radzić sobie w życiu pochlebstwem, perswazją i bezwstydnym bajerowaniem. Pokochała go po części z litości nad jego dzieciństwem i teraz bała się, że skarżąc się zbyt gorzko na warunki ich życia, zdradzi się ze swoją małostkowością. A przecież nie mogła zaprzeczyć, że potwornie irytowała ją obojętność Leona na to, jak żyją, narażeni na wścibstwo i złośliwość sąsiadów. W Stanach takie pogodzenie się z losem odebrano by jako brak ambicji. Tyle że tutaj najbardziej wygórowane ambicje niczego by nie zmieniły. Tutaj wszyscy żyli tak samo, wrzuceni do wielkiego kotła (wszyscy z wyjątkiem takich szych jak Timofiejew, oczywiście). No i na tym polegał ten paskudnie nierozwiązywalny problem: fakt, że Leona nie można było winić za niezdolność do zapewnienia im innego życia, nie uśmierzał jej tęsknoty za rozpoczęciem wszystkiego od nowa. Przymuszała sobie pójść tego dnia na długi samotny spacer, przewietrzyć trochę głowę.

Wróciwszy spod ledwie letniego prysznic, zastała Leona przy stole, obierającego jabłko do wyszczerbionej emaliowanej miski. Kiedy zdjęła szlafrok, odłożył nóż, po czym podkradł się i objął ją od tyłu, przyciskając wargi do ciepłej skóry na jej łopacie.

– Jest wpół do dziesiątej, skarbie.

– Potem zrobię śniadanie – obiecał. Głos miał niski i sennie chrapliwy.

– Później, przyrzekam. Teraz muszę pójść po sprawunki, póki jeszcze nie ma za długich kolejek.

Tyle się przez ten ostatni rok zmieniło. Zamknięto większość sklepów obsługujących cudzoziemców z dewizami. Kartek Insnabu, z których korzystała Florence i jej przyjaciele, już nie wydawano. Wielu znajomych uznało to za wystarczający powód, by wrócić do domu. Dla Florence było oczywiste, że ci ludzie nigdy nie zaangażowali się z przekonaniem w dążenie do prawdziwej równości. Zejść ze statku teraz, bo zabrakło kawioru i importowanego wina? Usłyszała w głowie niski, ostrzegawczy głos Siergieja: „Wróć do domu, Floro”. Ubrawszy się pospiesznie, wcisnęła klucze i dokumenty do torebki.

Leon westchnął.

– Musisz iść właśnie dzisiaj? Nigdy nie dostajemy wolnego tego samego dnia.

– Nie marudź. Ktoś musi ci kupić tę soloną rybę, którą tak uwielbiasz.

Brwi z radości podjechały mu do góry.

– Może pójde z tobą.

– Nie, nie, śpij sobie.

Faktem było, że musiała pójść do OWIR-u, zanim ustawią się tam kolejki. Od cudzoziemców wymagano teraz odnawiania co trzy miesiące pozwoleń na pobyt. Stało się to jej prywatną gehenną, jej osobistą miarą żarliwości rozbudzanego wciąż na nowo zaangażowania. Nie przyznawała się do tego Leonowi, ale za każdym razem zadawała sobie pytanie, czy ten stempel będzie jej ostatnim.

– Za kilka godzin wrócę – rzuciła na pocieszenie i cmoknęła go w czoło.

Na zewnątrz otuliła szyję kołnierzem i ruszyła zasłaną liśćmi ścieżką przecinającą podwórka na tyłach Pierwszej Samotecznej. Cieszyła ją możliwość ucieczki z dusznego mieszkania, oddychania pod błękitnym niebem rześkim powietrzem parku Samotecznego, w którym trawniki i kwietniki były tak zadbane. Z placu Samotecznego przecięła szeroką aleję prowadzącą na bulwar Cwietnoj, po czym ruszyła do biura rejestracji wiz. Na schodach wejściowych do OWIR-u wcisnęła pod moherową chustkę zabłąkane kosmyki włosów i przybrała bezmyślny, uległy wyraz twarzy. W ciągu minionych dwóch lat nauczyła się, wchodząc do urzędu, przytępić wyzywającą ostrość spojrzenia. Była już wystarczająco zsowietyzowana, by wiedzieć, że najniebezpieczniejsza jest nie wierchuszka, lecz urzędnicy sprawujący namiestniczą władzę w maleńkich dziedzinach na samym dole. Nie chciała zadrażnień z przysadzistą kobietą zza szyby.

Przy okienku Florence podsunęła paszport, usłużnie otwierając go na stronie zawierającej mocno już sfatygowaną wizę. Kobieta bezceremonialnie go zamknęła i otworzyła na stronie ze zdjęciem, po czym uważnie przyjrzała się twarzy Florence. Zapisała informacje z paszportu na jakimś świstku, przepisała je jeszcze raz i wręczyła

kopię Florence, nie oddając jej dokumentu.

– Przyjdźcie w przyszłym tygodniu po zezwolenie na pobyt – powiedziała rozkazującym tonem.

– Chciałabym dostać z powrotem paszport – powiedziała Florence, wskazując przez szybę na dokument.

– Musimy go zatrzymać, by móc wam wydać propiskę. Dostaniecie go, jak będziecie ją odbierać.

– Ale spisaliście już z niego wszystkie informacje.

Urzędniczka z irytacją aż zamknęła oczy.

– Przecież to mogą być dane kogokolwiek. Skąd mają wiedzieć, że to nie dane jakiegoś nieistniejącego czy podstawionego człowieka?

– Powiedziano mi, że to nie jest niezbędne. – Florence uśmiechnęła się, całkowicie nad sobą panując. – Jeśli chcą sprawdzić, czy rzeczywiście istnieję, powinni się dowiedzieć w komitecie mieszkaniowym. Jestem tam zarejestrowana.

– Wam powiedzieli jedno, a mnie drugie. Wykonuję polecenia. Takie są nowe zasady wydawania zezwoleń na pobyt. Bez tego dokumentu nie mogę wam wydać nowej propiski.

Za Florence utworzyła się kolejka. Urzędniczka zerknęła ponad jej ramieniem i krzyknęła:

– Następny!

– No dobrze. A kiedy dostanę go z powrotem?

– Powiedziałam wam: w przyszłym tygodniu. Propiska będzie u nas we wtorek.

– I mój paszport też do was wróci do wtorku?

Kobieta w okienku zajmowała się już jednak biurokratycznymi zagwozdkami jakiegoś innego petenta, więc Florence z wahaniem cofnęła się o kilka kroków. Paszport miała wciąż w polu widzenia, tuż-tuż, za szkłem, obok pulchnego łokcia kobiety. „Łap go!”, załomotał jej w głowie jakiś głos, ale jej ruchami rządziły już inne odruchy, zaszczerpione tak mocno, że przestała uzmysławiać sobie ich świeży rodowód: gotowość płynięcia z prądem, niechęć do prowokowania awantur. Ostatni raz zerknęła w stronę okienka, ale widok zasłaniało już zbyt wiele osób. Powoli zawiązała chustkę i wycofała się w chłód poranka.



Miałem jeszcze półtorej godziny do spotkania w siedzibie głównej L-Petu. Zszedłem do metra i wynurzyłem się w tej części Moskwy, której nienawidziłem najbardziej. Łubianka. Nie potrafię tędy przejść nienawiedzany przez duchy poprzednich wizyt. Wciąż czuję ten bolesny skurcz mięśni karku, którego doznawałem jako sześciolatek, wpatrując się w dziewięciopiętrowy budynek więzienia, gdy buty przesiąkały mi porannym ulicznym szlamem, a ja walczyłem z nagłą potrzebą oddania moczu. Matka wyciągała mnie z ciepłego łóżka o piątej rano i wiozła tu, gdy niebo było jeszcze czarne. Miała nadzieję, że z dzieckiem łatwiej jej będzie wcisnąć się do kolejki, która ustawiała się tutaj od północy. Wschodzące słońce oświetlało archipelag ludzkich ciał skulonych lub podsypiających na jakichś workach i płóciennych torbach. Wielu przebyło setki kilometrów, a wszyscy czekali na to, by usłyszeć jakieś wieści o bliskich w więzieniu lub przynajmniej przekazać dla nich nędzne paczuszki z czekoladą, pieniędzmi czy cebulą. Czasem paczki zabierano. Częściej nie. Mama uparcie przychodziła jeszcze długo po tym, jak wszyscy urzędnicy odmówili przyjmowania jej przesyłek. A ja chodziłem tam razem z nią, przeżywając co ranka od nowa upokorzenie ściągania spodni, by wysiusiać się na zamarznętym śniegu.

To miejsce łatwo było przeoczyć. Nie znajdowało się, jak sądziłem, tuż za rogiem więzienia Łubianka (odgrywającego obecnie rolę ośrodka administracyjnego FSB), lecz niżej, na zboczu wzgórza, wcisnięte między przeszklone witryny Kuźnieckiego Mostu. Dotarłem tam przez plac Dzierżyńskiego, który oczywiście nie nosił już tej nazwy. Posąg Żelaznego Feliksa, pierwowzoru czekisty, usunięto jakiś czas temu. I czyimże spizowym profilem zastąpił go prezydent Putin? Ano swojego mentora, Jurija Andropowa, który podarował KGB genialną diagnozę psychiatryczną „schizofrenii bezobjawowej”. Pozwoliło to aparatowi władzy zapłacić domy wariatów tymi, którzy protestowali przeciw jego obłąkaniu. Filozofia Andropowa była jednak w większej mierze uroczo prymitywna: „Unicestwienie oporu we wszystkich jego przejawach”.

W przeciwieństwie do więzienia magazyn, w którym miałem nadzieję zobaczyć akta rodziców, był ledwie oznakowany. Odszukawszy go wreszcie, pchnąłem drzwi i znalazłem się w wyłożonym linoleum holu wejściowym. Jedynymi sprzętami, pomijając bramkę do wykrywania metali, były tu składany stół i dwa plastikowe krzesła, z których jedno zajmował przysadzisty strażnik FSB w jasnobrązowym mundurze. Podniósł się niespiesznie, jakby podejmował pierwszy tego dnia wysiłek fizyczny.

– Propusk – powiedział, wyciągając rękę po przepustkę.

Byłem tu pierwszy raz. Nie miałem przepustki. Miałem mieć? Dałem mu paszport

i list wyjaśniający moje intencje. Zerknął na amerykański paszport w rdzawoczerwonej rosyjskiej okładce i oddał mi go, wyraźnie usatysfakcjonowany.

– Będzie pan musiał poczekać na administratora pełniącego obecnie dyżur.

– Jest archiwistą?

– Archiwista wyszedł. Będzie pan musiał umówić się na spotkanie z jego pomocnikiem.

Wskazał gestem plastikowe krzesło, na którym miałem chyba posłusznie usiąść i poczekać, aż administrator, archiwista lub jego pomocnik raczą się pojawić.

Spojrzałem na zegarek; spotkanie z L-Petem zaczynało się za dwadzieścia pięć minut. Usiadłem i otarłem pot z twarzy. Miejsca takie jak to najwyraźniej nie zasługiwały na klimatyzację. Zerknąwszy przez bramkę w głąb korytarza, dostrzegłem kilka pojedynczych siedzących w czytelnicy osób. Typowi zubożali sowieccy intelektualiści: wysłużone buty, przetarte na łokciach, wiatrem podszyte, przez okrągły rok noszone swetry. Wyglądali na historyków albo doktorantów przeprowadzających kolejną ezoteryczną autopsję, której wyniki prędzej czy później wylądują w sztywnej teczce i zostaną pogrzebane w krypcie podobnej do tej. Raptem ogarnęło mnie poczucie groteskowości moich poczynań. Było coś bezmiernie żalosego w przesiewaniu hałdy popiołów przeszłości z nadzieją na odnalezienie okruchów złota.

Strażnik sięgnął po telefon; miałem nadzieję, że z zamiarem wezwania pomocnika. Pociągnąłem łyk wody z butelki z etykietą L-Petu, którą wyjąłem z zestawu powitalnego w moim hotelowym pokoju. Strażnik FSB, ściskając w ręce słuchawkę, zerknął ukradkiem na mój napój.

– Proszę – powiedziałem, wyciągając rękę.

Pokręcił głową.

– To tylko woda. Żadnych substancji radioaktywnych, przysięgam.

Wstałem i postawiłem butelkę na jego biurku. Logo L-Petu z kroplą benzyny musiało go uspokoić, bo wziął łyk.

– Pomocnik zaraz przyjdzie – powiedział. – Ale jeśli nie chce pan czekać, może pan wrzucić wnioski do tamtego pudełka.

– A co pan radzi?

– Mnie pan pyta?

– No a kogo? – Uśmiechnąłem się.

– Poczekałbym. Mnóstwo świrów wrzuca tam listy.

Ciekaw byłem, jakie zażalenia do Historii mieli pozostali.

– Jakich świrów?

– Ktoregoś dnia przyszedł taki jeden, szukał dokumentów potwierdzających, że lotnictwo zestrzeliło znad Czeboksarów latający talerz – odparł. – Wszystkie te listy przegląda jeden pomocnik. Dlatego lepiej dać mu wnioski osobiście.

– Rozumiem.

– Ciągłe tu przychodzą. Szukają odpowiedzi.

Pracownik FSB odchylił się na krzesło.

– I... dostają je?

– Pewnie. Tylko nie na te pytania, które zadają.

I właśnie wtedy do holu wszedł chudy jak wieszak starszy mężczyzna.

– Ten człowiek na pana czeka – powiedział niepotrzebnie facet z FSB.

– Tak. W czym mogę pomóc? – Asystent mówił lekko przybitym głosem wykładowcy.

Powiedziałem mu, że szukam dokumentów na temat rodziców, i podałem mu lata ich aresztowania. Westchnął.

– Będzie pan musiał napisać potwierdzony notarialnie wniosek.

– Mam wszystko.

Pokazałem mu potwierdzony notarialnie list, paszport i na dokładkę odpis aktu urodzenia.

– Archiwista pojawi się dopiero jutro po południu.

– Przyjechałem do Moskwy tylko na kilka dni – powiedziałem błagalnie.

Asystent zerknął na strażnika z FSB obserwującego zza biurka naszą wymianę zdań.

– Przyjechał aż ze Stanów – powiedział z naciskiem mój nowy przyjaciel.

Wyglądało na to, że jego słowa miały pewną wagę, bo asystent skorygował wcześniejszą informację.

– No dobrze, proszę tu wrócić na czwartą. Może pan spróbować złapać archiwistę, zanim wyjedzie na daczę.

Z przewieszonymi przez ramię AK-74 oddziały patrolujące siedzibę główną L___ Petroleum były zdecydowanie lepiej uzbrojone niż przysadzisty facet z FSB przydzielony do ochrony tajnych niegdyś akt państwowych. Jeden z komandosów uważnie obejrzał moją laminowaną przepustkę, podczas gdy drugi wykonał kilka telefonów ze specjalnej przeszklonej kabiny, po czym wrócił z drugim zestawem przepustek dla mnie, wydrukowanych i trzykrotnie podstemplowanych.

Zjawiłem się jako ostatni. Pozostali (wszyscy z wyjątkiem Kabłukowa) byli już w środku i czekali na mnie z otwarciem koperty z ofertami przetargowymi. Walery czynił honory domu, rozcinając koperty po kolei eleganckim nożykiem z kości słoniowej. Każdą ofertę umieszczał na stole konferencyjnym pokrytym tak kosztowną politurą, że przypominał lodowisko z bursztynu. Popołudniowe słońce wpadało przez okna w ołowianych ramach jak przez świetliki we francuskiej kaplicy. Gdyby nie wiszący nad kominkiem dwugłowy rosyjski orzeł, mógłbym pomyśleć, że ta sala jest biblioteką jakiegoś szacownego uniwersytetu.

Naszym pierwszym zadaniem było odsianie oczywistych przegranych. Zaczął Gibkow, rzekomo najbardziej neutralny z nas.

– Murmańsk Shipping? – wymamrotał.

– Duże doświadczenie w pracy w warunkach arktycznych. I dają nam najlepsze warunki – powiedział Tom.

– Ale mają zabagnioną sytuację finansową – odparł McGinnis. – Za pięć lat mogą w ogóle zniknąć z rynku.

Nikt nie zaprotestował przeciwko odrzuceniu Murmańsk Shipping, co mnie zaskoczyło, bo była to jedna z około stu spółek córek L-Petu.

McGinnis wziął do ręki kolejną kopertę.

– Jessem. Szwedzi. Pod względem bezpieczeństwa nie do pobicia. Wygląda na to, że dobrze sobie radzą, rozwijają się.

Tym razem zaprotestował Tom.

– Budują dużo nowych statków i już w tym momencie są niedokapitalizowani. Możemy podziwiać ich ambicje, ale wszyscy zgodziliśmy się co do tego, że stosunek zadłużenia do kapitalizacji musi się mieścić w standardowym przedziale.

Żaden z dwóch podwładnych Kabłukowa – Serdiuk i Muchow – do tej pory się nie odezwał. Gadatliwy zwykle Muchow milczał, co było do niego całkiem niepodobne.

– No dobra. Co z tymi? – powiedział Gibkow. – Sausen Petroleum. Nowa firma, z siedzibą w Genewie. Były przedstawiciel handlowy L-Petu, nadal zajmuje się sprzedażą, ale wchodzi w przewozy morskie.

Muchow się ożywił.

– Mamy z nimi bardzo dobre doświadczenia.

Przekartkowałem ich ofertę, co nie trwało długo, bo była cienka jak opłatek.

– Nie chwytam – powiedziałem. – Nie mają literalnie żadnego doświadczenia. Niech złożą ofertę, jak już wyczarterują kilka statków.

Serdiuk z dezaprobatą pokręcił głową.

– Przyjrzyj się lepiej. Mają bardzo dobrą reputację.

Uniosłem ofertę i pozwoliłem jej opaść jak piórku.

– Jaką reputację?

– Nigdy nie mieli żadnych wycieków. Żadnych wypadków. Mają czyste akta.

– Powiem wam, kto jeszcze ma czyste akta – odparowałem. – Lekarz, który w życiu nie operował pacjenta. Powiedzcie mi, jakie mają statki w swojej flocie? Masowiec, kontenerowiec? Może chociaż jacht wycieczkowy? Hę?

– Mają bardzo dobre stosunki ze szwajcarskimi bankami – powiedział Muchow stanowczo.

– Jak wszyscy handlujący surowcami w Genewie – uśmiechnął się Tom.

– Szwajcarzy otworzą linię kredytową każdemu przygłupowi, byle zaczął handlować ropą – dodałem niepotrzebnie. Rozejrzałem się po sali, szukając kolejnego sprzymierzeńca. – A czy ktokolwiek zwrócił uwagę na to, że chcą od nas więcej niż pozostali? O szesnaście milionów rocznie więcej od Szwedów? Za co konkretnie?

Nikt nie odpowiedział.

Serdiuk spojrzał na Muchowa i pokręcił krótko ostrzyżoną głową, jakbym dalej nic nie pojmował.

– Sausen ma bardzo dobre relacje z panem Abuskałajewem.

Na dźwięk nazwiska prezesa L-Petu temperatura jakby spadła o kilka stopni. Wiedziałem, że tego nazwiska nie przywoływano zbyt często, a kiedy już, to wymawiano je z namaszczeniem, jak jedno z siedemdziesięciu dwóch imion Boga. Mówiono, że Abuskałajew, który był pół Rosjaninem, pół Azerem, w lewej szufladzie biurka trzyma Koran, a w prawej prawosławną Biblię. Karierę biznesową rozpoczął jako pierwszy zastępca ministra przemysłu naftowego radzieckiego Azerbejdżanu i wykorzystał powiązania polityczne, by uzyskać stanowisko prezesa L-Petu. Nie był młodym oligarchą, ale członkiem starej nomenklatury, co w ogromnej mierze wyjaśniało, dlaczego nie

podjęto nigdy żadnej próby przejęcia czy przewłaszczenia L-Petu. Największym osiągnięciem Abuskalajewa było w moim odczuciu stałe podtrzymywanie obrazu swojej lojalności względem prezydenta Putina. Miał skłonność do wygłaszania dla prasy takich strategicznie umniejszających jego rolę zdań jak: „Spółka państwowa nie może zyskać większego szacunku za granicą niż samo państwo”.

Serdiuk zaczął się rozwodzić nad tym, jakie znakomite relacje ma Sausen z szefem L-Petu i jak świetnie przysłużył się L-Petowi jako reprezentant handlowy, a wszystko to ledwie słyszalnym głosem, czym dawał do zrozumienia, że to do nas należy wzięcie jego słów pod uwagę, a nie do niego przekonywanie nas.

– Rozumiemy, że wiernie służyli L-Petowi przez wiele lat – powiedział Tom dyplomatycznie – ale ostatecznie i wy nie daliście im biedować.

Zerknąłem na zegarek. Nie wiadomo kiedy zrobiła się trzecia.

– Na razie ich nie wykluczajmy – zaproponował Gibkow, wyczuwając napięcie. – Mamy jeszcze kilka innych firm do przejrzania.

Ale ja nie potrafiłem odpuścić.

– Ludzie, dajcie spokój. Co to są za goście? W ogóle istnieją? Nigdy z nimi nie pracowaliśmy. Nigdy nie mieliśmy okazji ich poznać.

Poświęciłem trzy lata życia na projektowanie statków, o których rozmawialiśmy. Nie zamierzałem dopuścić do tego, by jacyś ustosunkowani amatorzy wpakowali je na górę lodową.

– A więc ich poznać! – powiedział Muchow pogodnie.

– Sądziłem, że są w Genewie.

– Genewa... Co za problem? Jutro ich ściągniemy! Poznać ich tutaj, w tej sali, o dziesiątej.

Muchow miał w zwyczaju wygłaszać swoje kwestie jak aktor, z kamienną twarzą, po czym uśmiechać się nagle. Teraz też tak zrobił.

– Nu? – zakończył. – Wsio spokojno?

Było dziesięć po czwartej, gdy wyszedłem ze stacji Łubianka. Wokół mnie wirowały białe kłęбки z topoli, przetaczające się falami po wybrukowanej ulicy. W biurze na Nieglinnej strażnik siedział dokładnie tam, gdzie zostawiłem go kilka godzin wcześniej. Spojrzał na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Jest archiwista? – zapytałem.

Rozłożył ręce z wyrazem uroczystego rozczarowania.

– Dosłownie przed chwilą wyszedł.



Florence wróciła tydzień później, by znów wejść po schodach do biura OWIR-u. Tym razem zastała w okienku inną kobietę, która wręczyła jej przedłużone dokumenty uprawniające do zamieszkiwania w mieście oraz pokwitowanie zdania starych dokumentów. Florence przeszył dreszcz paniki o sile wręcz tektonicznej.

– Gdzie jest mój paszport?

Ale nowa nie miała o niczym pojęcia.

– Tutaj! – Popukała spękany, żółkłym paznokciem w kwadratowy świstek, który dała Florence. – Zabieramy stare dokumenty, wydajemy nowe!

– Tak, ale dałam wam mój amerykański paszport.

Z przyklejonym cierpliwym uśmiechem zarezerwowanym dla największych tępaków kobieta wskazała znów na górę strony. Florence dostrzegła wypisany na maszynie numer swojego amerykańskiego paszportu. Z uczuciem, które wydawało się przypominać ulgę, choć nie była tego całkiem pewna, odczytała swoje imię (wypisane cyrylicą z „c” na końcu) oraz miejsce i datę wydania paszportu (Niu Jork, 1933).

– Co mam z tym zrobić?

– Zanieście to do ambasady, wydadzą wam nowy.

– A co się stało ze starym?

– A skąd mam wiedzieć, do diabła? Daję wam tylko to, co mi dali.

Zobaczyła się z Leonem dopiero wieczorem, po powrocie z pracy. W drodze do ich pokoju na samym końcu korytarza prawie przewróciła się o szczotki i pudełka staruszka, który czyścił i pastował sobie buty. Miała wrażenie, jakby wszystkie te frymuśne narzędzia służące do pielęgnacji obuwia specjalnie ustawiono tak, żeby nikt nie mógł przejść, a i tak to ich właściciel burknął na Florence, żeby patrzyła, gdzie lezie. Po wejściu do pokoju powiesiła płaszcz w kącie, który Leon żartobliwie nazywał ich „foyer”, ograniczonym z jednej strony futryną, a z drugiej bokiem komody. Sterta poskładanej pościeli piętrzyła się na stole, przy którym stał Leon – i prasował. Delikatnie, poświęcając temu zadaniu niemal matczyną uwagę, którą Florence podziwiała, sama mając jej tak niewiele, skończył zaprasowywać kant płóciennych spodni i umieścił je w walizce, która leżała otwarta na ich łóżku-kanapie.

– Nie mogę sobie przypomnieć... Jak dostanę biegunki, to mam pić szalwię czy rumianek? – zagadnął tytułem powitania.

Florence opadła na fotel i zdjęła buty, odwlekając chwilę, w której będzie musiała zrelacjonować poranne wydarzenia.

– Chyba zapakuję jedno i drugie – powiedział z dostrzegalnym zadowoleniem.

Wybierał się realizować swoje pierwsze w karierze propagandysty poważne zlecenie: przedsięwzięcie, które – jak wyjaśnił Florence – nie było „jedyną kolejną upraszczającą karykaturą” szczęśliwej rosyjskiej klasy robotniczej. Po raz kolejny wracał na wschód, tym razem nie jako bezdomny Żyd bez grosza przy duszy, lecz jako reporter oficjalnej państwowej agencji prasowej TASS, któremu przydzielono zadanie relacjonowania transformacji mniejszości narodowych – Uzbeków, Kazachów, Tadżyków – z ciemnych analfabetów ukrywających kobiety pod jaszczakami w traktorzystów! Operatorów maszyn! Kibiców sportowych i aktorów teatrów amatorskich! Dzięki jego doniesieniom zachodnia opinia publiczna będzie sobie obgryzać palce do kości, czytając o planach nawadniania, którymi radzieckie imperium obejmuje wyschnięte regiony, przygotowane teraz do tego, by uprawiać na nich bawełnę. Patrząc na jego zgrabnie zapakowaną tekturową walizkę i aluminiową manierkę, Florence poczuła ukłucie zazdrości.

– Powinieneś zabrać jodynę – powiedziała, po czym wstała i sięgnęła na górną półkę komody, gdzie trzymała leki. Wciąż ciążyła jej strata paszportu. Teraz, nadal odwrócona do niego plecami, powiedziała: – Dziś rano w OWIR-ze zdarzyło mi się coś bardzo dziwnego.

Usłyszała, jak gwałtownie urwał się syk żelazka. Mówiła dalej, wciąż odwrócona.

– Dali mi nowe zezwolenie na pobyt. Ale wygląda na to, że nie mają mojego paszportu, który dałam urzędniczce w zeszłym tygodniu. Dali mi to...

Leon podszedł bliżej i stanął, mrugając oczami nad świstkiem, który pokazała mu Florence.

– Moje pytanie brzmi – powiedział wreszcie – kim jest Florenc Fein? Bo chyba nie znam gościa.

– Leonie, nie sądzisz, że to wszystko jest trochę dziwne?

– Wiesz, co jest dziwne? Że wszyscy mi mówią, żebym wziął papierosy na łapówkę, kiedy cały Uzbekistan dosłownie tonie w tytoniu.

Wrócił do stołu i zaczął sprawdzać, jeden po drugim, rozmaite maleńkie ostrza, pilniki i pincety wbudowane w jego składany nóż.

– To na pewno jakaś pomyłka. Pójdę tam jutro jeszcze raz, może coś się wyjaśni.

– Nie walcz z procedurami, Florence, bo tylko zęby sobie wyszczerbisz. Zobacz. – Otworzył maleńkie cążki i poruszył nimi. – Masz tu wypisane wszystkie informacje, prawda?

– Wrócę tam i nie wyjdę, dopóki nie uda mi się porozmawiać z kimś, kto jest za to odpowiedzialny.

Po tej uwadze pogodne ożywienie znikło z twarzy Leona, jakby wyparowało.

– Florence, nie rób tego. To nie jest odpowiedni moment. Patrz, patrz...

Przetrząsnął stertę leżących na biurku dokumentów, aż wreszcie znalazł skórzaną okładkę paszportu, a potem pogrzebał w jednej z kieszeni i wyjął z niej kwadracik papieru bardzo podobny do tego, który mu pokazała.

Bez słowa ujęła go za rożek, jakby to była brzytwa. Wypisano na nim nazwisko Leona, jego numer paszportu, datę i miejsce urodzenia, datę wydania, czyli sumę rozproszonych cząstek tworzących jego amerykańską tożsamość, poskładanych na

powrót i wystukanych na maszynie cyrylicą.

– Dali mi to, kiedy cztery miesiące temu poszedłem przedłużyć wizę. Powiedzieli mi, że termin ważności był już zbyt bliski. Dlatego wydali mi taki właśnie tymczasowy.

– Chcesz mi powiedzieć, że od czterech miesięcy chodzisz z tym bezwartościowym świstkiem papieru? – Florence przemknęło przez myśl, że jej raptowna chęć zrugania Leona może być jedynie reakcją na skrywaną obawę, którą żywiła od rana, że to on będzie jej robił wyrzuty. Uzmysłowanie sobie tego w żadnym stopniu nie ostudziło jednak jej zapału do walki. – Nie przyszło ci do głowy, że mogłoby mnie to zaciekawić, zanim wybrałam się do OWIR-u?

– Nie wiedziałem, że się tam wybierałaś!

– No cóż, to trochę dziwne, że żadne z nas nie ma teraz oryginalnego paszportu.

– No dobrze, to dziwne. Pewnie nastał tam jakiś nowy naczelnik, który nabral awersji do brązowego koloru. Przecież Stany nie zapomniały o naszym istnieniu.

Florence opadła na fotel i przygryzła paznokiec kciuka. Nie była pewna, czy bardziej zdenerwowała ją sprawa paszportów, czy to, że Leon zostawia ją całkiem samą.

– Na ile wyjeżdżasz?

– Ledwie na cztery tygodnie. A jak wrócę... Och, skarbie... Przywiozę ci trochę tej turkusowej biżuterii, którą dziewczyny z ich haremów noszą we włosach i w pępkach, u-la-la!

– Oni tam nie mają haremów, Leonie. Myli ci się z Turcją.

– Może, ale powiem ci, co mają: haszysz.

– Jak będę mogła się z tobą skontaktować?

– Tak się składa, że jeśli chodzi o telefony, Uzbeki cierpią na pewne niedobory, ale spróbuję znaleźć jakiś telefon tam, gdzie się zakwateruję.

– Leonie, może powinnam się przejść do amerykańskiej ambasady. Jakoś to wyprostować.

Zrobił krok w jej stronę i przykląkł. Brzegiem dłoni odsunął loczek z jej czoła i założył go jej za ucho.

– Zajmiemy się tym, jak wrócę, okej? Zrobimy to razem. Ważne, żeby się cały czas tak wszędzie nie spieszyć.

Przyłożył dłoń do jej policzka i pocałował ją w głowę. Tak, jak mógł kiedyś całować swoją pomyloną, udręczoną matkę, pomyślała Florence.

Być może zastosowałyby się do rady Leona, gdyby nie list.

Listy z domu przychodziły teraz mniej regularnie, dwa albo trzy razy do roku, co Florence zinterpretowała jako pogodzenie się rodziców z jej wyborami, a nie wynik niedomagania radzieckiej poczty. W tym liście znalazł się jednak dopisek od jej brata, który (jak informowała matka w swojej części listu) przedterminowo ukończył Erasmusa. W cierpkim, a jednocześnie chępliwym tonie Zelda donosiła: „Sidney ma wrażenie, że jego przeznaczeniem jest Yale, ale bardziej prawdopodobne jest to, że jesienią rozpocznie naukę w City College”.

Rzuciwszy okiem na szalone pismo Sida, Florence dostrzegła, że brat nie znalazł się, jak ona kiedyś, pod urokiem Ligi Bluszczowej. Bardziej pragmatyczny, chciał po prostu studiować architekturę lub inżynierię lądową i zostać, jak jego bohater Robert

Moses (absolwent Yale), „przedsiębiorcą budowlanym”. Całe dwa akapity gryzmołów zostały poświęcone temu Robertowi Mosesowi, który przeobrażał Nowy Jork ze skupiska niepołączonych ze sobą dzielnic w ogromne megalopolis związane mostami i drogami ekspresowymi. Między kartki włożono dwa zdjęcia: fotografię portretową Sidneya ze szkolnej kroniki, na której dumnie unosił podbródek, wpatrując się z powagą w dal w taki sposób, w jaki przystało w jego mniemaniu przyszłemu przedsiębiorcy budowlanemu (choć jego uszy wyglądały jak otwarte drzwi taksówki pędzącej zakosami wprost na widza), oraz zdjęcie rodziny siedzącej w jadalni – Zeldy krzywiąca się nieufnie do obiektywu, Sidney z szerokim uśmiechem i zamkniętymi oczami, Harry z żoną i ich dziecko, czterolatka o pulchnych nóżkach siedząca na kolanach Solomona. Na końcu listu ojciec dodał ostrożne post scriptum, zapytując, czy Florence mogłaby przyjechać w czerwcu do Nowego Jorku na uroczystość wręczania dyplomów w szkole średniej Sidneya. Ostrożność tego zapytania pozwalała się zorientować, jakiej odpowiedzi spodziewa się ojciec.

Sidney, mimo chudej szyi i wielkich uszu, nie wyglądał już jak chłopak, którego zapamiętała. Czy to możliwe, że tak szybko minęło dwa i pół roku? Strasznie za nimi wszystkimi tęskniła. Ale bardziej niż to zaskoczyło ją spóźnione uczucie, które wzbudził w niej dom rodzinny. Owładnęła nią niemal fizyczna miłość do widocznych na drugim zdjęciu cieni abażurów z frędzelkami, salonowych bibelotów, umieszczonej na stole srebrnej tacy na serwis do herbaty, stojącego w rogu regału na książki (zastawionego, jak dobrze wiedziała, nieczytanymi „książkami miesiąca”), frymuśnych zasłon matki i całej reszty przytulnych, burżuazyjnych, niestosownych elementów wyposażenia wnętrza, których komunalne mieszkanie jej i Leona miało być skrupulatnym i pryncypialnym zaprzeczeniem.

Tej i kilku kolejnych nocy kładła się do łóżka szarpana niespokojną tęsknotą za radą i wskazówką. Dopiero następnego tygodnia, obudziwszy się któregoś ranka w surowym świetle białego zachmurzonego listopada, Florence zrozumiała, że splot jej uczuć można sprowadzić do praktycznej kwestii zakwaterowania. Jej perspektywy prezentowałyby się znacznie lepiej, gdyby udało jej się wyrwać ze ścisłu komunalnego życia. Roztropnie przypomniała sobie, że umieszczono ją kiedyś w kolejce po własny pokój przyznawany przez bank. Miała teraz spontaniczną chęć zapytać Timofiejewa, czy przez taki konkubinat jak jej i Leona nie przysługuje jej prawo do własnego pokoju w innym mieszkaniu. Mając dwa oddzielne pokoje na swoje nazwiska, mieliby z Leonem silną kartę przetargową pozwalającą zamienić je na czarnym rynku na samodzielne mieszkanie. Z pewnością jej mentor będzie mógł doradzić Florence w zaufaniu, gdzie się z tym zwrócić.

Tego ranka zapukała do drzwi Timofiejewa z nową odwagą. Gdy poprosił ją, by usiadła, z szacunkiem spuściła wzrok.

– Co to za pilna sprawa?

Od wielu dni dzielnie szykowała się na tę chwilę, a teraz nie potrafiła wydusić słowa.

Wydawało się jej, że spojrzenie Timofiejewowi w oczy przekracza jej możliwości, więc utkwiała wzrok w jego kołnierzyku. Uderzyło ją, jak bardzo obwisła mu skóra na szyi.

Korpulentny niegdyś dżentelmen wyglądał teraz jak rekonwalescent po wyniszczającej chorobie. Pomyślała, że być może to kwestia stresów związanych z wszystkimi tymi zebraniem, na które musieli ostatnio chodzić, wyjaśniając raz po raz implikacje niedawnych procesów, w których cieszący się powszechnym szacunkiem członkowie partii przyznawali się do potwornych zbrodni przeciwko krajowi.

– Wyduś to z siebie. Nie będziemy tu siedzieć do wieczora, Floro.

– No więc chodzi o moją sytuację mieszkaniową.

– Ach. Sprawa mieszkania.

– Mój mąż i ja nie zarejestrowaliśmy oficjalnie naszego związku i jestem przekonana, że moja sytuacja domowa jest, jak by to powiedzieć, nie do zniesienia.

– I chciałabyś za pośrednictwem banku wnioskować o własny pokój, tak?

– Owszem.

– Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc, Floro.

– Jestem przygotowana na długie oczekiwanie.

I wtedy, wypuszczając powietrze z płuc, Timofiejew powiedział:

– Nie mogę ci pomóc, bo likwidujemy twoje stanowisko.

Przez moment Florence wydawało się, że zapomniała jakichś podstawowych i niezmiernie istotnych zasad rosyjskiej gramatyki i nie jest w stanie zrozumieć dochodzących do niej słów.

– Miałaś zostać o tym powiadomiona w tym tygodniu.

– A więc chyba powinnam skończyć przepisywać korespondencję z zeszłego tygodnia i uporządkować...

– Floro Solomonowna, zostajecie niniejszym zwolnieni z pełnienia obowiązków.

Poczuła, jak uśmiecha się i mruga oczami, mruga i uśmiecha się, jakby jej mózg, sparaliżowany wstrząsem, potrzebował jeszcze czasu, by rozkodować jakiś sygnał dla ciała. A potem powoli zaczęło do niej docierać.

– Grigoriju Grigoriewiczu, wiecie, że byłam niezłomnie oddana...

– Dostaniecie oficjalny list, żebyście mogli ubiegać się o pracę gdzie indziej.

– Gdzie mam się ubiegać?

Milczał przez chwilę, a potem z ledwie odrobinę łagodniejszym wyrazem twarzy powiedział:

– Macie cenne umiejętności. To po prostu nie najlepszy moment. – Dostrzegła w jego twarzy odbicie własnej dezorientacji, patrzyła, jak wargi pod wąsami rozchylają się, gotowe, czuła to, udzielić jej jakichś wyjaśnień. Ale w tym momencie jakby się zawahał, a potem, patrząc jej prosto w oczy, dodał enigmatycznie: – Tak będzie lepiej, Floro, uwierz mi. Kto wie, co się zdarzy jutro.

Parkiet pod stopami Florence zachybotał się jak pokład rozkołysanej łodzi, kiedy pozbierawszy rzeczy z biurka, ruszyła do wyjścia.

Zawroty głowy nie ustępowały aż do wieczora, towarzysząc jej oczekiwaniu na telefon od Leona. Ale Leon nie zatelefonował ani tego, ani następnego wieczoru, a Florence nie miała żadnego sposobu, by skontaktować się z nim w Taszkencie czy gdzie tam mógł się teraz znajdować. Podczas tych bezczynnych, jałowych dni wykonała kilka daremnych telefonów na własną rękę. Najpierw zadzwoniła do Essie, zatrudnionej

obecnie na stanowisku korektorki w Domu Wydawniczym Publikacji Obcojęzycznych, która przyrzekła Florence popytać, czy w dziale anglojęzycznym nie ma jakichś wakatów. Oddzwoniła z odpowiedzią tak szybko, że Florence wydało się to wręcz nieuprzejme. I niepotrzebne.

- Nikogo nie biorą.
- Mówiłaś, że brakuje im rąk do pracy.
- Nie chcą zatrudniać cudzoziemców.
- To Dom Wydawniczy Publikacji Obcojęzycznych, na miłość boską.
- Może wiosną.

Dla Florence było jasne, że Essie nie ponowi pytania; za bardzo obawiała się o własne stanowisko. Florence zapytała w kilku innych miejscach, ale sprawa wyglądała beznadziejnie. Nie było wyjścia z tej matni. Każdy musiał być zarejestrowany w jakimś miejscu zatrudnienia, lecz nie sposób było dostać przyzwoitej pracy bez czyjegoś poręczenia. Nowo uchwalona konstytucja gwarantowała każdemu obywatelowi prawo do zatrudnienia. W praktyce oznaczało to, że niepodjęcie pracy jest łamaniem prawa.

Nocami leżała w odrętwieniu, dręczona wyrzutami sumienia. Co takiego zrobiła, że ją zwolnili? Dlaczego nie pilnowała lepiej paszportu? Kiedy zadzwoni Leon? Przekleństwem mieszkań komunalnych było to, że stłumione dźwięki dobiegające z korytarza były jednocześnie zbyt głośne i niepokojąco ciche. Zbyt donośne, by mogła zasnąć, zbyt niewyraźne, by mogła się domyślić, jakie oszczerstwa rzucają na nią sąsiedzi. W miarę upływu dni stan jej umysłu zaczął oscylować między paniką a ośpieniem. Nigdy nie była nałogowym palaczem, ale teraz, kupiwszy rano chleb i mleko, wstępowała do kiosku z papierosami. Trzęsąc się z zimna, stała w otwartym oknie, przez które napływało do środka ostre, wilgotne powietrze początków grudnia, i paliła jednego za drugim kazbeki, aż wreszcie nikotyna głuszyła jej niepokój i otaczała ją cierpką nieprzeniknioną aurą. Paliła, aż świat za oknem zaczynał szarzeć, a potem czernieć, aż wreszcie jedynym światłem w pokoju stawał się pulsujący rubin żarzącego się papierosa. Gdyby tylko mogła usłyszeć głos Leona! Wiedziałby, co powiedzieć, żeby ją uspokoić i obłaskawić ścigające ją demony.

Wpełzała pod kołdrę z fotografią Sidneya, jakby to był talizman. Zawsze z łatwością poddawała się tej jasności widzenia, którą sprowadzała na nią dojmująca samotność. W jej umyśle zaczęły się kształtować ponętne zarodki nowego planu. Obracała go w myślach nie po raz pierwszy, ale dopiero teraz pozwoliła mu przybrać tak namacalną postać. Wcześniej od rana do wieczora pojawiała się zbyt wiele zakłóceń: praca, zebrania, no i Leon, bez ustanku próbujący ją rozbawić i tchnąć w nią nieco optymizmu. Teraz wreszcie mogła pomyśleć. Raz po raz wracał do niej ten sam obraz: łódź przecinająca wody u wybrzeży Finlandii, a na pokładzie ona, wyprostowana w chłodnej bałtyckiej mgiele, ze zdecydowanym wzrokiem skierowanym na zachód. Czy naprawdę powrót do domu przyniósłby jej wstyd? Teraz zaczęła ją dręczyć jeszcze jedna myśl: czy stałaby sama, czy razem z Leonem?

Papierosy i wzmocniona brandy herbata pozwoliły jej przetrwać cztery dni, aż wreszcie zadzwonił Leon.

Niewzywana wystrzeliła do wielkiego wiszącego w korytarzu telefonu (od dwóch

tygodni nasłuchiwała każdego dzwonka), ale kiedy na linii odezwał się wśród trzasków głos Leona proszący o Florę z pokoju numer sześć, odpowiedziała beznamiętnie:

– Zaczynałam już tracić nadzieję, że w ogóle się odezwiesz.

– Przepraszam, skarbie. Mówiłem ci, że nie będzie łatwo. Nie mogę długo rozmawiać. Dzwonię na koszt i dzięki łaskawości Intouristu.

– Właśnie tam się zatrzymałeś?

– Nie, obwożę mnie tu po nowych gospodarstwach. Poprzednią noc spędziłem u przewodniczącego kołchozu. Zaskakująco miłe przyjęcie.

– Wschodnia gościnność.

– Ktokolwiek utrzymuje, że muzułmanie są przeciwni picciu, chyba nigdy tu nie był. Nie cofną się przed niczym, Florie, żeby cię wciągnąć do zawodów, których może i miałbym jakąś szansę nie przegrać, gdyby ograniczyli się do serwowania wódki, ale wiesz, co oni tu piją?

Pozwoliła kosztownej ciszy trzech stref czasowych trwać niezakłóconej jej głosem.

– Powiem ci – rzekł wreszcie Leon, odpowiadając sobie na własne pytanie. – Sfermentowane wielbłądzie mleko. Całkiem smaczne, nie powiem. Lekko szczypie w język, prawie jak szampan.

– Kiedy wracasz do domu? – zapytała rzeczowo.

– Zgodnie z planem mamy wyjechać w przyszły poniedziałek. Pociąg jedzie trzy dni. Wszystko w porządku?

Milczała, międląc w palcach jakieś świstki papieru i pokwitowania wetknięte za szeroką obudowę telefonu.

– Nie – powiedziała wreszcie. – Straciłam pracę. – A kiedy z drugiego końca dobiegło ją tylko milczenie, ciągnęła dalej: – Mogę się domyślać, kto za tym stoi. Nowa szefowa biura, Orłowa. Timofiejewowi zabrakło odwagi, żeby się jej sprzeciwić...

– Tak z dnia na dzień, bez żadnego ostrzeżenia?

Wróciła myślami do momentu sprzed kilku tygodni, kiedy Timofiejew zasugerował, żeby wzięła urlop. Powiedział, że sprawia wrażenie wyczerpanej. Ale Leonowi odparła:

– A najgorsze jest to, że nikt nie chce zatrudnić... cudzoziemki. Nikt się nie wychyli, żeby się za mną wstawić. Nawet Essie okazała się zupełnie nieużyta... Niech diabli wezmą wszystko, co człowiek dla niej zrobił, włącznie z załatwieniem jej tej roboty.

– Słuchaj, Florie, może pogadamy o tym wszystkim, jak wrócę do domu.

– Każdy ma w biurze taką Orłową, która zapyta: „A dlaczego zatrudniłeś tego cudzoziemca?”. No więc tak to wygląda, Leonie. Wybieram się do ambasady...

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać, Florie...

– W końcu nadal jestem obywatelką amerykańską.

– Już dobrze, uspokój się. Sprawiasz wrażenie zdenerwowanej.

– Nie mogę spać, Leonie. Tęsknię za rodziną... – Ostatnie słowo przypominało ni to pisk, ni to szloch. Była gotowa przedstawić mu swoje położenie zwięźle i stanowczo, a teraz łkała w głos, obsmarkując się jak dziecko.

– Cicho... Cśśśś... Po prostu... bądź już cicho, dobrze? Powiedziałem ci, że

wszystko załatwimy, jak wrócę.

– Nie mogę tak długo czekać.

– Florence, proszę, po prostu... nic nie rób i nigdzie nie chodź. Osiem dni, skarbie, tylko o tyle cię proszę. Czy możesz to dla mnie zrobić? Spróbuję złapać wcześniejszy pociąg. Pieniądze są w cynowej puszcze na górnej półce.

– Los nam nie sprzyja, Leonie.

– Och, kotku, wszystko ci się miesza w tej małej główce, bo nie ma przy tobie twojego faceta. To proste. Ale będę naprawdę niedługo, żeby się zająć moją małą dziewczynką. Słyszysz mnie?

– Tak.

– No to już, zdrzemnij się teraz, a jutro poczujesz się lepiej.

Pociągnąwszy jeszcze kilka razy nosem i starając się dzielnie zdławić szloch, co on uznał chyba za wyraz zgody, pozwoliła mu odłożyć słuchawkę.

I zabawne było to, że miał rację. Następnego ranka naprawdę poczuła się lepiej. Czyste, białe, iście niebiańskie światło zbudziło ją łagodnie punkt siódma. Przez okno zobaczyła cienki dywan srebrzystego śniegu pokrywającego ulice, drzewa, dachy i wełniane pagony dozorczy zamiatającego chodnik brzoźową miotłą.

Przejrzawszy się w lustrze, Florence dostrzegła, że sen przywrócił jej rumieńce na policzkach.

Czego się po nim spodziewała? Wstyd jej było, że tak mu jęczała w słuchawkę. To wszystko jej wina. Uroiła sobie, że razem wcielią w życie plan, który – teraz miała już pewność – musi zrealizować sama. W miarę jak się ubierała, rozpacz i przerażenie, które wzbudziła w niej ta konstatacja, ustąpiły czemuś w rodzaju odkrywanych na nowo poczucia niezależności. A więc podobało mu się, jak żyli. Wdzięczny był za jedenaście metrów kwadratowych, na których tłoczyli się z kompletnie obcymi ludźmi jak pacjenci oddziału dla gruźlików. Niech mu będzie. Ciągle serwował jej tę samą śpiewkę, jak to niby przyszłość jest tuż za rogiem. No to powodzenia. Lubił, jak posyłali go na koniec świata, gdzie miejscowi traktowali go jak jakiegoś paszę, sadzali na dywanach i poili wielbłądzim mlekiem. Proszę bardzo, ona nie ma nic przeciwko. Nie potrzebowała go, żeby ją trzymał za rączkę. Nie potrzebowała niczyjego pozwolenia, żeby wyjechać, do diabła, z tego kraju, który nie oferował jej nic z wyjątkiem złych wiadomości. Poranek wydawał się całkowicie aprobować jej plan. Toaleta była jakimś cudem wolna, woda w prysznicu przyjemnie gorąca. W rozkosznie pustej kuchni Florence zaparzyła sobie kawę na maszynie. Przez podwójną szybę kuchennego okna wpadły promienie słońca, którym udało się przedrzeć przez chmury, zsyłając na dół błogosławieństwo zimnego światła. Wróciwszy do pokoju, otuliła się puszystym szalem, włożyła rękawiczki i zdecydowanie ruszyła do metra.

Kiedy wyłoniła się spod ziemi na placu Maneżowym, pod powalą niskich chmur mignęła jej niewielka flaga jej ojczystego kraju, łopocząca na silnym, z każdą minutą mroźniejszym moskiewskim wietrze. Tak naprawdę widać było ledwie jej skrawek: czerwono-biały merdający ogon. Florence skojarzył się on z drżącym palcem przywołującym ją z niewielkiej wysokości sponad ambasady, której budynek pozostawał w większości ukryty za bramą i za ozdobnym hotelem National.

Nie zwracając uwagi na wilgotną gąbczastość, która wkradła się w palce jej pończoch, Florence przeszła przez ulicę Gorkiego i dalej przez plac w kierunku poźółkłych zabudowań z wapienia. Zobaczyła swoje odbicie w drzwiach do hotelu National. Przed witryną minęła człowieka w karmelowym płaszczu i filcowym kapeluszu, który spojrzał na nią wymownie zza okrągłych okularów, ale nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy uprzejmie skinęła mu głową.

Po obu stronach bramy stali wartownicy w zielonych płaszczach i niedźwiedziach czapach. Na okrytych wołokiem ramionach butnie nosili karabiny z nasadzonymi bagnietami. A ponieważ jeden z wartowników przy bliższych oględzinach okazał się po prostu nieprzeciętnie wyrośniętym nastolatkiem, Florence zdecydowała się podejść do starszego z nich. Nalaną chłopską twarz ratowały inteligentnie zarysowane brwi, które uniosły się lekko, sygnalizując gotowość ich właściciela do wysłuchania, z czym przyszła. Uprzejmie wyjaśniła powody, dla których zmuszona jest wejść do środka.

Nie okazawszy po sobie, że zrozumiał jej wyjaśnienia czy się nimi przejął, wypowiedział tylko jedno słowo:

– Dokumenty.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej świstek z informacją o paszporcie.

– Nieważne.

– To jest pokwitowanie za mój amerykański paszport, który został mi zabrany przez biuro kwaterunkowe. Proszę tu przeczytać...

Musiała się wspiąć na palce, by wskazać mu miejsce urodzenia.

Przyjrzał się papierowi posłusznie i bezmyślnie jak dziecko trzymające książkę do góry nogami.

– To nie jest paszport – powiedział, oddając jej kartkę.

– Mam tego świadomość. Tak jak powiedziałam, straciłam paszport, a to jest jedyne w tym mieście miejsce, w którym mogę wyrobić sobie nowy. Więc gdybyśmy mogli rozwiązać ten problem...

– Osobom nieuprawnionym wstęp wzbroniony. Potrzebujemy dowodu, że możemy was wpuścić.

– Właśnie dałam wam dowód... Och, przecież to kompletnie bez sensu. Muszę porozmawiać z amerykańskim wartownikiem.

– Ja jestem wartownikiem.

– Kimś stamtąd.

Wskazała ręką za bramę.

– Dostaliśmy instrukcje, kogo możemy wpuszczać.

– Proszę, gdybyście mogli po prostu wejść do środka i porozmawiać z kimś, z kimkolwiek stamtąd, jestem pewna, że wszystko dałoby się załatwić w ciągu kilku minut.

– Jeśli będziecie tu wystawać, zgłosimy to na policję.

– Och, na litość boską, oczekuję tylko tego, żebyście poprosili kogoś, żeby wyszedł i zamienił ze mną kilka słów, choćby przez tę cholerną bramę.

– Proszę natychmiast odejść.

– Nie mam wątpliwości, że przekraczacie uprawnienia, uniemożliwiając

Amerykance wejście do jej własnej ambasady.

– Waclaw... – powiedział wartownik i kiwnął głową na ogromnego nastolatka, który po sekundzie wahania, zwalczając młodzieńczą opieszałość, ruszył w stronę Florence.

Pojęła, że wymyka się jej ostatnia szansa.

– Hej, heeej! Amerykanka, tutaj! – krzyknęła po angielsku w przestrzeń za metalową bramą. – Halo! Jest tam kto? Proszę, czy ktoś mógłby wyjść i powiedzieć tym kretynom...

W tym momencie poczuła, jakby pod pachy chwyciło ją coś w rodzaju tapicerowanych obręczy, wielkością i fakturą przypominających nieco wygodny fotel, które obróciły nią, nadając jej impet kuli do wyburzania budynków. Uniesiona nad ziemię, machała nogami jak osłabły pływak walczący z gwałtownym odpływem.

– Niech mi ktoś pomoże! Jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych! – wykrzyknęła po angielsku, po czym została bezceremonialnie posadzona na chodniku.

Słońce już dawno skryło się za chmurami. Florence wciągnęła w płuca haust powietrza i zaczęła powoli odzyskiwać zdolność widzenia i poruszania się. W uszach wciąż jej łomotało – nie wiedziała, czy to hałas ulicy, czy dudnienie krwi. Z wysiłkiem podniosła się i otrzepała dłonie. Przyjrzała się różowej skórze i zobaczyła w niej małe dołeczki pozostawione przez okruchy asfaltu. Wyprostowała się, poprawiła sobie przez spódnicę przekręcone pończochy i rzuciła ostatnie spojrzenie na wartowników, którzy wrócili już na miejsca. Powoli ciśnienie w uszach się stabilizowało i Florence znów zaczęła dostrzegać ulicę, płynące po niej samochody, przypominającą tort weselny elewację hotelu National. Dopiero wówczas, szykując się do przejścia przez aleję, znów dostrzegła mężczyznę w filcowym kapeluszu. Stał po drugiej stronie ulicy, ale karmelowy kolor jego płaszcza nie dał się pomylić z żadnym innym. Nieznajomy kręcił się przy aucie przypominającym forda V8, zaparkowanym na chodniku. Florence poprawiła szal na ramionach i przeszła na przeciwległy kraniec placu. Kiedy się obejrzała, już go nie było.

Nigdy nie potrafiła długo powstrzymać raz uświadomionych pragnień. Szybkim krokiem pokonała dziesięć przecznic dzielących ją od OWIR-u.

– Przepraszam, chciałabym wypełnić wniosek wizowy pozwalający na wyjazd za granicę – poinformowała dyżurującego urzędnika stanowczym głosem, który zabrzmiał jakoś fałszywie i niespokojnie. Jako dowód tożsamości przedstawiła pokwitowanie za paszport.

Kobieta za szybą – ta sama, z którą zetknęła się podczas pierwszej wizyty – omiotła ją nieuważnym spojrzeniem, po czym ujęła świstek w palce tak, jakby to był jakiś artykuł wątpliwej wartości, który Florence próbuje jej sprzedać.

– Jestem obywatelką amerykańską, jak widzicie. – Wskazała przez szybę na kartkę.
– Chciałabym odwiedzić rodzinę.

– Obywatelką amerykańską? To jest zezwolenie na pobyt w Moskwie. Wedle tego dokumentu jesteście obywatelką radziecką.

– Nie, nie, proszę spojrzeć. – Florence popukała palcem w szybę. – Tutaj jest numer paszportu.

– To jest pozwolenie wydane obywatelowi radzieckiemu zamieszkującemu

w Moskwie, wymagane od wszystkich obywateli. Potwierdza jedynie, że wydano wam zezwolenie na pobyt, kiedy dostarczyliście amerykański paszport do biura kwaterunkowego. Mieliście udać się do biura paszportowego, by dostać paszport wewnętrzny.

Obywatelka radziecka? Wielkie nieba, o czym mówiło to pomarszczone babsko?

– Nie, nie... Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Nigdy nie przechodziłam procedur związanych z uzyskaniem radzieckiego obywatelstwa. To pokwitowanie dostałam od waszych ludzi za amerykański paszport, kiedy przyszłam przedłużyć prawo pobytu. I to wy powiedzieliście mi, i to bardzo wyraźnie, że w ciągu tygodnia dostanę paszport z powrotem.

– Niczego takiego nie mówiłam – powiedziała kobieta z naciskiem, w którym pobrzmiwała groźba. – To nie jest pokwitowanie. To wasz dowód tożsamości.

Florence uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Bardzo przepraszam, ale nie mam waty w uszach i nie taką przekazano mi informację.

Zaczęli gromadzić się za nią ludzie i zarówno dla nich, jak i dla niej stawało się jasne, choć jeszcze starała się spierać z hamowaną wrogością, że robi coś, co prawo dzungli uznałoby za zachowanie zwyczajnie głupie, drażniąc wielkiego i groźnego rywala.

A przecież perspektywa ustąpienia wydawała się nie do przyjęcia.

– Macie zamiar wyjaśnić wszystkim tym ludziom, że udzielacie petentom niespójnych informacji? – usłyszała własne słowa. Uderzyła we właściwą strunę.

– Nie ze mną powinniście rozmawiać – powiedziała kobieta, przesuwając papier z powrotem ku Florence. – Wyjaśniajcie to sobie w ambasadzie.

Ambasada bez tego mi nie pomoże, pomyślała Florence, ale z wysiłkiem przywołała na twarz niezłomny uśmiech.

– Zrobię to z pewnością, a tymczasem – upierała się – chciałabym, jak wspomniałam, wypełnić wniosek wizowy.

I wtedy babsko wstało z krzesła, wyprostowało się na swoją pełną niebagatelną wysokość i zamiast wyjść zza kontuaru i zrobić Florence krzywdę, poczłapało w głąb krótkiego korytarza. Przez kilka niepewnych minut Florence stała z uniesionym podbródkiem i zaciśniętymi zębami, nie dając się zdeprymować dobiegającym zza pleców szeptom („Do wieczora będziemy tu siedzieć”, „Mówi, że Amerykanka”), ale już po chwili kobieta wróciła z formularzami. A Florence, odstąpiwszy na bok, z poczuciem triumfu wypełniła wszystkie rubryki tylko lekko drżącymi palcami. Kobieta bez słowa zabrała je z powrotem.

Leon wrócił do Moskwy cztery dni przed czasem.

Nie takiego przywitania się spodziewał.

Żadnego obiadu na lnianym obrusie. Żadnej herbaty z cytryną i cukrem. Tylko żona krążąca od ściany do ściany w napadzie psychotycznej niechęci.

– No więc tak. Wykorzystałam wszystkie układy. Nikt mnie nie zatrudni. A ty

w TASS-ie nie zapytasz, prawda? Inaczej zaproponowałbyś mi to przez telefon. Mam rację, prawda? Widzę to w twoich oczach. Jesteś przerażony, jak cała reszta.

Zmęczony, nieumyty, podszedł do kanapy i osunął się na szorstkie poduszki.

– Zapytam, Florie – powiedział słabym głosem. – Ale to nie ma sensu.

– Nie, oczywiście, że nie ma – powiedziała z niewesołą satysfakcją. – Więc co się ze mną stanie?

– Mam nadzieję, że nic dramatycznego, Florence, o ile tylko zdołasz nie podnosić tego swojego cholernego głosu i na jakiś czas się przyczać. Wchodzimy w trudny okres. Ludzie tracą życie i wolność, a ty mi tu narzekasz, że straciłaś robotę.

Niespokojnie błędziła wzrokiem po pokoju.

– To ci karierowicze, jak ta Orłowa. Są jak robaki. Wykorzystują partyjne układy, żeby pozbyć się ludzi, którzy są dobrymi pracownikami, i zainstalować w ich miejsce własnych idiotów. Są jak pasożyty, które składają jaja i zabijają żywiciela. – Przeszło jej przez myśl, że pomstując na sekretarkę bankowego komitetu partyjnego, posługuje się tą samą frazeologią, którą Orłowa wykorzystywała, by oskarżać „burzycieli i sabotażystów” w rządzie i nie tylko. A ponieważ Florence nie mogła wyznać Leonowi prawdziwego powodu swej paniki, ciągnęła: – Te pijawki wysysają z nas krew, Leonie. To trzeba ujawnić!

– A jak masz zamiar to ujawnić?

– Napisać do gazet!

– Jestem pewien, że wiesz, jakie wiadomości w tej chwili publikujemy, Florence. Jedyne listy, jakie gazety gotowe są wydrukować, to przepelnione żądzą mordy wezwania do zgładzenia „wrogów”, o których niewiele wiadomo, listy domagające się „eliminowania” ludzi jak bezpańskich kundli. Więc może byś przestała histeryzować i zaczęła myśleć trzeźwo?

– Myślę trzeźwo! Nie mogę nie pracować. To nielegalne. Jak tylko te małe szpicle zadadzą sobie pytanie, co ja właściwie tu robię przez okrągły dzień, dosłownie w każdej chwili mogę zostać aresztowana. No więc co proponujesz? Mam się co rano ubierać i do wieczora włóczyć po ulicach?

– Możemy sformalizować nasz związek. „Gospodyni domowa” to uznany zawód.

– Gospodyni domowa? – Wymówiła te słowa tak, jakby stanowiły kwintesencję wszystkiego, czym pogardzała. – Ależ miło z twojej strony, że próbujesz ze mnie zrobić porządną kobietę! Powinnam być ci wdzięczna, prawda? No to pozwól, że coś ci powiem: aby osiągnąć tak znakomitą pozycję, naprawdę mogłam zostać na Brooklynie.

Nigdy dotąd nie widziała go naprawdę rozwścieczonego, a w każdym razie od czasu pamiętnej nocy w Metropolu. Stał nieruchomy jak głaz, z kamienną twarzą, i tylko w jego wwiercających się w nią czarnych oczach płonął ogień.

– Wybacz mi – powiedział nagle złowrogim, nieprawdopodobnie uprzejmym głosem. – Niemal zapomniałem. Wielka Florence Fein! Jak mogli nie docenić jej inteligencji, jej energii, jej cennych usług oddawanych Bankowi Państwowemu ZSRR! Pomyślcie tylko, cóż za niesprawiedliwość. Zapomnijmy na moment o tym, że ludzie znacznie ważniejsi są osaczani i zsyłani diabli wiedzą dokąd. Wybitna Florence Fein została odsunięta na boczny tor. Wybacz mi, że próbowałem ci zaproponować rozsądne

wyście!

– Odgrywanie w tym pokoju przez cały dzień zoneczki nie jest rozsądnym wyjściem... Leonie, musimy stąd wyjechać! O Boże. – Zaczęła łkać. Chwytał ją za nadgarstek, ale to jej nie powstrzymało. – Gdybym tylko nie oddała tym potwornym ludziom paszportu! – Gdy ją puścił, osunęła się na kolana. – Ten głupi papier, który mi dali, jest bezużyteczny. Wartownicy w ambasadzie nie potrafili go nawet odczytać.

– O czym ty mówisz? – zapytał, klękając obok niej.

– Powiedzieli, że to nie jest ważny paszport, i chociaż próbowałam im wyjaśnić, że muszę się dostać do środka, żeby mi wyrobili nowy, kazali mi odejść.

Widziała, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Ale ja tam wrócę, a ty musisz pójść ze mną – ciągnęła, krzepiąco ściskając go za rękę. – Obiecałeś. Masz większy dar przekonywania. Wszystko da się załatwić, byle przepuścili nas rosyjscy strażnicy i byle udało nam się porozmawiać z jakimiś Amerykanami.

Zamknął oczy.

– Niczego takiego nie zrobię, Florence – powiedział, po czym wziął głęboki wdech i podniósł się z podłogi. – Nie zrobię tego i ty też nie.

– Wracam do Stanów. Z tobą albo bez ciebie.

– Czy ty w ogóle pojmujesz, co zrobiłaś?

Cały problem polegał na tym, że w jakiejś mierze rzeczywiście pojmowała, pojmowała od samego początku.

– Podałaś strażnikowi nazwisko? – Leon stał się nagle bardzo rzeczowy.

– Nie. Spojrzał na moje zezwolenie, ale przelotnie.

– Z kimś jeszcze rozmawiałaś?

– Co masz na myśli?

– Z kimś pod ambasadą. Ktoś za tobą szedł?

Zawahała się, przypomniawszy sobie mężczyznę w filcowym kapeluszu.

– Był taki... facet, kręcił się przed witrynami między hotelem National a ambasadą. Dobrze mu się nie przyjrzałam, ale...

– Co?

– Był tam nadal, kiedy odchodziłam.

– Boże, Florence. Jak cię tam jeszcze raz zobaczą, od razu wsadzą cię do jednego z tych swoich samochodów. Na tym placu pod każdym kamieniem siedzi tajniak.

– A skąd ty to wszystko wiesz? – prawie krzyknęła. – Dlaczego mówisz mi to dopiero teraz?

– Bo nie sądziłem, że będziesz na tyle głupia, żeby tam pójść!

I uderzył pięścią w stół z taką siłą, że przewróciła się puszka po cukrze i na podłogę potoczyły się ołówki.

W nagłej ciszy Florence uświadomiła sobie, że źle umiejscowiła lęk, który odczuwała, że wściekłość Leona była niczym w porównaniu z nieprzebytym grzęzawiskiem łajna, w które zabrnęła. Podniosła się z podłogi, wyjęła z kieszeni spodnicy paczkę papierosów i wydłubała przedostatniego. Pod rozgoryczonym spojrzeniem Leona trudno jej było jednak powstrzymać drzenie rąk na chwilę

wystarczająco długą, by zapalić zapałkę.

Kiedy w końcu jej się udało, zaciągnęła się zbyt szybko, boleśnie szybko. Zapra gnęła żarzącym się czubkiem przepalić sobie wnętrze dłoni.

– No dobra, uspokójmy się – powiedział Leon po chwili. – Rozważmy to na chłodno... Wypełniłaś jakieś dokumenty, podpisałaś się gdziekolwiek nazwiskiem?

Och, jak bardzo chciała mu powiedzieć... O tym, jak poszła do OWIR-u, o babsku, które osadziła swą nieustępliwą postawą, o wniosku o wizę wyjazdową, który wypełniła. Naprawdę zamierzała mu o tym powiedzieć. Ale teraz, kiedy tak na nią patrzył... Nie mogła. Odrzuciła głowę i wydmuchała szare kółko dymu w stronę ozdobionego stiukami sufitu.

– Nie – odparła.

– Obiecuj mi, że więcej tam nie pójdziesz. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Dobrze. Ale co z pracą?

Niecierpliwie pokręcił głową.

– Weź, co się nadarzy, Florence.

– Masz na myśli pracę w fabryce? W publicznej pralni?

– A co w tym złego? To uczciwa robota.

Wydmuchała pod sufit kolejne kółko dymu.

– Mówisz tak jak oni.

– Może i tak. Ale mnóstwo przyzwoitych ludzi ima się wszelkiego rodzaju zajęć.

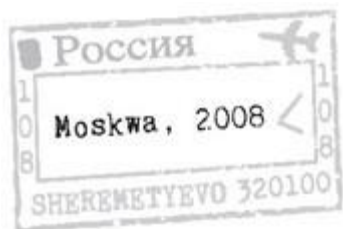
Również wykształconych. Florence, wiesz o tym, że gdybym mógł, dosłownie w każdej chwili bym się z tobą zamienił.

– Zrobiłbyś to?

– Zrobiłbym wszystko, jeśli miałoby to ocalić ciebie albo mnie.

Nie potrafiła znieść wyrazu jego twarzy. Było w niej nieskończone oddanie, przerażające ją bardziej niż cały jego gniew.

Księga IV



Do archiwów na ulicy Nieglinnej spieszno mi było wrócić nie tylko z powodu napomknienia Jaszy o kompromitującym uwikłaniu mamy we współpracę z tajną policją. Przez lata nurtowało mnie jeszcze jedno pytanie: jak to się stało, że matka przetrwała podwójną groźbę więzienia i obozów, podczas gdy ojciec, człowiek obdarzony większym czarem i pomysłowością, zginął? Gdyby zdołał przetrzymać gehennę przesłuchań, tortur i jazdy w bydlęcym wagonie na Syberię, mamę i mnie z pewnością by o tym poinformowano. W wyniku tych bezsensownych wypraw do więzienia na Łubiance o piątej nad ranem przez skutą lodem Moskwę dowiedzieliśmy się tylko tyle, że mój ojciec dostał „dziesięć lat poprawczego obozu pracy bez prawa do korespondencji”, i nawet wówczas wszyscy wiedzieli, że to eufemistyczne określenie strzału w potylicę (tylko mama zachowała denerwujący optymizm w kwestii możliwych interpretacji wyroku). Jak ktoś wykazujący taką gorliwość w okłamywaniu samego siebie zdołał przetrwać brutalne realia Gułagu? Jakim cudem, znalazłszy się w położeniu identycznym jak mój ojciec, zdołała zmniejszyć wymiar własnej zbrodni, gdy oskarżono ją o zdradę, a ostatecznie skazano ledwie za „agitację”?

Już na własną rękę szukając odpowiedzi, mogłem przyznać, że nie daje mi spokoju pewna jeszcze bardziej zagadkowa łamigłówka, której satysfakcjonującego rozwiązania nigdy nie udało mi się z matki wyciągnąć. Dotyczyła jej zarzuconej próby ucieczki ze Związku Radzieckiego. Kiedy byłem na studiach w trakcie wzbierającej fali chruszczowowskiej odwilży, Florence wymknęło się, że ona i tata próbowali, wykazując się niemałym hartem ducha, wyjechać z Rosji, zanim było „za późno”. Kiedy po jakimś czasie wróciłem do tematu, wszystkiego się wyparła. Bóg mi świadkiem, że miała prawdziwy talent do wycofywania się ze wszystkiego, co przypadkiem się jej wymknęło, ale tego akurat nie zamierzałem odpuszczać, biorąc pod uwagę, ile nerwów kosztowało mnie w 1978 roku jej uparte milczenie w sprawie emigracji naszej rodziny. Jeśli to była prawda, jeśli sama próbowała uciec, to dlaczego nie chciała przyznać, że mogliśmy wyjechać z kraju wszyscy razem? I dlaczego, dobijawszy się (choćby krótko) do zamkniętych drzwi, nie chciała nawet wziąć pod uwagę możliwości przekroczenia z rodziną progu tych, które nagle zostały otwarte? Nie chciała odzyskać kluczy do własnej klatki? Co takiego wydarzyło się między rokiem 1937 a 1978, co odebrało jej zdolność nawet do rozmawiania na ten temat?

Przemknęło mi przez myśl, że może po prostu położyła krzyżyk na Ameryce, tak samo jak Ameryka bezlitośnie położyła krzyżyk na niej.

Moi rodzice nie byli jedynymi Amerykanami pozostawionymi w Moskwie bez

pomocy po 1936 roku. Setki takich jak oni zostały odcięte w Związku Radzieckim, pojmując zbyt późno, że wypadły z łask amerykańskiego rządu. Ambasada Stanów Zjednoczonych wykorzystywała każdy pretekst, by odmówić powtórnego wydania lub opóźnić wydanie swoim obywatelom ich amerykańskich paszportów – paszportów, które utracili wyłącznie przez naiwność. Radziecki rząd opracował rozliczne metody pozbawiania amerykańskich ekspatów obywatelstwa. Tych mieszkających poza Moskwą wzywano do przesyłania paszportów pocztą w celu przedłużenia ich ważności, a potem informowano, że „zaginięły na poczcie”, choć w rzeczywistości były zapewne zatrzymywane i wykorzystywane przez szpiegów. Mieszkańcy Moskwy tacy jak moja matka mieli dostarczyć paszporty do urzędów wydających zezwolenia na pobyt lub pracę. Właśnie tak mama straciła swój, choć wedle jej wybielającej Sowietów relacji ten biurokratyczny fortel był – to jej własne słowa – nieoczekiwanym, lecz bardzo korzystnym zbiegiem okoliczności, gdyż tak czy inaczej zamierzała wystąpić o radzieckie obywatelstwo.

Zdażyłem się już naczytać o tych, którzy próbowali szukać schronienia w forticy amerykańskiej ambasady. Jeśli udało im się wejść do środka, od pracowników dowiadywali się, że opłatę manipulacyjną za wydanie nowego paszportu należy opłacić w dolarach – walucie, której posiadanie było nielegalne. Innych wnioskujących instruowano po prostu, by przyszli jeszcze raz, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, aby ich przypadek mógł zostać „dogłębnie przeanalizowany” – nawet wówczas, gdy personel konsularny, który udzielał tych pouczeń, widział z okien gabinetów, że leżący niżej plac jest patrolowany wzdłuż i wszerz przez funkcjonariuszy tajnych służb, którzy pojawiali się co rano niczym rybacy zastawiający sieci z nadzieją na niezawodny połów.

Zawsze zakładałem, że podła obojętność naszej ambasady na los tych wyrzutek musiała być wynikiem antykomunistycznej fali, która wzbierała w owym czasie w Stanach Zjednoczonych, a która miała kompletnie owoładnąć krajem po drugiej wojnie światowej. Kimże byli ci zdrajcy, jeśli nie malkontentami i radykałami, którzy odwrócili się plecami od własnego kraju, od Demokracji i Kapitalizmu? Zasłali sobie czerwoną pościelą, to niechże się teraz w niej wyśpią.

W każdym razie wydawało mi się to jedynym rozsądnym wyjaśnieniem. I może dalej bym w to wierzył, gdybym w kilka lat po osiedleniu się na dobre w Stanach nie dostał taśmy VHS z „klasycznym amerykańskim filmem”, sprezentowanej mnie i mojej żonie przez jednego z naszych patronów z Temple Beth Emet – przyjaznego, zażywnego psychologa, Harolda Greena, który zainteresował się bardzo historią mojej rodziny, dostrzegłszy w nas coś jakby brakujące ogniwo w łańcuchu jego bliskich antenatów. Z niezrozumiałą dumą Harold poinformował mnie kiedyś, że pochodzi z długiej linii socjalistów „z obu stron” i opowiedział mi podniecony o zorganizowanym na Bronksie w jakichś zamierzonych czasach wiecu na cześć Trockiego, w którym uczestniczyli jego ojciec i dziadek. Prezent w postaci taśmy VHS był zaledwie jednym z wielu aktów szczodrości Harolda. (Jego pierwszym darem dla mnie i Łukii był ogromny zapadający się materac sprężynowy, który Harold po złożeniu go w naszym ubogim gospodarstwie domowym zareklamował jako „dobry żydowski materac – została na nim poczęta dwójka fantastycznych żydowskich dzieciaków!”). Nagranie, które nam przekazał, nosiło tytuł

Mission to Moscow. Na obwołanie wciąż jeszcze widniał stempel Biblioteki Nowojorskiej; film musiał trafić do Harolda jako jeszcze jeden z apokryfów pochodzących z tej czerwonej dekady, dla której żywił tak nostalgiczne uczucia. Przypuszczam jednak, że nigdy nie obejrzał go do końca. Gdyby to zrobił, to chyba nawet on, z całym swoim bezkrytycznym sentymentalizmem, przyznałby, że to jedna wielka hollywoodzka propagandowa sraczka.

Film oparty był w dużej mierze na wspomnieniach Josepha Daviesa, byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Związku Radzieckim; został wyprodukowany przez Warner Bros. Studios na zlecenie samego prezydenta Franklina D. Roosevelta. Po wojnie – tego dowiedziałem się od Harolda – stał się pierwszym filmem jednej z wielkich wytwórni spalonym na stosie kampanii „antyamerykańskości” McCarthy’ego. I powiedziałbym, że nie bez powodu. Niekończąca się lista kłamstw składających się na tę parodię filmu obejmuje między innymi deklarację Daviesa, jakoby zeznania składane podczas moskiewskich procesów pokazowych wydawały mu się „autentyczne i niewymuszone”. W jednej ze scen Davies racjonalizuje niesprowokowany atak Stalina na Finlandię i jego pakt z nazistami oraz generalnie wybiela jednego z najkrwawszych dyktatorów w historii, robiąc z niego nieudolnego wujaszka, który nieporadnie popycha swój kraj ku demokracji w stylu amerykańskim. Dla mnie szczytem obłędu tej produkcji jest scena, w której ambasador łagodnie beszta swych ludzi za oburzenie, jakie wzbudziła wśród nich informacja, że ambasada jest na podsłuchu. „Ale skąd Sowietom mieliby wiedzieć, że nie mamy wobec nich złych zamiarów – poucza podwładnych – jeśli nie mogliby przysłuchiwać się naszym prywatnym rozmowom?”. W tym momencie miałem ochotę przetrzeć oczy. Nabrałem pewności, że ten film musiał być pomyślany jako satyra w czystej postaci. Jak to możliwe, by jakikolwiek dyplomata mógł być jednocześnie tak niebezpiecznie uległy i tak otwarcie arogancki? Z niedowierzania zrodziła się ciekawość. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, pod którego rządami moim rodzicom zakazano wstępu do jedyne go azylu mogącego im zapewnić schronienie, gdy ich życie było w tak oczywisty sposób zagrożone.

Joseph Davies, jak się dowiedziałem, był liberalnym waszyngtońskim prawnikiem i przyjacielem Roosevelta. Wykazał się niezwykłą zmyślnością, poślubiając w apogeum wielkiego kryzysu najbogatszą kobietę w Stanach Zjednoczonych. Marjorie Merriweather Post odziedziczyła po ojcu imperium Post Foods i przy pomocy drugiego męża znacznie je rozwinęła. Niczym Katarzyna Wielka sprawowała rządy w królestwie płatków, kaw, ciast w proszku, proszków do pieczenia, syropów czekoladowych i mrożonych warzyw. Za każdym razem, gdy jakaś amerykańska gospodyni domowa otwierała pudełko Grape-Nuts, zaparzała dzbanek Maxwell House lub chłodziła w miseczce Jell-O dla swoich dzieci, ta jej wykonywana w domowym zaciszu czynność odrobinę powiększała gigantyczne imperium Marjorie Post.

W 1935 roku rozwód Post z mężem finansistą i ślub z Josephem Daviesem był obok procesu porywacza dziecka Lindbergha największą pożywką dla brukowców. Felietoniści zdumiewali się, co kobietę tak uderzająco majestatyczną i obscenicznie bogatą mogło pociągać w prawniku specjalizującym się w postępowaniach antytrustowych, który przypominał komiksową myszkę w meloniku. Nie docenili

oczywiście powabu polityki w oczach kobiety, która miała już wszystko. Prezentem ślubnym Marjorie Post Davies dla trzeciego męża był gigantyczny czek wypisany na kampanię reelekcyjną jego kumpla Franklina D. Roosevelta; ów przyczynek do sukcesu stworzył naturalnie zobowiązanie, które trzeba było spłacić, gdy tylko prezydent objął stanowisko na drugą kadencję. Bez wątpienia pani Davies miała nadzieję, że jej sześciocyfrowy dar zagwarantuje mężowi stanowisko ambasadora w Londynie lub Paryżu. Zamiast tego para dostała Moskwę. A co istotniejsze dla historii moich rodziców, Moskwa dostała ich.

Daviesowie przybyli do stolicy Związku Radzieckiego nieskażeni jakakolwiek znajomością rosyjskiego języka i historii. Marjorie chyba obawiała się, że mogą tam głodować, bo przywiozła ze sobą kilka wagonów towarowych jedzenia swojej firmy, nieprzebrane zasoby filetów i drobiu oraz czterysta litrów zamrożonej śmietany w kilkunastu zamrażarkach, które natychmiast spaliły prymitywną instalację elektryczną Spaso House, co zaowocowało szybkim roztopieniem się ich zawartości. Nie trzeba dodawać, że Moskwa nie była w stanie dostarczyć Marjorie Post Davies jej ulubionej rozrywki – zakupów. A ileż wieczorów człowiek może spędzić w teatrze czy na przedstawieniu baletowym? Oczywiście można było oglądać również inne spektakle, jeśli brać pod uwagę procesy pokazowe Stalina, których Joseph Davies wysłuchiwał chyba z takim samym bezmyślnym uznaniem, jakie potrafił w sobie wzbudzić do oper oglądanych z królewskiej łoży w teatrze Bolszoi.

Para znudziła się już po dziesięciu tygodniach pobytu. Popłynęli zagłowcem do Stanów na przedłużone wakacje. W kraju Davies złożył prezydentowi i mediom raport dyplomatyczny. Wymuszone zeznania, zgodnie z jego adwokackim doświadczeniem, były „wiarygodne prawnie”. Egzekucje bolszewików? „Udaremnione spiski”. Przymusowa kolektywizacja rolnictwa? „Cudowny, pobudzający eksperyment”. Stalin? „Znakomity, uczciwy gość”. Nie wspomniał ani słowem o nękanii i zastraszaniu personelu dyplomatycznego Daviesa przez NKWD, a już na pewno nie zająknął się o setkach Amerykanów, którzy znikali bez śladu. Niedługo po objęciu przez Daviesa stanowiska wszyscy jego podwładni zagrozili rezygnacją w proteście wobec jego bezdennej głupoty, ale w ostatniej chwili zabrakło im odwagi. Bojąc się zdrzeć z radzieckimi tajnymi służbami, zaczęli celowo opóźniać wydawanie paszportów amerykańskim obywatelom, których Sowietci zaczęli uznawać za własnych.

Czy Davies naprawdę nie słyszał swoich współobywateli dobijających się na próżno do drzwi ambasady? Nie chce mi się w to wierzyć. A więc... czy naprawdę tak trudno byłoby zainterweniować w obronie tych pozostawionych samym sobie ludzi? Problem polegał na tym, że interwencja wymagałaby od Daviesa podjęcia jakichś rzeczywistych działań dyplomatycznych. Ale czy to naprawdę mogło być aż tak trudne? Ameryka w tamtym czasie wciąż miała niebagatelny wpływ na Sowietów: Rosja nadal winna była Stanom Zjednoczonym setki milionów dolarów za całą tę maszynierię przemysłową, którą od lat kupowała na kredyt. Joseph Davies nie otrzymał jednak nominacji za odwagę cywilną. Roosevelt popełnił już kiedyś taki sam błąd. Poprzedni ambasador, William Bullitt, został zdjęty ze stanowiska, jak tylko przestał potwierdzać przekonania prezydenta o życzliwości jego sowieckich przyjaciół. Nie, wina nie leżała po

stronie niewiedzy czy tchórzostwa Daviesa. Ostatecznie wysłano go do Rosji po to, by za wszelką cenę był miły. I to zadanie wypełnił znakomicie. Podczas stu dziewięćdziesięciu dni w roku, które faktycznie spędzali w Rosji, ambasador i jego żona zajmowali się wydawaniem balów kostiumowych („Przyjdź jako Twoje Sekretne Pragnienie”), na które suknie i rekwizyty wypożyczane były przez muzeum teatru Bolszoi, organizowali prywatne pokazy amerykańskich filmów dla tych samych zbirów z NKWD, którzy prześladowali ich personel, i żeglowali swoim czteromasztowym Sea Cloud po Morzu Czarnym. W szczególności zaś poświęcali czas na wyszukiwanie w radzieckich komisach przedrewolucyjnych antyków wyprzedawanych za bezcen przez głodującą ludność. Może pan i pani Davies nie interesowali się zbyt Związkiem Radzieckim, ale przeprowadzili wyczerpujące studia na temat caratu. Do końca kadencji zgromadzili największą kolekcję obrazów, arrasów, jajek Fabergé, srebrnych serwisów, ikon, emaliowanych szkatulek, królewskich klejnotów, porcelany i przedmiotów liturgicznych, jaka kiedykolwiek powstała poza granicami Rosji. Wszystkie te zawłaszczone skarby przechowywane są obecnie w pierwszorzędnie oświetlonych gablotach ufundowanego przez Marjorie Merriweather Post Hillwood Estate w Waszyngtonie, nieopodal mojego biura. Odwiedziłem kiedyś to miejsce i odkryłem, że oprócz wspaniałego portretu Katarzyny Wielkiej na jednej ze ścian wisi portret Marjorie Post Davies w średnim wieku, w kostiumie Marii Antoniny.

Zbyt łatwo byłoby dojść do wniosku, że Joseph Davies i jego żona byli po prostu jeszcze jedną dwójką naiwniaków wystrychniętych na dudka przez reżim Stalina. Taka konkluzja nie oddaje im sprawiedliwości. Z mojego doświadczenia wynika, że ci, którym udało się zgromadzić ogromne bogactwa lub władzę, choćby postronnemu obserwatorowi wydawali się tępi i bezmyślni, posiadają jakiś zagadkowy instynkt podpowiadający im, z kim warto utrzymywać dobre stosunki. Joseph Davies, mimo całej swej naiwności, miał niezwykle talent do zadowalania wpływowych ludzi: rozpieszczał swoją żonę, nadskakiwał Rooseveltowi, a jeśli chodzi o Stalina i Litwinowa, to chyba wszedł w rolę prawnika, uznawszy ich za swoich klientów! Uprawnionych do najlepszej obrony, jaką można sobie kupić, niezależnie od popełnionych zbrodni.

Przekonanie zaś, że Roosevelt mianował Daviesa ambasadorem wyłącznie z powodu nepotyzmu i zobowiązania, byłoby przypisywaniem jemu z kolei zbyt małej odpowiedzialności. Davies posiadał tę pożądaną cechę, której brakowało wszystkim ówczesnym waszyngtońskim ekspertom od Rosji: gotów był potwierdzić przekonanie Roosevelta, że Związek Radziecki podziela fundamentalne wartości Stanów Zjednoczonych, stawiając sobie za cel poprawę losu zwykłego człowieka, choć metody, które stosuje, są przedziwne. I kiedy Europa dryfowała w stronę wojny, względy praktyczne wymagały sojuszu z Rosją. Znajomość historii pozwala mi jednak sądzić, że nawet w przypadku najbliższych sojuszników Ameryki nie było nigdy przyjaźni bardziej bezkrytycznej od tej, jaka w tamtych latach łączyła Roosevelta ze Stalinem. Pozwólcie więc, że przedstawię nieco inną interpretację, będącą herezją dla wszystkich tych wielbicieli FDR, którzy gotowi są domalować naszego trzydziestego drugiego prezydenta do Ostatniej wieczerzy: gdzieś w głębi serca Roosevelt podziwiał tę wilczą bestię! Podziwiał żelazną wolę, nie liczącą się z niczym inżynierię społeczną, polityczno-

gospodarcze eksperymenty będące niezmiernie istotnym wzorcem rozszerzania prerogatyw jego własnego rządu, który z małego przedsięwzięcia stał się wielkim interesem. A najbardziej ze wszystkiego podziwiał przekonanie, że ewolucja wielkich państw jest nieodwracalna. Roosevelt mógł sądzić, że tak jak Stany Zjednoczone przechodzą od niczym nieskrępowanego kapitalizmu do socjalizmu pod opieką rozbudowanego rządu, tak ZSRR ewoluuje w końcu z państwa totalitarnego w demokrację społeczną. Na jakiej podstawie miałyby tak sądzić? Na podstawie tych samych utopijnych rojeń, które miały wówczas wielkie wzięcie u intelektualistów. Czy FDR był kryptokomunistą? Broń Boże! Człowiek, który rozdawał największym korporacjom w kraju rządowe miliony dolarów, nie miał takich ciągót. Był po prostu sztandarowym przykładem utopisty, a w każdym utopiście kryje się zwolennik makiawelizmu, który dla realizacji imponującej wizji musi wyznawać zasadę, że cel uświęca środki.

Krótko mówiąc, Amerykanie, którzy znaleźli się w potrzasku, wliczając w to moich rodziców, nie zostali porzuceni. Nie zostali nawet zapomniani. Złożono ich na wspólnym ołtarzu dwóch światowych potęg.

Jedyną pociechą jest dla mnie fakt, że historia nie okazała się dla Josepha Daviesa łaskawa. Zapamiętano go jako nędznego tchórza i niedouczzonego sługusa, którym faktycznie był. Roosevelta jednak, tego starego patrycjusza, oczyszczono z wszelkich zarzutów i posadzono w panteonie wielkich przywódców, których mit z czasem jedynie rośnie. I przyznam, że ta pozornie niewłaściwa nominacja nawet mnie napełnia niechętnym podziwem. Nie sposób nie docenić zręczności, z jaką FDR pozwolił swemu usłużnemu przyjacielowi Daviesowi wziąć na siebie winę za jego nieświęte przymierze. Oto akt politycznej przebiegłości bez wątpienia godny Księcia.



Florence przetrwała rok 1937, pracując jako woźna w teatrze W___ na Arbacie. Dostała tę posadę dzięki teatralnym koneksjom żony swego byłego szefa, Timofiejewa. Miała to być ostatnia przysługa wyświadczona przezeń amerykańskiej asystentce, nie licząc tej, której jeszcze nie była w stanie pojąć, czyli zerwania wszelkich kontaktów.

Tak więc w styczniu, kiedy z gabinetów partyjnej wierchuszki wymiatano byłych towarzyszy Stalina, Florence sunęła z miotłą przez zakurzony labirynt aktorskich garderób. W marcu, kiedy Stalin rozpoczął kampanię likwidacji wszystkich ważących się na odstępstwa od ideologii intelektualistów, takich jak pisarze Izaak Babel i Osip Mandelsztam, Florence mozoliła się przy usuwaniu śladów zabłoconego obuwia z purpurowych dywanów starego teatralnego foyer. W maju, kiedy Wielki Przywódca rozpoczął czystki w Armii Czerwonej, eliminując w przeciągu osiemnastu miesięcy trzydzieści pięć tysięcy oficerów, ona pozbywała się brudu wrośniętego w tkaninę aksamitnych poduszek. Porządki trwały aż do roku 1938, kiedy to Ojciec Ludu zarządził spędzenie i zagnanie na Syberię całych mas Polaków, Koreańczyków, Greków i Finów, gdy tymczasem Florence wyrzucała całe wiadra popiołu z papierosów i starych gazet do koszy na śmieci w krętych zaułkach Arbatu. A kiedy Jeżow, nowy szef NKWD, „oczyszczał organy”, przeprowadzając egzekucje tysięcy agentów swego poprzednika i skazując się tą metodą na identyczny los, Florence ścierała sobie kolana, szorując w teatrze porcelanowe sedesy.

Nieuprawnione byłoby jednak stwierdzenie, że nienawidziła tej pracy. Jak może się zdarzyć, że salowa polubi woń chloroformu, tak Florence znalazła upodobanie w zapachu makijażu, którym przesiąkły wszystkie tkaniny w teatrze. Porzucone kostiumy i osierocone rekwizyty, łuszczące się niebotycznie wysokie sufity i zmysłowe kurtyny, stanowiące nieodłączne elementy zszarganego blichtru starych teatrów na całym świecie, obudziły w niej na powrót coś jakby magię spędzanego w samotności dzieciństwa. Pojawiała się na próbach kostiumowych każdego nowego spektaklu niczym Kopciuszek, opierając się na swej miotle w jakimś ciemnym kącie widowni. Otrzymała tę pracę pod niewyartykułowanym na głos warunkiem, że będzie tiszce wody, niż trawy – ciszej od wody, niż trawy, i doskonale to rozumiała. Obserwując rozwijające się na scenie dramaty, Florence pilnowała, by jej nie dostrzeżono, starając się ze wszystkich sił czerpać pociechę ze swej anonimowości.

Ożywiała się nocą, scena po scenie opowiadając sztuki Leonowi. Pozwalając, by ugniatał nasadą dłoni jej zmęczone stopy, zamykała oczy i czerpała przyjemność z opowiadania historii romansów i awantur bohaterów, ich upartych dążeń i gorzkich

rozczarowań, o tyle łatwiejszych do opowiedzenia niż jej własne. W tym sezonie nie opuściła ani jednej sztuki: Arbusow, Gorki, Czechow. Czasem jej spojrzenie przesuwało się z wykonawców na widzów. Oni także wydawali się jej podobni aktorom, choćby dlatego, że czuła się od nich równie odmienna. Z nikim nie rozmawiała, chyba że zachorowała Agnessa Artemowna, szatniarka, i Florence zajmowała jej miejsce – wieszala wilgotne płaszcze i kapelusze, wciskała szaliki do rękawów. Po przedstawieniu patrzyła, jak tłum pcha się w jej stronę w bezpardonowym wyścigu do szatni, wstrząśnięta, niczym jeden z suchotników Czechowa, ich apetytem na życie. Życzliwe towarzystwo Agnessy Artemownej, piętnaście lat starszej od Florence, lecz z powodu opuchniętych nóg i stawów dłoni mogącej uchodzić za jej matkę, uczyniło jej degradację znośniejszą. Znajdująca się tuż za szatnią kanciapa woźnych była prywatnym królestwem Agnessy, która utrzymywała tę rupieciarnię wypełnioną popsutymi krzesłami, połamanymi kijami od szczotek, skrawkami dywanów i obtłuczonymi rondlami w równie schludnym porządku, jak jaskółcze gniazdko uwite ze znalezionych na chodniku śmieci. Po pierwszym akcie Agnessa zamykała szatnię i zapraszała Florence na szklankę czarnej herbaty, którą zaparzała w starym, zakamienionym czajniczku.

Agnessa, wedle historii opowiedzianej Florence, wraz z innymi dziewczynami przyjechała do Moskwy jako naiwna młoda kobieta ze wsi w poszukiwaniu pracy w fabryce. W wieku dwudziestu lat wyszła za chłopaka, który „trochę pił, ale wydawał się miły”. Teściowa miała ją za wieśniaczkę i „ciągała po podłodze za włosy”, chociaż Agnessa była już w ciąży. Teraz Agnessa przesuwała palcami Florence po guzach i wgłębieniach w czaszce, które pozostały jej po razach zadawanych przez młodego małżonka i jego matkę. Przemoc odcisnęła ślady na jej ciele, ale najwyraźniej oszczędziła ducha, bo o przeżytych udrękach Agnessa mówiła pogodnym tonem. Pamiętała najróżniejsze szczegóły z lat swej młodości – pogodę czy ile co kosztowało – przez co jej historie trzymały w napięciu tak samo jak wystawiane na scenie sztuki. A nawet bardziej, pomyślała Florence, bo przecież były prawdziwe. Bohaterowie stojący przed widownią odgrywali sceny odkupienia, przyłączając się do kolektywu i podporządkowując swe ambicje woli większości. Motywem przewodnim wszystkich historii Agnessy było coś całkiem przeciwnego: niemal maniakalne, monotematyczne dążenie do uzyskania własnej przestrzeni.

– Zatrudniłam się jako zecerka i rozwiodłam się z bydlakiem – opowiadała w cieniu szczotek i mioteł. – Tyle że ciągle mieszkaliśmy w tym samym pokoju! Poszłam do administracji i mówię: „Dajcie mnie i mojej córce pokój”. A oni mi na to: „Przynies nam dokument potwierdzający, ile metrów kwadratowych zajmujesz z byłym mężem”. No to przyniosłam im ten papier. To było piętnaście i pół metra. A ci mi mówią: „Nic tu nie poradzimy. Każdemu przysługuje pięć metrów na osobę, a wy dwoje macie pół metra dodatkowo. Będziecie musieli zająć się zamianą sami. Wymieńcie się z kimś na dwa pokoje”. No to ja im mówię: „Ale on się nie zgadza!”. „A to nie nasz problem”. No to co ja mam zrobić? Kolejne dziecko z tym wieprzem, żeby dostać własny pokój? No i wtedy zrozumiałam, dziewczyno, co to jest miejskie życie. Tutaj musisz zarabiać pieniądze! I wiedzieć, komu posmarować. No to pracowałam od świtu do zmierzchu i jeszcze wzięłam sobie nocną fuchę jako sprzątaczkę w kostnicy. W ogóle nie spałam, w ogóle nie

widywałam dziecka. Żyłam, a zazdrościłam umarłym. A potem wzięłam to, co zarobiłam, i poszłam do właściwych ludzi. I tak w końcu zdobyłam własny pokój.

Pod koniec drugiego aktu, gdy należało z powrotem otworzyć szatnię, opowieść Agnissy zaczynała zwykle zmierzać do rzewnej, nieco filozoficznej konkluzji.

– Ciekawe, jak się nieraz toczą ludzkie losy, co? Popatrz na moje ręce. Przyjechałam do miasta za łatwiejszym życiem. A siostra została na wsi i to jej się lepiej ułożyło. Została położną. Kiedyś mi pomogła. Jak się rozwiodłam, poznałam mężczyznę... Dobrego, ale żonatego. No i co miałam zrobić? Nie mogłam donosić. Już nie rób takich wielkich oczu. Wielu kobietom tak pomogła. Przeniosła się do domku na skraju wsi. Przyjeżdżały tam dziewczyny z całej Moskwy, nawet kiedy można już było usunąć legalnie. A teraz ma jeszcze więcej roboty. Włosy zawsze ufarbowane, ubrania w dobrym gatunku. Nigdy jej do pierwszego nie brakuje.

Na szczęście Agnessa rzadko pytała Florence o jej sprawy.

– A ty jak się tutaj znalazłaś? – zaciekawiła się kiedyś.

Florence nauczyła się już, że proste odpowiedzi są lepsze od skomplikowanych.

– W Ameryce nie było pracy, więc przyjechałam tutaj. Poznałam mężczyznę i zostałam.

Agnessa ze zrozumieniem pokiwała głową.

– To zawsze tak jest.

Podczas pierwszych przepracowanych w teatrze miesięcy Florence bez przerwy czujnie wypatrywała znajomych twarzy, ukradkiem obserwując tłum pod szatnią, by odwrócić się w porę i nie zostać dostrzeżoną. Po kilku miesiącach jednak, kiedy nie zmaterializowała się żadna z postaci z jej poprzedniego życia, Florence osłabiła czujność. Czymś zupełnie nieoczekiwanym było więc jej imię wypowiedziane pewnego chłodnego kwietniowego wieczoru 1939 roku przez wysoką kobietę podającą jej płaszcz z króliczego futra.

Florence zmrużyła oczy, jakby ktoś zaświecił jej jaskrawym reflektorem w twarz.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – powiedziała kobieta. – Mam na imię Walda.

Nie jej twarz, lecz bałtyckie imię uruchomiło ciąg skojarzeń i Florence przypomniała sobie rasową litewską tłumaczkę z mieszkania Niny i Timofiejewa, którą spotkała przed tyloma laty.

– Walda. Oczywiście!

Przerwał im pierwszy dzwonek i Florence ponownie zobaczyła dawną znajomą dopiero po przedstawieniu. Walda czekała na nią przy wyjściu z foyer.

– Flora. Zaskoczył mnie twój widok w tym miejscu.

Florence udało się obronić przed wzbierającą w niej znajomą falą strachu i zażenowania.

– Teraz wiele rzeczy zaskakuje – odparła.

Walda chyba pojęła aluzję.

– Powinnyśmy porozmawiać, powspominać – zasugerowała łagodnie.

– Miałabyś coś przeciwko temu, by poczekać na mnie tak mniej więcej do północy?

– zaproponowała Florence ironicznie.

– A może wczesnym popołudniem? W następny czwartek?

I ku zaskoczeniu Florence Walda wyjęła z torebki świstek papieru i zapisała na nim adres.

Aż do ostatniej chwili Florence nie wiedziała, czy pójdzie zobaczyć się z Waldą. Sporo czasu minęło, odkąd miała okazję ubrać się w ładną sukienkę i ułożyć włosy. Myśl o tym, by postarać się o nieco schludniejszy i przyjemniejszy dla oka wygląd, napełniła ją niebezpieczną nadzieją, której nie ufała. Miejsce wyznaczone przez Waldę znajdowało się w pobliżu parku Sokolniki, na porośniętych sosnowym lasem obrzeżach Moskwy, gdzie można było dojechać tramwajem z ostatniej stacji metra. Kiedy Florence tam dotarła, okazało się, że nie jest to wcale żaden leśny punkt widokowy, ale stołówka studencka na uniwersytecie, na którym Walda prowadziła zajęcia w Instytucie Filozofii, Literatury i Historii, tak zwanym IFLI. W trakcie dobrowolnego odosobnienia Florence miasto jak gdyby przesunęło się na zewnątrz. W stołówce, pałaszując z Waldą zaskakująco smaczną zupę, Florence poczuła się jak nocne zwierzę obudzone o świcie.

– Uczysz tutaj?

– Tak, na wydziale filologii klasycznej.

– To musi być ogromna przyjemność, taka praca, omawianie każdego dnia literatury.

Patrząc na topniejące w jaskrawym słońcu zasy, na odsłonięte twarze i odkryte głowy mijających ich studentów, wciągając w nozdrza zapach czarnej, budzącej się do życia ziemi, Florence upajała się nadchodzącą wiosną.

– Pewnie tak. Studenci są bystrzy, ale... – Walda zniżyła głos. – Za każdym razem, gdy zabieram się do omawiania struktury klasycznego wiersza, któryś z nich mi mówi, że to reakcyjne albo że jestem formalistką. No i co ja mogę na to powiedzieć? Mamy iść z duchem czasu.

Ale Florence słuchając tych skarg Waldy ogarniała tym większa zazdrość.

Dopiero gdy wybrały się na spacer po bezludnych obrzeżach parku i nikt nie mógł ich usłyszeć, Walda powiedziała:

– Szczerze mówiąc, Floro, nie wierzyłam własnym oczom, kiedy zobaczyłam cię w tej malutkiej teatralnej szatni.

– Czemu?

Walda wytrzeszczyła oczy.

– Jak to czemu? Sądziłam, że wróciłaś do Stanów albo cię... no, wywieźli.

– Mnie?

– No tak. Z powodu Timofiejewa. Nie rób takiej zaskoczonej miny. Nie słyszałaś, co się z nim stało? Zgarnęli go po procesie Piatakowa.

– Grigorija Grigoriewicza? – Florence wiedziała, że nawet taka rozmowa może być niebezpieczna, ale wyraz oczu Waldy, jakaś szlachetna prostota jej rysów, upewniły ją, że może mówić dalej. – Wielkie nieba! A co z Niną?

– Zniknęła. Wróciła do Tbilisi. Bóg raczy wiedzieć, kto do tego czasu wprowadził się do ich pięknego mieszkania na Prieczistience.

Florence zrozumiała, że powiązania Waldy z roziskrzonym światem Timofiejewów zostały zerwane tak samo jak jej. Były samotnymi planetami, które wypadły z orbit.

– Chcesz powiedzieć, że Nina go tak po prostu zostawiła?

– Zostawiła? Och, Floro, czy sądzisz, że Moskwa jest choć odrobinę bliżej Syberii niż Tbilisi?

I wtedy Florence dowiedziała się, że Timofiejew jako młody mężczyzna był członkiem jakiejś grupy opozycyjnej czy czegoś w tym rodzaju. Zaświtało jej nagle, że pewnie od początku przeczuwał zbliżające się aresztowanie. Zwolnił ją, żeby jej z nim nie wiązano. Znowu przypomniała sobie uwagę rzuconą przez jego olśniewającą żonę: „Kimże w końcu jesteśmy, by sądzić, że możemy sobie wyobrazić, co właściwie dzieje się na górze?”

– To Nina załatwiła mi pracę w teatrze – wyznała Florence.

– Taki zapyziały teatrzyk. – Walda ze współczuciem pokręciła głową. – Oczywiście, żadna praca nie hańbi – wycofała się pospiesznie. – Chciałam tylko powiedzieć, że z twoją umiejętnością pisania na maszynie i znajomością rachunkowości, z twoim angielskim naprawdę mogłabyś sobie znaleźć odpowiednie zajęcie.

Czy miała na myśli coś konkretnego?

– Może tutaj, w instytucie? Mogłabyś uczyć angielskiego studentów wyższych lat filologii.

– Nie ma dość wykładowców?

– Mieliśmy trochę zmian wśród pracowników naukowych i w administracji.

Florence nie dopytywała. Domyśliła się, że instytut też nie uniknął czystek. Ale teraz, jak zdawała się sugerować Walda, wahadło odchyliło się w drugą stronę. „Nadgorliwość”, tak to określano w gazetach. Szefa NKWD, Nikołaja Jeżowa, politbiuro zwolniło ze stanowiska za zbyt gorliwe wypełnianie obowiązków. Teraz, kiedy u steru stanął Beria, najgorsze musiało już być za nimi.

Wiedziała, co o tym planie powiedziałby Leon. W teatrze nikt jej nie nachodził. Była tam bezpieczna. Ale jaką wartość miało takie bezpieczeństwo? Gniła tam. Marnowała najcenniejsze lata życia. Florence była pewna, że Walda – niezależnie od tego, czym się kierowała, proponując jej inne rozwiązanie – naprawdę jej współczuje. I boleśnie świadoma, że duma i pewność siebie, które ona, Florence, starała się pokazywać światu, nikogo nie zwiódą. Walda nie była jedną z tych karierowiczek, które pazurami wyszarpały sobie stanowiska zapewniające wpływy. Należała do prawdziwej inteligencji. W Moskwie wciąż jeszcze jest kilka osób, pomyślała Florence, którym nieobca jest zwykła ludzka przyzwoitość.

– Ale IFLI to poważny instytut. Zajęcia są tu prowadzone przez naukowców, a ja nigdy nie uczyłam.

– To bez znaczenia. Skończyłaś studia. A co z tymi inżynierami, którymi opiekowałaś się kiedyś w Stanach, mówiłaś mi przecież o tym? Możesz powiedzieć, że uczyłaś właśnie ich. – Walda napisała coś w małym notatniku. – Porozmawiam z dziekanem. To rozsądny człowiek. Czuję, że się uda.

I się udało.



Tak właśnie Muchow przedstawił mężczyzn z Sausen Petroleum, choć żaden z tych facetów nawet z daleka nie sprawiał wrażenia Szwajcara. Słowiańskie gęby i nazwiska nie pozostawiały wątpliwości co do ich obywatelstwa, ale sposób wystawiania się i ubierania pozwalał się domyślać nieco bardziej skomplikowanego mariażu północnej i południowej Europy: zanglicyzowany akcent wskazywał na londyńskie wykształcenie, a dopasowane garnitury – na włoskich krawców. Ci dwaj, przebrani w ciuchy od Gucciego, naprawdę sprawiali wrażenie, jakby spotkanie z nami było dla nich przyjemnością. Kiedy Gucci Numer Jeden ścisnął mi rękę, przyjemność była tak przemożna, iż odniosłem wrażenie, jakby miał nadzieję wycisnąć mi z palców przynajmniej kilka mililitrów benzyny.

Początek spotkania odwrócił się nieco, bo każdy z menedżerów L-Petu urzędujących na tym piętrze chciał wpaść choć na momencik, by naszym przyjaciółom z Genewy życzyć szczęścia. Chyba go jednak nie potrzebowali. Bracia Gucci byli tak niezachwiani w swej pewności siebie, że nonszalancko odrzucili wszystkie zaproponowane przez nas archaiczne urządzenia do prezentacji. Nie potrzebowali ekranu ani projektora, nie widzieli potrzeby korzystania z laptopów z PowerPointem. Nie żeby można było coś zarzucić ich manierom. Przeciwnie, bardziej uprzejmi już być nie mogli. Tę samą przemowę o długiej i lojalnej służbie dla L-Petu (jako byli brokerzy przedsiębiorstwa) wygłosili przynajmniej dwukrotnie. Ich strategia polegała chyba na tym, by w miarę możliwości nie wspominać w ogóle o tym, co zamierzają robić jako nasi spedytorzy, i pozwolić, by cała reszta dokonało nazwisko Abuskałajewa. Po półtorej godziny tej „prezentacji”, imponującej w swej niemal perfekcyjnej beztreściowości, Guccięta zapytały, czy mamy do nich jakieś pytania.

Miałem jedno. Jak zamierzają obsługiwać budowane przez nas statki? Wyrozumiały uśmiech Gucciego Numer Dwa pozwalał domyślić się odpowiedzi.

– Zatrudnimy naturalnie profesjonalistów.

Profesjonalistami, których zamierzali wynająć, okazała się „najlepsza załoga Sowkomfłotu”, jednego z konkurentów w tym przetargu.

Policzyłem szybko w pamięci. Sowkomfłot złożył ofertę na sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów za dzień. Sausen na sto jedenście. A zatem budując te same statki, w tej samej stoczni, zatrudniając zasadniczo tego samego armatora, zamierzali nas kasować na dodatkowe siedemnaście milionów dolarów rocznie przez kolejne dziesięć lat.

– Złożyliście ofertę znacznie droższą niż Sowkomfłot – powiedziałem. – Czy moglibyście wyjaśnić, co konkretnie pokrywa ta dodatkowa opłata?

– Oczywiście. Tym, co od nas dostajecie, jest... – i tu nasi nowi przyjaciele z Genewy niemal jednym głosem wypowiedzieli termin zaimplantowany tak dawno w macicy amerykańskiego kapitalizmu, że w ich fircykowatych ustach zabrzmiał rozbijająco staroświecko – ...kontrola jakości.

Tym samym pozostało tylko jedno pytanie, którego nie sposób było zadać otwarcie: z kim spośród kadry zarządzającej L-Petu bracia Gucci zamierzali podzielić się stoma siedemdziesięcioma milionami dolarów? Z Muchowem? Z Serdiukiem? A może z jednym i drugim, przecież obaj kiwali teraz głowami ze śmiertelną powagą. A może z samym dyrektorem zarządzającym Abuskalajewem? Bardzo prawdopodobny był Kabłukow – Trep, chociaż jego nieobecność na spotkaniu sugerowała mieszane uczucia wobec jego własnych kantów. A może po prostu nie lubił być świadkiem wykonywania wydanych przez siebie rozkazów? Spojrzałem przez ramię na Toma. Przecież musiał za całą tą bajerancką gadką dostrzec dwóch podrzędnych kanciarzy! A ponieważ to on odpowiadał za finansową stronę tego joint venture, miałem wątplą nadzieję, że być może znajdzie jakąś sprytną metodę poruszenia kwestii stu siedemdziesięciu milionów dolarów. Tymczasem iście clintonowskie spojrzenie, które mi rzucił, wcale mnie nie pocieszyło. Jakby nie dostrzegając moich bezgłośnych błagań, ścisnął potężną dłońią mój raczej szczupły bark w sposób, który wydawał się mówić: „Daj spokój, tygrysie. Szkoda twoich kłów na tę walkę”.

Odsunąłem mankiet i zerknąłem na zegarek. Wskazówka godzinowa timexa powoli zbliżała się do trójki. Musiałem ruszać na Nieglinną, żeby spotkać się z archiwistą, zanim zamkna. Zwlekałem z nadzieją, że kwestię Sausena można będzie uciąć raz na zawsze, kiedy genewczycy wyjdą z sali konferencyjnej, ale ku memu rozczarowaniu na srebrnym wózku wjechał lunch z firmy kateringowej: przesadnie przyprawione pastrami i kiszona kapusta.

Nie będąc w stanie znieść tego dłużej, uciekłem. Powiedziałem sobie, że ostateczne głosowanie nie odbędzie się przed poniedziałkiem, a był dopiero czwartek. Pognałem do metra, z którego wynurzyłem się na stacji Kuźniecki Most wśród zaparkowanych benzów i wygarniturowanych palaczy o twarzach niemowląt. Przeciskając się pod prąd fali pieszych, parłem ku aluminiowym podwójnym drzwiom budynku archiwum. Bogu dzięki, było jeszcze otwarte. Gdy tylko wkroczyłem do holu wyłożonego podziubdzianym obcasami linoleum, funkcjonariusz FSB, tym razem jakiś inny, poinformował mnie, że budynek właśnie jest zamykany.

– Ale przecież kończycie dopiero za pół godziny – zaprotestowałem.

Obojętnym ruchem głowy wskazał przyklejoną do ściany kartkę: **GODZINY OTWARCIA W OKRESIE LETNIM.**

– Archiwista powiedział, że pracuje do trzeciej.

– Wyszedł godzinę temu.

Zajrzałem do czytelnicy. Była pusta. Nawet zubożali intelektualiści wybrali jakieś lepsze miejsca na spędzenie letniego popołudnia. I wtedy, przy szafie na akta w głębi sali, dostrzegłem przygarbionego asystenta archiwisty.

– Halo, pamięta mnie pan? – Pomachałem ręką na skraju jego pola widzenia.

Mężczyzna powoli, z niechęcią odwrócił głowę. Uznałem to za zaproszenie, by do

niego podejść.

– Dostarczyłem panu dokumenty dotyczące akt moich rodziców.

– To pan jest tym człowiekiem ze Stanów.

– Zgadza się.

Zmierzył mnie sokolim spojrzeniem.

– Przekazałem pana wniosek.

– Och, świetnie.

– Nasz personel zrobi kwerendę w jednym z magazynów. To potrwa.

– Jak długo? – zapytałem, próbując nie krzywić się na dźwięk dziecinnych tonów w swoim głosie.

– A kto to może wiedzieć? Tydzień. Może dwa.

– Ale ja we wtorek wyjeżdżam – powiedziałem błagalnie.

Mężczyzna się zamyślił.

– Ma pan tutaj kogoś, kto mógłby odebrać akta w pana imieniu?

Zawahałem się. Miałem tu kogoś, oczywiście, ale niechętnie brałem pod uwagę możliwość proszenia Lenny'ego o odebranie dokumentów. Kto mógł wiedzieć, czego się w nich doszuka?

– A jeśli mam? – zapytałem.

– Mogę dać panu formularz uprawniający do odbioru. Ale uprzedzam, że pobierana jest opłata kserograficzna.

– Ile?

Podał mi cenę w rublach. Wychodziło prawie pięćdziesiąt centów za stronę.

– Ile stron znajduje się w typowym dossier?

Wzruszył ramionami.

– Czasem dwieście, a czasem sześćset. Zależy od rodzaju popełnionego przestępstwa.

Teraz z kolei ja spojrzałem na niego podejrzliwie. W tym mieście kroku nie można było zrobić, żeby ktoś nie próbował zedrzeć z ciebie skóry. Poprosiłem o wymagane formularze.

Po wyjściu stanąłem w późnopołudniowej mgielce i przyglądałem się, jak strażnik rygluje drzwi, zamykając skarbiec kryjący chwalebne i naganne czyny mych rodziców, repozytorium moich pytań bez odpowiedzi. Kłębek topolowego puchu otarł mi się o policzek. Kolejne turlały się po chodniku, zapychając studzienki. Zacząłem iść niespiesznie pod górę. Powietrze wydawało się zjonizowane, ciśnienie kapryśne. Podniosłem wzrok i dostrzegłem gęstniejące chmury, w których więzły ostatnie promienie słońca. Czego ja się boję? – pomyślałem. Że mój syn dowie się prawdy o rodzinie? Dowie się więcej, niż ja wiem? Kiedy zmarła moja matka, Lenny miał dziewiętnaście lat. Był jedyną w rodzinie osobą, którą Florence tak zapamiętała pokochała. Po tym, jak przyjechaliśmy do Stanów, spędzała z nim całe weekendy, co w przypadku Maszy, mojej starszej córki, zdarzało się raczej rzadko. Lenny uwielbiał Florence i do dziś żywił przedziwnie romantyczne wyobrażenia o tym, jak to niby przeżyła życie jako „wolny duch”. W tym momencie jednak, przypominając sobie durne porady, których zwykła mu udzielać („W życiu nie należy być zbyt praktycznym”,

„Myślenie zostaw sercu, mniej będzie cię bolała głowa”), nie byłem pewien, czy w głębi duszy nie mam ochoty przekłuć wyidealizowanego wizerunku babki, który pielęgnował mój syn.

– Do diabła z tym, w końcu wszyscy jesteśmy dorośli – powiedziałem w przestrzeń i wyjąłem z kieszeni marynarki telefon.

Po sześciu sygnałach przełączyło mnie na pocztę głosową Lenny’ego. Spróbowałem jeszcze raz. Tym razem poczta włączyła się od razu. Poczekałem na sygnał.

– To ja – rzuciłem w elektronicznej ciszy. – Może wczesny obiad? Ty wybierasz miejsce. Chcę z tobą o czymś porozmawiać. Chodzi o przysługę.

Spojrzałem jeszcze raz w nieprzeniknione niebo, po czym wyszukałem w kontaktach telefon domowy Lenny’ego. Linia była zajęta. Spróbowałem jeszcze raz i tym razem sygnał zaczął dwukrotnie, zanim odebrał rozgorączkowany, zwilgotniały od łez kobiecy głos.

– No nareszcie, gdzie jesteś?

– Katia? – zapytałem niepewnie.

– Kto mówi?

Było to nie tyle pytanie, ile żądanie, choć wygłoszone cienkim, podejrzliwym tonem.

– Julij Leontjewicz. Czy mogę rozmawiać z Lennym?

Głos po drugiej stronie załamał się, przechodząc w zrozpaczone jąkanie.

– Och, Juliju Leontjewiczu, o Boże, Lenny’ego tu nie ma. Zabrali go jakąś godzinę temu. Dzwoniłam już wszędzie.

– Wolniej, skarbie, nic nie rozumiem. Kto go zabrał?

– Ci faceci. Z MWD, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tak powiedzieli. Dali mu jakiś papier. Powiedzieli, że jest oskarżony o defraudację funduszy udziałowców w jakiejś fabryce w... och, nie pamiętam. A potem go zabrali.

Głos drżał jej tak, że prawie nie sposób było zrozumieć, co mówi.

– Dokąd, Katia? Dokąd go zabrali?

Biegłem już na róg, wyciągając palec wskazujący w stronę ulicy.

– Nie pozwolili mi z nim pojechać. Powiedzieli, że jadą do aresztu numer dziewięć. Chyba w dzielnicy Kapotnia. Boże, to jakiś obłąd. Jestem pewna, że to wszystko sprawka tych skurwysynów, których uważa za przyjaciół.

Przy krawężniku zatrzymała się ze zgrzytem zdezelowana niebieska łada.

– Nigdzie nie wychodź – powiedziałem do Katii. – Jadę do ciebie.



Życie w Instytucie Filozofii, Literatury i Historii bezsprzecznie oznaczało postęp w porównaniu z czyszczeniem toalet. Wszystkie sprawy papierkowe związane z zatrudnieniem załatwiono zdumiewająco szybko i już jesienią Florence miała dwie grupy studentów. Uczyła ich angielskiego na poziomie średnio zaawansowanym z taką powagą i zaangażowaniem, że ostatnie dwa lata wykonywania przez nią podrzędnej pracy uznano za przerywnik niewart zapamiętania. Instytut zajmował skromny zespół pięciopiętrowych budynków. Zatłoczone półpiętra i ogłuszająco hałaśliwe korytarze przypomniały Florence jej własne lata studenckie, z tą jednak zasadniczą różnicą, że teraz stała w pewnym oddaleniu od wszystkich tych nieustannie powtarzających się kolizji.

Nie musiała się biedzić nad ułożeniem planu zajęć; zrobiono to za nią. Sylabus obejmował podręczniki gramatyki oraz dzieła takich zaaprobowanych autorów, jak Mark Twain i Upton Sinclair, stojących po właściwej stronie w zgrubnej klasyfikacji dzielącej pisarzy zachodnich na postępowców i reakcjonistów. Florence marzyła o tym, by pokazać co bystrzejszym studentom fragmenty Yeatsa albo D.H. Lawrence'a, których jako młoda dziewczyna uwielbiała, ale nawet gdyby ich książki udało jej się jakimś cudem zdobyć, za umieszczenie w sylabusie takich dekadencjonalnych obskurantów zapłaciłaby utratą pracy. Co za ulga, że oszczędzono jej takich wyborów. Nauczając języka obcego, można było trzymać się z dala od nienawistnych intryg trawiących inne wydziały, gdzie profesorowie oskarżali się nawzajem o reprezentowanie starej gwardii i reakcyjnego formalizmu. Podczas pierwszego semestru Florence jedną z wykładowczyń instytutu zmuszono do rezygnacji ze stanowiska po tym, jak jej książka została bezlitośnie skrytykowana w dzienniku „Izwestia” za „fetyszystyczne posługiwanie się narzędziami estetyki”. Niedługo potem w tej samej gazecie pojawił się kolejny artykuł, tym razem wychwalający rzeczoną książkę, i wykładowczyni została przywrócona na stanowisko równie nieoczekiwanie jak wcześniej zwolniona, a jej współpracownicy, jakby nic się nie stało, nawiązali z nią na powrót przyjazne stosunki. Florence nie zdołała pojąć, co właściwie się wydarzyło. Czy profesorka ostatecznie odżegnała się od swoich błędów, czy też po prostu skorzystała na nagłej zmianie politycznego kursu? Florence już dawno zarzuciła próby zrozumienia logiki rządzącej tymi raptownymi zwrotami.

Od czasu do czasu wychodziła na obiad z Waldą, ale ich rozkłady zajęć rzadko się pokrywały, a Florence wcale nie była nieszczęśliwa, trzymając się z dala od pozostałych wykładowców. Bała się wplątania w jakąś polityczną awanturę, która mogłaby rzucić ją z powrotem na kolana i zmusić do wycierania z wykładziny śladów obuwia.

Któregoś dnia pod koniec pierwszego semestru wezwał ją do swego gabinetu

prorektor i zasugerował, by podniosła oceny kilku studentom z klasy pracującej należącym do Komsomołu. Została poinformowana, że po wystawieniu przez nią całej serii niskich ocen z egzaminu napłynęło wiele skarg na jej metody nauczania.

Obserwując brodę i wąsy prorektora drgające wokół poruszających się ust, Florence poczuła, że na skórze występuje jej alergiczna pokrzywka. Przez cały rok przykładała się ze wszystkich sił do swoich obowiązków, wiedząc, ile może ją kosztować najmniejszy błąd.

– Uprowadziłam studentów, że od pewnego momentu część wykładów prowadzona będzie w języku angielskim – zaproponowała ze skruchą. – Realizuję materiał powoli, ale jeśli niektórzy z nich nadal nie znają podstawowych zasad gramatyki, to być może nie powinni znaleźć się na tym poziomie.

– Może i tak, ale... Och, trzeba iść na pewne ustępstwa, Floro Solomonowna. Tu chodzi o zrekompensowanie niesprawiedliwych zaszczości. Nie wszyscy studenci mieli te same możliwości i przywileje.

Wyglądało na to, że prorektor nie żywi do niej niechęci. Jego broda, poślizgnięta od fajkowego dymu, wydawała łagodnie nieświeżą woń. Florence wyszła z gabinetu, obiecawszy pomóc mniej pojętym studentom.

Okazało się to łatwiejsze w teorii niż w praktyce. Dotyczyło to w szczególności jednej ze studentek; Florence podejrzewała, że właśnie jej zawdzięcza wezwanie do gabinetu prorektora. Julia Łarina, wysoka dziewczyna o końskiej twarzy, bumelantka, otwarcie zasypiała na zajęciach, wyczerpana uczestnictwem w spotkaniach Komsomołu, wiecach i pochodach. Zgodnie z zaleceniami prorektora Florence oddała Julii jej ostatnie marne dyktando z wypisanymi starannie wszystkimi poprawkami, co miało dziewczynie pomóc w zrozumieniu błędów, które popełniła.

– Jutro po zajęciach będzie dyktando poprawkowe. Przyjdź je napisać. Jeśli tym razem poradzisz sobie lepiej, poprawię ci ocenę.

Lecz zamiast okazać wdzięczność, dziewczyna uraczyła ją spojrzeniem wyrażającym lekceważące znudzenie.

– Jutro po zajęciach mam kolegium redakcyjne uczelnianej gazety.

– To przyjdź po nim, ja poczekam.

– Potem to muszę iść do domu ugotować kolację. Mam dwóch młodszych braci, a matka pracuje na dwie zmiany.

W każdej z tych wymówek Florence wyczuwała tłumione, lecz dostrzegalne wyzwanie. Było jasne, że Julia nie ma zamiaru poprawiać ani tego, ani żadnego innego dyktanda. Oczekiwała, że Florence podniesie jej ocenę wyłącznie ze względu na jej dobre stosunki z administracją.

– Nie jesteś jedyną studentką, która musi godzić różne obowiązki – powiedziała Florence.

Następnego popołudnia nie była już jednak pewna, czy dobrze załatwiła sprawę. Wykładowcy uniwersyteccy mieli pozycję niewiele wyższą od służących, co spryciarze w rodzaju Julii intuicyjnie pojmowali. Trudno więc się dziwić, że następnego dnia na wykładzie Florence puściły nerwy.

Wśród tekstów zatwierdzonych w programie odkryła fragment Życia na Missisipi

Marka Twaina, którego, co stwierdziła ze zdumieniem, nigdy wcześniej nie czytała. Twain opisywał w nim Missisipi dwukrotnie: pierwszy raz widzianą oczami młodego chłopaka, którym owładnęła nieodparta uroda rzeki, drugi raz z perspektywy doświadczonego szypra, który wiedział, że złocisty zachód słońca zwiastuje silny wiatr o poranku, a woda marszcząca się wdzięcznie podczas przyływu niesie śmiertelne zagrożenie. „Tak, cały romantyzm i piękno uleciały z rzeki. Każdy szczegół miał dla mnie tylko tę wartość, jak dalece był użyteczny do bezpiecznego prowadzenia parowca”⁷. Słowa te pochwyliły ją niczym dłoń rybaka, wywołując zimny, euforyczny dreszcz. Kraj, do którego przyjechała sześć lat wcześniej, tak niegdyś romantyczny i pełen możliwości, na każdym kroku wysyłał jej teraz niebezpieczne sygnały.

Nie miała złudzeń, że studenci mogą samodzielnie dojść do takich wniosków, ale nie traciła nadziei, że z jej pomocą słowa Twaina poruszą w nich jakąś strunę wystarczającą do rozważenia tej myśli i że optymistyczna pewność odcisnięta na ich twarzach pewnego dnia ustąpi miejsca innym formom poznania.

– Jak sądzicie, o czym Twain tak naprawdę pisze? – zapytała ich następnego popołudnia, prześlizgując się spojrzeniem od jednej posłusznej pary oczu do drugiej. Dłoń uniósł siedzący w pierwszym rzędzie blady, całkowicie pozbawiony wyobraźni młody człowiek o imieniu Aleksiej.

– Rzeka go rozczarowała, bo stracił przez nią wrażliwość na piękno.

– Czy rzeczywiście? – Florence uśmiechnęła się, przekrzywiając głowę.

– Pogoń za wiedzą ma swoją cenę? – wymamrotała drobna, poważna dziewczyna, którą Florence nazwała w myślach Małą Brontë.

– Bardzo trafnie. – I znów Florence rozejrzała się zachęcająco, czekając, aż w pozostałych oczach zapali się światło.

Gdzieś z tyłu dobiegł głos:

– Twain tęskni za swoją niewiedzą.

Florence dobrze знаła ten głos, choć nigdy wcześniej nie słyszała, by Julia z własnej woli zgłosiła się do odpowiedzi.

– To zwyczajny antypostępowy, reakcyjny romantyzm – ciągnęła dziewczyna ze swą zwykłą ostentacyjną obojętnością.

Co najdziwniejsze, ze wszystkich uwag ta akurat była najtrafniejszą interpretacją dzieła Twaina, co wystarczyło Florence za potwierdzenie, że brak postępów Julii nie ma wiele wspólnego z poziomem jej inteligencji.

– A więc nie zgadzasz się z tym, by Mark Twain miał poczucie, że zyskując nową wiedzę, utracił coś unikalnego?

Pozostali studenci przyglądali się teraz czujnie Julii i nawet Florence czuła, jak jej twarz wykrzywia się w dobrodusznym grymasie, jakby chciała upewnić dziewczynę, że jej pogląd jest tu równie mile widziany jak inne. Tyle że pogląd, który Julia miała do zaoferowania, trudno było uznać za jej własny.

– Pisarze muszą odmalowywać życie w jego rewolucyjnym rozwoju – wygłosiła z przekonaniem i zamilkła.

Była to nie tyle opinia, ile zakłęcie; konkretnie – oficjalne stanowisko Żdanowa ze Zjazdu Pisarzy Radzieckich w 1934 roku. Była to Prawda Objawiona i pozostali studenci,

co nie uszło nerwowej uwadze Florence, zaczęli skwapliwie potakiwać, jakby Julia była Mojżeszem schodzącym z góry Synaj, a oni skruszonymi Hebrajczykami, którzy w chwili panteistycznego zapamiętania zapomnieli o Prawie. Florence czuła, jak jej przewaga topnieje. Wiedziała, że jeśli tego wszystkiego nie odkręci, podzieli los złotego cielca.

– I w rzeczy samej Twain właśnie temu poświęcił życie – powiedziała, pomijając gładko niewygodne fakty. – Był rewolucjonistą nie tylko jako pisarz, ale też jako rzecznik kampanii antyimperialistycznej.

I w ten sposób Florence nieoczekiwanie dla samej siebie wdała się w długą rozprawę na temat ataków Twaina na zorganizowaną religijność, jego krytyki niewolnictwa, a nawet jego zamachów na monarchię poprzez satyryczne odmalowywanie postaci takich jak książę i król. Informacje na ten temat zaczerpnęła z zatwierdzonego przez Instytut Wprowadzenia do autorów angielskich. Ciągnęła w tym duchu jeszcze długo po dzwonku ogłaszającym koniec wykładu, uzupełniając wywód okruchami własnej wiedzy na temat oburzenia Twaina z powodu brutalnego imperialistycznego zajęcia Filipin przez Stany Zjednoczone, a tymczasem studenci, rozglądając się z zakłopotaniem, pakowali zeszyty.

– Nasze ostatnie dyktando odbędzie się w przyszłym tygodniu. Tych z was, którzy chcą poprawić wcześniejsze, proszę, by podeszli do mnie po zajęciach – zawołała z ogłuszającą życzliwością, gdy wychodzili.

Ale Julii nie było wśród tych, którzy zostali, by skorzystać z zaproponowanego przywileju.

Wreszcie wszyscy wyszli i Florence została sama, ale dalej utwierdzała się w przekonaniu, że zgrabnie wybrnęła z opresji. Miała dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że wdając się w spór z Julią, której ogromny talent retoryczny polegał chyba głównie na wygłaszaniu z piekielnym wyczuciem czasu zdań dających jej ideologiczną przewagę, mogłaby wpaść w zastawione przez nią sidła. Dlaczego więc wciąż czuła w ustach gorzyc lękliwych zapewnień o słuszności przekonań sprzecznych z jej własnymi? Skąd na języku ten kwaśny smak strachu? Przyszła na zajęcia z nadzieją, że uświadomi studentom te bardziej zagadkowe, filozoficzne wątki tekstu Twaina, a tymczasem udało jej się zrobić z niego jeszcze jednego propagandystę. Nie wiedziała, czy gorzej czuje się z tym, że zaparła się Twaina, czy że wyrzekła się własnej odwagi. Siedziała w malutkim pokoju wykładowców, położywszy przed sobą rojące się od błędów dyktando Julii. W gabinecie prorektora nie wyobrażała sobie, jak dotkliwie obrazi jej poczucie sprawiedliwości, jak boleśnie dotknie ją ta drobna kapitulacja: konieczność odpuszczenia tej komsomolskiej suce.

Pokój, w którym siedziała, najbardziej chyba przypominał kuchnię: dwa proste drewniane stoły, umywalka, kilka rozklekotanych foteli ustawionych przodem do okna wychodzącego na wewnętrzne podwórko instytutu. Nauczyciele przychodzili tu palić i czytać między zajęciami, uchodząc spieszenie przed czujnym wzrokiem studentów, a może i przed uporczywymi spojrzeniami innego rodzaju; pokój, będąc przestrzenią nie do końca oficjalną, był jedynym pomieszczeniem nieprzyozdobionym portretem Wielkiego Przywódcy. Przy sąsiednim stole, skrobiąc się po rozczochranej łepetynie i pocierając mięsiste policzki, siedział Borys Reczok, wykładowca z wydziału historii.

Jego aktówka, równie nieporządna jak jego głowa, pękała od wysypujących się z niej papierów, których najwyraźniej nie miał zamiaru porządkować. Czytał artykuł w najnowszym numerze „Prawdy”. Przekładał strony w tę i z powrotem z tak ostentacyjnym rozdrażnieniem, że wytrącił Florence z nurzania się z odrazą we własnym rozżaleniu.

– A więc teraz sprzedajemy im pszenicę do wykarmienia wojska, którym nas zaatakują! – wyburczał głośno w przestrzeń. – A oni sprzedają nam stal na szrapnele, którymi trafimy ich w plecy. No i kto wpadł na ten genialny pomysł?

Spojrzał na Florence i pokręcił głową nad szaleństwem nowej polityki rozszerzonego handlu z Niemcami, jakby natrętnie domagał się odpowiedzi.

Florence udała, że nie słyszy. To samo zakłopotanie i niepokój dostrzegła w twarzy Leona, gdy usłyszał o nowym protokole przyjaźni wobec Hitlera. „Cała Europa blokuje Niemców, a Rosja wysyła im zaopatrzenie. Pięćdziesiąt ton pszenicy, gumy, ropy naftowej. I to w rok po tym, jak Armia Czerwona pozbyła się ze swoich szeregów ludzi podejrzewanych o sympatie faszystowskie!” „Czy dobra wojna jest lepsza niż zły pokój?” – zapytała go w ich mieszkaniu, a on wtedy dziwnie na nią spojrzał. Czy w ogóle jej nie obchodzi, co Niemcy robią Żydom?

A czy on naprawdę wierzy w te plotki?

„Ależ jak możesz nie wierzyć? Kiedy ktoś ci mówi, że chcą zlikwidować naszych ludzi, to możesz mu wierzyć na słowo”. „Naszyc ludzi”. Te słowa usłyszała w jego ustach po raz pierwszy. Zaniepokoiły ją nawet w tej na wpół prywatnej, zamkniętej przestrzeni ich pokoju.

A tutaj proszę, Borys Reczok, zupełnie się nie kryjąc, pytał głośno:

– Co ja mam powiedzieć studentom? Nasi pierwsi historyczni wrogowie okazują się historycznymi przyjaciółmi! A więc ten pies to dziś rottweiler, a jutro pudel?

Tę uwagę trudniej było puścić mimo uszu. Nie byli już sami. Do pokoju niespiesznie weszły Bielkowa i Daniłowa, wykładowczynie z wydziału literatury. O czymkolwiek rozmawiały, usłyszawszy perorę Reczoka, gwałtownie zamilkły. Bielkowa obrzuciła starego człowieka karcącym spojrzeniem, którego on w swym zaaferowaniu nie dostrzegł, po czym wycofała się wraz z koleżanką w głąb pokoju, gdzie uchyliły skrzynkowe okno i zapaliły papierosy. Reczok nadal pastwił się półgłosem nad nowym traktatem z Niemcami, ale Florence już go nie słuchała, zajęta łowieniem słów Bielkowej, wygłaszającej cierpkie uwagi, choć na temat mniej drażliwy. Chodziło mianowicie o wystawioną zupełnie bez polotu sztukę teatralną, na którą ostatnio się wybrała. Florence przysłuchiwała się jej na tyle długo, by stwierdzić, czy teatr, o którym mowa, nie był tym, w którym kiedyś pracowała (nie był), po czym uznała, że czas zebrać papiery i poszukać sobie cichszego kąta do dalszego zamartwiania się.

I mogłaby do późnej nocy oddawać się rozmyślaniom o Julii Łarinie, gdyby po kolacji nie wydarzyło się coś nieoczekiwanego, co odsunęło tę sprawę na dalszy plan.

– Jesteście proszona do telefonu – zawołał kwaśno z korytarza jej sąsiad, po czym z powrotem przysiadł na stołeczku do pastowania butów.

Słuchawka, którą Florence wzięła do ręki, pachniała pastą.

– Flora Fein? – zapytał męski głos.

– Przy telefonie. Kto mówi?

– Chcielibyśmy porozmawiać z wami na temat wniosku o wizę wyjazdową.

Unosząca się w zatęchłym holu woń pasty przyprawiła ją nagle o zawroty głowy. Nie miała pewności, czy dobrze usłyszała. Osłoniła mikrofon dłonią.

– Czy dzwoni pan z OWIR-u?

Ale głos po drugiej stronie odpowiedział wymijająco:

– Proszę przyjść pod ten adres jutro o czwartej, po zajęciach.

Florence zaczęła grzebać w kieszeni sukienki w poszukiwaniu czerwonego ołówka, który tam wrzuciła, a potem wymacała na oślep jakąś kartkę wśród świstków utkniętych za aparatem. Na odwrocie pokwitowania z mięsnego nagryzmołała nazwę ulicy i numer domu.

– Może mi pan przypomnieć, do jakiego wydziału mam się zgłosić?

Ten, kto dzwonił, zdążył się już jednak rozłączyć.

– Kto to był? – zapytał Leon, kiedy wróciła do ich pokoju, gdzie sprzątał biurko po kolacji.

– Do końca nie wiem... – W głębi ducha przeczuwała jednak, kto może oczekiwać jej wizyty. – Nic ważnego. Sekretarka z instytutu. Znów zmienili terminy egzaminów.

Miejsce, do którego kazano Florence się udać, znajdowało się na jednej z cichych uliczek oddzielonych od reszty miasta wewnętrzną pętlą Kanału Moskiewskiego. W gasnącym świetle dnia pastelowe domy i bramy zagradzające wjazd na posesje otaczała aura pańskiej Moskwy Tołstoja. W mdłym świetle latarni, bojąc się zapytać o drogę, Florence szukała właściwego numeru.

Powtarzała sobie, że na razie będzie lepiej, jeśli Leon nie dowie się, dokąd poszła. Minęły trzy lata, odkąd próbowała się dostać do amerykańskiej ambasady. Cały plac, nie wspominając już o kraju, był teraz całkowicie odcięty. Leon wściekł się, że podjęła takie ryzyko, więc naprawdę nie było sensu mówić mu o tej drugiej wycieczce do OWIR-u, z wnioskiem o wizę pozwalającą na wyjazd. Podobnie jak wcześniej, tak i teraz Florence pocieszała się myślą, że jeśli zdoła trzymać Leona z dala od tej sprawy, nie będzie zmuszony poczuwać się do odpowiedzialności za nią, gdyby wydarzyło się coś nieprzyjemnego. Gdyby powiedziała mu o tajemniczym telefonie, udaremniłby jej plan, przekonałby ją, że to pułapka, i obrócił jej nadzieję w dręczący niepokój. A przecież miała nadzieję, elektryzującą nadzieję, nawet teraz, po tych wszystkich latach, w trakcie których w jakiejś mierze marzyła o tym, by jej wniosek zagubiono lub by o nim zapomniano. Niesiona tą nadzieją wypatrywała uważnie właściwego adresu, choć w głębi ducha wiedziała doskonale, że budynek, którego szuka, nie znajduje się w sąsiedztwie wydziału wizowego czy w ogóle jakiegokolwiek urzędu.

Drzwi otworzył jej mężczyzna. Pierwszą rzeczą, którą Florence dostrzegła, były jego wyglansowane czarne półbuty, nieskazitelnie czyste mimo panującej na zewnątrz pluchy. Dopiero po tym, jak weszła za nimi do mieszkania, objęła spojrzeniem całą resztę, włącznie z jajowatą głową i zaczesanymi na bok włosami odsłaniającymi parę drobnych, czujnych uszu. Mężczyzna wyglądał na trzydziestokilkulatka, wypiełgnowanego nie mniej niż jego pantofle, o rysach twarzy wyrzeźbionych tak harmonijnie, że mogłyby sprawiać wrażenie kobiecych, gdyby nie lekki zarost i wąskie, autokratyczne wargi.

Przedstawił się bez wstępów jako towarzysz Subotin. Salon, do którego ją wprowadził, był podobnie jak on schludny i skromny, z drobnymi mieszczańskimi akcentami. Okna zasłaniały staromodne firanki, a owalny stół dzielił na pół koronkowy bieżnik przyciśnięty brzuchatym samowarem. Florence spodziewała się chyba, że Subotin zaproponuje jej herbatę, ale nie. Zamiast tego podszedł do dłuższego brzegu stołu, na którym leżał plik papierów, bez wątpienia przygotowanych na to spotkanie. Poleciał Florence usiąść. Gdyby zapanowała nad sobą na tyle, by zrobić cokolwiek poza posłusznym wykonywaniem poleceń towarzysza Subotina, mogłaby dostrzec, jak stało się to podczas kolejnych wizyt, brak płaszczy, rannych pantofli, książek na półkach – jakichkolwiek oznak, że ktoś naprawdę w tym domu mieszka.

Towarzysz Subotin podciągnął zaprasowane w kant nogawki, usiadł naprzeciwko Florence i uniósł arkusz papieru, by mogła mu się przyjrzeć. Był to wniosek wizowy, który wypełniła w OWIR-ze trzy lata wcześniej.

– Spójrzmy na to. – Subotin miał głos uprzejmy, lecz chłodny. – Wygląda na to, że nie wypełniliście waszego wniosku do końca.

Jego dłoń ujęła srebrne pióro.

– Miejsce zatrudnienia – przeczytał na głos. – Wpisano tutaj Bank Państwowy ZSRR, a tak naprawdę jesteście pracownicą Instytutu Filozofii, Literatury i Historii.

– Tak, ale nie pracowałam tam jeszcze w chwili wypełniania tego wniosku.

– Ale teraz już tam pracujecie, prawda? No to wpiszmy to.

Florence podążyła wzrokiem za jego piórem kreślącym na formularzu zgrabne, pochyłe litery.

– Nazwisko małżonka... Nic nie wpisaliście, ale o ile się nie mylę, jesteście zamężna.

– Nieformalnie... To znaczy oficjalnie nie jestem mężatką.

– Ale mieszkacie razem od ponad czterech lat, co zgodnie z radzieckim prawem jest równoznaczne z zawarciem ślubu cywilnego. A zatem czy możemy to wpisać? – Powtórzył pytanie: – Nazwisko małżonka?

Florence czuła, że coś dławi ją w piersi, a tam, gdzie powinny znajdować się płuca, ciąży jej czysty ołów. Ależ była głupia, łudząc się, że to, w co się pakuje, nie będzie miało wpływu na nikogo poza nią. Teraz prawda docierała do niej z taką samą gwałtownością, z jaką biło jej serce. Powiodła spojrzeniem w stronę okna, którego czarną taflą zasłaniała bezbarwna firanka. Czy Leon miał rację, gdy przekonywał, że póki pracuje jako woźna i w nic się nie miesza, nikt nie będzie miał powodu, by ją niepokoić? A teraz ją wezwali. I wszystko wiedzieli.

– Leon Brink – powiedziała.

– Oczestwo?

– Naumowicz.

Oddychając płytko, próbowała uspokoić puls. Subotin starannym pismem wypełniał wniosek. Nie podnosząc wzroku, powiedział:

– Chcę wam przypomnieć, gdzie jesteście. Udzielając NKWD nieprawidłowych lub niepełnych informacji, dopuszczacie się zdrady, karanej z całą surowością prawa. Podobną zdradą dla obywatela radzieckiego jest próba ucieczki z jego ojczystego kraju.

Kusiło ją, by powiedzieć, że ta prawna alchemia, która magicznie przeobraziła ją w „obywatelkę radziecką”, musiała być bez wątpienia nielegalna.

– A więc sugerujecie, że próbuję uciec z mojego kraju ojczystego? – powiedziała zamiast tego. – Poszłam do OWIR-u otwarcie i wypełniłam wniosek wizowy, by odwiedzić rodzinę, której nie oglądałam od sześciu lat. Z żadną z tych rzeczy się nie kryłam.

Nieruchoma twarz Subotina zdradzała jednak, że Florence ani go nie przekonała, ani mu nie zaimponowała.

– A jednak – powiedział, nie podnosząc wzroku – zapomnieliście wspomnieć o tym, że macie męża.

Florence milczała.

– Twierdzicie, że zamierzaliście odwiedzić rodzinę. Ale to my to rozstrzygniemy. Może zamierzaliście wyjechać do Stanów, by przekazać tajemnice państwowe ZSRR imperialistycznemu rządowi amerykańskiemu?

– Wybaczcie, towarzyszu Subotin. Jakie tajemnice państwowe mogłyby się znaleźć w moim posiadaniu? Nigdy żadnych mi nie powierzono. Nie jestem członkiem partii.

– Może darujmy sobie te gierki, dobrze? Przez kilka lat pracowaliście dla Banku Państwowego ZSRR i macie rozległą wiedzę o jego metodach pozyskiwania funduszy i innych operacjach. Oboje dobrze wiemy, że tego rodzaju informacje mają dla naszych wrogów ogromną wartość.

Uśmiech Subotina wyłobił ostre zmarszczki wokół jego nosa. Było jasne, że nic go nie obchodzi Bank Państwowy ZSRR ani jego sekrety. Tajemnicą państwową mogło być cokolwiek. Dawał jej po prostu do zrozumienia, że to nie on miał dowieść jej winy, lecz ona – swojej niewinności.

– Szpiegostwo gospodarcze, podobnie jak ucieczka z kraju, zagrożone jest karą śmierci.

Ważne było zachowanie przede wszystkim pozorów niewzruszonego spokoju i opanowania.

– Skoro jesteście przekonani, że zamierzałam wyjawić tajemnice państwowe, to dlaczego mnie jeszcze nie aresztowaliście?

– Wiecie, gdzie jesteście, i nie leży w moich intencjach bawienie się z wami w kotka i myszkę. Aresztując kogoś, mamy aż nadto dowodów. Jesteście tutaj, bo postanowiliśmy uwierzyć wam na słowo i być może stworzyć wam mimo wszystko sposobność odwiedzenia rodziny w Stanach. Naturalnie, jeśli wyślemy was na koszt państwa, będziecie zobowiązani wykonać dla nas pewną pracę. Mamy nadzieję, że jako lojalna obywatelka zrobicie to bez wahania.

Kiedy w głowie Florence przestały brzęczeć jego groźby, serce na powrót zabiło nadzieją. Czy to możliwe? Chcieli ją wysłać do Stanów! Dlaczego nie? Nigdy niczego przed państwem nie ukrywała; NKWD nie mogło mieć jej nic do zarzucenia. Miała dla nich wartość. I było oczywiście absolutnie logiczne, że jeśli zamierzali ją wysłać do Stanów, musiała to być część jakiejś tajnej misji. Jeśli tak właśnie miało się to odbyć, była na to gotowa.

– Rozumiem – przytaknęła gorliwie.

– Do tych, których wysyłamy z kraju, musimy mieć najwyższe zaufanie. Musimy mieć pewność, że mamy do czynienia z ludźmi, na których można polegać. Oczywiście to od was zależy, czy potraficie dowieść, że jesteście niezawodni.

Zwilżyła językiem usta. Na czym miało polegać dowiedzenie niezawodności? Czy chcieli jej przydzielić jakieś zadanie od razu? Czy właśnie dlatego ją tutaj ściągnięto?

– W pierwszej kolejności musimy poznać nazwiska waszych znajomych i współpracowników, wszystkich, z którymi utrzymujecie regularny kontakt. – Subotin przejechał delikatnym palcem po zagięciu w notesie i wyrwał czystą kartkę. – Po prawej stronie proszę wypisać wszystkich obcokrajowców, znanych wam lub waszemu mężowi. Po lewej wszystkich współpracowników i znajomych z Instytutu Filozofii, Literatury i Historii.

Przysunął jej bliżej pióro.

Florence pospieszenie sporządziła listę wszystkich osób, z którymi codziennie się stykała, a po niej krótszą listę tych, z którymi znali się z Leonem towarzysko. Musiała pisać szybko, gdyż istotne było nieanalizowanie tego, co właściwie robi. Pocieszała ją myśl, że NKWD pewnie i tak wie, z kim ona pracuje, a z kim spotyka się na gruncie towarzyskim. Inaczej skąd Subotin wiedziałby, kiedy kończą się jej zajęcia? Doskonale, pokaże im zatem, że nie ma nic do ukrycia. Nie minie dużo czasu, a sami się zorientują, że nie ma dla nich żadnych cennych informacji. A tymczasem zaświadczała o własnej uczciwości.

Ale przecież żadne z tych usprawiedliwień nie wyjaśniało, dlaczego nie odczuwała najmniejszego wstydu. Podejrzewała, że przyczyna jest jedna – w głębi ducha dobrze wiedziała, dlaczego to robi. Sam dźwięk słowa „Ameryka” trafiał prosto we wrażliwe jądro jej stęsknionego za domem serca.

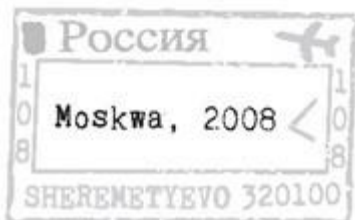
Przesunęła kartkę z powrotem w stronę Subotina i przyglądała mu się, gdy czytał. Rzuciła krótkie, uważne spojrzenie na jego twarz. Była przystojna, a jednocześnie niesympatyczna. Florence odniosła wrażenie, że już gdzieś ją widziała. Subotin wsunął srebrne pióro do kieszeni kamizelki i wstał z krzesła, dając tym znak, że spotkanie się skończyło.

– Zjawicie się tutaj dokładnie za trzy tygodnie – powiedział. – Nie muszę mówić, że macie zachować te wizyty dla siebie.

Zapadał już wczesny zmierzch. Nagie konary skręcały się w wilgotnym powietrzu koloru jodyny. W tramwaju, zatłoczonym w drodze na jej spotkanie z Subotinem, siedziało teraz ledwie kilku bladych, zubożniałych na wszystko pasażerów z jakimiś zawiniątkami u stóp. Wagon podskakiwał tak, że Florence aż się przewracało w pustym zołądku, gdy próbowała sobie wmówić, że dobrze rozegrała Subotina.

A przecież nie potrafiła wymazać z pamięci jego twarzy. Regularne rysy i szczupła sylwetka przywoływały jakieś niepokojące wspomnienie. Dopiero gdy tramwaj przejechał most na rzece Moskwie i ruszył w kierunku placu Maneżowego, za którym stała forteca ambasady amerykańskiej, równie niedostępna jak tego pamiętnego dnia, gdy Florence próbowała przekroczyć jej bramy, dopiero wówczas jej myśli skupiły się na wspomnieniu mężczyzny w nieco za dużych oprawkach, który stał na chodniku przed hotelem National, obserwując ją, jak przechodziła przez ulicę Gorkiego z nieskrywaną

amerykańską pewnością siebie.



Ozdobiony frędzelkami krzyżyk kołysał się łagodnie na lusterku wstecznym taksówki, którą jechałem do aresztu, gdzie trzymali mojego syna. Na zewnątrz zimny letni deszcz smagał wysokościewce, które mijaliśmy ze zmienną prędkością typową dla godzin szczytu. Znajdowaliśmy się w południowo-wschodniej dzielnicy Moskwy, Kapotni. Tutaj nie budowano już z marmuru ani piaskowca, lecz z żużlu i betonu. Gołe bloki wyglądały anonimowo, lecz znajomo. Okolica pozbawiona była jakichkolwiek znaków szczególnych, wyłączając kominy elektrowni, wypuszczające białe kłęby siarkowego dymu w pociemniałe od deszczu niebo.

Godzinę temu wyskoczyłem z taksówki, kazałem kierowcy czekać i pognałem do mieszkania Lenny'ego. Z wilgotnymi włosami zebranymi w kucyk i rozmazaną maskarą Katia wyglądała jak zagubiona nastolatka, choć wrażenie to należało po części przypisać noszonemu przez nią aparatowi ortodontycznemu, który wyglądał na drogi (podejrzewałem, że to kolejna korekta finansowana przez Lenny'ego). Nie byłem w stanie wydobyć z niej całej historii, dowiedziałem się tylko, że ludzie z MWD pojawili się bez zapowiedzi i zatrzymali Lenny'ego w związku z jakimiś machlojkami finansowymi, w które wplątał się zupełnie przypadkowo jakieś dwa lata wcześniej. Katia z kolei wydawała się przekonana, że Lenny padł ofiarą szatańskiego spisku uknutego przez jego tak zwanych przyjaciół („co za sukinkoty”), którzy chcieli zrzucić na niego odpowiedzialność za jakąś nikczemną piramidę finansową. Deszcz bębnił o dach taksówki, Katia szlochała, a ja za nic nie potrafiłem poskładać całej tej historii do kupy.

W poczekalni aresztu zalatywało produktami fermentacji, co pozwalało sądzić, że miejsce to pełniło też funkcję izby wytrzeźwień dla miejscowych meneli. Pokazałem dokumenty milicjantowi dyżurnemu i zostałem poprowadzony wąskim korytarzem do pustego pokoju pomalowanego na zielono. Milicjant kazał mi czekać pół godziny, zanim przyprowadził wreszcie Lenny'ego i uroczyście go rozkuł.

Lenny był cały w siniakach. I śmierdział, nie do wiary, dymem tytoniowym.

– Palileś?

– Zapakowali mnie z jakimś łysolem, którego zgarnęli za zaczepianie na ulicy dziewczyn z Tadżykistanu. Pali jak smok. Nie da się tam, kurwa, oddychać.

– Wyglądasz, jakbyś ostro dostał w kość. Od dawna cię tu trzymają?

– Cztery, może pięć godzin. – Pokazał mi gołe nadgarstki. – Zabrali mi zegarek i telefon. Dzwoniłeś już do mamy?

– Jeszcze nie. Jak się tu, do diabła, znalazłeś?

– Och, uważasz, że sam się tu wprosiłem?

- A powiedziałem coś takiego?
- Ale tak myślisz.
- Po prostu powiedz mi, co się stało.

Staralem się mówić półgłosem.

- Nie musimy szeptać, do cholery, ja naprawdę nic nie zrobiłem.

Lenny rzucił wyzywające spojrzenie stojącemu przy drzwiach strażnikowi, który sterczał tam apatycznie jak jakiś eunuch. Działał mi na nerwy ten jego wyniosły spokój, kiedy wymieniał przedstawione mu zarzuty, przy każdym z nich przewracając oczami i owiewając mnie kwaśnym oddechem. Wyglądało na to, że mój syn dwa lata wcześniej pracował w zespole pośredników przy transakcji zawartej przez jeden z podejrzanych europejskich funduszy wzrostowych i fabrykę niklu na południowym Uralu. Kiedy fundusz finalizował zakup fabryki, wyemitował serię kontrasygnowanych przez nią fałszywych obligacji, tyle że bez wiedzy, jak się później okazało, członków jej zarządu. W międzyczasie większość obligacji zrealizowano, co doprowadziło do bankructwa fabryki. Rozpoczęto dochodzenie. Przebrzmiała sprawa, jak powiedział mi Lenny. Menedżerom funduszu, Rosjanom z zagranicznymi paszportami, zarzucono defraudację. Firma Lenny'ego, będąca właściwie jedynie „słupem”, zupełnie nieświadomym przestępczych intencji swych klientów, nie została o nic oskarżona.

– To był zwykły wykup – powiedział Lenny. – My tylko przeprowadziliśmy standardową analizę. Nikt z grupy Abacus nie był w żaden sposób zamieszany w to, co wydarzyło się później. A teraz ktoś postanowił to odgrzebać.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Czy to możliwe, że ktoś z twojej firmy poskąpił i zapomniał opłacić właściwych ludzi?

- A skąd mam to, kurwa, wiedzieć?

Słuchając go, poczułem, jak z rozpaczy robi mi się niedobrze. Po raz drugi tego dnia znajdowałem się w więzieniu albo tuż obok niego. W tym mieście zmieniły się znaki drogowe, ale najwyraźniej niewiele poza tym.

- Przedstawiono ci jakiegokolwiek zarzuty?

Dopiero po wypowiedzeniu tych słów uderzyło mnie, jak beznadziejnie głupio zabrzmiały w moich własnych uszach.

- Nie, jedynie „zatrzymano”.
- Ale co to znaczy? Jak długo mogą cię tutaj trzymać?
- Rano ma przyjść prokurator, żeby mnie przesłuchać.
- Zamierzają cię tu zatrzymać na noc?

Na samą myśl o tym, że Lenny spędzi noc w ponurej gruźliczej celi, tak mnie zamroczyło, że aż musiałem na chwilę zamknąć oczy.

– Uwierz mi, nie czekam na to z utęsknieniem. Ostatnie cztery godziny spędziłem na unikaniu gościa z wytatuowanym na ogolonej czaszce włazem do kanału. Nie wiem, może chce, żeby ktoś go otworzył i zachwyił się złożonością wewnętrznego systemu kanalizacji.

– Potrzebujesz prawnika – powiedziałem trochę zbyt rozgorączkowanym tonem. – Nie możesz rozmawiać z jakimś aparatczykiem bez prawnika.

Ale Lenny wyprzedzał mnie o dwa kroki.

– Kazałem już Katii zadzwonić do Austina. Rano przyprowadzi mi adwokata.

– Ufasz tym koleśiom? Katia twierdzi, że to właśnie przez nich wpakowałeś się w to bagno.

– A do kogo twoim zdaniem mam zadzwonić? – prawie krzyknął, wybudzając z letargu apatycznego strażnika.

– Muszę porozmawiać z twoją matką – powiedziałem, spoglądając na zegarek. – W domu jest ledwie po północy. Wciąż mamy czas, żeby podzwonić po kancelariach i znaleźć ci kogoś dobrego, Amerykanina, który specjalizuje się w takich sprawach.

– Ani mi się waż.

– To nie są żarty, Lenny.

– Nie dzwoń do niej. Dzwoń sobie do kogo chcesz, ale nie wciągaj w to mamy albo do śmierci będzie mi truć na ten temat.

Zmilczałem.

Przyjrzał mi się uważnie, z podejrzliwym uśmiechem.

– Przecież widzę, co sobie myślisz. Że wpakowałem się w jakieś cholerne bagno.

– Wcale tak nie myślę.

– Owszem, myślisz. Że może nie zrobiłem tego specjalnie, ale próbowałem gdzieś pójść na łatwiznę. Nie powiedziałaś mamie czegoś w tym rodzaju? Że idę na łatwiznę? – Jego głos wezbrał czymś na kształt satysfakcji, że udało mu się zmusić mnie do przyznania, że mam o nim właśnie taką dotkliwie marną opinię.

Ale akurat w tej kwestii się mylił: wierzyłem mu, kiedy mówił, że wylądował tu nie z powodu własnych przewin. Winiłem go jedynie za to – chociaż raczej nie mogłem się do tego przyznać – za co winiłem również mamę: żadne z nich nie miało najbledszego pojęcia, jak się w tym kraju chronić.

– Coś wymyślimy – powiedziałem, chociaż nic nie przychodziło mi do głowy. – Wróć tu jutro. Proszę, do tego czasu w ogóle się nie odzywaj.

Przy bramce pojawił się nasz młody strażnik o aparycji bandyty i poinformował, że czas odwiedzin dobiegł końca.

Lenny w roztargnieniu pokiwał głową, zatopiony we własnych myślach.

– Proszę – rzuciłem ostatni raz błagalnym tonem, zanim mnie wyprowadzono.

Większość nocy spędziłem na wydzwanianiu po waszyngtońskich i nowojorskich kancelariach i zapisywaniu nazwisk osób, które mogły się ze mną umówić na rozmowę telefoniczną dopiero następnego dnia. Oddawałem się temu bezcelowemu zajęciu świadomy, że prawo nie ma nic wspólnego z położeniem, w którym znalazł się Lenny. Mieliśmy tu do czynienia ze zwykłym porwaniem, wymagającym ustalenia prędkiej czy później stosownego okupu, być może za pośrednictwem miejscowego negocjatora. Ale gdzie znaleźć negocjatora z wystarczającym przełożeniem? Odpowiedź znalazła się następnego ranka w biurze L-Petu, do którego wszedłem jak lunatyk, z piaskiem w oczach i rozsadzającym bólem głowy. Usiadłszy przy stole konferencyjnym, prawie oblałem kawą Kabłukowa siedzącego na krześle obok.

– Iwan Matwiejewicz? Wcześniej wróciliście – powiedziałem.

– Czterdzieści osiem godzin zupełnie na Tallinn wystarczy. – Mówił swoim

zwykłym ochryplym, jakby znudzonym głosem. – A wygląda na to, że wzywają mnie tu pilne interesy. Słyszałem, że nie dajecie moim podwładnym chwili wytchnienia.

Przywołałem na zmęczoną twarz szeroki uśmiech i odparłem, że wszyscy staramy się wybrać najlepszego wykonawcę.

– Mam nadzieję, że te głupoty nie pochłonęły was na tyle, żebyście nie znaleźli trochę czasu dla własnego syna – powiedział Kabłukow.

Na wspomnienie o Lennym poczułem, jak poranna kawa zamienia mi się w żołądku w niemożliwy do strawienia szlam. Widziałem malujące się na mej twarzy osłupienie odbite w ray-banach Kabłukowa, a potem w zatroskanym zmarszczeniu jego brwi.

– Nie wyglądasz dobrze.

– Bywało lepiej – powiedziałem, starając się ułożyć w głowie właściwy wstęp do swej prośby.

– Te nasiadówki każdego mogą przyprawić o nadkwasotę. Dlatego unikam ich jak ognia.

– Zebrania mnie nie martwią, Iwanie Matwiejewiczu. Chodzi o mojego syna. W tym momencie siedzi na dołku w Kapotni. Chodzi o jakieś bezsensowne zarzuty wobec firmy, dla której pracował... niefortunny zbieg okoliczności... jakieś finansowe machlojki, z którymi nie miał nic wspólnego.

Kabłukow zdjął okulary i potarł szeroką nasadę nosa.

– Brzmi to dość poważnie. – Ze współczuciem zmarszczył brwi. – Nasz wymiar sprawiedliwości potrafi być czasem... beztroski.

– Rozumiecie więc. Nie wiem, czy do Lenny'ego do końca dociera, w co się wplątał. Szukam adwokata, który pomoże to wszystko wyprostować.

Wzmianka o adwokacie wywołała na twarzy starego recydywisty nie tak znów nieoczekiwany uśmiech.

– Dobry adwokat to bezcenna rzecz, jasna sprawa. Ale jeśli człowiek potrafi wykorzystać mniej oficjalne środki perswazji...

– Których nie jestem przeciwnikiem – wtrąciłem szybko.

– Wydaje mi się rozsądne tworzenie przeciwnikowi sposobności wyjścia z tej sytuacji z twarzą...

– Czuję się niezręcznie, w ogóle poruszając tę kwestię – powiedziałem obłudnie.

– Ależ nonsens. Oczywiście tutaj, w L-Pecie, mamy naprawdę godnych polecenia prawników. Możemy wykonać kilka telefonów do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Przypomnijcie mi, gdzie trzymają waszego syna?

Podąłem mu numer aresztu, zastrzegając szybko:

– Ale to nie jest sprawa firmowa.

Skwitował mój sprzeciw porozumiewawczym uśmiechem.

Rozpoczęło się zebranie. Obserwowałem nerwowo przez szklane drzwi, jak Trep, wymówiwszy się na chwilę, wykonuje kilka telefonów w mojej sprawie. Chyba nikt oprócz mnie nie spostrzegł jego przedłużającej się nieobecności. Ja tymczasem nerwy miałem tak napięte, że z trudem przychodziło mi śledzenie prezentacji Steve'a McGinnisa dotyczącej prac wykonywanych w naszym terminalu Warandej. Jego opis stopnia

zaawansowania budowy był nużąco szczegółowy i rejestrowanie tych szczegółów w umyśle wydawało się zadaniem bardziej syzyfowym niż próba przekonania samego siebie, że Kabłukow interweniuje w sprawie Lenny'ego z dobroci serca czy zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Nie, w głębi ducha wiedziałem, że będę musiał mu to jakoś zrekompensować, ale w tym momencie mało mnie to obchodziło. Myślałem tylko o siedzącym w celi Lennym. Dali mu coś do jedzenia? Pozwolili skorzystać z toalety? A może, jak za dawnych czasów, kazali mu się załatwiać do metalowego kubła w kącie?

Moje ponure rozmyślenia musiały trwać z godzinę. Przerwał je telefon, który rozbrzęczał mi się w kieszeni marynarki. Ku mojej ogromnej uldze dzwonił Lenny. Odebrałem na korytarzu; Kabłukowa nigdzie nie było widać.

– Wypuścili mnie – poinformował mnie Lenny głosem, w którym pobrzmiwało zadowolenie.

– Przyjadę po ciebie.

– Nie zwracaj sobie głowy... Przyjedź po prostu do mieszkania.

Kiedy dotarłem tam pół godziny później, wymówiwszy się z zebrania bólem brzucha, zastałem Lenny'ego krążącego po salonie ze słuchawką bezprzewodowego telefonu w ręce. Miał przetłuszczone włosy, a w jego oczach, nie mniej przekrwionych niż moje, potrzeba snu walczyła o lepsze z manią nieleczzonej psychozy.

– Nie wmawiaj mi, że nic o tym nie wiesz – mówił głośno do telefonu. – No i dobra, możesz powiedzieć Alexowi, że jeszcze z nim nie skończyłem. Jeśli chce mnie spuścić z nurtem, to ja go pociągnę w ten ściek za sobą, słyszysz mnie?

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, Lenny przeszedł do kuchni, a ja za nim. Zaczął mieszać w stojącym na gazie emaliowanym garnku. Nie odłożył słuchawki, perorując dalej znajomemu czy współpracownikowi, który wisiał po drugiej stronie, żeby mu nie wciskał kitu, a jednocześnie pochylając się z drewnianą łyżką w garści i próbując smakowitej zawartości garnka. Uchwycił mój wzrok i pokręcił głową nad absurdalnością całej tej sytuacji. Rzucone mi ukradkiem poirytowane spojrzenie kazało się zastanowić, czy naprawdę jest tak wkurzony, na jakiego wygląda, odkąd wszedłem, czy też całe to przedstawienie – szorstka, męska przemowa, zupełnie nieprzeszkadzająca mu mieszać makaron z sosem alfredo – nie zostało przygotowane specjalnie dla mnie.

– A w ogóle pojawił się prokurator? – zapytałem, kiedy odłożył telefon na blat.

– Przyszła jakaś babka z jego biura. Niebotyczne obcasy i kok pod sufit, pałająca świętym oburzeniem na takich jak ja złodziei okradających „zwykłych ludzi”. Zapytałem: „Kobieto, o co mnie konkretnie oskarżacie?”

– No i co ci odpowiedziała?

– „Mamy sposoby na takich podżegaczy do oszustwa”. Powiedziała mi jeszcze, żebym lepiej oswoił się z myślą, że będziemy się często widywać. Dwie godziny później siedzę w tej samej celi, a tu drzwi się otwierają i strażnik mówi, że jestem wolny. I oddaje mi rzeczy i telefon, jakby nic się nie stało.

– A prawnik był?

– Nie, Austin w ogóle go nie przysłał!

Zawahałem się.

– I nikogo innego...?

Spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc.

– A kto jeszcze miał być?

– Nie wiem.

Czy to możliwe, że Kabłukow załatwił sprawę zwykłym telefonem?

– Powiedziałem ci już: nie mieli żadnych podstaw – oznajmił autorytatywnie Lenny.

Postawił garnek z makaronem na stole pod oknem, gdzie usiadłem, szykując się do wyjaśnienia mu, że włączyłem się w tę sprawę, ale on nadal nie jest bezpieczny. Lenny jednak, wciąż maniackalnie pobudzony, sprawiał wrażenie nieświadomego mojej obecności.

– Chryste, ależ ode mnie jedzie – powiedział, zaciągnąwszy się mocno własnym smrodem, po czym ruszył pod prysznic.

Słyszałem, jak nuci coś triumfalnie w strumieniach lejącej się wody, ja tymczasem myszkowałem w lodówce w poszukiwaniu czegoś, z czego dałoby się upichcić bardziej treściwy posiłek. Niewiele tam było: ser, mortadela, trochę przejrzałych pomidorów, kiść gnijących winogron, za to piwa pod dostatkiem. Na widok tych pustek zakielkowała we mnie nadzieja, że może jednak Katia się wyprowadziła. Tak mi było spieszno zobaczyć się z Lennym, że zapomniałem zapytać, gdzie się podziała.

Kuchenne okna Lenny'ego były jak na rosyjskie standardy mieszkaniowe nienormalnie wielkie. Mieszkanie znajdowało się w jednym z wysokościowców wybudowanych niedawno na Nowym Arbacie. Nad szerokimi chodnikami dziewięć pięter pode mną wisiały szyldy kasyn i klubów nocnych, których neonowe światła gasły za dnia. Wybór takiego miejsca na uwicie gniazdka bardzo do Lenny'ego pasował: wystarczyło zjechać windą, by znaleźć się w samym centrum imprezy. Zrobiłem kanapki z mortadela, postawiłem czajnik na gazie i wyrząłem w stronę placu Kudrińskiego. Właśnie tam, ledwie kilka przecznic na północ, mieszkała nadal Ludmiła Ostrowska, stara przyjaciółka rodziny. Zastanawiałem się, czy Lenny się z nią widuje. Ostatecznie była kiedyś jego teściową. Wiedziałem, że to nie w porządku z mojej strony po tylu latach uporczywie łączyć kłopoty Lenny'ego z Ostrowskimi, ale taka ścieżka została na dobre i na złe wlutowana w moje mentalne obwody. W 1996 roku Lenny zrobił sobie przerwę od ogłupiającej harówki wiążącej się z pracą młodszego konsultanta w firmie Arthur Andersen, do której poszedł zaraz po college'u, i wyprawił się na krótkie wakacje do „nowej” Moskwy. I to był początek naszych prawdziwych kłopotów. Ludmiła, straciwszy rok wcześniej męża, który zmarł na zawał, zaproponowała Lenny'emu wolny pokój we własnym mieszkaniu. Propozycji zakwaterowania towarzyszył dodatkowy bonus: jej dwudziestotrzyletnia córka Irina, która miała posłużyć Lenny'emu za przewodniczkę po mieście jego dzieciństwa.

Początki naszej przyjaźni z Ostrowskimi sięgały czasów, kiedy mały Lenny i mała Iroszka bawili się w lekarza na litewskim dywanie Ostrowskich przy użyciu starego rękawa do mierzenia ciśnienia jej ojca. W 1979 roku byliśmy w Rosji wystarczająco długo, by stać się świadkami rozwoju muzycznego geniuszu sześciolatniej Iriny, prezentującej talent do gry na skrzypcach podczas aranżowanych spontanicznie występów przy akompaniamencie okrzyków matki, która wołała: „Mocniej pracuj smyczkiem!”

podczas gdy malutka, stojąc na krześle, rzępoliła ile wlezie. W kolejnych latach dowiadaliśmy się dzięki korespondencji listownej i rozmowom telefonicznym, że za tymi wczesnymi osiągnięciami poszły następne, włącznie z nagrodami zdobywanymi nie tylko w konkursach skrzypcowych, ale i w jeździe na łyżwach, miejskich olimpiadach matematycznych i języku angielskim. Całe to gadanie o nadzwyczajnych talentach Iroszki skłoniło Lenny'ego do wygłoszenia tuż przed wyjazdem na wakacje uwagi, że spodziewa się spotkać w Moskwie nie dziewczynę, ale znakomicie wytresowane zwierzę cyrkowe. Łukija i ja byliśmy więc zadowoleni, kiedy Lenny doniósł nam, że córka Ludmiły, mimo tak obfitującego w zajęcia dodatkowe dzieciństwa, wydawała się „całkiem dobrze przystosowana” i wcale „nie aż tak irytująca”. Ten rok zapisał się kilkoma kłopotliwymi podróżami do Moskwy i wieloma kosztownymi połączeniami telefonicznymi, które zwiędziły ogłoszenie przez Lenny'ego, że Irina wkrótce przyjeżdża do Stanów na wizę narzeczeńską i że się pobierają.

Nie żebym sądził, że ten głupkowaty banan na twarzy mojego syna jest efektem wizyt w Galerii Trietiakowskiej, i naprawdę wiedziałem co nieco o osobliwym uroku rzucanym przez moskiewskie dziewczęta, ale małżeństwo? Z drugiej strony skłamałbym, twierdząc, że byłem absolutnym przeciwnikiem tego związku. Może Lenny potrzebował takiego impulsu? No i jak mógłbym mieć zastrzeżenia do Iroszki, która oprócz tego, że śliczna jak malowanie, była dojrzała, inteligentna i naprawdę robiła wrażenie? Najwyraźniej na tyle duże, by skłonić Łukiję do zakwestionowania szlachetności jej intencji. Tak jakby intencje naszego syna były szczególnie szlachetne – przypomniałem jej. Lenny wprost wychodził z siebie, opowiadając na prawo i lewo, jak mu się w życiu trafiło. „Tutaj taka dziewczyna nawet by na mnie nie spojrzała. Co ja mówię, nie nasikałaby na mnie, nawet gdybym się palił”. Takim to językiem Lenny opowiadał o swojej miłości. Był zakochany i odurzony halucynacyjnymi wizjami dziecięcej nostalgii, chociaż nie dało się nie zauważyć, że ta znosząca jego zachwyty dziewczyna w zwykłych dżinsach i bawełnianym swetrze jest znacznie bystrzejsza i lepiej wykształcona niż nasz syn. Przy całym swoim zdrowym entuzjazmie młodej pionierki Irina nie była dzieckiem. W dwupokojowym mieszkaniu, które dzieliła z matką, przeżyła dekadę wstrząsów nie mniej niepokojących niż amerykańskie lata sześćdziesiąte. Patrzyła, jak jej ojciec umiera na wywołany stresem zawał, i widziała, jak matka w ciągu kilku tygodni z ekonomistki Gosplanu staje się „zbytecznym pracownikiem państwowym” na znikomym zasiłku. Wyjaśniałoby to w pewnym stopniu, dlaczego w 1996 roku, kiedy Ludmiła rozpoczynała późną karierę księgowej fałszującej księgi rachunkowe w jakimś telekomunikacyjnym start-upie, Iroszka po cichu pracowała nad uwiedzeniem naszego syna na tym samym litewskim dywanie, na którym bawili się w dzieciństwie.

Wkrótce po jej przyjeździe zrozumieliśmy z Łukiją, że Iroszka ma apetyt na coś lepszego niż kawalerka, którą zaproponował jej nasz syn. Z chłodną miną przewracała oczami, słuchając jego żartów przy kolacji z okazji święta Paschy. Dwa lata później jej drwiny z porażek i braku ambicji Lenny'ego nie pozostawiały już wątpliwości, że mamy przed sobą kobietę, która żąda od swego mężczyzny (a tak naprawdę go błaga), by pozwolił jej odejść. Jakieś pokrętne poczucie obowiązku powstrzymywało ją przed

rzuceniem go. Choć cała ta historia przysporzyła mu ogromnego bólu, nasz syn jakoś się trzymał, póki Irina ostatecznie go nie opuściła, unosząc ze sobą kilka przedmiotów i list informujący, że przyjęto ją na studia w Stern School of Business.

Tymczasem najśmieszniejsze miało się dopiero wydarzyć. W tydzień po podpisaniu dokumentów rozwodowych i złożeniu parafki obok wszystkich tych tragicznych iksów Lenny siedział już na pokładzie samolotu lecącego do Moskwy, bo przecież gdzieżby indziej. By zarobić miliony i dowieść swej męskości. Komu? Do dziś się zastanawiam.

Wyszedł teraz z łazienki ubrany w cienki szlafrok niczym Hugh Hefner, po czym pożarł zarówno swój lunch, jak i mój.

– Nie sądzisz, że to aresztowanie było przypadkowe, co? – zagadnąłem.

Próbowałem zebrać się na odwagę, by opowiedzieć mu o Kablukowie, ale coś mnie powstrzymało. O ile znałem Lenny'ego, wściekłby się na mnie, że się wtrącam. Może lepiej siedzieć cicho.

– Zwykle najprostsze wyjaśnienie okazuje się prawdziwe – odparł z pełnymi ustami. – Jeśli faktycznie są podstawy do wytoczenia zarzutów naszemu dawnemu klientowi i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych chce nakryć więcej ludzi... No, to tłumaczyłoby, dlaczego Zaparotnikowi tak było pilno, żeby dopiąć transakcję z WCP i wyłączyć mnie z gry. Sprytny sukinsyn. Likwiduje naszą starą firmę, a wraz z nią znika odpowiedzialność za cokolwiek. Siebie i swoich kumpli ewakuuje do WCP, no niezłą sobie znalazł fortecę. Na łodzi zostawia tylko jedną osobę: mnie. Jeśli więc FSB ma ochotę powęszyć w naszych starych interesach, zawsze można podsunąć jej winnego. Kozła ofiarnego.

– No nie wiem. Nie powiedziałbym, żeby to było proste.

Ale on jakby mnie nie słyszał.

– Co za skurwysyn.

– Może to znak – podsunąłem.

– Znak czego?

– Znak, że czas ruszyć do domu.

– No, już pędzę. Nie wykurzą mnie stąd tak prosto. Dojdę, o co tu chodzi. Chcesz jedno? – Podał mi wyciągnięte z lodówki jarpiwo i poszedł poszukać otwieracza.

– Dochodzenie do sedna spraw się nie opłaca.

Ale on chyba nadal mnie nie słuchał. Zadzwoił jego telefon.

– Halo, gdzie jesteś? – zapytał.

Dobiegły mnie niespokojne urywki cyfrowo przetworzonego kobiecego głosu.

– Jestem tu, z tatą... Ile sobie zażyczyli za tę robotę? Pogadam z nimi... – Odłożył telefon na stół. – Katia tu jedzie – poinformował.

– A gdzie była?

– U ortodonta. Znów nas skasowali jak za zboże.

Nas? – pomyślałem.

– Od dawna nosi aparat?

– Odkąd mama powiedziała jej... no wiesz, jak przyjechała w odwiedziny zeszłego lata... że powinna wyprostować sobie zęby.

No, to był już rewizjonizm w czystej postaci. Katia już wcześniej przejmowała się stanem swego uzębienia. Moja żona po prostu rzuciła coś niezobowiązująco, czego nigdy by nie zrobiła, gdyby przyszło jej do głowy, że to Lenny będzie za to płacił.

– Myślałem, że z wami koniec. Co ty właściwie wyprawiasz? Szykujesz ją dla następcy?

– Ale to było wcześniej. Obiecałem jej.

Mój syn, niepoprawny obciężacz.

– Lenny. Myślę, że powinniśmy poszukać dla ciebie biletów do Stanów. Dzisiaj. Ale znów kompletnie ogłuchł. Dzwonek zabręczał dwukrotnie i zamilkł.

– To ona – powiedział, podnosząc się.

Jeszcze bardziej podupałem na duchu, kiedy Katia weszła do kuchni, wnosząc dwie torby zakupów.

– Ciocia Wala poprosiła mnie, żebym przywiozła coś do jedzenia na wieczór – powiedziała, dostrzegłszy najpierw Lenny’ego. – Pomyślałam, że możemy wyjechać na daczę wcześniej. – Odwróciła się do mnie. – Pan też jest zaproszony! Zgotujemy pana chłopcu gorące powitanie! Ciocia Wala już tam jest, przygotowuje jedzenie. A jak wyjedziemy od razu, to zdążymy przed weekendowymi korkami.

– Ożeż! – zawołał Lenny, palnąwszy się w skroń.

– Nic tacie nie powiedziałaś? Ciocia Wala od tygodni planowała przyjęcie z okazji jego wizyty!

– Zapomniałem! Rzekłbym, że zajmowały mnie bardziej palące kwestie.

– No to lepiej weźmy się do pakowania – fuknęła Katia z nadąsaną miną.

Gapiłem się na Lenny’ego w zdumieniu. Co to za bzdura z tą daczą? Gdyby miał choć trochę oleju w głowie, pakowałby walizkę do Stanów, a nie na letni wyjazd.

– Katieńka, Lenny i ja mamy już plany.

– Przecież w ten weekend się tu ugotujecie! Całe miasto wyjeżdża. A ciocia Wala ma dla nas do ugrillowania całego cielaka!

Zerknąłem na zegarek. Nie miałem czasu na dalsze spory.

– Muszę wracać na zebranie – powiedziałem.

– No to przyjedź później pociągiem. Odbierzemy cię ze stacji – powiedział Lenny.

– No i jak sytuacja z chłopakiem? – zapytał Kabłukow ze swojego miejsca na jednym ze skórzanych foteli L-Petu.

– Jakimś cudem lepiej. – Spróbowałem się uśmiechnąć. Kusilo mnie, żeby dodać, że jestem jego dłużnikiem, ale się zawahałem.

– Nasi przyjaciele w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych byli wręcz zbulwersowani tym, jak bezwzględnie go potraktowano – podsunął.

– Jestem bardzo wdzięczny, Iwanie Matwiejewiczu.

Sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego tą odpowiedzią.

– Brakowało nam ciebie. Twój kolega był dość nieprzyjemny, jeśli chodzi o przepytywanie oferentów zainteresowanych realizacją tego kontraktu.

Wskazał Toma, który właśnie wracał z lunchu, a zobaczywszy mnie, rzucił mi skonsternowane spojrzenie, które mówiło: „Gdzie się, do diabła, podziewałeś?”. Wynioskowałem z tego, że pod moją nieobecność bronił naszych interesów przed L-

Petem w imieniu nas obu.

– Pan Boston jest tak naprawdę moim przełożonym – powiedziałem, chociaż Kabłukow przecież to wiedział.

– Wszyscy widzimy, że cię słucha.

Próbowałem go zapewnić, że wcale tak nie jest, że ustępliwy sposób bycia Toma maskuje jego faktyczną władzę, ale Kabłukow nie chciał o tym słyszeć.

– Posłuchaj – powiedział, ujmując mnie za ramię. Nawet zza ciemnych okularów wyczuwałem jego palące spojrzenie. – To ty zaprojektowałeś te statki, prawda? No to powiedz temu tam swojemu naczelnikowi, kto twoim zdaniem powinien je czarterować.

– Z całym szacunkiem, Iwanie Matwiejewiczu. Nie widzę siebie mówiącego mojemu szefowi, jak ma wykonywać swoją pracę.

W odpowiedzi czerwona gęba Kabłukowa rozciągnęła się w leniwym uśmiechu. Wszystkie zęby miał sztuczne.

– Nie widzisz siebie – powtórzył. – Bardzo ciekawe sformułowanie. Ja w moim życiu musiałem zobaczyć siebie w wielu różnych rolach. – Podciągnął rękaw marynarki. Na nadgarstku miał rolexa z białego złota, który kosztował pewnie więcej niż mój samochód, ale to nie zegarek mi teraz pokazywał, tylko to, co powyżej: wyblakły fioletowy tatuaż karty z odwróconym pikiem. – Mam to z Chabarowska. I zapewniam, że nie było to przyjemne. Ale musimy się nauczyć znajdować przyjemność tam, gdzie akurat trafimy.

Wiedziałem, że gęsią skórę na ramionach tylko po części mogę przypisać klimatyzacji. Niedająca się strawić gula, którą poczułem dziś rano, znów zaciążyła mi w żołądku. Rozpoznałem podejrzenie, które zamajaczyło mi w głowie już wcześniej: absurdalną możliwość przybierającą kształt potwornej pewności. I już wiedziałem, dlaczego ociągałem się z wyrażeniem Kabłukowowi wdzięczności za pomoc.

Albert Einstein powiedział kiedyś, że sformułowanie problemu jest istotniejsze niż jego rozwiązanie. Te słowa dopadły mnie teraz w swym najobrzydliwszym, dosłownym znaczeniu. Nikt, nawet Kabłukow, nie potrafił tak szybko pociągać za sznurki. Stworzył problem, którego sam był rozwiązaniem. Obawy o Lenny'ego nie pozwoliły mi dostrzec tego prostego faktu. Przypomniałem sobie naszą kolację w Metropolu kilka wieczorów wcześniej i swoje zwierzenia, jak to Lenny kocha to parszywe miejsce. Ile godzin zajęło Kabłukowowi wywiedzenie się, gdzie Lenny mieszka i pracuje?

Trep obciągnął rękaw. Jego zgrzytliwy głos wyrwał mnie z apatycznego milczenia.

– Czy teraz lepiej się rozumiemy? – zagadnął przyjaźnie.



Zrobił się już prawie marzec, zanim Florence dostrzegła jakiegokolwiek zmiany. Jej zmęczenie dawało się wyjaśnić większym obciążeniem zajęciami, które wzięła na siebie w lutym. To nowy, napięty grafik mógł być przyczyną, dla której dostawała zadyszki, wchodząc po schodach instytutu, a powieki opadały jej bezwładnie, gdy tylko w jadącym w stronę domu tramwaju udało jej się oprzeć czoło o szybę. Ale co z pozostałymi oznakami? Jak wytłumaczyć fakt, że już dwukrotnie musiała wybiec do toalety i zostawić studentów samych w sali wykładowej? Że jedyny przyzwoity stanik zmuszał ją do oddychania tak ciężko, jakby znalazła się nagle na głębokości pięćdziesięciu kilometrów pod wodą?

Próbowała nie dopuszczać do siebie tej myśli. Ostatnią miesiączkę miała bardziej skąpą niż zwykle. Jak się nad tym głębiej zastanowić, to zbyt skąpą. A teraz minął kolejny miesiąc i nic. Należało rzecz potwierdzić, lecz to, co podpowiadał jej instynkt, zbyt nieodwracalnie przypieczętowałoby rzeczywistość.

Cały kłopot, jak zawsze, wziął się z trapiących kraj niedoborów. Od sierpnia w aptekach nie sposób było dostać kremu Prekonsol. Przez całą zimę Florence próbowała wymienić swój stary kapturek na nowy, lecz gdy w końcu dostawa kapturków pojawiła się na półkach, egzemplarz, który kupiła Florence, okazał się zbyt luźny. Poszła z powrotem do apteki, lecz w sprzedaży dostępny był tylko jeden rozmiar. Bluzkę można było oddać do punktu poprawek krawieckich, ale tego nie, o ile nie zamierzało się zmarnować dnia w publicznej przychodni, czekając w towarzystwie tłumu matek z wyjąłymi dziećmi na lekarza, któremu być może udałoby się dopasować jej to ustrojstwo (a może dałby jej coś innego, na przykład jedną z tych wkładek Vagilen, tak samo nie do dostania w aptekach), ale który równie dobrze mógłby ją zbesztać jak lekarz, do którego poszła latem, za odkładanie macierzyństwa w nieskończoność. Tamten ostrzegł ją, że w jej „podeszłym wieku” (dwadzieścia dziewięć lat) jest skazana na bycie staroródką, co doprowadzi do późniejszych „problemów, którym nie sposób zaradzić”, dotyczących ją i jej dziecko. Jediną pocieszającą uwagą, jaką wygłosił ten otyły dinozaur, było stwierdzenie, że przy takiej częstotliwości współżycia nie pocznie wcześniej niż za pół roku.

No i proszę, wystarczyły dwa miesiące.

Florence usiłowała sięgnąć pamięcią do daty poczęcia; musiało to być tuż po Nowym Roku. Ona i Leon powitali rok 1940 weselem – Essie. Ich przyjaciółka znalazła w końcu miłość w osobie szczupłego wycofanego żydowskiego chłopaka, który miał jak ona słabość do kina i krótkowzroczne wylupiające oczy. Był muzykiem i grał dla nich na

klarnecie w mieszkaniu jego rodziców, dokąd udali się wszyscy świętować po dziesięciominutowej ceremonii w Urzędzie Stanu Cywilnego ZAGS, gdzie Essie i jej narzeczony stali obok czterech innych par, które miały zostać połączone węzłem małżeńskim przez państwo. Florence odegrała rolę świadka. Tego wieczoru, gdy wracali do domu w padającym śniegu, Leon ujął ją pod ramię.

– A co z nami? Nie sądzisz, że już pora?

Roześmiała się w odpowiedzi.

– Kochanie, poszli się zarejestrować w Urzędzie Stanu Cywilnego tylko dlatego, że dziś bez tego świstka nikt nie przydzieliłby im oddzielnego pokoju. A ona nie chce mieszkać z jego rodzicami.

– Nie szanujesz mnie, Florence. Nigdy nie pozwoliłaś mi być mężczyzną.

– W życiu nie słyszałam nic równie głupiego.

– Jeśli Essie mogła legalnie poślubić kogoś, kogo zna od pięciu tygodni, to dlaczego mnie barykaduje się, nie patrz tak na mnie!, owszem, barykaduje się możliwość poślubienia kobiety, której od pięciu lat oddaję absolutnie wszystko!

Nie mogła się przyznać, że prawdziwym powodem, dla którego odgrywała tak niedostępną, była inna gra – ta prowadzona przez nią z tajną policją. Gra, której ostatecznym celem było przecięcie wszystkich jej więzi z Rosją, włączając w to być może Leona. Niczym zaniepokojona flirciara w napadzie wyrzutów sumienia uległa więc życzeniu Leona i pozwoliła mu wziąć to, na czym najbardziej mu zależało. Pobrali się bez rozgłosu od razu następnego dnia w Urzędzie Stanu Cywilnego. Ich miesiąc miodowy był bardzo skromny, żadnego kawioru ani klarnetu, ledwie dwie doby rozkosznego lenistwa, które spędzili spleceni pod kołdrą. Pokrywała ciało i twarz Leona pocałunkami, jakby był słynącą łaskami ludzką świątynią. Robiła to dlatego, że go kochała, i dlatego, że musiała uspokoić sumienie, jakoś wynagrodzić mu to, że go oszukała i oszukiwała nadal, spotykając się potajemnie z towarzyszem Subotinem; wiedziała, że to uwikłanie, choć przecież bezkrwawe, było dotkliwszą zdradą niż jakikolwiek romans. I tak, starannie zacierając tropy po spotkaniach z Subotinem, pozwoliła sobie na niedbałość tam, gdzie mogło ją to kosztować najwięcej.

Spotkania z Subotinem odbywały się zgodnie z jego poleceniem co trzy tygodnie. Podczas trzech pierwszych sesji nie zadawał Florence zbyt wielu trudnych pytań. Najbardziej interesowali go jej koledzy z IFLI: chciał wiedzieć, co mówili podczas rad wydziału, kto z kim utrzymywał przyjazne, a kto napięte stosunki, którzy wykładowcy przyjaźnili się lub popierali i na czym bazowała ich przyjaźń.

– Bielkowa i Daniłowa uwielbiają muzykę klasyczną – informowała go bezbarwnym głosem. – Chodzą razem na koncerty do Czajkowskiego. Syn Daniłowej chyba studiuje w konserwatorium.

Florence była przekonana, że nie przekazuje Subotinowi informacji o charakterze „kryminalnym”, lecz zwykłe plotki. Odkryła, że ma talent do portretowania postaci, kilkoma szybkimi pociągnięciami potrafi oddać najważniejsze rysy charakteru. Ten był nader sympatyczny, ale wszystko, co mówił, opatrywał zastrzeżeniami, tak na wszelki wypadek, zawsze grając na dwie strony. Tamten zawsze znalazł jakiś powód, by się z człowiekiem nie zgodzić, nawet gdy w całej rozciągłości podzielał jego zdanie. Czasem

Florence łapała się na tym, że przed spotkaniem z Subotinem opracowuje sobie w głowie te skrótowe profile lub przysłuchuje się wystąpieniom kolegów na ciągnących się w nieskończoność zebraniach. Dopiero gdy Subotin zaczął się bardziej natarczywie dopytywać o „kontrewolucyjne” rozmowy, których była świadkiem, i „antyradziecką” działalność, jaką zdarzyło się jej dostrzec, jej umysł zaczął się zacinać jak przegrzana maszyna.

– Nie interesuje mnie wasze osobiste zdanie na temat tych ludzi, Fein – powiedział Subotin któregoś razu. – Chcę wiedzieć, dlaczego nie dostarczacie nam żadnych użytecznych informacji.

– Chcecie, żebym zaczęła zmyślać? Przekazuję wam wszystko, co słyszę.

– To znajdźcie sposób, żeby słyszeć więcej.

– Co macie na myśli?

– Nawiązujcie rozmowy.

– Nie chcecie przecież powiedzieć, że mam zostać prowokatorką?

– Mówię, że informacje niepełne będą traktowane jako kłamstwa. A kłamstwa w waszym przypadku, Fein, nie zaszczepiają w nas przekonania, że można wam powierzyć wykonanie misji za granicą.

Lecz Florence odkryła, że nawet trawiące ją pragnienie uzyskania wizy wyjazdowej nie potrafi jej skłonić do przekazania informacji, która mogłaby komuś naprawdę zaszkodzić. Wiedziała, że to, co robi, jest na tyle obrzydliwe, by nie wspominać o tym nawet Leonowi, lecz czerpała jakąś moralną pociechę z przypominania sobie, że przynajmniej nic nie wymyśla, nie obciąża nikogo fałszywymi oskarżeniami. Subotin mógł sobie robić z jej zeznaniami, co chciał, ale ona była jedynie idealnym odbiciem świata – nic nie zmyślała, nic nie dodawała od siebie. Jeśli Subotin rzeczywiście chciał sprawdzić, czy jest godna zaufania, to musiał kazać swoim ludziom ją szpiegować, a w tej sytuacji mogła spokojnie dalej przekazywać mu to, co wiedziała, niczego nie ubarwiając i nikogo nie zniesławiając.

Lecz nieustępliwość Subotina była przerażająca.

Zmęczyły go jej „babskie błahostki”, jak powiedział podczas kolejnego spotkania. To nie letni obóz pionierów. Był zmęczony marnowaniem czasu na bezsensowne plotki i insynuacje. Czy miał jej przypomnieć, jak karani są ci, którzy próbują nielegalnie wyjechać z kraju? Wie, że Florence nie mówi mu wszystkiego – miał inne źródła informacji. Jeśli więc nie jest zainteresowana wykonaniem swojego obowiązku względem kraju, może się przygotować na zerwanie stosunków z nim i sprawdzić, co z tego wyniknie.

Wróciła do domu blada jak duch gruźlika. Od południa nic nie jadła. Torebka ciążyła jej ołowiem. Nogi miała obolałe, kręgosłup jak paskudnie odkształcony stalowy pręt, sutki poobcierane pieszczotą wykrochmalonej tkaniny, która równie dobrze mogłaby pełnić funkcję moskitiery.

– Co ci się stało? – zapytał Leon, patrząc, jak żona osuwa się na kanapę.

Florence ukryła twarz w dłoniach i potarła piekące oczy, a potem spojrzała na męża przez rozchylone palce. Jedyna osoba, która mogła jej pomóc, była jedyną osobą, której bała się powiedzieć prawdę. Leon, który z każdym potrafił się dogadać, wiedziałby

z pewnością, jak się wyłgać z zasadzki zastawionej przez Subotina. Powiedziała jej, co ma mówić. Mocniej przycisnęła powieki kciukami, by powstrzymać wzbierające łzy.

– Florence, czy coś się stało?

Za dużo tajemnic. Za dużo...

– No już, już dobrze. Przyniosę ci wody.

– Leonie, muszę ci coś powiedzieć... Ale najpierw musisz mi obiecać, że nie będziesz się złościł.

Uśmiechnął się, patrząc na nią ze zdziwieniem.

– A kiedy to ja się tak niby złoszczę?

– Musisz obiecać.

Za dużo tajemnic.

No i wygadała mu nie tę co trzeba.

Teraz to on złapał się za głowę, a potem zasłonił usta dłonią, żeby ukryć uśmiech rozciągający mu twarz od ucha do ucha.

– Od dawna? – zapytał cicho.

– Jakies trzy miesiące. Jeszcze nie byłam na badaniu.

– Och, skarbie, myślisz, że mógłbym się na ciebie złościć za coś takiego?

Pokręciła głową.

– Leonie, jak mogliśmy zachować się tak nieodpowiedzialnie?

Przykląkł i objął jej opuszczone ramiona.

– Nie rozumiesz, jaka to fantastyczna nowina? Och, kotku, nic dziwnego, że jesteś ostatnio taka wymizerowana. Musisz zacząć o siebie dbać, Florie. Powiedz im, że nie możesz już przesiadywać do późna na tych zebraniach wydziałowych.

Fakt, że wierzył w jej kłamliwe zapewnienia o tym, gdzie spędza popołudnia, był jeszcze gorszy niż jego radosne uniesienie.

– Ale, Leonie, to nie pora...

– Ciiicho, ćśśś. Pozwól, że już ja się będę o to martwił. Ćśśś, ty sobie teraz odpocznij...

I popędził do kuchni upichcić jej coś na kolację.

Leon zmienił się w dogadzającego jej we wszystkim męża. Zaczął przynosić do domu prawdziwe delikatesy: śledzia, kawior, czekoladę.

– Ile za to zapłaciłeś?

– A jakie to ma znaczenie? Jedz.

Wstawał wcześniej niż zwykle, by przygotować śniadanie, a potem siedział i gapił się na nią z nieśmiałym uśmiechem, kiedy pałaszowała kaszę gryczaną i jajka. No proszę, jak się cieszy, myślała. Wreszcie dostał to, czego chciał: żonę, prawdziwą rodzinę. Wychowywał się bez ojca i nietrudno było się domyślić, jak bardzo sam pragnął nim zostać. Zastanawiała się, dlaczego nie dostrzegła tego wcześniej: cała ta młodzieńcza żądza przygód i podróży maskowała głębokie pragnienie stworzenia prawdziwego domu.

Jej własne pragnienia stanowiły zagadkę nawet dla niej. Czowała się jak doktor Faust: w jej ciele mieszkaly dwie osoby, a każda na swój sposób reagowała na czułe zabiegi Leona. Miała tu prawdziwe życie: dobrą pracę, kochającego mężczyznę. Na co więc

jeszcze czekała? Kobiety w jej wieku były już matkami dziesięcio- i dwunastolatków. Myśl, że zostanie wysłana do Stanów jako szpieg, była zwykłym urojeniem. Jakie istniało prawdopodobieństwo, że naprawdę wyślą ją za granicę z „misją specjalną”?

Niezerowe. Być może ze strony Subotina wszystko to było jedynie podstępem, ale NKWD nie musiało się uciekać do forteli. Mogli ją zmusić do współpracy, nie machając jej przed nosem marchewką. Z pewnością ich zainteresowanie nią miało charakter długofalowy, ale jak bardzo długofalowy? Musiała pokazać Subotinowi, że jest gotowa do wykonania zadania, i zrobić to, zanim jej ciąża stanie się widoczna. Zabroniona przez prawo aborcja nie wchodziła w grę – gdyby ją złapano, trafiłaby do więzienia. Żaden przyzwoity lekarz by się tego nie podjął, więc musiałyby znaleźć jakąś babkę z drutami, która mogłaby ją okaleczyć albo nawet zabić. Przyszło jej do głowy, że powinna coś przedsięwziąć, by ukryć swój stan przed Subotinem. Czy nie słyszało się opowieści o dziewczynach ze wsi, które potrafiły do końca utrzymać ciążę w sekrecie? Popuściłaby trochę sukienki w talii, kupiła mniej dopasowany płaszcz. Mężczyźni nie zawsze zwracają uwagę na szczegóły. Ale czy zaryzykowałyby wejście na pokład statku do Stanów, powiedzmy, w ósmym miesiącu? Owszem. Och, gdyby tylko potrafiła zapomnieć słowo „Ameryka”! Czy nie mogła przedłożyć rzeczywistości u boku kochającego męża nad nęcący przyływ marzeń?

W ciągu następnych dwóch tygodni wszystkie te rozmyślania wyczerpywały ją bardziej niż ciąża. Wiedziała, że musi coś przedsięwziąć. W końcu w jej głowie narodził się plan: przyjdzie na następne spotkanie z Subotinem i obwieści mu, że jest w ciąży. Poinformuje go, że teraz, kiedy ma zostać matką, nie będzie niestety w stanie wykonać żadnego zadania poza granicami kraju. Być może będzie nawet zmuszona zwolnić się z pracy na czas nieokreślony. A ponieważ siedząc w domu i zmieniając od rana do wieczora pieluchy, stanie się dla NKWD bezużyteczna, najlepiej będzie, gdy możliwie szybko zakończą współpracę.

Ale tydzień później, zamiast zażądać, z całym szacunkiem, by zerwał łączące ich związki, usiadłszy naprzeciw Subotina, usłyszała swoje pytanie:

– Czy są jakieś postępy w kwestii mojej misji zagranicznej?

Z ciekawością podniósł na nią wzrok znad papierów.

– Spieszycie się?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale... zastanawiałam się nad tym, co mówiliście.

– Tak?

– O wykładowcach, których stanowisko w pewnych kwestiach polityki państwa nie jest do końca... jasne.

– Kontynuujcie.

– Mówię o kilku przedstawicielach starej gwardii. Nie mam oczywiście odpowiednich kwalifikacji, by móc zinterpretować ich poglądy...

– Waszą jedyną kwalifikacją jest lojalność.

– Jest tam pewien profesor, Reczok. Wykłada na wydziale historii.

– Rozmawialiście z nim.

– Tak. Nie. Nie do końca.

– No to rozmawialiście czy nie rozmawialiście?

Pod blatem obiema rękami trzymała się za brzuch. Rosło w niej życie. Zawsze miała się za osobę uczciwą, lojalną i prostolinijną, ale jakie to miało teraz znaczenie? Musiała być lojalna wobec dziecka.

– Oboje mamy przerwę w zajęciach o pierwszej trzydziści. Czasem spędza ją w pokoju wykładowców na drugim piętrze, czytając gazety. I czasem coś mamrocze... głównie do siebie.

– Co konkretnie?

Próbowała sobie przypomnieć reakcję Reczoka na pakt Hitlera ze Stalinem, na rozwój handlu z Niemcami. Co on wtedy powiedział? „No więc teraz są przyjaciółmi, no i czemuż by nie? Doskonale się rozumieją”. No, to nie było tak. Wyobraźnia wszystko ubarwiła. Co powiedział ten stary głupiec? Martwił się, co powie studentom. „Ten pies był w zeszłym roku rottweilerem, a w tym jest pudlem”. To było to.

– Reczok uważa, że w przyszłości możemy zostać zaatakowani przez Niemców. Że Rosja pomaga im wzmocnić potencjał militarny, sprzedając im surowce.

– I wszystkiego tego dowiedzieliście się z tego jego „mamrotania”.

– Tak. Parafrazował to, co czytał, w sposób nasuwający takie skojarzenia.

Subotin poświęcił chwilę na zapisanie tego w notesie swoim równym, schludnym pismem.

– A zatem mamy tu wykładowcę wydziału historii rozpowszechniającego antyradzieckie poglądy wśród studentów i pozostałych wykładowców.

– Och, nie, nie sądzę, by dzielił się swoimi opiniami ze studentami. Na pewno nie.

– A skąd ta pewność? Siedzicie na jego zajęciach?

– Instytut realizuje ściśle określony program. Naruszenie tego programu zostałoby natychmiast zgłoszone.

– Nie musicie nam mówić, co jest zgłaszane. Tak jak powiedzieliście, wszystko jest kwestią wydźwięku. W czyjej jeszcze obecności Reczok wygłaszał te opinie?

– No cóż, różni ludzie się kręcą po pokoju wykładowców.

– Jacy?

Wzięła płytki wdech. Oczy Subotina, dopiero teraz to zauważyła, miały niemal morski kolor. Jak woda w wykładanej kafelkami fontannie, chłodna i nieruchoma.

– Czasem wchodzi Anna Bielkova i Maria Daniłowa.

– Czy były obecne tego dnia, gdy mówił o pakcie Ribbentrop-Mołotow?

– Tak.

– Jak zareagowały na antyradzieckie wybuchy Reczoka?

– Większość wykładowców traktuje go po prostu jak zdziwaczałego staruszka.

Zasadniczo nie reagują na to jego mamrotanie.

Subotin skwitował tę odpowiedź ledwie dostrzegalnym uśmiechem, pogardliwym grymasem, który odciągnął jego wargi i zdawał się mówić: „Nie możesz zjeść ciastka i mieć ciastka, gołubuszka”.

– Więc nic nie powiedziały i pozwoliły mu dalej rzucać te kalumnie? – sprecyzował Subotin.

– Chyba tak.

Czekała, gdy spisywał raport na czystej kartce. Kiedy skończył, ku jej zaskoczeniu

dał jej go do przeczytania.

Fakty się zgadzały, ale jakimś sposobem zmianie uległ ich ogólny wydźwięk. Według przedstawionego jej zapisu przeprowadziła antyradziecką rozmowę z Borysem Reczokiem, podczas której Reczok rozpowszechniał informacje o zagrożeniu ze strony Niemiec i krytykował politykę gospodarczą Stalina w obecności Bielkowej i Daniłowej, które bez sprzeciwu przysłuchiwały się jego oszczerczym twierdzeniom. Raport pozwalał niemal odnieść wrażenie, że te kobiety się z Reczokiem zgadzały. Stwierdził również, że Borys Reczok rozpowszechniał tego rodzaju poglądy na swoich wykładach.

– Chwileczkę – powiedziała Florence. – Z tego można by wywnioskować, że Reczok się do nich zwracał. A ja tylko powiedziałam, że wypowiedział te zdania do siebie, czytając gazetę.

– Gdyby chciał je powiedzieć do siebie, wygłosiłby je we własnych czterech ścianach. To oczywiste, że oczekiwał jakiejś reakcji.

– Ale Bielkowa i Daniłowa znalazły się w tym pokoju przypadkowo. On z nimi nie rozmawiał.

– Znajdowały się w tym samym pomieszczeniu i pozwoliły temu człowiekowi bez przeszkód wygłaszać jego kłamstwa.

– Ale w waszym raporcie to wygląda tak, jakby podzielały jego poglądy.

– Nie nam decydować o tym, czy je podzielają, czy nie. Fakt pozostaje faktem, że jako nauczycielki i obywatelki ponoszą odpowiedzialność za prostowanie kłamstw Reczoka, a nie wywiązały się z tego obowiązku, podobnie jak wy.

Tego sporu nie sposób było wygrać. NKWD kierowało się własną logiką, zgodnie z którą bierny świadek nie różnił się niczym od konspiratora. Zgodnie z tą logiką człowiek ponosił odpowiedzialność nie tylko za własne słowa, ale i za wypowiedzi wszystkich wokół.

– Ale nigdy nie powiedziałam, że rozpowszechniał te poglądy wśród studentów – zaprotestowała Florence. Wiedziała, że nie ma już szans.

– Jeśli te poglądy zostały wyrażone wobec was, to skąd przekonanie, że nie wygłoszono ich w obecności innych, bardziej podatnych umysłów?

– Ale ja nie mogę tego zeznać.

W chłodnych, wodnistych oczach Subotina pojawił się dziwny błysk. Wydawało się, jakby przez chwilę zaokrągliły się ze zdziwienia. Szeroki uśmiech na jego twarzy przypominał niemal stłumiony grymas człowieka, który stracił punkt przez zwykłe gapiostwo.

– Doskonale – powiedział. Ujął pióro i przekreślił słowa „na swoich zajęciach”, pozostawiając jedynie „w instytucie”. – Tak lepiej?

Florence skinęła głową.

Podał jej pióro.

– Podpiszcie.

Podpisała.

Na zewnątrz, na znajomym ogrodzonym podwórzu, stopniały za dnia śnieg zamarzał ponownie, tworząc twardą skorupę. Widziała sierp księżycy na wschodzie, ale niebo było wciąż jasne; teraz, gdy dni stawały się dłuższe, zmierzch zapadał wolniej. Wilgotne

kwietniowe powietrze niesło zapachy gotowanego mięsa i cebuli. Florence zrobiło się niedobrze. Musiała usiąść. Zieloną ławkę pokrywała lodowa politura. Czowała przez płaszcz chłód topniejącego lodu i wilgoć przenikającą prawie do majtek. Dała im dość, by mogli aresztować Borysa Reczoka, człowieka, którego ledwie знаła, pod zarzutem „prymitywnego antyfaszyzmu”. Gdyby go wezwali, czy pokazaliby mu jej zeznanie i kazali się do niego ustosunkować? No ale po co wygadywał takie rzeczy w jej obecności? Co miała zrobić? Skłamać? Poza tym Bielkowa czy Daniłowa powiedziałyby na jej miejscu prawdę, a wówczas w jakiej znalazłaby się sytuacji? W końcu dała Subotinowi to, czego chciał. Tyle że on potem nawet słowem nie wspomniał o jej wyjeździe do Stanów. Przeciwnie, wydawał się poirytowany, że nie zadenuncjowała Reczoka z większym entuzjazmem! I ta jego mina, kiedy zaprotestowała wobec niektórych fragmentów jego raportu – nie potrafiła wyrzucić jej z pamięci. Co miała oznaczać ta mina? Widziała ją już wcześniej. Nie, nie na twarzy Subotina. Widziała ją (Boże, że też właśnie teraz musiała sobie o tym przypomnieć!) przed tyloma laty na twarzy Siergieja Sokołowa. Wyraz bezbrzeżnego zdumienia – nie tyle stan emocjonalny, co fizyczny odruch, jak reakcja na zapach zgnilizny. Pogrzebała te wspomnienia jak zwierzę zakopujące odchody, bo były tak wstydlive, że jej umysł zadał sobie wiele trudu, by nie wywlekać ich na światło dzienne. Teraz wróciły, plastyczne jak halucynacja. Widziała swoje odbicie w oczach dawnego szefa, Scoopa, kiedy wyszło na jaw, że pomagała rosyjskim inżynierom, a potem w oczach Siergieja, kiedy odnalazła go w Moskwie. Spojrzenie, jakim obaj ją obrzucili... Jakby nagle uzmysłowili sobie, że ta inteligentna, bystra dziewczyna, która przed nimi stoi, jest w gruncie rzeczy idiotką. I chyba w oczach Subotina dostrzegła to samo. Naprawdę nie mógł uwierzyć, że targuje się z nim o takie drobiazgi. Zapomniała, gdzie jest i z kim rozmawia? Wciąż sądziła, że może zjeść ciastko i mieć ciastko – wskoczyć NKWD do łóżka i wyśliznąć się z niego w niepogniecionej koszulce, z czystym, niezbrukanym sercem? Za późno na to, gołąbeczko. Była dziwką oburzoną szarganiem jej reputacji.

Mdłości stały się trudne do zniesienia. Musiała opuścić głowę między kolana, żeby w ogóle móc oddychać. Między jej piersiami perliły się krople potu. Coś zapieniło się jej w brzuchu, po czym całe złudzenie kontroli prysło i Florence zaczęła wymiotować, targana spazmami tak długo, aż nie zostało już do wyrzycania nic poza rzadkim płynem, który spłynął strużką na buty.

Konieczność odchylenia się z powrotem na oparcie i doprowadzenia do porządku stwarzała szereg zagrożeń. Poczowała czyjś dotyk. Otarła usta rogiem apaszki i obejrzała się. Obok niej siedziała drobna babuleńka w bezkształtnym płaszczu. Jej twarz zmarszczyła się pytająco.

– Nic ci nie jest, skarbeńku?

Dotknęła ramienia Florence, ale ta tylko się wzdrygnęła. Kim jest ta kobieta? Jedną z nich? Powiodła spojrzeniem po okolicznych budynkach. Czy któreś z okien Subotina wychodziło na skwerek? Czy teraz też ją obserwowali? Ruchem brody zbyła starą kobietę.

– Pilnujcie swojego nosa – burknęła, po czym przyciskając do siebie torebkę, pospiesznie opuściła podwórko.



Marks miał rację: nie jesteśmy panami własnego losu. I choć odżegnywałem się od świeckiego proroka mojej młodości, gotów byłem, siedząc w bezradnym milczeniu w sali konferencyjnej L-Petu, przyznać mu rację. Na koniec zebrania zostały nam trzy oferty: dwie rozsądne oraz rozgrzany balon napompowany przez chłopców z Genewy. Okazało się, że nie byłem w stanie wyeliminować Sausen Petroleum z wyścigu, ale też mimo nacisków Kabłukowa nie potrafiłem zbudować ich przekonującej obrony. Ostatecznie więc podczas całej tej ceremonii wyboru prawie w ogóle się nie odzywałem, wychwytyjąc ledwie dosłyszalne poburkiwania Kabłukowa, który kręcił się w fotelu jak zawiedziony ojciec. Po zakończeniu zebrania (wczesnym, żeby ludzie z L-Petu zdążyli umknąć z miasta swoimi jeepami cherokee i przed zachodem słońca dotrzeć na dache w Żukowce) Tom sprawiał wrażenie nie mniej rozczarowanego moją postawą niż Kabłukow. Z tą samą szczerością, jaką zaprezentowałem podczas zebrania, wyznałem mu, że padłem ofiarą zatrucia pokarmowego, po czym zwałem. Też miałem dachę, na którą musiałem się pospieszyć, o ile chciałem niezwłocznie przystąpić do wbijania własnej latorośli rozumu do łba.

Znalazłszy się jednak na zewnątrz, nie zdołałem wykrzesać z siebie wystarczająco dużo energii, by ruszyć prosto do hotelu i szybko się spakować. Zamiast tego zatoczyłem obszerny łuk wokół teatru Bolszoj, starając się nie myśleć o tym, jak zawiodłem Lenny'ego. Czuję, że pogrążam się w hańbie i brzydocie. Było paskudnie oczywiste, że naprawdę uwierzyłem, iż moje żalosne przekomarzanie się z Kabłukowem w hotelu Metropol przeciągnie go „na moją stronę”. W idiotyczny sposób wprowadziłem jeszcze większy chaos w już i tak niełatwe życie mojego dziecka. Jedynym sposobem na odsunięcie niebezpieczeństwa od Lenny'ego było powiedzenie mu prawdy. Doskonale wiedziałem, że właśnie to było powodem, dla którego nie spieszyło mi się do spotkania z nim na dacy. Co miałbym mu powiedzieć? Że zrobiłem to, przed czym zawsze go ostrzegałem: zacząłem chlapać jęzorem? Przepelniony wzdargą dla samego siebie, uzmysłowiłem sobie nagle, że nie mam pojęcia, dokąd idę. I wtedy, podniósłszy wzrok pod słońce zachodzące oslepiająco na placu Teatralnym, ujrzałem scenę jednocześnie historyczną i dobrze mi znaną: pod pomnikiem Karola Marksa stało kilku niechłujnie odzianych siwiejących mężczyzn, wszystkich mniej więcej w moim wieku, zgromadzonych wokół otwartych aktówek i filcowych podkładek, do których przyczepiono setki maleńkich przypinek: niklowych emaliowanych znaczków, które sam, podobnie jak tysiące innych kolekcjonerów amatorów, kupowałem kiedyś i przypinałem sobie na własnych korkowych tablicach. Ci faleryści zebrali się tu po to, by porównywać

rzadkie okazy, wymienić je lub sprzedać (dla zysku, jak mógłby powiedzieć pan Marks, w którego cieniu prowadzone były te transakcje). Znaczki odbijały popołudniowe słońce jak okruchy złota i przywoływały głęboko ukryte wspomnienie pięcioletniego Lenny'ego, wcielenie dziecinnej uciechy, podskakującego na widok nowego znaczka, który przywiozłem mu z jednej z ostatnich wypraw badawczych do Leningradu. I nagle przypomniałem sobie, jak klęczałem obok niego, gdy wyjmował z papierowej torebki pamiątkową przypinkę wielkości dziesięciocentówki – głowę Jurija Gagarina w hełmie kosmonauty albo statek Wostok 2 pędzący w czarną pustkę. Przypomniałem sobie własne palce pomagające mu ostrożnie umocować wygiętą szpileczkę w aksamitnej wyściółce jego kolekcjonerskiego pudełka.

Jako zabawki te przypinki nie mogły sprawiać pięciolatкови szczególnej frajdy. W jakim stopniu to podniecenie, zastanawiałem się teraz, było faktycznie udziałem Lenny'ego, a w jakim stopniu moim? Spośród tysięcy przypinek wybitych dla upamiętnienia wszystkich możliwych przedsięwzięć, klubów sportowych, stuleci miast i historycznych bitew najbardziej upodobaliśmy sobie te uwieczniające podróże kosmiczne. W przeciwieństwie do pozostałych – stylizowanych peanów na cześć budowy socjalizmu – kosmiczne przypinki były symbolem nadziei o charakterze bardziej uniwersalnym, nadziei, że dzięki technologii, nauce i optymizmowi zdołamy jako gatunek niemal dosłownie wznieść się ponad nasze ułomności. Czy już wówczas nie starałem się dać mu do zrozumienia, kogo chciałbym w nim zobaczyć? Naukowca, inżyniera, kogoś, kto znajdowałby otuchę w stałym, nieprzerwanym postępie. Czy właśnie te oczekiwania nie leżały u podstaw wojowniczej drażliwości Lenny'ego, ujawniającej się natychmiast, gdy tylko wypływał temat jego pracy lub jej braku? Chciałem go zapewnić, że żaden dobry rodzic nie czerpie satysfakcji z porażek własnego dziecka. A tak się składało, że wiedziałem co nieco o tym, jak druzgocąca potrafi być porażka, jak może człowieka spustoszyć prawie dziesięć lat zmarnowanego życia. Gdyby nie poczucie, że taka rozmowa nieuchronnie wiąże się z ryzykiem nieporozumień i dramatycznej kulminacji, opowiedziałbym synowi o 12 maja 1977 roku, kiedy zostałem tak po prostu pozbawiony wszelkich złudzeń. O dniu, kiedy to ukochane miasto, miasto, które teraz trzymało za gardło mojego syna, przestało być mi domem.

Przez wszystkie te lata, kiedy kupowałem Lenny'emu znaczki, pracowałem nad doktoratem z hydrodynamiki, rozdarty między pracą na pełen etat a troską o rodzinę. W tamtych czasach nasze mieszkanie składało się z dwóch pokoi. Łóżkiem małżeńskim była kanapa, którą Łukija i ja rozkładaliśmy co wieczór, żeby dzieci mogły spać w swoim pokoju, a „gabinetem”, w którym do późnej nocy przeprowadzałem obliczenia, kąp mikroskopijnej kuchni. W wieku trzydziestu czterech lat miałem już za sobą jedno krótkie, nieudane małżeństwo, zawarte pochopnie jeszcze podczas studiów. Nie zamierzałem powtarzać tego błędu: za drugim razem ożeniłem się z inteligentną, oddaną dziewczyną, która była najczulszą matką naszych dzieci i heroicznie wykonywała obowiązki domowe za nas dwoje, by umożliwić mi zrealizowanie marzeń o doktoracie. W ciągu sześciu lat co kilka miesięcy wyjeżdżałem na leningradzkie nabrzeża, by prowadzić badania gazów, które mogły się okazać użyteczne w oddzielaniu lodu od powierzchni wody. Badania te miały liczne zastosowania praktyczne. W tamtych czasach

konwencjonalne metody przeprowadzania statków przez zamarzające wody polegały na zastosowaniu ciężkich silników dieslowskich pozwalających sprężyć ogromne ilości powietrza. Szukałem metod wykorzystania gazów z kadłuba statku, by ograniczyć opór, zmniejszyć kubaturę niezbędnej maszynierii i wykorzystać przeprojektowane turbiny gazowe, aparaty dyfuzyjne i komory rozprężeniowe do wytworzenia gorącego skompresowanego gazu i zaoszczędzenia paliwa. Moją ambicją była zmiana filozofii budowania statków.

Nie pamiętam już twarzy wszystkich osób, które w dniu obrony doktoratu zdecydowały o moim losie. Nie pamiętam również ich pytań. Pamiętam, że było ich wiele. Nawet jeśli moje odkrycia zrobiły wrażenie na którymkolwiek z członków komisji, to żaden nie zdradził się ze swoim entuzjazmem. Wyszedłem z sali, spływając zimnym potem. Dobrze dwadzieścia minut później, gdy w pustym korytarzu Instytutu Problemów Zarządzania czekałem na werdykt gremium, serce wciąż waliło mi jak szalone. W końcu z sali wyszedł jeden z trzech członków komisji. Był niski i swój niewielki wzrost wydawał się kompensować ogromnymi wąsiskami. Podeszedł do mnie i w przydługim wywodzie bardzo pochlebnie wypowiedział się o mojej pracy.

– Przedstawiliście wiele interesujących koncepcji, Brink. – Urwał i w zamyśleniu powtórzył moje nazwisko. – Brink... Widziałem, że urodziliście się w Kujbyszewie. Wasza rodzina stamtąd pochodzi?

Dał mi w ten sposób do zrozumienia, że widział mój paszport, ujawniający moją przynależność do słynnej „piątej kolumny” – amerykańskie pochodzenie i żydowskie nazwisko – lecz w tamtej chwili byłem pewien, że sugeruje, jakobym nie był „prawdziwym moskwianinem”, więc go poprawiłem.

– Oboje moi rodzice byli z Moskwy – powiadomiłem go. – Urodziłem się podczas wojennej ewakuacji.

– Ja sam jestem z Kazania – powiedział. – Niewielu tu nas, Wołżan, prawda?

Uśmiechnął się. Nie miałem pojęcia, o czym mówi. W każdym razie wówczas.

– Będę z wami szczerzy, Brink – ciągnął, wyglądając przez okno. – Miałem nadzieję, że być może jesteście z Kujbyszewa albo innego odległego miasta, bo tutaj, w Moskwie, mamy nasze normy produkcyjne, jeśli wiecie, o czym mówię. – Z kieszeni koszuli wyjął zręcznie papierosa i zapalił go. – Problem polega na tym – powiedział, zaciągawszy się chciwie i odchrząknawszy – że nie możemy przyznać wam stopnia doktora, dopóki nie przyznamy go wszystkim przed wami. A w waszym przypadku ta lista jest bardzo długa. – Spojrzał na mnie, by sprawdzić, czy go zrozumiałem. Nie odezwałem się. – Macie więc do wyboru poczekać sześć lat w naszej kolejce albo... – zrobił gest w stronę okna, jednym machnięciem dłoni obejmując całe sowieckie imperium na wschód od Wołgi – ...pojechać gdzieś indziej, na przykład do Kujbyszewa, zapisać się na tamtejszy uniwersytet i obronić swój projekt w mniej szacownym instytucie bez naszych... obostrzeń.

Jak w przypadku każdej złej nowiny, początkowo nie dotarło do mnie znaczenie jego słów. Patrzyłem, jak rozciąga się gąsienica jego wąsów, ale docierający do moich uszu przekaz był równie abstrakcyjny jak audycja radiowa. Może była to katastrofa, owszem, ale niekoniecznie dotycząca akurat mnie.

Nie byłem kompletnym kretynem. Wiedziałem o zasadzie numerus clausus obowiązującej na rosyjskich uniwersytetach w odniesieniu do studentów pochodzenia żydowskiego. Dotychczas udawało mi się ten system pokonywać. Może sądziłem, że zawsze będę z nim wygrywał? Niezależnie od tego, jakim obciążeniem była dla mnie moja „narodowość”, od ukończenia szóstego roku życia radziłem sobie z nią równie cierpliwie, jak leworęczni radzą sobie z dyktaturą obracających się w prawo gałek u drzwi i jedynowładztwem (przynajmniej w tamtych czasach) pisaną prawą ręką, sumiennie kompensując swoje niedostatki gigantycznym bezgłośnym wysiłkiem.

Ale ta obręcz okazała się znacznie mniejsza od tych, przez które skakałem wcześniej. Maleńka jak ucho igielne. (Dowiedziałem się później, że corocznie mniej niż pięć procent stopni doktorskich przyznawano w instytucie Żydom, ale wówczas, w wieku trzydziestu czterech lat, byłem znów małym Abraszką z domu dziecka, niepewnym, czy ma się rozplakać, czy komuś przyłożyć). Dlaczego ten człowiek wyszedł porozmawiać ze mną osobiście? O odrzuceniu mojej rozprawy doktorskiej można było poinformować mnie w bezosobowym oficjalnym liście. Był w tym człowieku jakiś rys, który pozwalał mi sądzić, że rozmawiał ze mną nie jako przedstawiciel komisji, lecz z powodu dręczących go osobiście wyrzutów sumienia. W jego sposobie bycia dostrzegłem ledwie wyczuwalne przeprosiny.

Wyszedłem, niosąc w aktówce maszynopis rozprawy, minąłem ponury hol i ruszyłem trawiastym pasem zieleni ciągnącym się wzdłuż bulwaru. To był piękny dzień, odświeżony niedawnym deszczem, jeden z tych dni, gdy po raz pierwszy dostrzegasz, że całe konary zazieleniły się już pączkującymi liśćmi, a druty telefoniczne uginają się pod ciężarem rozświergotanych stad jaskółek. I nagle to wszystko – całe to piękno, wszystkie te naukowe aspiracje, w których pławiłem się przez siedem lat – stało się odrażające. Żadna z tych rzeczy nie należała już do mnie. Robiło mi się niedobrze na widok ich budynków. Ich pomniki, nawet ich drzewa, wszystko to wzbudzało tylko mdłości. Po godzinie udało mi się pozbierać na tyle, żeby znaleźć telefon i zadzwonić do żony.

– Zaczynij wyprzedawać nasze rzeczy – powiedziałem jej. – Wyjeżdżamy z tego przeklętego kraju.

Od pierwszej migracji na masową skalę dzieliły nas jeszcze dwa lata, pogłoski o otwieraniu granic dopiero zaczynały się rozchodzić. Wiedziałem już jednak, że gdy przyjdzie wreszcie ten dzień, będę gotów wszystko rzucić. I jeśli będę musiał, przekroczę granicę w samych gaciach.



Spotkanie Florence z Subotinem brutalnie ją odmieniło.

Rano wstała dopiero po wyjściu Leona, który na biurku przy łóżku zostawił jej mleko i patelnię kaszy. Jedno i drugie wystygło.

Dzień był lodowaty, roziskrzony wiosennie topniejącym śniegiem. Florence ubrała się i włożyła czapkę. Był piątek, nie miała tego dnia wykładów. Była tylko jedna osoba, do której musiała się udać.

Z roziskrzonej ulicy weszła w mrok teatru. Powitała ją znajoma woń kurzu i pudru. Wąskim korytarzem ruszyła do kanciapki, w której rozsiadła się szatniarka, gotując w zakamienionym czajniku wodę na herbatę.

– Flora?

– Agnesso Artemowna. – Florence zdjęła czapkę. – Potrzebuję waszej pomocy.

Dwa kilometry za Moskwą nowoczesność urywała się równie nagle jak dno oceanu. Z okna pociągu Florence obserwowała błotnistą wieś. W kieszeni płaszcza miała trzysta rubli, większą część swoich miesięcznych zarobków. Z dała od głównej drogi wieśniaczki przycupnęły na grząskich brzegach strumienia, by w zimnej wodzie prać bieliznę. Nad wszystkim, niczym ogromny ciężar, zawisł czas.

Znalazła domek ukryty za sosnowym zagajnikiem; od wiejskiej poczty prowadziła do niego gruntowa droga. Stara chata z rzeźbionymi okiennicami przypominała Florence domek Baby Jagi z książki dla dzieci, choć ta nie stała na kurzej nóżce. Siostra okazała się przysadzistą, imponującej postury kobietą, której nikłe podobieństwo do Agnessy Artemownej było skrzętnie ukryte pod rumianym nosem i trapiionymi trądzikiem różowatym policzkami. Kobieta zaprowadziła Florence do alkowy utworzonej między tylną ścianą opalanego drewnem pieca a kredensem. W alkwie stało żelazne łóżko. Florence zdjęła ubłocone kozaki i ściągnęła pończochy, a tymczasem kobieta przygotowywała się do zabiegu. W pokoju unosił się mdły, kościelny zapach świec migających w ukośnym lustrze na kredensie. Kobieta kazała się Florence rozebrać, a sama poszła zagotować wodę w czajniku.

Odchyliwszy głowę tak, że aż zakłuł jej się cały pokój, Florence dostrzegła komodę i słoje z alkoholem, w których kobieta trzymała narzędzia. Bąbelki przywarły do ścianek jak w kieliszku szampana, z którego ulatuje gaz. Na ich widok Florence zrobiło się niedobrze. Kobieta przyniosła zalatującą stęchlizną poduszczkę, którą należało przygryźć, gdyby ból stał się nie do zniesienia.

– Możesz jęczeć – poinstruowała ją – ale nie krzycz.

Drobne, przesywające ukłucie, gdy wciągnęła powietrze, a potem ból tak

dotkliwy, że człowiek mógł zapomnieć, jak się nazywa. Poduszczyka w ustach smakowała śliną i potem innych kobiet.

– Spokojnie, spokojnie.

Florence miała nogi przywiązane do ramy łóżka, a kobieta, wyskrobując rozwijające się życie, nuciła sobie przy pracy jakąś kołysankę. „Luli, luli...” W zapadającym zmierzchu powietrze wypełniło się zapachem krwi. Podrygująca na komodzie świeczka zamieniła lustro w płytę światła.

Na łące stała maleńka brzoźka.

Luli, luli, stała sobie brzoźka.

Florence ocknęła się i zobaczyła przysadzistą kobietę ocierającą jej czoło.

– Siadaj, no, siadaj.

W głowie wciąż jej huczało.

– Nie mogę się ruszyć.

– No już, wstawaj.

Gdyby krwawienie nie ustawało, miała pójść do lekarza i powiedzieć mu, że upadła i poroniła.

Wsiadła w wieczorny pociąg do Moskwy; podkład higieniczny w majtkach ciążył jej jak worek z piaskiem. Czowała, jak z każdą chwilą traci coraz więcej krwi. Postaci wokół niej zmieniały się jak pulsujące duchy. Powiedziała sobie, że oszczędzono jej bardziej barbarzyńskich metod: irygacji sodą i kąpieli w naparze ze zmielonych ziaren gorczycy. Krew przesiąkała przez bieliznę i spódnicę.

Leon zastał ją na kanapie, trzęsącą się jak w febrze. Pobiegł do kuchni i wrócił z miską zupy z kaszą perłową i kubkiem parującego mleka. Posadził Florence i przytknął jej kubek do ust, patrząc, jak z trudem przelęka. Na czole i nad górną wargą wystąpiły jej krople potu.

– Jesteś cała rozpalona!

Próbował nakarmić ją zupą, ale odmówiła, ciasno owijając się kocem.

– Musisz coś zjeść.

– Nie chcę.

– To zjedz dla dziecka.

– Nie ma żadnego dziecka.

– Masz gorączkę, Florie. Wszystko ci się miesza.

Spróbował zdjąć z niej koc. Nie miała już siły go powstrzymać.

Nigdy nie słyszała, by z czyichś ust wydobył się odgłos takiej udręki.

– Biada mi, biada! Florence! Oj main got, main got! – zawodził na wdechu, przyciskając pięści do skroni. Opanowały go spazmy szaleństwa. Kołysał się w tył i w przód, ściskając zakrwawione prześcieradło. – Oj main got, coś ty zrobiła?

– Nie mogłam pozwolić, żeby się domyślił.

– Musimy cię zabrać do szpitala.

– Nie. Pozwól mi tutaj umrzeć.

– Powiedz mi, kto to zrobił!

– Nie mogłam tak dalej. Gdyby się dowiedział, znalazłabym się w potrzasku, na zawsze. Cały ten wysiłek byłby na nic...

– O kim ty mówisz, do cholery?

I wtedy wszystko się z niej wylało w nieskładnym, beznadziejnym łkaniu: wizyta w OWIR-ze, spotkania z Subotinem, długa, przeklęta droga jej upadku.

– Powiedział, że wyśle mnie do domu. Powiedział, że zobaczę się z rodziną...

Słyszała teraz, jak nieprawdziwie, jak głupio brzmiały te obietnice. Zebrała siły do tej żalostnej spowiedzi, przekonana, że będzie jej ostatnią.

Kiedy się jej przysłuchiwał, bezmiar cierpienia nadawał jego czarnym oczom błękitną diamentową poświatę. Dowie się wreszcie, jak próbowała od niego uciec. Zrozumie, z jaką kurwą związał swój los. Na barłogu kobiety dokonującej aborcji była przekonana, że umrze. Błagała Opatrzność, by dała jej jeszcze jedną szansę. Ale świat był mechanistyczny i teraz gotowała się na to, by zapłacić za swoje decyzje. Leon wciąż ścisnął prześcieradło. A potem ukrył w nim twarz, jakby wciągając w nozdrza woń masakry.

Mylila się jednak co do niego. Oczy, które na nią uniósł, były suche.

– Florence, posłuchaj mnie uważnie. – Ścisnął ją za rękę. – Weź wszystko, cokolwiek ten człowiek ci oferuje. Daj mu, czego chce, i nie zadawaj pytań. Załatw sobie wizę wyjazdową, jak tylko będziesz mogła. A potem wyjedź! Zniknij. Zapomnij o tym strasznym kraju.

Księga V



Sosny, krzaki na poboczach i stalowe kratownice wiejskich stacyjek przelatywały za oknami jadącego na wschód pociągu. Podczas godzinnej podróży do Alabina podjąłem decyzję, by wyznać Lenny’emu swój brak dyskrecji przy Kabłukowie. Tak będzie najlepiej. Moja poniżająca spowiedź mogła dokonać tego, czego nie dokonały inne zachęty. Kiedy jednak spostrzegłem Lenny’ego w jego pasiastym T-shircie, siedzącego za kierownicą pordzewiałej łady i machającego mi z okna, zapomniałem o wszystkich przygotowanych wcześniej przemowach. Ranek wydawał się zbyt ożywczy, a uśmiech Lenny’ego zbyt szczery, by od razu wszystko zepsuć. Lenny wysiadł i pomógł mi z bagażem. Sprawiał wrażenie zaskoczonego, że naprawdę przyjechałem.

– Przygotuj się na spotkanie z paradą dziwaków – ostrzegł mnie radośnie, kiedy wyjeżdżaliśmy na pustą drogę. – Przyjechał Alosza Alkoholik i Żorik Gruziński Lotario. Jeden to siostrzeniec cioci Wali, a drugi jej mąż. Są w tym samym wieku.

– Czy to ich oficjalne przydomki?

– Oficjalny przydomek Żorika to „inwalida”. Nie pytaj mnie, jak Wala to załatwiła. Czterdzieści cztery lata i już pobiera rentę. Jego nieoficjalny przydomek to „mąż przy żonie”. To już tutaj zaraz.

Dom, pod który zajechaliśmy, nie był prowizorycznie połataną budą, jakiej mógłbym się spodziewać po samochodzie i stroju Lenny’ego, lecz zgrabnym trzykondygnacyjnym oszalowanym budynkiem świeżo odmalowanym na kolor cynamonu. Przez rozległą werandę z tyłu weszliśmy do kuchni, gdzie natknęliśmy się na nieogolonego jasnowłosego mężczyznę w gumowych klapkach. Z rozchełstanej koszuli wзираła chuda klatka piersiowa.

– Aleksiej, poznaj mojego ojca, Julija Leontjewicza – przedstawił nas sobie Lenny. Aleksiej z powagą skinął głową.

– Coś na rozbudzenie dla naszego amerykańskiego gościa?

Na kuchennym blacie stała do połowy opróżniona butelka rosyjskiej standardowej.

– Dziękuję – odparłem. – Wolę zaczynać dzień od koniaku.

– Wedle życzenia. – Aleksiej znalazł w szafce nienapoczętą butelkę i otworzył ją specjalnie dla mnie. – Dziewczyny poszły na grzyby, a Żorik wyszedł po mięso na szaszłyki. Napawajcie się ciszą, póki można.

Dostosowałem się do jego definicji „ciszy”. Stojące na blacie miniaturowe radyjko nastawione było maksymalnie głośno na program informacyjny. Słuchaliśmy pałającego świętym oburzeniem głosu prezenterki potępiającej dalsze więzienie kolejnego menedżera koncernu naftowego Jukos, któremu ponoć odmawiano pomocy medycznej,

dopóki nie podpisze zeznania.

– Co to za stacja? – zapytałem.

– Echo Moskwy. Jedyna, której nasz łaskawy prezydent pozwala nadawać, by móc utrzymać przed światem, że mamy wolne media.

– Alosza nigdy nie wyłącza radia – powiedział Lenny.

– Ale ty przecież powinieneś to wszystko wiedzieć – zauważył Alosza. – Nie jesteś nafcierzem?

– Zajmuję się tylko stroną techniczną – odparłem. – A ty gdzie pracujesz, Aleksiej?

– Gdzie pracuję? Nie pracuję. Jestem darmozjadem. Moja praca polega na siedzeniu matce na głowie.

– No cóż, to też jakieś zajęcie.

– Alosza jest zbyt skromny – wtrącił się Lenny. – Prowadzi pierwszorzędną pralnię pieniędzy. Ledwie przed tygodniem miejscowa policja przeprowadziła nalot na jego biuro.

– Te cwaniaki wyszły przed orkiestrę – mruknął chudzielec. – Wzięli pięćset tysięcy rubli, więc musiałem zadzwonić na posterunek milicji, mamy tam człowieka. Załatwił to jednym telefonem. Na dziesięć tysięcy to jeszcze bym przymknął oko, ale wieprze strasznie się rozbestwiły.

– A więc nieoficjalnie jesteś przedsiębiorcą, a oficjalnie wyrzutkiem społeczeństwa? – zapytałem.

– Zasadniczo jestem nikim – obwieścił Alosza z dumą. – Nie mają na mnie żadnych papierów. Nigdzie nie figuruję.

– A to legalne?

– Nieposiadanie uczciwego zatrudnienia nie jest już przestępstwem. Wszystko, co mogą mi zrobić, to odebrać zasiłek. A ja nie potrzebuję ich zakichanych pięciuset rubli miesięcznie.

– No i oczywiście nie głosujesz – powiedział Lenny i uśmiechnął się do mnie, zastawiający na Aloszę niezawodną przynętę.

– Głosowanie jest profanacją – odparł Aleksiej jak na komendę. – Elektorat... kto to jest? Zwykli klakierzy.

– Zapytaj go, kto jest jego idolem – podsunął Lenny, po czym sam udzielił odpowiedzi: – Ralph Ellison.

– Niewidzialny człowiek to pionek – podjął Alosza ze złością. – Żyje w piwnicy zawieszony żarówkami, ciągnąc nielegalnie prąd z monopolistycznej firmy energetycznej. Firma nie ma pojęcia o jego istnieniu, podobnie jak złodziejskie państwo, którego władzy nie uznaje. Więc tak jak niewidzialny Murzyn, postanowiłem nie istnieć w oczach naszego nielegalnego państwa.

– Pokaż mu, jak to robisz, Alosza.

Alosza podszedł do gniazdka nad zlewem.

– To bardzo proste. Jako inżynier powinieneś to wiedzieć: puszcza się połowę prądu drutem przyczepionym do metalowej blaszki i robi się uziemienie, wtykając go do ziemi. Wychodzi tam, w ogródku warzywnym, widzisz? Prąd płynie przez okrągły rok, a na liczniku Wali nie pojawia się nawet jeden wat zużycia.

Wyglądało na to, że Alosza oprócz talentu oratorskiego i smykałki do biznesu ma też właściwy rosyjskim alkoholikom dar naprawiania własnymi rękoma dosłownie wszystkiego.

– Z ogrzewaniem jest jeszcze łatwiej. Po prostu w zimie wychodzę na podwórko i wylewam na licznik ciepła czajnik wrzątku. Ustrojstwo natychmiast zamarza i można ogrzać wszystkie trzy piętra domu, nie płacąc ani kopiejki. – W jego głosie zabrzmiała duma. – W Rosji wszyscy kradniemy – poinformował mnie, dla odmiany po angielsku, po czym rzekł o kilka decybeli głośniej: – Oni nas tu okradają na potęgę! A ja sobie tylko odbieram co nieco.

– No i proszę, jaki z siebie zadowolony. Wielki mi filozof.

Głos dobiegł z korytarza. Do kuchni weszła pulchna, płomiennoruda kobieta koło sześćdziesiątki, niosąc wielkie ocynkowane wiadro grzybów z leżącym na nich zakrzywionym nożykiem. Miała na sobie sandały i szorty opinające potężne uda, które mogłyby należeć do jakiejś mitycznej kołchoźnicy z sowieckiego muralu zbierającej snopki zboża. To musiała być Walentyna, słynna ciocia Wala, kuzynka matki Katii. Za nią dreptała Katia w kaloszach i obcisłych dżinsach.

– A więc poznał pan już naszego nadwornego Sokratesa – powiedziała Walentyna, rozkładając na stole gazetę i wysypując na nią zawartość swojego, a potem Katii wiaderka. Szybko zaczęła segregować grzyby na gazecie, bardzo robaczywe i bardzo brudne wrzucając z powrotem do wiaderka.

– Znalazła pani jakieś dobre? – zaciekawilem się.

– Kilka czarnuszek i całą masę pieprzników.

– Zebrałybyśmy więcej, ale już wszyscy znają nasze najlepsze miejsca – powiedziała Katia, sepleniąc lekko z powodu aparatu.

– Ten tutaj to muchomor – pokazał Alosza.

– To rydz. W ogóle się nie znasz.

– Nie widzisz, jaką ma cienką nóżkę? Jest niejadalny. Wszystkich nas otrujesz, kobieto.

– I kto to mówi! Jakoś cię nie widziałam dziś rano, żebyś chodził od polanki do przecinki i cokolwiek zbierał.

– Nie jesteś grzybiarzem, Aleksiej? – zapytałem.

Alosza odchylił się na krześle i odwrócił wzrok, jakby w ogóle nie zniżał się do takich głupot.

– Tutaj jest za łatwo. Jak poszedłem ostatnio, to w godzinę przyniosłem pięć wiader. To żadne wyzwanie, więc co za sens?

– Alosza naprawdę potrafi się cieszyć tylko tym, co wiąże się z cierpieniem – wtrącił Lenny.

Obróciłem się do Walentyny.

– Ma pani bardzo ładny dom, pani Walu. Zbudowała go pani rodzina?

– Nie, kupiłam go od naszego byłego ambasadora w Danii. Rodzinną daczę mój tata zostawił mojej siostrze Ninie, matce tego geniusza. Jest kawałek dalej, w Aprelewce. Ale w tym tygodniu Nina wypoczywa nad Morzem Czarnym. No i dlatego ten się tu pęta jak bezański pies.

– Aprelewka? – Byłem zaskoczony. – Tam są albo były dawne dacje wojskowych. Pani ojciec był generałem?

– Komdywem. Dowódcą dywizji. Ale tam po dawnym gensztapie nie ma już śladu. Przejęli to nasi nowi bramini. Alosza! Zaprowadziłeś już Julija Leontjewicza do jego pokoju? No to co z ciebie za gospodarz? Proszę za mną – powiedziała, podnosząc się. – Oprowadzę pana.

Poszedłem za Walą na górę i podczas gdy Alosza niósł moją torbę niczym boy hotelowy, ja podziwiałem meble.

– Jasne, mam kilka rzeczy po tacie – przyznała Wala, kiedy zapytałem ją o rzeźbione antyki.

– Włącznie z tym zegareczkiem – zauważył Alosza, wskazując na wielki mahoniowy zegar stojący na półpiętrze. – Prawdziwy teutoński skarb, nie te podróby, które Niemcy wciskali po wojnie każdemu głupiemu Wani w kamaszach.

– Pani ojciec musiał być ważnym człowiekiem, skoro udało mu się wwieźć to do kraju – powiedziałem.

– Nie mogę się uskarżać na swoje dzieciństwo.

– Regularne wakacje na Krymie?

– W Jałcie. W Soczi.

– Wożący rodzinę szofer.

– A żeby pan wiedział. Woził mnie i Ninę na zajęcia w MGIMO. Byłam tym okropnie zażenowana.

Pomimo znakomitych ocen w szkole nigdy nie brałem nawet pod uwagę możliwości, że zostanę przyjęty na uczelnię w rodzaju Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, gdzie synów i córki mogli umieszczać tylko wysocy partyjni urzędnicy, przygotowując ich do objęcia stanowisk dyplomatycznych na całym świecie. Szkoła nie figurowała nawet w zwykłym spisie radzieckich uczelni wyższych.

– Niemożliwe, żebyście były jedynymi w MGIMO studentkami, które wożono na zajęcia.

– To było bardziej w stylu Niny. Ja nie mogłam ścierpieć całej tej snobistycznej otoczki.

– I właśnie dlatego nie została pani dyplomatką jak pani siostra?

– Tu delegacja, tam delegacja. To nie dla mnie. Ja siedziałam cicho we Wniesztorgu.

Coraz lepiej rozumiałem Walę, która mimo partyjnego wychowania była w głębi duszy spekulantką. Mimowolnie podziwiałem rezerwę, z jaką odnosiła się do przywilejów przynależnych jej z urodzenia, zlekceważenie radzieckiej drabiny awansu i załatwienie sobie po cichu mniej eksponowanego stanowiska w mniej prestiżowym Ludowym Komisariacie Handlu Zagranicznego, które stwarzało jednak wiele sposobności wyjazdów na Węgry, do Czechosłowacji i do Rumunii, z których Wala wracała z walizkami pełnymi koszul nocnych, butów i rajstop do upłynnienia z zyskiem wśród znajomych.

Alosza postawił moje torby w pokoju gościnnym.

– Będzie pan dzisiaj spał jak dziecko – powiedziała Wala. – Nie ma lepszego materaca. To łóżko jest wygodniejsze od tego, w którym śpi Putin. Nie dlatego, że nie mógłby sobie na nie pozwolić, ale dlatego, że jego dupa nie poczułaby różnicy.

Alosza skrzywił się, jakby coś go zabolalo.

– Mówiłem ci, żebyś nie wypowiadała przy mnie nazwiska tego piekielnika!

A potem zostawili mnie samego.

Skorzystawszy z łazienki, przejrzałem stojącą na półkach kolekcję muzyki (Andrea Bocelli, Enrico Caruso, Adelina Patti) i licznych obcojęzycznych książek. Byłem pewien, że to pokój Niny, matki Aloszy, służący jej za sypialnię, gdy spała akurat u Wali. Na niewielkim biurku leżały notatki sporządzone okrągłym kobiecym pismem. Na ścianie wisiała powiększona czarno-biała fotografia prześlicznego pięcio- lub sześćoletniego cherubinka o błyszczących oczach. Przyjrzałem się uważniej i nagle wstrząsnął mną dziwny dreszcz: to był Alosza Alkoholik.

Pogrążony w zadumie, wpatrywałem się w tę fotografię przez długi czas, aż wreszcie Wala donośnie jak licytator zawołała mnie na dół na lunch. Wiedziony zapachem grillowanego mięsa wyszedłem przez werandę na zewnątrz. Lenny i Alosza stali przy kwadratowym grillu, na który barczysty Gruzin w dresie wykładał kotlety wieprzowe. Był to bez wątplenia Żorik, pogrążony w zażartym sporze z Lennym na temat najlepszych metod marynowania mięsa. Żorik stał na stanowisku, że najlepsze rezultaty uzyskuje się dzięki marynowaniu w occie, Lenny natomiast upierał się przy mieszance kefiru i soku z cytryny.

– Co z ciebie za Żyd? – rzucił wyzywająco Żorik. – Nie wiesz, że twoi ziomkowie nie marynują mięsa w mleku? To niszczy włókna! Proszę, nasz gość honorowy! – zawołał, dostrzegłszy mnie.

Serdecznie uściśnął mi dłoń prawą ręką, w lewej trzymając rączkę ciężkiej kratki grilla. Jeśli naprawdę był inwalidą, to najbardziej krzepkim i energicznym spośród wszystkich, jakich kiedykolwiek poznałem. Na ganek wyszła Wala.

– Alosza, chodź i pomóż mi przenieść stół.

Ale jej siostrzeniec albo nie usłyszał, albo udał, że nie słyszy. Wcisnął sobie słuchawki do uszu i nie przestawał słuchać przez komórkę Echa Moskwy.

– Tylko popatrzcie! – krzyknęła Wala do pozostałych. – Normalny człowiek słucha jednej, dwóch ulubionych audycji! A ten nie może sobie wyciągnąć słuchawek z uszu. Osobowość narkomana!

– Kochanie, nie denerwuj się. Mięso już prawie gotowe – powiedział Żorik.

Lunch podano w jadalni. Zauważyłem, że Katia nieustannie coś Lenny'emu podsuwa, posypuje mu ziemniaki koperkiem i dopełnia kieliszek wódką. On z kolei wydawał się uznawać za oczywiste, że jest tak obsługiwany. Pochłonął całą michę pielmieni, które Wala podała na przystawkę, a teraz spałaszował już połowę drugiej. Katia, gdy tylko dobiegało ją od strony Lenny'ego jakieś wymowne głodne chrząknięcie, nakładała mu na talerz kolejne osiem pierogów. Uchwycił moje spojrzenie i zapytał:

– Co?

Nie powstrzymałem się.

– Może powinienes trochę powściągnąć apetyt.

– Wszystko zdrowe, wszystko naturalne – zaprotestowała Wala. – A dlaczego pan nie je? Co, nie smakuje panu?

– Wszystko jest pyszne. Po prostu nie jestem bardzo głodny.

– A co pan, zwierzę, że je tylko, jak jest głodny?

Znów uchwyciłem spojrzenie Lenny'ego. Pozwalasz im tuczyć cię jak gęś, to właśnie chciałem mu powiedzieć. Ale nawet gdybym mógł, nie miałyby to sensu. Jakby w akcie milczącego protestu wobec mnie opychał się bez opamiętania drugą porcją pierogów. A potem spuścił wzrok i kilkakrotnie lekko zakasłał, dając do zrozumienia, że nie czuje się najlepiej.

– Biedaku, tej nocy w areszcie musiałeś się przeziębic – powiedziała Wala. Odwróciła się do mnie. – To zbrodnia, że mogą człowieka wtrącić do więzienia za nic.

– No cóż, ktokolwiek spieprzył sprawę i mnie tam wsadził, pewnie za to teraz beka – powiedział Lenny.

– Na przeziębienie najlepsza jest wódka z pieprzem – powiedział Alosza. Sięgnął i wsypał szczyptę czarnych drobinek Lenny'emu do kieliszka. – I do dna... Pomaga na wszystko.

– Skąd wiesz, że to była pomyłka? – zapytałem.

– No a co to mogło być?

– Nie wiem. Może ktoś chciał ci dać nauczkę – zasugerowałem, myśląc jednocześnie, co właściwie, u licha, wyprawiam.

Lenny wbił we mnie spojrzenie.

– O czym ty mówisz?

I kichnął.

– Biedaku, zrobię ci herbaty – powiedziała Walentyna, a Katia natychmiast wstała i ruszyła do kuchni po czajnik.

Nie minęła chwila, a już postawiła przed Lennym parujący kubek, wsypała pokaźną ilość cukru i zaczęła mieszać. Mój Boże, pomyślałem, on sobie nawet herbaty nie zamiesza.

– Być może niebezpieczeństwo wciąż nad tobą wisi – powiedziałem. – Może za wcześnie jeszcze świętować.

– Ojcowskie obawy – powiedziała Walentyna. – No i tak powinno być.

– Za co pijemy? – zapytał Żorik, wznosząc kieliszek.

– Za rodzinę! – zawołała Walentyna. – Lenny jest częścią naszej rodziny, a teraz z radością witamy w domu jego czarującego ojca, Julija Leontjewicza.

Skinąłem głową i wypilem swoją wódkę do dna. Pogodziłem się już z faktem, że w tym kraju nie da się spędzić tygodnia, nie doprowadzając wątroby do kompletnej ruiny. Kiedy Żorik przyniósł wieprzowinę, wypiliśmy jeszcze dwie kolejki. Najpierw piliśmy za siedzące przy stole kobiety, a potem za szczęście i powodzenie.

– W tym życiu – dodał Alosza tajemniczo.

– Alosza wierzy w reinkarnację – powiedział Żorik. – W tym życiu dał już za wygraną.

Alosza spuścił wzrok, przyzwyczajony do wiecznych docinków.

– W następnym życiu powrócę jako kot syjamski.

– A po co z powrotem pod postacią zwierzęcia czekać do następnego życia? – wtrąciła Wala. – Odwróć kurtkę na drugą stronę i maszeruj do zoo. Dzieciaki będą ci rzucać cukierki.

– Toast! – obwieścił Żorik. – Za tych, których z nami nie ma.

Wszyscy unieśliśmy kieliszki i potrzyimaliśmy je przez chwilę w górze, nie stukając się w tym najbardziej ze wszystkich ponurym toaście. Nie pierwszy raz zauważyłem, że alkoholicy upijają się na smutno. Aloszy nalana dla niego pięćdziesiątka nie sprawiała chyba żadnej przyjemności. Gapił się na nią przez chwilę jak człowiek wpatrujący się w łyżkę gorzkiego medykamentu, po czym przełknął ją z ponurą miną.

Zerknąłem na Lenny'ego, sięgającego przed Katią po kotlety wieprzowe.

– Ej, Katusza, daj mu ten – powiedziała Wala, wybierając największy, najbardziej lśniący kawałek mięsa. W tej dacy mężczyznom przeznaczono najwyraźniej dwie role: potulnego chłopaczka i rozpieszczanego paszy. Alosza grał pierwszą, Lenny drugą. Każda z nich była na swój sposób infantylna.

Lenny mruknął, że duszno, a Katia poderwała się momentalnie, by otworzyć okno. Dotąd byłem przekonany, że mój syn nie wrócił do Stanów, bo było mu wstyd, że poniósł porażkę. Nie wziąłem pod uwagę tej rozpasanej bierności, do jakiej tu przywykł, rozkosznego rozpieszczania, w którym Rosjanki osiągnęły mistrzostwo.

– Wyjmij to z uszu, do cholery! – wrzasnęła nagle zniecierpliwiona Wala. Alosza znów słuchał Echa Moskwy. – Nie widzisz, że nie jesteśmy sami?

Alosza niechętnie wyjął z ucha prawą słuchawkę, ale nadal słuchał Echa przez lewą.

– Idę zająrać – powiedział i wstał, komunikując całą swoją postawą: Do diabła z wami wszystkimi!

Dokładnie w tym momencie Żorik nappełnił jego kieliszek i zerknął na mnie szelmowsko. Jak marionetka, której poluzowano sznurki, Alosza z powrotem usiadł i wypił wódkę.

– Widzisz! – powiedział Żorik triumfalnie. – Założę się, że w tych Stanach nie macie takich alkoholików jak nasi!

– Tutaj nie można mierzyć amerykańską miarą – odparłem. – W Stanach alkoholiem jest ktoś, kto nie tknął alkoholu od dziesięciu lat.

Wala spojrzała na mnie z ciekawością. Postarałem się możliwie klarownie wyjaśnić siedzącym przy stole koncepcję AA.

– Wydaliśmy kiedyś przyjęcie. Naszemu sąsiadowi, Jimowi, zaproponowałem koniak. Odmówił. Kiedy zapytałem o powód, odparł: „Julian, jestem alkoholikiem”. Odparłem: „Jim, wobec tego podziwiam twoją abstynencję. Od dawna?”. „Dwadzieścia lat”, powiedział.

– Ho, ho! – zawołała Wala.

Lenny wyglądał na mniej rozbawionego.

– Amerykanie tak mają: wszystko albo nic – powiedział. – Uwielbiają gadać o tych swoich wolnościach, a nie potrafią żyć i dać żyć innym. Teraz ja wam coś opowiem: moja matka pierwszą pracę w Nowym Jorku znalazła w dziale programowania Bloomingdale'a. Pojęcia nie miała o programowaniu, ale tonący brzytwy się chwyta.

Zachorowałem na grypę, a ona nie mogła wziąć wolnego, więc poszła do pracy, a ja zostałem w domu z siostrą. Zadzwonili ze szkoły. Powiedziała im, że jestem chory i zostałem w domu pod opieką trzynastoletniej siostry. Wysłali do naszego mieszkania policjanta i jeszcze pracownicę z opieki społecznej i zagrozili matce aresztowaniem, jeśli nie będzie posyłać Maszy do szkoły. Nie zdawała sobie sprawy, że w tej sytuacji powinna wynająć opiekunkę? Opiekunkę! Matka nie miała pieniędzy, żeby kupić sobie buty! Wtedy ostatni raz powiedziała Amerykanom prawdę.

Wala pokręciła głową.

– Ale zachowała pracę.

– To był niełatwy czas – powiedziałem. – Moja pierwsza praca też miała związek z komputerami, ale w centrum miasta. Każdego popołudnia wsiadałem do metra na Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy i spotykaliśmy się w chińskiej restauracji naprzeciwko domu towarowego, gdzie pomagałem żonie pisać te programy. Brała kod z powrotem na górę, żeby go wklepać. Trwało to miesiącami.

– Jaki dobry mąż – powiedziała Wala ze schlebującą mi czułością w oczach.

– Ale kiepski nauczyciel – wymamrotał Lenny. – Pamiętam te wrzaski.

– Żadnych wrzasków sobie nie przypominam – powiedziałem, starając się, by zabrzmiało to pogodnie.

– Och, daj spokój. Na dacy walimy całą prawdę. Nieustannie wrzeszczałeś na mamę, że jest tępa, nie łapie tego kodowania i nie uczy się wystarczająco szybko angielskiego. A przecież akurat ona nie miała okazji nauczyć się języka w dzieciństwie.

Wyszczrzyłem się krzywo. Ale Lenny jeszcze nie skończył.

– Sam to mówiłeś. Że mama pewnie by się z tobą rozwiodła, gdyby w tych początkowych latach nie była od ciebie tak uzależniona.

Uderzyło mnie, że mimo tak krytycznego stosunku do Stanów Zjednoczonych Lenny był z całego tego towarzystwa najbardziej amerykański: z tym swoim nawijaniem, wyznaniem i wywlekaniem spraw osobistych. Łowieniem z czarnych dziur niepamięci zasuszonych strzępów rodzinnych „dysfunkcji”, żeby się zrehabilitować. Z jakiego tytułu? Ty dzieciaku, pomyślałem.

W łazience, ochlapując twarz wodą, próbowałem wyrzucić z pamięci incydent przy lunchu. Ważne było, by złapać Lenny’ego na osobności. Miałem szczęście: wyszedłszy na zewnątrz, zastałem go na werandzie, rozwalonego na tureckich poduszkach. Przecwiczylem sobie, co mu powiem: „Synu, słuchaj, wydaje mi się, że to nie twoi kumple wpakowali cię do pudła...”. Ale teraz w tych słowach czaiła się jakaś parszywa pustka. Jego widok, rozpartego wśród jaskrawych poduszek, z bladymi udami wystającymi z nylonowych szortów, nasuwał skojarzenie ze zubożniętym paszą rozwalonym w palarni opium.

– Miałeś może okazję zastanowić się nad planem wyjazdu? – zapytałem, siadając obok niego. – Jeśli chcesz, mogę pojechać do twojego mieszkania i spakować ci rzeczy – zaproponowałem tonem, miałem nadzieję, nieco mniej szorstkim. – Wydaje mi się, że nie mamy czasu do stracenia.

Spojrzał na mnie zmęczonymi oczami, jakbym był ostatnim tego popołudnia źródłem udręki, a potem oparł się na łokciach.

– Jesteś tu od... czekaj... od tygodnia. I już się bierzesz do sterowania moim życiem?

– Nie steruję twoim życiem. Próbuje usunąć cię ze strefy zagrożenia.

– To może pozwól mi samemu zdecydować, okej? Rozmawiałem z Austinem. Kazał prawnikowi przyrzeć się tej transakcji po naszej stronie. Jestem absolutnie nie do ruszenia.

Po prostu powiedz mu prawdę, pomyślałem. Ale zamiast tego powiedziałem:

– Do cholery jasnej, Lenny. Dzisiaj wyszedłeś, jutro z powrotem cię zapakują. I żaden prawnik nic ci tutaj nie pomoże. Nadepnąłeś komuś na odcisk i ten ktoś postara się, żeby cię dopaść.

Wiedziałem, że ten wybuch złości jest zwykłym kamuflażem, ale byłem naprawdę wściekły. Lenny'ego należało obsztorcować i postawić do pionu, a nie się certolić.

– Wyluzuj – rzucił.

– Nie wyluzuję... Ależ ty jesteś obrzydliwym egoistą.

– Egoistą?

W jego oczach pojawiła się uraza albo rozbawienie, a może jedno i drugie.

– Jeśli znów wylądujesz w więzieniu, to jak myślisz, kto cię będzie z niego wyciągał? Chcesz zmusić mnie i matkę do zastawienia domu na kaucję? Chcesz, żebyśmy na starość zbankrutowali? Bo to właśnie będziemy musieli zrobić dla ratowania ci skóry.

Tak zabrnąłem w tę maskaradę, że nie wiedziałem już, jak się z tego wywikłam. Szczere wyznanie wydało mi się teraz fałszywym krokiem. Lenny dopisze to jedynie do satysfakcjonującej listy krzywd, które mu wyrządziłem, a ja stracę tę odrobinę wpływu, która mi jeszcze została.

– Nie martw się. Wydzwanianie do ciebie z prośbą o pomoc będzie ostatnią rzeczą, jaka przyjdzie mi do głowy – powiedział.

Próbowałem uspokoić oddech.

– Lenny, wiem, że nie jest łatwo zaangażować się do tego stopnia w przedsięwzięcie, które nie wychodzi tak, jak byś chciał. Straciłem siedem lat, pracując nad rozprawą doktorską, która nigdy nie została uznana. Ale wiesz, co pomyślałem, kiedy mnie odrzucili? Pomyślałem: To i tak lepsze niż stracić te lata w obozie jak moja matka.

Lenny zmarszczył brwi i powiedział:

– Babcia Flora nigdy nie żałowała swoich decyzji. I ja też nie żałuję. Obserwowała historię z pierwszego rządu.

Szczęka mi opadła.

– Tak to właśnie określiła?

– Zawsze tak mówiła. „Jedynym sposobem na to, by dowiedzieć się, kim jesteś, jest wyjechać z domu”.

– Doprawdy? No i kim jesteś? – Wbiłem w niego nieustępliwe spojrzenie. – Masz już jakiegokolwiek wyobrażenie?

Lenny wytrzymał mój wzrok.

– A i owszem. Choć nie sądzę, byś cokolwiek z tego pojął. – Wyraz rozgoryczenia pogłębił zmarszczkę między jego brwiami. – Zachowujesz się tak, jakby spędzony tutaj czas był jednym wielkim marnotrawstwem. Myślisz, że żałuję, że nie spędziłem

wszystkich tych lat na siedzeniu w jakimś boksie z czterema koleśkami w jednakowych garniakach jak jakaś postać z łańcucha ewolucji? Na marzeniach o tym, że przejdę na emeryturę w wieku czterdziestu pięciu lat, ulokuję całą gotówkę w obligacjach na siedem procent, przeniosę się na Tahiti i przez resztę życia będę uprawiał seks na viagrze? Bo tak właśnie żyją znani mi faceci ze Stanów. Nie, dzięki. Tutaj jestem częścią czegoś większego.

– Historii? – powiedziałem bardziej drwiąco, niż zamierzałem.

– Moje życie jest przygodą, to mam na myśli. Wiem, że to dla ciebie niewiele znaczy, ale mogę uczciwie powiedzieć, że doświadczyłem pewnych aspektów samego siebie...

– Przygodą? – przerwałem mu. – Tak to się nazywa, kiedy wszyscy wracają żywi. W innym przypadku nazywamy to tragedią. Tym właśnie było życie mojego ojca: tragedią. I mojej matki również, skoro już o niej wspominaliśmy.

– Tak? Ona chyba tak nie sądziła.

– Bo była zapatrzona w siebie, Lenny. Nie myślała o nikim z wyjątkiem siebie. Miała narcystyczne urojenia pierwszej klasy. Tak jak ty.

Ostatnie słowa wymknęły mi się nieopatrznie i uderzyły ciężko w krzywizny twarzy Lenny'ego. Przez moment sądziłem, że się rozplacze, ale tylko spojrzał na mnie gorzkim, kpiącym spojrzeniem.

– Już łapię, co próbujesz zrobić, tatusiu. Myślisz, że jak uda ci się sprawić, żebym poczuł się bardzo mały, to zapakujesz mnie do walizki i zawieziesz do domu. – Wstał. – Myślisz, że pierwszy raz ktoś mi groził? Myślisz, że pierwszy raz siedziałem w więzieniu? No to się mylisz. Uwierz mi, nauczyłem się znosić gorsze rzeczy niż ten syf, który mi tu serwujesz.

Zaskoczył mnie. Nie mogłem uwierzyć, że coś takiego udało mu się zachować w tajemnicy.

– A więc naprawdę stałeś się Rosjaninem. Zakochanym we własnym cierpieniu.

Wstał. Na jego twarzy, którą miałem teraz nad sobą, malowało się zwykle rozczarowanie, nic więcej.

– Tak jak powiedziałem: nie spodziewałem się, że cokolwiek z tego pojmiesz.

– Masz rację. Nie pojmuję. – Nie potrafiłem już zamilczeć. – Nie pojmuję, bo cała ta zabawa w „eksplorowanie ludzkich doświadczeń” nie jest modelem stawania się mężczyzną, Lenny. Nie jest wzorem odciskania na tym świecie swojego piętna. To, co opisujesz, jest ledwie przepisem na... – znów mimowolnie pomyślałem o matce – ...na to, jak być liściem na falach życia!

I choć przecież niweczyłem w ten sposób wszelkie postępy, na które miałem nadzieję w relacjach z własnym synem, wypowiedzenie tych słów okazało się dziwnie satysfakcjonujące. I ponuro triumfalne. Jak wbicie sobie samobója.

Był już przy drzwiach prowadzących do środka, oczy pałały mu oburzeniem, kiedy na werandzie pojawiła się Wala. Czy stała tam od początku, ukryta w cieniu?

– No, co się tu dzieje? Mam nadzieję, że nie rozmawiacie o polityce. Dacza służy do tego, żeby się odprężyć, a nie rozwiązywać problemy wielkiego świata. Taką mamy zasadę.

Znów miałem na poziomie oczu jej masywne, chłopskie uda, które w niebieskich spodniach od dresu, niemaskujących ich nawet odrobinę, w pełni ujawniały swoje rozmiary. Popatrzyłem, jak mój syn wchodzi do środka, i ogarnął mnie ten sam pradawny smutek. Wala trzymała w ręce ocynkowane wiaderko z porannym zbiorem grzybów, a przez ramię przewieszoną miała plastikową siatkę, w której oczkach dostrzegłem jabłka, ser i słoiki z korniszonami.

– Wybieram się na spacer do Aprelewki, żeby zanieść trochę jedzenia znajomej – powiedziała. – Chciał pan zobaczyć zniszczenia, prawda? A ja nie pogardziłabym pomocą. – Nie czekając na odpowiedź, wręczyła mi siatkę z jedzeniem. – Spacer dobrze zrobi naszym starym kościom.

Ja niosłem torbę, a Wala wzięła na siebie rolę przewodnika. Wyjaśniła mi, że idziemy drogą z siedemnastego wieku. Piotr Wielki podarował wszystkie te ziemie rodzinie Demidowów, która w zamian wytwarzała broń dla jego wojska. Wskazała na prawo, gdzie wciąż jeszcze stała jedna z podupadłych rezydencji Demidowów; okazała niegdyś arkadia była już tylko niszczącym gmaszyskiem z czerwonej cegły. Rzędy klasycystycznych kolumn zawłaszczyło pleniące się zielsko, a z dachu dawnych czworaków wyrastały smukłe klony i mnóstwo rozmaitych samosiejek. Biegnącą przez las ścieżkę zaśmiecały zielone butelki po piwie i rozmiękle na deszczu ulotki salonów masażu.

– Podobno wszystko to podlega ochronie jako nasze dobro narodowe, ale sam pan widzi, jaka ta nasza mentalność...

Wskazała brodą cały ten śmietnik. Idąc dalej, natknęliśmy się na potwoki, o których mnie wcześniej uprzedziła: nowe rezydencje, z których godny pozazdroszczenia widok na las całkowicie zasłaniały wzniesione dla bezpieczeństwa wysokie murowane ogrodzenia. Widać było tylko wyższe piętra tych nowostrojek, nieróżniących się od typowej amerykańskiej McRezydencji niczym z wyjątkiem jednego szczegółu: miały wpuszczone w ściany coś, co wyglądało jak drzwi do garażu. Potrzebowałem chwili, by uzmysłwić sobie ze zdumieniem, że były to rolety antywłamaniowe spuszczone na ogromne okna.

– Najbardziej boją się złodziei inni złodzieje – wyłożyła mi Wala. – Wszystko to nazywamy Domami dla Biedoty. Schroniskami dla Bezdomnych. Powinien pan tu przyjść któregoś niedzielnego ranka po jednym z tych ich przyjęć. Sterczą tu i gapią się na wszystkich przechodzących, jakby byli psami, które mają ochotę kopnąć. Jakby chcieli powiedzieć: „Kto ty takoj? Kim ty, do cholery, jesteś, żeby się kręcić po mojej okolicy?”. Mają takie spojrzenia jak nasi armiejcy: „Dobierzemy ci się do skóry”.

– Nie mniej skłonni do wymierzania sprawiedliwości niż wysocy urzędnicy partyjni z dawnych czasów.

– Tyle że teraz oczywiście wszyscy odzegnują się od partii. Ale czym była partia? Przecież to były tysiące ludzi, miliony członków. Jeśli chciało się coś zrobić, być aktywnym, coś poprawić, można było sobie znaleźć jakieś partyjne kanały. A teraz wszystkim rządzi garstka starych kagiebiów. Władimir Władimirowicz i jego partnerzy do judo złapali wszystkich za gardła.

Szliśmy dalej ze swoim brzemieniem. Po lewej mieliśmy nowostrojki z kamerami

monitoringu, po prawej stare drewniane dachy, wyblakłą żółć i łuszczącą się zielen, strzeżone przez ujadające sparszywiałe kundły. Po lewej owładnięta paranoją Nowa Rosja. Po prawej gnijący Związek Sowiecki.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku Stalin przekazał całą tę ziemię korpusowi generałów – poinformowała mnie Wala. – Po tym, jak już wygrali dla niego wojnę. Każdy generał dostał po hektarze, dowódcy dywizji pół hektara i tak dalej w dół. Piętnaście lat temu deweloperzy zaczęli skupować duże działki i dzielić je na cztery. Gdybyśmy się wstrzymali, dostalibyśmy za nasze grunty jeszcze wyższą cenę, ale i tak zapłacili tyle, że wystarczyło na kupno mojego domu. Moja znajoma, z którą się zobaczymy... Jej rodzina już dawno podzieliła ziemię między siebie i sprzedała ją, ona ostatnia się tu uchowała. Och, dostawała propozycje, oczywiście. Ale odmawiała... Tylko dlatego, że nie ma się gdzie podziać, bidulka. Przedziwne, że nikt jej jeszcze nie podpalił domu. Proszę nie robić takich wielkich oczu. Tak się to u nas załatwia. Jak rozwalali stare ogrodzenia i wznosili te potworne mury, wywalili siatkę i słupki prosto na jej podwórko. Sam pan zobaczy.

– Haaloo! Inno Iwanowno! – zawołała Wala, gdy dotarliśmy na miejsce. Weszła do środka przez otwarte drzwi, a ja przystanąłem na schodkach i objąłem spojrzeniem żalozne podwórko. Siatka i połamane drewniane paliki leżały jak po przejściu tornada. Pokryte pleśnią cegły wystawały z fundamentów jak zęby z gnijących działseł. Obok gromadzącej deszczówkę wanny z wyłamanymi nogami stał przerdzewiały kanister z rodzaju tych, w jakich przewoziło się kiedyś benzynę. Pomijając nędzny ogródek warzywny i skarłowaciałe jabłunki, całe podwórko zarośnięte było zielskiem.

W końcu pokazała się Inna Iwanowna, drobniuteńka starowinka z krótko obciętymi włosami i dłońmi tak powykręcanyimi artretyzmem, że przypominały sękaty drzewka w jej ogródku. Miała na sobie znoszony szary sweter, spodnie od dresu i filcowe kapcie.

– Inno Iwanowno, mam nadzieję, że nie przeszkadzamy, pojawiając się tak bez zapowiedzi... Właśnie przechodziliśmy niedaleko. To mój znajomy, Julij Leontjewicz. Przyjechał do nas aż z Ameryki.

– Proszę, wchodźcie... Trzeba przejść nad tym – powiedziała Inna Iwanowna, wskazując na zaściełające podłogę sterty watoliny.

Chyba zupełnie jej nie obchodziło, czy jestem z Ameryki, czy z Księżyca.

– Przyniosłam grzyby z naszego lasu i jagody na kompot – powiedziała Wala i zaczęła wykladać wszystko, łącznie z serem, korniszonami i warzywami, na rozchwierutany kuchenny stół.

– Och, Wala. Nie trzeba było.

– Wyjeżdżamy w niedzielę, a przez tydzień wszystko by się zepsuło – odparła Walentyna, choć widać było, że jedzenie jest prosto ze sklepu.

– Chodźcie, chodźcie, proszę, nie przejmujcie się bałaganem. – Zaszuszone, filigranowa postać kopnęła spod drzwi stertę watoliny. – Syn mi przywiózł, żebym mogła sobie ocieplić przed zimą tę stronę domu. Strasznie ciągnie od ścian.

Naprawdę spędzała tu zimę? Nie chciało mi się w to wierzyć. Nie do pojęcia, że taki dom jeszcze się nie zawalił, a co tu mówić o utrzymaniu ciepła. Ściany przegniły, przepierzenia z dykty się wypaczyły. Nad kuchennym stołem wisiała okrągła lampa

z tekturowym stelażem z rodzaju tych, jakich nie widziałem nigdzie od dobrych czterdziestu lat. Rozciągnięty na nim abażur wyglądał jak stare gacie, a zasilający to wszystko kabel, zakończony przedpotopową kostką ceramiczną, przyczepiony był do ściany zszywkami, bo gdyby poprowadzono go w ścianie, z pewnością doszłoby do zapłonu. Inna Iwanowna siedziała przyciśnięta plecami do starego kaflowego pieca na węgiel i patrzyła, jak Wala upycha jedzenie w małej lodówce. Czy to możliwe, by nadal ogrzewała tym piecem dom? Nad niskim kredensem wisiał jak ikona portret młodego Puszkina.

– Na jak długo zatrzymał się pan w naszym posiołku? – zapytała uprzejmie Inna Iwanowna.

Wala odpowiedziała za mnie.

– Julij Leontjewicz w przyszłym tygodniu leci z powrotem do Stanów. Mieszka tam. Jest ojcem Lenny’ego.

– Kogo?

– Lenny’ego. Chłopca Katii.

– Katusza to kochana dziewczyna – powiedziała staruszka, uśmiechając się do mnie.

– Owszem – przytaknałem.

– Jak dzieci tej kobiety mogą pozwalać jej mieszkać w takiej ruderze? – zapytałem, gdy wracaliśmy do domu.

– Jej syn mieszka w jej moskiewskim mieszkaniu. Jest nihilistą. Taka jest moja diagnoza. – Wala popukała kantem dłoni w szyję, co pozwalało się domyślać, że synalek za kołnierz nie wylewa. – Wszystkim jest coś dłużny. Zarabia tyle, że akurat starcza mu na fajki i wodę.

– Domyślałam się, że przed takim losem nie chroni nawet bycie wnukiem dowódcy dywizji.

– No, nie chroni. Niech pan spojrzy na naszego Aloszę! Dzieciństwo miał usłane różami. Lekcje pianina, prywatni nauczyciele. Ninoczka jeździła w delegacje po całym świecie, ale było czworo dziadków i ten jeden aniołek na nich wszystkich.

– Więc co się stało?

– Lata dziewięćdziesiąte były najtrudniejsze dla jego pokolenia. Wszystko runęło właśnie wtedy, gdy stawali na nogi, a firmy zagraniczne chciały zatrudniać dzieciaki świeżo po dyplomie, niezepsute naszym radzieckim systemem. Tacy jak Alosza, którzy, jak wszystko się zawaliło, mieli po trzydzieści, czterdzieści lat... Naprawdę serce bolało patrzeć, jak się miotali.

– Pani jest starsza. A jednak sobie pani poradziła.

– Ja bym sobie wszędzie poradziła.

Wiedziałem, że mówi prawdę.

Uprzytomniłem sobie, że to, co Wali dało wychowanie wśród radzieckiej wierchuszki – dyskrecję, instynkt nakazujący trzymać język za zębami – mogło być właśnie tym, czego brakowało mojemu synowi. Postanowiłem zaryzykować i zapytać, czy Wala nie ma wśród znajomych jakiegoś pracownika archiwów FSB.

– Mówi pan o tym małym urzędzie na Nieglinnej? – zapytała, unosząc brwi. –

A czego pan stamtąd potrzebuje?

– Chcę odnaleźć akta rodziców.

– Rozumiem... A czy oni nie byli czasem „entuzjastami”?

Lenny najwyraźniej opisał jej pokrótce naszą rodzinną historię.

Opowiedziałem jej o trudnościach, jakie napotkałem.

– Wyjeżdżam we wtorek rano.

– Zawsze może pan poprosić syna, żeby je odebrał w pana imieniu, prawda?

Wystarczy pójść do notariusza.

Bez wątpienia znała rządzące tym miejscem zasady, ale nie takiej oczekiwałem odpowiedzi. Nie chciałem jej mówić, że w głębi ducha nadal mam nadzieję, że Lenny wyjedzie z tego kraju wcześniej ode mnie.

– Nie ma potrzeby obarczać go jeszcze jednym zadaniem. Za dużo ma spraw na głowie, żeby jeszcze i tego pilnować. Nie mówi nam nawet, kiedy przyleci w odwiedziny do domu.

– Aha.

Być może zaprotestowałem zbyt żarliwie, bo Wala powiedziała:

– A może nie chce pan, żeby wsadzał nos w coś, czego nie zrozumie? Na przesłuchaniach ludzie rzadko pokazywali się z najlepszej strony, przyzna pan.

Uśmiechnąłem się.

– Jasna sprawa – odparła. – Nie boi się pan, że je przeczytam?

– Niczego innego się nie spodziewałem. Który porządny Rosjanin nie przeczytałby akt bliźniego?

– Ależ pan jest okrutny. Proszę mi dać ten list, popytam.

– Dopilnuję, żeby pani na tym nie straciła – powiedziałem z wdzięcznością.

Przez chwilę szliśmy w przyjaznym milczeniu. Wkrótce, idąc pod wiszącym nisko, lecz wciąż jeszcze dającym mnóstwo światła słońcem, znaleźliśmy się z powrotem na drodze do domu.

– Polubiłam pana, Juliju – powiedziała, gdy mijaliśmy tablicę oznaczającą początek miejscowości Alabino – więc pozwolę sobie na szczerość. Lenny powiedział mi, z czym pan do niego przyjechał. To nie moja sprawa, ale wiem, jak się takie rzeczy odbywają. Jeśli wyjedzie, związek z Katią się rozpadnie. Wiem, nie jestem obiektywna. Nie chcę, żeby moja siostrzenica miała złamane serce. To dobra dziewczyna.

– To jego decyzja.

– Ale wiem, co pan sądzi: „Dlaczego tak się upiera, dlaczego nie skorzysta z mojej pomocy?”.

Nie odpowiedziałem.

Wala westchnęła.

– Myślę, że i moja rodzina była przekonana, że zmarnotrawiłam to, co od niej dostałam. Ale proszę popatrzeć: ocalił mnie właśnie brak wygórowanych ambicji.

– Nie chcę, by obwiniał mnie o to, co mu w życiu nie wyszło – powiedziałem i uzmysłowiłem sobie, że to prawda.

– A więc martwi się pan po prostu o siebie.

– Wala, była pani bardzo gościnna dla mojego syna. Chcę, żeby czuł się jak

w domu... z własną rodziną.

– Ludzie czują się jak w domu w towarzystwie tych, przez których są lubiani.

Chcąc ją sprowokować, a może umniejszyć Lenny'ego jako zdobywcę jej drogiej Katii, a może po prostu z czystej ciekawości powiedziałem:

– No to proszę mi wyjaśnić, za co go pani lubi.

Pomijając jego amerykański paszport, chciałem dodać, ale się powstrzymałem.

– Lubię w nim to, że mimo swoich wytężonych wysiłków nadal jest przyzwoitym człowiekiem. Za mało jest na tym świecie życzliwych ludzi. Dziewięć spędzonych w tym kraju lat go nie zmarnowało. A to już jest coś.

Przyzwoitość. Życzliwość. Cechy, które w naszym domu traktowano poważnie, ale bez nabożeństwa.

– Był miłym dzieckiem – powiedziałem, patrząc na podjazd przed domem Wali. – Wrażliwym. Zawsze go przygnębiało, jak jakiś inny maluch płakał. Przedszkolanki nadały mu przyzwisko Dzentelmen. Może gdyby był inny, nie ostrzegałbym go, żeby tu nie przyjeżdżał robić interesy. Jego matka i ja ostrzegaliśmy go dziesiątki razy.

– No proszę, jak to mądrze, że go pan ostrzegł. – Wala zatrzymała się na drodze. Sprawiała wrażenie zirytowanej i zniecierpliwionej. – Tyle to każdy potrafi. Ale pan przecież też w tym siedzi. Ostrzegł go pan, ale co z tego! Bo przecież przygotować to już go pan nie przygotował, prawda?

Leżałem w swoim pokoju na sprężystym łóżku, zbyt znakomitym, by docenił je Putin. Zmierzchało. Kilkakrotnie wciągnąłem w płuca ożywcze, pachnące terpentyną powietrze. Owady cykały jak to zwykle latem. Leżący na sekretarzyku mój świeżo naładowany telefon błyskał zielonym światełkiem wiadomości.

Tylko jednej. Od Toma.

„To ja. Nie chciałbym ci zakłócać wypoczynku na daczce, ale do miasta wrócił Kabłukow. Chce się z nami spotkać jutro po południu w Łażniach Sandunowskich. Pojęcia nie mam, o co mu może chodzić. Spotkajmy się tam o dwunastej”.

Co za wybór miejsca na zebranie zarządu, pomyślałem – stara miejska bania. Będzie nam mógł zaimponować więziennymi tatuażami. Jaką strategię zamierzał teraz obrać ten stary egzekutor, by przekonać nas do klepnięcia tego kantu? Oznaczało to, że został mi tylko jeden wieczór z synem. Rano będę musiał wyjechać.

Usiadłem i zapatrzyłem się na nieostrą fotografię młodego Aloszy – jasnookiego cherubinka, który wyrósł na zjadliwe, przygnębione stworzenie z parteru. Jak sam powiedział: na nikogo. Przypomniła mi się moja upozowana fotografia, którą matka oprawiła i trzymała w pokoju w komunalce. Zdjęcie zostało zrobione oczywiście przed jej aresztowaniem. Nie miałem pojęcia, jakim cudem udało jej się ocalić je przez wszystkie te spędzone w więzieniu lata, choć dla mnie było zawsze symbolem uporów, z jakim trzymała się własnych złudzeń, i niezdolności do dostrzeżenia we mnie człowieka, którym się stałem. Z tego właśnie powodu nie trzymałem na widoku żadnych słodkich fotografii własnych dzieci.

Przez wszystkie te lata miałem pewność, że któregoś dnia Lenny będzie musiał wrócić. Do kraju. Do rodziny. Nie wziąłem jednak pod uwagę tego, co stało się dla mnie jasne dopiero na tej daczce, ze wszystkimi jej pijakami i odmieńcami: Lenny miał już

rodzinę. O ile rodzina oznaczała ludzi, którzy akceptowali człowieka takim, jakim był. Usłyszałem pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołałem.

To był Lenny, z wilgotnymi, uczesаныmi włosami, w czystej koszuli z rękawami zawiniętymi do łokci. Niepewnie rozejrzał się po pokoju.

– Zasnęłaś czy co? – Spojrzał mi w oczy i rozłożył ręce. – Chodź, wszyscy czekają. Szaszłyki już gotowe.

W półuśmiechu uniósł kącik ust, co uznałem za sygnał, że przynajmniej na czas jedzenia szaszłyków gotów jest złożyć broń.

– No to chodźmy jeść – odparłem, składając własną.



Z odsieczą przysłała Florence katastrofa narodowa. Wielka wojna ojczyźniana wywiodła ją z Moskwy, wyrwała z rąk tajnej policji i jeszcze raz rzuciła w wir doniosłej pracy, której Florence tak łaknęła.

Pylistego letniego wieczoru 1943 roku nadwołżańskie doki stają się areną, na której chaotycznie kłębią się ewakuowani. W czasie wojny stolicą państwa stało się przemianowane na Kujbyszew stare nadrzeczne miasto Samara. Na poszczerbionym nabrzeżu wiją się kolejki ludzi czekających na mizerne wojenne przydziały cukru, oleju roślinnego, nafty i zapalek. Jedyne dostępne chleb to twarde żytnie bochenki. Dostawy docierają do miasta łodziami lub krytymi konnymi wozami i sprzedawane są bezpośrednio z nich. Wszystkie samochody i ciężarówki zarekwirowano na potrzeby wojska. Florence przemyka przez głowę, że gdyby nie szczekaczki na każdym rogu, nadające bezustannie bieżące doniesienia z frontu, życie w Kujbyszewie mogłoby przypominać krzątanie osadników w jakimś dziewiętnastowiecznym miasteczku na obrzeżach cywilizacji. W najniższej części doków, gdzie zaopatrzenie dostarczają parowce, zaczynają się lęgnąć komary. Promienie gasnącego słońca oblewają tarasowe zbocza po drugiej stronie Wołgi. Wszyscy się spieszą, by dostać swój przydział (obejmujący dziś wieczorem soloną rybę i salami a conto ostatniego zwycięstwa w Kursku) i przed zachodem słońca schronić się pod dachem. W końcu Florence, przysłoniwszy bujne włosy chustką dla ochrony przed kurzem, dostaje swój przydział żywności owinięty w papier gazetowy i zostaje wypłuta przez ten sam cisnący się tłum, który przepchnął ją na przód kolejki. Ryba ciąży jej przyjemnie pod pachą, gdy Florence toruje sobie drogę wśród ciał w różnym wieku, różnie pachnących potem (awanturnicze męskie piżmo, żywiczny smród starości, ostry winogronowy opar młodych kobiet), aż wreszcie wydostaje się na świeże powietrze, po czym ulicą zaśmieconą zatłuszczonymi skrawkami gazet dochodzi do drzwi w murze, z których płynie chłodny piwniczny powiew. Nie ma tu światła; żarówki wykrecono, a okna na klatce schodowej zaklejono ciemnym papierem. Poruszając się po omacku, Florence dociera na najwyższe piętro i otwiera drzwi. Uderza ją woń przypalonej kawy. Pierwszą rzeczą, którą Florence widzi, jest stół wciąż przykryty gazetami, choć prosiła, by na dzisiejszy wieczór je uprzątnąć. Siedzą przy nim Leon i jego przyjaciel Seldon Parker. W okularach Parkera odbijają się resztki szafranowej poświaty wieczoru.

– Sądziłam, że dziś świętujemy? Dlaczego jeszcze pracujecie?

– Co ja mam z tym zrobić? – pyta Parker, unosząc kartkę papieru tak, jakby to były brudne gacie, po czym zaczyna czytać na głos: – „Bestialskie hordy Hitlera postawiły

sobie za cel zawładnięcie światem, a teraz grabią pracujących w trudzie ludzi z ostatnich okrucich chleba, zabijają, gwałcą, wyłupiają oczy, odcinają kobietom piersi, patroszą, ucinają głowy”.

– Kto napisał ten kawałek? – pyta Leon.

– Nasz narodowy skarb literacki, Dawid Bergelson. – Parker czyta dalej: – „Najokropniejsze są okrucieństwa, jakich dopuszczają się wobec naszych żydowskich braci i sióstr we wszystkich podbijanych krajach. Nigdy im nie dość obmyślania nowych tortur i metod egzekucji...” – Przerwał, po czym dodał: – A Dawidowi Bergelsonowi nigdy nie dość ich opisywania. „Wszystkie klęski, jakie kiedykolwiek spadły na nasz udręczony naród – zarówno w czasach starożytnych, kiedy to Neron zapędzał Żydów na areny cyrkowe lwom na pożarcie, jak i w wiekach średnich, kiedy odziani w łachmany Żydzi szli na śmierć na stosie lub sami ostrym nożem podrzynali gardła własnym dzieciom, by oszczędzić im potworności czekającej je śmierci – wszystkie te klęski będą wobec okrucieństw Hitlera... Dniem i nocą woła do nas ich krew rozbryźnięta na murach i płynąca po chodnikach. Płynie nieskończonym strumieniem w kanałach i rynsztokach i żadna matka Rachela nie wstanie z grobu i nie wezwie sprawiedliwości”.

– Niczego nie pominął, co? – zauważa Florence.

– Cyrki Nerona, lwy, wypruwanie wnętrzości, matka Rachela... Litości! – Seldon łapie się za głowę. – Daj Żydowi pióro, to dopiero cię poturbuje. Czy on nie rozumie, że żadna gazeta w Anglii ani w Stanach mu tego nie wydrukuje?

– Nie możesz oczekiwać od wielkiego powieściopisarza, że dostosuje się do dyktatu zachodniej prasy kapitalistycznej – odzywa się Leon.

– Wielkiego powieściopisarza, no rzeczywiście! Ostatnio jest już gorszym pismakiem niż Erenburg.

– No to wytnij mu coś – radzi Florence, która tymczasem sama bierze się do uprzątnięcia gazet ze stołu.

– Jesteśmy tłumaczami, nie redaktorami – mówi bezradnie Parker. – A gdybyś nie zauważyła, mamy tu całą górę takich arcydzieł do skończenia.

Co w istocie jest prawdą. Na krzesłach i parapetach okiennych piętrzą się sterty materiałów: artykuły i eseje dające świadectwo nazistowskich zbrodni na Żydach, sylwetki żydowskich oficerów i pilotów, biogramy naukowców i inżynierów z sektora obronności – wszystko to ma zostać przygotowane do publikacji. Ale nie w sowieckiej prasie, gdzie jest bezużyteczne i niemile widziane. Te teksty muszą zostać przełożone na bezbłędną angielszczyznę, nie tracąc przy tym nic ze swego poruszającego charakteru, i przystosowane do wymogów zagranicznej prasy burżuazyjnej: „The Boston Globe”, „The New York Times”, „Evening Standard” i chicagowskiego „Daily Herald”. Mimo swej górnolotności cała ta proza ma jeden prosty cel: pomóc Armii Czerwonej zgromadzić środki finansowe w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Wreszcie Florence wykonuje Ważną Pracę, na którą czekała całe życie. Każdego ranka ona i Leon, towarzysze broni na froncie ideologicznym, idą ramię w ramię do siedziby Radzieckiego Biura Informacyjnego, inaczej Sowinformbiura, by tłumaczyć materiały zatwierdzone przez kolegium redakcyjne i wojskowych cenzorów jako lektura nadająca się dla amerykańskich i europejskich czytelników.

Na każdym kroku podkreślany jest wątek przyjaźni międzynarodowej. Wołga, której oddziały Hitlera grożą odcięciem, opisywana jest jako „radziecka Missisipi”. Jeśli w uwieńczonym powodzeniu ataku wykorzystano brytyjskie myśliwce Hurricane albo Spitfire lub amerykańskie bombowce, artykuł powinien się trzymać następującego schematu: najpierw sylwetka bohaterskiego radzieckiego pilota, dalej pochwała maszyny, wreszcie wzmianka o jej producencie. Jeśli jakaś amerykańska firma przysłała w darze zestawy do przetaczania krwi albo przenośne aparaty rentgenowskie jakiemuś radzieckiemu szpitalowi polowemu, w artykule należy opisać w pierwszej kolejności dzielne i profesjonalne pielęgniarki, następnie to, w jaki sposób sprzęt medyczny pozwolił zmniejszyć cierpienie rannych żołnierzy, wreszcie wspomnieć nazwę firmy i kraju, z którego przysłano urządzenia. Każdy dar zasługuje na karteczkę z podziękowaniem. Za wytwarzanie tej góry propagandy odpowiada szereg komitetów antyfaszystowskich – Wszechsłowański, Kobiet Radzieckich, Młodzieży Radzieckiej, Naukowców Radzieckich – przy czym każdy produkuje treści mające na celu wydojenie innego segmentu zagranicznej opinii publicznej. W gabinetach Sowinformbiura jednak nie jest żadną tajemnicą, że najbardziej lukratywne wojenne propagandówki komunistyczne produkuje Żydowski Komitet Antyfaszystowski. Jego członkowie to literaci, poeci piszący w jidysz i aktorzy; niektóre z tych osobistości mieszkają nawet poza Związkiem Radzieckim. Jest więc poeta Perec Markisz, prorok awangardy z potarganą czupryną, Dawid Hofsztajn, poeta elegijny, ziomek Marca Chagalla, Lejb Kwitko, uwielbiany autor wierszyków dla dzieci, oraz powieściopisarz Dawid Bergelson, prawdopodobnie najszerzej obok Babla znany pisarz posługujący się językiem jidysz. Wszyscy ci ludzie wyjechali niegdyś z Rosji, by zamieszkać za granicą, przeszedłszy szlak wiodący przez Warszawę, Berlin, Paryż, Nowy Jork, Londyn, Wiedeń i Palestynę. Wszyscy oni, nie będąc w stanie zarabiać na życie piórem w świecie obojętnym na mamełoszn, wrócili do Związku Radzieckiego, skuszeni obietnicami publikacji i finansowanego przez państwo renesansu kultury języka jidysz. Wszystkie te osobistości, czego nieświadomi byli ich skromni tłumacze, czuły się schwyte w pułapkę tak samo jak Leon i Florence. (Markisz w potajemnym liście do przyjaciela z Warszawy napisał: „Nie wiemy, w jakim świecie się znaleźliśmy. W tej atmosferze podejmowanych ustawicznie prób bycia jednocześnie koszmarnie proletariackim i stuprocentowo koszmarnym objawiło się mnóstwo fałszu, tchórzostwa i rozchwiania, a praca stała się niemożliwa”). Teraz, po latach unikania terroru z czasów pokoju, we względnie bezpiecznym okresie wojny, wynurzyli się i oni. Dostali drugą szansę, podobnie jak Florence i Leon.

Na czele Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego stoi Solomon Michoels, uznany aktor, dyrektor Państwowego Teatru Żydowskiego w Moskwie. Jego niewysoka sylwetka błazna i twarz boksera są momentalnie rozpoznawane przez moskiewską publikę dzięki jego roli „żydowskiego Króla Leara”. Mało znany fakt: tuż przed wybuchem wojny Michoels obawiał się o własne życie i miał po temu powody; NKWD chciała powiązać go z aresztowanym Izaakiem Bablem. Kiedy jednak potrzebny okazał się złodziej, widmo stryczka na jakiś czas odsunięto. Znakomitemu odtwórcy powierzono rolę wyciągnięcia z żydowskiej diaspory w Stanach dolarów na walkę z nazistowską plagą.

Dokładnie w tym momencie, w którym Florence sprzątała gazety ze stołu, by zastawić go do świętowania dwudziestych dziewiątych urodzin Leona, Solomon Michoels na słonecznej werandzie w Los Angeles jadł śniadanie z Charliem Chaplinem, który pomagał mu zbierać pieniądze u Żydów z Hollywood.

Kilka miesięcy wcześniej Michoels wraz z poetą Icykiem Feferem zostali wsadzeni na transatlantyk zmierzający do Nowego Jorku. Gdziekolwiek się pojawiali, wszędzie gromadzili tłumy. Podczas wiecu na Polo Grounds major Fiorello La Guardia powitał ich jak starych przyjaciół, a na wietrze łopotały amerykańskie i radzieckie flagi. Komitetowi powitalnemu przewodniczył sam Albert Einstein. Prywatnie Michoels i Fefer się nie znosili, ale na scenie, na rozwinętym dla nich czerwonym dywanie, stawali niczym rodzeni bracia. Sto tysięcy amerykańskich oczu obserwowało z dołu Michoelsa, który ostrożnie unosił kryształową urnę wypełnioną żółtą i czarną ziemią. Z podium zwracał się do swoich amerykańskich braci: „Kupiłem tę urnę przed przyjazdem tutaj wspólnie z kilkoma przyjaciółmi z Państwowego Teatru Żydowskiego w Moskwie. Nasi żołnierze napełnili ją ziemią z Ukrainy; zachowały się w niej krzyki matek i ojców, chłopców i dziewcząt, którym nie dane było dożyć dorosłości. Spójrzcie na nią. Zobaczycie sznurówki dziecięcych bucików zawiązane przez małą Sarę, która padła obok swej matki. Przypatrzcie się uważnie, a zobaczycie łzy starej Żydówki... Przypatrzcie się bacznie, a zobaczycie waszych ojców krzyczących «Słuchaj, Izraelu!», zanoszących do nieba błagania o wybawienie... Przywiozłem wam tę ziemię z pól żałoby. Zasadźcie w niej kilka waszych kwiatów, by rosły symbolicznie dla naszego ludu... Przeżyjemy – na przekór naszym wrogom”.

W tłumie wybuchały wiwaty. Mężczyźni w fedorach stali w drżącym zaszłuchaniu, kobiety roniły łzy w futrzane etole. Ich wszystkich przygotowano na przybycie Michoelsa i Fefera artykułami i esejami publikowanymi w amerykańskich gazetach, tłumaczonymi z pełnego dramatyizmu jidysz na konwulsyjną angielszczyznę nie przez kogo innego, jak Leona Brinka i Seldona Parkera. Pod sceną tajniacy z obstawy Michoelsa odnotowywali mokrą od łez twarz aktora. Był pierwszorzędnym oratorem, oczywistym kandydatem do tak ważnego zadania. Na lewo od niego stał Icyk Fefer. W Rosji znany był ze swych powściągliwych, satyrycznych wierszy; wśród jego literackich towarzyszy z Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego znaleźli się i tacy, którzy uważali, że nie zasługuje na to, by towarzyszyć Michoelsowi podczas tak przepysznej podróży. Każdy z nich był przekonany, że to właśnie jemu należało się miejsce Fefera. Wszyscy, mieszkając wcześniej na Zachodzie, wiedzieli doskonale, że nigdy więcej nie dostaną zezwolenia na przekroczenie granic Związku Sowieckiego. Powszechnie podzielali opinię, że ogromny talent Fefera nie ma związku z poezją, lecz z umiejętnością chwytania politycznych wiatrów. Nie mylili się: po wojnie to właśnie zeznania Fefera doprowadziły do wyśledzenia i aresztowania wielu z nich.

Ale teraz, stojąc obok Michoelsa, Fefer był zaskoczony tak silną reakcją tłumu. Powietrze na otwartym stadionie pachniało parówkami smażonymi w cieście kukurydzianym, strzelały lampy błyskowe. Fefer spojrzął z góry na widownię, jakby zaglądał w otchłań. Twarze amerykańskich Żydów były niemal nie do odróżnienia od twarzy Żydów rosyjskich. Inne mieli tylko oczy. Niepokoił go nieobecny w nich strach,

wytrącała z równowagi ich niepowstrzymana dobra wola. Przeczynał już, że za tę publiczną adorację spotka go skryta zemsta, gdy tylko wróci do kraju.

Wszedł na mównicę i w jidysz i po rosyjsku zaczął zachęcać do wspierania bohaterskiej Armii Czerwonej.

Leon i Florence, zamknięci w granicach kraju, który ich siłą adoptował, nie byli świadkami żadnego z tych wydarzeń, choć w prasie zagranicznej mogli przeczytać o powodzeniu tej podróży. Zarówno Hadassa, jak i Żydowski Fundusz Narodowy oraz B'nai B'rith z ogromnym entuzjazmem przywitały Michoelsa i Fefera. Środki gromadzono na kolacjach wydawanych dla nich w Bostonie, Nowym Jorku, Pittsburghu i Detroit. Dokądkolwiek się udali, wszędzie Żydzi ochoczo otwierali portfele. Podczas spotkania w Chicago na scenę wdarło się tylu ludzi, że ta zawałała się Michoelsowi pod nogami. Pozostała część objazdu odbył o kulach.

Pod tą pianą ofiarności biło źródło szczerych uczuć, miarowy puls będący natchnieniem sowieckich pisarzy, którym od dekady albo i dłużej zabraniano mówić otwarcie o żydowskiej jedności czy żydowskim cierpieniu. Walka z faszyzmem rozluźniła nieco ich pęta lub też sprawiła, że proklamacje literatów stały się kwestią wojskowej konieczności. „Wychowałem się w rosyjskim mieście – pisał Ilja Erenburg, najznamienitszy dziennikarz tamtych czasów i nadworny Żyd samego Stalina. – Moim językiem ojczystym jest rosyjski. Jestem pisarzem rosyjskim. Podobnie jak wszyscy Rosjanie, bronię teraz mego kraju ojczystego. Ale naziści przypomnieli mi o czymś jeszcze: mojej matce było na imię Hannah. Jestem Żydem. Mówię to z dumą. Hitler nikogo bardziej niż nas nie nienawidzi i to napęłnia nas dumą”.

A co z Florence i Leonem? Czy byli niewrażliwi na siłę oddziaływania tych wyklętych niegdyś sentymentów? We Florence widok Leona, dniem i nocą tłumaczącego przekazywane im komunikaty, budził większe obawy niż zmiany zachodzące w jej własnym ciele. Żydowska tożsamość Leona dojrzewiała, przeobrażając go z urodzonego w czynszowej kamienicy i spragnionego wędrowni nomady w człowieka posiadającego pełną świadomość narodową. Wiele lat później Florence będzie się zastanawiać, czy to biblijne echa pobrzmiwające w poematach Markisza odpowiadały za potajemne wizyty jej męża w moskiewskiej Synagodze Chóralnej w wigilię Jom Kippur, czy to doniesienia o żydowskich żołnierzach bijących się dzielnie w Stalingradzie podsyciły jego kielkujące zainteresowanie działaniem odbiorników radiowych operujących na falach krótkich, dzięki którym mógł słuchać tajnych transmisji opisujących walkę o byt powstającego na pustyni państwa.

Ale wszystko to przyszłość. Na razie Florence kończy sprzątać papiery ze stołu i wyklada na wyszczerbione emaliowane talerze zdobyczną soloną rybę, kiełbasę i czarny chleb. Mężczyźni nie służą jej nawet drobną pomocą, pogrążeni w rozmowie na temat zwrotów sytuacji militarnej pod Kurskiem. O ile krwawy triumf pod Stalingradem był głównie zrzędzeniem pogody (tej samej bezlitosnej rosyjskiej zimy, która sto lat wcześniej zniweczyła wysiłki armii napoleońskiej), o tyle przeprowadzona tego lata ofensywa na froncie wschodnim była niezbitym dowodem determinacji Armii Czerwonej. Fala wojny zaczęła się cofać.

– Tylko patrzeć – powiedział Leon – a wszystkie te walki się skończą.

– Bzdury gadasz – zdenerwował się Seldon, zwijając skręta z taniej machorki, jedyne dostępne tytoniu. – Nic się nie skończy, dopóki alianci nie utworzą drugiego frontu w Europie. Będziemy im dostarczać mięso armatnie tak długo, aż wszyscy zginiemy albo padniemy z wyczerpania, a wtedy dziedzic Hyde Parku i ten pompatyczny właściciel dwóch podbródków wyślą nam w końcu łaskawie kilka batalionów. W idealnym momencie, by, deus ex machina, przypisać sobie wszystkie cholerne zasługi.

– Roosevelt chce wejść, czeka tylko na decyzję Churchilla.

– Moja ty łatwowna duszyczko. Te dwie ugrzecznione parowy uknuły to wspólnie. Pomogliby Rosji, gdyby wygrywały Niemcy. Ale wygrywa Rosja, więc pomogą Niemcom, siedząc z założonymi rękami, jak długo po obu stronach padać będzie możliwie dużo trupów.

Od ewakuacji do Kujbyszewa mieszkali i pracowali we troje, ręka w rękę, w tym maleńkim mieszkanku na poddaszu. Siedzieli i rozmawiali do późnej nocy. Przez ten ich układ mieszkaniowy Florence myślała o Seldonie jako o ich podopiecznym, chociaż częściej to Seldon ze swoją mieszanką jidysz i akcentu ze wschodniego Londynu wyglądał na ich opiekuna. Wgryzłszy się w jakiś temat, nie popuszczał; nie przestawał przy tym pomstować na Roosevelta i Churchilla nawet wówczas, gdy z głośników wyły syreny, obwieszczając porę gaszenia świateł.

Florence wygląda przez okno. Wszędzie wyłączane są światła, gaszone lampy gazowe, nawet papierosy. Klęka i wyciąga gruby, pomalowany na czarno papier, który trzymają za szafą. Stawia krzesło pod oknem i ostrożnie na nie wchodzi. Jej ruchy stają się ostrożniejsze i bardziej przemyślane, kiedy stając na palcach, zaczyna przylepiać papier do górnej części okna. W tym momencie ciągnąca się poniżej ulica jest już praktycznie niewidoczna, objęta kwarantanną ciemności mających chronić miasto przed niemieckimi nalotami bombowymi. Przez ostatnie dwa lata żyli w ciągłym zagrożeniu, a przecież przez większość tego czasu Florence była niewytłumaczalnie szczęśliwa. W gruncie rzeczy tak szczęśliwa, że trudno jej było przyznać się do tego przed samą sobą bez uklucia wstydu. Na całym froncie wschodnim giną ludzie, mordowani, jak mówiono, w kwiecie wieku. Rozdziela się żony i mężów, kochanki i kochanków. A tymczasem we Florence co rano na widok śpiącego obok niej (żywego!) Leona budzą się na nowo wdzięczność i wyrzuty sumienia. To jak cud. W całym kraju matki i żony otwierają koperty zawierające powiadomienia o śmierci. Essie, która została w Moskwie, dostała już pochoronkę. W liście poinformowała Florence, że jej młody mąż zginął podczas ataku na Rostów. Została wdową w wieku lat dwudziestu sześciu, a jej żałobę łagodził jedynie fakt, że „w takich czasach nie ma do wykarmienia żadnej osieroconej gęby”. I właśnie w chwili, w której Florence balansuje na drewnianym krześle, rozmyślając o swojej przyjaciółce, nagle to czuje: delikatny trzepot w odrobinę wzdętym balonie jej brzucha. Lecz tym razem to nie niestrawność po konserwie z amerykańskich dostaw, którą Leon przyniósł do domu kilka dni wcześniej (smakołyk ofiarowany przez Amerykanów, z wydrukowanym na puszcze słowem „mielonka”). To, co czuje, to na pewno nie zaburzenia gastryczne: machanie motyli skrzydeł, maleńki fikolek. Pierwszy raz daje o sobie znać nowe życie poddane kwarantannie we własnych ochronnych ciemnościach. Florence na moment traci równowagę.

Leon przyskakuje, słysząc trzeszczenie krzesła.

– Co ty tam robisz! Nie powinnaś się tym zajmować.

– Byłeś zbyt zajęty opracowywaniem naszej zwycięskiej strategii.

– Odłóż ten papier. Sam to przylepię.

– Słusznie – odzywa się Seldon. – Twoja kobieta wystarczająco długo jest na nogach. Chodź i napij się, Florie. Dziś świętujemy. Twój chłopak stał się mężczyzną. Prawie trzydzieści lat!

– Nastawię herbatę – mówi Florence.

– Starczy tej abstynencji. Odrobina samogonu cię nie zabije.

Leon mocuje do okna ostatni kawałek zrolowanego papieru i zerka na Florence, jakby prosił o pozwolenie. Florence pogodnie wzrusza ramionami.

– Seldon, Florie jest w ciąży.

Oczy Seldona robią się okrągłe i kierują się raz na jedno, raz na drugie z nich.

– Bujasz.

– Nie, to prawda.

– A niech mnie... Dziecko w drodze! Od dawna?

– Szósty miesiąc – mówi Florence niemal wstydliwie.

Na wojennych przydziałach niepokojąco zeszczuplała, ale tym razem, myśli sobie, nie będzie żadnych głupich aborcji. Dostała drugą szansę. To dziecko, kiedy się urodzi, jak Bóg da, będzie kochać i pielęgnować, póki jej życia starczy.

– No proszę – mówi Parker. – Tyle czasu trzymaliście swój mały sekret w tajemnicy przed wujkiem Seldonem.

Z zielonej butelki nalewa odrobinę samogonu do ich kieliszków nie do kompletu. Chyba zawsze ma niezawodne źródło zaopatrzenia, niezależnie od niedoborów wyczarowując bimber jakimiś własnymi tajemnymi kanałami.

– Odrobinka dla mamusi – mówi, nalewając kropelkę do herbaty Florence („spełnianie toastu wodą przynosi pecha”), po czym sięga po swój kieliszek. – Oby od dziś budził nas w środku nocy jedynie płacz dziecka.

Florence unosi przyjemnie ciężącą jej w dłoni filiżankę i wypija łyk.



Pogrzeb aktora odbył się pochmurnego styczniowego dnia; miał wspaniałą oprawę zarezerwowaną dla bohaterów państwowych. Na stacji Biełoruskaja żałobnicy obserwowali, jak wyniesiono trumnę przywiezioną pociągiem z Mińska. Ośnieżonymi ulicami Moskwy trumna przejechała w kawalkadzie błyszczących samochodów na otwarty dziedziniec Państwowego Teatru Żydowskiego, wokół którego zgromadziły się na ulicach tysiące ludzi chcących pożegnać zmarłego. Trumnę otwarto, jak było to w Rosji przyjęte. W środku, ułożony w satynowej pianie i obsypany kwiatami, leżał wielki Solomon Michoels, którego zniekształconą twarz umalowano teatralną szminką jak do ostatniej w tym życiu roli. Jego ciało znaleziono kilka dni wcześniej w zlodowaciałej zaspie w bocznej uliczce Mińska, dokąd Michoelsa wezwano, by zasiadł w jury oceniającym sztuki nominowane do Nagrody Stalinowskiej. Wszystko wskazywało na wypadek drogowy, którego kierowca zbiegł z miejsca zdarzenia. W ciało ofiary wciśnięta została kołami samochodu papierośnica ze szczerego złota, podarowana mu przez amerykańskich Żydów podczas objazdu Stanów Zjednoczonych, pamiątka jego propagandowej pracy.

Wiszące nad głowami zebranych kable telefoniczne opadły pod ciężarem lodu. Łzy zamarzały na policzkach, zanim je otarto. Wśród żałobników byli koledzy Michoelsa z teatru; żydowscy aktorzy z Mińska podążyli za złożonym w trumnie ciałem do Moskwy. Dwa wieczory wcześniej wystawali na zmianę pod pokojem hotelowym Michoelsa niczym delegowani do ochrony tajniacy, przeczuwając coś, czego sami nie potrafili wyjaśnić. Michoelsa wezwano do hotelowego telefonu. Rozmówca zaprosił go na daczę należącą do białoruskiego ministra bezpieczeństwa wewnętrznego. Kiedy przyjechała po niego taksówka, padał śnieg. W drodze na przedmieścia reflektory samochodu wyławiały z mroku miękko opadające płatki. Na daczy agenci przytrzymali Michoelsa za łysiejącą głowę i pobili do nieprzytomności. Zabrano go w ruiny starego mińskiego getta i przejechano ciężarówką. Śnieg padał aż do późnego rana.

Budynek teatru był zbyt mały, by pomieścić cały ten tłum, który wylał się na dziedziniec i okoliczne uliczki. W tym wielkim zgromadzeniu żałobników stali pisarze i członkowie Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. U stóp trumny stał triumwirat liryków piszących w jidysz: Markisz, Kwitko, Hofsztajn. Uzgodniono, że mowę wygłosi Markisz. Poeta wszedł na podwyższenie bez kapelusza. Włosy mu stały, sztywne i zmierzwiłone, jakby wyrażając targający nim gniew. Jego głos rozbrzmiał w lodowatym powietrzu jak dzwon.

Śnieg pokrył rany na twojej twarzy,

By cię nie tknęły mroczne cienie,

Ból płonie w twoich ciemnych oczach,

Rwie się z podeptanego serca.

Zgromadzonych przeszedł dreszcz. Wiersz był pierwszym podczas tej starannie zaaranżowanej ceremonii sygnałem, że śmierć Michoelsa nie była przypadkowa. Markisz czytał dalej z kartki, nie zwracając uwagi na tłum.

Stanę, o wieczności, u twych bram zbezczeszczonych,

Z piętnem mordu i bluźnierstwa na twarzy,

Gdy mój lud okrąży pięć szóstych ziemi,

Dając świadectwo topora i nienawiści.

Florence stała ściśnięta w ciżbie, czując napięcie przepływające przez ludzkie ciała niczym prąd. Jej rosyjski, choć całkiem niezły, nie pozwalał pojąć zaszyfrowanych w poezji jasnowidzeń. Próbowwała odczytać otaczające ją twarze. Obok Markisza stał aktor Benjamin Zuskin, który grał Błazna u boku Michoelsowskiego Leara. Ta dwójka stanowiła wspaniałą duet moskiewskiego teatru żydowskiego. W ostatnich dniach Zuskin zajął stanowisko Michoelsa jako przewodniczący Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, przeniesionego pod koniec wojny do Moskwy. Teraz zdawało się, że tą komiczną twarzą zawładnęła jakaś patologia. Awans na najwyższe stanowisko odebrał mu spokojny sen. Zuskin był przekonany, że nie dożyje 1949 roku.

Obok niego na podwyższeniu stał poeta Hofsztajn, który mieszkał w Palestynie, lecz wrócił do Kijowa przed wojną, by zaopiekować się dwoma synami po śmierci pierwszej żony. Był łysy jak kolano. Czarnymi oczyma wpatrywał się w dal przed sobą w takim napięciu, że wydawało się, jakby miał zeza.

Florence przeszło przez myśl, że wszyscy wyglądają jak bierki na szachownicy, pozostawione bez obrony po zabicu hetmana. Jedynym wyjątkiem był Sołomon Łozowski, szef Sowinformbiura, dla którego pracowała Florence. Ten stary rewolucjonista był towarzyszem Lenina. Miał siedemdziesiąt lat, lecz nadal imponował posturą. Pracował kiedyś jako kowal w mieście kolejowym Łozowa na Ukrainie, skąd wzięło się jego nazwisko. Teraz każdy oddech Łozowskiego pozostawiał szadź na jego łopatomatej brodzie. Oczy wydawały się ciskać biblijne gromy sądu ostatecznego wobec lekkomyślnego przeciągania przez Markisza struny ostrożności.

Florence i Essie stały obok siebie, trzymając się za okryte rękawiczkami dłonie. Leon i Seldon Parker jako oficjalni tłumacze Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego zajmowali miejsca bliżej trumny, wśród ważnych osobistości. Uroczystość zbliżała się do końca. Żałobnicy jeden po drugim zaczęli podchodzić do

trumny i przyciskać wargi do woskowego czoła zmarłego. Uwagę Florence przyciągnął teraz Seldon. Stał obok Olivii Bern, sekretarki Łozowskiego, kobiety w średnim wieku, która teraz szeptała mu coś do ucha. Błysnęły szkła jego okularów w druczianych oprawkach, kiedy Seldon wskazał palcem dach budynku teatru, na którym jakby całkiem znikąd zmaterializował się człowiek.

Mimo przejmującego zimna nie miał na sobie płaszcza. Koszula, rozchełstana na chudej piersi, trzepotała na wietrze. Jego jedynym ustępstwem na rzecz aury, co Florence dostrzegła, gdy uniósł trzymane w rękach skrzypce, były rękawiczki bez palców. A potem, znienacka, muzyka rozcięła stężałe powietrze tak, jakby przecinała belę tkaniny. Z każdą nową nutą, łącząc się w melodię, wydawała się wymazywać własny schemat. Skrzypek zdawał się grać bez wysiłku, pieśń żałobna pociągała go z wiatrem w tę i z powrotem. Florence czuła, jak melodia niebezpiecznie chwyta ją za przerażone serce. Poznała Michoelsa w Kujbyszewie, ale nie знаła dobrze tego wielkiego człowieka. Teraz przeżywała muzykę tak, jakby to była wążła pochodnia rzucająca światło na spiralne schody wąskiego szybu klatki schodowej, wznosząca się coraz wyżej, a mimo to rozświetlająca mroczną otchłań poniżej. W galerii postaci, w które wcielał się Michoels, znajdował się Tewje Mleczarz. Melodia grana przez skrzypka stała się nagle w uszach stojących poniżej ludzi odą do tamtej roli. I zdawało się wszystkim, że nie sposób wyrazić żałoby inaczej niż właśnie poprzez tę melodię.

Kondukt zaczął się powoli rozchodzić. Niektórzy poszli za trumną na miejsce pochówku, inni ruszyli do domów. Skrzypek, kimkolwiek był, grał swoje dziwne requiem do późnego wieczora, jeszcze długo po odejściu ostatnich żałobników.

Przez cały dzień stali na mrozie. Teraz wszyscy czworo próbowali rozgrzać przemarznięte ciała koniakiem i mocną herbatą w pokoju Leona i Florence. Na czarnej szybie rozpryskiwał się lodowaty deszcz i ani Essie, ani Seldonowi nie spieszyło się do wyjścia.

– Nie uważasz, że to było równie imponujące jak pogrzeb Kirowa? – zapytała Essie, zwracając się do Florence lekkim tonem, który miał podnieść wszystkich na duchu. Rozwalony w starym fotelu Seldon pociągnął sobie zdrowo koniaku i skrzywił się nieznacznie, tak że Essie nie mogła tego dostrzec. – No, może nie był aż tak wystawny jak Kirowa – ciągnęła – ale na pewno równie wspaniały jak pogrzeb Gorkiego.

– Imponujący, wspaniały, wystawny – wyrecytował Seldon. – Pogrzeby są dla Rosjan tym, czym karnawał dla Portugalczyków.

– No, wydawało mi się, że atmosfera była raczej ponura. Nie było w niej nic radosnego – zauważyła Essie.

Seldon obrócił się do niej.

– Wiesz, jaka jest definicja karnawału, Essie?

Leon, który wpatrywał się w przestrzeń, spojrział na Seldona ostrzegawczo. Essie nie odpowiedziała.

– To rytuał usankcjonowanego absurdu – ciągnął. – Na czas jego trwania zawieszają się obowiązujące na co dzień zasady, by każdy mógł sobie przejściowo pofolgować, udając, że wszystko wygląda inaczej niż w rzeczywistości. Głos Seldona był ciężki i ochryply od alkoholu.

– Essie, może byś poszła i zabrała Julika z pokoju cioci Duni – zaproponowała Florence. – Nie powinnam mu pozwalać na takie wieczorne drzemki.

– Tak, zrobiło się późno. Będę uciekał – powiedział Seldon, lecz nie zrobił żadnego ruchu, by wstać z krzesła.

Czteroletni Julik nie spał. Ubrany w rajtuzy siedział na łóżku z podwiniętymi nóżkami i bawił się jakimiś pozbieranymi guzikami i innymi drobiazgami przechowywanymi w przerdzewiałej puszcze. Na widok matki porzucił to zajęcie, zeskoczył z łóżka i rzucił się jej w ramiona. Złapała go, uniosła i oparła sobie na biodrze.

– Miło spędziłeś dzień z ciocią Dunią, kurczaczku?

Chłopiec nie odpowiedział. Przypatrywał się Florence, jakby chcąc się upewnić, że obecność matki jest rzeczywista.

– Poszliśmy na plac zabaw, a teraz pomaga mi zrobić porządki w zestawie do szycia – powiedziała ciocia Dunia, która nie była niczyją ciocią. Awdotia Grigoriewna służyła u pierwotnych właścicieli mieszkania, zanim ci uciekli do Paryża. Zdołała przywłaszczyć sobie i wstawić do pokoju część ich co lepszego umeblowania, w tym toaletkę z lustrem, szafę z różanego drewna i kunsztownie zdobiony zegar z kukułką w kształcie domku, a wszystko to utrzymywała w tak nienagannym stanie jak wówczas, gdy była służącą. Załatwiła sobie zaświadczenie o niepełnosprawności i teraz cieszyła się oficjalnym statusem inwalidki. Jej renta była jednak niewielka, a w pokoju, mimo obecności wartościowych przedmiotów, zawsze unosił się zapach stęchlizny, być może ze względu na to, że wszystkie ubrania i cała bielizna cioci Duni pochodziły z tego samego okresu co meble. Kobieta wiązała koniec z końcem, opiekując się małymi dziećmi z kamienicy w godzinach pracy ich rodziców.

– Buziak dla cioci Essie?

Chłopiec popatrzył na Essie, ale uczeplił się szyi matki jak mała małpka.

– Jadł coś?

– Był smakowity kapuśniak, ale zjadł tylko pół talerza.

– Tam była gotowana cebula – odezwał się wreszcie chłopiec.

W korytarzu Julik przyglądał się ceniom rzucanym na podłogę przez ruchome sylwetki Essie i Florence. Ciągnął matkę za rękę, próbując zaprowadzić ją z powrotem do ich pokoju, podczas gdy przyjaciółka trzymała ją za drugi nadgarstek, ciągnąc w przeciwnym kierunku. Mówiły przyciszonym, konfidencjonalnym tonem:

– Uda ci się zdobyć więcej czasopism?

– Essie, ciszej.

– Och, tu nikogo nie ma. Minęło już tyle miesięcy. Tęsknię za naszymi wieczorkami czytelniczymi.

– Ja też, ale w pracy wprowadzili obostrzenia, nawet w przypadku starych numerów. Żeby je wynieść, musiałabym zostać do późna, aż wszyscy sobie pójdą.

– Zrób to tak jak wcześniej. Wsuń je do „Prawdy” i wciśnij pod płaszcz. Właściwie mam w nosie, czy to, co przyniesiesz, będzie po angielsku, czy nie, byle miało jakieś zdjęcia.

Chłopiec mocniej pociągnął matkę za rękę, ale nie zwróciła na niego uwagi.

– Coś jeszcze?

– Nie. No dobra, tak. – Essie się zawahała. – Chciałam cię zapytać o Seldona...

– Naszego Seldona?

– Powiedz mi, czy on... kogoś ma?

– Ale o co pytasz?

– O kobietę.

– Och. Jeśli ma, to nam o tym nie powiedział.

– Po prostu... Widziałam, jak rozmawiał z Olivią Bern, sekretarką Łozowskiego, po pogrzebie. Długo stali obok siebie.

Florence uśmiechnęła się odruchowo. Znała Bern z Kujbyszewa. Szwajcarska emigrantka, która przyjechała do Rosji w latach dwudziestych. Jako sekretarka szefa Sowinformbiura była ponura i kostyczna, dyspozycje wydawała szczekliwym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. Jedną z tych bolszewickich starych panien poślubionych pracy.

– Olivia jest od niego dobre piętnaście lat starsza. Z tego, co mi wiadomo, są zaprzyjaźnieni.

– Masz rację. Jest taka pospolita i nieatrakcyjna. Nie wiem, dlaczego o nią zapytałam... Proszę, nie wspominaj mu o tym.

– Essie... I tak bym nie wspomniała.

– Wiem, nie puściłabyś pary z ust.

– Zobaczymy się jutro, skarbie.

W kuchni Florence zagrzała trochę wody na piecu i naląła do balii z blachy ocynkowanej. Zniosła balię do pokoju i znalazła w szafie wykrochmaloną płócienną ściereczkę. Leon trzymał Julika na kolanach, a Seldon siedział w starym fotelu z nogą założoną na nogę, dokładnie tam, gdzie go zostawiła.

– Jeśli chcieli, żeby zginął, to po co ten uroczysty pogrzeb? – zapytał Leon.

– A bo to pierwszy raz tak?

– Wypadki chodzą po ludziach.

– Tylko czy on był jakimś starym pijusem, żeby się szlajać po nocy i zamarznąć w zaspie? Chcieli go sprzątnąć.

– Ale po co?

Dłonie Seldona zwisły z podłokietników, jakby ktoś mu przeciął ścięgna. Był smukłym, wiotkim mężczyzną. Florence z powodów nie do końca dla niej samej zrozumiałych wydało się zabawne i zdumiewające, że Essie tak nagle się nim zainteresowała. W pokoju jej przyjaciółki wisiało nad łóżkiem powiększone zdjęcie portretowe nieżyjącego młodego człowieka, który przez krótki czas był jej mężem. Rogi ramki ozdabiały sztuczne lilie. Essie i młody człowiek byli małżeństwem przez dwadzieścia trzy miesiące, przy czym większość tego czasu spędzili oddzielnie, ale Essie tak gorliwie pogrzażyła się w żałobie, że wciąż mówiła o „swoim Miszy” z takim drzeniem w głosie, jakby kochali się od dzieciństwa. Każda wdowa ma jednak prawo do żałoby, a Florence, pomna własnych błogosławieństw, milczała za każdym razem, gdy Essie zaczynała rozpamiętywać swój smutek. Czyżby jej nieśmiałe zainteresowanie Seldonem

oznaczało pozytywną zmianę? Parker nie był może pełnym fantazji oficerem, ale na wojnie poległo tylu, że kawalerów do wzięcia zostało jak na lekarstwo. A jednak Florence poczuła mimowolnie, że tym razem uczucia... jak by to powiedzieć... zbłądziły na manowce, choćby dlatego, że Seldon nigdy nie okazał zainteresowania Essie, jeśli nie liczyć wyrafinowanej ironii, z jaką często się do niej odnosił. Florence wyjęła Julika z objęć męża.

– Do góry rączki – powiedziała, po czym zdjęła mu koszulkę przez głowę. Przyklękła i zsunęła mu z nówek prążkowane wełniane rajtuzy.

– Nie wiem. Myślę, że coś się tu gotuje – mruknął Seldon.

– W komitecie czy w całym aparacie?

– Wszystkie te zmiany kadrowe... Ta idiotka, którą mianowali redaktorką działu. Przygotowywaliśmy serię „Wielkie wynalazki”. Głównie wyimki z encyklopedii z poprzedniej epoki. Dopuszciliem do tego, że zbitka „dynamit Nobla” przeszła przez sito kontroli merytorycznej, a ta naskoczyła na mnie jak wściekła. Czy ja nie wiem, że Nobel nie miał nic wspólnego z dynamitem? Ukradł patent Zinina i Pietruszewskiego!

Florence wsadziła Julika do balii i zaczęła go kapać, czerpiąc wodę kubkiem i wylewając ją, jakby to były strugi deszczu, na jego blade ramionka. Kierunek tej rozmowy wprowadził ją w coraz większe zakłopotanie.

– Powiedziałem jej, że nie jestem pisarzem i po prostu tłumaczę to, co dostaję. A ta mi na to, że wszyscy musimy być czujni i wyłapywać nieścisłości. Nieścisłości, nieprawidłowe interpretacje i odchylenia ideologiczne.

Leon nie dostrzegł niezadowolenia Florence i pozwolił sobie na śmiech.

– Szczęście, że nie opracowywałeś wpisu o lampie żarowej Edisona, bo oskarżyłaby cię o szkalowanie imienia Władimira Iljicza Lenina, wynalazcy żarówki Lenina.

Florence poleciła synkowi wyjść z balii i wytarła go kuchenną ścierką. Całkowite zaufanie, jakim Leon darzył Seldona, wydało jej się nierozważne i niepokojące. Nawet w obecności najbliższych przyjaciół tego rodzaju żarty były nieroztropnością.

– Seldon, już późno – przypomniała gościowi. – Musimy położyć Julika spać.

– Ja też jestem kompletnie wykończony. Chodź tu do mnie – powiedział Seldon, zwracając się do chłopca ubranego już w czystą nocną koszulkę. – Mam coś dla ciebie.

Julik podszedł i Seldon wziął go na kolano, po czym wyjął dwa ostatnie papierosy z paczki kazbeków i wręczył chłopcu puste opakowanie.

– Nowy ogier dla ciebie – powiedział, kiedy Julik przypatrywał się obrazkowi przedstawiającemu konia i jeźdźca.

– Wytniemy to jutro – powiedział Leon. – Będiesz mógł go dodać do swojej stajni. Co się mówi?

– Dziękuję.

Seldon potargał chłopcu włosy i wstał.

– Dziękuję ci, Florie, za napitki.

Skinęła głową, kiedy Leon odprowadzał Seldona do drzwi.

– Dobrej nocy, rodzinie – powiedział. – Spokojnych snów.

W sumie, pomyślała Florence, cała ta wojna i jej ostateczny rezultat poprawiły ich położenie. Po powrocie z malutkim synkiem do Moskwy oboje nadal pracowali dla Sowinformbiura, agencji prasowej, która przeniosła się w czasach pokoju do stanowiących istny labirynt rozległych nowych biur przy Zaułku Leontjewskim. Florence, podobnie jak Leon, pełniła obowiązki tłumacza. Jej praca polegała obecnie na przeglądaniu wybranych amerykańskich czasopism pod kątem wiadomości, które można byłoby wykorzystać w nieco zmienionej formie w prasie radzieckiej. Ledwie zerknąwszy do amerykańskiej gazety, potrafiła wyłowić historię o uniewinnieniu w Karolinie Południowej tłumy, który dopuścił się samosądu, po czym zrobić z niej artykuł na rozkładówkę, dowodzący korupcji amerykańskiego systemu sprawiedliwości. Albo przepisać reportaż na temat wybuchu w kopalni węgla w Centralii w stanie Illinois, który ilustrował lekceważenie właścicieli kopalni wobec uciskanej klasy robotniczej. Nie wystarczyło tej historii tak po prostu przetłumaczyć. Należało ją przetłumaczyć tak, by dać właściwy obraz wydarzeń. Krótką informację o tym, że producent samochodów zaoferował posiadaczom swoich pojazdów wymianę zużytych felg na nowe, można było omówić w sposób sugerujący, że amerykańskie przedsiębiorstwa kapitalistyczne regularnie wciskają klientom marnej jakości niebezpieczne produkty, a zmuszone są wymieniać je tylko wtedy, gdy ich nadużycia zostaną ujawnione. Nawet historie o katastrofach naturalnych w rodzaju tornada, które zmiotło osiemdziesiąt domów w Woodward w stanie Oklahoma, można było przerobić na taką modłę, by podkreślić niską wytrzymałość domów wznoszonych przez skąpiących na wszystkim kapitalistów, których nie obchodziło nic z wyjątkiem wszechmocnych dolarów.

Florence znakomicie się nadawała do takich interpretacyjnych czarów. Jej naturalny talent do piętnowania mniejszych i większych przejawów niesprawiedliwości, skazujący ją w szkole na niezrozumienie ze strony nauczycieli i kolegów, znalazł wreszcie idealne ujście. Krytyczne naświetlenie doniesień z Zachodu nie wymagało od Florence większej mentalnej gimnastyki niż godzenie własnej codzienności z utopią, którą miała ją radziecka prasa. Pod tym względem nie różniła się niczym od swoich współpracowników. Dziennikarze i tłumacze czytający i omawiający w odizolowanych gabinetach Sowinformbiura doniesienia z zagranicy, dla pozostałej części ludności niedostępne i zakazane, traktowali je jako w pełni wiarygodne, wiedząc jednocześnie, że doniesienia sowieckiej prasy o obfitych zbiorach, hucznie fetowanych rocznicach, jednomyślnym poparciu, nieprzerwanym osiągnięciach klasy robotniczej i przestępstwach imperialistów są zmyślane. Utrzymywanie tej fikcji było koniecznością, która pozwalała człowiekowi wykonywać jego zadania, nie czyniąc zeń wroga narodu.

Praktyczne korzyści wynikające z tej pracy dla Florence i Leona obejmowały – poza dostępem do rozlicznych lektur – większy pokój w lepszym mieszkaniu bliżej centrum. Korzystając ze służbowych dojazdów, Florence udało się pomóc owdowiałej Essie w przehandlowaniu jej podwójnego pokoju i przeniesieniu się do wolnego lokum na końcu ich korytarza. Pomoc ta nie wypływała z pobudek czysto altruistycznych. Florence wciąż prześladowało wspomnienie niewygody mieszkania w komunalce, w której nie miała żadnych sprzymierzeńców. Teraz na drugim końcu korytarza miała przyjaciółkę,

która była dla niej jak siostra. Przyjaciółkę, która w wybuchających w mieszkaniu sporach i dysputach mogła wziąć jej stronę.

Jako młoda kobieta aż cierpła na myśl o takim braku prywatności, lecz jako matka odkryła korzyści płynące z posiadania na podorędziu sąsiadki mogącej zerknąć na Juliana. Macierzyństwo przeorganizowało jej życie i pomogło wyrzucić z pamięci resztki tęsknoty za domem. Oczywiście żałowała, że jej rodzice nie mogą poznać wnuka, ale od przyjscia Juliana na świat zaczęła postrzegać życie jako coś niezależnego od okoliczności zewnętrznych. Odradzało się raz za razem i raz za razem ślepiło na śmierć i przeszłe zniszczenia. Co ranka wpatrywała się w drobną buzię syna i zdumiewała tą czujną, żywą inteligencją, jaką w niej dostrzegała, tym bezbrzeżnym, często maniakałnym zachwytem nad światem postrzeganym zmysłami: piosenką wymyśloną przez ojca, przypadkowym skojarzeniem słów, smakiem cukierków sezamowych.

I tak to ze względu na syna postanowiła zaakceptować wszystko takim, jakie było. Nie chciała wspominać przedwojennej rozpacz, wyczerpania nerwowego, szalonych i nierozważnych prób ucieczki. Doznała objawienia: tajemnicą życia okazało się po prostu zapomnienie. Poza tym wojna się skończyła. W kraju zapanował pokój, również wewnętrzny. Wydawało się, że niezmiernie wojenne żniwo zaspokoilo wreszcie wściekły apetyt Rosji na własną krew.

Tęsknota za domem nie przeszywała jej już przejmującym bólem, lecz jedynie kłuła lekko i z czasem pozwalała o sobie zapomnieć. Siedząc przy biurku w Sowinformbiurze i prześlizgując się spojrzeniem po nagłówkach z Cleveland czy Nowego Jorku, Florence mogła sobie ostrożnie pozwolić na to, by wezbrała w niej odrobina dawnego sentymentu, na tyle jednak niewielka, by w miarę tłumaczenia niekończącego się rejestru niesprawiedliwości przypominała sobie, że wyjeżdżając, postąpiła słusznie. Tylko czasem dawała Ameryce nieograniczony dostęp do własnej świadomości – wtedy, gdy wspólnie z Essie, w zaciszu jej pokoju, kartkowały lśniące zagraniczne czasopisma, które udało jej się cichcem wynieść z biura.

Od czasu do czasu wymieniali się wśród tłumaczy numerami magazynów „Time”, „Newsweek” i „Life”. Obowiązywały ścisłe procedury, wymagające wypożyczenia czasopisma na konkretne biurko, ale Florence odkryła, że jeśli jedno z czasopism trafiło do tłumacza przez inne biurko i jeśli numer nie był z tych najbardziej aktualnych, to jego zniknięcie na noc, a czasem i na cały dzień, nie powodowało szczególnej podejrzliwości bibliotekarzy odpowiedzialnych za zasób prasy. I choć nikt się nie przyznawał, Florence była pewna, że nie ona jedna od czasu do czasu opuszcza siedzibę Sowinformbiura z amerykańskim czasopismem ukrytym w zaczytanej „Prawdzie”.

Posiedzenia z Essie nabrały cech rytuału. Kiedy Julik leżał już opatulony w kocyk, Florence zabierała zasłonięty papierem gazetowym magazyn na drugą stronę korytarza, do pokoju Essie, która spodziewając się lektury, przygotowywała zawczasu czajniczek z herbatą i talerzyk wafelków, jedyny smakołyk, na jaki mogły sobie pozwolić, nie ryzykując zaplamienia cieniutkich stron magazynu.

Któregoś wieczoru, parę miesięcy po pogrzebie Michoelsa, po kilku tygodniach czujnego wypatrywania, Florence udało się zdobyć najnowszy numer „Newsweeka”, ze zdjęciem młodych radzieckich żołnierzy na okładce i przecinającym je alarmującym

nagłówkiem: „Czy Armia Czerwona najedzie Europę?”. Essie zakrzętnęła się wokół herbaty, a Florence usiadła przy małym stoliku służącym przyjaciółce za toaletkę i zaczęła kartkować numer. Zgodnie z niepisaną umową miała prawo jako pierwsza zapoznać się z tym, co przyniosła. Część rogów była już wystrzępiona i pozaginana. Kilka stron starannie wydarto, co nie pozwalało się zapoznać z najbardziej nieprawomyślnymi, jak można się było domyślić, materiałami. Ale na stronie, którą Florence miała tuż przed sobą, widniała karykatura wąsatego Stalina trzymającego w ręku śrutówkę i próbującego zestrzelić żurawie niosące obłożonym berlińczykom torby jedzenia z napisem „Plan Marshalla”. Mężczyzna, którego wszyscy przysięgli kochać i bać się, został tu przedstawiony jako błazen, niechluj i mściwy kłusownik. Florence wydarła stronę i wetknęła ją do kieszeni fartucha. Nie chciała oglądać karykatury w czyjejś obecności, nawet gdyby miała to być Essie. Rysunek miał jej przypominać o ryzyku, jakie podejmowała, przemycając do domu czasopisma i pokazując je innym.

– Starczy tego monopolu – powiedziała Essie, przysuwając się z krzesłem do Florence. Brzegiem bluzki przetarła soczewki rogowych okularów. – O święci anieli, a to co?

– Napisali, że to pralka automatyczna Westinghouse.

– Z tym okienkiem wygląda trochę jak szafa grająca. Gdzie to się wstawia, u licha?

Do kuchni?

– Chyba tak.

Essie przesunęła opuszkami palców po szerokiej, błyszczącej stronie. Poprawiła okulary, które powiększały jej blade oczy i sprawiały, że wszystko, na co patrzyła, wydawało się wzbudzać jej zachwyty i zdumienie.

Fakty nie wymagały komentarza: to nie tekstów kobiety były spragnione, lecz reklam. To tutaj, między „poważnymi” artykułami, znajdowały najwymyślniejsze wynalazki wszelkiej maści: szybkowary, w których potrawy nigdy się nie przypalały, lodówko-zamrażarki, w których jedzenie zachowywało świeżość od czerwca do października, i piekarniki elektryczne pozwalające upiec piętnastokilowego indyka. Odkurzacze do zasłon i tostery, które lśniły tak, że można było się w nich przejrzeć. Przeglądając kolorowe ilustracje Florence uzmysłowiła sobie, że oto stoi w obliczu narodzin nowej ery, w której pomysłowość techniczna wypracowana podczas wojny ma teraz służyć jednemu tylko celowi: ulżeniu gospodyniom domowym i realizacji projektu ponownego ich udomowienia w skali całego kraju. Współczesne kuchnie, lakierowane na wysoki połysk, ilustrowały życie, które stało się jej w pamięci jak żywe, znajome, a jednocześnie zupełnie niewiarygodne: wspaniały, skąpany w słońcu sen o przyszłości.

– Zobacz, jakie teraz noszą sukienki: z kokardą na plecach. I to tak zwyczajnie po domu?

– Och, Essie, nie sądzę, by ktokolwiek zmywał naczynia w takiej sukience, tutaj czy w Stanach.

– Nie pogardziłabym choćby własnym zlewem, w którym mogłabym uprać bieliznę, że o tych urządzeniach nie wspomnę. A taki stoliczek na telefon zamiast potwora, który zawsze dzwoni mi tuż za drzwiami? Wiesz przecież, że jestem jedyną osobą, która go odbiera, bo nie mogę znieść, że tak ciągle brzęczy.

- Wolałabyś siedem telefonów dzwoniących w siedmiu pokojach?
- Przynajmniej od czasu do czasu ktoś by je odbierał.

Florence zauważyła, że Essie przy każdym ich spotkaniu zaczynała z przyzwyczajenia narzekać, komentując bezradnie wszystko, cokolwiek wpadło jej do głowy. Za drzwiami pokoju Essie taka niefrasobliwość miałaby niebezpieczne konsekwencje, ale w jakiś przedziwny sposób potok jej skarg na sowiecką rzeczywistość był jedyną właściwą reakcją na wspólne oglądanie czasopism. Doprowadziły ten schemat do perfekcji: kiedy podrażniona argumentami Florence bez przekonania broniła ich codziennego życia, Essie wytaczała cięższe działa. Pewnie, na Nowy Rok dostały dotowany kawior i szampana. Ale komu potrzebne tanie delikatesy arystokracji przez jeden dzień w roku, skoro przez pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery nie sposób dostać świeżego mięsa czy sera? Ani ryby, która nie śmierdziałaby tak, jakby ją kilkakrotnie zamrażano i rozmrażano? Albo kiedy nie można umówić się na wizytę u laryngologa, nie przekupiwszy pielęgniarki? Dlatego Florence pozwalała Essie mówić, wylewać z siebie wszystko to, o czym sama też myślała, ale nie chciała mówić.

Gdyby Florence wciąż była w kontakcie z kapitanem Subotinem, być może zbeształaby przyjaciółkę za to, że ta każe jej słuchać tego przeklętego antysowieckiego gadania. W końcu był to właśnie ten rodzaj wymiany zdań, o którym tajna policja chciałaby się dowiedzieć, i z pewnością ukarałaby Florence za jej ukrywanie. A gdyby Florence zachowała ją w sekrecie, czy mogłaby mieć gwarancję, że samej Essie nie zwerbowano by któregoś dnia i nie zmuszono do opisanie ich rozmów? Takie to właśnie zagrożenia wiązały się z przynależnością do jakiegokolwiek grupy liczącej więcej niż jedną osobę. Ale i Essie musiała być przecież świadoma tych niebezpieczeństw. Florence uprzytomniła sobie, że jej przyjaciółka ofiarowywała jej własną szczerość jako swego rodzaju zadatek zaufania w zamian za ryzyko podejmowane przez Florence, szmuglującą zakazany łup z objętych kwarantanną gabinetów Sowinformbiura. Podobnie Florence świadoma była tego, że samotne studiowanie tych magazynów nie sprawiłoby jej szczególnej przyjemności. Tylko osoba Essie oddzielała ją od gorzkiej rozpacz, która ogarniała ją za każdym razem, gdy zaczynała przeglądać te strony. Diaboliczny paradoks jej życia polegał na tym, że motorem jej ucieczki ze Stanów była ambicja uniknięcia niewoli obowiązków domowych. A tymczasem jako trzydziestoosmiolatka, po całym dniu pracy, którą wykonywała na równi z mężczyznami, zaznawała wyzwolenia w postaci wieczorów spędzanych na przepychaniu się łokciami w kolejkach po jedzenie, kłótniach z sąsiadami o każdy centymetr kwadratowy półek w szafkach i praniu bielizny dziecka na starej tarze we wspólnej wannie. Rankiem trzeba było czekać przed wspólną toaletą, by opróżnić nocnik. Wszystkie jej talerze i półmiski były wyszczerbione. Czuli się porzucona przez Amerykę i wściekła na samą siebie za nostalgię, która ścisnęła jej serce. I nie potrafiła oderwać wzroku od tych zdjęć.

Ucieszyła się, kiedy Essie zmieniła temat.

– Myślisz, że Seldon by zauważył, gdybym włożyła taką sukienkę z rozcięciem na udzie?

Znów Seldon. Florence bawiło to, jak bardzo Essie chciała przyciągnąć jego uwagę.

– Skarbie, nie liczyłabym na jego spostrzegawczość, choćby to rozcięcie sięgało

talii.

Oczy Essie napotkały spojrzenie Florence w lustrze toaletki.

– Dlaczego tak mówisz? To raczej okrutne, co powiedziałaś.

Florence spuściła wzrok, zagłębiając się w czasopismo.

– Essie, nie wymuszaj komplementów. Wiesz, że jesteś urocza bez żadnych frymuśnych łaszków.

– No to co chciałaś mi w ten sposób powiedzieć?

– Och, sama nie wiem. Seldon to dziwak. Może jeszcze herbaty?

– Czasem wydaje mi się, że on ma o mnie zupełnie mylne wyobrażenie.

– To znaczy?

– Że jestem głupia albo jakaś niepoważna. A to tylko dlatego, że trochę się przy nim denerwuję. A on jakby ciągle mnie sprawdzał, żeby się przekonać, czy załapię dowcip.

– Nigdy nie słyszałam, żeby mówił o tobie cokolwiek w tym rodzaju.

– No i widzisz, na tym polega cały kłopot. Przez większość czasu w ogóle mnie nie zauważa. Mogłabyś pomóc mi to zmienić.

– Jak?

Essie się uśmiechnęła.

– Częściej mnie zapraszając, kiedy przychodzi.

– To do Leona przychodzi, nie do mnie.

– Mimo wszystko, zważywszy na okoliczności – powiedziała Essie, skromnie odwracając wzrok – byłoby miło z twojej strony.

Mówiąc o okolicznościach, Essie miała na myśli to, co robiła dla małego Julika – przecież pod nieobecność Florence pilnowała go i odgrzewała mu posiłki. Poprawiała okulary i przewróciła stronę na reklamę sztucców, której hasło brzmiało: „Najszczęśliwsze panny młode mają swoją społeczność”.

– Dobrze.

– Dziękuję ci – odparła Essie, nie podnosząc wzroku.

Później Florence zastanawiała się, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby bardziej się przyłożyła do spełnienia prośby Essie. Obraz ich dwóch, przewracających strony „Newsweeka”, stawał jej przed oczami jak żywy niczym ostatnie jasne wspomnienie przed atakiem bezlitosnej choroby, która zmieniła wszystko w malaryczną halucynację. Dopiero z perspektywy czasu Florence dostrzegła w życzeniu Essie nie tyle wyraz namiętności do Seldona Parkera, ile tęsknotę za tym, by znów wtulić się w ciepłą bliskość Florence, zostać zaproszoną do ich małego zżytego tria.

Kiedy przypominała sobie tygodnie tego lata i jesieni, tygodnie, które przeleciały tak szybko, że zdawały się śliskimi liśćmi opadającymi i szeleszczącymi pod stopami, jedyną częścią tej historii, którą Florence potrafiła sobie jasno przypomnieć, był sam jej początek, stanowiący jednocześnie opowieść o radiu: prawdziwym, choć utajonym czwartym członku ich kwartetu.

Leonowi całą zimę i część wiosny 1948 roku zajęło zgromadzenie części koniecznych do zbudowania odbiornika. Trudno było upolować elementy pozwalające odbierać na falach krótkich, całymi miesiącami włóczył się więc po rozstawionych na

obrzeżach miejskich bazarów stoiskach z elektryką, aż wreszcie zgromadził wszystko, co było mu potrzebne. I wtedy, ku zdumieniu Florence, wykorzystał swoją zdolność uczenia się do opanowania całkowicie nowego zestawu umiejętności, obejmujących logikę obwodów, pentod i przetworników oraz niezliczone szczegóły mechaniczne, o których godzinami dyskutował z Parkerem. Z kawałka drutu i zaizolowanego kabla zмайstrował kondensator dostrojczy anteny, a z części starego radioodbiornika przetwornik, który umożliwił przestawienie ich radia, przeznaczonego pierwotnie do odbioru na falach długich, na odbiór znacznie większej liczby stacji nadających na falach krótkich. Wszystkie te urządzenia zestawione razem przypominały tort, miniaturowe Centrum Rockefellera składające się z odbiornika, przetwornika i wzmacniacza. Po ukończeniu pracy częstotliwość wizyt Seldona jeszcze wzrosła, a we wspomnieniach Florence ciągnące się do późnej nocy wieczory stały się litą ścianą białego szumu, trzeszczenia i syku, zakłócanych sygnałów i nieczęstych nagród za cierpliwość: wysokich, nosowych głosek BBC English lub kontynentalnego zaciągania Głosu Ameryki.

A potem przyszedł 14 maja i ich już wcześniej rozgorączkowane spotkania wokół radioodbiornika zyskały nowy odcień radosnego zaabsorbowania. Dla Leona i Seldona wszystkie skrawki informacji dochodzących z Europy i Ameryki stały się nieistotne wobec doniosłości izraelskich postępów w walce z nieprzyjaciółmi: Egipcjanami na pustyni Negew i Syryjczykami w Galilei. Przez wiele tygodni Florence słuchała, jak jej mąż mówi o przejściu Nazaretu, o strategicznym znaczeniu Beer Szewy – miejsc, których nazw nie słyszała, odkąd jej młodszy brat Sidney poznawał historie biblijne podczas przygotowań do bar micwy.

Któregoś gorącego lipcowego wieczoru, kiedy niebo było jeszcze jasne jak w południe, siedziała przy otwartym oknie i obrębiała serwetę, a z gumowych wojskowych słuchawek, które Leon lubił przykładac do jednego ucha, gdy próbował złapać sygnał, dobiegały ją ledwie dosłyszalne urywki dźwięków. Z korytarza dochodziły piski i zgrzyty nowego rowerku Julika, który jeździł nim po parkiecie z synkiem sąsiadów, Jaszą. Florence poczuła narastający w skroni ból głowy.

– Próbuja zgałszać – powiedział Leon smętnie.

– Jasna cholera, a już przed chwilą złapaliśmy! – wybuchnął Seldon, po czym poklepał Leona w ramię. – Teraz ważne, by nie dopuścić, żeby Stare Miasto wpadło w ręce Arabów. Odbijemy je, prawda, Florie?

My. Nam. W egocentryczne zazwyczaj wypowiedzi Seldona wkradało się niepokojące poczucie wspólnoty, tak jakby razem z Leonem wypierali ze swojego domu najpierw Brytyjczyków, a potem Arabów. Zawiązała supełek.

– Ale co, żeby mogli zginać, broniać kilku świątynek? – powiedziała, po czym odgryzła nitkę zębami.

Leon odłożył słuchawki i spojrzał na żonę.

– Mówimy o Starym Mieście Jerozolimy. Pomijając to, co te słowa mogą dla ciebie oznaczać lub nie, jest to miejsce o kluczowym znaczeniu strategicznym.

Złożyła serwetę i wstała.

– Niektórzy z nas mają również tutaj sprawy o kluczowym znaczeniu strategicznym, na przykład zacerowanie twojej pościeli albo przygotowanie obiadu dla

naszego dziecka.

Podeszła do drzwi.

– Jak idziesz do kuchni, skarbie, to wstaw wodę na herbatę, dobrze? – powiedział Seldon.

Nie odpowiedziała.

– Ścisz – rzuciła do Leona.

Ona też się ucieszyła, kiedy Związek Radziecki zagłosował na forum ONZ za niezależnym państwem żydowskim, nie oznaczało to jednak, że jej entuzjazm przeważał nad zdrowym rozsądkiem. Tamci Żydzi nie byli naszymi Żydami.

Każdego wieczoru po kolacji otwierała „Prawdę”, by czytać o tych naszych. Kompozytorach, krytykach, reżyserach, którzy porzucili obowiązki wobec ludu lub „zinfiltrowali” sowieckie teatry, czasopisma branżowe i uczelnie w celu zahamowania postępów sowieckiego dramatu, literatury i sztuki. Wydawało się, że nie istnieje żaden wspólny trop, estetyczny czy ideologiczny, łączący tych, którzy zostali zdemaskowani. Tylko zarzut „nacjonalizmu” i nazwiska układające się w niepokojący ciąg: Abramow, Adler, Kałmanowicz, Pinsker, Segal. Żeby nie było żadnych wątpliwości, oryginalne nazwisko drukowano w nawiasie po przybranym: Gankin (Kagan), Lisow (Lifszyc), Bonderenko (Berdyczewski). W Sowinformbiurze nie było nikogo, kto nie zwróciłby uwagi na ten nowy prąd. Wydawane w jidysz czasopismo Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, „Ejnikajt”, zostało zamknięte. Szydł komitetu usunięto znad wejścia do biura.

W szerokim korytarzu Julik razem z tęgim Jaszą Gendlerem jeździli w kółko na nowym rowerku Juliana. A raczej Jasza naciskał pedały, a syn Florence ścigał go pieszo.

– Mamo, to jest moje! – krzyknął bezradnie synek na jej widok.

– Jasza, teraz chyba powinna być kolej Julika.

– Tylko chwileczkę, chcę jeszcze wypróbować, jak dzwoni – zawołał chłopiec, pobrząkując metalowym dzwonkiem.

Florence właściwie lubiła Jaszę, ale w głębi ducha nie aprobowała sposobu, w jaki go wychowywano. Jego matka, Rosa Gendler, w wiecznym lęku, że Jasza jest głodny, ciągle chodziła za nim z łyżką.

We wspólnej kuchni Florence nastawiła wodę w garnku i wyjęła kilka ziemniaków spod kwadratowego stołu, gdzie je trzymała. Opłukała nóż i zaczęła je obierać, po czym zrobiła to samo z kilkoma marchewkami i wrzuciła wszystko razem do garnka. Usłyszała, jak na końcu długiego korytarza szcękają i otwierają się wielkie drzwi wejściowe. Każdy otwierał je na swój sposób. Essie nieodmiennie obwieszczała swoje wejście dzwonieniem kluczy i zadyszaniem postękiwaniem. Nie zdejmując płaszcza, weszła do kuchni z zakupami: poobijanymi pomidorami i puszkami sardynek w siatce oraz owiniętą w papier kielbasą.

– Mmm. Co robisz?

Zajrzała do garnka, a okulary spotęgowały wyraz ciekawości w jej oczach.

– Małą sałatkę warzywną, to wszystko. Muszę wykończyć tę puszkę groszku.

– Spodziewasz się gości?

Florence szybko zerknęła w kierunku zamkniętych drzwi swojego pokoju.

– Seldon właśnie wychodził.

Żałowała, że w ogóle się odezwała. Ale gdyby przyjaciółka zobaczyła go, jak wychodzi? Essie postawiła siatkę na stole i stała, patrząc, jak Florence kroi warzywa.

– To nie wystarczy – powiedziała wreszcie. – Potrzebujesz czegoś na przystawkę. Może trochę kiełbasy doktorskiej? Wreszcie jest znów w sprzedaży. Powąchaj, prawie jak perfumy.

Florence posłusznie wciągnęła zapach w nozdrza.

– Pokroję ją i przyłączę się do was.

Ból głowy zaczynał już sięgać drugiej skroni Florence, jak ślimak to wystawiający głowę, to chowający ją do skorupki. Sama myśl o tłumie, który zgromadzi się tego wieczoru w jej pokoju, dawała pulsującemu ślimakowi przyzwolenie, by wychynął z ukrycia. Florence się cofnęła.

– Nie dziś, Essie. Jestem padnięta. Muszę nakarmić Julika i położyć go do łóżka. Następnym razem.

Wokół ust Essie zarysował się tak częsty wyraz rozczarowania.

– No cóż, nie będę się prosić.

Florence stała, wpatrując się w garnek wrzącej wody. Perswadowała sobie, że Essie wcale nie poczuła się tak zraniona, na jaką wyglądała, miała jednak świadomość, że nie miałyby nic przeciwko zaproszeniu Essie, gdyby Seldon nie żywił wobec jej przyjaciółki niczym właściwie nieumotywowanych podejrzeń. Za każdym razem, gdy Essie pukała, a radio było akurat włączone, Leon wyłączał je i zasłaniał, zanim zdążyła wejść, a potem uprzejmie znosił jej paplaninę, rzucając tęskne spojrzenia w kierunku odbiornika. To Seldon jednak emitował ostatnio w kierunku Essie milczenie, które było otwarciem niegrzeczne.

Gdy Florence podniosła wzrok znad garnka, Essie już nie było.

Florence wyszła z kuchni, czując w ustach metaliczny posmak wyrzutów sumienia. Zapisała sobie w pamięci, by usiąść i pogadać z Seldonem. Skoro ona mogła zaufać Essie na tyle, by dzielić się z nią zagranicznymi czasopismami, to oni mogli jej zaufać na tyle, by w jej obecności słuchać zagranicznych stacji.

Ale po wejściu do pokoju zastała w nim nie mężczyzn, lecz bezkształtne toboły pod kraciastym kocem. Złapali sygnał. Florence postawiła sałatkę na stole i uniosła koc, by wetknąć pod niego głowę. Leon i Seldon kulili się obok siebie w ciepłych ciemnościach, słuchając w napięciu audycji płynącej z trzeszczących głośników. Prezenter mówił o dokonanej we Włoszech zabójstwie, które roznieciło organizowane przez komunistów strajki.

– Z czego się, głupki, śmiejecie?

Leon przestawił pokrętko na pozycję „wyłączony” i ściągnął koc.

– Nie uwierzysz, Florie. Golda Meyerson przyjeżdża za siedem tygodni tu, do Moskwy.

– Ta kobieta z Palestyny?

– Kieruje pierwszym przedstawicielstwem dyplomatycznym, właśnie to ogłosili.

– Będzie miała wystąpienie w Synagodze Chóralnej – powiedział Seldon.

– Kiedy?

– Podczas żydowskich świąt.

Florence spojrzała na Leona pytająco.

– Wszyscy pójdziemy ją zobaczyć – obwieścił Seldon z nierozważnym triumfem.

Florence wstała i podeszła do okna. Światło letniego dnia zaczęło wreszcie przygasać.

– Nie wiem. Odkąd skończyłam osiemnaście lat, noga moja w żadnym z tych miejsc nie powstała.

– Nie musisz wchodzić do środka – zapewnił ją Seldon. – Na pewno zorganizują to pod gołym niebem. I jeśli można uznać pogrzeb Michoelsa za jakąś wskazówkę, to będą tysiące ludzi. – Odwrócił się do Leona. – Trzeba będzie wcześniej zająć miejsce.

Florence jeszcze raz zerknęła na Leona. Wyglądało na to, że absolutnie popiera ten plan.

– No i co na to powiesz, Florie?

Usłyszała własny, głupawy śmiech.

– No, teraz przynajmniej wiemy, jakie ci się podobają, Seldon – powiedziała. – Takie o budowie spychacza, z nogami jak kłody.

Seldonowi jej sarkazm chyba nie zaimponował.

– Meyerson może nie jest pięknocią, ale to niesamowita kobieta.

– Właśnie tak ich wychowują w tych kibucach – włączył się Leon. – Zrobili to, czego my nie potrafiliśmy: zdołali wreszcie przerobić naszych Żydów na prawdziwych chłopów.

– Idź i posłuchaj tego, co ona mówi. Przekonasz się, że wcale nie jest wieśniaczką – zaoponował Seldon.

– Tysiące ludzi – przerwała Florence. – Tym bardziej lepiej zostać w domu.

– No dobrze, w takim razie wezmę Julika – powiedział Leon, jakby takiej właśnie spodziewał się po niej odpowiedzi.

Florence wbiła w męża świdrujące spojrzenie. Czy naprawdę musiała mu przypominać, i to w obecności Seldona, że ostatnią rzeczą, jaką powinni robić, było pokazywanie się na ulicy, przy której mieściła się najważniejsza w Rosji synagoga, a na której z pewnością roilo się od agentów NKWD? Czy był tak tępy, że tego nie rozumiał? Nie, rozumiał to doskonale. Po prostu miał to w nosie. Przy Seldonie stawał się małym chłopcem spragnionym przygody i ryzyka.

– Jeśli sądzisz, że pozwolę ci zaciągnąć mojego syna w ten oszalały tłum...

– Naszego syna. I nic mu nie będzie. Będzie mi siedział na barana jak inne dzieci. Chcę, żeby to zobaczył i zapamiętał.

Był taki czas, chciała mu przypomnieć Florence, kiedy to on zabroniłby jej wystawiać się na takie niebezpieczeństwo, ukróciłby jej zapędy siłą jak więzienny strażnik. Od kiedy to on stał się tym, który lekce sobie waży zagrożenia?

Seldon chciwie chłonał tę wymianę zdań ze swego fotela. Jej konfrontacja z Leonem wydawała się budzić w nim rozbawienie podszyte wyrzutami sumienia. Bez wątpienia przygotował Leona do tego starcia.

– Jeszcze zobaczymy – powiedziała.

Nie trzeba było długo czekać, by Essie zaczęła dawać wyraz temu, jak dotknęła ją zniewaga ze strony przyjaciółki. Florence początkowo nie dostrzegła żadnej zmiany. Przy każdym ich spotkaniu Essie wydawała się pogodna: żartowała, prowadziła niezobowiązującą rozmowę lub beztrzesko śmiała się z Rosą, mamą Jaszy. Kiedy jednak Florence włączała się do rozmowy, Essie się wycofywała. W korytarzu odpowiadała na jej powitanie ledwie zauważalnym uniesieniem brody. Florence uzmysłowiła sobie, że niedawne zbliżenie Essie z Rosą Gendler było demonstracją jej towarzyskiej samowystarczalności, a jej głośny śmiech – przedstawieniem odgrywanym przed Florence. Zaczęła wyczekiwać chwili, w której mogłaby podejść do Essie z beztrzeskimi przeprosinami i żartobliwie skruszonym usprawiedliwieniem, które przywróciłoby ich wzajemną życzliwość. W końcu złapała Essie samą w kuchni, próbującą zdjąć z haczyka w oknie torbę cebuli.

– Może ci pomóc?

– Nie, poradzę sobie.

Florence zsunęła buty, wspięła się na parapet i odplątała z haczyka zaciśnięte ucha siatki.

– No i już.

– Dzięki.

W cichym głosie Essie nie słychać było wdzięczności.

Florence zawahała się na moment. Przygotowała sobie całą przemowę, a nagle słowa uleciały jej z głowy.

– Seldon przychodzi jutro wieczorem – powiedziała. – Może byś wpadła? No wiesz, zrobiła wejście.

– Dziękuję, mam już plany na wieczór.

– Och, Essie... Przepraszam za to poprzednie. Głowa mi pękała i...

– Doceniam zaproszenie, Florence, ale wołałabym nie.

– Och, daj spokój, wiesz, że nie potrzebujesz zaproszenia, żeby do nas zapukać.

– Czyżby?

– Czuję się fatalnie. Chciałabym, żeby wszyscy żyli w zgodzie. Oddałabyś mi przysługę.

Essie westchnęła.

– Co ja takiego powiedziałam? – naciskała Florence.

– Przyjmuję twoje przeprosiny. Po prostu nie mam ochoty.

– A możesz mi przynajmniej powiedzieć dlaczego?

Essie zerknęła za okno.

– Dotarło do mnie, że miałaś rację. To wszystko.

– Ale z czym?

– Z Seldonem. Spójrzmy prawdzie w oczy: tyle go obchodzę co zeszłoroczny śnieg.

– Nigdy nic takiego nie powiedziałam.

Ale Essie zdawała się jej nie słyszeć.

– Gadałam o tym z Rosą i nagle mnie oświeciło, że marnuję czas na faceta, którego

takie jak my w ogóle nie obchodzą.

– Takie jak my? To znaczy jakie?

– Och, wiesz, o czym mówię.

– Słowo ci daję, że nie wiem.

– Sama powiedziałaś, że to dziwak. Rosa mówi to samo. – Essie zniżyła głos do szeptu. – Przypomina mi jednego z tych zniewieściałych koleś, których Koło Robotnicze zatrudniało nam do pomocy przy wystawianiu sztuk. Na Bronksie... Och, nie rób takiej zaskoczony miny. Przecież właśnie to próbowałaś mi powiedzieć.

Upokorzenie Florence rozpełzło jej się mrówkami po karku.

– Wcale nie.

– No cóż – powiedziała Essie, odwracając się do niej tyłem. – Może Anglicy po prostu mają taki dandysowaty sposób bycia. We wszystkich tamtejszych mężczyznach płynie odrobina błękitnej krwi, prawda?

Florence poczuła, jak wstrząs paraliżuje jej twarz, a usta zastygają w przerażeniu. Przed oczami stanął jej Seldon dotykający nadgarstka Leona. Oni dwaj w cieplej od oddechów ciemności pod kraciatym kocem przy radiu. Odniosła nagle wrażenie, jakby patrzyła na Essie przez teleskop, tyle że z niewłaściwej strony, a sama Essie wydała jej się nagle odległa i potwornie mała.

– Czemu musisz tak bezmyślnie wyrzucać z siebie wszystkie bzdury, które przychodzą ci do tej głupiej głowy?! – wybuchnęła. – Tak robią tylko dzieci i krety.

Essie zmrużyła oczy.

– Żałuję, że w ogóle się odezwałam.

Ale nie sprawiała wrażenia, jakby było jej szczególnie przykro.

Przez kilka tygodni Florence usiłowała zapomnieć o złośliwych insynuacjach Essie, ale niesmaczne wyobrażenie zajęło w jej myślach półoficjalne miejsce i rozgościło się na dobre tego ranka, gdy Leon i Seldon wyszli do Synagogi Chóralnej, by wysłuchać przemówienia Goldy Meyerson, ambasador Izraela (Florence wygrała tylko tyle, że zabroniła Leonowi zabierać Julika). Nie opuściło jej, gdy Leon samotnie wrócił wieczorem do domu, oszołomiony tym, czego był świadkiem. Nie zdjął nawet lotniczej kurtki. Ledwie powiesił kaszkiet na haczyku przy drzwiach, chwycił Florence w objęcia i ścisnął ją w tali.

– Florie, nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem. Cała ulica, rzeka ludzi: studenci, starcy, mundurowi, matki z dziećmi! Tysiące ludzi! Pojęcia nie miałem, że w Moskwie jest aż tylu Żydów. Ach, i najbardziej przejmujący moment: wiesz, jakie były pierwsze słowa Meyerson? A dank vos ir zajt geblibn jidn. „Dziękuję, że pozostaliście Żydami”.

Julik, którego szykowała do łóżka, podbiegł w rajtuzach do ojca. Leon podniósł go na ramię i cmoknął w główkę wilgotnymi ustami.

– Tato, jesteś mokry!

To była prawda. Leon lśnił. Włosy, krótko teraz obcięte, tak że ledwo było widać, że się kręca, lepiły mu się do czaszki od potu, tak był podniecony. Postawił syna na podłodze i otarł czoło.

– Och, powinnaś była to zobaczyć! – Jego dłonie znów spoczęły na biodrach

Florence. – Zupełnie otwarcie krzyczeli: „Naród Izraela żyje!”. Kiedy zeszła z podium, wszyscy zaczęli się wokół niej tłoczyć. Ludzie próbowali dotknąć rąbka jej sukienki i ucałować go. Wystąpi znów w Jom Kippur i tym razem idziemy wszyscy.

– Ja chcę iść! – krzyknął Julik.

– I dobrze. Pójdiesz z tatą. Nauczę cię nowej piosenki: Am Jisroel, am Jisroel, am Jisroel chai! – zaśpiewał Leon.

Julik zaczął skakać.

– Ha micraim, ha micraim...

Skandował to głośniejsz, niż Florence uważała za wskazane. Mądrzej byłoby (Florence wiedziała, że tak postąpiłaby dobra żona) udawać, że podziela jego ekscytację. Później, w łóżku, zdążyłaby podzielić się z nim po cichu swoimi wątpliwościami. A jednak w jego groteskowo rozradowanej twarzy było coś, co przestrzegło ją, że wpadł w sidła nowego romansu: nie z Seldonem Parkerem, jak sugerowała Essie, lecz czymś znacznie bardziej niebezpiecznym.

– Czy ona jest Mesjaszem, że ludzie czują potrzebę całowania rąbka jej szaty? – usłyszała własny głos.

Nieprzyjemnie skrzywione usta Leona zdradziły, że trafiła w boleśnie czuły punkt.

– Ależ to błyskotliwe, Florie. A więc to wszystko nic dla ciebie nie znaczy?

– Owszem – odparła. – Znaczy tyle, że wszyscy, którzy dotknęli jej świętej szaty, zostaną w przyszłym tygodniu wezwani na przesłuchania. I ze względu na ciebie naprawdę mam nadzieję, że jak w pokojach wydziału specjalnego Sowinformbiura poproszą cię o wyjaśnienie, co tam robiłeś, to nadal będziesz przekonany, że było warto.

– Ha micraim, ha micraim! – wyśpiewywał Julik wysokim głosikiem.

– Starczy już tego hałasowania! – krzyknęła.

Chłopiec urwał zdumiony i zerknął na ojca.

– Nie krzycz na niego – powiedział Leon.

– Idź umyć twarz i przynieś sobie trochę wody do mycia zębów – poleciła Florence Julikowi.

– Tam były tysiące ludzi. W takim tłumie pojedyncze osoby są nie do rozpoznania – powiedział Leon.

– Nie bądź taki pewien.

– Jak wezwą mnie, to wezwą też Seldona i dziesiątki innych.

– To, co stanie się z nimi albo z Seldonem Parkerem, w ogóle mnie nie obchodzi – powiedziała, biorąc z parapetu dziecięcą szczoteczkę do zębów. – Możesz być pewien, że w tym tłumie roilo się od agentów.

– Tak jak na pogrzebie Michoelsa, na miłość boską! Czego ty ode mnie oczekujesz? Że w ogóle przestanę żyć? Nie mogę się bezustannie zamartwiać agentami. Powiedz mi, czego ty się boisz? Że wypowiedziano dziś publicznie słowo „Żyd”? Nie więcej razy, niż wypowiedziano je na wszystkich tych wiecach, które komitet organizował podczas wojny.

– Ale to było podczas wojny! I mieliśmy powód: zbieraliśmy pieniądze dla wojska.

– Jasna sprawa. Można wypowiadać słowo „Żyd”, kiedy każą nam je wypowiadać.

Ale nie teraz. Nie kiedy ludzie naprawdę w nie wierzą.

– To twoje słowa czy pana Parkera?

Przyjrzał się jej niepewnie, jakby jej dotąd nie znał, po czym obrócił się na pięcie i zdjął kaszkiet z kołka. Florence poszła za nim.

– Dokąd się wybierasz? Pić dalej z tym gadułą?

Ale Leon jakby jej nie słyszał.

– Nie czekaj na mnie – powiedział.

Dziesięć dni później ukazał się w „Prawdzie” felieton. Ilja Erenburg, rzecznik partii, wyłożył w nim oficjalną politykę władz, instruując, w jaki sposób radzieccy Żydzi mają traktować państwo Izrael. Na pytanie „Czy Izrael jest rozwiązaniem kwestii żydowskiej?” dobitna odpowiedź brzmiała: „Nie”. Zastrzyk angloamerykańskiego kapitału miał być dla Izraela równie niebezpieczny jak zastępy Arabów. Rozwiązanie problemu żydowskiego miało zależeć nie od militarnych sukcesów w Palestynie, lecz od zwycięstwa socjalizmu nad kapitalizmem i moralności robotniczej nad nacjonalizmem. Być może niektóre ofiary nazistowskich zbrodni nie miały innego wyjścia jak wyjechać ze zrujnowanej Europy do Palestyny, żadną miarą nie był to jednak przypadek Żydów mieszkających w granicach Związku Radzieckiego, gdzie władza pieniądza, kłamstw i zabobonów została już dawno obalona.

– Rozeszły się plotki, wyszły z Birobidżanu – poinformował ich Seldon któregoś wieczoru.

Była już prawie dziewiąta, gdy trzykrotnie nacisnął dzwonek do mieszkania, co sygnalizowało, że przychodzi do ich pokoju.

– Jakie plotki?

– Że członkowie partii żydowskiej są aresztowani za przyjmowanie ze Stanów paczek z pomocą.

– Za przyjmowanie paczek? Kurczę, wszyscy to robili. Przecież to szło przez Czerwony Krzyż.

Florence naciskała, by rozmawiali ciszej. Słyszała, jak Julik kręci się na posłaniu.

– Przyjmując te paczki, przyczyniali się do powstania wrażenia, że zwycięstwo zawdzięczamy Stanom – wyszeptał Seldon.

– Mamo?! – zawołał chłopiec zza zasłony w kwiatki, która oddzielała jego część pokoju od części dorosłych.

– To jakiś absurd. Niby co ludzie mieli jeść? – powiedział Leon.

– Skąd się o tym dowiedziałeś, Seldon? – chciała wiedzieć Florence.

– Wolałbym nie mówić.

– Mamo? – Julik wstał i odsunął zasłonę.

– Wracaj do łóżka, kurczaczku.

– Nie mogę. Chcę spać z wami.

– Dobrze, skarbie, tylko wróć do łóżeczka. Jak wujek Seldon wyjdzie, położę się obok ciebie. Seldon, czy to nie może poczekać do rana?

– To nie wszystko. Artykuły, które tłumaczyliśmy dla amerykańskiej prasy, określa się teraz mianem burżuazyjnej propagandy nacjonalistycznej.

– No to już chyba żart – oburzył się Leon.

– Zwłaszcza te artykuły, w których wymieniano nazwy amerykańskich przedsiębiorstw: tych, które wysyłały termofory, strzykawki, tego rodzaju rzeczy. Mówi

się, że wychwalając te przedsiębiorstwa, autorzy tekstów zachęcali amerykańskich biznesmenów do robienia interesów na krwi radzieckich chłopców.

– Seldon, kto opowiada takie rzeczy?

– Ale przecież takie mieliśmy wytyczne – przerwał jej Leon. – Wymienić nazwę przedsiębiorstwa. Kazano nam okazywać wdzięczność.

– Najwyraźniej kłanialiśmy się zbyt nisko.

Florence leżała w ciemnościach obok synka za zasłonką w kwiatki. Księżycowe światło oblewało jego pokrytą meszkiem szyję i krzywiznę ramienia w bawełnianej piżamce. Zwinięty w kłębek, wyglądał jak łabądek. Długo gładziła go po plecach, mrucząc cicho, aż w końcu usłyszała głęboki, powolny oddech oznaczający, że Julik zasnął. Na palcach wróciła na kanapę, po czym długo leżała na plecach, wpatrując się w sufit. Lekko łuszczące się stiuki układały się we wzór liści i kwiatów lilii. Były też ptaszki, którym obtłuczono skrzydełka, gdy obszerne niegdyś pokoje dzielono drewnianymi przepierzeniami na mniejsze. To było jak oglądanie mitycznej krainy, tak różnej od otaczającego ich świata, jak różne było niebo od życia na ziemi.

Leon ciężko przewrócił się z boku na bok.

– Dlaczego on zawsze przychodzi tak późno? – zapytała Florence, starając się, by w jej szepcie zabrzmiał gniew. – Wie, że mamy dziecko. Julika trzeba kłaść do łóżka o normalnej godzinie.

– Nigdy wcześniej ci to nie przeszkadzało.

– Skąd on czerpie te wszystkie informacje? Tak, wiem, bywa tu i tam. Co wieczór stołuje się w innym mieszkaniu i nigdy nie odrzuca propozycji darmowej wyżerki albo popijawy. Skąd mamy wiedzieć, czy te wieści z Birobidżanu nie są wyssane z palca?

– Domyślam się, że usłyszał to od Olivii Bern. Przechodzą przez nią wszystkie listy do Komitetu Żydowskiego.

– Wystarczy, że usłyszysz jakąś plotkę, i zaraz leci nas przestraszyć.

– Może sam się wystraszył, Florence. Jesteśmy dla niego czymś w rodzaju najbliższej rodziny. – Florence poczuła, jak Leon obraca się do ściany. – Dlaczego musisz być dla ludzi taka bezwzględna?

Telefon zadzwonił, kiedy była w pracy. Wezwała ją jedna z maszynistek siedzących po przeciwnej stronie wielkiej, podzielonej sali.

– Flora Solomonowna?

– Przy aparacie.

– Cieszę się, że wreszcie udało mi się z wami skontaktować.

Rozpoznała ten nonszalancki głos. Uderzył w nią jak kwaśny odór. Zgniła woń poprzedniego życia. Gładka czarna słuchawka telefonu zaciążyła jej w dłoni jak kawałek obsydianu gotów pociągnąć ją na dno jeziora.

– Minęło sporo czasu, Floro Solomonowna. Nie poznajecie mnie?

Usłyszała, jak się uśmiecha.

– Tak, wreszcie mnie sobie przypomniałście – powiedział Subotin. – Cóż, to nie czas na pogaduszki. Jesteście w pracy. Prawdziwy awans wobec tego głupiego instytutu. Nigdy nie potrafiłem was sobie wyobrazić wśród tych wszystkich rozgadanych, bezpłodnych intelektualistów. Ale teraz: praca w propagandzie, służba dla kraju, to już

lepiej. Wracajcie do pracy, a porozmawiamy sobie, jak będziecie wolni. Powiedzmy jutro o czwartej, w naszym dawnym miejscu.

Florence obejrzała się za siebie. Nie mogła dłużej sterczeć przy telefonie, nie ściągając na siebie zaintrygowanych spojrzeń.

Przykro mi, ale to niemożliwe. Ani jutro o czwartej, ani o żadnej innej porze – chciała powiedzieć. Nie, tym razem nie wejdzie tak posłusznie w pułapkę. Ma dziecko, o którym musi myśleć.

Jakby czytając w jej myślach, Subotin rzekł:

– Obiecuję nie zająć wam wiele czasu. Jeśli pomożecie mi z tym, czego szukam, będziecie wolni na tyle wcześnie, żeby zdążyć odebrać z przedszkola waszego malucha.

Wstrząsnęło ją nie to, że znał jej rozkład dnia. Czekał wiedzieli wszystko. Ale od sposobu, w jaki powiedział „waszego malucha”, ciarki przeszły jej po plecach. Oni nigdy o niczym nie napomykali przypadkowo. Subotin podał jej adres. Jakby mógł jej wylecieć z głowy.

Nikt nie podszedł do drzwi, gdy zapukała. Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Jak znajomo wyglądało to miejsce: ta sama tapeta w paski, te same firanki. Podeszła do okna, które wydało jej się większe, niż zapamiętała. Zamiatacze ulic, popychając przed sobą miotły, wyszli już do pracy. Florence dotknęła palcami chłodnej szyby.

– Szkoda, prawda?

Odwróciła się.

– Ten witraż był całkiem ładny. Przydawał temu miejscu jakiegoś staroświeckiego czaru. Całe okno rozprysło się w jednym z nalotów bombowych, tak przypuszczam, przecież ten budynek znajduje się tak blisko wody. A tym się kierowali ich lotnicy podczas zaciemnień. Nawet w kompletnych ciemnościach nie sposób sprawić, by rzeka stała się niewidoczna. Siadajcie.

On też niewiele się zmienił. Wojna, co Florence stwierdziła z przykrością, okazała się dla niego łaskawa. Żadnych brakujących kończyn i niedowidzących oczu. Ze swoimi szpakowatymi włosami był równie zadbany i banalnie elegancki jak zawsze.

– Podajcie, proszę, swoje pełne nazwisko.

Nie zdołała stłumić śmiechu.

– Flora Solomonowna Brink.

– Pełne nazwisko męża.

– Nie macie tego wszystkiego?

Subotin podniósł wzrok i powtórzył pytanie.

– Brink, Leon Naumowicz.

– Narodowość.

– Amerykańska, oboje.

– Amerykańcy – powiedział Subotin, wodząc piórem po papierze.

Uśmiechał się do siebie uśmiechem sugerującym, że równie dobrze jak Florence wie, że Amerykanie czy nie, obdarzeni zostali błogosławieństwem przynależności do narodu żydowskiego.

– Porozmawiajmy o pracy, którą wy i wasz mąż wykonywaliście dla organizacji przestępczej znanej jako Żydowski Komitet Antyfaszystowski.

A więc prawdą było to, co przewidział Seldon: zbierano kwity na komitet. Zastanowiła się, czy już w tym momencie ich życie nie znajduje się w rękach tajnej policji. Rozważyła dostępne możliwości. Powiedzieć, że nie sądziła, by działalność komitetu była ze swej natury przestępcza, znaczyłoby stworzyć wrażenie, że go broni, a zatem przyznaje się do własnego zaangażowania. Należało się wyprzeć wszelkiej wiedzy i jakiegokolwiek udziału.

– Ani mój mąż, ani ja nie zostaliśmy nigdy zatrudnieni przez Żydowski Komitet Antyfaszystowski.

Odpowiedź ta brzmiała przekonująco, a przy tym była prawdziwa, choć jedynie z formalnego punktu widzenia.

– Chciałbym, abyście nie zapominali, gdzie jesteście. Znany jest nam fakt, że oboje służyliście Komitetowi Żydowskiemu jako tłumacze.

– Komitet nie miał własnego biura tłumaczeń. Zostaliśmy skierowani do tłumaczenia materiałów wszystkich pięciu komitetów Sowinformbiura – Komitetu Naukowców Radzieckich, Komitetu Młodzieży Radzieckiej, Komitetu Wszechsłowiańskiego...

– Pytam was teraz o waszą pracę dla Komitetu Żydowskiego, a nie dla pozostałych. Odpowiedzcie na pytanie.

– Nie byłam wyspecjalizowanym tłumaczem. Mój mąż wykonywał tłumaczenia niektórych artykułów pisanych dla „Ejnikajtu”, czasopisma komitetu.

– Dlaczego to wasz mąż dostawał takie zlecenia?

– Zapewne dlatego, że w jidysz potrafi czytać równie dobrze jak po angielsku.

– A jakie było wasze zdanie na temat tłumaczonych materiałów?

– Powiedziano nam, że są potrzebne, by umożliwić zgromadzenie pieniędzy dla Armii Czerwonej.

– A czy nie dotyczyły one szczególnych osiągnięć Żydów niezależnych od osiągnięć narodu radzieckiego?

– Może kilka z nich. Nie pamiętam. Nie pisałam ich.

– A zatem zgadzaliście się z wyolbrzymionymi i nieprawdziwymi twierdzeniami, które w nich padały.

– Nie śmiałabym sądzić, że tak nieistotna osoba jak ja może nie zgadzać się w jakichkolwiek kwestiach, a już najmniej w kwestiach propagandy wojennej, z tymi, którzy stoją nad nią.

– Unikacie odpowiedzi na moje pytanie. Odpowiedzcie konkretnie. Rozumiem, że nie kwestionowaliście w żaden sposób tekstów, nad którymi pracowaliście?

– Tak jak powiedziałam, zawsze aprobuję politykę rządu.

Patrzyła Subotinowi prosto w oczy. To nie był już rok 1937 ani 1940. Mieli rok 1948. Jeśli miał zamiar ciągnąć tę grę, pokaże mu, że ona zna jej reguły.

Uśmiechnął się przebiegle.

– A zatem nie budziły waszych wątpliwości ewidentnie nacjonalistyczne materiały, z którymi mieliście do czynienia?

– Wykonywaliśmy naszą pracę.

– A czy wykonywaliście waszą pracę również wówczas, gdy braliście udział

w syjonistycznym wiecu poparcia dla izraelskiej ambasador, Goldy Meyerson?

– Nie uczestniczyłam w tym wiecu.

Subotin szybko, ale dostrzegalnie zerknął na trzymane przed sobą papiery.

– Są świadkowie...

– Wasi świadkowie musieli coś źle zobaczyć. Możecie sprawdzić. Cały dzień nie ruszałam się z pokoju.

Twarz Subotina poczerwieniała, zdradzając jego irytację.

– Są świadkowie, którzy widzieli Leona Brinka i innych...

Jeśli zgadywał na jej temat, to być może nie miał również pewności co do Leona? Nie chciała ryzykować.

– Nie brałam udziału w tym wiecu. Nie interesował mnie. Mój mąż poszedł z ciekawości. Usłyszał o kobiecie z Palestyny i chciał się przekonać na własne oczy, co to za osoba.

– I tysiące pozostałych też poszły tam z ciekawości, tak? Z czystej ciekawości wykrzykiwały jej nazwisko i podlizywały się jej podwładnym. Z ciekawości wrzeszczały syjonistyczne hasła!

– Ale jakie hasła?

– „W przyszłym roku w Jerozolimie!”

Chciało jej się śmiać.

– To nie hasło. Żydzi powtarzają to, odkąd zostali wypędzeni z Babilonu. Tak się po prostu mówi podczas świąt. To nic nie znaczy.

– Wybuch żarliwego, prymitywnego nacjonalizmu w trzydzieści dwa lata po rewolucji to nie jest nic. Zmuszony jestem sądzić, że zdecydowanie nie jesteście skłonni do współpracy, skoro upieracie się, że takie wzmożenie nacjonalistycznych nastrojów nie zostało wzniecone przez bandę syjonistycznych łotrów.

Jak mu wyjaśnić, że tu niczego nie trzeba było wzniecać? Że Żydzi poszliby z własnej woli, bez żadnego przynaglania, żeby popatrzeć na Meyerson?

– Niczego takiego nie twierdzą. Skąd miałabym to wiedzieć? Nie byłam w Komitecie Żydowskim.

– Ale spędziliście wśród tych ludzi oraz ich bliskich współpracowników trzy lata w Kujbyszewie. Dochodziły do was pogłoski, rozmowy... Rzeczy, których znaczenia możecie jeszcze w pełni nie doceniać.

Kusiło ją niemal, żeby się uśmiechnąć. Mimo karcącego tonu Subotina Florence dostrzegła w jego słowach odwrót. Już jej nie oskarżał. Gdyby nie miał nad nią całkowitej władzy, powiedziałaaby nawet, że ją czaruje, próbuje sobie zjednać. Sugerował, że być może była zbyt naiwna, by zrozumieć, co się tak naprawdę działo w tej jaskini zbójców. A przecież mogła im mimowolnie pomagać.

– To było pięć lat temu – powiedziała. – Nawet więcej. Cokolwiek zostało wówczas powiedziane, minęło zbyt wiele czasu, bym potrafiła to sobie przypomnieć.

– Jestem pewien, że dysponując odrobiną czasu, przypomnicie sobie – odparł Subotin.

Z Essie prawie się do siebie nie odzywały. We wspólnych pomieszczeniach ignorowały się nawzajem z uprzejmością niemal oficjalną, jak goście w ośrodku

wypoczynkowym. Florence ubolewała nad tą nową dla niej sytuacją, ale bez względu na zranione uczucia poddała się nowej codzienności; mimo wszystko była zdania, że w tych okolicznościach to Essie powinna pierwsza wyciągnąć rękę na zgodę. No i tak to trwało.

Któregoś niedzielnego popołudnia weszła do pokoju i zastała Julika skulonego pod blatem jej maszyny do szycia i zanoszącego się łkaniem. Wybadanie między jednym a drugim zasmarkanym chłopięciem, co jest przyczyną jego rozpaczy, zajęło jej sporo czasu. Tego ranka, kiedy Florence poszła kupić coś do jedzenia, Essie zabrała Jaszę na nową miniaturową kolejkę uruchomioną w parku przy placu zabaw. Julik chciał się z nimi zabrać, ale Jasza powiedział mu arogancko, że jest jeszcze za mały. Essie i Jasza wrócili z parku, śmiejąc się głośno i rozprawiając o tym, jak świetnie się bawili, przez cały ranek jeżdżąc małutkimi wagonikami.

– Ciocia Essie już mnie nie lubi.

– Nie, to nieprawda, króliczku. Zabiorę cię tam.

– Nie! Teraz już za późno!

– Pójdziemy w przyszłym tygodniu.

– Nie, chciałem iść z nimi.

Florence załomotała do drzwi Essie. Mogła spokojnie znosić jej milczenie, ale przeniesienie tej walki na „terytorium cywilne”, wyzywanie się na Juliku całkowicie zmieniało postać rzeczy.

– Możesz mi powiedzieć, co sobie myślałaś? – wybuchnęła, kiedy Essie otworzyła drzwi ubrana w szlafrok przypominający kimono z motywem kwiatów i rajskich ptaków. Florence minęła ją i weszła do pokoju. – Zastałam Julika wypłakującego sobie oczy. Powiedział, że ty i Jasza nie zabraliście go na jakąś kolejkę.

Essie gwałtownie wciągnęła powietrze przez nos i przygładziła włosy.

– Jasza już dawno prosił mnie, żebyśmy poszli razem. Chciał, żebyśmy wybrali się tylko we dwoje. Nie mogłam wziąć ich obu, chyba rozumiesz. Nie jestem płatną niańką.

– Ale mogłaś wrócić, rozmawiając i zaśmiewając się tak, że w całym mieszkaniu było słyhać! Wystarczyło odrobinę mniej się afiszować z tą radością.

– Wszyscy mieszkamy w jednym mieszkaniu, Florence, czy ci się to podoba, czy nie. Czego ty ode mnie oczekujesz? Że przestanę rozmawiać z ludźmi? Przestanę się śmiać? Mam chodzić na paluszkach? Czasem człowiek czuje się odstawiony na boczny tor, tak to już po prostu w życiu jest.

– On jest dzieckiem!

– Och, Boże, nie wiedziałam, czy chcesz, żebym go zabrała.

– Mogłaś zapytać.

– Wybacz, ale za każdym razem, gdy próbuję choćby się przywitać, momentalnie znikasz. Albo jesteś zajęta, albo wzruszasz ramionami i obracasz się na pięcie. Próbowałam, i to nie raz, ale potrafię się zorientować, kiedy nie jestem mile widziana.

W oczach Essie zalśniły gorzkie łzy. Florence rozboleła szczęka od powstrzymywania własnych.

– Och, Essie, nie chciałam sprawiać wrażenia takiej zimnej. Sądziłam, że po prostu nadal jesteś na mnie wściekła z powodu... Och, co za głupoty. Nie wiem, dlaczego ktokolwiek miałby tu za cokolwiek przeproszać.

– Straciłam już nadzieję, prawdę powiedziawszy. Ale przykro mi, że to tak rozstroiło Julika. Nie miałam takich intencji.

Zaciągnęła mocniej pasek szlafroka, jakby nagle zażenowana, że zastano ją w takim stroju.

– Zapomnijmy o całej sprawie. Słuchaj, próbowałam zdobyć dla nas jakieś magazyny, ale nowa redaktor działu, którą nam tu ściągnęli, to... prawdziwa rosomaczyca.

– Oni teraz wszyscy tacy. Usiądziesz?

– No, może. Strasznie mnie to wszystko wytrąca z równowagi. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po wejściu do pokoju tłumaczy, było przeczytanie na głos naszych nazwisk: „Weinberg, Feinberg”, jeszcze z takim obrzydzeniem w głosie. A potem zapytała: „Co to jest, synagoga?”.

Essie usiadła na łóżku i pokiwała głową.

– No wiem. Pożyczyłam w tym tygodniu kolorowy ołówek od maszynistki i złamałam końcówkę. Podeszłam, żeby poprosić ją o temperówkę, a ta mi go zabrała i mówi: „Sama to zrobię. Wy to połamiecie wszystko, czego się tkniecie”.

– Nie wiem, co się dzieje, Essie.

– Po wszystkich tych latach sądziłam, że jestem wreszcie...

– ...jedną z nich – dokończyła Florence.

Essie skinęła głową, ale oczy miała już suche.

– Nigdy nie uznają nas tu za swoich, prawda?



Florence dotrzymała obietnicy i niedługo potem zapukała do drzwi Essie z czasopismem „Life” w dłoni. Na okładce była Ingrid Bergman w stroju Joanny d’Arc.

– Ojej! Jak ci się udało...

Florence położyła palec na ustach.

– Był więcej niż jeden egzemplarz. A teraz zabierz to szybko, zanim zmienię zdanie.

– Och, chodź, przejrzymy razem – powiedziała Essie, z wdzięczności oblewając się rumieńcem.

– Nie dziś wieczór... Mam sprawę do załatwienia na mieście. Zatrzymaj go na razie.

– Jesteś pewna? – Essie mocno przycisnęła magazyn do piersi.

– Tylko nie pozaginaj rogów i nie wysmaruj go marmoladą.

Pomimo majaczących na obrzeżach świadomości obaw Florence przez cały następny ranek czuła w stosunku do Essie przyjemną wielkoduszość. Podzielenie się czasopismem było największą przysługą, jaką mogła oddać ich długoletniej przyjaźni. Utwierdziła samą siebie w przekonaniu, że może Essie zaufać, że jej przyjaciółka dobrze ukryje zdobyczne czasopismo, ale przyjemność, jaką czerpała z własnej wielkoduszości, zaczęła topnieć w drugiej połowie dnia, kiedy nagle bez zapowiedzi pojawił się nieogolony i zalatujący alkoholem Seldon. Włosy miał rozczochrane, a ubranie wymięte, jakby w nim spał.

– Fefer zaginął.

– Co to znaczy zaginął? – zapytał Leon.

– Zaginął. I nadal żadnych wieści o Hofsztajnie.

Do zniknięcia Dawida Hofsztajna w Kijowie doszło we wrześniu. Dotychczas sądzono, że jest chory i przebywa w sanatorium, teraz jednak rozeszły się pogłoski, że żona poety była w Moskwie i szukała go w Więzieniu Lefortowskim. Seldon informował ich o wszystkich tych wydarzeniach, nie przestając krążyć po pokoju, a jego chwiejne, tyczkowe metr osiemdziesiąt wydało się Florence tak brutalne i niemal fizycznie groźne, że ogarnęła ją chęć natychmiastowego wyprowadzenia Julika na zewnątrz.

Założyła chłopcu walonki, owinęła mu główkę w czapkę własnym szalem i pogoniła do pokoju Awdotii Grigoriewnej, z góry dając staruszce rubla, byle ta zabrała jej synka na dwór. Wróciła do pokoju, w którym z każdą chwilą gęstniała zjadliwa woń marnego kazbeckiego tytoniu. Seldon krążył od ściany do ściany, siejąc popiołem z papierosa, który tlił się zapomniany między jego palcami. Mówił zbyt szybko, by mieć

czas się zaciągnąć.

– Organizacja dysponująca jakąkolwiek niezależną siłą polityczną nie może być narzędziem w jego rękach, pojmujesz? Pracownicy są zbyt zżyci, zbyt mocno wzajemnie powiązani, dlatego w kadrach są ustawiczne czystki, jak się to określa. To jest permanentna rewolucja, rozumiesz? Żeby nie mogły powstać żadne relacje osobiste silniejsze od jego władzy. Dużo o tym myślałem.

Florence w panice spojrzała na Leona. W ich życie wkroczyła w osobie Seldona potężna siła i Florence nie potrafiła już myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by nie dać się jej za sobą pociągnąć.

– Seldon, usiądź – przynaglił go Leon łagodnie.

– Postoję. – Parker wcisnął palec za kołnierz, jakby się dusił. – Oni coś przygotowują. Czytałeś prasę? „Gloryfikacja obcej kultury”, „kosmopolityzm bez korzeni”... O czym oni twoim zdaniem mówią? Próbuje przylepić do Komitetu Żydowskiego etykietkę sabotażystów. Założę się, że szykuje się jakieś większe przedstawienie. Na razie malują dekoracje.

Sporo czasu zajęło im zrozumienie urywanej przemowy Seldona, ale wreszcie zdołali poskładać jego niepokojące przeczucia do kupy: prasa była po prostu forpoczta policji, a ostatnie zaginięcia zwiastunem gigantycznego procesu przygotowywanego gdzieś w czeluściach biur NKWD. Pod wodę będą wciągani następni i następni, nikt nie jest już bezpieczny.

– Gdziekolwiek jest teraz Fefer, mogę sobie tylko wyobrazić, co ten mały skurwysyn zdążył im naopowiadać.

– Nie wiesz tego na pewno – powiedziała Florence mimowolnie, ale zdała sobie sprawę, że nie potrafi spojrzeć mu w oczy. – A w ogóle to dlaczego mieliby się przejmować właśnie nami? My tylko tłumaczyliśmy. W czym żeśmy im zawinili?

Spojrzał na nią tak, jakby to nie on, lecz ona potrzebowała konsultacji psychiatrycznej.

– W czym żeśmy im zawinili? – przedrzeźnił ją okrutnym falsetem. – Floro Solomonowna, a w czym oni zawinili?

– Na litość boską, Florie – powiedział Leon, odwracając się do niej. – Zadajesz, do cholery, bezsensowne pytania!

– To o co w takim razie powinnam zapytać?

– Co jest w tym pokoju takiego, czego powinniśmy się pozbyć! – odparł Leon, jakby stwierdzał coś oczywistego.

– Masz rację, stary! – I z tymi słowy Seldon zaczął ściągać z ich regału kolejne tomy, podnosząc kurz z papierów i zeszytów. – Co to jest?

– Theodore Dreiser.

– Do pieca. Słowniki też. Pozbądźcie się wszystkiego.

Ze skrzynki stojącej w nogach ich kanapy wysypał stare egzemplarze „Ejnikajtu”.

– Przestań, zostaw to!

Rzuciła się do Seldona, wytrąciła mu książki z ręki, po czym padła na kolana przed rozsypaną na podłodze stertą. Nie spodziewała się, że Seldon osunie się na podłogę, żeby jej pomóc.

– Przepraszam, Florie. Strasznie cię przepraszam. – Ujął ją za rękę i przytrzymał z tak niepokojącą życzliwością, że poczuła, jakby przepłynął przez nią prąd.

Seldon pomógł jej się podnieść. Pozbawiony demonicznej determinacji, która owładnęła nim ledwie chwilę wcześniej, osunął się na ich zarwany fotel.

– Dobrze – powiedział, przyciskając nasadę dłoni do oczodołu, jakby ugniatał mięso myśli wciśniętych w czaszkę. – Dobrze – powtórzył. – Nie możemy tak siedzieć i czekać, aż po nas przyjdą.

W jego głosie była teraz pewność, beznamiętny spokój, który przeraził Florence bardziej niż jego histeria sprzed kilku minut. Wpatrywał się w nią i Leona, ale i przez nich, w jakąś dal poza czasem. To, co stało się później – to, co wówczas powiedział – mogło być przyczyną, dla której tego ranka zapukał do ich drzwi, lecz równie dobrze efektem jakiegoś nagłego opiekuńczego impulsu, którego wybuchowi się poddał.

– Jest taki człowiek – zaczął bardzo cicho – pracownik brytyjskiego konsulatu tutaj, w Moskwie, znajomy mojego brata.

– Twojego brata? – powtórzył Leon.

– Przyrodniego brata. Z pierwszego małżeństwa ojca.

Przyrodni dziesięć lat starszy brat rozpoczął przed wojną pracę w brytyjskim Departamencie Skarbu, a jego pracującego w dyplomacji znajomego przeniesiono ostatnio do Moskwy. Jakimś sposobem facet odnalazł Seldona i przekazał mu list od mieszkającego w Anglii krewniaka.

– Gdzie ten list? – zapytała Florence.

– Pozbyłem się go. Jeszcze nie zwariowałem.

– Spotkałeś się z tym człowiekiem!

Owszem, ale byli ostrożni. Spotykali się tylko w zatłoczonych miejscach: w metrze albo przy fontannie przed teatrem Bolszoi.

Florence zauważyła, że to przecież nie oznacza, że nie byli śledzeni.

Seldon wyjaśnił, że mieli system polegający na pisaniu wiadomości na przebitce maszynowej, następnie zwijali tę bibułkę w rulonik i ukrywali w papierosie. Facet, nazywał się Frank Kelly, zapalał zwykłego papierosa i zaciągał się kilkakrotnie, dopóki nie zobaczył Seldona. Wtedy gasił papierosa i rzucał go na chodnik. Ale w rzeczywistości upuszczał na ziemię papierosa z wiadomością w środku, a Seldon po chwili go podnosił, zdobywając w ten sposób informacje i poznając miejsce ich kolejnego spotkania.

– Nigdy dwukrotnie nie spotykamy się w tym samym miejscu. No i tym sposobem przekazujemy sobie wiadomości. On wie, jak wygląda sytuacja w kraju. Twierdzi, że chce pomóc mi wyjechać.

– Uciec?

– Tak. Najważniejsze to minąć wartowników i dostać się do brytyjskiej ambasady. Jak już znajdziemy się w środku, będą w stanie wyrobić nam dowolne dokumenty. – Spojrzał na Leona. – Mogą to zrobić dla całej naszej trójki.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Co on im proponował?

– Seldon, to się nie uda – powiedział Leon. – Oni już lata temu postawili na nas krzyżyk. Ambasada amerykańska jest obwarowana jak forteca. Nikt do niej nie wchodzi ani jej nie opuszcza inaczej niż samochodem. Strażnicy nie wpuszczą cię do środka, nawet

gdybyś był rodzonym Amerykaninem. Jak myślisz, dlaczego żaden z pracowników ambasady nigdy nie nawiązał kontaktu z kimś takim jak my?

– Właśnie – powiedziała Florence. – Jesteśmy dla nich nikim. Zbiegami. Zdrajcami. Wyjechaliśmy i nikt nie będzie po nas płakał. Gardzą nami, taka jest prawda. Tak samo z Anglikami. Nie wiem, kim jest ten człowiek, ale musisz z tym skończyć, Seldon. Za próbę ucieczki z kraju karze się teraz śmiercią.

Seldon patrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Był owładnięty własną wizją.

– Tak... Gdyby chodziło o kogoś innego, mogłabyś mieć rację. Ale powiedziałem wam, mój brat pracuje dla brytyjskiego rządu! Jest ważną personą. Tylko posłuchajcie. Jedyne, co ten facet musi zrobić, to załatwić sobie samochód bez szofera. Oczywiście to wszystko kapusie, ale gdyby udało mu się poprowadzić samochód samemu, moglibyśmy niepostrzeżenie przedostać się do ambasady.

Florence podniosła się i stanęła przy oknie. Pomyślała, że gdyby udało jej się choćby przez moment dostrzec bawiącego się na dworze synka, jej serce mogłoby lepiej znieść tę rozmowę. Dojrzała Juliana, małą, opatuloną postać bawiącą się pod opieką większej, równie opatulonej postaci Awdotii Grigoriewny wśród innych dzieci na ogrodzonym żelaznym płotem podwórku.

Leon zapytał otwarcie, choć ostrożnie i łagodnie, jakby rozmawiał z szaleńcem:

– Ale dlaczego my, Seldon? Przecież to ryzykowne nawet dla ciebie samego.

Teraz to Seldon, którego spojrzenie, przeskakujące raz po raz to na Leona, to na Florence, wypełniło się na powrót bolesną czułością, odezwał się do nich tak, jakby postradali zmysły.

– Nie wiesz? Bo wy tu szczeźnicie, Leonie. W chwili gdy rozmawiamy, podpisują na was wyrok.

Florence zerknęła na męża, który patrzył na nią tak, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– A co z Julianem? – zapytała.

– Wszyscy. Porozmawiam z Kellym. Powiem mu, że wchodzę w to tylko wtedy, jeśli zabierze też was. Ale musicie podjąć decyzję.

Spojrzała na Leona. Czy nie powtarzał jej, że muszą zaakceptować życie w tym kraju, pogodzić się z losem, jaki przypadł im w udziale? Czy to nie Leon kazał jej porzucić wszelkie nadzieje na ucieczkę? A teraz patrzył na nią, oczekując odpowiedzi. Chciał, żeby to ona powiedziała mu, co ma robić.

– Muszę wiedzieć, czy w to wchodzicie – naciskał Seldon.

Zamknęła oczy i czekała, aż jej mąż przerwie milczenie.

– Wchodzimy – powiedział Leon.

Dwie bezsenne noce później odezwała się do niego, kiedy leżeli już w łóżku:

– Wierzysz mi?

– Jest naszą jedyną nadzieją, Florence.

– To wszystko jest zbyt dziwne, cała ta historia – wyszeptwała. – Papierosy, brat, przyrodni brat czy kto tam.

– Nie wiem. Jeśli komukolwiek miałoby się udać przeprowadzić taki plan, nawiązać kontakty ze światem zewnętrznym, to właśnie Seldonowi.

– No dobrze – powiedziała, siadając na łóżku. – Powiedzmy, że to prawda.

Dlaczego ambasada brytyjska miałaby chcieć choćby splunąć w naszą stronę? Nie pomagają wyjechać nawet własnym obywatelom.

– Powiedział, że jego brat jest kimś ważnym.

– Och, Leonie, ale co my właściwie wiemy o Seldonie? Sam powiedział, że nie wychowywała ich ta sama matka. On chyba sądzi, że jest na tyle ważny, żeby go ratować, kiedy...

Przerwał jej.

– Nie wydaje mi się, żeby mówił nam to wszystko, gdyby to były tylko czcze słowa.

– On sobie różne rzeczy roi, Leonie.

– Może trochę koloryzuje, ale...

– To nie tylko to. Widzę to w jego oczach, w tym, jak na ciebie patrzy.

Zapadło długie milczenie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Myślę, że wiesz.

Nawet w ciemnościach ciało Leona wywierało potężny wpływ na jej ciało: jego gładkie ramię i kości dużych dłoni, mięśnie nagiej łydki wystawionej spod kołdry.

– Nie udawaj, że jesteś ślepy – powiedziała, a jej głos brzmiał identycznie jak głos Essie.

– Bzdury pleciesz, Florie. Lepiej już śpijmy.

Ale raz zacząwszy, nie potrafiła skończyć.

– Czyżby? To pełne miłostnego uwielbienia spojrzenie, które ci rzuca za każdym razem, gdy życzliwie się do niego odezwiesz. To, jak ci kładzie rękę na ramieniu, jak jakaś debiutantka na balu, kiedy się trochę rozluźni po kilku głębszych.

– A ja myślę, że powinnaś się nauczyć gryźć w język.

– Tak? Nie odzywać się, kiedy ta ciota je przy moim stole i ślini się na widok mojego męża, jak tylko chlapnie sobie mojej wódki dla kurażu? A wiesz, co ja myślę? Myślę, że byłby bardzo szczęśliwy, mogąc wziąć ciebie i tylko ciebie, a nam pozwolić tu zgnieć!

I wtedy została przyciśnięta do ściany, tak że splot kilimu nad kanapą wbił jej się przez nocną koszulę w plecy i pupę, kiedy Leon przyszpilił jej biodro kolaniem.

– Do ciebie nigdy nie dociera, co?

Owinął sobie jej włosy wokół pięści i szarpnął jej głową w tył. W blasku białej ulicznej latarni Florence widziała wykrzywione rysy jego pełnej odrazy twarzy.

– Puść mnie – wyszeptała zdławionym, ochrypłym głosem.

Rozluźnił uścisk i ciężko się z niej stoczył.

– Do diabła z tobą. – Zwinął dłoń w pięść. Skrzywiła się, kiedy wymierzył cios poduszcze. – Do diabła z tobą, Florence. Jak sądzisz, dlaczego chcę, żebyśmy to zrobili? Nie możemy żyć tak, jak żyjemy, jak uwięzione zwierzęta, spętane, zakneblowane! Może przed wojną mogłem, marzyłem o tym, że będzie lepiej, ale tutaj nigdy nie będziemy wolni. – Odwrócił głowę w kierunku zasłony drukowanej w blade kwiatki, za którą spał ich syn. – Nie chcę, żeby się tu wychowywał, słysząc codziennie „żydek”.

Oparła się o ścianę, by odzyskać panowanie nad sobą, i postarała się, by w jej głosie zabrzmiał rozsądek.

– Myślisz, że w Stanach czy w Anglii tego nie usłyszysz?

– Może usłyszysz. Ale jak się już stąd wydostaniemy, możemy pojechać dokądkolwiek... Nawet do Palestyny.

Wtedy właśnie zrobiło się jej żal Leona: przez to, że padł ofiarą własnych marzeń o lataniu, i przez to, jak pielęgnował je w sekrecie, tak jak ona kiedyś.

– Czy taki jest właśnie twój aktualny plan? – Nie potrafiła się oprzeć pokusie ukarania go za to wszystko. – Nie udało ci się zginąć podczas ostatniej wojny, więc chciałbyś chwycić za broń na pustyni, tak? Żeby zamiast tego pozabijali nas Arabowie?

– Przynajmniej tam Żydzi walczą otwarcie. Nie trzęsą się jak kaczkki w ukryciu, jak my, Florence. Żebyś nie miała wątpliwości, robi się coraz gorzej.

– Myślisz, że tego nie wiem? Myślisz, że nie wiem, że robią się coraz gorsi? Ja nie wiem? Mnie nie musisz tego mówić! Subotin znów do mnie dzwonił.

Milczenie.

Nie potrafiła się zmusić, żeby na niego spojrzeć.

– Kiedy? – zapytał w końcu.

– W zeszłym tygodniu.

– Jak mogłaś? Jak mogłaś mi nie powiedzieć? – I nagle wyskoczył z łóżka i ściągnął z niej kołdrę, jakby chcąc sprawdzić, co jeszcze przed nim ukrywa. Patrzył na nią tak, jakby jej nie poznawał.

– Chciałam to zrobić, naprawdę. Wyczekiwałam chwili, a potem przyszedł Seldon...

– Co mu do tej pory powiedziałaś?

– Boże, nie musisz być taki podejrzliwy. Dlaczego sądzisz, że powiedziałam mu cokolwiek istotnego? Nie ufasz mi.

– Czego teraz od ciebie chce?

– Różne rzeczy wie. Wiedział, że byliście z Seldonem na tym wiecu dla Meyerson. Sądził, że ja też byłam, próbował mnie o to oskarżyć. Mówiłam ci, żebyś nie szedł. Każda minuta, którą spędzasz z Seldonem, skraca ci życie o dzień.

– Ciszej! Obudzisz Julika. Co jeszcze?

– Chce dostać raporty z Kujbyszewa. Rozmowy. Wszystko, co wiąże się z Komitetem Żydowskim.

Opadł z powrotem na kanapę.

– A więc to prawda.

– Myślę, że jak mu powiem to, co chce usłyszeć, zostawi nas w spokoju.

– A jak myślisz, co chce usłyszeć?

– Prawdę! Że to było gniazdo szpiegów i sabotażystów!

– Wierzysz w to?

– Jakie to ma znaczenie? Och, skarbie. – Łagodnie, na próbę, dotknęła jego ramienia. – My nic nie zrobiliśmy. My tylko tłumaczyliśmy to, co dostawaliśmy od nich.

Pod jej dotknięciem zeszywniał.

– Nie łudź się. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

– Ale jakie ja mam wyjście, Leon? Mamy dziecko.

Jej łamiący się głos, jej urywany oddech nie zrobiły na nim wrażenia.

– Jeśli sądzisz, że oddajesz przysługę sobie albo nam, to się mylisz, Florence. Kiedy już dasz mu to, czego chce, będzie po wszystkim. Donosiciele traktują nie lepiej niż ofiary donosów.

– Nie nazywaj mnie tak! Myślisz, że mam na to ochotę? Muszę mu coś dać! Muszę się z tego wykaraskać. Nie besztaj mnie, tylko mi pomóż, na litość boską.

Jakby powiedziała: „Sezamie, otwórz się”. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Nigdy żadne próby nękania go nie zrobiły na nim takiego wrażenia jak jej otwarta prośba. Oparł twarz na dłoniach.

– Muszę pomyśleć. – Siedział tak przez długi czas, jakby wpatrywał się w jezioro. W końcu powiedział: – Dobra, powiedz mu cokolwiek na temat Michoelsa. Cokolwiek powiesz o nim Subotinowi, będzie to najwyżej jeszcze jeden gwóźdź do trumny, w której już i tak leży.

– Subotin jest na to za inteligentny... Zbyt dobrze by się złożyło.

– Podaj nazwisko kogoś, kto już siedzi. Fefera. I tak jest skończony. Pierwszy do odstrzału. Nie wiem, co z pozostałymi. Seldon powiedział, że Hofsztajn był chory, kiedy zniknął. Może już nie żyje.

– Boże, jak my w ogóle możemy tak rozmawiać? Tak spokojnie! To potworne. Nie mogę.

– Przestań się rozklejać. Jeśli stracisz panowanie nad sobą, będzie miał cię w garści. Potrzebujesz strategii, Florence, nie tylko taktyki. To jedyny sposób. Nie wolno ci wymienić nazwiska nikogo, kogo jeszcze nie zgarnęli.

– Tak. Tak.

– Nie możemy o tym powiedzieć Seldonowi.

– Oczywiście, że nie. – Rzuciła Leonowi kolejne błagalne spojrzenie. – Nie chcę, żeby tu przychodził tak bez względu na porę... Naciska dzwonek i od razu wszyscy w mieszkaniu wiedzą, że tu jest.

– No to gdzie mamy rozmawiać? W Sowinformbiurze ściany mają uszy.

– Na ulicy. W parku.

– I co, upuszczać sobie papierosy z wiadomościami? A jeśli on coś planuje? Potrzebujemy jakiegoś miejsca, w którym naprawdę będziemy mogli porozmawiać, Florence.

– Dobrze. Ale on nie może tak po prostu pojawiać się bez zapowiedzi i naciskać dzwonka, kiedy mu przyjdzie ochota. Powiedz mu, że musi nas uprzedzać, przychodzić po zmroku i czekać na ulicy, a ty będziesz po niego schodził.

– Powiem mu – odparł Leon – jeśli tego właśnie chcesz.

Podczas kolejnego spotkania siedziała i patrzyła, jak Subotin pisze coś w czystym zeszycie.

Włosy na czubku głowy zaczęły mu się przerzedzać. To była druga zmiana, ta, której nie zauważyła w nim za pierwszym razem, bo włosy miał krótko obcięte, a ona była zbyt zdenerwowana. Teraz pozwoliła spojrzeniu zatrzymać się na coraz wyższym czole nad tą nienawistną wymuskaną twarzą.

Przez kilka dni ćwiczyła zeznanie, które zamierzała złożyć. „Przypominała sobie” rozmowy, w których Michoels wyrażał „nacjonalistyczne poglądy”. Zamierzała mu

powiedzieć, że po wojnie Michoels wypowiadał się wobec podwładnych na temat sytuacji Żydów w ZSRR: ewakuowanych, którzy po powrocie z wojny zastawali swoje domy zajęte, nasilającej się dyskryminacji przy zatrudnianiu i tak dalej. Twierdził, że zadaniem Komitetu Żydowskiego jest interweniowanie w ich imieniu. Było to w odczuciu części personelu bezczelne przekroczenie jasno określonych prerogatyw komitetu jako organu propagandy.

O wszystkim tym bez wahania informowała teraz Subotina, mając wewnętrzną pewność, że to akurat prawda. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy zapisał jej zeznanie.

– A czy Michoels wspominał w tym kontekście o radzieckich władzach?

– Powiedział, że przykłada się do tego problemu niewystarczającą wagę. – Wygłosił pogląd, że radziecki rząd zaniedbuje swoje obowiązki...

– Tak.

– I miał poczucie, że w ramach jego obowiązków mieści się przejście obowiązków rządu.

– Nie... Chciał po prostu zwrócić uwagę ważnych osób na fakt, że Żydzi podczas ewakuacji stracili domy...

Subotin uniósł wypielęgnowaną brew.

Przygryzła wargę. Dlaczego mimowolnie zaczynała bronić Michoelsa, kiedy właśnie miała go potępić? Prawda była taka, że nie wydawało jej się wówczas, by to, co robił Michoels, było złe. Został zasypany listami od ludzi dotkniętych cierpieniem. Jak człowiek, który przez całą wojnę odgrywał rolę serca i głosu Żydów Związku Radzieckiego, mógł odmówić im pomocy, gdy wojna się skończyła? Ale bronienie go przecież go nie wskrzesi, prawda? A jej tylko zaszkodzi.

Wydawało się, że minęło mnóstwo czasu, odkąd przysięgła sobie, że nie będzie „wypaczać ani wyolbrzymiać”, że będzie jedynie czystym lustrem i nie powie nic, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić. Teraz już wiedziała, że wszystkie te składane bez zastanowienia obietnice były bezwartościowe. Jakiegokolwiek informacje mu przekaże, Subotin przerobi je tak, by potwierdzały jego wersję zdarzeń, tak jak ona sama przerabiała artykuły z amerykańskiej prasy do swoich biuletynów. Leon miał rację: lepiej dobić jeszcze jeden gwóźdź do zabitej już trumny.

W kwestii Icyka Fefera pozwoliła sobie na ostrzejszy ton. Powiedziała Subotinowi, że Fefer potraktował decyzję władz, która pozwoliła mu popłynąć do Stanów z Michoelsem, nie jako zlecenie, lecz jako osobiste zwycięstwo. Że z powodu tego „osiągnięcia” traktował z góry innych członków komitetu. Uważała, by nie oskarżyć Fefera o jakieś faktyczne przestępstwa, bo przecież mógł jeszcze żyć. Ale choćby nie wiedzieć jak krytycznie opisywała jego charakter, cytując zasłyszane plotki, Subotin nie sprawiał wrażenia usatysfakcjonowanego. Zapisywał jej słowa z tym samym znudzonym wyrazem twarzy. A potem wspominał o sprawie krymskiej. Według niego w spisek zaangażowani byli przywódcy komitetu. „Obiecali” Amerykanom, z którymi utrzymywali kontakt, fragment Półwyspu Krymskiego jako morski przyczółek imperialistycznej akcji zbrojnej. Zgodnie z „informacjami zebranymi podczas śledztwa” przywódcy żydowskiego spisku zaczęli już rozdzielać między siebie najważniejsze stanowiska tego imperialistycznego przyczółka. Subotin oczekiwał, że Florence powie

mu, które stanowiska zostały w tajemnicy obsadzone i kto miał je piastować.

Miała ochotę przycisnąć usta dłonią. Co za pomysł, koń by się uśmieł! Nigdy nie słyszała o żadnym takim spisku. Wynikałoby z tego, że niewielka grupa poetów ukuła plan obalenia potężnego rządu radzieckiego. Wiedziała tylko o sugestii, rzuconej przelotnie i całkowicie publicznie, by żydowskich uchodźców, którzy stracili domy, osadzić na Krymie. Próbowała wywnioskować z wyrazu twarzy Subotina, czy ten wierzy we własne słowa. Jeśli tak, musiał być fanatykiem gotowym uwierzyć we wszystko. Jeśli nie, był bezwzględny cynikiem, więc próby podważenia tej jego wiary byłyby zwyczajnie bezcelowe. Myśli z prędkością światła przelatowały jej przez głowę, strategia i filozofia zaczęły się ze sobą zlewać. Kto był bardziej niebezpieczny: fanatyk dający wiarę obrzydliwym kłamstwom czy cynik, który tylko udawał, ale gotów był w razie konieczności je urzeczywistnić? Przypomniała sobie, że nie może dać się teraz uwikłać w zaprzeczanie istnieniu tego rzekomego spisku. Jej jedynym wyjściem było utrzymywanie, że nic o nim nie wie, że członkowie Komitetu Żydowskiego tworzyli zwartą klikę i nawet gdyby taki spisek rzeczywiście został zawiązany, ona i tak nie miałaby o nim pojęcia.

Gdy tylko to powiedziała, pojęła, że jej odpowiedź została uznana za wyjątkowo niesatysfakcjonującą.

– Rozumiem – powiedział Subotin, nie odkładając stalowego pióra. – Mówicie mi, że otwarcie psioczyli i przepychali się łokciami w walce o stołki, ale gdy chodzi o spisek, to nagle twierdzicie, że byli „zwartą kliką”.

Komunikował jej w ten sposób, że wystarczająco długo pozwolił jej udawać idiotkę.

– Miałam na myśli tylko to, że akurat ja o tym nic nie wiem. Nie wykluczam, że omawiali te plany z innymi.

– Na przykład... z Seldonem Parkerem?

Usłyszała to nazwisko w głowie, jeszcze zanim je wypowiedział. Jak mogła być tak głupia, by wyobrażać sobie, że niczego od niej nie zażąda, jeśli dalej będzie grać naiwną kretynkę? To oczywiste, że przez cały ten czas Subotin miał wybrany dla niej cel.

– Tak, to prawda – powiedziała – że mieszkaliśmy w Kujbyszewie w dwóch małych pokojach z Seldonem Parkerem. To nie był nasz wybór. Jak możecie się domyślać, w Kujbyszewie niemal nie sposób było znaleźć mieszkania. Nasze kwatery zostały nam przydzielone. Tuż po ewakuacji mieszkaliśmy po dwadzieścia osób w sali w lodowatym budynku szkoły. Więc kiedy Sowinformbiuro zaoferowało nam dwa pokoje, byliśmy bardzo wdzięczni. Seldon mieszkał w tym mniejszym. Widywaliśmy się codziennie, wspólnie jedliśmy posiłki i tak dalej. Jeśli chodzi o to, jak dobrze go poznaliśmy... To już inna kwestia. Niełatwo go poznać. Jest bardzo skryty i nie pokazuje kart. Chcę powiedzieć, że jest towarzyski, elokwentny i tak dalej, potrafi wznieść toast, opowiedzieć dowcip, ale czasem mam poczucie, że wcale go dobrze nie znamy. Nie wiem, jak to do końca wyjaśnić.

A przecież wiedziała, że te wykręty nie mogą jej ocalić. Tak jak powiedział Leon, potrzebowała strategii, nie taktyki. W głowie rezonowały jej jego słowa. Wszyscy jechali na tym samym wózku i wszyscy zostaną wciągnięci na ten sam stryczek.

W tym momencie opracowany przez Seldona plan ucieczki nie wydawał się już Florence szalony. Stwarzał takie same szanse przeżycia jak siedzenie z założonymi rękami.

Pozostawało tylko pytanie – i była to jedyna część tej rozgrywki, nad którą w jej przekonaniu miała jeszcze jakąkolwiek kontrolę – jak opóźnić aresztowanie Parkera. Jak podsunąć Subotinowi myśl, że to ona mogłaby wyciągnąć z Seldona pożądane przez Subotina informacje?

– Miał pewien... szczególny talent – powiedziała teraz i pozwoliła, by po twarzy przemknął jej nieznaczny uśmiezek.

Widziała, że pod nieporuszoną maską Subotina pojawił się ledwie widoczny ślad zainteresowania.

– Jaki? – zapytał oschle.

– Zawsze potrafił załatwić alkohol. Można by pomyśleć, że to łatwe, ale podczas ewakuacji wódka była naprawdę droga, a wina dosłownie nikomu nie udawało się zdobyć. Na bazarze butelka kosztowała pięćset rubli! Można było ją zdobyć jakimiś nieoficjalnymi kanałami, ale na tym się nigdy dobrze nie znałam. Tak czy owak, jemu zawsze udawało się ją skądś wytrzasnąć: wódkę, gruzińskie wino, nawet sherry. Nie wiem jak, ale dzięki temu był postacią bardzo popularną wśród wierchuszki komitetu. Oni na pewno nie cierpieli z powodu marnych racji żywnościowych, a Seldon był zawsze pierwszy do kielicha.

– Twierdzicie więc, że z nimi pił.

– Owszem, okazjonalnie. Lubił dobre życie. W ten sposób zyskał znajomych w komitecie. Wiem, że z niektórymi lubił wychylić kilka głębszych. Ale o czym rozmawiali podczas tych libacji, tego dokładnie nie wiem. Czasem coś mu się wymknęło. Kiedyś rzucił, że Fefer mu powiedział, że „wreszcie zazna odrobiny ulgi, zobaczy kawałeczek raj”, kiedy pojedzie do Stanów. Cytował takie drobiazgi, które pewnie niektórzy mówili po pijanemu.

– I nigdy nie pytaliście o szczegóły?

– Chlubił się tym, że zna tych ludzi osobiście i może ich nazywać przyjaciółmi. Nie jestem plotkarą i nie lubię nikomu schlebiać ani dawać się prowokować niczymi popisami.

– Ja bym powiedział, że człowiek, który wypowiada się w ten sposób, wręcz prosi się, żeby zapytać go o więcej.

Haczyk. Przynęta. Branie. Miała go.

Wiedziała, że ryzykuje, sugerując, jakoby Seldon był w posiadaniu poufnych informacji na temat jakiegokolwiek, realnego czy wymyślnego, spisku uknutego przez jakikolwiek komitet. Tego rodzaju sugestia mogła być dla NKWD wystarczającym powodem, by natychmiast go aresztować, ale instynkt podpowiadał jej, że gdyby chcieli aresztować Seldona, już by to zrobili. O nie, niezależnie od tego, jakie wyrafinowane oszustwo preparowali w tym „śledztwie”, nadal potrzebowali wiarygodnych informacji pozwalających wyciągać z przesłuchiowanych dalsze zeznania. Zaniepokoiło ją to, że instynktownie zaczęła pojmywać, w jaki sposób rozgrywana jest ta okrutna, mało subtelna gra. Wielkie kłamstwa należało okupić drobnymi prawdami.

– Myślę – powiedziała – że mogłabym zapytać go o to teraz. Minęły już trzy lata. Skłonienie Parkera do rozmowy o tamtych czasach będzie wymagać trochę wysiłku, ale on w końcu uwielbia opowiadać rozmaite historie.

– Jak to zrobicie, to wasza sprawa – powiedział Subotin głosem bez wyrazu. A jednak w jego tonie, w jego pozorowanej obojętności wyczuła zachętę.

Kupiła sobie czas.

Przez jakiś czas na klatce schodowej nie było światła. Florence wydawało się, że dosłownie co kilka dni ktoś – któryś z mieszkańców albo łączących po podwórku wyrostków – kradnie żarówkę przy wejściu do ich budynku. Po jakimś czasie komitet domowy po prostu przestał wkręcać nowe. Lutowe noce były długie, a Florence musiała kluczyć do domu przez podwórko w ziarnistej ciemności. Tego wieczoru było szczególnie ciemno i jedyną metodą odnajdowania drogi pozostawało wymacywanie stopą ścieżki wydeptanej w zmrożonym śniegu. Szła ostrożnie, ściskając w garści dwie siatki zakupów i żałując, że tak późno wybrała się na bazar, by kupić poobijane warzywa wyprzedawane tanio pod koniec dnia. Przekroczyła próg sieni i zatrzymała się, bo wzrok nie przyzwyczał się jeszcze do panujących w niej atramentowych ciemności. Miała poczucie, że w wilgotnej pieczarze sieni nie jest sama. Wyteżyła słuch, próbując pochwycić to, co wydawało jej się skrzypieniem buta, a może tchnieniem, ale w drapieżnym bezruchu słyszała jedynie własny, płytki, przerażony oddech. Nie, nie pomyliła się. Ktokolwiek czaił się w mroku, wybrał ten moment, by przewyciężyć bezruch i ruszyć w jej stronę.

Szukała drogi ucieczki, przez drzwi wejściowe lub po schodach do góry, lecz straciła orientację. Ten ktoś ścisnął ją za ramię. Zareagowała instynktownie: siatka pełna cebuli, którą trzymała w drugiej ręce, zatoczyła w powietrzu łuk jak średniowieczny buzdygan. Krzyk Florence przerwał ciężką od oddechów ciszę, kiedy znów zamachnęła się na intruza torbą cebuli. Poczowała, że napastnik puszcza jej ramię, i momentalnie rzuciła się w stronę schodów. Potknąwszy się na pierwszym stopniu, chwyciła się barierki i wbiegła na podest.

I wtedy usłyszała jęk. Zerknęła na dół i tam, w promieniu bladego księżycowego światła, które w tej chwili wpadło przez okienko nad drzwiami, dostrzegła szczupłą postać skuloną u podnóża schodów.

– Seldon?

Jeszcze jeden jęk.

Zeszła po schodach.

– Chryste, zrobiłam ci krzywdę?

– Wątroba dojdzie do siebie, ale nie wiem jak z dumą.

Miał na sobie futrzaną uszankę z opuszczonymi klapkami.

– Dlaczego nie uprzedziłeś, że to ty?

– Może bym to zrobił, gdybyś mnie nie zdzieliła torbą... Co to właściwie jest?

– Nasza kolacja.

Florence opadła na kolana, próbując wymacać w ciemnościach cebule, które potoczyły się po posadzce.

– Leon poprosił, żebym nie przychodził bez zapowiedzi. Powiedziałem mu, że będę

tu na dole o wpół do ósmej. Stoję tu od prawie godziny.

Teraz Florence przypomniła sobie własne instrukcje dla Leona.

– Zostawiłam go z Julikiem. Musiał zapamiętać – wyjaśniła ze skruchą.

Seldon, trzymając w ręku cebule, które udało mu się odnaleźć, pokuśtykał za Florence po schodach. Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi do wspólnego holu. Dzięki Bogu nie było tu nikogo. W kuchni na końcu korytarza paliło się światło. Ktoś tam pobrzękiwał garnkami i talerzami. Seldon odłożył cebule i zaczął zsuwać buty.

– Och, na litość boską, daj spokój! – syknęła Florence.

Nie powinna była nic mówić, bo właśnie w tym momencie Essie wytknęła głowę z kuchni i wyjrzała na korytarz. Fartuch miała oprószony mąką.

– Florence! Miałam nadzieję, że to ty.

– Trochę późno na pieczenie – zauważyła Florence, ze wszystkich sił starając się nie mówić jak ktoś, kto z trudem panuje nad nerwami.

– Kompletnie zapomniałam, że obiecałam jednej dziewczynie z pracy zrobić tort napoleoński. Idzie na macierzyński, a mnie się skończyło mleko skondensowane. O, Seldon, witaj – powiedziała Essie, dostrzegając go przy wieszaku na ubrania. Podejrzliwie zmrużyła oczy za lekko przyprószonymi mąką okularami. – Dawno cię nie widziałam.

– Dobry wieczór, Essie.

Essie zwróciła się do Florence:

– Nie masz może w pokoju puszek mleka skondensowanego?

– Zobaczę.

Szukając mleka pod baczny spojrzeniem stojącej w drzwiach przyjaciółki, Florence próbowała ukryć zniecierpliwienie. Weszła na krzesło i macała na najwyższej półce, gdzie trzymała suche produkty, makaron, cukier i mydło. Julik kręcił się niespokojnie przez sen. Seldon podszedł do Leona i we dwóch zapalili przy oknie, które wcześniej lekko uchylili. Florence znalazła puszkę i podała ją Essie.

– Uratowałam mnie. W przyszłym tygodniu oddam ci dwie.

– Jedna wystarczy.

– No to... – Essie rozejrzała się i uśmiechnęła blado do mężczyzn. – Ciao.

Florence zamknęła za nią drzwi na haczyk. Wszyscy w mieszkaniu wiedzieli, że w ich pokoju śpi dziecko, więc rozmowa przyciszonymi głosami nie budziła niczych podejrzeń. Pojawiły się nowe elementy planu, który Seldon opracował wspólnie z Frankiem Kellym, człowiekiem z ambasady. Za jakieś siedem tygodni w domku myśliwskim w wiosce Uspienskoje, gdzie najwyraźniej niektóre ambasady miały swoje dacje, planowano przyjęcie dla pracowników ambasady i ich rodzin, na które pracownicy mieli zostać po kolei dowiezieni służbowymi samochodami. Kelly uważał, że przy takiej liczbie gości, do tego w dniu, w którym część szoferów miała wolne, zdoła pokierować swoim samochodem jako kierowca ochotnik. Tego popołudnia, na które zaplanowano przyjęcie, wszyscy czworo włożą najlepsze ubrania – „stroje na niedzielę” – i dotrą pociągiem podmiejskim najdalej jak się da, na stację Usowo, gdzie będą czekać, aż podjedzie po nich samochodem jadący z Uspienskoje Kelly, który zawiezie ich na teren ambasady. Poda im imiona i nazwiska kilku pracowników ambasady, włącznie z pracującą tam parą z dzieckiem. Na punkcie kontroli powinien wystarczyć oficjalny

identyfikator Kelly'ego. Gdy wszyscy znajdą się bezpiecznie za murami ambasady, będą mogli oficjalnie złożyć wnioski o azyl.

– A jeśli strażnicy nas zatrzymają i zażądają okazania dokumentów?

Kelly powiedział Seldonowi, że jest mało prawdopodobne, by strażnicy sprawdzili czyjekolwiek papiery poza jego własnymi. Gdyby jednak zażądano od nich ich dokumentów, Seldon i Florence najczystsza angielszczyzną zaczną się kłócić jak stare małżeństwo o to, które z nich miało pamiętać o zabranii papierów całej rodziny.

– Mów tak, jakbyś miała kluchę w ustach, a w życiu się nie domyślą, że nie jesteś Angielką – poradził jej Seldon.

– A co z Julikiem?

– Lepiej, żeby się nie odzywał. Ubierz go w fikuśne marynarskie ubranko. Coś świeżo wykrochmalonego i odprasowanego. To samo odnosi się do całej reszty. Floro, spraw sobie nową sukienkę, jeśli musisz, i kup nowe buty.

– A czy ja mam sobie sprawić frak? – zapytał Leon ponuro, ale Seldon nawet okiem nie mrugnął.

– Radziłbym nowe szelki i kapelusz – powiedział, po czym dodał: – A teraz posłuchajcie mnie uważnie. Macie zapakować tylko najważniejsze rzeczy. Do zwykłej torebki. Żadnych walizek.

– Zaraz, chwileczkę – przerwała mu Florence. – Skąd mamy wiedzieć... Nawet jeśli wszystko pójdzie zgodnie... zgodnie z planem tego Kelly'ego, skąd mamy mieć pewność, że ambasada nie wyrzuci nas z powrotem za drzwi? W końcu jesteśmy obywatelami Związku Radzieckiego.

– Zgodnie z prawem tego kraju owszem, ale wszystkim nam wydano nasze nowe paszporty nielegalnie, co oznacza, że nigdy nie pozbawiono nas naszego pierwotnego obywatelstwa. To było oszustwo. Zabrali nam paszporty i tyle. Masz dziecko, na litość boską! Byliby bezduszni, wyrzucając nas w takiej sytuacji.

– Ludzie się zorientują, że zniknęliśmy.

– Zostaw wszystko w mieszkaniu tak, jak jest. Sąsiadom powiedz, że wyjeżdżacie na krótkie wakacje. Zanim ktokolwiek się połapie, będziemy już z nowymi papierami w pociągu do Finlandii.

Siedzieli, omawiając plan ostrożnym szeptem, który miał nie tyle nie obudzić dziecka, ile nie wywołać w nich samych niepokoju z powodu ich zuchwałości. Mówili spokojnie, jakby omawiali plany i losy innych ludzi. Po tym, jak Seldon przekazał im wszystkie informacje, które miał, jeszcze przez dwie godziny siłą rozpędu omawiali kolejne szczegóły, aż wreszcie przerwało im lekkie pukanie do drzwi.

Florence podeszła na palcach i zapytała po rosyjsku, kto to.

– To ja – dobiegł ich przejęty wysoki głos Essie. Florence zdjęła haczyk i zobaczyła Essie trzymającą talerz z kilkoma napoleonkami, omiatającą spojrzeniem pokój. – Och, Seldon, nadal tu jesteś. – Zaskoczenie Essie wydawało się równie udawane jak pretekst jej wizyty. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Pomyślałam, że jeśli nie śpicie, może mielibyście ochotę. Zrobiłam więcej niż trzeba.

Seldon, jakby budząc się z transu, wstał. Włożył płaszcz i wziął jedną napoleonkę z tacy. Zwracając się do Leona i Florence, powiedział:

– Strasznie późno. Już dawno powinienem był przestać zawracać wam głowę. – A potem, ugryzłszy kawałek, spojrzał zaskoczony na Essie. – Umm. Zatrważająco smaczne.

– Dodałam rumu, dosłownie odrobinę.

– To pewnie to.

I skinąwszy głową na pożegnanie, wyszedł.

W niezakłóconym potoku kolejnych dni Florence zdążyła wyjść na miasto i upolować nowe ubrania i materiały. Dla siebie kupiła plisowaną spódnicę w kratkę, którą obszyła tak, żeby sięgała poniżej kolan, kapelusz z szerokim rondem i krótkie rękawiczki pod kolor. Dla Leona udało jej się znaleźć kamizelkę i krawat w paski. Julikowi kupiła kraciaste flanelowe spodnie, które zamierzała skrócić i przerobić na pludry podobne do tych, jakie widziała w zagranicznym czasopiśmie, uznawszy, że ten styl pasuje do rozpieszczanych dzieci angielskich dyplomatów. Obawiała się o rolę, jaką miał odegrać w ich planie Julik, ale nic mu nie powiedziała, pozwalając sobie mieć nadzieję, że gdy przyjdzie pora, gotów będzie ją odegrać. W końcu znał angielski, choć już jako pięciolatek był na tyle mądry, by nie posługiwać się nim poza czterema ścianami ich pokoju. Mimo wszystko, gdy byli sami, Florence zaczęła mówić do niego wyłącznie po angielsku, poprawiając jego wymowę bardziej rygorystycznie niż kiedykolwiek w przeszłości, z uporem, który początkowo wydał się chłopcu dziwny i nieznośny, lecz który z czasem wielkodusznie, jak to on, zaaprobował. W myślach powtarzała sobie teraz codziennie kwestię do wypowiedzenia, gdyby samochód został zatrzymany przez rosyjskiego strażnika: „Co, na taki krótki wyjazd? Nie przyszło mi do głowy, że będziemy potrzebować jakichkolwiek dokumentów”. W samotności, przed małym lusterkiem zawieszonym przy drzwiach, wypowiadała te słowa tak energicznie i beztrąsko, jak w jej wyobrażeniu mogłaby mówić Angielka. W ten sposób przygotowywała się do wyjazdu, starając się jednocześnie nie myśleć o przyszłości. To wszystko można było w każdym momencie odwołać. Mimo to kilka razy dziennie przekraczała nieświadomie niewidzialną granicę dzielącą rzeczywistość od fikcji, teraźniejszość od przyszłości – ona i Leon w kostiumach, które tak starannie skompletowała, i Julian w angielskim szkolnym ubranku, ze świeżo wyrobionymi papierami w rękach, przekraczający granicę z Łotwą, potem z Finlandią, wiatr smagający ich na statku i w końcu pokonanie oceanu. Najgorszego scenariusza nie śmiała sobie nawet wyobrażać. Jeśli przyszłość gotowała im jakąś koszmarną, nieznośną karę, nie było sensu próbować jej przewidzieć. Dziwnym sposobem już nie ich zbliżająca się ucieczka (od której wciąż dzielił ich miesiąc), lecz nieuchronne spotkanie z Subotinem nie pozwalało jej zmrużyć oka.

Jej strategia polegała teraz na przeciąganiu sprawy w razie pytania o Seldona i przekonywaniu Subotina, że pracuje nad wydobyciem z Parkera tego, co mówili mu w zaufaniu członkowie Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego podczas wojny i później. Ale co tu było do ujawniania? Musiała karmić paranoiczne wymysły Subotina okruchami wystarczającymi do tego, by podtrzymać w nim łaknienie kolejnych zeznań. A teraz jedynym strzępem obciążającego zeznania, jaki mogła mu przekazać, było coś, co kazał jej powiedzieć Leon – zdanie, które Michoels wygłosił podobno w obronie idei utworzenia żydowskiej republiki na Krymie: „Możesz mieszkać, gdzie chcesz, ale musisz

mieć własny dom i dach”. To było wszystko, więc podała to jako swój nędzny łup wydobyty od Seldona Parkera.

Pióro Subotina przestało skrzypieć po papierze.

– A zatem Michoels przygotowywał zasiedlenie Krymu Żydami, którzy mieli pomóc Ameryce w przejściu półwyspu dla własnych imperialistycznych celów.

– No, nie wydaje mi się, by jego celem było wydarcie Krymu władzy radzieckiej. Przecież to w ogóle niemożliwe.

– Nie interesują mnie wasze opinie, lecz fakty – powiedział Subotin.

Sądziła, że zainteresuje go taki obciążający szefa komitetu cytat, ale od chwili, kiedy weszła do mieszkania i usiadła, Subotin był wyraźnie zniecierpliwiony. Gryzmolił coś piórem, po czym przekreślał to, gdy zaprzeczała podsuwanym przez niego sugestiom.

– Fakt jest taki – powiedziała, starając się mówić pojednawczo – że plan zasiedlenia Krymu był omawiany. Według Parkera była to pewnego rodzaju romantyczna idea, z którą mogli wyjść jedynie aktorzy lub poeci. – Zdana była teraz wyłącznie na siebie, wymyślała tę historię na bieżąco. – Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, jak daleko to zaszło. Musiałabym popracować nad towarzyszem Parkerem nieco dłużej, żeby się tego dowiedzieć.

– Mieliście wiele tygodni.

– Skłonienie kogoś do przywołania rozmów sprzed wielu lat nie jest proste. Trzeba stworzyć właściwą atmosferę... wspominków.

Mogła przedstawić Subotinowi wersję, której oczekiwał. Mogła zrobić to od razu: powiedzieć, że wierchuszka Komitetu Żydowskiego przygotowywała oderwanie Krymu od Związku Radzieckiego z pomocą Stanów Zjednoczonych i tak dalej. Stwierdzić, że Seldon Parker wiedział o tym wszystkim, że był z nimi w zмовie. Doprowadziłoby to do aresztowania Seldona, z pewnością, ale mogłoby ocalić ją i Leona. Jej prezent kupiłby im życie, uratowałby ich rodzinę. Czy nie tego właśnie pragnęła? Chronić ich, chronić Julika? Kim był dla niej Seldon? Krewnym nie. Przyjacielem? A kimże jest przyjaciel? Był zwyczajnym zбочeńcem, szikurem, który miał nie po kolei w głowie.

A jednak nie mogła tego zrobić. Może jego plan jest jedynie zamkiem na lodzie, może jego Frank Kelly nie istnieje, a może istnieje, ale w ostatniej chwili się załamał i doprowadzi do tego, że zabiorą ich wszystkich na Łubiankę. Ale mimo wszystko. Mimo wszystko Seldon miał pewność. A ponieważ on ją miał, miała ją i ona. Jakikolwiek czyste czy niezdrowe motywy popchnęły go do przyjścia im z pomocą, plan, który opracował, umowa, która związała życie i losy całej ich czwórki, były wszystkim, co teraz miała. Jediną nadzieją, którą Florence wciąż starała się ocalić, jedyną spośród wszystkich tych niedotrzymanych obietnic jej piętnastoletniego życia w Rosji.

– Mieliście ponad miesiąc na stworzenie „odpowiedniej atmosfery” – powiedział Subotin.

– Proszę, jestem coraz bliżej. Kiedy ostatnim razem Parker wpadł na drinka, skłoniłam go do mówienia, ale był za krótko.

Subotin zapisał to i powiedział:

– To było kiedy? W przedostatni czwartek?

Wyglądało, jakby sprawdzał coś w notatkach.

– Tak, chyba tak.

Udawała, że się zastanawia. Czy podała mu konkretny dzień, kiedy Seldon ich odwiedził?

– A ile to waszym zdaniem jest krótko?

– Słucham?

– Czy godzina to krótko, waszym zdaniem? Dwie godziny?

Utkwił w niej spojrzenie bladoniebieskich oczu. Czy to było pytanie teoretyczne? O co ją właściwie pytał?

A potem, nagle, dotarło do niej znaczenie jego słów.

Dwie godziny.

Przez chwilę poczuła się tak, jakby rosyjski był dla niej znów językiem obcym i jakby dosłownie w ostatniej sekundzie pojęła sens pytania.

Dwie godziny. Pytanie nie było teoretyczne. On wiedział. Wiedział, że Seldon był w ich pokoju w poprzedni czwartek przez dwie godziny. I właśnie ją o tym informował.

Obserwował ją, by sprawdzić, jak zareaguje. Ale skąd wiedział? Nikt w mieszkaniu nie widział, jak Seldon wchodzi albo wychodzi. Przecież właśnie po to krył się w cieniu. Tylko Essie, która przyniosła im napoleonki. Essie, wobec której Seldon przez cały czas żywił podejrzenia.

Florence nigdy nie powstało w głowie, że jej najlepsza przyjaciółka mogła spotykać się w tym samym pokoju z Subotinem albo kimś takim jak on. Dlaczego? Zrobiła założenie, tak przelotne i próżne, że nie zarejestrowała go nawet jako myśli, że ona, Florence, została w jakiś sposób wyróżniona za swą przenikliwość i inteligencję. Tak, gdzieś w głębi ducha odczuwała jakąś wstrętą dumę płynącą z wykonywania tej odrażającej pracy, do której ją zmuszali. To gwałcenie samej siebie, które od przebudzenia do zaśnięcia napawało ją obrzydzeniem, podtrzymywało w niej jakąś podłą iluzję, że jest bystra i w jakimś sensie wyjątkowa. A teraz straciła nawet to. Jaką była idiotką, sądząc, że Essie szukała ich towarzystwa ze względu na atrakcyjność Seldona. Całe to oblewanie się rumieńcem było wybiegiem, który miał jej pozwolić wśliznąć się do pokoju Florence, w którym omawiano wszystkie sekrety. Essie gadająca bez opamiętania o wszystkich tych czasopismach... Cóż to było, jeśli nie prowokacja? Żeby Florence rozpuściła gębę. Czy w ogóle do pomyślenia było jakiegokolwiek inne wyjaśnienie? Dwie godziny. Wystarczyły te dwa słowa. Nie trzeba było nic więcej. Teraz to już nie Subotin siedział po przeciwnej stronie wypolerowanego dębowego blatu, wpatrując się w nią ponad koronkowym bieżnikiem zarzuconym papierami, jego talią kart. Odbicie w lśniącej powierzchni samowaru, z którego nigdy nie nalano jej herbaty, nie było już odbiciem jej i Subotina, lecz jej i Essie. Subotin był jedynie magazynem wszystkiego, co powiedziała Essie jemu albo komuś, kto mu to przekazał.

Ale bywał już wcześniej błędnie informowany. Wiedziała o tym. Jego źródła myliły się lub kłamały.

Moje słowo przeciw twojemu, mała.

– Kiedy ostatnim razem Seldon Parker wpadł do naszego pokoju – powiedziała – rzeczywiście udało mi się skłonić go do mówienia. Chciał mówić, czułam to. Ale niestety nam przerwano.

– Co wam przerwało?

– Kto. Moja sąsiadka, Esther Frank. W jej obecności Seldon nigdy nie mówi otwarcie.

– Dlaczego?

Florence pozwoliła sobie wzruszyć ramionami.

– Nie ufa jej. Uważa, że jest irytująca i... zachowuje się prowokacyjnie.

Skoro skwapliwość Essie mogła być jej atutem, mogła być również jej obciążeniem.

– W jakim sensie prowokacyjnie?

– Ciągłe biadoli. Na racje żywnościowe, na niedobory. Że rząd ignoruje zwyczajnych ludzi. – W końcu Florence poczuła, że może spojrzeć Subotinowi prosto w oczy. – Próbuje wciągnąć ludzi w dyskusje. W spory, których nie chcą toczyć.

Informatorka pozbawiona jakichkolwiek do tego predyspozycji – to właśnie chciała mu powiedzieć Florence.

– A jednak nigdy wcześniej nie wspomnieliście o jej antyradzieckiej gadaninie.

– Nigdy wcześniej nie interesowała was Esther Frank.

– Słuchaliście jej perorowania i nie reagowaliście.

– Co mam powiedzieć osobie, która postanowiła być za wszelką cenę niezadowolona? Podejrzewam, że porównuje swoje życie z tym, jakie wiodła wcześniej w Stanach, i wychodzi jej na niekorzyść.

Drgnęła, gdy Subotin uderzył pięścią w stół tak mocno, że aż dwie kartki papieru sfrunęły na podłogę.

– Podejrzewacie. Zakładacie. A mnie się zdaje, że większość waszych rzekomych „informacji” to właśnie to: podejrzania. Domniemania. Babskie gadanie, nic więcej! Próbowaliście się wykręcić od tego dochodzenia.

– Mówię wam wszystko, co wiem! – W jej oczach wezbrały łzy. Nerwy miała napięte do granic i czuła, że nie wytrzyma w tym pokoju ani minuty dłużej. – Wszystko, co wiem. Nie mam nic do ukrycia.

Pozwoliła, by łzy spłynęły. Pozwoliła mu sądzić, że płacze, bo zranił jej dumę.

– Nie dostarczyliście mi jeszcze żadnych dających się sprawdzić informacji na temat konkretnych planów czy działań kogokolwiek z waszego kręgu.

– Ale mogę. Jeśli dacie mi więcej czasu.

Wskazał palcem na sufit.

– Ja też mam swoje rozkazy i potrzebuję konkretnych wyników.

Florence przełknęła ślinę. Wypowiedziane przez nią słowa nie brzmiały jak coś, co mogłoby wyjść z jej ust.

– Chcecie konkretów. Ona trzyma w pokoju zagraniczne czasopisma.

Nie potrafiła na niego spojrzeć, choć była świadoma jego wzroku, jego milczenia.

– Jakie czasopisma?

– „Newsweek”. „Life”. Nie pamiętam. – Otarła oczy. – Dlatego właśnie Esther Frank rzuca oszczerstwa na naszą sowiecką rzeczywistość, bo porównuje ją z tym tanim blichtrzem, jaki jej serwuje kapitalistyczna propaganda.

Niech teraz Subotin zarzuci Florence kłamstwo. Jeśli Essie ze swojej strony

przedstawia mu całkiem innym obraz, niech Subotin sobie to teraz rozwikła. Moje słowo przeciw twojemu, mała.

– A skąd ona bierze te czasopisma?

– Pracuje w Wydawnictwie Zagranicznym TASS. Może stamtąd albo od swoich zagranicznych znajomych.

– Widzieliście te czasopisma.

– Obawiam się, że tak.

– To dlaczego nie donieśliście o tym wcześniej?

– To ordynarne błahostki, uważałam, że to nie ma wielkiego znaczenia wobec zdradzieckiej działalności Komitetu Żydowskiego.

Słyszała, jak Subotin postukuje piórem w kartkę, być może próbując ocenić, czy to wszystko układa się w całość.

– Nam zostawcie decydowanie o tym, co ma znaczenie, a co nie – powiedział.

Obserwowała łysiejące ciemiej Subotina, gdy sunął piórem po papierze. Widziała go wtedy po raz ostatni.

Przez dwie noce nie spała. Julik chorował. Lodowata moskiewska zima trwająca aż do kwietnia osłabiła go, doprowadzając do zapalenia oskrzeli. Kolejny raz męczyła go gorączka i mokry kaszel, który nie pozwalał mu zasnąć na dłużej niż kilka godzin. Opieka nad chorym dzieckiem nie pozostawiała wiele czasu na cokolwiek innego i uzasadniała wycofanie się Florence ze wspólnotowego życia mieszkania, zdystansowanie się od Essie bez wzniecania podejrzeń. Było już po północy, gdy Florence weszła do kuchni przygotować na plecy chłopca okłady z gorczycy pozwalające rozrzedzić wydzielinę z płuc. Stojąc przy kuchence i czekając, aż woda się zagotuje, usłyszała głos dozorca, usłużny i lekko pijany. Postawiła garnek na stole, obok kompresów oprószonych mąką i suchą gorczycą.

– O tych to ja nic nie wiem, to wszystko cudzoziemce – mówił komuś dozorca, a bełkotliwa mowa stawała się tym piskliwsza, im wyżej na schodach słyhać było głosy.

Przyszło jej do głowy, by pobiec do ich pokoju, zaalarmować Leona, zapakować synka w kołdrę i zabrać go... gdzie? Nacisnęła klamkę drzwi prowadzących na nieoświetloną tylną klatkę schodową, dawne wejście dla służby, a te, o dziwo, się otworzyły. Ale co mogła zrobić? Zabrać z łóżka rozgorączkowane ciało i wynieść je na zimne, wilgotne schody? A potem co? Aż do tej chwili nie myślała poważnie o ucieczce. Nie myślała o niej, bo wiedziała, że to bezcelowe. Nie było dokąd pójść. I było już za późno. Słyszała kroki na podeście, dozorcę z pękiem kluczy wprowadzającego mężczyzn w wysokich butach. Byli już tutaj, na korytarzu, a ona, ukryta za drzwiami na kuchenne schody, nie widziała ich. Ale słyszała. Burkliwy głos zapytał krótko:

– Który to pokój?

Proszę: oby nie nasz!

– Kto jest w kuchni?

Skrzypienie butów przybliżyło się.

– To tutaj – powiedział dozorca chrapliwie. Buty zatrzymały się przed drzwiami do kuchni.

I już wiedziała.

Pukali do ostatnich drzwi w korytarzu. Pokój Essie. Trzy natarczywe stuknięcia, po nich zniecierpliwione czwarte. Ruch wywabił z pokoi pozostałych sąsiadów. Wreszcie drzwi skrzypnęły.

– Tak?

Głos Essie był słaby jak głos dziecka. Zażądali okazania dokumentów.

– Czego od niej chcecie?

Florence rozpoznała Awdotię Grigoriwnę, starą kobietę, która nikogo się nie bała.

– Wracać do pokoi – polecił mężczyzna.

Mieli polecenie przeszukania i aresztowania.

Ukryta za drzwiami Florence była zbyt przerażona, by się ruszyć. Nie widziała Essie w tych jej znoszonych kapciach i krzykliwym kwiecistym szlafroku narzuconym pospiesznie na nocną koszulę. Nie widziała, jak Essie mruga krótkowzrocznie, ślepa na tę upiorną niespodziankę jak ślepa była na wszystko inne. Oszczędzono Florence widoku twarzy przyjaciółki, na której strach mieszał się z kobiecym zażenowaniem, że oto zastano ją taką niechlujną w środku nocy. Florence nie musiała tego widzieć. Wiedziała.

A przecież tak naprawdę nie wierzyła, że mogą przyjść po Essie. Przecież to Essie była w tym mieszkaniu prawdziwą donosicielką. To, co Florence w chwili strachu powiedziała Subotinowi o czasopismach, powiedziała tylko po to, by kryć siebie, pewna, że Essie już na nią doniosła. Skąd miała tę pewność? Usiłowała sobie przypomnieć. Dwie godziny. Tak. Niepokojąca wizja Essie z napoleonkami. A jeśli to nie Essie donosiła? Jeśli to ktoś inny obserwował dom, ktoś z zewnątrz, obserwujący wchodzących i wychodzących? Albo sam dozorca? Albo ktokolwiek inny? Głupio przekonała samą siebie, że zna wszystkie mroczne mechanizmy tego systemu. Czy powiedzielibyście, że godzina to krótko? Dwie godziny? Zwykły bluff, który miał ją sprowokować. A ona, oszalała ze strachu, dała się podpuścić. Kierowana zwierzęcym odruchem porzuciła wszystkie zabezpieczenia obranej „strategii”, żeby się bronić przed podstępą prowokacją, za którą prawdopodobnie nic nie stało. Bronić się lekkomyślnym wyznaniem, kłamstwem!

Przyciskając plecy do ściany, zakryła usta dłonią, by nie wypowiedzieć na głos cisnących się na nie słów: Co ja zrobiłam?

Ale było już za późno. Żadne wątpliwości nie mogły zmienić biegu zdarzeń rozgrywających się po drugiej stronie drzwi. Milicjanci przepchnęli się do pokoju Essie, a tam musieli znaleźć, za komodą albo pod łóżkiem, czasopismo, którego Essie jeszcze nie oddała. Prezent od Florence. Ostateczne potwierdzenie ich rozejmu.

Współpraca z Subotinem urwała się tak nagle, jak się rozpoczęła, za pośrednictwem telefonu. Następnego dnia Florence podniosła w pracy ciężką słuchawkę i usłyszała, że zostaje przekazana innemu prowadzącemu, który w odpowiedniej chwili się z nią skontaktuje. Mijały dni i zbliżał się termin ich wyjazdu, a ona czekała w napięciu na kontakt, który nie następował. Niezależnie od tego, jakich stresów przysparzały jej spotkania z Subotinem, ten nowy, niepewny okres wyczekiwania szarpał jej nerwy jeszcze bardziej. Nie miała żadnego sposobu, by ocenić położenie, w którym się znaleźli. Nocą ogarniało ją przecucie katastrofy i najłżejsze dźwięki wyrywały ją z niespokojnego snu.

Leon również uważał zerwanie kontaktu za zły znak i zapowiedział jej, że muszą być przygotowani. Oboje trzymali w gotowości spakowany plecak z czystą bielizną, puszką proszku do mycia zębów, pieniędzmi i ołówkiem na wypadek, gdyby do drzwi zastukała policja. Pozbyli się większości tego, co w ich odczuciu mogło ich narazić na kłopoty. Zgodnie z sugestią Seldona Leon rozebrał radio, wyrzucając jego części do kilku koszy na śmieci w okolicy. Już wcześniej pozbyli się Twaina i Hemingwaya, i zaczytanych numerów „Ejnikajt”. Leon twierdził, że teraz już nie są bezpieczne nawet stare wydania pism Lenina. Jedną po drugiej wyrywali kartki z książek, darli je na strzępki i spuszczały we wspólnej toalecie. Pozbywając się nocą tych kawałeczków, Florence wyobrażała sobie całą Moskwę zapychającą zakazaną literaturą ciągnące się pod nią rury kanalizacyjne. Leon kazał jej podrzeć listy od brata, ale do tej jednej rzeczy nie potrafiła się zmusić. Zachowała je zwinięte w rulonik w puszcze z mąką; nie mogła tak po prostu podrzeć tych kruchych, pożółkłych stron, ostatniego ogniwa łączącego ją z uniwersum rozciągającym się za tym zrakowaciałym, naznaczonym łękiem światem.

Tylko stanowcze postanowienie, by nie przenosić napięć na synka, pozwolić Julikowi żyć tak, jakby wszystko toczyło się zupełnie normalnie, pozwoliło jej przetrwać te tygodnie. Ale chłopiec, wrażliwy na zmiany, zaczął się obawiać rozstań z matką, nawet krótkich, jakby wyczuwając, że jeśli straci ją z oczu, ona może zniknąć na zawsze.

Nie puszczała go do szkoły i pozwalała mu przepędzać dni na oglądaniu rozłożonych na łóżku książeczek z obrazkami. Jego ulubione prezentowały metody wykonywania modeli z kartonu; rysunki na stronach można było wycinać nożyczkami, by robić spadochrony, wiatraki, silosy i latarnie morskie. Siadywała obok niego i czytała mu o samolotach i okrętach, lokomotywach i parowcach pokonujących wielkie odległości. Pozwalała mu ucinać sobie wieczorne drzemki, podczas gdy czerwone słońce zachodziło za ośnieżonymi dachami. Nocą chłopiec budził się i zastawał matkę siedzącą na krześle obok jego łóżka, pochyloną nad nim, z gęstymi lokami spadającymi jej na ramiona, ciepłą dłonią gładzącą jego chłodne, spocone czoło. Uspokajała go i mówiła, żeby spał dalej. Obserwując, jak ciężko oddycha we śnie, doświadczyła po raz pierwszy w życiu dotkliwego poczucia jego śmiertelności. Starła się nie myśleć o tym, co się stanie z ich trojgiem. Już nie potrafiła sobie wyobrazić przyszłości.



Czułem się jak Alicja w Krainie Czarów. Kot wytatuowany na piersi Kabłukowa uśmiechał się morderczo, to znikając, to wyłaniając się zza kłębow pary. Staralem się nie przypatrywać ciału Trepa zbyt natrętnie, kiedy we trzech – on, Tom i ja – rozłożyliśmy się niczym rzymscy senatorzy, owinawszy biodra prześcieradłami.

Kabłukow zostawił ray-bany w przebieralni, ale oczy miał półprzymknięte, a wyraz twarzy osoby, która właśnie przyjmuje składane jej hołdy.

– Wiecie, dlaczego lubię robić interesy z Amerykanami?

– Ależ proszę nam powiedzieć, Iwanie Matwiejewiczu – odparłem.

Gardło bolało mnie od nadmiaru pary, a może od wysiłku, jakiego wymagało zachowywanie się w sposób cywilizowany.

– Dostyc już tych formalności. Proszę, mówcie mi Wania. Lubię Amerykanów, bo jesteście podobni do nas. Prości. Nie jak ci skomplikowani Francuzi, oschli Niemcy albo Japończycy. Tych to już, do cholery, w ogóle nie sposób odczytać, wszyscy wyglądają tak samo.

Przetłumaczyłem jego słowa Tomowi, który zręcznie udał rozbawienie. Kabłukow odstawił szklanke piwa i przechylił się przez kamienną ławkę, by uścisnąć mu dłoń, jakby przypieczętowywał obopólne zrozumienie.

Wszędzie wokół nas na marmurowych płytach siedzieli rozwaleni lub przygarbieni mężczyźni, oddychając przez usta, pogrążeni w uzdrawiającym ośpieniu, jakby to była kwestia najwyższej wagi. Kilku przysiadło na tureckich kaflach przy wypolerowanych kranach, szorując się nawzajem lub okładając suchymi brzożowymi witkami, po czym splukując toksyny w rozbryzgach zimnej wody. Gdybym zamknął oczy, mógłbym pomyśleć, że jestem w garbarni. W tym oparze wszystkie rozmowy zmieniały się w jednostajny szmer, ponad który od czasu do czasu, zagłuszając odgłosy lania i mówienia, wybijały się okrzyki „Mocniej! Mocniej!”.

– Człowiek może być „zawodowcem”, dobrym pracownikiem. Ale czym jest praca? To tylko... przedmiot. – Kabłukow przywołał obsługę. – Istotne jest to, co w środku. – Uderzył pięścią w wyobrażony na jego piersi krzyż o dziwnym kształcie. – Duch człowieka. Zajmijcie się nim – polecił, wskazując na Toma, mężczyźnie z personelu, który sprawiał wrażenie bardzo starego.

Żyłasty człowieczek gestem polecił Tomowi, by ten rozciągnął się na brzuchu na ławie, po czym zaczął okładać go po nogach i plecach brzożowymi witkami, początkowo lekko, a potem, gdy Kabłukow kilkakrotnie kiwnął głową, z większą energią, bicząc gładkie południowe ciało Toma w rytm jego z trudem tłumionych jęków.

– Może jednak delikatniej – wydusił z zażenowaniem pomiędzy jednym a drugim stęknieniem.

Kabłukow poprawił sobie tkaninę na biodrach i kilkakrotnie głęboko zaciągnął się parą, po czym polecił człowiekowi z obsługi przynieść sobie jeszcze dwa piwa, z czego mężczyzna wywiązał się niepokojąco sprawnie. Kabłukow z sykiem odkapslował jedno po drugim.

– W bani nie ma sensu spędzać mniej niż trzy godziny – oznajmił, przechylając swoją butelkę, a potem czekając, aż ja wezmę łyk. – Wy, Amerykanie, chodźcie do tych waszych lekarzy, a potem łykacie jedne, drugie, trzecie pigułki, a my – rozłożył ręce i postawił butelkę na ławie – my o nasze ciała troszczymy się tutaj!

Kabłukow raczej nie wyglądał na modelowy egzemplarz kogoś, kto mógłby reklamować korzyści zdrowotne płynące z odwiedzania bani. Kiedy go poznałem, zrobił na mnie wrażenie człowieka fizycznie silnego, ale to pierwsze wrażenie świadczyło jedynie o wartości drogiego garnituru. Kiedy siedział nagi, widać było, że zupełnie nie ma barów – jak mors. Cała jego budząca postrach masa skupiona była z przodu. Dziesięciolecia zajadania się smalcem i zapijania wódką odłożyły się potężną oponą na brzuchu i nałaty mu twarz tak, że przypominał starego alfonsa albo urzędnika publicznego.

– Nie ucz ojca dzieci robić – powiedziałem z może nieco nadmiernym rozdrażnieniem. Nie mogłem się doczekać, aż dowiem się, do czego zmierza. – To znaczy, chciałem powiedzieć, że kiedyś tu przychodziłem, do Łaźni Sandunowskich – poprawiłem się.

– Ach, zanim straciliśmy cię na rzecz Stanów.

– Jeszcze jako chłopiec – powiedziałem. – Z ojcem.

– Naprawdę?

Tak. Rzeczywiście przyszedłem tu kiedyś z tatą, choć tylko raz. Na całe życie zachowałem przebliski tego błędnego wspomnienia. Wtedy właśnie widziałem ojca po raz ostatni.

– Mój ojciec był Ormianinem. Widzicie to? – Kabłukow popukał się w tatuaż na piersi. – Ludzie sądzą, że to jakiś tam zwyczajny krzyż. A właśnie nie. To Włócznia Przeznaczenia. Ostrze, którym przebito samego Chrystusa. – Palcem wskazującym powoli, jakby dokonywał chirurgicznego cięcia, przesunął wzdłuż jednego z żeber po lewej stronie. – Włócznia Przeznaczenia została przywieziona do Armenii przez Świętego Grzegorza Oświeciciela.

– Dowiedziałeś się tego od ojca?

Kabłukow spojrział na mnie jak na wariata.

– Mojego ojca? Gdybym tego piździelca spotkał na ulicy, to chyba bym go zatłukł. Tak czy inaczej – uniósł palec – wierzę jednak, że istotne jest to, by nie zapominać o swoim dziedzictwie. Dlatego właśnie mam to. – Wskazał na przybladłą niebieską inskrypcję na przedramieniu. – „Ten, którego wrzucono do wody, nie boi się deszczu”.

Kabłukow polecił żylastemu mężczyźnie z obsługi, by dał już spokój zmaltretowanemu ciału Toma i zajął się nim. Odchyliłem głowę i zdrzemnąłem się, ukołysany szmerem rozmów. Stłumione odgłosy bani oplotły mnie koroną dźwięku,

w której to odzyskiwałem, to traciłem kontakt z rzeczywistością. Próbowałem walczyć z sennością, ale odstęp między chwilami pełnej świadomości coraz bardziej się kurczyły, a wspomnienia podniosły się niczym kamienie z dna rzeki, ułatwiające przejście na drugą stronę.

Nie do końca świadomie wspominałem ojca – jego szczupłą sylwetkę, wątłe mięśnie, włosy na palcach stóp – kiedy szliśmy po wykładanych kafelkami schodach na drugie piętro Łaźni Sandunowskich. Na poziomie oczu miałem jego zwisający członek. Widziałem już, że różni się od mojego – nie tylko wielkością, ale i obecnością lśniącej bulwy na końcu. Miało minąć kolejne dziesięć lat, zanim dowiedziałem się o znaku Abrahama, którego ja i reszta moich żydowskich rówieśników, urodzonych po wojnie, zostaliśmy pozbawieni ze strachu przed faszystami, wchodząc w wiek męski z nietkniętym napletkiem.

Łaźnie Sandunowskie były starsze i bardziej rozgrzane niż miejskie zakłady, do których chadzałem z mamą, te pospolite, obskurne łaźnie publiczne, którym brakowało atmosfery minionej chwały imperium, zachowanej w rzeźbionych, połączonych ścianach Sandunów, łuszczących się sztukateriach, poszczerbionych marmurowych schodach i wielkich zmatowiałych lustrach. Obrócony w ruinę raj, okręt widmo, na którym pokutujące dusze biczowały siebie i innych. Na górze, gdzie para była najgęstsza, gromadzili się w kapciach i spiczastych filcowych kapeluszach prawdziwi entuzjaści. Prawie nie dawało się tam oddychać. Tata zdobył skądś wielką ocynkowaną miskę i napełnił ją zimną wodą z kranu.

– A to po co?

– Zobaczysz.

Nagi, zaniósł ją na drewnianą ławę w głębi pomieszczenia, a ja poszedłem za nim, bojąc się stracić go z oczu w lesie nóg. Podłogę pod stopami pokrywały śliskie liście.

– No więc jak zrobi ci się za gorąco, to po prostu nachyl się i wciągnij powietrze tuż znad tej miski, dobra? Jak tylko poczujesz, że palą cię płuca, przysuń twarz do zimnej wody i odetchnij. Łapiesz, szefie?

– Łapię.

Robiłem, jak mi polecił, a on tymczasem szorował sobie barki i plecy szorstką gąbką. Za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwiczki do pieca i wylewał na rozgrzane cegły więcej wody, pochylałem głowę nad miską. Gdy tylko znów mogłem oddychać, spoglądałem ukradkiem na innych chłopców siedzących w bani. Niektórzy byli ode mnie nieco starsi, kilku było młodszych. Wszyscy trwali dumnie obok ojców, mężnie znosząc gorąco. Czulem zazdrość i zażenowanie za każdym razem, gdy musiałem przykłęknąć i wciągnąć w płuca chłodne powietrze znad miski. Chłopiec, który co tydzień chodził do bani z mamą, otoczony tam białoskórymi, mlecznymi istotami, górą starych ciał i kurhanami napęczniałych brzuchów, infantylizowany serdecznymi kobiecymi uśmiechami, wydawał mi się teraz kimś dalekim – małym dzieckiem. Matka zawsze przypominała mi, żebym wymyślił się jeszcze tu i tam, „żeby nic nie zostało”. Tata, podając mi mydło, wydawał się ufać, że sam się o siebie zatroszczy.

Starłem się nie pochylać zbyt długo nad taflą lodowatej wody, gdzie łatwiej się oddychało. Podnosząc się, za każdym razem próbowałem wytrzymać trochę dłużej.

Podłoga parzyła mnie w stopy. Gdzieś w oparze nad moją głową jacyś mężczyźni wołali do obsługi, żeby „lać więcej!”. Słyszałem skrzypienie drzwi, wodę wylewaną na kamienie i eksplodującą z sykiem kłębam pary, tworzącymi mgłę, którą próbowałem oddychać.

Głos Kabłukowa gwałtownie przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Nie mogłem nie zauważyć, jak przegoniliście naszych chłopców z Sausena podczas ich prezentacji.

Sauna po naszej stronie opustoszała, para nieco się przerzedziła. Zobaczyłem Toma wychodzącego spod zimnego prysznica i owijającego się ręcznikiem. Wyszorowany i odświeżony usiadł obok mnie.

– Co facet mówi?

– Że zadajemy wiele pytań.

– Powiedz mu, że zadawaliśmy im takie same pytania, jakie zadalibyśmy każdemu potencjalnemu wykonawcy.

Ale Kabłukow chyba pojął bez tłumaczenia.

– No i świetnie, że je zadawaliście! Powiedziałem chłopakom, że powinni zdawać sobie sprawę, że statki to poważna rzecz. Kiedy wezmą się do roboty, muszą być gotowi na wszystko.

Powstrzymanie się od uniesienia brwi wymagało ode mnie nie lada opanowania. Obróciłem się i przetłumaczyłem Tomowi.

– Nie podjęliśmy jeszcze decyzji, panie Kabłukow – powiedział Tom z szacunkiem. – Wciąż bierzemy pod uwagę kilku innych wykonawców.

Kabłukow zamknął oko i z powagą pokiwał głową, by pokazać, że rozumie bez tłumaczenia, i chyba zasygnalizować, że nie ma zamiaru mieszać się w nasz proces decyzyjny.

– Polegamy na waszej ocenie. – Oparł łokcie na owiniętych ręcznikiem udach, pochylił się i zniżył głos do chrapliwego szeptu. – Nie bez powodu umówiłem nasze spotkanie tutaj.

Postarałem się jak najlepiej oddać sens jego wypowiedzi, choć nie wiedziałem, do czego właściwie zmierza.

– Nasi przyjaciele z Sausena... Czy dacie to zlecenie im czy komuś innemu... – Kabłukow wzruszył spadzistymi ramionami. – Na dłuższą metę to nie ma istotnego znaczenia.

No to po co to całe zamieszanie? – pomyślałem.

– Nie dlatego chciałem porozmawiać z wami w ten sposób, osobiście. Nie chciałem robić z tego oficjalnego spotkania, bo to, co mam do powiedzenia, jest cały czas informacją bardzo świeżą. W ciągu sześciu miesięcy L-Pet wyda komunikat o wystawieniu na sprzedaż dwunastu procent akcji, z opcją zakupu dodatkowych trzech procent.

Gestem tłustego ramienia polecił mi przetłumaczyć i odchylił się, czekając cierpliwie, aż to zrobię.

Patrzyłem, jak Tom otrząsa się z parowego stuporu.

– Zapytaj go, czy będą wystawiali te udziały na sprzedaż na wolnym rynku.

I znów Kabłukow wydawał się rozumieć pytanie bez mojego tłumaczenia.

– To, komu uda się z powodzeniem złożyć ofertę w tym przetargu, będzie zależało od wielu rzeczy – odparł. – Spodziewamy się, że Exxon i Chevron spróbują zaoferować nam za nasze zasoby worki dolarów, ale nie mamy ochoty wiązać się z molochami. Jak odkrył pan Chodorkowski, im większy partner, tym większe problemy. Dla nas ma znaczenie to, co jest tutaj. – Gestem kciuka wskazał na owłosione, napięte ciało z trudem utrzymujące jego wnętrze. – Lubimy robić interesy z ludźmi, którzy lubią robić interesy z nami. Pojmujecie?

Mimo gorących oparów i odzywającego się w mojej głowie niepokoju zrozumiałem, że Kabłukow próbuje oddać mi przysługę: ściele Tomowi pod nogi właściwą drogę.

– Mamy preferowanych kupców – ciągnął. – Podobnie jak mamy preferowanych partnerów.

Spodziewałem się kija, a on mi tu tymczasem machał marchewką. Nie wierzyłem mu. Nie ufałem. Ale nie widziałem sposobu na obejście tej kupy mięcha. Kabłukow skinął na mnie i odchylił się uprzejmie. Podawał mi rozpisany scenariusz.

Przetłumaczyłem posłusznie. Co mogłem zrobić? Słowa cierpły mi w ustach. Cztery lata wysiłków, owoc pracy mojego życia – wszystko padało ofiarą żarłoczności starego spoconego gangstera. Ale obserwujący moją reakcję Kabłukow tylko się uśmiechał. Mój krzywy uśmiech wziął chyba za oznakę naszego sojuszu.

– Czy nasz tutaj przyjaciel pojął, co wam właśnie przekazałem?

– Chwila, chwila – powiedział Tom, nachylając się w stronę ławki Kabłukowa. – Mówicie, że Continental stałby się preferowanym kupcem na dwanaście procent akcji L-Petu?

Nie otwierając półprzymkniętych powiek, Kabłukow przytaknął.

– Z opcją zakupu kolejnych trzech.

– W ciągu dwóch czy trzech lat moglibyście zwiększyć ten udział do dwudziestu procent – podsunął mi Kabłukow.

Kiedy przetłumaczyłem, Tom powiedział w zdumieniu:

– To jedna piąta przedsiębiorstwa! W ten sposób stalibyśmy się inwestorem strategicznym.

– Powoli – mitygował Kabłukow, uśmiechając się do nas jak mędrzec. – Będzie wielu zainteresowanych, ale my szukamy partnera, który pojmuje sposób, w jaki prowadzimy interesy. Rozumiecie?

Rozumiałem. Doskonale. Kabłukow nie potrzebował moich nacisków na Toma, musiał mnie tylko zaszantażować, żebym trzymał gębę na kłódkę. Potrafił się dobrać do Toma sam. A temu aż oczy błyszczały skrzącymi się w nich dolarami. Uzmysłowiłem sobie, że na tym właśnie polegał kryminalny geniusz Trepa: na umiejętności wywierania nacisku na każde ogniwo łańcucha.

– Firmy, z którymi pracujemy... Traktujemy je jak rodzinę.

– Zapytaj go, jaką gwarancję będzie miał Continental, że zostanie uznany za preferowanego nabywcę – powiedział Tom.

Zredukowany do roli tłumacza, a raczej posłańca, zrobiłem to, co mi polecono. Kabłukow poklepał się dłońmi po piersi, jakby szukał portfela.

– A kto wam tu cokolwiek zagwarantuje? Nie ma żadnych gwarancji. Jest tylko zaufanie.

Pamiętałem jedynie rozgrzane, duszne objęcia pary. Dobiegające z oddali głosy. Leżałem na plecach na gorącej, wykładanej kaflami podłodze. Nade mną, wciąż nagi, klęczał ojciec, pryskając mi w twarz zimną wodą. Krzyczał do kogoś przez ramię:

– Powiedz im, żeby przestali lać wodę na kamienie! Mój syn zemdłał.

– Siedzą tu od trzech godzin! – zakrzyknął wysokim, pełnym oburzenia głosem jakiś szczupły staruszek. – Nie widzieli tabliczki, na której piszą, że trzeba wyjść po dwóch?

Ojciec wziął mnie na ręce i przeniósł do chłodniejszej części pomieszczenia.

Walczyłem z opadającymi powiekami.

– Co się stało?

– Nic, stary. Po prostu trochę za dużo pary. Daj, zobaczę, co z twoją głową. – W jego głosie zabrzmiała nerwowość.

Czułem wplatające się w moją dezorientację włókna wstydu. Ciało rozstąpiło się, by zrobić nam przejście.

– Masz dość? – rzucił mój ojciec. – Ja też, szefie. Chodźmy stąd.

Po rozstaniu z Kabłukowem Tom powiedział, że chciałby ze mną porozmawiać prywatnie, na kolacji. Spotkaliśmy się godzinę później w wybranym przez niego rzekomo irlandzkim pubie. Czekał na mnie przy jednym z tych szerokich drewnianych stołów przykrytych zielonym filcem.

– Rozumiesz, czym Trep pomachał nam przed oczami?

Przyznałem, że chyba tak.

Kelnerka przyniosła nam dwa piwa z beczki. Była ściśnięta gorsetem jak średniowieczna służąca. Większość gości stanowili tu bladzi, ciastowaci przybysze z Wielkiej Brytanii i jej byłych kolonii. Doskonale się w to wpisywaliśmy.

– Jeśli Continental stanie się preferowanym nabywcą dwudziestu procent akcji L-Petu, będziemy mogli umieścić w zarządzie swojego człowieka i uzyskać wpływ na głosowanie w kluczowych kwestiach. – Tom spojrzał na mnie znacząco, jakby spodziewał się zdziwienia lub protestu.

– To bardzo kusząca propozycja – powiedziałem z wysiłkiem.

– Hmm. – Omiótł spojrzeniem ciemne, wyłożone boazerią ściany pubu. – Zbyt kusząca. L-Pet jest w praktyce własnością skarbu państwa. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Kreml chciał oddać jedną piątą swojej firmy jednemu inwestorowi.

Rozważyłem, co mogę w tej sytuacji zrobić.

– Ale oni chyba naprawdę lubią robić z nami interesy, nie? Tak jak powiedział Kabłukow, to kwestia zaufania. Jeszcze dwa proszę. – Gdy kelnerka przechodziła obok, popukałem w pustą szklankę piwa. Miałem nadzieję, że dzięki dolewce wychwalanie L-Petu pójdzie mi sprawniej. Ale Tom potrząsnął głową.

– Ja już dziękuję – powiedział. – Nie zaproponowali nam żadnej pisemnej gwarancji.

Chciałem zasugerować, że możemy ich o to poprosić, ale pomyślałem, że Kabłukow nie będzie zadowolony, jeśli obiorę taki kurs.

– To ty mi powiedziałeś, że czekając w tym biznesie na informację prasową, można się nie załapać na odpływającą łódź – powiedziałem, próbując się uśmiechnąć. Poczułem się tak, jakbym cały pysk miał wysmarowany gównem.

– No to co, rozkładamy nogi i trzymamy kciuki? – Tom przebierał palcami po stole w sposób, który wydawał się mimowolny i bolesny. – Mamy procedury. Ustaliliśmy ściśle zasady, dzięki którym cały ten biznes prowadzimy... uczciwie i przejrzysto.

– I przestrzegając tych procedur, doprowadziliśmy ich dokładnie tam, gdzie chcieliśmy, tak? Zawsze powtarzałeś, że ten układ był w większym stopniu posunięciem strategicznym niż przedsięwzięciem komercyjnym. Kupowaliśmy po prostu dostęp do ich pól. No i masz: drzwi lekko się uchyliły.

Była jakaś upokarzająca satysfakcja w wymyślaniu tego wszystkiego na poczekaniu. Przyniesiono mi kufel piwa, który szybko wychyliłem.

– Będę musiał obronić tę decyzję w D.C. Nie szastamy tu forszą, to nie gra w Monopoly. Te liczby muszą się składać.

Udałem, że się głęboko namyślam nad jego wypowiedzią, po czym odparłem:

– Jeśli chcesz porozmawiać o liczbach, możemy rozmawiać o liczbach. Powiedziałeś mi, że w tym biznesie jedyną rzeczą, jaka ma znaczenie w przypadku cen udziałów, są przyszłe rezerwy. Będziemy mieli jedną piątą udziałów w firmie, która dobrała się do Morza Barentsa, największego pola gazowego na świecie. Nie wspominając o całej zachodniej Syberii. Czy dla Continentala jest jakimś problemem ewentualna strata stu siedemdziesięciu milionów? Wybacz, Tom... ale sądziłem, że ty pierwszy mi powiesz, że nie powinniśmy rezygnować z farmy tylko dlatego, że jakiś lis chce nam porwać kilka kurczaków.

– Dobra, dobra.

– Niektórych spraw nie przewalczysz. Możesz żałować albo możesz mieć rację.

Patrzyłem, jak mięsista twarz Toma przybiera wyraz niechętnego zgody. Zajrzał do na wpół opróżnionej szklanki i pokiwał głową.

– Masz rację, powinniśmy patrzeć długoterminowo.

Zalała mnie fala jednocześnie ulgi i obrzydzenia. Powtarzałem sobie, że Tom od początku gotów był chwycić przynętę Kabłukowa. Potrzebował tylko mojego błogosławieństwa.

Kiedy znów na mnie spojrzał, w jego wzroku dostrzegłem zakłopotanie i współczucie.

– Ale co z tobą? Poświęciłeś całe lata na pracę przy tych statkach. To cię nie dręczy? Dwa dni temu chciałeś przegonić facetów z Sausena z miasta, a teraz gotów jesteś wręczyć tym oszustom klucze?

– Tutaj stawką jest coś więcej niż moja duma.

Pierwszy raz powiedziałem coś, co nie było do końca kłamstwem.

– Jestem po prostu zaskoczony – podjął Tom. – Odkąd cię znam, Julian, nigdy nie miałeś zrozumienia dla chodzenia na skrót i tanich chwytów. Zawsze podziwiałem twoją uczciwość.

Te słowa nie powinny były mnie zranić, a jednak smagnęły mnie jak biczem. Wiara, jaką Tom we mnie pokładał, zaboląla bardziej niż jego podejrzenia. Przez większą część życia starałem się trzymać z dala od wszelkich Słusznych Spraw – brukowanie drogi do piekła i takie tam. A jednak to wystrzeżenie się prawej ścieżki podszyte było pewną moralną ambicją: przynajmniej nie będę szkodził, powtarzałem sobie, nie dodam swojej części do gigantycznej sumy pozorów i szachrajstw tego świata. A przecież byłem gotów odrzucić to wszystko w imię bezpieczeństwa Lenny'ego.

– Może zaczynam widzieć szerszy kontekst – powiedziałem.

Wreszcie, już po ósmej, ruszyłem samotnie do hotelu. Niebo zaciągnęło się chmurami, ale wciąż jeszcze było bardzo jasno. Sam nie wiem, jak znalazłem się na prawie pustych uliczkach otaczających Wielką Nikicką. Podniosłem wzrok na stare rezydencje, zamieszkiwane dawno temu przez pisarzy i ich bohaterów, starą arystokrację i nuworyszy, a teraz zajmowane głównie przez ambasady i oddziały placówek kulturalnych. Niektóre z tych posiadłości zostały niedawno wyremontowane i teraz miały eleganckie nowe drzwi i szykowne tabliczki. Inne były w fatalnym stanie, pastelowa farba na sztukateriach złuszczyła się i pokryła plamami. Iglica jednej ze stalinowskich Siedmiu Sióstr sterczała ponad dachami wysokich beżowych bloków, ale nie potrafiłem powiedzieć, który to konkretnie budynek. Chciałem pozbyć się z głowy obrazu Kabłukowa: napiętych, wyblakłych tatuaży, siwych włosów porastających wąskie barki, uśmiechu rozmazanego na gębie. Jakie to miało dla mnie znaczenie? To nie były moje pieniądze. A jednak obrzydzenie i niepokój rosły we mnie z każdym krokiem. Liczyłem na to, że spacer cichymi uliczkami przywróci mi spokój ducha, tymczasem poczułem tylko ogarniającą mnie samotność. Łaźnie Sandunowskie przywołały wspomnienie ojca i ostatniego dnia, który dane mi było z nim spędzić. Poszedłem z nim na życzenie matki, która przygotowywała nas w tym czasie do jakiegoś wydarzenia albo wycieczki, w której w ciągu następnych kilku dni wszyscy mieliśmy wziąć udział. Uszyła mi parę pluderków i tego ranka kazała mi w nich chodzić po pokoju, żeby dopasować do nich szelki. W tych pluderkach miałem wyglądać jak „prawdziwy angielski chłopiec”. Nie rozumiałem, co to znaczy ani dlaczego mam wyglądać jak ktoś taki. Przykazano mi, żebym nie mówił o tym nikomu z naszej komunalki. Z powodu tej wycieczki matka od kilku tygodni zwracała się do mnie wyłącznie po angielsku. Gdy ćwiczyliśmy słówka, trzymała palec na ustach, żeby nikt nas nie usłyszał. Wszystkim tym przygotowaniom towarzyszyła atmosfera aluzji i niedopowiedzeń. Zgodnie z tą tajemniczą logiką uczyłem się wymowy właściwej dla obywateli Wielkiej Brytanii i w tym celu przyjaciel ojca, wujek Seldon, przyszedł któregoś wieczoru, żeby udzielić mi lekcji angielskiej artykulacji. Powiedziano mi, żebym mówiąc, siedział prosto, nieco wychylony do przodu, trzymał język tak, by nieomal dotykał przednich zębów, i wyobrażał sobie, że mówię przez szparę w drzwiach. W którymś momencie Seldon dał mi twardego cukierka, żebym położył go u nasady języka i utrzymał tam, mówiąc zdania w rodzaju: *We surely shall see the sun shine soon*. To było coś jakby gra, ale dobrze wiedziałem, że nikomu nie powinienem o niej mówić. Wyjście z tatą do łaźni też było częścią gry. Odświeżaliśmy się i szorowaliśmy, szykując do tej przygody.

I właśnie wtedy, gdy szedłem bulwarem Nikickim, właśnie wtedy to sobie

przypomniałem. Usłyszałem powracający, wzbierający z dna mojej jaźni głos taty.

– Może lepiej nie mówmy mamie, że zasłabłeś – powiedział, kiedy szliśmy spacerem do domu.

Obiecałem, że nie powiem. Byłem wystarczająco zawstydzony.

– Nie chcemy, żeby się denerwowała jeszcze bardziej niż teraz.

– Dobrze.

Niebo zasnuły burzowe chmury, krople deszczu zaczęły spadać na nasze nosy i palce. Ruszyliśmy szybkim krokiem. Horyzont pociemniał, tramwajowa sieć trakcyjna nad naszymi głowami rozkołysała się w ostrych podmuchach wiatru.

Lało już jak z cebra, kiedy ojciec, niosąc mnie na plecach, dotarł do naszej kamienicy. Wielkie czarne i białe kafle na klatce schodowej były mokre i zdeptane. Winda jak zwykle zepsuta. Poszliśmy po schodach.

Kiedy weszliśmy, w korytarzu stała babcia Ksenia, która właściwie nie była niczyją babcią.

– Wycierajcie nogi! Wnosicie błoto do środka.

Tata, jak zawsze wobec niej komicznie uprzejmy, teatralnie wytarł buty na wycieraczkę i zapytał ją o zdrowie. Zirytowana jego uległością odburknęła coś i poczłapała z powrotem do pokoju. Wstąpiliśmy na chwilę do kuchni, gdzie tata ściągnął ze sznurka suchą ścierkę i mnie wytarł. Przez podwójne okna obserwowałem burzowe chmury. Zewnętrzna szybę zaatakował wiatr. Woda spływała drżącą perłowszarą ścianą za ustawionymi między szybami słoikami przetworów. Poczulem, jak za gardło chwytła mnie niewyjaśniony strach. A może strach był czymś, czym uzupełniłem swoje wspomnienia później?

Nie byliśmy w kuchni sami. Przysadzista kobieta, która pracowała w mieście jako kucharka w jednej z popularnych kawiarni, oskarżała właśnie pijaka Tolika, że zamienił jej świeże mandarynki na podgniłe.

– No zgniły. Ale co to ma wspólnego ze mną? – bronił się Tolik.

– Niektórzy ludzie uważają zwęczenie czegoś za swój obowiązek.

Mama siedziała w pokoju i przyszywała kwiaty do kapelusza.

– Gdzie byliście?

– Deszcz nas złapał.

Pokręciła głową i zerknęła nerwowo za okno.

– A jeśli wszystko zostanie odwołane? Co wtedy zrobimy?

– Nie, do jutra wszystko się wyjaśni – zapewnił tata i kazał mi się przebrać we flanelową piżamę. Chmury na niebie jeszcze bardziej zgęstniały.

– Dlaczego on ma takie czerwone policzki? – Mama dotknęła mojego czoła. – Jest chory?

– Nic mu nie będzie – powiedział tata i mrugnął do mnie, by się upewnić, że dochowam tajemnicy.

– Może lepiej odwołajmy...

Wyczuwałem jej panikę. Uderzyła i przetoczyła się przede mną jak grzmot na zewnątrz.

– Martwisz się bez powodu – powiedział do niej tata. Ale nawet jego głos nie

brzmiał przekonująco.

– Nie chcę jechać – powiedziałem.

Oboje utkwili we mnie spojrzenia.

– Chcesz, żebyśmy poczytali Wyspę skarbów? – zapytał ojciec.

Pokręciłem głową.

– Nie bój się.

– Ja się nie boję.

– Bo nie ma czego. Pokażę ci. – Wstał i odsunął do końca zasłony. – Burza jest jeszcze daleko. A wiesz, skąd to wiem? Siadaj, opowiem ci.

Podszedł do biurka po kartkę i długopis.

– Patrz. Błyskawicę widać wcześniej niż słyszać grzmot, wiesz dlaczego?

– Bo światło biegnie szybciej niż dźwięk.

– Mądry chłopak. Ale czy wiesz, jak szybko przemieszcza się dźwięk? Około jednej trzeciej kilometra na sekundę! Nauczę cię pewnej sztuczki. Policzy, ile minie sekund od błyskawicy do następnego uderzenia pioruna. – Znalazł swój pozłacany zegarek Voltan i dał mi go. – Gotów? Jak powiem „licz”, to zaczniesz liczyć.

Błysnęło.

– No to licz.

Trzymałem w dłoniach zimny, ciężki zegarek. Wskazówka sekundowa wydawała się poruszać bardzo powoli. Zagrzmiało.

– No i ile ci wyszło?

– Dwanaście.

– No dobrze, teraz podzielmy to przez trzy. Ile otrzymamy?

Narysował na papierze trzy rzędy po cztery kropki. Wreszcie podniosłem cztery palce.

– To oznacza, że burza jest jeszcze cztery kilometry od nas. Za to jeśli zobaczysz błyskawicę i od razu usłyszysz grzmot, możesz się chować pod poduszkę. Burza będzie dokładnie tam, gdzie stoisz.

Poczułem, jak pod urokiem jego wykładu zaczynam się rozluźniać.

– Chcesz liczyć dalej? Dobrze. Kiedy coś rozumiesz, nie musisz się tego bać. To, czego cię teraz nauczyłem, nazywa się elektromagnetyzmem. Jak będziesz starszy, może będziesz się o tym uczył w jakimś takim miejscu jak... Technion. Albo MIT.

Spojrzał na mamę i uśmiechnął się.

– Po co nabijasz mu głowę takimi rzeczami?

– Powinien wiedzieć, że istnieją na ziemi miejsca inne niż ten raj.

– Gdzie jest Technion? – zapytałem.

– Dość – przerwała mama.

– Czy tam właśnie jedziemy?

– Nie wiem, ale grejt zach ci i trzymaj kciuki.

Wspomnienia trudno ocenić z dystansu. Czy szczegóły wyglądały właśnie tak, jak wydawało się dziecku? Wiele lat później matka powtarzała mi często, że mój ojciec miał głowę pełną marzeń. Czy Technion był jednym z nich? A może podejrzewał, że zostały mu nie lata, lecz dni życia?

Rankiem już go nie było. Zabrali go w nocy, kiedy leżałem w łóżeczku za zasłonką, beztrąsko przesypiając jego aresztowanie. Wujek Seldon, ten sam, który nauczył mnie mówić z landrynką pod językiem, też zniknął. O wszystkim tym miałem się dowiedzieć w następnych tygodniach, kiedy matka zaczęła mnie budzić przed świtem i ciągnąć do nieoznakowanych budynków wokół placu Łubiańskiego, gdzie słońce wstawało już nad mrowiem tych, którzy przycupnięci przy swoich tobołkach przyszli wertować listy nazwisk w poszukiwaniu synów, braci i ojców.

To wszystko miało się jednak wydarzyć później. Z tego wieczoru zapamiętałem tylko, jak ojciec siedzi obok mnie z zegarkiem i liczymy sekundy między błyskawicą a gromem, czekając na nadchodzącą burzę.

Recepcjonista zatrzymał mnie w drodze do windy i poinformował, że na recepcji czeka na mnie przesyłka. Zobaczywszy ją, natychmiast zorientowałem się, co to jest. Duże kartonowe pudełko z rodzaju tych, w jakich przechowuje się w magazynach dokumentację biurową. Recepcjonista powiedział, że zostawiono je przed godziną. Spojrzałem na dołączoną wiadomość.

Coś lekkiego do czytania podczas powrotnego lotu.

Pomógł mi to odnaleźć znajomy z ministerstwa. Twierdzi, że w magazynach były tylko dokumenty Pana mamy. Ani śladu po aktach ojca.

Proszę mi nie dziękować flakonikiem perfum, tylko przy kolejnej bytności odwiedzić nas na daczy.

Wala



Pudełko musiało ważyć dobre półtora kilograma – tyle co dojrzały ananas. Ten ciężar komunikował: „Słuchaj, głupku, jeśli to jest właśnie prawda, której tak szukasz, to lepiej, żebyś potrafił ją unieść”.

Jadąc windą, spościłem się tak, że wilgoć spod pachy przesączyła się do miejsca, w którym ostra krawędź pudełka wbijała mi się w zebro. Wsunąłem kartę magnetyczną do zamka i postawiłem pakunek na łóżku. Przeciągnąwszy przez cały pokój ogromny rokokowy fotel, ostrożnie uniosłem pokrywkę pudełka. Moim oczom ukazał się wyzywająco opasły plik skserowanych stron. Wyjąłem wszystkie naraz. Czuję się tak, jakbym trzymał w ręku kamienną płytę, starożytną tablicę z wykutymi w niej przeklętymi biblijnymi przykazaniami. I nagle, po tak długim oczekiwaniu, poczułem się sparaliżowany, niezdolny do ich przeczytania. A już na pewno nie byłem w stanie czytać ich jak normalnego maszynopisu, zaczynając od pierwszej strony, przechodząc na drugą, trzecią i tak dalej. Opanowało mnie przerażające uczucie, że oto w moim posiadaniu znalazło się coś, co może mi wyrządzić fizyczną krzywdę, tym większą, im dłużej to trzymam, jak coś radioaktywnego, choć umysł zapewniał mnie, że to tylko martwa ryza papieru. I tak to z drapieżnej ciekawości lub z powodu obezwładniającego strachu postanowiłem pożreć wszystko naraz, kartkując strony i losowo rzucając okiem to tu, to tam na przypadkowe słowa.

Mamy bezsporne dowody.

Odmowa przyznania się jedynie przysporzy wam cierpień.

Zostałam zatruta burżuazyjnym nacjonalizmem.

Przyznajecie się do wrogich, występnych myśli, ale wypieracie się przestępczych działań będących ich naturalną konsekwencją.

Wspierałam go; w ten sposób powstał między nami przestępczy związek.

Nie unikniecie moralnej odpowiedzialności.

Wasze sfabrykowane oszczerstwa doczekają się kary.

Ufałam tym ludziom i straciłam czujność.

Wypieranie się jest bezcelowe.

Przyznaję, że przyjąłam ten oszczerczy punkt widzenia.

Nie próbujcie ukrywać waszej wrogiej działalności.

Jeszcze nam tu wszystko wywalicie kawa na ławę i powiecie wreszcie prawdę.

Do ostatniego tchu będę utrzymywać, że uważam się za uczciwą obywatelkę radziecką.

Chcemy jedynie szczerych zeznań.

Strona za stroną prześlizgiwałem się spojrzeniem po niemal identycznych oskarżeniach, niekończących się zaprzeczeniach i powtarzających się „szczerych” wyznaniach. Gdybym był producentem filmowym, natychmiast cisnąłbym do kosza ten zleżały scenariusz, sfastrygowany z klisz, których z szacunku dla profesji unikałby nawet najmniejszy hollywoodzki grafoman. Mimo usilnych starań nie potrafiłem sobie wyobrazić matki, ani żadnej normalnej istoty, wypowiadającej słowa w rodzaju: „Przeczytałam te artykuły i zapoznałam się z ich treścią, a zatem współuczestniczyłam w rozpowszechnianiu ich oszczerczo nacjonalistycznej wymowy”. Albo na temat współpracownicy: „Nie chciała się odciąć od tych poglądów”. A jednak co któraś strona tych protokołów z przesłuchań nosiła autentyczny podpis Flory Solomonowny Brink. Jej podpis, anemiczny i skrócony, kulił się skromnie pod zamaszystymi autografami śledczych: starszego porucznika Andrieja Antonowa i kapitana Wiktora Bykowa.

Z wysiłkiem zwolniłem na tyle, by skupić się na pojedynczej kartce. Kiedy wreszcie na spokojnie przeczytałem kilka protokołów przesłuchań po kolei, pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, było to, że prawie wszystkie przesłuchania mojej matki odbywały się między godziną trzecią trzydzięci a szóstą rano.

Ze studiów nad literaturą więzienną wiedziałem, że żarówki w celach paliły się dniem i nocą, uniemożliwiając więźniom wyspanie się. Teraz próbowałem sobie wyobrazić jasno oświetlone piekło, do którego zstąpiła moja matka. Zobaczyłem oczyma duszy, jak udaje jej się zdrzemnąć na kilka minut między prowadzonymi w środku nocy przesłuchaniami i jak brutalnie budzą ją krzyki strażników wrzeszczących zza krat: „Żadnego spania w ciągu dnia!”.

Przypomniałem sobie lata, kiedy mieszkaliśmy razem za czasów mojej szkoły średniej i umiejętność matki do zapadania w kamienny sen nawet wówczas, gdy przygotowując się do egzaminów, zapalałem w naszym wspólnym pokoju wszystkie światła.

Wyobraziłem sobie odsuwaną na bok metalową płytkę zasłaniającą wizjer. Pojawiające się i znikające oko. Błysk klucza grubego jak lufa pistoletu. Wyobraziłem sobie, jak mama idzie powoli, powłócząc nogami, na kolejne przesłuchanie. W spadających butach, bo przecież bez wątpienia wyjęto z nich sznurówki, by osadzona nie próbowała popełnić samobójstwa. Wyciągnięto jej też gumkę z majtek.

Nocne przesłuchania – niektóre trwały po dziesięć godzin – rzadko przynosiły coś więcej niż kilka linijek zeznań: krótki akapit czy dwa zapisane mdłą, mechaniczną frazą naśladowującą ludzką mowę. Te zeznania matki, podobno złożone pod przysięgą, zostały zapisane ręcznie przez jej inkwizytorów: kapitana Bykowa i starszego porucznika Antonowa, których zajadła nienawiść wyrażała się w byle jak skleconych sowieckich sloganach połączonych prostackim bełkotem, którego nie słyszałem od co najmniej pięćdziesięciu lat. Nigdy nie musiałem sprawdzać podpisu na dole strony, by wiedzieć, kiedy matka była w rękach Antonowa. Rzadko oskarżał ją o kłamstwo. Słowo, którego używał zamiast tego – łukawit’ – miało bardziej miękki, wiejski wydźwięk, kojarzyło się z określeniem łukawyj diawoł, szczwany czort, co to grasuje po wsi, zasadzając się na miejscowych. Antonow często zaklinał się, że ujawni jej łukawyje, czyli „diabło przebiegłe” intencje. Zadumałem się nad tym słowem. Nie potrafiłem sobie przypomnieć,

bym zetknął się z nim gdzieś indziej niż w bajkach o Babie Jadze. Podobnie odebrałem używane przez Antonowa słowo klewieta, które w najwęższym sensie oznacza po prostu oszczerstwo albo oczernianie, ale które również budziło niejasno folklorystyczne skojarzenia ze światem zamieszkiwanym przez skrzaty obrzucające ludzi błotem, zdecydowane za wszelką cenę uprzykrzać życie niewinnym śmiertelnikom. Oba określenia wydały mi się cudownie przedsowieckie; podobnie jak wiele rosyjskich zabobonów posłusznie przybrały formę politycznych fraz. Jeszcze lepsze było słowo zapiratelstwo, które oznaczało zaprzeczanie lub wrogą skrytość, lecz którego brzmienie przywodziło na myśl coś bliższego wymuszonemu milczeniu. Kiedy więc Antonow raz po raz ostrzegał moją matkę, że jej zapiratelstwo jest daremne, w rzucanych przez niego obelgach odzywało się jakieś skatologiczne echo, jakby ostrzegał ją przed „zaparciem prawdy!”.

Zgodnie z radzieckim kodeksem karnym postawiono jej następujące zarzuty: artykuł 58.1 – szpiegostwo zagrożone karą dwudziestu pięciu lat więzienia i konfiskaty mienia, oraz artykuł 58.10 – antyradziecka propaganda i agitacja, zagrożone karą siedmiu lat więzienia lub obozu pracy. Dowodem na szpiegostwo była głównie podjęta przez nią w czasie wojny działalność w Żydowskim Komitecie Antyfaszystowskim, jak na ironię ta sama, za którą odznaczono ją medalem Za Ofiarną Pracę w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941–1945, z certyfikatem autentyczności, który, o czym miałem się wkrótce przekonać, skonfiskowano jej razem z resztą rzeczy podczas aresztowania i rewizji.

Antonow domagał się od matki „szczerych i uczciwych zeznań” nawet wówczas, gdy oskarżał ją o absurdalne przestępstwa, których nie miała możliwości popełnić: przekazywanie tajemnic państwowych amerykańskim i brytyjskim szpiegom, kontakty z „kręgami reakcyjnymi” w Stanach Zjednoczonych, spotkanie się z ludźmi, których nigdy nie poznała, w miejscach, do których nie mogła mieć dostępu. To było od początku do końca sfingowane śledztwo, które zyskałoby legitymizację tylko wtedy, gdyby śledczym udało się zmusić matkę do wzięcia udziału w przedstawieniu, do odegrania roli czarnego charakteru i zagranicznego szpiega, do złożenia autentycznego podpisu na fikcyjnym protokole.

Ale kogo mieliby w ten sposób oszukać? Na to pytanie nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

Wiedziałem oczywiście o istnieniu pisemnych relacji z funkcjonowania radzieckiego systemu wymiaru sprawiedliwości czy Gułagu. Miałem dwadzieścia kilka lat, gdy takie relacje zaczęły krążyć w drugim obiegu, i od tego czasu ukradkiem czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Dwa tomy wspomnień Jewgienii Ginzburg przeczytałem w odstępie kilku miesięcy z zaczytanych egzemplarzy niewyraźnie odbitych na powielaczu. Emanujące ponurym czarem historie Warłama Szalamowa dostałem tylko na czterdzieści osiem godzin, a potem miałem je przekazać następnemu drugoobiegowemu czytelnikowi. Z Kręgiem pierwszym Sołżenicyna zetknąłem się w ciemni znajomego, u którego przez pół nocy przystosowaliśmy powiększalnik do odczytywania strona po stronie maleńkiego, wyświetlanego na projektorze tekstu (znajomy przechowywał tę książkę na rolce filmu). Ale teraz, gdy trzymałem w ręku dokumenty z przesłuchań matki,

to nie Solżenicyn przyszedł mi na myśl, lecz Wasilij Grossman, pisarz, którego poznałem dopiero przed czterdziestką, a który podsumował dla mnie lepiej niż ktokolwiek wcześniej unikalną polityczną patologię Rosjan:

Tysiącletnia zasada rozwoju rosyjskiej oświaty, nauki i potęgi przemysłowej przy wzrastającej niewoli ludzkiej, zasada wyhodowana przez Ruś bojarów, przez Iwana Groźnego, Piotra, Katarzynę, za Stalina odniosła całkowity triumf.

Dziwne to zaiste, że Stalin, który zdławił wolność, nie przestał jednak bać się wolności.

Może ten właśnie strach zmusił go do zgoła nieprawdopodobnej obłudy.

Obłudę Stalina ukazuje wyraźnie obłuda jego państwa. A przejawiała się ona głównie w zabawie w wolność. Państwo nie opluwało martwej wolności! Najcenniejsza, żywa, radioaktywna treść wolności i demokracji została zamordowana i przekształcona w cielca, w sieczkę słowną. Tak dzikusy, w których ręce dostały się precyzyjne sekstansy i chronometry, używają ich jako ozdób.⁸

Oto tu, w moich rękach, spoczywały raporty zdyscyplinowanej domeny tej sfingowanej sprawiedliwości, każda strona starannie ponumerowana i opatrzona znamionami legalności – stemplami, pieczęciami, podpisami – a przy tym wypatroszona z choćby śladów praworządności. Delikatne instrumenty logicznego rozumowania przekształcono w pałki w rękach barbarzyńców. Porywacze matki mogli ją dręczyć, szarpać, szturchać, może nawet biciem zmusić do podpisania wyroku śmierci na siebie, a jednak jakiś obowiązkowy hołd składany zasadzie wolności powstrzymał ich od podrobienia jej podpisu.

Przesłuchanie Florence odbywało się zgodnie z klasyczną zasadą kuli śnieżnej: śledczy ze wszystkich sił starali się powiązać ją z zataczającym szerokie kręgi spiskiem, o udział w którym oskarżano sławne osobistości. W tym celu śledczy utrzymywali, że przekazywała tajne materiały agentom obcych państw za pomocą artykułów, których nie pisała, ale które tłumaczyła na język angielski, artykułów zawierających tajne informacje na temat rolnictwa i przemysłu obronnego. Nie było dla mnie jasne, czy do akt włączono jakiegokolwiek faktycznie opublikowane artykuły. Przykładowa próbka zeznań wyglądała następująco:

Bykow: Czy zaprzeczacie oskarżeniom, że na rozkaz Epsztajna i Michoelsa tłumaczyliście na angielski tajne materiały?

F. Brink: Zaprzeczam, bym była świadoma, że przydzielone mi materiały były tajne. Wszystkie były czytane wcześniej przez cenzorów.

Bykow: Czytaliście je i zapoznaliście się z ich treścią, a zatem byliście świadomi ich sekretnej natury. Przyznajcie się, że w Kujbyszewie wyrobiliście sobie wrogie, nacjonalistyczne poglądy.

F. Brink: Przyznaję, po części, że pracując w Żydowskim Komitecie Antyfaszystowskim znalazłam się pod wpływem otaczających mnie osób. Przynajmniej ich wrogą, antysowiecką postawę i mimowolnie przyjąłam nacjonalistyczną orientację.

Bykow: Do tego prowadziliście antysowieckie rozmowy i wymyślaliście kłamstwa wymierzone w Związek Radziecki.

F. Brink: Kategoriecznie temu zaprzeczam. Nigdy nie wyrażałam niezadowolenia

z polityki rządu radzieckiego.

Bykow: Przyznajecie, że zatruto was żydowskim burżuazyjnym nacjonalizmem, a wypieracie się przestępczych działań, które są tego naturalną konsekwencją.

F. Brink: Przyznaję, że przeżyłam pewne nacjonalistyczne odchylenie. Nie przejawiało się ono na zewnątrz.

Bykow: Ale przyznajecie, że istniało w waszej duszy?

Jej duszy? A od kiedy to jej dusza była ich sprawą? Co to miało być, przesłuchanie czy egzorcyzmy?

Ostateczny werdykt brzmiał:

Fakt, że przysłuchiwaliście się antysowieckim wybuchom i nie upominaliście innych za ich nacjonalistyczne uwagi, oznacza, że staliście się współspiskowcem i nacjonalistką.

Barbarzyńcy z chronometrami. Istota sprawy nie polegała jedynie na tym, że przesłuchujący ją śledczy nie pojmowali, na czym polega logika. Ich pytania i wnioski wypływały z zasadniczo prymitywnego światopoglądu, zgodnie z którym ludzkie myśli i działania były święte lub grzeszne, proradzieckie lub antyradzieckie, z nami lub przeciw nam. Ta wulgarna kosmologia nie pozostawiała miejsca na neutralność. Nawet średniowieczni katolicy skłonni byli przypuszczać, że między niebem a piekłem istnieje czyściec, z którego jeszcze można zostać zbawionym. Rosyjska ortodoksja nie dopuściła nigdy takiego pojęcia: jej sumienie rozróżniało jedynie nieskalaną pobożność i nieodpuszczalną winę.

Podjeżdżałem, że Wali nie udało się wydobyć dokumentów mojego ojca z tego samego powodu, z którego mamie nie udało się przekazać dla niego żadnej paczki: mojego ojca zabito niemal natychmiast po aresztowaniu. Zacząłem się zastanawiać, czy była to kara za odmowę podpisania podsuwanych mu papierów? Zyskałem nagle pewność, że odmówił odegrania roli w tej fikcyjnej sztuce, aby nas oszczędzić. Chcąc chronić mamę i mnie, nie złożył żadnego zeznania, które w jakikolwiek sposób mogłoby obciążać Florence. I miałem taką samą pewność, że Florence musiała być tego w głębi ducha świadoma. To, że po jego aresztowaniu odmówiła wyjazdu z Moskwy, tylko jeszcze bardziej mnie rozzłościło.

Moje podejrzenia potwierdziły się, kiedy przetrząsnąwszy akta matki w poszukiwaniu nazwiska ojca, odkryłem, że pojawia się on w protokołach nie jako „mąż Leon Brink”, ale jako „szpieg i oszczerca Brink”, a od czasu do czasu nawet „wasz współnik Leon Brink”. Z całej tej dokumentacji można by wywnioskować, że matka nie miała żadnych przyjaciół ani bliskich, a jedynie współników, współpracowników i współspiskowców. Co i raz oskarżano ją o to, że była wraz z kilkoma innymi zbrodniczymi postaciami jednomyslennicą – to słowo, którego nie sposób przetłumaczyć na angielski, bo takie pojęcie w amerykańskiej mowie byłoby paradoksem. Oznacza to po prostu kogoś myślącego identycznie jak inni. Zakładając, że taka zgodność umysłów jest w ogóle możliwa, lista jednomyslenników matki obejmowała ojca, rozmaitych członków Komitetu Żydowskiego oraz „szpiega i oszczercę Seldona Parkera”, którego przebarwione od nikotyny palce łączyłem w swym dziecięcym umyśle z końmi z pudełek od papierosów i aluminiową rybką, która, jak obiecał, przepowie mi przyszłość.

Pochłonięty łąpczywym poszukiwaniem czegoś rozpoznawalnego, czegoś, co pasowałoby do moich bolesnych i poplątanych dziecięcych wspomnień roku 1949, natrafiłem na coś, co mnie zmroziło. Nie wiem, jakim cudem to przegapiłem podczas pierwszego przeglądania akt, bo przecież leżało prawie na wierzchu tej monstrualnej sterty. To była zajmująca trzy strony, dopięta do nakazu aresztowania mojej matki lista prawie wszystkich przedmiotów zabranych tej koszmarnej nocy, gdy dwóch umundurowanych oficerów MGB wpakowało się do pokoju, w którym od czasu aresztowania ojca siedem miesięcy wcześniej mieszkaliśmy z matką sami.

ZAJĘTO W CELU PRZEKAZANIA MGB CO NASTĘPUJE:

1. Paszport nr XXIII-CU nr 599812, wydany 25 września 1936 roku przez 64. wydział milicji miasta Moskwy na nazwisko Brink, F.S.
2. Medal Za Ofiarną Pracę w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941–1945 wraz z certyfikatem autentyczności.
3. Bankowa książeczka oszczędnościowa numer ____ z pozostałą sumą 1024,45 rubli.
4. Zegarek na rękę zagranicznej firmy Voltan z złotego metalu, numer 5648891 (na kopercie). Działający, bez wskazówki sekundowej.
5. Dokumenty w obcym języku, różne – 7 szt.
6. Fotografie, różne – 16 szt.
7. Zeszyty, różne – 4 szt.
8. Formularze i certyfikaty – 7 szt.
9. Wycięte z radzieckich gazet mapy geograficzne – 4 szt.
10. Kalka, używana – 1 opakowanie.
11. Słownik angielsko-francusko-niemiecki.

PODPISAŁA GOSPODYNI DOMU, TAŁKOWSKA, WARWARA
ARTUROWNA, ŚWIADEK KONFISKATY

WYPOSAŻENIE DOMU I ARTYKUŁY GOSPODARSTWA DOMOWEGO:

1. Stół – 1, w dobrym stanie, poprzedniego właściciela
2. Krzesła z oparciem – 2, pop. właś.
3. Fotel tapicerowany – 1, stary
4. Stolik – 1, pop. właś.
5. Szafa na ubrania – 1, pop. właś.
6. Komoda – 1
7. Metalowe łóżka – 2
8. Etażerka na książki – 1
9. Walizki – 2
10. Skrzynia do przechowywania – 1
11. Aparat fotograficzny marki Komsomolec – 1
12. Aparat fotograficzny zagranicznej marki – 1, popsuty
13. Porcelanowe figurki, różne – 3
14. Białe popiersie W.I. Lenina – 1
15. Lampy stołowe – 2
16. Radiodtwarzacz – 1

17. Długopisy – 2, popsute
18. Podnóżki – 2
19. Tapczan ze sprężynami – 1
20. Materace, bawełna – 2
21. Kapa, bawełna – 2
22. Koc, wełna, szary – 1
23. Koce, bawełna – 2
24. Prześcieradła – 6
25. Budzik, okrągły – 1, nastawiony
26. Ubranie, dziecięce, szara wełna – 1
27. Ubranie, dziecięce, brązowa wełna – 1
28. Spodnie, szara wełna, dziecięce – 1
29. Płaszcz, dziecięcy, wiosna-jesień, w kolorze mysim – 1
30. Kurtka, dziecięca, wełna, z podszewką – 1
31. Kurtka, męska, brązowa skóra – 1
32. Kurtka, męska, płócienna – 1
33. Szlafroki, damskie, różne – 2
34. Kurtka, damska, szara wełna – 1
35. Kostium, damski, wełna, kolor grafitowy – 1
36. Bluzki, damskie, różne – 3
37. Letni płaszcz, damski, granatowa wełna – 1
38. Bluzki, damskie, trykot i jedwab – 2
39. Sukienka, len w kratkę – 1
40. Sukienka, krepa chińska – 1
41. Sukienka, niebieski jedwab – 1
42. Piżama, damska, jedwab w cętki – 1
43. Cerata w kratę na stół – 1
44. Kurtka, męska, płótno z futrzanym podbiciem – 1
45. Kurtka wojskowa, męska, wełna – 1
46. Bielizna męska, biała wełna – 3
47. Koszule, męskie, wełna, różne – 2
48. Podkoszulki, męskie – 2
49. Koszule zapinane, męskie, różne – 8
50. Swetry, dziecięce, różne – 3
51. Koszulki zapinane, dziecięce, różne – 3
52. Spodnie, dziecięce, różne – 4
53. Kalesony, dziecięce – 9
54. Obrusy, różne – 3
55. Podkoszulki, dziecięce – 4
56. Ręczniki, różne – 3
57. Poszewki na poduszki – 3
58. Koce, bawełna – 3
59. Poduszki wypełnione pierzem, różne – 3

60. Łyżwy z butami – 3 pary
61. Kozaki, dziecięce, skóra, różne – 2 pary
62. Półbuty, męskie – 1 para
63. Buty, damskie – 2 pary
64. Kalosze, męskie – 1 para
65. Kalosze, dziecięce – 1 para
66. Kalosze, damskie – 1 para
67. Teczki szkolne, dziecięce, skóra – 2, stare
68. Skrzypce, dziecięce – 1
69. Metalowe pudełko z przyborami do szkicowania – 1
70. Żelazko elektryczne – 1
71. Krawaty, męskie – 9
72. Miski, metalowe – 3
73. Talerze do zupy, różne – 12
74. Pojemnik na chleb, gliniany – 1
75. Małe naczynia – 20
76. Garnki – 2
77. Garnek na mleko, emaliowany – 1
78. Filiżanki do herbaty, różne – 10
79. Spodeczki, różne – 12
80. Wazon, różne – 3
81. Kieliszki do wódki – 6
82. Sitka – 2
83. Łyżki stołowe – 6
84. Widelce – 5
85. Łyżeczki do herbaty – 3
86. Czajniczek do herbaty, mały, porcelanowy – 1
87. Patelnie – 2
88. Noże kuchenne – 4
89. Miska na cukier – 1

Mieszkanie zostało zabezpieczone, a wszystkie przedmioty przekazane na przechowanie Tałkowskiej, Warwarze Arturownie, gospodyni domu.

Przesunąłem dłonią po słowach jak ślepiec odczytujący tekst palcami, jakbym próbował dotknąć tych nędznych, bezcennych, utraconych przedmiotów. W jednej chwili stanęły mi w pamięci we wszystkich swych wzruszających, okropnych, budzących tęsknotę szczegółach. Sukienka matki w brązowo-zieloną szkocką kratę, która ocierała się o mnie, kiedy trzymając się za ręce, szliśmy do piekarni. Lotnicza kurtka ojca, której kołnierz pachniał wodą kolońską Szyper. Mój płaszczyk w „kolorze mysim” i sponiewierana teczka do szkoły, odkupiona od mieszkającego w tej samej kamienicy dziecka razem ze skrzypcami, które matce udało się zdobyć w nadziei, że stanę się drugim Dawidem Ojstrachem. Nawet moje buciki, dwie pary, padły ofiarą tej przestępczej konfiskaty. Z trudem przesuwałem wzrokiem po kolejnych pozycjach listy, czując w piersi coraz mocniej ściskający ból. Gdzie się to wszystko podziało? Podkoszulki,

porcelanowe figurki, łyżwy, miska na cukier! „Zabezpieczone” przez Tałkowską, Warwarę Arturownę, kimkolwiek, u diabła, była (nazwisko nie budziło we mnie absolutnie żadnych skojarzeń). I gdzie w takim razie była biżuteria matki, jej broszki, klipsy, bursztynowe korale i apaszki? Gdzie były jej rękawiczki? Złodzieje! Spisywali nasze życie, jakby zamierzali wystawić je na aukcję.

W tej chwili znów miałem sześć i pół roku i przyglądałem się, jak dwoje przeprowadzających aresztowanie oficerów, mężczyzna i kobieta ubrani w oliwkowe mundury, otwierają drzwi naszej szafy, obmacują wszystkie wiszące w niej ubrania, międlą poszewki, wtykają ruchliwe palce do kieszeni, po czym wyrzucają wszystkie rzeczy mojej matki na podłogę.

Zdjęli fotografię wiszącą nad łóżkiem rodziców, zrobione w atelier zdjęcie przedstawiające naszą trójkę: mnie, wówczas rocznego, z odstającymi uszami, mojego młodego ojca w miękkim garniturze i matkę z włosami zaczesanymi do góry i ponuro wydętymi ustami. Zdjęli ją, by sprawdzić, czy nic się za nią nie kryje, a potem, by się do końca upewnić, oderwali tylną ściankę, podczas gdy matka, z twarzą pobladłą z niewyspania i suchymi wargami, które w niczym nie przypominały ciemnych ust w kształcie serca z fotografii, protestowała nieśmiało i błagalnie. Gdzie byłem ja? Siedziałem na moim łóżku przy grzejniku za odsuniętą bezceremonialnie kwiecistą zasłonką oddzielającą moją część pokoju od części rodziców. Która mogła być godzina? Wpół do piątej albo piąta rano; fiolet listopadowego poranka ledwie zaczynał się przesączać przez zasłony. Nie mogłem się ruszyć. Na moim ramieniu spoczywała ciężka dłoń. Należała do sąsiadki mieszkającej na końcu korytarza, Awdotii Grigoriewny, starej „cioci Duni”, która po szkole, zanim mama wróciła z pracy, gotowała mi zupę z kaszą jęczmienną. W całym tym zamieszaniu przepchnęła się przez drzwi i zaparła się, że nie wyjdzie – by się za mną wstawić, tak to sobie wyobrażałem, chociaż biorąc pod uwagę, w jaki sposób jej drżąca dłoń spoczęła na moim ramieniu, równie dobrze mógłbym być wezglowiem łóżka, na którym się wsparła. Spowił mnie jej zapach, esencja starości, kwaśności i snu, a tymczasem młoda pulchna kobieta w mundurze przetrząsała szafę matki. Powściągałem coraz mocniej cisnący pęcherz, nie śmiejąc otworzyć ust, by zapytać, czy mogę wyjść za potrzebą. Ze wszystkich sił skupiałem uwagę na odbarwionym kwadracie tapety, gdzie jeszcze niedawno wisiała fotografia mojej rodziny. Kobieta przerwała oględziny naszej etażerki, by przyjrzeć się z czymś na kształt sardonicznego podziwu małemu mosiężnemu popiersiu Lenina stojącemu na najwyższej półce. To było to samo popiersie – uzmysłowiłem sobie w niemych przeczuciu katastrofy – które mama zdejmowała z półki za każdym razem, gdy przynosiła do domu włoskie orzechy. Jak trafiła do niej ta statuetka, której imponująca łysa głowa mieściła się idealnie w jej dłoni rozłupującej orzechy podstawą popiersia? Była to zapewne nagroda za zasługi w którymś z miejsc jej pracy.

W głębi duszy od dawna przypuszczałem, że za niezgodne z przeznaczeniem wykorzystanie popiersia dziadka naszego narodu moją mamę pewnego dnia spotka kara. Co więcej, byłem przekonany, że jedynie ja mogę przyjąć jej z pomocą. Gdy tylko uda mi się strząsnąć z siebie żelazną łapę cioci Duni, odkupię nielojalność mamy wobec Lenina, recytując na całe gardło przysięgę pioniera, którą widziałem przyklejoną na ścianie

w szkolnej klasie:

Pionier jest wierny pracom Lenina i Stalina. Pionier kocha swą ziemię ojczystą i nienawidzi wrogów. Pionier jest uczciwy i prawdomówny, a jego słowo jest mocniejsze od stali! Pionier jest odważny jak orzeł i gardzi tchórzami.

Wyobraziłem sobie, jak oficer, który całą tę rewizję traktował chyba mniej osobiście i wydawał się mniej mściwy niż jego towarzyszka, mówi, że żaden człowiek, którego dziecko potrafi tak bezbłędnie wyrecytować przysięgę, nie może być wrogiem. Natychmiast zorientowałiby się, że wtargnęli do niewłaściwego mieszkania, zaczęli się sumitować (może mężczyzna dałby mi swoją czapkę) i zostawili nas w spokoju, uściskawszy nam serdecznie dłonie.

I wtedy przetrząsający rozrzucone na stole papiery oficer, jakby sprowokowany mocą mojej nadziei, omiół spojrzeniem pokój i utkwiał we mnie wzrok.

– Każcie dziecku wstać – polecił Awdotii Grigoriewnie.

Wstałem bez ponaglenia. To była moja szansa na wymknięcie się spod kurateli cioci Duni. Próbowałem odchrząknąć, szykując się do wyrecytowania przysięgi, ale on przeszedł obok mnie, pochylił się nad metalowym łóżkiem, zdarł z niego flanelowe prześcieradło i wełniany koc, przerzucił materac na drugą stronę, odsłaniając jego brudny spód, i wyciągnął z powłoczki moją poduszkę.

– To dziecięce łóżeczko... Nie widzicie, że nic tam nie ma? – dobiegł mnie jazgotliwy protest cioci Duni.

Oficer zignorował ją i wyjąwszy wielki składany nóż, ciachnął pasiasty siennik wzdłuż, jakby patroszył rybę.

Stara kobieta znowu zaczęła piskliwie protestować, a mężczyzna wetknął ramię w materac, szukając Bóg wie czego. Kłaczki watoliny zasypały podłogę u moich stóp jak noworoczny bawełniany śnieg. Nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa. Zacząłem się trząść, a wełniane rajtuzy zrobiły się ciepłe od kompromitującej wilgoci.

Sytuacja była tak chaotyczna, że przez jakiś czas nikt nie zauważył, że się posikałem. Oficer szczególnie uważnie badał miejsce za grzejnikiem, a tymczasem dziewczyna w mundurze niczym jastrząb obserwowała moją matkę pakującą małą walizkę. Ciocia Dunia patrzyła na mundurowych, a stara dozorczyńni, Tatarka, która wprowadziła tych dwoje na górę, stała teraz w drzwiach, upiorny świadek, przyoblekłszy na twarz tę samą ponurą, nieprzenikloną maskę co zawsze, bez wątplenia nie raz zmuszona odgrywać rolę oficjalnego widza tego rodzaju scen. I wtedy wyszedł na jaw mój sekret.

– Posusiał się! – prawie krzyknęła ciocia Dunia, sprawiając, że matka rzuciła się w moją stronę.

– Stójcie, gdzie stoicie! – ryknęła kobieta w mundurze.

– Proszę, pozwólcie mi go przebrać.

Ciocia Dunia próbowała teraz rozebrać mnie z mokrych rajtuzów. Złapałem za gumkę, zdecydowany do tego nie dopuścić. Mój wstyd potęgowało przerażenie, że zaraz mnie tu rozbiorą do naga w obecności tych nieprzyjaznych obcych ludzi.

– Niech ktoś go uciszy! – wrzasnął mężczyzna.

Łkałem, dławiąc się smarkami.

I znów głos matki:

– Dajcie mu spokój. Pozwólcie mi go przebrać.

W końcu pozwolili jej poszukać w rozrzuconej garderobie pary suchych majtek i wełnianych spodenek. Byłem już wtedy w takim stanie, że próby rozebrania mnie z mokrych rajtuz i przebrania w coś suchego musiały przypominać próby oskrobania z łusek rzucającego się pstrąga. Nie wiem, jak nam się to w końcu udało. Wiem tylko tyle, że kiedy mnie w końcu ubrała, kazała mi – tonem, który odebrałem jako karcący, co mnie jeszcze bardziej zraniło – wyjść z pokoju z ciocią Dunią. Odmówiłem. Zawisłem na niej, wyjąc, łkając i zdzierając sobie struny głosowe, a oni bezskutecznie próbowali mnie od niej oderwać. Wreszcie, najwyraźniej wyczerpawszy wytrzymałość naszych prześladowców, dostałem pozwolenie, by zostać w pokoju, gdy mama pakowała swój mały bagaż i ubierała się do wyjścia.

– Pospieszcie się – zarządziła umundurowana kobieta. – Nie idziecie do teatru.

Pamiętam włosy mamy, sztywne i rozburzone, kiedy zapinała płaszcz. Przed małym lusterkiem wiszącym przy drzwiach ściągnęła je do tyłu i próbowała upiąć w kok rzeźbionym grzebykiem.

– Nie możecie tego zabrać! – poinformowała ją funkcjonariuszka.

Dlaczego? Może dlatego, że był ostry i mógłby posłużyć za broń? Mama sprawiała wrażenie dotkniętej, jakby niemożność starannego wyszykowania się była tą ostatnią niesprawiedliwością, która przebrała miarę jej krzywd. Kobieta wyciągnęła rękę po grzebyk, ale mama nie zamierzała go oddać. Kurczowo trzymała jasny rzeźbiony szylkret, jakby była to jedyna rzecz, jaka jej pozostała, coś zbyt cennego, by oddać to chciwym, barbarzyńskim istotom. Podeszła do mnie i uklękła, po czym położyła mi grzebyk na dłoni i zamknęła mi na nim moje paluszki.

– Nie obgryzaj paznokci – powiedziała, pociągając nosem. – Powiedz cioci Duni, żeby ci je obcinała.

Pogładziła moją rękę, ujęła w dłonie moją głowę.

– Chcę pójść z tobą, mamó.

– Nie, nie. Za kilka dni wrócę.

Rozmawialiśmy po rosyjsku, lecz nagle, jakby zobaczyła w mojej twarzy coś przerażającego, ogarnięta dziką desperacją, która rozbłysła jej w oczach szafirowymi błyskami, wyrzuciła z siebie ochryplą angielszczyzną:

– Cokolwiek ci o mnie powiedzą, wiedz, że to nieprawda.

– Mówcie po rosyjsku! – warknęła dziewczyna przy drzwiach.

– Nie sprawiaj kłopotów i nie wierz w to, co ci mówią.

A potem ją odciągnęli. Pozwoliła im zawlec się za łokieć do drzwi. Chciałem za nią pobiec, ale w korytarzu zatrzymał mnie oficer MGB. Ciocia Dunia zagarnęła mnie w przepastne, kwaśno woniejące objęcia, a ja beczalem i krzyczałem.

– Już cicho. Nie sprawiaj kłopotów – powiedziała, powtarzając jak echo żądanie mamy, choć przecież nie mogła rozumieć angielskiego. Ponad jej ramieniem dojrzałem brząz maminego płaszcza i skrawek jej niebieskiej chustki na głowę znikające poniżej balustrady na półpiętrze.

Spotkaliśmy się dopiero siedem lat później.

A teraz siedziałem na hotelowym łóżku, sześćdziesięciocześcioletni mężczyzna z plikiem skserowanych kartek w dłoni, zdruzgotany dawnym wstydem sześciolatka, który posiusiał się w majtki i nie zdołał nawet porządnie się pożegnać. Moja mama. Oszołomienie i bezbronność, bezradność i gniew porzuconego dziecka odebrały mi resztki siły i żywotności, które miałem jeszcze w sobie pod koniec tego wyczerpującego dnia. Odłożyłem papiery na kapę we wzorek paisley i zamknąłem oczy. Na dziś już dość, powiedziałem sobie. Wiedziałem, że jeśli nie przestanę czytać, nie znajdę w sobie jutro rano tej ohydnej unizoności, której ode mnie oczekiwano. Zaciągnięte zobowiązanie podchodziło mi do gardła tak samo jak treść tych ekshumowanych stron.

Leżałem na plecach, ale sen nie przychodził. Byłem zbyt pobudzony, by zasnąć. Linie odręcznego pisma zlewały mi się w głowie w jedno. Listopad, grudzień, styczeń. Miesiące tortur. A potem całe tygodnie bez choćby śladu interakcji, jakby została zapomniana przez tych, którzy ją więzili. Zdumiewało mnie to czyste marnotrawstwo zasobów, ludzi i środków pochłanianych przez ogromny i stale rozwijający się przemysł więzienniczo-śledczy. Cała ta perwersyjna fabryka, w której istoty ludzkie stanowiły surowiec, a produktem były... Co? Podpisane i ostemplowane kartki. I oczywiście niewolnicy. Więzienne cele były przecież jedynie pierwszym etapem operacji, której ostatecznym celem było gromadzenie i uzupełnianie niewolniczej siły roboczej.

Uderzyło mnie na nowo, że miejsca takie jak Łubianka, Butyrki czy Lefortowo były przetwórniami, w których człowieka swobodnie chodzącego po ulicy (o ile takie „wolne” stworzenia faktycznie w Rosji mieszkaly) można było przeobrazić w zwierzę juczne, opuścić do kopalń, wysłać do wycinki drzew, kopania kanałów czy skazać na jeszcze inny rodzaj śmierci rozłożonej w czasie, każąc mu na głodowych racjach żywnościowych wносить wkład w rozwój socjalizmu. A przecież wiedziałem, że i tu nie mam do końca racji: niewolnicy nie byli zwierzętami jucznymi, bo te można skłonić do pracy przez osiem, najwyżej dziesięć godzin dziennie, podczas gdy więźniów udawało się zmuszać do pracy ponad siły przez szesnaście i więcej godzin na dobę. Zwierząt nie można było wpakować do bydlęcych wagonów ani wepchnąć pod pokłady parowców bez jedzenia i wody – i oczekiwać, że tę podróż przetrwają. Traktowanie zwierząt w ten sposób okazałoby się nieekonomiczne, bo wyhodowanie następnych, które zastąpiłyby padłe lub niezdolne do pracy, wymagałoby nakładu sił i środków. Tymczasem ludzi w tym systemie można było zastępować nowymi w nieskończoność, przez co nie mieli żadnej wartości.

Nie wiedziałem, czy bardziej przeraża mnie okrucieństwo, czy krótkowzroczność. Rosyjscy wartownicy, komendanci łagrów i urzędnicy tworzący kolejne warstwy biurokracji nie mieli szacunku nawet dla ludzi uznawanych za zwierzęta. Nawet najbardziej sadystyczny właściciel niewolników na amerykańskim Południu musiał uwzględniać w rachubach ludzką wytrzymałość, by zapewnić sobie przynajmniej nieprzerwane użytkowanie siły roboczej (jeśli nie zbawienie chrześcijańskiej duszy). O ile obowiązek karmienia niewolników i zapewniania im schronienia, by nie padali od chorób i z wyczerpania, był kwestią kalkulacji, o tyle administracja Gułagu nawet to uznała za zbytek, a to dlatego, że nawet w najbardziej zacofanym hrabstwie amerykańskiego Południa ludzkie życie było przynajmniej tyle, ile złoto, za które można je było kupić, podczas gdy w komunistycznej Rosji nie było warte nic.

Zrozumiałem, że tej nocy nie zasnę. Zapaliłem lampkę przy łóżku i wyciągnąłem z pudełka kolejny plik kartek. Wydawały się zlewać w jedno, tak powtarzalny był schemat: natarczywe, niedorzeczne oskarżenia, a po nich powściągliwe przyznanie się do winy, zajmujące najwyżej jeden akapit, wyekstrahowane z wielu godzin przesłuchań i pozwalające wyrobić sobie jedynie niejasne wyobrażenie o tym, co naprawdę działo się w podziemiach więzienia. A potem, po kilku miesiącach – styczeń, luty, marzec – zauważyłem zmianę. Protokoły spisywane wcześniej ręcznie zaczęto zapisywać na maszynie. Najwyraźniej pojawiła się stenografistka, która ewidentnie była lepiej wykształcona niż dwaj zmieniający się śledczy, Bykow i Antonow. Wywnioskowałem to z faktu, że w transkrypcjach zdarzało się teraz mniej błędów gramatycznych i ortograficznych, choć raz i drugi w powodzi wyświechtanych sloganów pojawiały się prostackie sformułowania („darujcie sobie te mętne manewry, którymi próbujecie utopić nasze pytanie”).

Czy stenografistki pracowały rotacyjnie i przyszła wreszcie kolej na stenografowanie zeznań mojej matki? A może podniesiono rangę jej sprawy i teraz zasługiwała na stenografowanie? Na kolejnych stronach nie znalazłem zbyt wielu wskazówek, ale przesłuchania stały się nagle bardziej szczegółowe i dopracowane, a przy tym – a może właśnie dlatego – bardziej absurdalne, bo obok kwestii pracowników Sowinformbiura i niesławnego Komitetu Żydowskiego pojawiła się sprawa jej osobistej korespondencji z wujem Sidem! Oto próbka:

ANTONOW: Przyznajcie się do przestępczych związków łączących was z Amerykaninem Sidneyem Feinem.

F. BRINK: To mój brat.

BYKOW: Jesteśmy w posiadaniu dowodów poświadczających, że rozpowszechniał tajne informacje, które przekazywaliście do waszej komórki szpiegowskiej w Nowym Jorku.

F. BRINK: Zaprzeczam.

ANTONOW: W waszym pokoju znaleziono wiadomości, które obrzydliwie ukryliście w puszcze mąki.

F. BRINK: Nie mogę się wypowiadać na temat czegoś, czego mi nie pokazano.

BYKOW: Mamy tu tłumaczenie: ”Przekazałem Twoje wiadomości grupie (...). Cieszę się, że odnowiliśmy kontakty. Nie powinienem tego pisać, ale mamy nadzieję, że cała nasza komórka wkrótce znów się połączy”.

To, by owe sformułowane piekielnym językiem zdania wyszły spod pióra Sidneya, wydało mi się jeszcze mniej prawdopodobne niż odpowiedzi mojej matki. Bykow i Antonow musieli być zdesperowani, skoro przedstawiali listy od brata Florence jako dowody szpiegostwa.

ANTONOW: Przyznajcie się do waszych związków z siatką szpiegowską Mispok.

F. BRINK: Nigdy nie słyszałam o takiej siatce.

BYKOW: Cytuję: ”Przekazałem twoje wiadomości załodze. Cały Mispok o Tobie myśli”.

Odpowiedź pojawiła się kilka linijek później, chyba po tym, jak moja matka

zażądała, by pokazano jej oryginalny list.

F. BRINK: Miszpoche. To słowo z języka jidysz. Oznacza po prostu "rodzina".

Wyobraziłem sobie, że sformułowania z oryginalnego listu, zanim przetłumaczono je na rosyjski, musiały brzmieć jakoś tak: „Przekazałem wiadomości od Ciebie pozostałym. Cała miszpoche o Tobie myśli. (...) Cieszę się, że po tak długiej przerwie znów jesteśmy w kontakcie. Prawdopodobnie nie powinienem tego pisać, ale wszyscy mają nadzieję, że któregoś dnia znów będziemy razem”.

Niemal zachichotałem, próbując sobie wyobrazić tych prostaków próbujących wymówić słowo miszpoche. To przypominało jakiś tani, beznadziejnie oklepany żart o nieporozumieniach kulturowych między Żydami a gojami – tyle że to nie była rozrywka na letnisku, tylko podziemia Łubianki, a autorstwo stojącej mi przed oczami sceny łatwiej byłoby przypisać Dantemu niż Jackiemu Masonowi.

Przesłuchania zrobiły się jeszcze dziwniejsze kilka stron później, kiedy oskarżenia znów zaczęto formułować w języku wymykającym się przekładowi. Prowadzący przesłuchanie Bykow nękał ją, by przyznała się, że żywiła pristrastie do wrogiej burżuazyjnej literatury. Pristrastie znaczy „namiętność”, choć jego sens chyba lepiej oddaje sformułowanie „grzeszny nałóg”. Z tego, co wiedziałem, takie zdeprawowane pragnienia można żywić jedynie wobec trzech rzeczy: alkoholu, hazardu i seksu. Raczej nie wobec wrogiej burżuazyjnej literatury.

BYKOW: Dwudziestego trzeciego grudnia 1948 roku przekazaliście antyradzieckie materiały waszej współpracownicy, Esther Frank, z którą prowadziliście napastliwe wobec Związku Radzieckiego rozmowy i wymyślaliście oszczerstwa zniesławiające Związek Radziecki.

F. BRINK: Kategoriecznie zaprzeczam, bym kiedykolwiek przekazywała oszczercze materiały Frank lub brała udział w antyradzieckich rozmowach.

BYKOW: Czasopismo "Life", do którego czytania wspólnie z wami przyznała się Frank, zawierało oszczercze stwierdzenia i paszkwile na członków sowieckiego rządu.

F. BRINK: Jestem temu winna, po części. Nie było moim zamiarem rozpowszechnianie oszczerczych rysunków.

BYKOW: Jaki kontrrewolucyjny cel sobie stawialiście, pokazując te czasopisma?

F. BRINK: Nie dzieliłam się nimi z myślą o realizacji jakiegokolwiek kontrrewolucyjnego celu. Chciałam poczytać o amerykańskiej aktorce i dowiedzieć się więcej na temat filmu, w którym wystąpiła.

BYKOW: Jakiego filmu?

F. BRINK: Joanna d'Arc.

BYKOW: To chrześcijańska święta?

F. BRINK. Tak. Ale to nie był film religijny.

BYKOW: A co to był za film?

F. BRINK: Historyczny.

BYKOW: Historyczny film o religijnej męczennicy.

F. BRINK: Tak.

Tutaj następowała krótka dyskusja o tym, czy Joanna d'Arc była postacią religijną, rewolucyjną czy też kontrrewolucyjną, przy czym Florence obstawała przy poglądzie, że

Joanna była patriotką i „córką ludu”, a Bykow, choć zgadzał się z nią w tej konkretnej kwestii, to jednocześnie twierdził, że wyprodukowany w Stanach Zjednoczonych film o męczennicy mimo wszystko stanowi propagandę religijną. Zaimponowała mi gotowość Bykowa do angażowania się w egzystencjalną debatę na temat roli Świętej Joanny. Po tępcie Antonowa Bykow jawił się jako prawdziwy intelektualista. Pochłonięty tą egzegezą prawie przeoczyłem zanotowaną na dole strony następującą wymianę zdań:

BYKOW: Sami poinformowaliście nas, że to Esther Frank rozpowszechniała tę informację.

E. FRANK: Nigdy niczego takiego nie zrobiłam.

BYKOW: Będziecie mieli okazję skonfrontować się z osadzoną.

Co to było? Coś przeoczyłem? Wyglądało na to, że Bykow i moja matka nie byli w pomieszczeniu sami. Był jeszcze jeden – poza niewidoczną stenografistką – świadek, ta „E. Frank”, nie tylko obserwator, ale i uczestniczka wymiany zdań. Kiedy to matka wspomniała o Esther Frank? Aż do tego momentu nie widziałem żadnej wzmianki. I wtedy sparaliżowała mnie mdląca myśl.

BYKOW: Czy nie poinformowaliście kapitana Subotina z NKWD, że Frank rozpowszechniała napastliwą, antyradziecką propagandę?

F. BRINK: Powiedziałam, że razem przeglądałyśmy czasopisma.

BYKOW: I że Frank krytykowała nasze sowieckie realia.

E. FRANK: To ona je krytykowała, nie ja.

F. BRINK: Nie powiedziałam, że wyrażała niezadowolenie z polityki radzieckiego rządu. Frank nie wyrażała wobec mnie takich poglądów. Prawdą jest, że powiedziałam, iż porównywała sowieckie standardy życia z obrazami w czasopismach.

E. FRANK: Nigdy nie prosiłam o możliwość oglądania tych czy innych magazynów. To Brink mi je wciskała, działając jako prowokatorka.

F. BRINK: To nieprawda. W czasie gdy miałam ten magazyn, nie widziałam w nim nic oszczerczego.

BYKOW: A jednak donieśliście, że czasopismo należało do Frank.

F. BRINK: Tak, nie przeczę.

BYKOW: Skoro nie widzieliście w tym czasopiśmie nic wrogiego, to dlaczego wobec kapitana Subotina wyparliście się, że należało do was?

F. BRINK: Wzbudzo we mnie przekonanie, że Esther Frank była konfidentką, która aranżowała nasze spotkania, by mnie sprowokować do pokazania jej materiałów, z których korzystałam w mojej pracy objętej klauzulą tajności.

E. FRANK: To kłamstwo. Nie donosiłam NKWD. To Brink miała ten zaszczyt.

Nie z powodu hotelowej klimatyzacji poczułem chłód rozpełzający mi się nagle po plecach. Jakby zniecka zakrztusił się i zgasł metaboliczny silnik podtrzymujący ciepło mojego ciała. Na ramionach wystąpiła mi gęsia skórka. Wstałem i wyłączyłem termostat, po czym otworzyłem drzwi na wąski balkon, by wpuścić trochę ciepłego powietrza. Wiedziałem, że to, co właśnie przeczytałem, było jeśli nie ogniem, to przynajmniej dymem.

Esther Frank. Podczas wcześniejszych przesłuchań pytano Florence o rozmaitych ludzi, w większości innych tłumaczy i pisarzy pracujących dla komitetu, ich nazwiska

pamiętałem mgliście z książek i lekcji historii. Ale nazwisko Esther Frank uderzyło mnie momentalnie jako znajome. Czy to mogła być... ciocia Essie z końca korytarza? Ciocia Essie ze szklami grubymi jak denka od butelek, w jedwabnych szlafrokach we wzorek paisley? Stara panna tego mieszkania – chociaż może nie (przypomniałem sobie wiszący nad jej łóżkiem portret mężczyzny w mundurze). Zarówno Jasza Gendler, jak i ja spędziliśmy w pokoju cioci Essie wiele godzin, bawiąc się na jej żeliwnym łóżku. Miała obok niego rozkładany karciany stolik, na którym graliśmy w duraka, przy czym często starałem się jej wmówić, że moje szóstki to tak naprawdę dziewiątki – i czasem, jeśli nie miała na nosie okularów, nawet mi się udawało.

Przejrzałem resztę kartek w poszukiwaniu nazwiska Essie, ale nic już nie znalazłem.

Oto fakty, które miałem w rękę: (1) Florence zeznała albo skłamała poprzedniemu śledczemu, „kapitanowi Subotinowi”, że Esther Frank rozpowszechniała burżuazyjną propagandę; (2) a teraz nie zaprzeczała, że (a) donosiła na Esther Frank i (b) sama rozpowszechniała wzmiankowaną propagandę.

Serce waliło mi jak młotem. Czy to było właśnie to? Dowód, którego miałem nadzieję nie znaleźć? Świadczenie, że matka donosiła na przyjaciół i sąsiadów, co z taką satysfakcją zasugerował Jasza?

Migiem przeczytałem kolejne dwadzieścia czy trzydzieści stron, by znaleźć więcej dowodów, a może nazwiska innych ludzi, na których matka doniosła. Nie znalazłem nic. Ale to nie miało znaczenia. Może było dziesięć innych osób, może tylko Essie. Przy $N=1$ dowód był nie mniej prawdziwy niż przy $N=10$. Koszmarny skarbiec, który trzymałem w rękach, ujawnił przede mną fakt, że moja matka zdradziła realną, znaną mi osobę.

Nagle zobaczyłem ciocię Essie oczyma matki. Poczulem chłód, jaki musiał ją ogarnąć na widok przyjaciółki: chorej, wycieńczonej, udręczonej więziennymi upokorzeniami. Tej samej przyjaciółki, z którą dzieliła koję i sekrety na parowcu płynącym do Rosji, rozdygotane od dziewczęcych oczekiwań. Essie, do której nawet w tym piekle musiała odczuwać jakieś resztki serdeczności. Czy uznała za konieczne opancerzenie się przeciw widmom zażyłości nawet wtedy, gdy odprawiały we dwie ów obrzęd wzajemnej denuncjacji? Czułem, jak całe to szaleństwo chwyta mnie za gardło. Mimo wpadającej przez balkon ciepłej nocnej bryzy pokój hotelowy ze swoim schludnie zaścienionym łóżkiem i miękką wykładziną wydał mi się nagle ciasny jak więzienna cela. Zostawiłem rozłożone papiery, uciekłem. W dół po schodach, przez drzwi wejściowe, w ciepłą noc, aż znalazłem się na jasno oświetlonej Twerskiej, o pierwszej trzydzieści w nocy wciąż kipiącej ruchem ulicznym i oślepiającej billboardami; pary przechadzały się, przysiadły w restauracjach i piły czarną kawę za rozświetlonymi oknami czynnych całą noc kawiarni. Ktokolwiek orzekł, że to Nowy Jork jest miastem, które nigdy nie zasypia, nie przechadzał się zapewne o drugiej nad ranem po Moskwie. Dotarłem wreszcie do kiosku obsługiwanego przez młodego Tadżyka w skórze i zrobiłem coś, czego nie robiłem od dziesięcioleci: kupiłem paczkę papierosów. A potem, wyciągnąwszy jednego i zapaliwszy go zapalką z hotelowego pudełeczka, przeszedłem jeszcze kilka przecznic, w lepkim ciepłe nocy paląc drażniące gardło marlboro, dopóki nie zatoczyłem koła i nie stanąłem przed tylnym wejściem do hotelu Marriott Grand.

To był mój pierwszy papieros od dwudziestu dziewięciu lat. Ostatnim był smakowity pożegnalny dymek na kładce nad rzeką Wien w Wiedniu, gdzie moją rodzinę, bezpaństwowców bez grosza, pozostawiono samą sobie podczas tych wszystkich miesięcy oczekiwania na azyl. Lecz do rzucenia palenia skłoniło mnie nie tylko nasze przejściowe ubóstwo. Chyba chciałem stać się człowiekiem nowym pod każdym względem. W Stanach zamierzałem zacząć wszystko od zera, wolny od jakichkolwiek piekielnych uzależnień, które wpędziły mnie w fizyczną i mentalną stagnację. Teraz, wchodząc do hotelowego pokoju, przyjąłem narkotyczne zaproszenie i wypaliłem drugiego papierosa na balkonie nie większym od ogrodzonej półki wiszącej pięć pięter nad nocnym rozgwarem Twerskiej. Dym piekł mnie w gardle. Przechyliłem się przez barierkę i strzepnąłem popiół, być może na głowy ludzi, którzy akurat przechodzili chodnikiem. Musiałem pomyśleć. Nie musiałem myśleć. Musiałem wiedzieć, co mam myśleć o wszystkich tych leżących na moim łóżku papierach, które tak spieszo było mi przeczytać. By opóźnić ten moment, pozwoliłem sobie na chwilę użalania się nad sobą. Człowiek, który został osierocony, że tak powiem, w tak młodym wieku jak ja, z łatwością wpada w taki stan. Chociaż nigdy nie wylądowałem w gabinecie żadnego praktykującego psychoanalityka, liznąłem dość wiedzy z poradników mojej żony, by rozumieć ugruntowane poczucie niższości, które zmusiło mnie do złapania przynęty zarzuconej przez Jaszę Gendlera. Chciałem mu dowiedzieć, że nie jestem tym, za kogo mnie miał: synem donosicielki.

A teraz, gdy poświęciłem tyle energii, by podjąć to wyzwanie, gdy tak daleko zaszedłem, by się z nim zmierzyć, moja reakcja – czy też jej brak – była tak dziwna, że aż mnie to zszokowało. No dobra, Jasza, powiedziałem sobie. Tę rundę wygrałeś.

A potem drugie zaskoczenie: po raz pierwszy w dorosłym życiu nie wszedłem odruchowo w rolę oskarżyciela ani adwokata matki. A przecież przez tyle lat potrafiłem odgrywać tylko jedną z tych dwóch ról. Na ogół był to prokurator – miała mnóstwo cech, które można było skrytykować lub napiętnować. Potrafiłem przebrać się z togi oskarżyciela w togę adwokata, ale tylko wtedy, gdy razem z mamą znalazłem się na ławie oskarżonych. Wszystko to przestało mieć znaczenie.

Zegar na nocnym stoliku pokazał 2.37. Na ścianie wisiał zimowy pejzaż autorstwa Sawrasowa: kruki siedzące na nagich gałęziach. Ogarnął mnie żal, którego nie potrafiłem stłumić, żal nieomal większy od tego, który zawładnął mną przed szesnastoma laty, w dniu jej pogrzebu. Żałowałem, że za życia nie potrafiłem jej zrozumieć. Aż do końca wymykała się mojemu pojmowaniu, opierając mu się milczeniem, wypieraniem i zatajaniem. Nie chodziło o przeszłość w łagrach. W kwestii podróży przez piekielne kręgi starałem się nie indagować zbyt usilnie, respektując jej prawo do niemówienia na ten temat. Nie, tym, co miałem jej za złe, było milczenie innego rodzaju. Tym, czego nie potrafiłem znieść, była jej niechęć do piętnowania systemu, który zniszczył naszą rodzinę, jej odmowa potępienia zła, które pozbawiło mnie ojca i pozostawiło bez matki właśnie w tym okresie, w którym chłopiec najbardziej potrzebuje matczynej miłości. Nie jestem mazgajem. Nie rozdrapuję starych ran. Mam świadomość, że inni cierpieli bardziej. Wystarczyłoby mi, gdyby powiedziała przynajmniej raz: „Tak – to, co zrobili tobie, mnie, całej naszej rodzinie, było niewybacalne”. Ale nie wypowiedziała tych słów, a jej

milczenie, jej apologię systemu, który, jak obstawała (przy mnie!), „zawsze troszczył się o dzieci”, odbierałem jako drugie, nie mniej bolesne porzucenie. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy kompulsywnie czytałem teksty ukazujące się w drugim obiegu, chciałem, by matka stała się równie cyniczna i pozbawiona złudzeń jak ja. Chciałem, by czuła gniew z powodu nieszczęść, które ją dotknęły: zamordowania męża, przymusowego odebrania dziecka, siedmiu lat niewoli, upokorzeń i głodu. Doprowadzało mnie do białej gorączki, że jej to wszystko nie złości. Bo przez to ja musiałem nieść gniew nas obojga.

Przyjmowana przez nią postawa nawykowej niewolniczej uległości kazała mi litować się nad nią jako nad ofiarą jej czasów i politycznych przekonań, ofiarą własnego uporu i złudzeń. I oczywiście nią była, ale dopiero tej nocy dopuściłem do siebie myśl, że mogła być czymś jeszcze – współniczką systemu, który ją gnębił. Dopiero teraz wziąłem pod uwagę alternatywne wyjaśnienie: jej powstrzymywanie się od wydania sądu mogło być nie uległością niewolnika, lecz milczeniem pomocnika. Przyszło mi do głowy, że jej odmowa potępienia całej tej maszyny, której sama była trybikiem, choćby bardzo małym, nie musiała być – jak kiedyś wierzyłem – skutkiem trwającego dziesiątki lat prania mózgu, ale właściwą, może nawet uczciwą reakcją na niesłabnące wyrzuty sumienia.

Czy obawiała się potępienia za to, co zrobiła, choćby nieumyślnie? Czytając tekst zeznań jeszcze raz, dostrzegłem, że podany przez nią powód fałszywego oskarżenia Esther Frank był bardzo dziwny: mama była przekonana, że o to samo oskarżyła ją Essie. To wyjaśnienie, jeśli dać mu wiarę, mówiło wiele o stanie jej przerażonego umysłu – był jak gabinet luster, w których odbijały się upiory.

Ale skoro sądziła, że Essie na nią doniosła, dlaczego później stanęła w jej obronie? Dlaczego przyznała się do posiadania zakazanych czasopism? Po raz enty czytałem wykaz skonfiskowanych przedmiotów. Nie obejmował żadnych zagranicznych czasopism ani zagranicznej burżuazyjnej literatury, których zgodnie z zarzutami była namiętnie złakniona. Na pewno odnotowano by taki drogocenny dowód. Może pozbyła się ich przed aresztowaniem? Ale po co wówczas miałyby się przyznawać do ich posiadania? W podziemiach Łubianki to było słowo mojej matki przeciw słowu Essie. Czy to sumienie kazało jej się przyznać, ocalić przyjaciółkę? Chciałbym w to wierzyć, ale jakoś nie potrafiłem. Rzuciłem niedopałek w studnię między balkonami i wszedłem do pokoju, by podjąć zarzucone dochodzenie.

Byłem już blisko samego dna sterty, kiedy nagle coś do mnie dotarło. Matce postawiono dwa zarzuty, z czego zarzut propagandy i agitacji (58.10) zagrożony był stosunkowo lekkim wyrokiem siedmiu lat. Gdyby uznano ją za winną szpiegostwa, karą byłoby dwadzieścia pięć lat albo – co bardziej prawdopodobne – kula w łeb, podobnie jak w przypadku mojego ojca. Zacząłem się zastanawiać, czy to możliwe, żeby jej „przyznanie się” do posiadania i udostępniania czasopism miało charakter strategiczny? Przyznała się do przestępstwa zagrożonego niższą karą, bo wyczuła, że Łubiankę można opuścić tylko dwiema drogami, przez Syberię albo przez kostnicę, i mimo wszystko miała nadzieję na tę pierwszą?

Muszę przyznać, że ta myśl przyszła mi do głowy, gdy siedziałem na hotelowej muszli klozetowej. Jakiegokolwiek kojącego wpływu na nerwy spodziewałem się po

papierosach, miały one wprost przeciwny wpływ na moje kiszki. Gdy tylko wypaliłem drugiego, poczułem raptowne skurcze jelit. Poleciałem do łazienki z aktami w garści, zdecydowany poskładać w całość ostatnie spędzone w niewoli dni matki, choćby mój organizm zamierzał się pozbyć wszystkich zakuszków, które zmuszony byłem pochłonąć w bani w towarzystwie mojego wytatuowanego dręczyciela. A może ostatecznie były to właśnie nerwy? Mój przeciążony organizm najwyraźniej nie był w stanie strawić niczego nowego, dopóki nie oczyścił się ze starych złogów.

Podniósłszy się wreszcie z kibelka, czułem się lekki i niematerialny jak jogin. Oczy miałem ciemno podkrążone i moje wymizerowane, udręczone odbicie w lustrze wyglądało tak, jakby jego właściciel zrzucił dobre siedem kilo. Stałem się wreszcie pustym naczyniem, gotowym przyjąć duchową strawę. Mniej więcej wtedy dotarłem na sam koniec ryzy papieru. Czytałem dalej. Same kontakty matki wystarczająco mocno przemawiały za tym, by uznać ją za szpiega. Znała szpiegów i pracowała z nimi w Komitecie Żydowskim. Jej mąż, „szpieg Brink”, według przesłuchujących ją śledczych przyznał się już do przekazywania materiałów dotyczących obronności i gospodarki amerykańskim wywiadowcom, na przykład dziennikarzom Paulowi Novickowi i B.Z. Goldbergowi, którzy przyjechali do Związku Radzieckiego, by wywęszyć tajemnice państwowe. Zgodnie z logiką skojarzeń czekało ją trzydzieści lat albo więcej. Dlatego byłem zszokowany, gdy w przedostatnim protokole odkryłem to:

Postanowienie o pieriekwalifikacji obwinienia

30 kwietnia 1950 – Brink, F. oskarżono o działalność na rzecz obcego rozpoznania i wykonywanie przez dłuższy czas pracy szpiegowskiej przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

W trakcie śledztwa nie znaleźliśmy wystarczających dowodów szpiegostwa. Niemniej Brink, F., prezentując orientację antyradziecką, utrzymywała kontakty z wrogami ludu, zatajając ich i swoją wrogą działalność, i wyrażała wobec nich antyradzieckie poglądy oraz przechowywała i dystrybuowała antyradziecką literaturę.

Proponujemy zmianę zarzutu 58.1(a), zgodnie z ustawą 204, na zarzut 58.10.

Przeczytałem to jeszcze raz, nie wierząc własnym oczom. Tak po prostu, bez żadnych wstępów, śledczy wycofali zarzut szpiegostwa.

To znaczy, że jej manewr zadziałał?

Jak to możliwe? Większość trwającego siedem miesięcy śledztwa poświęcono na ujawnienie jej kontaktów „ze zdemaskowanymi szpiegami” i siatkami szpiegowskimi. Tymczasem jedynym „dowodem” na poparcie zarzutu, jakoby rozpowszechniała antysowiecką propagandę, było tymczasowe posiadanie błahego czasopisma, w którym najważniejszym artykułem był pochlebny tekst o Ingrid Bergman, gwiazdzie filmowej wcielającej się w rolę Joanny d’Arc, co trudno uznać za symbol kapitalistycznej dekadencji. Co więcej, było to czasopismo, które znalazło się w jej posiadaniu, gdyż pracowała jako tłumaczka zachodniej prasy. Czy naprawdę śledczy mogli argumentować, że podzielenie się z przyjaciółką artykułem o aktorce było rozpowszechnianiem propagandy?

Byłem absolutnie świadomy, że próbuję posługiwać się logiką w strefie od niej wolnej, lecz przecież nie sposób było zaprzeczyć, że w przypadku mojej matki ciężar tak

zwanego dowodu odpowiadał w znacznie większym stopniu zarzutowi szpiegostwa niż propagandy. Zatem jak to możliwe, zmuszony byłem się zastanowić, że ten pierwszy zarzut został przez gorliwych oprawców nieoczekiwanie wycofany? Uważnie przejrzałem protokoły raz jeszcze, szukając odpowiedzi. Nie natrafiłem na żadną wskazówkę.

Zegar na nocnym stoliku wyświetlił migającą 3.12. Otworzyłem minilodówkę i nalałem sobie wody sodowej, a potem usiadłem w fotelu, sącząc ją ze szklaneczki do whisky i gapiąc się na biały tunel skserowanych kartek na łóżku. Jeśli zamierzałem się choćby odrobinę przespać, musiałem je posprzątać. Dopilem wodę i powoli się podniosłem. Z wielkim wysiłkiem zacząłem składać protokoły. Mój wzrok padł na stronę ze słowem „Miszpok”, która na nowo mnie zbulwersowała. Teraz jednak zmroziła mnie inna myśl: przez cały ten czas matka nigdy nie przerwała korespondencji z bratem. Pisała do niego, a on do niej w okresie wielkiego kryzysu, podczas dwóch fal czystek, wojny światowej, w najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych okresach swojego życia. Niewątpliwie listy były mocno okrawane przez cenzurę, a mimo to... Mimo rozlicznych nacisków, którym musiała podlegać, mimo rozmaitych czynników zakłócających ich korespondencję nigdy nie zerwała z nim kontaktu! To było naprawdę zdumiewające. Uzmysłowiłem sobie, że z nikim nie łączyła jej tak trwała zażyłość – nawet ze mną. Przypomniałem sobie teraz ostatnie lata życia matki, kiedy ulokowałem ją w jej mieszkaniu na Brooklynie, w dzielnicy w dużej mierze rosyjskiej, w okolicach Ocean Parkway. Cieszyła się, że odzyskała niezależność po okresie mieszkania z nami w brooklyńskim Bensonhurst. W soboty, kiedy wpadałem do niej samochodem wyładowanym po dach zakupami, często zastawałem ją w towarzystwie Sidneya, który przyjeżdżał z New Jersey, żeby się z nią spotkać. Niespiesznie spacerowali biegnącym środkiem alei pasem zieleni obsadzonym drzewami. Sidney podtrzymywał matkę pod ramię, a ona parła naprzód, opierając się na swej nowej lasce z gumową końcówką. Mijałem ich niezauważony samochodem, po czym parkowałem przed jej kamienicą. Zawsze mnie zaskakiwało, jak ożywiony i niewystudiowany był w tamtych chwilach wyraz jej twarzy. Zanim zdążyłem zaparkować i do nich podejść, siedzieli już na ławce, pogrążeni w rozmowie; rzadko kiedy widywałem matkę tak rozgadaną. Dostrzegłszy mnie, przerywała rozmowę i uśmiechała się radośnie, ale jakby ukradkiem, niczym rozplotkowana uczennica, która dostrzegła zbliżającego się nauczyciela. Nigdy nie zadałem sobie trudu, by zainteresować się, o czym mogą tyle czasu rozmawiać. W końcu mieli sobie do opowiedzenia całe życie. A jednak rzeczywiście w towarzystwie Sidneya była inna, jakby bardziej otwarta i niewinna, prawie – teraz mi to przyszło do głowy – jak młoda Florie, zanim spadły na nią wszelkie możliwe nieszczęścia. Dziewczyna zatrzymana w czasie.

Spojrzałem na zegarek: w Moskwie była prawie 3.30. Policzyłem godziny do tyłu: w New Jersey 19.30. Wziąłem telefon na balkon i wybrałem numer Sidneya.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Wujek Sidney?

– Julian! Tak szybko wróciłeś?

– Nie, jestem jeszcze w Moskwie. Przeszkadzam? Jecie pewnie kolację.

– Nie, karmią nas tu o szóstej.

– Tak wcześniej?

– Lekarska dieta. Są zasadniczy jak wojsko z jedną czwartą przydziałów. U ciebie musi być środek nocy. Co się dzieje?

– Nie mogłem zasnąć.

– Jakież kłopoty? W pracy?

Na chwilę zamilkłem.

– Darzę zupełnie nowym rodzajem szacunku kobiety – powiedziałem w końcu – które za pieniądze tańczą na kolanach otyłych facetów. Nie jest łatwo przywołać uśmiech na twarz i udawać, że sprawia ci to przyjemność.

Ucieszyłem się, że się roześmiał.

– Witamy w świecie korporacji – odparł.

– Dużo myślałem o mamie.

Nie odezwał się.

– Któregoś dnia przechodziłem obok Łubianki – ciągnąłem. – No wiesz, odtajniłi sporą liczbę starych akt.

– Tam nie było wesoło.

Tylko tyle powiedział. Pomyślałem, że może mnie nie rozumiał.

– Czy Florence kiedykolwiek z tobą o tym rozmawiała?

Nastąpiła długa cisza, a po niej westchnienie.

– Trochę. Pod koniec.

Nie wiedziałem, jak inaczej mógłbym poruszyć ten temat, więc powiedziałem zwyczajnie:

– Dostałem jej akta. Przeczytałem je.

Milczenie, a potem:

– To dobrze.

Nie potrafiłem wyczuć, jaki ma do tego stosunek, więc ciągnąłem na pozór naiwnie:

– Próbowałem sobie to wszystko poukładać, ten okres spędzony przez nią w więzieniu. Momentami to zupełnie nie ma sensu. Pomyślałem sobie... No nie wiem, może jeśli z tobą rozmawiała, mógłbyś mi to nieco naświetlić.

– Nie wiem, ile będę ci w stanie powiedzieć.

– No, na przykład postawili jej dwa zarzuty: o szpiegowanie i o rozpowszechnianie propagandy...

– To wszystko było kompletnie wyssane z palca. Nie była żadnym szpiegiem ani...

– Wiem o tym. Ale sam popatrz, wuju, powiązali ją z tymi wszystkimi siatkami szpiegowskimi, tymi rzekomymi spiskami, a potem nagle wycofali zarzut szpiegostwa. I zakończyli dochodzenie. Nie potrafię tego pojąć.

Czekałem chwilę na jego odpowiedź. W dole, opustoszałą nad ranem aleją, od czasu do czasu przemykał z szumem samochód. Pomyślałem, że przerwało połączenie.

– Wujku?

– Nie można powiedzieć, by zaprezentowała się tam w najlepszym wydaniu, Julianie – odezwał się w końcu Sidney.

I już rozumiałem. Powiedziała mu. Jeśli nawet nie wszystko, to więcej, niż mogłem sobie wyobrazić.

– Chciałbym po prostu wiedzieć, co się wydarzyło. To dla mnie nic nie zmienia. Ona jest nadal moją matką. Wydała kogoś? Poszła na jakiś układ?

– Nie. Jak się tam znalazłeś, było już za późno na układy. – Usłyszałem chrapliwie wciągane powietrze. – Widzisz... Tam było dwóch facetów... przesłuchujących ją.

– No wiem. Mam to tu w dokumentach. Antonow i Bykow.

– Nie znam nazwisk. Jednego z nich nazywała Wieśniakiem.

Natychmiast pomyślałem o Antonowie.

– Przez połowę czasu nie rozumiała, co do niej wrzeszczał. I ciągle jej groził, że spotka ją „rasstrijol”.

– Co takiego?

– No wiesz... Że rozetrą jej na trzecim oku trochę alkoholu i pif-paf!

– A, razstrieł. Kulka w łeb. Ale skąd ten alkohol?

– By zapobiec zakażeniu krwi.

Uśmiechnąłem się sam do siebie i pozwoliłem mu mówić dalej.

– A poza tym dosłownie kipiał nienawiścią do Żydów. Oczywiście, większość Rosjan ich nie znosiła, ale on ciągle wrzeszczał: „Ty wredna wiedźmo. Jadłaś radziecki chleb. Radziecki rząd dał ci dach nad głową, a ty zdradziłaś. To za takich jak wy walczyłem na froncie. Przez takich jak wy mój brat stracił na wojnie nogę...” i tak bez końca. Nie dawał jej w nocy zasnąć, a potem przekazywał ją temu drugiemu, a tamten kazał jej siedzieć godzinami na stołku pod ścianą, żadnego spania oczywiście, a sam przeglądał papiery. Prowadził nawet rozmowy telefoniczne w jej obecności. Pytał dziecko, czy odrobiło pracę domową. Mówił żonie, że znów będzie później w domu. „Cześć, kochanie, długi wieczór w biurze śledczym, nie czekaj na mnie z kolacją”. W ten deseń.

– Po co?

– A kto ich tam wie. Może po to, żeby jej przypomnieć o istnieniu świata na zewnątrz.

– Może po to, żeby jej pokazać, że nie jest złym człowiekiem, bo kocha rodzinę i dzieci? Dobry glina i zły glina?

– Jasne. Klasyczna zagrywka. To on jej powiedział, że twój ojciec wciąż żyje, trzymają go gdzieś w innej części budynku. Mówił: „Będę z wami szczerzy. Wasz mąż jest w kiepskim stanie. Siedzi tu od dawna. Z waszą pomocą możemy mu ułatwić życie... Proszę się przyznać do takich a takich zarzutów, a ja już dopilnuję, żebyście się z nim zobaczyli. Może nawet udałoby się nam zorganizować widzenie małżeńskie, he, he”.

– Było w tym choćby ziarno prawdy?

– Nie, kłamstwa od początku do końca! Próbował ją tylko rozstroić. Drażnił się z nią. Mówił: „Pytanie, czy mąż będzie zainteresowany. W końcu jakby teraz was zobaczył...”. Sadysta lustrował ją spojrzeniem od góry do dołu i mówił: „Tak, widzę, że kiedyś musieliście być niebrzydką kobietą”. Kładł jej rękę na kolanie i kręcił głową: „Ale tutaj zrobiła się z was prawdziwa wiedźma, Floro Solomonowna. Naprawdę się zaniedbaliście”. Oczywiście od miesiący nie widziała się w lustrze. Włosy jej posiwiały, a ona nawet o tym nie wiedziała.

– Ale chodzi mi o to, czy mu uwierzyła? W sprawie ojca. Dała się na to złapać?

– Nie, nie dała. Przestań zadawać pytania. Nie to jest ważne.

Jak to mogło nie być ważne? Zdziwiłem się, ale nie miałem czasu na dyskusje. W Moskwie była 3.50 i rozmawiałem z New Jersey. Posłusznie zamilkłem.

– No w każdym razie ten facet... Rajcowało go mówienie w ten sposób do kobiet. Nazywały go Karman, Kieszeń.

– Kto?

– Kobiety z jej celi. Było ich około piętnastu.

– W jednej celi?

– Tak. Nigdy nie wyjmował lewej ręki z kieszeni wojskowych spodni.

– Miał kiepską reputację wśród kobiet?

– Można tak powiedzieć. Była taka dziewczyna w jej celi, śliczna córeczka jakiejś komunistycznej szychy, która wypadła z łask. Za każdym razem, jak Karman ją wzywał, wracała do celi zapłakana. Kazał jej opisywać ze szczegółami wszystkie jej poprzednie doświadczenia seksualne. Florence chyba tego oszczędził, może dlatego, że była za stara. Miała jakieś trzydzieści dziewięć lat.

– A więc jej nie tknął.

– Z tego, co mi wiadomo, to pomijając łapanie za kolano, zadowolął się po prostu słuchaniem i trzymaniem tej ręki w kieszeni. To go podniecało.

– No nieźle.

– No i kiedyś Wieśniak wszedł, jak Karman gadał, jak to on, o tych małżeńskich widzeniach, trzymając rękę na jej udzie. Tamtego okropnie to zbrzydziło. Może coś powiedział, może tylko skrzywił się pogardliwie, ale przekaz był w każdym razie jasny: „Nawet z taką wiedźmą?”.

– Więc w sumie się nie kumplowali?

– Nie znosili się. A co istotniejsze, bali się jeden drugiego.

– W jakim sensie bali?

– No wiesz, w tamtym systemie nikt nie był bezpieczny. Dzisiaj jesteś po jednej stronie biurka, a jutro po drugiej. Facetów z KGB czystki dotykały tak samo jak całą resztę. Ciągłe wszyscy na wszystkich szukali haków. Trochę jak życie w mafii. Jak jest dobrze, to jest dobrze, ale wcześniej czy później zawiśniesz.

– Nie ufali sobie.

– Właśnie. W którymś momencie zafundowali jej pas transmisyjny... Wiesz, co to jest?

– Jasne.

– Sto godzin albo i więcej nieprzerwanego przesłuchania, raz jeden, raz drugi. Była już wtedy bardzo osłabiona, więc kiedy doszedł całkowity brak snu... Prawdopodobnie była gotowa przyznać się do tego, że jest bratową papieża, ale ze wszystkich sił starała się nie dopuścić, by ten łązęga oskarżył ją o szpiegostwo. Ocalił ją wyłącznie brak wyobraźni. Powiedziała im: „Skoro tyle wiecie o spiskach, to sami opiszcie i podpiszcie całą tę historię”. Ale oni krzyczeli: „Ty musisz nam powiedzieć! I sama musisz podpisać. Chcemy usłyszeć prawdę!”.

Znów pomyślałem o Wasiliju Grossmanie. Musieli zrobić z matki ochoczą uczestniczkę tej farsy. Musieli sprawić, by trup wolności tańczył jak kłown.

– Nie dostali od niej tego, czego chcieli. Przysypiała na krzesle. Budzili ją, świecąc jej potężnymi żarówkami w twarz. Albo nią potrząsali.

– Pobili ją?

Sidney zamilkł na chwilę.

– Problem polegał na tym, że ten świrnięty cholernik... Nie Karman, tylko ten drugi... kompletnie nad sobą nie panował. Ciągłe podkreścony od wcierania sobie w dziąsła tego...

– Moment... Antonow? Chcesz powiedzieć, że brał narkotyki?

– Boliwijski biały proszek.

– Kokainę?

– O, to, to. Wciągał ją do nosa, żeby dotrzeć do rana. Cała masa tych sukinsynów to robiła, dodawali sobie w ten sposób animuszu przy obrabianiu więźniów.

– Wciągał w obecności mamy?

– Przez większość czasu podsypiała. Uchyłała powieki i widziała go przy biurku, jak pudruje nos. Nosił to w małym puzdreczku. Jak kobieta.

– Ożeż...

– Facet miał od tego permanentny katar, ciągle pociągał nosem. Nos miał różowy jak pudel. Karman wchodził i kazał mu wytrzeć nos, strasznie pogardliwie.

– Czyli każdy miał coś na drugiego.

– Na pewno cieszył się, że ma tego ćpuna do odwalania brudnej roboty, o ile tylko pilnował, żeby tamten nie wymknął się spod kontroli. No więc przypuszczali na nią kolejne ataki, czasem obaj jednocześnie. A ona już tylko recytowała z pamięci: „Nie przyznaję się do szpiegowania ani spiskowania. Nigdy nie wyrażałam niezadowolenia ze Związku Radzieckiego”. Musiała przysnąć, recytując te formułki, bo następne, co zapamiętała, to to, że obudzili ją kopnięciem w nerkę. Jej krzesło przewrócone na podłogę. Bili ją pięściami w żebra. No więc leży na podłodze, te cholerne lampy wycelowane prosto w nią, a ona widzi tylko czarne buty Wieśniaka. No więc co robi? Zaczyna krzyczeć: „Terrorysty! Nie możecie mnie bić! To nie tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy! Nie możecie wymuszać składania fałszywych zeznań biciem!”. No więc teraz ten drugi, on też był w pomieszczeniu, podchodzi i mówi: „Szkoda, że nie jesteś w rękach gestapo, ty żydowska świni. Wiesz, co oni by ci zrobili? Ci to wiedzieli, jak traktować zdrajców”. A ona do niego na to: „A więc porównujecie się z gestapo? Tam właśnie nauczyliście się takich metod? Byłoby bardzo nieprzyjemnie, jakby wasi przełożeni się dowiedzieli, że z dumą wzorujecie się na faszystach”.

– Moment – przerwałem. – Tak powiedziała? Do nich?

– Chyba nie do końca wiedziała, co mówi. To był odruch. Ale owszem. Następnego dnia dali jej dokument do podpisania. Wycofano zarzuty szpiegostwa. Najwyraźniej żaden z tych facetów nie miał ochoty na to, by przesłuchiwanie jej trwało choćby dzień dłużej. Chcieli ją stamtąd wywieźć, zanim znajdzie się w rękach innego śledczego albo jeden z nich zakapuje drugiego. Ta uwaga na temat gestapo... wystraszyła ich na tyle, że szybciotko zamknęli sprawę.

Potałem czoło. Z niewyspania byłem drażliwy i obolały. Wysokość, na jakiej zawieszony był balkon, przyprawiała mnie o mdłości.

– Dlaczego mi tego nie powiedziała? – zapytałem. – Szczerze mówiąc, byłbym pod wrażeniem.

– No wiesz... Jak raz wypuścisz dzina z butelki... Zacziesz mówić o jednym i zanim się zorientujesz, zaczną wyłazić kolejne rzeczy. Nie byłeś najwdzięczniejszym odbiorcą tych opowieści.

– To znaczy?

– Nie chcę wnikać. Nie wiem, jaka była sytuacja między wami.

– Mów, co chciałeś powiedzieć.

– Twoja matka uważała, że jesteś bardzo... etyczny.

– Ja?

– Tak. Zawsze byłeś bardzo bezkompromisowy.

Nie mogłem w to uwierzyć. Musiałem się roześmiać – żeby odzyskać własną tożsamość.

– Uważała, że to ja jestem idealistą?

– Wiedziała, że nie poprzestajesz na słuchaniu. Próbowalbyś przyłapać ją na niekonsekwencji. Taki po prostu byłeś.

– Julian Brink, purysta – powiedziałem.

– Słuchaj, jak trochę pogrzebiesz w życiorysach, to na bank u każdego doszukasz się jakichś mało budujących epizodów. Jej było już wystarczająco ciężko z tym, że zapłaciłeś tak wysoką cenę za wiele jej innych decyzji.

Tego się nie spodziewałem. Ale zanim zdążyłem zareagować, Sidney powiedział:

– Późno już. Dla mnie i dla ciebie. Nie chcę gadać do ochrypnięcia.

– Jasne. Dziękuję za tę rozmowę, wujku.

– Jak już skończysz się wyginać dla tłuściochów, to wpadnij mnie odwiedzić.

– Wpadnę. Dobranoc.

Poczekalem, aż się rozłączy, i odłożyłem słuchawkę.

Skończyłem porządkować papiery, nie mogąc się uwolnić spod uroku opisanej przez Sidneya sceny. Bezczelność matki. Zuchwałość oskarżenia. Był w tym jakiś nieuświadomiony spryt. Swoim śledczym zrobiła to, co oni próbowali zrobić jej: podważyła ich lojalność wobec siebie klasyczną metodą „dziel i rządź”. W atramentowych ciemnościach pomacała na oślep i znalazła szczelinę.

Odłożyłem papiery na stolik i nastawiłem budzik na siódmą. A potem spróbowałem zasnąć.



Spałem niespokojnie. Obudziło mnie lodowate powietrze wślizgujące się pod fałdy kołdry. Jeśli nie liczyć wąskiego pasma dziennego światła wpadającego przez szparę między ciężkimi zasłonami, w pokoju panowały ciemności. Słyszałem pracujący z pełną mocą klimatyzator. Nie pamiętając, żebym przykręcał termostat, doznałem uczucia, jakbym został opętany przez złe duchy.

Miałem sen, który wyjaśniała panująca w pokoju temperatura. Wszystko działo się w jakimś nieokreślonym rejonie podbiegunowym. Obraz, który mi się śnił, przywodził skojarzenia z ziarnistą kliszą starych filmów, kinem wojennym z czasów mojego dzieciństwa. Był jakiś statek, który płynął kanałem. Wyglądał jak krążownik Aurora, ale ze specyficznego sposobu łamania lodu domyśliłem się, że pod tą historyczną powłoką kryje się jeden z moich statków. We śnie sterowałem nim, ale też obserwowałem samego siebie, jak steruję. I chociaż nie było nikogo innego, a w każdym razie nikogo nie widziałem, czułem, że otacza mnie aprobata załogi, poczucie wyższości moralnej, w którym pławiłem się, dopóki nie spuściłem wzroku na koło sterowe i nie odkryłem, że na wypolerowanej drewnianej obręczy spoczywają nie moje dłonie, ale tłuste łapy pokryte granatowymi tatuażami. Od tego momentu sen stał się sceną z Titanica. Lekkomysłnie – a może raczej celowo – wytatuowane dłonie kierowały moją Aurorę prosto na niewidoczną górę lodową, która zmaterializowała się w ciemnościach. Słyszałem, jak szoruje o kadłub, przecina stalowe poszycie i tak to trwało we śnie, dopóki z kadłuba nie zaczęły wypadać i spływać mi do stóp jak bawełniany śnieg kłęбки watoliny.

Kiedy się obudziłem, serce waliło mi jak młotem. Szyja i barki zdrętwiały. Czułem się bardziej wyczerpany, niż kiedy zasypiałem. W końcu wstałem i odsunąłem zasłony – na tyle, by nie spalić sobie siatkówki. Siedem pięter niżej kompletnie zakorkowaną w jedną stronę Twerską przetaczała się rzeka trąbiących samochodów. Bezwolnie pozwoliłem się ciału zaprowadzić do toalety i pod prysznic. Biczowany gorącą wodą rozmyślałem o dwóch młodych chłopakach, Gibkowie i McGinnisie, którzy, kiedy już skończymy, przejmą zadanie zarządzania naszym projektem. Polubiłem ich, bo nie ulepiono ich z fałszywej gliny L-Petu. Odniosłem wrażenie, że oni również mnie polubili – za moją wiedzę i bezpośredniość. Teraz bez wątpienia uznają mnie za jeszcze jednego starego hipokrytę. Przygotowywałem się zawczasu do utraty poważania i obniżenia oczekiwania wobec mnie.

W kiepsko oświetlonym lustrze nad minibarem patrzyłem, jak drżą mi ręce, gdy zawiązuję sobie krawat na szyi, podciągam go i opuszczam kołnierzyk. Stojąc obok nocnego stolika, na którym wciąż leżały akta mamy, zrobiłem sobie kawę rozpuszczalną

i wychyliłem filiżankę do dna. Promień słońca dotknął powielonych podpisów osób, które zatwierdziły wyrok więzienia dla Florence. Zaskoczył mnie widok trzech innych nazwisk obok podpisów Bykowa i Antonowa, choć jak się nad tym dobrze zastanowić, to wcale nie było szczególnie dziwne. Czymże w końcu były te piekielne lochy, jeśli nie jeszcze jednym kręgiem działania biurokracji? Natychmiast stanął mi w oczach obraz kartek przekazywanych z jednego biurka na drugie, przesuwających się coraz wyżej w łańcuchu, coraz dalej od zimnej celi matki, z każdym stemplem i podpisem pokrywających się coraz grubszą patyną formalności. Prawdopodobnie osoby, które podpisały wyrok miłosiernie skazujący moją matkę na siedem lat ciężkich robót, nigdy nie widziały jej na oczy. Postawiłem filiżankę na jednej z kartek, zadowolony z brązowego kawowego kółka, jaki po sobie zostawiła: moja własna pieczętka obok trzech oficjalnych stempli NKWD. Jakież zamiłowanie do procedur musiały oddawać wszystkie te schludne formularze! A przecież jednocześnie: zerwane więzy lojalności, prywatne porachunki, wzajemną odrazę. Jaką jednomyślność – czy też, by posłużyć się językiem zapożyczonym od NKWD, jaką identycznomyślność – sygnalizowały te zgrabne rzędy podpisów. A przecież to również było kłamstwem. NKWD, szczerząc zęby na świat zewnętrzny, zjadało samo siebie. Dlatego matce przyszło do głowy, by w tych najgłębszych podziemiach Hadesu poszczuć na siebie dwa psy, Antonowa i Bykowa? Podważyć ich wzajemną lojalność tak samo, jak oni podważyli jej lojalność wobec Essie? Czy badała uważnie ich sztuczki, nawet gdy ją rozpracowywali? A może po prostu dostrzegła oczywistą prawdę, że nikt nie jest niezniszczalny? Że fronty nie są nieprzerwane? Że wszystko jest przeżarte zgnilizną strachu i zawiści?

I wtedy stanął mi w oczach inny obraz elegancko złożonych podpisów. Odruchowo powędrowałem spojrzeniem ku torbie na laptopa, która na wpół zapomniana stała na dywanie w prostokacie światła ukośnie padającym zza zasłon. Podeszedłem do niej i wyjąłem z kieszeni plik dokumentów związanych z naszym joint venture, część „pakietu powitalnego”, który zmuszony byłem przeczytać na początku całego przedsięwzięcia. Opracowany w gładkiej PR-owej konwencji przez dział prasowy Continentala komunikat przeznaczony był dla mediów zajmujących się kwestiami handlu ropą naftową, istniejących właśnie po to, by opisywać takie sprawy. Otworzyłem to wszystko i zamknąłem w dniu, w którym nam to wręczono. Teraz jeden po drugim wyciągnąłem papiery z teczki. Przejrzałem je od pierwszej do ostatniej strony: nudny, porządny korporacyjny tekst, na którym nie kładła się cieniem najmniejsza sugestia wewnętrznych nieporozumień. Wiedziałem, że mój plan jest szalony, a mimo to palce niezmordowanie przewracały kartki. Dobrnąłem do końca nużącej deklaracji misji i na ostatniej stronie, na samym dole, znalazłem listę podpisów. Uporządkowano je w dwóch kolumnach: Rosjanie po prawej, Amerykanie po lewej, jak tancerze na balu debiutantów. Moje nazwisko widniało mniej więcej w środku amerykańskiej kolumny przy niewiele mówiącej nazwie stanowiska „dyrektor usług projektowych”. Po prawej stronie znajdowały się nazwiska i podpisy Muchowa, Serdiuka i Kabłukowa. I tuż poniżej sugerujących wtórny analfabetyzm kulfonów Kabłukowa widniał zgrabny, lekko pochylony w prawo, spokojny, lecz jednocześnie władczy podpis, na który wcześniej nie zwróciłem uwagi, z informacją: „A. Kozłowski. Dyrektor ds. Partnerstw Zagranicznych”. Nigdy nie

widziałem człowieka na oczy. Kimkolwiek był, najwyraźniej zanadto zajmowały go inne sprawy, by mógł nas zaszczyścić swoją obecnością w mahoniowej sali konferencyjnej. Ewidentnie był jednym z tych zatrudnianych przez każdą firmę dyrektorów bez twarzy, przez których biurko muszą przejść wszystkie dokumenty pokonujące zagadkową drogę ku szczytom, by owe szczyty mogły je zatwierdzić, zanim poślą je z powrotem na dół. Wiedziałem, że w tym łańcuchu bardzo niewielu ludzi znajdowało się powyżej Trepa, a mimo to nazwisko Kozłowskiego widniało pod nazwiskiem Kabłukowa, sygnalizując jego wyższy status. W kwestii umieszczenia nazwisk na stronie nie popełniano błędów. Pomyłkowo przetrącone życiorysy, pomordowani ojcowie, uwięzione matki – jasne. Ale niewłaściwe umieszczenie podpisów na dokumencie? Nigdy.

O dziewiątej byłem już w siedzibie głównej L-Petu, mając nadzieję, że nie przyuważy mnie nikt z naszego projektu, nikt, kto miałby ochotę przejść się razem ze mną do sali konferencyjnej na nasze podsumowujące spotkanie. Szczęśliwie winda okazała się pusta i zawiozła mnie na najwyższe, dwudzieste pierwsze piętro. Czulem w ustach kwaśny posmak kawy rozpuszczalnej, chlupiącej w pustym żołądku i podchodzącej do gardła. Dzięki cząsteczkom słodzonej kofeiny dłonie mi już nie drżały, ale czulem wewnętrzny dygot innego rodzaju, szykując się na wędrówkę w labiryncie L-Petu, dopóki ktoś nie wskaże mi biura A. Kozłowskiego.

Okazało się, że należy go szukać we wschodnim skrzydle kompleksu, czego dowiedziałem się od młodego człowieka w dopasowanym garniturze, który na moje pytanie, skoro tylko pokazałem mu identyfikator, zareagował zaskakującym brakiem podejrzliwości i nawet poprowadził mnie bocznym korytarzem do końca i wskazał kilka wind jadących tam, dokąd musiałem się dostać. Tak więc znalazłem się wreszcie w tej zbudowanej ze stali i szkła części budynku, która wydawała się oddzielną wieżą. Na moment straciłem orientację, skąd przyjechałem i gdzie jestem. Pode mną nie rozciągał się już pas zieleni rozdzielający bulwar Sreteński, ale kwartał całkowicie wyburzony – jeśli nie liczyć małego, pomalowanego na żółto kościółka i przylegającej do niego plebanii, pozostawionych na łaskę losu w samym środku tej brutalnej modernizacji. Podeszedłem do szklanych drzwi, za którymi rozciągała się otwarta przestrzeń podobna do lotniskowej poczekalni dla VIP-ów. Prostokątne skórzane kanapy i drzewka w donicach podświetlono niewidocznymi lampkami zamontowanymi w niszach pod sufitem. Żadnego ciężkiego mahoniowego czy nieużywanych kominków, jakbym umknął z jednego stulecia i przeniknął do drugiego, choć ten lżejszy, współczesny świat po drugiej stronie był wciąż poza zasięgiem, zamknięty silnym magnetycznym uchwytem, dającym się zwolnić tylko elektronicznie – lecz nie za pomocą mojej karty. Dostrzegłem coś w rodzaju recepcji, lecz nikogo przy niej nie było.

Zamknięte szklane drzwi były dla mnie oczywistą wskazówką, by odwrócić się na pięcie i pomaszerować z powrotem. Dziewiąta piętnaście. Zebranie rozpoczynało się za kilka minut, a ja jeszcze mogłem się wycofać. Nie miałem pojęcia, jak się dostać do tej zamkniętej galerii, jak znaleźć Kozłowskiego, a nawet co powiedzieć, gdybym go jakimś cudem odszukał. Dostrzegłem jednak kobietę podchodzącą do biurka, które wcześniej było puste, brunetkę w średnim wieku, z poważną fryzurą w stylu pisarki Ayn Rand. Za nią szli korytarzem inni: trzech hałaśliwych mężczyzn, zbliżających się niespiesznie

w stronę drzwi, za którymi stałem. Jeden z nich nacisnął przycisk zwalniający magnetyczną blokadę i poczekawszy, aż wyjdą dwaj pozostali, przytrzymał mi otwarte drzwi. Wszedłem pewnym krokiem, uświadamiając sobie, że podchodząc do biurka kobiety, stawiam stopy na zewnątrz jak jakiś kowboj, co było przypadłością części pracowników Continentala pochodzących z Teksasu. Odurzała mnie własna zuchwałość.

Ayn Rand, kiedy się do niej uśmiechnąłem, obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem. Nie przestawałem się uśmiechać, aż wreszcie zwróciła się do mnie po rosyjsku z chłodnym zdrastwujcie i pytaniem, w czym może mi pomóc.

Już chciałem odpowiedzieć własnym zdrastwujcie, by znaleźć z tą istotą jakąś przestrzeń porozumienia, gdy coś mnie powstrzymało. Było oczywiste, że uznała mnie za ziomka, który przyszedł skądś spod pokładu i do którego należało się zwracać ze stosowną pogardą. Ten punkt wyjścia zupełnie mi nie odpowiadał.

– Yes, hello – odpowiedziałem po angielsku i uśmiechnąłem się jeszcze szerzej. Sam nie wierzyłem w to, by mój obciążony silnym rosyjskim akcentem angielski mógł ją zwieść ani by przyjęła go bez zastrzeżeń, mając przed sobą moją bijącą po oczach rosyjską gębę, ale zamrugła i przyjrzała mi się uważniej, niepewnie, jakby przeliczała jeszcze raz sumę, tym razem z nieco uprzejmiejszym wyrazem twarzy.

Nigdy nie dawaj im pewności, że cię rozgryźli. Myśl napłynęła nieoczekiwanie, a uzmysłowiwszy ją sobie, nabrałem przekonania, że jedynym sposobem na przechylenie szali z powrotem na moją korzyść jest zachwianie ich pozycją.

Wyjaśniłem kobiecie, że przyszedłem się zobaczyć z „panem... Kuz-low-sky”, udając, że prawidłowa wymowa nazwiska sprawia mi trudność. Uniosłem przepustkę, na której widniało po prostu „Julian Brink, Continental Oil”, bez nazwy stanowiska, i wyjaśniłem jej, że jestem dyrektorem technicznym projektu Warandej, co było może nie bezczelnym kłamstwem, ale na pewno nagięciem prawdy. Ujęła słuchawkę, po czym wskazała palcem jedną z prostokątnych kanap, polecając mi usiąść. Odszedłem kilka kroków, ale nie usiadłem.

– Ktoś z Continentala – usłyszałem słowa skierowane do telefonu, a potem głośniejsze, po angielsku, do mnie: – Był pan umówiony?

– Moja sekretarka miała się tym zająć... Lecę dziś z powrotem do Waszyngtonu i muszę...

Wyraz jej twarzy wskazywał, że nie obchodzi jej specjalnie, kiedy lecę ani gdzie. Przesunęła kartkę po blacie.

– Proszę tu opisać swoją sprawę. Pan Kozłowski do pana zadzwoni.

Baba nawet nie dała mi długopisu. Obejdzie się. Z kieszonki koszuli wyjąłem podrabianego mont blanca. Poczekałem, aż odłoży słuchawkę.

– Jedno pytanie.

Spojrzała na mnie czujnie, gotowa nie dać się zaskoczyć nowymi niespodziankami.

– Czy pani rodzina pochodzi z Norylska?

– Dlaczego z Norylska?

– Pracowałem tam w zeszłym roku i poznałem kobietę, która wyglądała właśnie tak jak pani. Ma pani taką białą skórę. – Słyszałem swój głos, swoją szorstką wymowę, pojmowałem niedorzeczność tego wszystkiego, lecz mimo to ciągnąłem: – Ta dama...

zdradziła mi, że są dwa powody posiadania tak pięknej jasnej karnacji: po pierwsze białe noce, a po drugie fakt, że ponieważ Mongołowie nigdy nie dotarli do Norylska, jego mieszkańcy są prawdziwymi Rosjanami. I pani jest prawdziwą Rosjanką, prawda?

Powściągnięcie uśmiechu wymagałoby od niej naprawdę heroicznego wysiłku, choć nie można powiedzieć, by się nie starała.

– Nie. Moja rodzina pochodzi z Nowogrodu – odparła. – Ale do nas również Mongołowie nie dotarli.

– Ha!

Poszedłem zająć miejsce na skórzanej kanapie.

– Proszę poczekać – powiedziała i znów ujęła słuchawkę. Odłożywszy ją po chwili, wskazała na mnie palcem. – Ma pan dziesięć minut.

Anton Kozłowski był wysokim, ubranym w jasnoszary garnitur mężczyzną o schludnie przystrzyżonych włosach i bladych oczach szeroko rozstawionych w twarzy poznaczonej śladami przebytej w dzieciństwie ospy. Kiedy podszedłem, nie uściśnął mojej dłoni i niemal natychmiast po tym, jak usiadłem, zerknął na zegarek.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytał.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że jestem przedstawicielem Continental Oil w projekcie Warandej, wszystko to po rosyjsku. Nie próbowałem go oszukać. Swoimi szeroko rozstawionymi oczyma patrzył na mnie może nie chłodno, ale... rzeczowo – i przebiegło mi przez myśl, czy nie nauczył się wpatrywać w ten sposób w ludzi jeszcze jako dziecko, gdy zbyt nachalnie przyglądano się jego ospowatej twarzy.

Za jego głową wisiała mapa świata, na której każde pole L-Petu oznaczono brązową pinezką, pinezki niebieskie natomiast miały chyba oznaczać przyszłe, rozwojowe pola naftowe.

– Za pół godziny nasz wspólny zespół wybierze ostatecznie firmę transportową. Pozostają pewne... niewyjaśnione kwestie. Dotyczące jednego z oferentów.

– Jakie kwestie?

– Kwestie kompetencji... i kosztów.

– Proszę więc przedyskutować je z moim zespołem. Dlaczego z takimi technicznymi zagadnieniami przychodzi pan do mnie?

Utkwił we mnie to swoje rzeczowe, wyzywające spojrzenie. Gorączkowo szukałem właściwych słów, czując, że musi przecież istnieć jakieś magiczne zdanie, które tylko czeka, by je skądś wyciągnąć, jakieś słowo ukute specjalnie na tę okazję. Na próżno.

– Z całym szacunkiem, ale to pan będzie podpisywał umowę – powiedziałem, nawet jednak w moich uszach zabrakło tym słowom siły przekonywania, głos zabrzmiał niemal błagalnie.

Pewność siebie, która mnie tu przywiodła, najwyraźniej mnie opuściła.

– Podpiszę wszystko, cokolwiek wynegocjuje mój zespół.

Kozłowski znów spojrzął na zegarek, szybko, ale z premedytacją. Wyobraziłem sobie Toma i pozostałych, czekających na mnie w wyłożonej ciężką boazerią sali konferencyjnej cztery piętra niżej. Może rozpoczęli zebranie beze mnie? Ale przecież nie mogłem teraz tak po prostu wstać i opuścić gabinetu, nie wychodząc na tchórza i frajera. Próbowałem wybadać twarz Kozłowskiego, zgadnąć, czy jest wtajemniczony w szemrane

układ Kabłukowa. Podświadomie założyłem, że wystarczy jedno spojrzenie, bym zyskał odpowiedź na to pytanie i pewność, co robić dalej. Twarz Kozłowskiego pozostała jednak nieprzenikniona.

– Przepraszam, że niepotrzebnie zająłem panu czas – powiedziałem. – Mój błąd, że nie słuchałem Iwana Matwiejewicza. On faktycznie powiedział mi, że pana podpis jest jedynie formalnością.

– Kto tak powiedział?

– Kabłukow. Powiedział, że pana podpis jest formalnością i że decyzje zostały już podjęte... wyżej.

Wzruszyłem z żalem ramionami, pocierając kciukiem podróbkę mont blanca w spoconej dłoni. Kozłowski nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego tym, co właśnie powiedziałem. Nie był człowiekiem, który pozwalałby się drażnić. Te kilka słów można by porównać do ściągnięcia spodni i pokazania mu tyłka.

– Nie wiem, co usłyszał pan od Kabłukowa, ale żadne decyzje nie są podejmowane wyżej ode mnie.

– A zatem są panu znane szczegóły tej umowy?

Na tę zagrywkę Kozłowski pokręcił głową.

– Ale z pana numer. Nu. No to już mówcie, towarzyszu... Brink.

– W tym momencie w sali konferencyjnej 14A wybieramy spedytora, który obsłuży projekt naftowy Warandej. Pan Kabłukow i jego zespół obstają przy wyborze firmy, która nie ma doświadczenia i która skasuje projekt i nas na siedemnaście milionów rocznie więcej.

– A wy, towarzyszu Brink, przyszlście tutaj, by zapytać mnie o powód.

– Absolutnie nie. – Starłem się powiedzieć to lekkim tonem. – Powód nie ma dla mnie znaczenia. Jakikolwiek by był, podpiszemy umowę z firmą, którą wybierze. Tyle że... pozostaje kwestia ryzyka i... powiedzmy, zysków. Ta branża ze swej natury obejmuje kwestie szacowania ryzyka. Czasem nie wiadomo, na jakie ryzyko człowiek się godzi albo też... – rozłożyłem ręce – ...czy faktycznie ma udział w zyskach.

Spojrzałem na mapę nad jego głową. Kilka niebieskich pinezek wbito na środku morza, w pobliżu Arktyki. Z dala od brzegu. Przyszłość.

– Składa mi pan jakąś propozycję?

Przestrzeliłem. Kozłowski miał wyraz twarzy policjanta z drogówki, którego omyłkowo spróbowałem przekupić. Źle mnie zrozumiał. W ogóle nie o to mi chodziło.

– Ja oczywiście nie mówię o naszej stronie – powiedziałem pospiesznie. – Dla Continentala znaczenie ma wyłącznie kontynuacja współpracy z L-Petem...

To też miało fatalny wydźwięk; pachniało głupkowskim lizodupstwem.

– A jednak zadał pan sobie trud, by przyjść tu w imieniu Continentala...

– Nie, jedynie we własnym – poprawiłem go. – Mam tu syna, o czym pan Kabłukow doskonale wie. Mój syn próbuje na własną rękę znaleźć sobie miejsce w świecie. Z całym szacunkiem chciałbym prosić, by pozwolono mu prowadzić jego działalność bez zakłóceń, a L-Pet będzie mógł swobodnie prowadzić własną.

Kozłowski zamrugał kilkakrotnie. Powoli do niego docierało. Był biurokrata, który nie lubił brudzić sobie rąk. Bez wątplenia miał świadomość taktyk stosowanych przez

Kablukowa i tolerował je, ale nie cierpiał sytuacji, w których musiał ponosić konsekwencje jego żarłoczności i sprzątać pozostawiony przez niego bałagan. Teraz miałem już pewność, że nienawidzi Kablukowa równie mocno, jak Bykow nienawidził Antonowa.

Wstał, dając mi do zrozumienia, że nasze spotkanie dobiegło końca. Nie podniosłem się. Nie zamierzałem opuszczać tego pokoju bez gwarancji. Kozłowski przyjrzał mi się bez słowa, przesuając spojrzenie bladych oczu z mojej twarzy na ramiona i dłonie, jakby podejmował decyzję, czy wyrzucić mnie przez okno, czy jednak nie.

– Nie musicie się tym więcej niepokoić – powiedział wreszcie. Przyjrzał się przepustce wiszącej na mojej szyi. – My tutaj wszystko sprawdzamy, Dżuli-jan.

Nikogo nie brakowało przy stole konferencyjnym wielkości stadionu olimpijskiego. Przeprosiłem i zająłem miejsce obok Toma, zostawiając jedno puste krzesło między sobą a Kablukowem. Obaj mieli w filiżankach resztki kawy z termosów ustawionych pod przeciwległą ścianą. Kablukow w swoich ciemnych okularach skinął na mnie tak poważnie, że wydało się to niemal groteskowe.

– Panowie, myślę, że możemy zaczynać – powiedział Tom, sprawiając wrażenie, jakby był ze mnie niezadowolony.

Zająłem się wydobywaniem laptopa z torby. Zdawało mi się, że utknął między papierami, i po chwili uzmysłowiłem sobie wstrząśnięty, że przypadkowo wepchnąłem do torby nie dokumenty L-Petu, ale akta matki! I wtedy dotarła do mnie absurdalność mojego położenia. Popełniłem właśnie głupotę na miarę dowolnego z dokonań mojej matki – i po co? By chronić Lenny'ego? Pogrążyć Trepę? A może mojej samobójczej misji przyświecał ostatecznie ten sam dziecinny cel, dla którego Florence straciła tyle krwi – beznadziejna idea Sprawiedliwości?

W końcu wydobyłem laptopa spośród pogniecionych akt, uważając, żeby żadna z kartek przypadkiem nie wypadła. Pojęcia nie miałem, co dalej. Ogarnęła mnie pedantyczna chęć otwarcia arkusza kalkulacyjnego, w którym odnotowywałem wady i zalety poszczególnych oferentów, choć wiedziałem, że w tym momencie to głupie i bezcelowe.

I wtedy drzwi się otworzyły i do sali wszedł Anton Kozłowski.

Muchow spojrzał na Serdiuka, jakby to właśnie on miał coś wiedzieć o przyczynach tej nieoczekiwanej wizytacji. Wbiłem spojrzenie w Trepę.

– Anton Jewgieniewicz... – Kablukow uniósł się lekko z krzesła, a Muchow za nim. – Nie spodziewaliśmy się pana dzisiaj.

– Mój wyjazd do Ufy się przesunął.

Kozłowski się nie przedstawił. Pozwolił czynić honory swoim pomagierom z L-Petu.

Przygotowałem się na nieunikniony scenariusz, w którym Kozłowski obwieszcza, że przyszedłem się z nim spotkać. Żałowałem? Nie, to nie był żal. Miałem pustkę w głowie. Tym, co przeżywałem, było przecucie nieuchronności, nietzscheańska świadomość, że wszystko to już wcześniej się wydarzyło i znów się wydarzy. W przeciągu kilku minut Tom się dowie, że okazałem się nielojalny. Cały proces

przebiegnie w z góry wiadomy sposób. Owoc mojej pracy zostanie nieodwracalnie oddzielony od wysiłku, który włożyłem w jego wyhodowanie, i już nigdy nie zostanie oddany pod moją kontrolę. Samobójcza misja się zakończyła. Byłem martwy, tylko po prostu jeszcze mnie o tym nie poinformowano.

Kozłowski nie patrzył na mnie. Do pozostałych zwrócił się zwyczajnie:

– Siadajcie, proszę. – Między mną a Kabłukowem stało puste krzesło i właśnie na nim usiadł Kozłowski. – Przyjaciele, proszę, kontynuujcie zebranie. Nie będę wam przeszkadzał. Wiem, że już prawie skończyliście. Chciałbym po prostu w charakterze obserwatora wysłuchać podsumowania mocnych i słabych stron oferentów ubiegających się o możliwość realizacji tego ważnego zlecenia.

Nie spojrzałem na Toma, chociaż czułem, że na mnie patrzy. Miałem pewność, że czeka, aż coś zrobię. To miała być bohatera chwila mojego poniżenia. Nie dopuszczając, by sprawy wymknęły się spod kontroli, miałem ogłosić przed Kabłukowem, a teraz jeszcze przed Kozłowskim, że wszystkie oferty zostały uważnie rozpatrzone w ciągu kilku ostatnich dni i na wykonawcę zlecenia wybraliśmy Sausen Petroleum. Tego ranka mieliśmy uporać się już tylko z dokumentacją.

Ale jak mogłem wygłosić coś takiego po tym, co zrobiłem? Wyczuwałem utrzymującą się jeszcze na garniturze Kozłowskiego woń dopiero co wypalonego papierosa. Nie potrafiłem się zmusić, by zacząć. Zabrziałbym jak psychopata.

– Nu? – ponaglił mnie Kozłowski niecierpliwie.

Dotknąłem zamkniętego laptopa.

– Zrobiliśmy tabelkę – powiedziałem słabo.

Utkwione we mnie blade tęczęwki zadziały jak elektryczny oścień do poganiania bydła. Mówiły: „Jestem. Co masz mi do pokazania?”

A ponieważ nie odezwał się już ani słowem, otworzyłem swojego della i odnalazłem arkusz.

Kozłowski rozegrał tę akcję w pięknym stylu. Podczas dyskusji zachowywał na ogół uprzejme milczenie, przysłuchując się lapidarnemu podsumowaniu mocnych stron trzech oferentów z krótkiej listy: Jessemu, Sowkomfłotu i Sausen Petroleum z siedzibą w Genewie. Mówił głównie Muchow, tak gładko przechodząc od omawiania jednej firmy do prezentowania drugiej, że nawet mnie trudno było się czasem zorientować, o której akurat mówi. Tymczasem Kozłowski wydawał się przyswajać całą tę wiedzę bez najmniejszych trudności i nie spuszczać oka z ekranu mojego komputera, przerywał mu co jakiś czas, by zadawać pytania ciężkie od zdrowego rozsądku.

– A co sądzą nasi Amerykanie? – zapytał wreszcie.

– Zdajemy się na wasz osąd – powiedział Tom z gładkim uśmiechem, w którym rozpoznałem szeroki grymas kogoś gotowego łyknąć każde gówno.

Kozłowski, nie dając po sobie poznać, że wcześniej o tym rozmawialiśmy, poprosił o możliwość wglądu w wyjściowe oferty trzech konkurentów. Studiował je wnikliwie przez dłuższą chwilę, nie zwracając uwagi na nerwowe uśmiešky siedzących w sali mężczyzn. Obserwowałem Kabłukowa. Za swoimi ciemnymi okularami dostawał chyba właśnie apopleksji. Rozluźnił krawat i otarł czoło chusteczką.

– Mam wrażenie, że jeden z oferentów chciałby nas obciążyć dość słonymi

opłatami – zauważył Kozłowski.

To Muchow, lojalny żołnierz piechoty, pierwszy stanął w obronie Sausena. Znów przewaliły się wszystkie ograne argumenty: doskonałe relacje ze szwajcarskimi bankami, bezwypadkowa historia, bla, bla, bla.

– A mnie się zdaje, że oni nie mają żadnej historii – wtrącił Kozłowski spokojnie. Tylko jeden argument nie został podniesiony w jego obecności: znakomite stosunki Sausen Petroleum z prezesem firmy, panem Abuskałajewem. W tej kwestii ani Muchow, ani Serdiuk, ani, o dziwo, Kabłukow nawet się nie zająknęli.

– Wygląda na to, że w istocie do wyboru mamy Jessem i Sowkomfłot. Oczywiście w naturalny sposób skłaniałbym się ku jednemu z naszych – powiedział Kozłowski – ale to jedynie moje prywatne zdanie i wiem, że podejmiecie własną decyzję.

Począł, aż to zrobimy. Po jednogłośnym, aczkolwiek przeprowadzonym bez zapachu głosowaniu stanęło na Sowkomflocie.

Wyszedłszy na zewnątrz, podniosłem wzrok i ze zdumieniem skonstatowałem, że chyba jeszcze nigdy niebo nie wydawało mi się tak niebieskie.

– Co tam się stało? – zapytał Tom, osłaniając oczy przed słońcem, którego promienie odbijały się pręgami od połyskującego obsydianowo kompleksu L-Petu.

– Zagadka spowita tajemnicą – odparłem.

– Ciągłe tego nie ogarniam. Myślałem, że to Kabłukow ma ostatnie słowo.

– Każdy złodziej ma szefa.

– No, to wygląda na to, że dostaliśmy, czegośmy chcieli.

Ach, więc teraz już „my”.

– Chyba nadskakiwaliśmy nie temu sukinsynowi co trzeba – powiedziałem.

– Dobra, niech sami to sobie rozstrzygają. – Pierwszy raz, odkąd go poznałem, Tom sprawiał wrażenie człowieka niepewnego, jaki powinien zrobić następny krok. W roztargnieniu potarł gładko wygolony podbródek. – Kto tam za nimi dojdzie, cholernymi Ruskami – skwitował wreszcie. Wyglądało na to, że wolałby zmienić temat. – Wszyscy na ciebie czekaliśmy. Dlaczego się spóźniłeś?

Zastanawiałem się, czy nie zdradzić mu, gdzie byłem kwadrans przed spotkaniem, uznałem jednak, że lepiej nie budzić licha. Tom zaproponował, że w ciągu tych kilku godzin, które zostały nam do odlotu, moglibyśmy pójść pozwiedzać, odhaczyć kilka turystycznych pozycji. Wymówiłem się jednak od roli przewodnika. Miałem parę pilniejszych spraw do załatwienia. Przeciąłem bulwar Sreteński i wszedłem do kawiarni mieszczącej się w budynku z brudnoróżowej cegły. I stamtąd zadzwoniłem do Lenny'ego.

Dwukrotnie próbowałem się połączyć, zanim wreszcie odebrał.

– Sorki, tato, siedziałem na kibelku – wyznał z typową dla siebie bezpośredniością.

– Szykujesz się już do powrotu?

Poczułem ulgę, słysząc jego głos. Powiedziałem mu, że dość wcześnie skończyliśmy, a potem zaproponowałem, żebyśmy się wybrali na wycieczkę na Targ Izmajłowski i zapolowali na jakieś sowieckie starocie.

Długie milczenie.

– Wiesz co, tato, to się chyba nie uda. Większość straganów jest w dni robocze

zamknięta.

– Och, na pewno jacyś zdesperowani handlarze będą próbowali pozbyć się jednej czy drugiej starej leiki. A może znajdziemy coś naprawdę wartościowego.

Sprawił wrażenie, jakby się wahał.

– Proszę, wybierz się ze mną – powiedziałem. – Naprawdę bym się ucieszył.

Uzmysłowiłem sobie, że to prawda, a mimo to byłem zupełnie nieprzygotowany na falę radości, która mnie ogarnęła, gdy powiedział:

– No dobra, to widzimy się na miejscu.

Muszczyzna">39

Muszczyzna



Zgodnie z przewidywaniami Lenny'ego na pchlim targu było prawie pusto, pomyślałem jednak, że chyba nawet tak wolę – tylko my dwaj, włóczący się alejką wśród straganów rozstawionych pod gołym niebem, w cieniu drewnianej fortecy cara wymalowanej jak Disneyland. Lenny podniósł porcelanową pandę, po czym odstawił ją z powrotem. Dostrzegłem kątem oka, że spogląda na zegarek.

– Pomóż mi wybrać prezent dla twojej matki – podsunąłem.

– Może to?

Uniósł zieloną gumową maskę gazową.

– To będzie od ciebie, nie ode mnie – uprzedziłem.

Chciałem zarazić go swoim łowieckim zapachem, ale miał rację, to się chyba nie mogło udać. Otwarta była jedynie część stoisk, która oferowała wyłącznie gadzety najatrakcyjniejsze dla turystów: matryoski z Jelcynem i militaria. Z niewyspania wciąż miałem piasek w oczach, ale ożywiła mnie świadomość, że Lenny'emu nie grożą w najbliższej przyszłości żadne kłopoty.

– Mama nienawidzi takiej szmiry – zauważył Lenny, kiedy trafiliśmy na stoisko zapchane książkami i plakatami.

– To nie do końca prawda – powiedziałem. – Nie znam nikogo, kto miałby tyle uznania dla porządnego kiczu. – I chyba dla potwierdzenia tych słów podszedłem do sprzedawcy, kolesia z brodą w strąkach i pociągłą twarzą przypominającą oblicza postaci z ikon (wątpliwego pochodzenia) ustawionych pod przeciwległą ścianą. – Czy ma pan jakąś sztukę antykapitalistyczną?

Mężczyzna zmarszczył brwi, jakbym sobie zażyczył, żeby spuścił spodnie.

– Szto? – zapytał.

– Plakaty – wyjaśniłem – z tłustymi kapitalistami... No wie pan, w cylindrach, ćmiących cygara.

– A pan sobie myśli, że gdzie jest? – zachnął się obrażony.

Wymieniliśmy z Lennym spojrzenia. Wśród książek rozłożonych na stołach wokół nas znajdował się katalog obrazów Marca Chagalla, Almanach grzybów, O kwestji kobiecej Lenina (w rzeczywistości autorstwa jego żony, Nadieždy Krupskiej), ilustrowana broszura Protokoły mędrców Syjonu, estoński album Zakazana erotyka oraz autobiografia Billa Clintona.

– Pojęcia nie mam, prawdę mówiąc – odparłem.

– Chodźmy coś zjeść – zaproponowałem, przerywając Lenny'emu lekturę rozmówek dla amerykańskich żołnierzy z roku 1962 (tego samego roku, zauważyłem

z zaciekawieniem, na który przypadł kryzys kubański). Lenny podniósł wzrok i zapatrzył się na udisneyowioną twierdzę Izmajłowo.

– Kiedyś naprawdę nienawidziłem takich miejsc – powiedział nagle.

– Poważnie?

– Żebyś wiedział. Przypominały mi o niej.

Od razu wiedziałem, o kim mówi.

– O Iroszce.

Uśmiechnął się do mnie krzywo.

To wcale nie miało zabrzmieć cukierkowo. Po prostu tak ją zawsze nazywałem – córkę naszych dawnych przyjaciół, a później była żoną Lenny’ego. Nie Irina, tylko nasza Iroszka, tak nazywaliśmy ją wszyscy, najpierw z czułością, a potem z nutą ironii i złośliwości, która nigdy nie zdołała do końca wyprzeć pierwotnego ciepła.

– Tego pierwszego lata, kiedy tu wróciłem... – powiedział – ...to był dziewięćdziesiąty szósty, oprowadzała mnie po mieście. Wszyscy ci emeryci wyprzedający rodowe srebra starannie ułożone na gazetach. Zbierane przez całe życie kolekcje przypinek albo porcelanowych filiżanek, albo kryształowych mis.

– Nadal to robią.

– Nie, nie tak jak wtedy. Inflacja była kompletnie poza kontrolą. Wyprzedawali wszystko, żeby mieć co do garnka włożyć. To było, kurwa, tak dołujące, a ja proszę, szedłem sobie z portfelem wypchanym dolarami.

– I chciałeś je wydać na Irinę.

– No właśnie w tym rzecz. Pamiętam, że tam był taki starszy facet, który chciał sprzedać zabytkowy srebrny serwis do herbaty za jakieś dwadzieścia baksów. Widziałem, że nie jest zawodowym handlarzem, tylko zwykłym zdesperowanym emerytem. Targowała się tak długo, aż zszedł z ceną prawie do zera, to było może osiem dolarów. Zapłaciłbym dwadzieścia bez mrugnięcia okiem. Ale... chyba się bałem, że weźmie mnie za frajera.

– W życiu nie chodzi o to, żeby wycisnąć wszystko jak cytrynę – podsunąłem.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Ale przecież zawsze ci imponowało, że Irina jest taka praktyczna. Taka twarda. Powtarzałeś, że wiele mógłbym się od niej nauczyć.

– Ja?

– Mówiłeś: „Ona jedna sprawdza prognozę pogody”.

Nie odpowiedziałem. Jakikolwiek zapamiętał mi błędy, jakiegokolwiek krytyczne uwagi pod własnym adresem, nie mogłem tego wyprostować złożeniem wniosku o porządny audyt. Przeszłości nie da się w ten sposób naprawić. Patrzyłem na niego z pełną świadomością tego faktu.

– Ciągle o niej myślisz? – zapytałem. Dobierałem słowa rozważnie, ale uprzytomniłem sobie, że nie boję się już, że nasza rozmowa potoczy się w niewłaściwym kierunku i zakończy wyrzekaniem, niezrozumieniem i wzajemnym przypisywaniem sobie winy.

– Właściwie nie. Powinienem był zauważyć, co się święci.

– Daj spokój. Miałeś dwadzieścia trzy lata i byłeś nieprzytomny z miłości. Zdarza

się najlepszym.

– Wiesz, co mi często powtarzała pod koniec, jak mieszkaliśmy razem w tym mieszkaniu, którego nie znosiła? Żartowała, że nie jestem prawdziwym muszcziną. Mówiła: „Musz ty musz, da czina niet” – rozwlekłym moskiewskim akcentem Iriny imitował ze śmiechem jej okrutny żarcik ze słowa muszczina, mężczyzna. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że to słowo składa się z dwóch krótszych, oznaczających „mąż” i „ranga” albo „stanowisko”. Mąż to może i z ciebie jest, ale bez stanowiska. Zastanowiłem się mimowolnie, czy Irina sama to wymyśliła. Wiedziałem, że jest inteligentna, ale zdumiało mnie, że mogła być tak zwyczajnie okrutna.

– Wiesz, latami się zastanawiałem, co by się stało, gdyby nasza rodzina tu została. Gdybyśmy nie wyemigrowali. Może wyrósłbym na kogoś twardszego, a nie takiego mięczaka dręczonego nieustannymi wyrzutami sumienia. Ale sęk w tym, że ja nie jestem jednym z nich. Nie jestem taki jak Irina czy Sasza Zaparotnik. Jestem...

– Amerykaninem – powiedziałem.

– No właśnie.

Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy w ten sposób. Teraz tego żałowałem.

– Więc chciałeś się przekonać, jak by było inaczej?

Spojrzał na mnie.

– Nie brzmi sensownie, co?

– Tego bym nie powiedział. – Ileż to razy sam zastanawiałem się, kim mógłbym zostać, gdybym był wychowywany w Stanach, przez matkę, która by zawsze była przy mnie. – Słuchaj, trzeba przyznać, że miałeś pod górkę. Ja też kilka razy solidnie oberwałem od życia, ale przy każdej przegranej miałem usprawiedliwienie: system był nieuczciwy. Miałem Sowietów, których mogłem obwinić o wszystko. W takiej sytuacji masz mniej krytyczny ogląd samego siebie.

Nigdy dotąd tak o tym nie myślałem, ale teraz, słysząc własne słowa, przyszło mi do głowy, że może to i prawda. W okresie pełnej ograniczeń młodości mogłem wraz z tyloma do mnie podobnymi zachować poczucie przyzwoitości, nawet jeśli przeszkody okazały się nie do przewyciężenia. A raczej zwłaszcza wtedy.

– Tym, czego Ameryka ci nie powie, a co wiąże się nierozzerwalnie z życiem człowieka wolnego – powiedziałem – jest to, że prędzej czy później dopadnie cię poczucie, że twoje problemy to wyłącznie twoja wina. Nawet jeśli być może po prostu powinęła ci się noga.

– Powinni to umieszczać na etykiecie z ostrzeżeniami – zauważył Lenny.

Przypomniały mi się słowa Walentyny wygłoszone w drodze powrotnej na dachę: ostrzegłem Lenny’ego, ale go nie przygotowałem. Czy mogłem uczciwie stwierdzić, że się myliła? Dopiero teraz pojąłem, że udzielając mu wszystkich tych ostrzeżeń, założyłem się z diabłem, że Lenny się potknie. Stałem z boku i biernie obserwowałem jego wysiłki, przez wszystkie te lata wyczekując chwili, w której polecą na twarz. Aby podniósłszy się, upokorzony porażkami, okazał się wreszcie gotowy do nawrócenia się na ojcowskie mądrości.

Ale skoro taką ścieżkę przeznaczyłem synowi, to w jakiej roli obsadziłem siebie? Przypisując jego problemy uporowi, zwolniłem się od odpowiedzialności za to, by trwać

u jego boku.

Minęliśmy kiosk z zabawkami. Lenny wybrał pluszaka i powiedział:

– Kojarzysz te zabawkowe króliczki z długimi łapkami i przyszytymi do nich rzepami? Takie, co się przytulają? Tak właśnie wyglądaliśmy z Iżą, kiedy mieliśmy sześć lat. Kiedy ty i mama przygotowywaliście się do wyjścia z mieszkania Ostrowskich, bieglismy do łazienki i chowaliśmy się pod zlewem, przytuleni do siebie, żebyście nie mogli nas rozdzielić.

– Pierwsza miłość.

– Coś więcej. Ona naprawdę mnie znała. Przy niej nie musiałem być chłodny, cyniczny ani nic takiego. Mogłem być sobą. I jasne, w jakiejś mierze wiedziałem, że traktuje mnie instrumentalnie, bo chce przyjechać do Nowego Jorku, ale nie sądziłem, że to wszystko tak się skończy. Że przyjdzie do domu o północy, pachnąc Calvinem Kleinem, kiedy ja będę siedział na kanapie i grał w gry komputerowe. Pieprzyła się z szefem tuż pod moim nosem, a ja nie potrafiłem się zdobyć na to, żeby ją wyrzucić. Jakbym wiedział, że nie ocaleę nawet procenta poczucia własnej wartości. Więc po prostu się jej trzymałem. – Znów wybiegł spojrzeniem ku opustoszałym straganom. – Ciągłe to robię.

– Co robisz?

– Trzymam się tego, co jest, choćby minęła data ważności. Nawet jak już wyją wszystkie alarmy, zostaję na statku do gorzkiego końca. Wiem, że w twoich uszach to musi brzmieć strasznie fatalistycznie. – Rzucił mi krótki, drwiący uśmiech.

Kusiło mnie, by go odwzajemnić. Od dawna podobnie oceniałem sytuację i przyczyny jego zgrzyot. Mimo wszystko ucieszyłem się, że doszedł do tego wniosku samodzielnie, a mój udział ograniczył się do wysłuchania go.

Księga VI



Gdy pewnego lodowatego grudniowego poranka kapitan Henry Robbins wylądował w Seulu, nie znał tam prawie nikogo. Rezerwistów przydzielano jednego po drugim do regularnych oddziałów. Wszyscy mężczyźni, którzy mieli latać razem z nim, byli młodzi. Dwudziestokilkuletni chłopcy, którzy przegapiwszy pierwszą szansę na udział w wojnie, gorączkowo chwycili się drugiej. Dorastali w czasach triumfalnych zwycięskich pochodów i transparentów na cześć bohaterów. Całą wiedzę o wojennej rzeczywistości czerpali z niedzielnych popołudniówek eksponujących na łamach Roberta Mitchuma i Johna Wayne'a.

Od rozpoczęcia wojny Robbins usilnie starał się rozwinąć niewielkie studio portretowe do rozmiarów prawdziwego zakładu fotograficznego sprzedającego obiektywy, maskownice, projektory i regulatory czasowe. Właśnie wtedy, gdy go znów powołano, interes zaczął przynosić wreszcie zyski. Ponowne zaproszenie od Wuja Sama wzbudziło w nim niepokój, którego nie potrafił ubrać w słowa. Gdyby go zapytano, nie przyznałby, że czuje się zdradzony. Kiedy jego młoda żona zauważyła, że wprowadzone przez Trumana nowe zasady wybiórczej służby wojskowej pozwalają tysiącom młodych ludzi uchylać się od poboru, gdy tymczasem jemu każą zgłosić się po raz drugi, Robbins nie przyznał jej racji. Fakt, że nie pozwolono mu przełożyć terminu poboru, bo w przeciwieństwie do wielu przyjaciół z wojska poszedł do pracy, a nie do college'u, również nie wyjaśniał do końca jego jawnego rozgoryczenia. Zwycięskie pochody już się nie odbywały, ale w 1951 roku w społeczeństwie wciąż jeszcze buzowały nastroje patriotyczne, a Robbins był człowiekiem swego pokolenia, akceptującym przywilej krytykowania zwierzchnictwa, lecz nie sprzeciwiania się rozkazom.

A przecież od chwili, w której dotarł do Ośrodka Rezerwy w Charlotte, a nawet później, gdy już trafił do Korei, nie opuszczały go złe przeczucia. Musiał bardzo oszczędzać i kombinować, by fotograficzny interes nabrał rozpędu, a teraz bał się, że pod jego nieobecność wszystko weźmie w łeb i bank zajmie mu sprzęt i narzędzia. Miał żonę, trzyletnie dziecko, drugie w drodze, ojciec nie żył, matka była stara. Nie wiedział, ile potrwa ta wojna i czy to w ogóle jest wojna. Generałowie nazywali ją „akcją policyjną”, stwarzając wrażenie, że wysyłają go do zakuwania ludzi w kajdanki i wystawiania mandatów za przekraczanie prędkości, gdy tak naprawdę doskonale wiedział, że to wszystko oznacza kolejne trupy.

Pomimo przygniatającego znużenia Robbins nie uważał, by jego odczucia były ze swej natury polityczne. Musiała minąć prawie dekada, zanim Amerykanie zaczęli palić publicznie wezwania z komisji uzupełnień, i to mając naprawdę mniejsze powody do

niezadowolenia, a uczucia całego narodu zaczęły przechylać się na niekorzyść obowiązku i poświęcenia. Próbował ożywić w sobie dawne męstwo, ale zdołał wzbudzić jedynie niejasne poczucie, że ukarano go za lojalność wobec kraju.

Ale był jeszcze odrzutowiec. F-86 sabre nie miał nic wspólnego z B-24, którym latał w ostatniej wojnie. Start miał gładszy od kociej sierści, skrzydła zwięzały mu się do grubości przezroczystej kanapki z hotelu Ritz-Carlton. Nowy, opływowy kształt pozwalał się rozpędzić niemal do prędkości światła. W kokpicie ukryto trio komputerów, które pozwalały pokładowemu radarowi namierzać cele nocą lub przy złej pogodzie. Zamiast celować we wroga ręcznie Robbins musiał tylko wyśrodkować na celu, wprowadzić korektę nachylenia lustra i poczekać, aż magiczne oko sabre'a poda mu zasięg, odchylenie i wyprzedzenie – wszystkie te dane były konieczne do oddania celnego strzału. Życie w cywilu zabiło w nim wojownika. Odrzutowiec go wskrzesił.

Oficjalnie przekazano szwadronowi Robbinsa, że będzie walczył z pilotami chińskimi i koreańskimi. Okazało się, że to nieprawda. Robbinsowi zajęło dwie misje uzmysłowienie sobie tego, o czym wszyscy wiedzieli: że migi, z którymi się mierzył, pilotowały rosyjskie asy lotnictwa, które w ostatniej wojnie zjadły zęby na walce z tym samym wrogiem, przeciw któremu stawał i on. Pomimo przewag sabre'a lżejsze migi potrafiły wzlecieć wyżej i uciec, gdy zaczynało się zanosić na porządną walkę. Z oddali ich smugi kondensacyjne przypominały rozkołysaną płachtę matadora drażniącego byka. Kusiły F-86 do zapuszczenia się na obce terytorium, po czym spuszczały nosy i znikaly za mandżurskim horyzontem.

Zobaczył je podczas szóstej misji patrolowej, kiedy leciał jako skrzydłowy z młodym oficerem dowodzącym, przyglądając się po raz kolejny ośnieżonym górzystym terenom Korei (żadnych przyzwoitych znaczników i żadnego płaskiego miejsca, w którym można byłoby w razie czego wylądować): tuzin migów pędzących na południe, gdzie amerykańskie bombowce przeprowadzały nienagłaśniane operacje, których celem były linie komunikacyjne komunistów. Chłodny księżyc bladł z jednej strony nieba, a w drugim słońce rozświetlało rzekę Yalu jak lustro.

Robbins nie miał czasu, by dziwić się temu, co nastąpiło potem. Ignorując przewagę liczebną migów, dowodzący nimi pilot, dwudziestopięcioletni szalony źrebek z Idaho, zrobił coś, co w relacji historyka lub w nekrologu można byłoby opisać jako „nieposkromione męstwo” lub „bohaterstwo wobec ogromnej przewagi wroga”, a co Robbins – gdyby miał czas rozmyślać nad doborem słów podczas ustawiania urządzeń sterujących tak, by podążyć za dowódcą – mógłby określić mianem bezsensownie zgubnej pychy.

Pułkownik Timur Kaczak miał zły rok. Jako Gruzin cechujący się obojętną, lecz nie irracjonalną brutalnością Kaczak uważał skierowanie go na najpilniej strzeżoną placówkę w Permie, składającą się z około stu pięćdziesięciu obozów pracy na granicy Syberii, za złośliwą zniewagę. Pracował dla czeki jako śledczy, zanim sam Beria wybrał go do prowadzenia przesłuchań. Nie był we własnym mniemaniu tępym chujem, którego można było ot tak, z dnia na dzień, relegować na stanowisko kogoś niewiele lepszego od

strażnika tych arktycznych pustkowi, z których nikt nie mógł uciec, nawet gdyby był na tyle głupi, by podjąć taką próbę.

Kaczak (wcześniej Kaczakidze) był jednym z chłopaków Berii, zwerbowanym i wypieszczonym przez samego Ławrientija. Ale Beria wypadł z łask. Stalin wyznaczył Abakumowa, innego członka gruzińskiej mafii, by ten ograniczył władzę Berii. Teraz w strukturach tajnej policji rozpętała się walka o władzę. Karierowicz Riumin, ominąwszy zarówno Berię, jak i Abakumowa, dotarł bezpośrednio do Stalina z doniesieniami o czymś, co nazwano spiskiem lekarzy kremlowskich. Ta niezwykle pomysłowa machinacja musiała doprowadzić do osądzenia i brutalnego zamordowania Abakumowa za „niepodjęcie działań”. Kaczaka przeniesiono do Permu, Beria tymczasem czekał, aż dym opadnie, próbując odbudować swoją pozycję; jeśli w starej gwardii miały zostać przeprowadzone czystki, musiał umieścić kilku swoich ludzi z dala od gilotyny.

W Moskwie Kaczak miał trzypokojowe mieszkanie z widokiem na Czystyje Prudy i dostęp do drugiego mieszkania, gdzie spotykał się z konfidentami i rznął dziewczyny, z których jedna była żoną Abakumowa. To właśnie był w jego przekonaniu prawdziwy powód wysłania go na koniec świata. Teraz, zamiast wyglądać z okna na przejrzyste stawy, patrzył po przebudzeniu na hałdy żużlu i kopalnie węgla, napawał się trzema godzinami światła dziennego i nadzorował podwładnych, ubranych tylko trochę lepiej od pilnowanych przez nich więźniów, którzy w istocie byli niewolnikami.

Wezwanie przyszło od samego Berii. Pilot odrzutowca Sabre lądował awaryjnie na Morzu Żółtym, ale uniknął pojmania, zażywszy truciznę w kokpicie. Setkę Chińczyków zaangażowano do wyciągnięcia samolotu z wody, odcięcia skrzydeł i przetoczenia kadłuba pod osłoną zaciągniętego chmurami nocnego nieba do centrum kontroli, gdzie wrak został rozłożony na mniejsze części i załadowany do konwoju. Organy bezpieczeństwa były pewne, że inny amerykański pilot F-86 trafił jakiś czas temu do jednego z obozów pracy w Permie. Zadaniem Kaczaka było odszukanie go i wysłanie do Moskwy. Kaczak, słuchając głosu Berii w słuchawce, obserwował przez okno gabinetu zachodzące słońce. Była druga po południu. Uśmiechnął się.

– Czy ty sobie wyobrażasz, że ja osobiście znam każdego zeka? – zapytał swego dawnego przełożonego. – Mamy tu trzech martwych Amerykanów tygodniowo. Powiedz im, żeby sobie sami przyjechali i poszukali na dnie szybów.

– Chyba rozumiesz, jakie będą konsekwencje.

– Jeśli tak bardzo im na nim zależało, to dlaczego nie przywieźli go do Moskwy prosto z Andongu?

– Nie wiedzieli, jaki samolot pilotował.

– A teraz wiedzą.

– Oddział przeczesał wzgórza i znalazł części. Tylko że do tego czasu Amerykanin został już przeniesiony.

– A więc to wojskowi pozwolili, żeby im się wyśliznął. Czemu mamy płacić za ich błędy?

– To nie mnie utrudniasz życie, Timur, tylko samemu Kobie. Stalin polecił przetransportować odrzutowiec w kawałkach do biura projektowego migów.

– No to do czego ci geniusze potrzebują pilota?

– Urządzenia w kokpicie zostały zniszczone. Ten, co tam siedział, roztrzaskał je kamieniem, po czym odebrał sobie życie. Potrzebują pomocy przy rekonstrukcji.

– A więc Koba ma samolot bez pilota, a my możemy mieć pilota bez samolotu. Pozwól, że cię zapytam... Skoro nie puścił pary w Andongu, dlaczego MGB sądzi, że będzie gadał w Moskwie?

– Co masz na myśli?

– Nie wiadomo, czy on w ogóle żyje...

– Zgodnie z dokumentami transport Amerykanów wysłano przez Władywostok do ciebie.

– Jeśli się okaże, że facet żyje, pozwól mi go rozpracować tutaj.

– To nie jest twoja działka.

– Coś wymyślę.

Kapitan Henry Robbins najpierw odmówił składania zeznań, a potem przyjmowania posiłków. Jedzenie przynoszone przez strażników do jego celi pozostawało nietknięte. Po pięciu dniach amerykański pilot nie miał już siły zwlec się z barłogu, przenoszono go więc do pokoju przesłuchań i przywiązywano do krzesła. Ze szkolenia wojskowego wiedział, że nawet przy braku jedzenia mądrze jest pobudzać ciało do ruchu, wykonywać ćwiczenia i masować kończyny, by powstrzymać zanik mięśni. Ale teraz miał tylko jeden cel i celem tym było umrzeć. Nie spodziewał się, by jego prośba została spełniona przez tych parszywych ruskich, ale powtarzał ją z niesłabnącym uporem obliczonym na rozwścieczenie tych, którzy go pojмали. Dzień i noc zaczęły mu się zlewać, ból w piersi i słabnący puls odczytał jako obiecujące sygnały nadchodzącej śmierci. Tym, czego nie wziął pod uwagę, był czas, wlekący się i rozciągający w nieskończoność. Ta sama słabość, która uziemiła go na sienniku, sprawiała, że minuty ciągnęły się jak godziny, a godziny jak dni. Czas przytłaczał go niemożliwie ciężkim kamieniem, który Robbins nieustannie próbował z siebie zepchnąć. Odkrywał wielką kosmiczną tajemnicę znaną jedynie umierającym: im bardziej człowiek zbliża się do swej ostatniej chwili, tym wolniej płynie mu czas. Oto był jego ostateczny egzamin i ostatnia tortura.

Znaleźli go, kiedy wciąż jeszcze miał na sobie kombinezon przeciwprzeciążeniowy, z kaburą na udzie, z kieszeniami prawie całkiem opróżnionymi z cukierków, które zapakował i zalepił taśmą izolacyjną na wypadek, gdyby kiedykolwiek musiał pociągnąć za dźwignię katapulty i wystrzelić się z samolotu. Przez trzy dni czołgał się kamienistą ścieżką wijącą się na wschód między pokrytymi gęstą roślinnością wzgórzami. Próbował iść na południe, zgodnie ze wskazaniem kompasu na nadgarstku, choć nie miał pewności, czy jest w Korei Północnej, czy za chińską granicą. Znał jedno zdanie po koreańsku, nam amu dzongboga obsymnida, które w jego przekonaniu oznaczało odmowę odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania wykraczające poza jego nazwisko, stopień i numer. Ale twarze ludzi z oddziału artylerii przeciwlotniczej, które powitały go, gdy dotarł do podnóża górskiej ścieżki, nie były ani chińskie, ani koreańskie. Pistolet przymocowany do uda miał chronić go na wypadek natknięcia się na drapieznika

lub nieprzyjacielskiego żołnierza. Zobaczywszy jednak, ilu ich jest, Robbins pojął, że pistolet wydano mu w znacznie prostszym celu. Zabrakło mu odwagi do jego realizacji.

Ósmego dnia pojawili się więzienni dozorczy dzierżący dziwne instrumenty. Ze swojego posłania Robbins uchwycił kątem oka mętną ciecz chlupiącą w głębokim naczyniu. Mężczyzna w białym fartuchu niósł gumową tubę. Strażnicy posadzili Robbinsa na posłaniu. Otoczyły go wrogie twarze. Próbowali wcisnąć mu wąż do ust. Sięgając do ostatnich rezerw siły, chwycił wąż, ale wykręcili mu nadgarstki za plecami i przytrzymali głowę, żeby nie mógł się wyrwać. Mężczyzna w białym fartuchu ścisnął mu nozdrza i łyżką zmusił do otwarcia ust. Nie pozwalali mu ani żyć, ani umrzeć. Został skuty i rzucony na brzuch. Ściągnęli mu spodnie i wąż, przez który płynęły życiodajne substancje odżywcze, wcisnęli w odbył. Rozluźnił się i pomyślał: a niech im tam. Wkrótce potem poczuł mokrą, szczypiącą ulgę pierwszej od tygodnia kupy.

Niedługo później lekarz zjawił się ponownie, z nowymi urządzeniami. Robbinsowi odciągnięto do tyłu wargi, a między trzonowce wcisnięto klamry przypominające małe strzemiona, którymi tak długo obracano w górę i w dół, aż udało się rozewrzeć mu szczękę na tyle, by wepchnąć pomiędzy nie dławiącą rurę. Powoli wsunięto mu ją do środka, jak żyłkę na opuszczanej przez dziecko wędce. Robbinsiem raz po raz targał odruch wymiotny, boleśniejszy niż cokolwiek, czego doświadczył wcześniej. Ale skurcze jego gardła i żołądka nie robiły wrażenia na gumowej rurze. Niczym tonący zaczerpnął powietrza nosem; pochylona nad nim przekrwiona twarz lekarza szerniała jak żar zmieniający się w popiół.

Kiedy po wielu godzinach Robbins odzyskał przytomność, dopadł go skurcz żołądka i dojmujące rozczarowanie, że nadal żyje. Wyczuł czyjąś obecność. Ktoś siedział obok niego na posłaniu.

– Kapitanie...

Głos, który usłyszał, należał bez wątpienia do Amerykanina i – co jeszcze bardziej zaskakujące – do kobiety.

– Przyniosłam panu troszkę herbaty. Proszę wypić, lepiej się pan poczuje.

W obozie pracowników leśnych ITSK-2 w Permie nie było termometrów. Nie potrzebowano ich. Temperaturę poznawało się po gęstości mgły, która zaczynała powstawać przy czterdziestu stopniach poniżej zera. Wisiała niczym jeszcze jeden żywioł, taki, który wciąga się w płuca z bólem zadawanym przez tysiące maleńkich igiełek i wydycha z wilgotnym świstem. Przy tak niskich temperaturach nigdy nie zniknęło ryzyko odmrożeń. Najmniejsza wilgoć na czubku nosa zamarzała przy pierwszym zetknięciu z powietrzem. Nikt nie ośmielał się sikać na śniegu. Florence sople zwisały z nosa już od ponad tygodnia, a był dopiero listopad. Nie miała chusteczki ani niczego, co by ją przypominało, więc nieustannie ocierała nos rękawem kurtki, zmuszając ciało do podążania za innymi znajomą już czterokilometrową ścieżką przez las. Przydziałowe gumki w żaden sposób nie chroniły przed zimnem. Palce stóp owinięta szmatami obwiązanymi paskami innych szmat. Kubek przytroczony w pasie był zwykłą puszką po mielonce z darów dla aliantów od Amerykanów, którzy podczas wojny oprócz

wieprzowiny przysyłali ziarno i ciągniki. Straciła kształt dawno temu, litery całkiem się wytarły. To była jedyna własność Florence i trzeba jej było zażarcie strzec.

Idąca po ubitym śniegu Florence miała nadzieję, że kiedy dotrą na miejsce wyrębu, będzie jeszcze ciemno. Wtedy pozwolono by im przed wycinką pozbierać chrust na ognisko; mogłaby odrobinę odpocząć i ogrzać się z kubkiem gorącej wody ze stopionego śniegu. Ale gdy doszli, zimowe słońce zaczynało już szkarłatną aurą rozświetlać przestrzeń między drzewami.

Gdy tylko znalazła się w lesie z Ingą, swoją towarzyszką, poczuła, że siły znów ją opuszczają. Po porannej racji wodnistej owsianki sił starczało jej tylko na męczący marsz. Starła się nie myśleć o bólu prawej stopy; spuchnięta kostka napierała na gumę tak, że przy każdym kroku ciemniało jej w oczach. To było jak stawanie piętą na bagnecie.

Zadanie Florence polegało na przytrzymywaniu szrag, podczas gdy Inga piłowała, ale nawet to okazało się zadaniem przekraczającym jej możliwości, bo wymagało przynajmniej pewnego zaparcia się obiema nogami o ziemię. Siła Ingi była błogosławieństwem i przekleństwem jednocześnie: pozwalała Florence nie spaść do kategorii zmniejszonych racji żywnościowych, ale zmuszała do nadążania za ruchami towarzyszki, nawet gdy Florence zaczynały drzeć mięśnie. Wysiłki Ingi, pilne i tragiczne, przypominały Florence czasy, gdy po przyjeździe do Permu sama starała się pracować „uczciwie i sumiennie”, by dostać w nagrodę dodatkową rację żywności. Wkrótce zaczęła pojmować, że to właśnie praca na dodatkową porcję ją zabije – pomagała zagłodzić człowieka szybciej za dodatkowe czterysta gram dziennie. Pierwszą zimę w Permie przetrwała wyłącznie dzięki ich brygadziście, starej kołchoźnicy, która знаła wszystkie sztuczki i pozwalała im zbierać stare, ścięte poprzedniej zimy drewno, by wyrobić normę, a do tego nauczyła Florence układać je w luźne sterty, które z zewnątrz sprawiały wrażenie gęsto, porządnie ułożonych. Falszowała księgi, by dokumentowały wyrobione normy, dopóki ktoś wyżej się nie połapał i nie przydzielił im nowej brygadziarki, niewrażliwej na ich los.

– Będiesz musiała pracować szybciej niż teraz – powiedziała Inga.

Florence zakręciło się w głowie. Odkąd zaczął jej dokuczać ból nogi, mdłości głodowe każdego dnia dopadały ją wcześniej. Uśmiechnęła się.

– Praca nie zając. Nie ucieknie.

Usłyszała to powiedzonko po przyjeździe i teraz je powtarzała. W tym miejscu nie było już nic nowego do powiedzenia.

Inga zwróciła w jej stronę płaską estońską twarz, czerwoną od rozpaczliwego wysiłku. Żadna z kobiet w brygadzie nie była „prawdziwą” Rosjanką, jeśli nie liczyć tych kilku, które zostały skierowane przez wojsko do służby na okupowanych przez nazistów obszarach i w nagrodę za lojalność oskarżone o kolaborację. Nazywano je faszystkami, podobnie jak wszystkich politycznych skazanych z artykułu 58, w tym Florence.

– Trzymaj porządek – upomniała Inga.

Florence spotkała ledwie kilka kobiet, które pracowały w lesie przez ponad dwa lata: tyle czasu zajmowało przeobrażenie za pomocą norm skazańca w trupa. Dla Florence była to druga zima. Przywożono nowych więźniów, takich jak Inga, by zastąpić żywe trupy, ich z kolei zastępowano następnej zimy. Ta świadomość przeniknęła do umysłu

Florence jak oklepane powiedzonko, a ona nie znajdowała w sobie siły, by się nią oburzyć lub znaleźć w niej pociechę.

Ból w kostce wciąż przeszywał wychudzoną tkankę jej nogi. Wbijał się coraz głębiej. Nie dawał o sobie zapomnieć.

– O co chodzi tym razem? – zapytała Inga.

– Noga. Nie mogę nią poruszać.

– Która?

– To pewnie odmrożenie. Ale napuchło.

– Odmrożenie nie puchnie. Pokaż.

– Zaklinowała się w bucie.

– Co to znaczy „zaklinowała się”?

Inga zerknęła między pniami sosen w kierunku polanki, nad którą unosił się brudną szarą chmurą dym z papierosów strażników. Ściągnęła but Florence, która usiadła na kłodzie. Wymiędlone szmaty, którymi owinięta była stopa, pozlepiała krew i ropa z odmrożonego palca, ale źródło bólu było gdzie indziej. U dołu łydka była całkiem fioletowa.

– Matko święta! – Florence wiedziała, co to jest, zanim Inga otworzyła usta. – Cynga, ot co.

Od dwóch tygodni dotykała nocą obolałego miejsca i modliła się, by choroba ustąpiła. Teraz dolna część łydki była twarda jak zmrożone jabłko. Florence nacisnęła palcem zsiniałe ciało. Białe wgłębienie nie zniknęło.

– Potrzebujesz surowej cebuli – powiedziała Inga.

– A skąd mam ją wziąć?

– Nasadź ten but, zanim sobie coś odmrożisz.

– Nie wchodzi. Mówiłam ci. Za bardzo spuchło.

– Chryste. Trzeba będzie rozciąć but.

– Mój but! O nie! I czym rozciąć?

Inga weszła głębiej w las i wróciła z ostrym kamieniem. Z powrotem opatulila nogę Florence i rozcięła gumę kamiennym ostrzem. Nietrudno było ją przeciąć; te kalosze były letnim obuwiem.

– Teraz będzie pasował. A potem możesz iść do szpitala.

– Byłam już, byłam. Człowiekowi nie dadzą łóżka, dopóki nie dostanie „zakaźnej” temperatury.

Inga położyła gołą szorstką dłoń na czole Florence i pokręciła głową.

– Wystarczy surowa cebula. Surowy ziemniak też się nada. Wyciągnie szkorbut.

Florence nie powiedziała jednak całej prawdy, a prawda była taka, że lekarka niemal na nią napluła, mówiąc jej, że ma szczęście, że karmią ją na koszt państwa. Ci z pięćdziesiątego ósmego nie dostawali łóżek.

Po południu więźniowie ułożyli dwa ogniska, jedno dla siebie, drugie dla strażników. W ciszy, jak ludzie pierwotni, wpatrywali się w ogień. Ciekące im z nosów gile syczały, spadając na rozżarzone węgle. Z kieszeni, którą wszyła w kurtkę, Florence wyciągnęła resztkę porannej racji, czterdzieści gramów zamrożonego na kość chleba. Wgryzła się w niego i zaczęła żuć, po czym splunęła w śnieg krwawą śliną. Zęby się jej

chwiały. Kolejny znak. Nie wiedziała, jak ma zdobyć surową cebulę. Albo surowy ziemniak. Do głowy przyszła jej prosta, przerażająca myśl: zejście ku śmierci było urwiskiem, nad które została ostatecznie doprowadzona. W ciągu kilku tygodni będzie z niej dochodziaga: zbyt słaba, by nie pozwolić sobie ukraść czapki z głowy, obojętna na wszy pijące jej krew, maltretowana ku uciesze urków, zjadająca karne racje i szukająca zgniłych resztek w zasikanyim śniegu za kantyną. Znajdzie się w szeregach „knotów” – tych, których żałosna świeczka życia właśnie się dopalała.

Właściwie nie chciała już żyć, a jednak nadal żyła. Nie myślała o niczym poza jedzeniem. Zgodnie z arytmetyką, którą zdolny jest posłużyć się tylko umysł człowieka trawionego głodem, mierzyła dzielący ją od śmierci dystans w gramach czarnego chleba i kawałkach śledzia w zupie. Niegdyś wylewna i żywiołowa, teraz oszczędna w ruchach, starająca się trwonić jak najmniej fizycznej i umysłowej energii. Życie – Florence zaczynała to rozumieć – było tylko jeszcze jednym nawykiem. Najbardziej uporczywym i najtrudniejszym do przewyciężenia.

Zwierzęta żyły, bo nie zachowywały wspomnień. Ona również stała się głucha na swoją przeszłość. Tu nietrudno było uwierzyć, że jej poprzednie życie nigdy nie istniało. Jeśli ten złowrogo chłodny i słaby płomień był miejscem, do którego zaprowadziły ją wszystkie wcześniejsze życia, to przecież one nie mogły być prawdą, lecz jedynie przekreślonym marzeniem, tęsknotą za nieżyjącym już Bogiem. Zawsze miała ogromny dar zapominania. Zapomniała o wszystkim. O Moskwie. O Stanach. Głos odzywający się w jej głowie nie posługiwał się angielszczyzną, bo Florence nie trapiły już myśli wymagające czegoś tak skomplikowanego jak język. Od czasu do czasu przypominała sobie, że ma syna. Ta bolesna świadomość przebiła się przez powłokę otaczającą jej umysł i przyczała się tam jak głodne zwierzę. Florence powiedziała sobie, że Julik jest pod opieką, że na pewno dobrze go karmią. Pozwalano jej odbierać listy, w których pisał: „Jestem ubrany odpowiednio do pory roku”. Wierzyła w to, bo to była jej jedyna pociecha. Czasem jednak myśl o tym, że ma gdzieś tam syna, który żyje, zdawała jej się równie odległa jak myśl o wiosnie.

Zapomnieć oznaczało odrzucić nie tylko przeszłość, ale i przyszłość.

Permska zima wyssała z Florence wszystkie uczucia, zatrąła jej duszę wszechogarniającą obojętnością. Wiedziała o tym i nie była w stanie tego zmienić. Osiągnęła pewien rodzaj narkotycznego spokoju.

O zachodzie słońca pomaszerowali z narzędziami z powrotem do obozu. Po przejściu niespełna kilometra jedna z kobiet przewróciła się w śnieg. Była starą, słabowitą Ormianką, która należała do brygady ledwie od kilku miesięcy. Przez ostatni tydzień trudno było ją zrozumieć, nie z powodu jej kaukaskiej wymowy, lecz z powodu otępienia i opuchniętego języka. Wydawało się, że z braku witamin cierpi na pelagrę, chorobę, która w pierwszej kolejności dotykała nacmenów pochodzących z krajów o łaskawszym klimacie. Florence i jeszcze jednej z więźniarek powierzono podłe, ale niezbyt trudne zadanie zanieśienia Ormianki z powrotem do obozu. Gdy dotarły na miejsce, puls był już niewyczuwalny.

Kobieta zajmowała dolną pryczę i Florence ogarnęło przygnębienie na myśl o tak niefortunnych okolicznościach jej śmierci. Gdyby Ormianka wyzionęła ducha nocą, w ich

baraku, Florence i pozostałe wymyśliłyby, jak ułożyć jej ciało, żeby mogły jeszcze przez dzień albo i dwa pobierać jej porcję chleba. A tak jej śmierć do niczego się nie przydała.

Rankiem na apelu brygadzistka wywołała Florence z szeregu.

– Masz się zobaczyć ze Szczerbakowem – powiedziała rozbawionym tonem, w którym można było odczytać groźbę lub gratulacje.

– Kto to jest Szczerbakow?

– Kto to jest Szczerbakow?! To dowódca straży, kretynko.

Przywołała strażnika, który podszedł, by odprowadzić Florence. Błysnęła lufa karabinu.

Gruby Szczerbakow siedział przy biurku. W pomieszczeniu znajdował się jeszcze jeden mężczyzna, umundurowany, szczupły i młody, którego Szczerbakow przedstawił jako porucznika Jakiegośtam (Florence była tak zdumiona i przerażona wezwaniem, że jego nazwisko uleciało jej z głowy sekundę po tym, jak je usłyszała).

– Nazwisko, pozycja, data urodzenia – rzucił Szczerbakow, prawie na nią nie patrząc. Na brzegu jego biurka stała filiżanka herbaty na spodeczku, na którym leżała skórka obrana z plasterka cytryny.

– To właśnie ta? – zapytał młody porucznik. Na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie, a wyraz obrzydzenia miał charakter bardziej fizyczny niż emocjonalny, coś jak ból albo senność. Wyjął z kieszeni chusteczkę i przytknął ją do nosa. – Nie wezmę jej w takim stanie. Wyślijcie ją do łaźni. Komendant Kaczak nie lubi smrodu tych skazańców.

Porucznik czekał na nią, kiedy wyszła z łaźni, ubrana w tę samą odzież co wcześniej, tyle że odwszawioną i wilgotną po wyjęciu z komory dezynfekcyjnej.

– Wsiadaj.

Strażnik odchylił brezentową płachtę okrywającą pakę ciężarówka.

– Dokąd mnie zabieracie?

Porucznik nie dał po sobie poznać, że w ogóle usłyszał pytanie.

Śnieg na drodze był brudny i zбитy. Ponury krajobraz nikał w zaspach. Florence wyczuwała, że wiozą ją w kierunku jednego z głównych obozów pracy. Co pięć czy dziesięć kilometrów wylaniała się z zawiei osadzona na wysokich palach wieżyczka strażnicza. Florence czuła się tak, jakby opuściwszy swoją planetę, zorientowała się, że w Układzie Słonecznym istnieją dziesiątki podobnych, każda otoczona pierścieniami drutu kolczastego. Po chwili, nieco na północ od jakiegoś wielkiego obozu, ciężarówka skręciła z szosy. Wjechali do szczególnie pilnie strzeżonej strefy, znanej tylko wybranym strażnikom pod nazwą Strefy Milczenia, określanej tak, ponieważ przetrzymywano w niej brytyjskich i amerykańskich żołnierzy pojmanych w Korei oraz tych porwanych przez Sowieców z podzielonego Berlina. Florence oczywiście nie miała o tym pojęcia. Gdy kierowca zwolnił, zobaczyła kamienny budynek wyglądający jak klasztor. Kiedyś rzeczywiście był to klasztor. Budynek przekształcony przez bolszewików w więzienie przejściowe stał się wkrótce zbyt mały do tego celu i teraz mieściła się w nim siedziba główna tajnej policji działającej we wszystkich obozach strefy Mołotowa. Lodowate podziemia, w których niegdyś mieściły się cele mnichów, stały się ciągiem pokoi przesłuchań; w ich sklepienia wsiąkały wycia skazańców, zastygając w spoinach na

wieczność.

Pomieszczenie, pod które przyprowadzano Florence, zamknięte było ciężkimi drewnianymi drzwiami z zakratowanym okienkiem służącym dwóm strażnikom do obserwacji. Młody porucznik odszedł, jej zaś kazano poczekać na zewnątrz. Zerknęła przez kratkę. Człowiek znajdujący się w celi siedział na drewnianym krześle na środku niewielkiego pomieszczenia; miał tępy, apatyczny wyraz twarzy. Włosy na ogolonej głowie odrastały jasną szczecina. Florence nie miała wiele czasu, by mu się przyjrzeć, ponieważ wrócił porucznik z innym oficerem, wyższym stopniem, w eleganckim mundurze i gładko ogolonym, choć rozpięta na piersi wojskowa koszula odsłaniała gęste i czarne włosy, jak u śródziemnomorskiego kochanka. W tych zatęchłych podziemiach więzienia otaczał go obezwładniający zapach wody kolońskiej i prawdziwego tytoniu, zapach zdrowia, pogody ducha... i pogardy. Poczworny mosiężny kastet połyskiwał na owłosionej dłoni jak biżuteria. Był to bez wątpienia Kaczak, komendant, o którym wspomniał porucznik.

– Ta tutaj powtórzy to, co będę mówił do więźnia – powiedział, zwracając się do trzeciego mężczyzny, w którym Florence pomimo miękkiego garnituru wiszącego na kościstych ramionach natychmiast rozpoznała takiego samego niewolnika jak ona. Kilka sekund zajęło jej uzmysłowienie sobie, że komendant mówi o niej.

– Tak, tak – odparł skazaniec w garniturze, z ciekawością przyglądając się Florence.

W jego oczach błyszczała wierność bitego psa. Był to (czego Florence miała się wkrótce dowiedzieć) Finkleman, niegdyś inżynier fizyk, wydobyty z bezdennej czeluści i wezwany po raz ostatni na pomoc Ojczyźnie.

– Nu, szto? – warknął na nią komendant. – Zapomniałaś już po rosyjsku?

– Nie, nie zapomniałam – zapewniła, choć wszystkie wyrzeczane do niej tego dnia słowa, podszyte sugestią odmiany losu zbyt szczęśliwej, by mogła być czymś więcej niż złudzeniem, były dla niej zupełnie niepojęte.

– Powtórzysz szpiegowi to, co powiem, po angielsku. Słowo w słowo – powiedział komendant. – Jeśli nie zrozumiesz jego odpowiedzi, wytłumacz to jemu.

Miał na myśli skazańca w garniturze. W jego dłoni Florence dostrzegła plik arkuszy papieru milimetrowego i przedmiot najwyżej ceniony we wszystkich obozach – ogryzek ołówka. Gdzieś w tyle głowy zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby zdobyć ten ogryzek i prehandlować go z kryminalnymi na cebulę albo skarpety. Nie przestała o tym rozmyślać nawet wówczas, gdy pomachano jej przed nosem źródłem znacznie większych możliwości – szpiegiem, który teraz osunął się na bok jak kaleka, z rękami przywiązanymi do oparcia krzesła. Komendant otworzył masywne drzwi i wprowadził ich do pomieszczenia, ale dopiero gdy usiadł naprzeciwko związanego człowieka i wziął go w krzyżowy ogień pytań, tępe zdumienie Florence ustąpiło miejsca przerażającemu paraliżowi umysłowemu.

– Powiedz nam, które kontrolki na celowniku odpowiadają za korektę odchylenia oka radaru – powiedział ostro Kaczak, spodziewając się, że Florence przetłumaczy jego słowa. – Czy korekta jest wprowadzana przez pilota, czy metodą automatycznego sprzężenia zwrotnego? – W jego głosie pojawiła się histeryczna nuta ledwie

powstrzymanego zniecierpliwienia, jakby zadawał to niepojęte pytanie dziesiątki razy i teraz już nie tyle pyta, ile rzuca wyzwanie temu wrakowi człowieka.

Florence zwyczajnie nie rozumiała pytania, nie mówiąc o jego tłumaczeniu. Wysilek, jakiego wymagało zapamiętanie wypowiedzianych słów, wywołał u niej głodowe mdłości, równie silne jak wówczas, gdy szła po śniegu półprzytomna z głodu. Ale naprzód prowadziła tylko jedna droga. Florence była przekonana, że podczas prawie dwóch lat spędzonych w obozie wyrzuciła z pamięci angielski, podobnie jak wszystko inne. Tymczasem proszę, zapomniany język wyłaniał się z topniejącej wiecznej zmarzliny jej mózgu.

– Komendant chciałby się dowiedzieć o oko radaru – powiedziała, zbyt wystraszona, by zapytać, czym jest oko radaru.

Z groteskową uprzejmością zapytała o zasięg powietrze–ziemia i program autopilota. Żadne z tych pytań nie wywołało choćby śladowej reakcji więźnia. Zaczynała pojmować sytuację, która nie obracała się na jej korzyść.

– Czy on na pewno rozumie po angielsku? – zapytała, obracając się do wymizerowanego fizyka, jedynej w celi osoby, do której czuła się uprawniona zwrócić z taką wątpliwością.

Właśnie wtedy więzień otworzył usta i przemówił tak, jak mogłaby to zrobić nakręcana zabawka:

– Kapitan amerykańskich sił powietrznych Henry Robbins. Żądam, by władze mojego kraju zostały poinformowane o moim statusie jeńca wojennego w Związku Radzieckim. Ponadto żądam, by odesłano mnie do grupy moich towarzyszy, oficerów przetrzymywanych w niewoli.

I znów zamilkł, jakby w ogóle się nie odzywał.

Oniemiała, gdy rozżarzony do białości pręt jego słów wypalał ślad w jej świadomości. Jeniec wojenny? Ale jaka wojna? Ostatnia? Oznaczałoby to, że jest przetrzymywany dłużej niż ona, co najmniej pięć lat! Ale jak to możliwe? Dlaczego Amerykanin miałby być jeńcem wojennym? Czyż nie walczyli po tej samej stronie? A to jego żądanie powrotu do grupy innych oficerów? Było ich więcej? Ilu? Zaczynała się druga zima Florence w Permie, a ona nic nie słyszała o jakichkolwiek pojmanych Amerykanach. Poczwała mdłości. Takie same mdłości miały ją ogarnąć prawie trzydzieści lat później, gdy schodziła z pokładu samolotu czarterowego na lotnisku Kennedy'ego, czując, że straciła łączność z czasem, została odcięta, gdy świat pędził naprzód bez niej.

Szybko przetłumaczyła żądanie kapitana Robbinsa. Ale Kaczak nie potrzebował tłumaczenia. Zanim skończyła, metalowe knykcie uderzyły pilota w policzek tak, że jego głowa bezwładnie opadła na bok.

– Szpiedzy nie mają prawa stawiać żadnych żądań – powiedział i wyjął z kieszeni chusteczkę, by zetrzeć krew z palców.

Dostała kolację: pełną miskę gęstej grochówki i pół bochenka, prawie sześćset gramów, chleba upieczonego tak niedawno, że nie zamienił się jeszcze w kamień. Dosłownie roztopił się jej w ustach i zniknął, zanim zdążyła poczuć smak gąbczastej

masy. Później zaprowadzono ją do innej części klasztoru, w której miał gabinet komendant.

– Siadaj – rozkazał Kaczak.

On sam stał, wyglądając przez zaszronione okno i paląc papierosa. Niebo rozjarzyło się karminową aurą wczesnego wieczoru. Florence czuła krew tętniącą w nodze. Ciągnęła ją za sobą jak przerdzewiałą motykę. Była zbulwersowana niewdzięcznością własnego ciała. Stała tu, po raz pierwszy umknąwszy przed przenikliwym zimnem, a ropień tylko wykorzystał tę chwilę wytchnienia, by wspaniale się rozwinąć! Pulsował wściekle, raz po raz zalewając ją falami bólu.

– Z nikim nie będziesz rozmawiać na temat dzisiejszego dnia – powiedział wreszcie komendant, odwracając się do niej. – Nie wspomnisz o tym ani więźniom, ani komukolwiek z administracji twojego obozu.

Powiedziała, że rozumie.

Zgasił papierosa na spodeczku stojącym na jego biurku.

– Nawet przy takim zadaniu można cię w każdej chwili zastąpić. Pamiętaj o tym.

Florence słuchała, gdy komendant mówił o tym, jak istotna jest przy pracy z pojmanymi szpiegami dyskrecja. A przecież tamten mężczyzna powiedział, że jest jeńcem wojennym. Zauważyła, że Kaczak nie ma już na dłoni kastetu.

– O co chodzi? – zapytał teraz.

Dopiero wówczas uzmysłowiła sobie, że ma otwarte usta. Nie miała pojęcia, co chciała powiedzieć. Jedyłą myślą było teraz poprosić go, by zdobył dla niej surową cebulę albo ziemniak, albo cytrynę, cokolwiek na ten jej wrzód. Ale żebrząc o coś takiego u komendanta, wyszłaby na osobę pospolitą i źle wychowaną. Oznaczałoby to, że nie docenia wagi omawianej sprawy. No i pozostawała jeszcze jedna kwestia: czy jeśli się przyzna, że jest chora, nie znajdą natychmiast kogoś na jej miejsce?

– No!

– Co mam powiedzieć? Że gdzie byłam? – wypaliła.

– Co?

– Co mam zrobić, jak wrócę do mojego obozu? Potrzebuję jakiegoś wytłumaczenia.

Kaczak postukał o blat paznokciem środkowego palca. Czy to możliwe, że nie zastanowił się nad tym zawczasu?

– Zostałaś przypisana do zespołu zajmującego się poszukiwaniem minerałów – powiedział wreszcie – ze względu na posiadane przeszkolenie w zakresie geologii. Reszta jest tajna.

Młody porucznik wyprowadził ją na zewnątrz. Ciężarówka czekała już na nią na ośnieżonej drodze i na jej widok Florence pojęła, jak fatalny popełniła błąd. Poodmrażane palce i policzki zaczęły pulsować, podobnie jak palce stóp poowijane w poprzecierane onuce. Zwracano ją głodowi i zimnu baraków, kopniakom strażników. Na samą myśl o tym ból w nodze ponownie chwycił ją bolesnym skurczem.

– Idź – powiedział porucznik, który szedł za nią.

Noga ani drgnęła.

– Dalej!

Była schwytanym w pułapkę zwierzęciem i tylko z pomocą zwierzęcych

instynktów mogła się z tego wykaraskać. Przewróciła się w śnieg jak zajeżdżony koń.

– Wstawaj!

– Nie mogę! – Czekala, aż porucznik ją kopnie, a kiedy tego nie zrobił, zdjęła but tak szybko, jak się dało, i podciągnęła nogawkę spodni. Wzdrygnął się na widok jej łydki. W gasnącym świetle była dosłownie granatowa. – To awitaminoza – powiedziała błagalnie.

– Zajmiesz się tym, jak wrócisz do obozu. Idź do szpitala.

– Nie pozwolą mi się położyć.

– Bzdura. Wstawaj!

– Nie przydzielają łóżek politycznym. Chyba że chodzi o kwarantannę. Wiecie o tym.

– No... to co niby mam zrobić? Porusz tę kwestię z władzami obozu.

– Błagam. Nie odsyłajcie mnie. Chociaż dzień czy dwa. Jak dostanę gorączki od zakażenia, do niczego się nie przydam ani wam, ani waszemu komendantowi. Skłonię więźnia do mówienia. Potrafię do tego doprowadzić.

– Mów ciszej, ty gnido. Nie ruszaj się stąd!

Zimny śnieg palił ją w policzek. Zamknęła powieki, a śnieg ugiął się pod jej ciężarem jak puchowa pierzyna.

Obudziła się o świcie na prawdziwym łóżku, w sali szpitalnej z pomalowanymi na biało framugami okien. Nigdzie w polu widzenia nie było jej ubrań. Flanelowa koszula, którą teraz miała na sobie, była tak cienka i znoszona, że w chłodnym świetle wydawała się przezroczysta. Ktoś musiał ją przebrać. Florence próbowała wzbudzić w sobie uczucie wstydu, ale tego również dawno została pozbawiona. Zdołała przywołać jedynie mętne wspomnienie nocnych głosów.

Zabierz ją na czwarty oddział.

Nie. Na górę. On chce ją trzymać z dala od kryminalnych.

Przecież to stara raszpla.

Gdyby im pozwolić, przerznąliby i stuletnie truchło.

Dotknęła nogi. Ktoś mocno ją zabandażował. Zmęczenie wygrało z bólem. Skuliła się na poduszce jak jakieś morskie stworzenie i zasnęła.

Przez trzy dni leżała w szpitalu głównego obozu, wyprowadzana w ciągu dnia tylko po to, by asystować przy przesłuchiowaniu więźnia. Każdego dnia od początku wypytywano Robbinsa o radary i celowniki, a on nieodmiennie udzielał tej samej odpowiedzi, domagając się poinformowania władz jego kraju, że trafił do niewoli, i przeniesienia go z powrotem do grupy innych pojmanych oficerów. Jej jedynym wkładem w przesłuchanie było wyławianie sensu z jego bełkotliwych wypowiedzi. Raz za razem z silnym południowym akcentem ponawiał żądania, które z każdym dniem stawały się coraz mniej zrozumiałe.

Z rozmowy strażników Florence wywnioskowała, że Robbins rozpoczął strajk

głodowy – odmawiał zarówno jedzenia, jak i odpowiedzi na pytania. Zdumiała ją ta zazartość umierającego człowieka gotowego puścić ostatnią nić łączącą go z życiem. Sama wielokrotnie podejmowała decyzję o odebraniu sobie życia i wiedziała, że realizacja tego planu, nawet w celi śmierci, nie jest tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Wystarczyła jakaś drobna radość, niewielka odmiana losu, nagłe ocieplenie czy nadejście listu z sierocińca, by zachwiać jej pragnieniem skończenia z tym wszystkim. Widziała, jak inni więźniowie połykają dużo śniegu, by dostać wzdęcia i się rozchorować. Wywoływali krwawienia z nosa. Wcierali ziemię w rany, by dostać zakażenia i gorączki. Sikali sobie na dłonie i stopy, by spowodować odmrożenia. Żadnej z tych przypadłości nie wywoływano jednak z myślą o samobójstwie. Celem było zawsze dostanie się do szpitala, w którym można było zaznać tak rozpaczliwie potrzebnego odpoczynku. Okaleczanie się było przejawem instynktu samozachowawczego. Niewielu znajdowało w sobie odwagę, by naprawdę targnąć się na życie. Wszystkie myśli, które zdołały przetrwać obozową gehennę, zostały całkowicie podporządkowane uporczywemu wymykaniu się śmierci.

Z Robbinsiem było przeciwnie: spostrzegłszy, że władze chcą go utrzymać przy życiu, pokrzyżował im plany, postanawiając umrzeć. Przez jakiś czas każdego popołudnia Florence zerkała przez zakratowane okienko do jego celi, a Kaczak pochylał się nad nim i szeptał złowieszczo lub wykrzykiwał groźby. Z każdym dniem mężczyzna na krześle coraz bardziej przypominał kruchego ducha: rudawe włosy stawały się coraz dłuższe, a poszarzała skóra wisiała coraz luźniej na kościach. Jak u starego człowieka, pomyślała Florence, chociaż było oczywiste, że więzień jest młody. Miała tylko nadzieję, że on nie umrze. Gdyby to zrobił, odesłano by ją z powrotem do ogólnych prac w obozie kobiecym, odesłano by ją tam, gdzie zmarniałaby od znoju i gdzie czekałby ją koniec.

Na mieszczącym się na piętrze małym oddziale szpitalnym pozwalano jej cały dzień wylegiwać się na brzuchu. Czwartego dnia pobytu odkryła z pewnym zdumieniem, że stan jej nogi się poprawia. W zupie znalazła prawdziwego śledzia, a nie tylko ości. Wystarczyłoby to i miska owsianki, by organizm zaczął się regenerować, o ile tylko nie wysyłano by jej do pracy. Dwukrotnie w bochenku czarnego chleba znalazła ukrytą twardą jak moneta, kwaśną tabletkę witaminy C. Schował ją tam obozowy lekarz, który też był więźniem, ten sam, który ocalił Robbinsa, otwierając mu na siłę szczęki i wsuwając do przetyku gumową rurę. Florence dowiedziała się o tym karmieniu na siłę dopiero wtedy, gdy było już po wszystkim. Przez cztery dni żyła w próżni: ani nie wzywana na przesłuchania, ani nie odsyłana do obozu kobiecego. Czwartego dnia lekarz przyszedł uprzedzić ją, że spodziewa się najgorszego. Stan zdrowia Robbinsa się pogarszał, więzień na zmianę tracił i odzyskiwał przytomność. Gardło i żołądek reagowały na siłowe karmienie konwulsyjnymi skurczami, mężczyzna zaczął pluć krwią. Doktor wsunął Florence do ręki fiolkę bursztynowego płynu. Poradził jej, by w obozie nie próbowała tego sprzedać ani na cokolwiek wymienić. Dawał jej w ten sposób do zrozumienia, że lada moment może zostać odesłana. Płyn był syropem witaminowym. Florence ścisnęła go w rękę, niezdolna wykrztusić słowa. Lekarz zachował się wobec niej z serdecznością, której w takim miejscu w ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić. Nie mogła przecież prosić o więcej.

A jednak musiała. Witaminowy eliksir, drogocenny jak samo życie, nie mógł jej ocalić. Będzie zmuszona go sprzedać od razu po przyjeździe i za pieniądze kupić chleb. Gdyby go zatrzymała, zostałaby natychmiast ukradziony. Gdy tylko Florence pojawi się w obozie, jedna z kryminalnych zdieje ją w łeb i obrabuje.

Spojrzała w przepelnione litością oczy lekarza. Odbijało się w nich to, co widział: złapane w pułapkę zwierzę, skurczony „knot”, twarz pokryta krwawymi wybroczynami, skóra pokłuta przez wszy. Florence wiedziała, że ten moment nadejdzie; zamierzała zdać się na łaskę lekarza, błagać o możliwość pracy jako salowa, mogła sprzątać ustępy i zmywać krew, wszystko, byle tylko odrobinę przedłużyć pobyt w tym miejscu. Patrząc jednak w jego oczy, zrozumiała, że wszelkie błagania są idiotyczne i bezcelowe. O niczym nie decydował. Jeśli chciała żyć, musiała zwrócić się do siły wyższej. Nie Boga. Jedynym bogiem, który tu panował, był bóg żądny ofiar z ludzi, czarne bijące serce monstrualnej maszyny, która zaczęła pożerać ją wiele lat wcześniej. Tylko u takiego boga mogła teraz szukać ocalenia. Gdy to pomyślała, oczyma duszy zobaczyła błysk światła rozjaśniający drogę w ciemnościach. Chwyciła mocniej fiolkę i wbiła spojrzenie w lekarza. Ostatecznie realizacja pomysłu, do którego chciała go przekonać, zależała wyłącznie od jego życzliwości.

Jeszcze wyjaśniając, o co jej chodzi, nie potrafiła do końca uwierzyć, że tego rodzaju propozycja wychodzi z jej ust. A jednak lekarz słuchał.

Jak tego dokonała? Przekonała lekarza, a ten przekonał komendanta.

– Więc sama chcesz mu wkręcić haczyk, tak? – zapytał Kaczak, zanim otwarto drzwi do celi Robbinsa. – Właściwie czemu nie, do diabła?

W jego głosie była czysta ironia. Karmienie na siłę stało się groteską. Uśmiech na twarzy Kaczaka wydał się Florence dziwnie obłąkany. Najwyraźniej komendant pił. Może uznał, że niewiele ma do stracenia.

Usiadła przy posłaniu Robbinsa z tacą na kolanach. Nie patrzyła w stronę kratki w drzwiach, ale czuła obserwujący ją wzrok komendanta. To, co zaproponowała, byłoby najwyższego stopnia impertynencją, gdyby wyszło z jej ust. Doktor przedstawił to więc Kaczakowi jako własny pomysł: „On nie przyjmie jedzenia od strażników ani od nikogo z nas. Nie tknie go nawet wtedy, gdy będziemy w tym samym pomieszczeniu”. To ona, jego krajanka, przyniesie mu jedzenie i przekona go, żeby zjadł parę kęsów.

Teraz Florence zwróciła się ku plecom Robbinsa i powiedziała:

– Kapitanie... Przyniosłam panu troszkę herbaty. Proszę wypić, lepiej się pan poczuje.

Leżał odwrócony do niej plecami, twarzą do ściany.

– Mam dla pana miseczkę zupy rybnej, z kaszą perlową. Może chciałby pan kawałek chleba? – Na talerzu leżały dwie kromki prawdziwego białego chleba, czegoś, w czego istnienie w obrębie zony w ogóle nie wierzyła. – Przrzekam, że nie będę próbowała skłonić pana do mówienia. – Zerknęła na zakratowane okienko. – Chyba że chce pan ze mną porozmawiać. Prawdopodobnie tutaj może pan mówić, co się panu żywnie podoba... Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby komendant rozumiał choćby jedno

pana słowo.

Wbiła wzrok w jego rudawe skołtunione włosy. Miała wrażenie, jakby gadała do trupa. Albo do samej siebie. To było jakieś szaleństwo.

– Jest pan z Południa.

Żadnej reakcji.

– Tak, słyszałam wcześniej pana akcent. Georgia? Alabama?

Nic.

– Wiem, że to nie bekon ani jarmuż. – Starła się, by jej głos zabrzmiał melodyjnie.

– Ale wedle naszych miar zaserwowali panu prawdziwą ucztę. Nie przepuściłabym takiej okazji, gdybym była...

Zanim zdążyła dokończyć, podniósł rękę i raptownie, jakby trzaskał z bicia, stracił z tacy emaliowaną miseczkę z zupą. Spadła na ziemię z metalicznym brzękiem, a jej zawartość rozprysła się na ścianie. Na podłodze, niedaleko stopy Florence, leżał kawałek śledzia. Obejrzała się za siebie na zakratowane okienko w drzwiach. Kaczaka nie było widać, ale strażnik stał w postawie sugerującej, że w każdej chwili gotów jest położyć kres temu eksperymentowi. Florence uniosła rękę, sygnalizując, że nie ma powodu do niepokoju.

Wypuściła powietrze ustami, żeby się uspokoić.

– Nigdy nie wybrałam się na południe dalej niż do Waszyngtonu. Sama jestem z Detroit – skłamała. – To było oczywiście dawno temu. Zabawne, człowiek zawsze myśli, że wróci do domu. – Delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. – Musi pan jeść, panie Robbins. Albo znów przyjdą i siłą rozewrą panu szczęki. A nie sądzę, żeby pan tego chciał.

– Nie wiesz, czego chcę.

Zamarła. Jego głos był ledwie ochryplym szeptem.

– Ma pan rację. Nie wiem.

– Nie rozmawiam ze zdrajcami – powiedział Robbins, tym razem głośniejszym głosem, ale wciąż na nią nie patrząc.

– I tutaj się pan myli, kapitanie. Żadne z nas nie znalazło się tu z własnej woli.

Historię, którą mu opowiedziała, przedstawiała już wcześniej. Za czasów prohibicji jej tata nielegalnie rozprowadzał alkohol. Jako człowiek uparty i chciwy nie dogadał się z urzędnikami ani nie odpałał policji części zysków. Aresztowali go i wydali niesprawiedliwy wyrok, ale przy pomocy przyjaciół z przestępczego światka zdołał uciec z więzienia. Ponieważ urodził się w Rosji, od razu po powrocie dostał obywatelstwo, po czym wysłał żonie i córce wiadomość, że mogą już do niego dołączyć.

– Byłam wtedy dziewczyną. Siedemnaste urodziny obchodziłam na statku – opowiadała Florence.

Ta historia nieźle się dotychczas sprawdzała. Wymyśliła ją w więzieniu, gdzie szybko się zorientowała, że grupą najdotkliwiej maltretowaną i najgorzej traktowaną nie tylko przez współwięźniów, ale i strażników oraz śledczych, byli prawdziwi ideowcy. Szczególną pogardę zarezerwowano dla tych szczerych wyznawców, którzy zawsze pierwsi tracili kontakt z rzeczywistością i zaczęli drapać ściany. Przyznanie się, że przyjechała do Rosji z własnej woli, ze względu na sympatie polityczne, byłoby takim

samym samobójstwem jak deklaracja, że pracowała dla tajnej policji. Prawda była tak niedorzeczna, że Florence już sama nie potrafiła w nią uwierzyć.

– Tatuś powtarzał ciągle, że wolałby zostać w amerykańskim więzieniu niż mieszkać w Związku Radzieckim – powiedziała do pleców Robbinsa. – Byłoby tak samo, z tą różnicą, że tam serwują lepsze jedzenie.

Wydał z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak chrząknięcie. A może to był śmiech? Florence spuściła wzrok na tacę. Wciąż znajdował się na niej chleb i posłodzona herbata, która właśnie stygła.

– No cóż, panie Robbins. Jeśli nie zamierza pan tknąć tego wystawnego posiłku, to może ja się skuszę. Nawet jak mają mnie później oskarżyć o zмовę z prawdziwym, żyjącym szpiegiem.

– Nie jestem żadnym szpiegiem. Jestem oficerem sił powietrznych.

Powiedział to cichym, lecz zdecydowanym tonem. Florence spojrzała tam, gdzie pod wojskową koszulą majaczył kościsty zarys jego ramienia.

– To jak się pan tu znalazł?

Obrócił się na posłaniu. Oczy miał przekrwione, szaro-niebieskie. Płonął w nich gniew.

– Jak się tu znalazłem? Robisz ze mnie idiotę, kobieto? Jest wojna.

Otworzyła szeroko oczy. A więc to była prawda.

– A więc do tego doszło? Ameryka w końcu zrzuciła bombę – wyszeptała. – Wielkie nieba...

Robbins przyglądał się jej przez chwilę, a w jego oczach tańczyła złośliwa radość. Florence wyczuła, że to reakcja na jakiś szczególny rys jej twarzy, na jakąś malującą się na niej wyniosłą tępotę.

– Cholera... Ty naprawdę o niczym nie masz pojęcia, co?

Wbiła w niego nieruchome spojrzenie.

I po raz pierwszy, odkąd go zobaczyła, roześmiał się, zupełnie bezradnie, raz za razem chwytając powietrze, jakby się dusił.

Została wyprowadzona przez strażnika, ale dowiedziała się od lekarza, że pomijając wylaną zupę, Robbins zjadł to, co mu przyniosła. Tym sposobem komendant, choć osobiście nieprzekonany, zgodził się następnego dnia znów wpuścić do celi Florence, a nie zespół zajmujący się przymusowym karmieniem. Nie wiedziała, że Robbins odmówił przyjmowania jakichkolwiek posiłków, które nie zostaną przyniesione przez nią. Chociaż spełnienie tego żądania było dla komendanta niewymownym upokorzeniem, nie miał wyboru. Florence nie mogła o tym wiedzieć, ale Kaczak podjął ogromne osobiste ryzyko, nie przekazując pilota do siedziby głównej MGB w Moskwie. Beria gotów był przymykać oko tylko tak długo, jak długo mu się to wszystko opłacało, więc gdyby Kaczak nie przedstawił żadnych wyników lub co gorsza, pozwolił facetowi pod swoją opieką zdechnąć, jego „niesubordynacja” zostałaby bardzo szybko ujawniona, a delegacja do Permu okazałaby się w istocie bardzo, bardzo długa. I niewykluczone, że przebiegałaby po drugiej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego. Zdarzały się takie

przypadki.

Kaczak podjął to ryzyko świadomie. W Moskwie torturami wyciągnął zeznania z setek ludzi, tym razem jednak było inaczej. To nie zwykłe „wyszywanie”, podczas którego zawczasu spisywano właściwą wersję zdarzeń i podtykano ją więźniowi do podpisania, wrywając mu jednocześnie paznokcie. Uzyskanie prawdziwych zeznań... prawdziwych informacji... to już operacja znacznie delikatniejsza. Kaczak nie miał pojęcia, co właściwie mógłby odkryć. Nie znał się ani na żyroskopach, ani na radarach, ani na urządzeniach optycznych. Jakkolwiek miały brzmieć zeznania pilota, musiały być zrozumiałe dla mózgów pracujących w lotniczym biurze konstrukcyjnym samolotów MiG, czyhających na możliwość splagiatowania technologii F-86. Informacje musiały być solidne, weryfikowalne, nie żadne tam brednie. Kaczakowi nie podobał się ten Robbins, leżący na pościeli jak jakiś żegnający się z życiem król i wydający polecenia – jemu! Musiał się trzymać miękkich technik, dopóki znów nie przyjdzie czas na twarde.

W swej mniszej celi Robbins pozwalał się karmić ręką starej kobiety. Podając więźniowi do ust zupę grochową, Florence nie mogła się powstrzymać od wpatrywania w jego pokryte szczecina, poruszające się przy jedzeniu policzki, obserwowania przesuwającej się przy przelknięciu grdyki. Na tym polegała okrutna ironia rekonwalescencji, że im więcej jadła w szpitalu, tym bardziej chciało jej się jeść.

– Ile ty masz właściwie lat? – zapytał Robbins, który chyba od dłuższego czasu miał ochotę zadać to pytanie.

– Czterdzieści jeden.

Twarz mu sposepniała. Nie próbował ukryć wstrząsu. Florence starała się z wyrazu jego twarzy wywnioskować, na ile ją oceniał. Pięćdziesiąt? Może sześćdziesiąt.

– Chryste. – Patrzył na jej dłonie, na szarą, łuszczącą się skórę. Pokryte pęcherzami, odmrożone opuszki jej środkowego i serdecznego palca pociemniały i zgrubiały podczas pobytu w szpitalu. Wciąż miała kłopoty ze zginaniem tych palców. – Co ci kazali robić?

– Ścinać drzewa w lesie, przez większość czasu głównie to. Nosić drewno.

– Nie wyglądasz na kogoś zdolnego przenieść choćby gałązkę.

Florence wzruszyła ramionami.

– I chcesz mi powiedzieć, że naprawdę nic nie wiedziałaś o tej wojnie?

– Nie bardzo się nawet orientuję, jaki mamy miesiąc.

– Właściwie to nie przypomina prawdziwej wojny. To raczej jak walka na noże, w której od rana do wieczora możesz zadawać przeciwnikowi rany w rękę albo w nogę, ale nie wolno ci dźgnąć go w brzuch.

Nie do końca rozumiała jego słowa. Czasem wydawało jej się, że Robbins z wyczerpania i niedożywienia zwyczajnie bredzi. Zerknęła na kratkę w drzwiach. Nie widać było strażnika.

– Powiedziałeś, że byli z tobą inni amerykańscy oficerowie... – wyszeptwała.

– Pięciu nas było. Dwóch z Korei, dwóch z Berlina. Stacjonowali tutaj. To nie byli jeńcy tacy jak my, porwani przez waszą tajną policję. Jednego chłopaka zgarnęli w barze we wschodniej strefie, odwiedzał dziewczynę. Zapakowali go do samochodu i to cała jego historia. Twierdzili, że wszyscy jesteśmy szpiegami. To złamanie wszelkich praw międzynarodowych. O jeńcach zobowiązani są informować władze naszych krajów,

a tymczasem nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Wyskrobała i podała mu ostatnią łyżkę zupy.

– Komendant niedługo już będzie pozwalał spotykać mi się z panem bez świadków, kapitanie.

– Mów mi Henry.

– Muszę mu coś powiedzieć.

– Możesz mu powiedzieć, że nie mam mu nic do powiedzenia, dopóki mój rząd nie zostanie poinformowany o moim statusie jeńca wojennego w ZSRR.

– Cukru?

– Poproszę.

Była zdumiona, że oto siedzi przy biurku naprzeciwko Kaczaka, a on proponuje jej herbatę.

– Ile łyżeczek?

– Dwie – odparła, jakby była z powrotem w domu.

Twarz miał mięsistą, niezwykłą, choć raczej średnio przystojną. Tym razem koszulę zapiał aż pod szyję.

– Zrobiłaś postępy.

Florence nie potrafiła się zorientować, czy to pytanie, czy pochwała.

– Tak – odparła. – Zaczął jeść. Myślę, że w ciągu kilku dni odzyska siły.

– Jutro wznowimy przesłuchania.

– Nie.

Słowo wymknęło się, zanim zdążyła je powstrzymać.

Kaczak zamrugał.

– Nie?

– Chciałam tylko powiedzieć, że nie sądzę, by ustąpił pod przymusem. Wcześniej tego nie zrobił. I wciąż upiera się, by spełnić jego życzenie powiadomienia amerykańskich władz.

– Rozumiem – powiedział Kaczak. – A więc znalazł sobie adwokata.

Zatętniła krew w dwóch odmrożonych opuszkach jej palców. A może to był strach?

– Jestem tylko tłumaczką.

– Po prostu tłumaczką? – Wpatrywał się w nią, a jedna z jego krzaczastych brwi uniosła się wyzywająco. Nie wyjmując całej paczki, z kieszeni na piersi wysunął papierosa i zapalił go. – Tłumaczy to mam tu kilkunastu. Siedzi tu wystarczająco dużo Iwanów Iwanowiczów, by przetłumaczyć całego Szekspira.

Zaciągnął się lekko, tylko tyle, by nie przygasł rozżarzony koniuszek papierosa, po czym bezgłośnie wypuścił dym nosem. Jego spojrzenie nie mówiło, co ma dla niej. Pytało, co ona ma dla niego.

Nie miała nic.

A może jednak?

Kiedyś, nieskończenie dawno temu, studiowała matematykę, logikę. Wszystkim, co zapamiętała, było jedno jedyne spostrzeżenie: negatywny wynik może być przy

rozwiązywaniu problemu równie przydatny jak pozytywny. Myśl ta przeleciała jej przez głowę tak szybko, że nie dała się nawet w pełni uświadomić. A jednak Florence powiedziała do Kaczaka:

– Wydaje mi się, że warunki Robbinsa uległy zmianie. To prawda, że nadal domaga się poinformowania amerykańskich władz o swoim położeniu, ale nie prosi już, by przyłączono go do grupy pozostałych Amerykanów.

Kaczak pozwolił, by dym uleciał mu nosem i ustami. Słuchał.

– Nie jest w sytuacji, w której mógłby stawiać jakiegokolwiek żądania – odezwał się w końcu.

– Może nie. Ale sądzę, że jego wcześniejsze żądanie powrotu do grupy oficerów wynikało z izolacji. Odosobnienie sprawia, że człowiek staje się rozpaczliwie spragniony jakiegokolwiek kontaktu z inną istotą ludzką.

– Więc co proponujesz?

– Pozwolić mu rozmawiać dalej...

– Z tobą?

– Tak, na razie. On bardzo chce rozmawiać, z kimkolwiek. Czuję to.

Kaczak zapatrzył się z uśmiechem w sklepiony sufit.

– „Niewiasta odpowiedziała: «Wąż mnie zwiódł i zjadłam»”⁹.

Dał jej czas do końca tygodnia.

Jej związki ze światem przestępczym – nawet jeśli były wyimaginowane i dotyczyły półświatka Ameryki – okazały się w łagrze przydatne. Oczywiście wciąż była „faszystką”, ale kiedy się rozeszło, że jest córką szmuglera, wezwano ją do baraków zajmowanych przez błatnych, gdzie kryminalne rozwalają się na narach rozebrane do staników, grzejąc się w ciepłe ognisk albo piecyków na drewno, do których dokładali wysługujący się im więźniowie, zwykli albo polityczni, jak ona, spełniający każdą zachciankę urków w zamian za skórkę chleba albo ochronę. Zapytano ją, czy poznała Bonnie Parker. Czy widziała Ala Capone’a. Jakimś cudem legendy o tych przestępcach dotarły aż tutaj, nie tracąc po drodze nic ze swego blasku. Florence wyznała szczerze, że nigdy nie zetknęła się osobiście z żadnym z nich, lecz zrelacjonowała historie, o których czytała w gazetach, opisując serię napadów i morderstw przeprowadzonych przez Bonnie i Clyde’a podczas ich rajdu po Ameryce kradzionymi samochodami. Ze wszystkimi szczegółami, jakie zdołała sobie przypomnieć po dwudziestu latach, powtórzyła opowieści o krwawych bitwach między włoskimi gangami Capone’a a irlandzkimi gangami Bugsa Morana, i o tym, jak ludzie Capone’a, zwabiwszy irlandzką załogę do magazynu pełnego sprzedawanej po obniżonej cenie kanadyjskiej whisky, otworzyli do nich ze wszystkich stron ogień, po czym uciekli w przebraniu policjantów, zorganizowawszy tę masakrę podczas amerykańskiego święta miłości.

Jakiś czas później zaprosiły ją znowu, żeby opowiedziała im o innych gangsterach, Johnie Dillingerze i „Baby Face” Nelsonie. Rozgogolone dziewczuchy słuchały, rzucając karty na brudne poduszki albo jak małpy wybierając sobie spod pach wszy i ciskając je w płomień, gdzie te trzaskały. Strażniczki czule albo ironicznie nazywały je

„dziewczynkami”. Rzeczywiście, niektóre z nich miały ciała dziewczynek – i twarze starych kobiet. Czasem przerywały opowieści Florence gromko wykrzykiwanymi wulgarnymi komentarzami, z których ona właściwie nic nie rozumiała. Na zewnątrz zostawiano ją mniej lub bardziej w spokoju, gdyż znalazła się w wątpliwych szeregach łagrowych „powieściopisarzy” – tych, którzy zabawiali kryminalne recytowaniem wielkich klasyków, Dumasa albo Dostojewskiego. W jej przypadku jednak treścią opowieści były podwójne seanse, które widziała lata temu z Sidneyem w brooklyńskich kinach Paramount albo RKO Albee: Tarzan, Mantrap, Symfonia zmysłów, Wróg publiczny nr 1 – kino gangsterskie i łzawe romanse, którymi kryminalne żywiły się równie chętnie. Połowę akcji musiała zmyślać na bieżąco, uzupełniając luki, tak jak robiła to teraz z Robbinsem i Kaczakiem, dodając barwne wstawki, które w danym momencie mogły rozbawić i usatysfakcjonować publiczność.

Kiedy nie przebywała z Robbinsem, pracowała w szpitalu – paliła w piecach, czyściła ustępy i zmywała krew z podłogi. Te proste obowiązki były przywilejem, jakiego nigdy nie dostąpiłaby w obozie kobiecym. Miała prawie pewność, że gdy tylko wykorzystają jej umiejętności translatorskie, dołożą jej kolejne dziesięć lat za „spoufalanie się z wrogiem”. Albo zwyczajnie ją zastrzelą. Nie obchodziło jej to. Jak długo mogła wykonywać lekką pracę i dostawać osiemset gramów chleba dziennie, a na dokładkę trochę zupy i ryby, jak długo mogła przebywać w cieple i nie wyganiano jej w zamrażniętą tajgę, gotowa była zrobić wszystko, co jej każą.

– Dobrze pani wygląda, panno Fein – zagadnął Robbins nieoczekiwanie prawie dwa tygodnie później. Znał ją pod jej panińskim nazwiskiem. – Wróciła pani odrobina koloru.

Florence poczuła, że pali ją czoło. Miała ochotę mu powiedzieć, że to wszystko dzięki niemu. Kupił jej przynajmniej miesiąc życia. Lecz zamiast tego powiedziała:

– Nie powiedziałaś mi, ile masz lat.

– Trzydzieści cztery. Teraz już może trzydzieści pięć. Trudno nie stracić rachuby, jak nie ma okien ani kalendarzy.

– To już nie taki młody jak na zwykłego pilota.

– A, wiem, o czym pani myśli. Powiedzieli pani, że jestem szpiegiem. No cóż, taki ze mnie szpieg, jak z pani drwal. Ale z niejednego pieca chleb jadłem.

– Byłeś lotnikiem podczas ostatniej wojny?

– Dwieście pięćdziesiąta czwarta Dywizja Lotnicza – odparł Robbins z nutką dumy w głosie.

Wycierał miskę do czysta kawałkiem chleba, już na tyle silny, by jeść samodzielnie.

– Cała ta walka musiała ci się naprawdę spodobać, skoro znów zgłosiłeś się na ochotnika.

– A kto powiedział, że się zgłosiłem?

– Nie mówiłeś tak?

– Byłem rezerwistą. Miałbym to wszystko na dobre za sobą, gdybym czytał drobny druk... Po prostu do głowy mi nie przyszło, że tak szybko wplączemy się w kolejny konflikt.

To już było coś. A więc ten patriota miał jednak porachunki z Wujem Samem.

Florence dotknęła na próbę drażliwej kwestii.

– To nie wydaje się w porządku...

– Porządek to można mieć w domu.

Spotkała się już wcześniej z takim podejściem. Robbins stanął do walki bez ociągania, ale i bez radości. To rozbudziło w niej nadzieję – cenną jak klejnot, który znalazła przypadkowo w kieszeni, a teraz potajemnie ogrzewała dłonią.

Po chwili Robbins powiedział:

– Wszystko jedno. Kiedy już cała ta zawierucha się skończy, a komuniści czy kto tam pojną, że najeżdżanie innego kraju nie ujdzie im na sucho, wyjdzie z tego wszystkiego coś dobrego.

Przywołała na twarz wyraz serdeczności.

– Czy ta wiara sprawia, że jest ci łatwiej?

– Wiara w co?

– Że Ameryka jest przekonana o prawie innych narodów do samostanowienia? Bo jeśli tak, to chyba... – uśmiechnęła się rozbijając – ...chyba wierzysz w takie prawo dość wybiórczo. Manila? Meksyk? Albo, dajmy na to, Hawaje?

Sama tylko częściowo wierzyła w to, co mówi. Polityka przestała ją obchodzić dawno temu, a teraz we własnych słowach słyszała już jedynie echo swego poprzedniego wcielenia. A jednak wyczuwała, że Robbins jest wyczerpany udręką i potrzebuje już tylko usprawiedliwienia, które pozwoliłoby mu odłożyć na bok lojalność i obowiązek. A ona gotowa była mu je dać.

– Nie jestem przekonana, czy życie i przyszłość młodych ludzi takich jak ty nie zostało poświęcone w jakimś innym celu niż zapewnienie zysków i chwały wybranym. I sądzę, że ty również nie jesteś o tym przekonany.

Kapitan wydawał się ważyć w myślach jej słowa.

– Proszę, proszę – odezwał się wreszcie. – Ależ jest pani dobrze poinformowana. – Widoczne w uśmiechu szczerby nadały jego twarzy złowieszczy wygląd. – I czy na wiele się pani zdało posiadanie takich wyczerpujących informacji?

Żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

– Nie wiem, jakiego rodzaju religię próbuje mi tu pani głosić, panno Fein, ale lepsze kazania słyszałem od kaznodziei, który od dwóch dni nie trzeźwiał.

Uznał, że jest śmieszna. No oczywiście.

– A więc mam dla pani jeszcze jedną drobną informację – powiedział Robbins. – Ameryka nie ma żadnych interesów w zapadłej azjatyckiej dziurze o nazwie Korea. Wpakowaliśmy się w to bagno z powodu waszych Sowietów, którym udało się wyprodukować bombę atomową. Pewnie pani o tym nie wiedziała? No właśnie. Parę rzeczy się zmieniło, odkąd się tu znalazłaś, Śpiąca Królewno. A nie jesteś ciekawa, jak Rosjanie dorwali ją w swoje łapy? No jasne, że jesteś. Para sprytnych amerykańskich żydków, takich jak ty, mąż i żona, sprzedała im recepturę na worek magicznych fasolek. Uznali, że czymś takim wyrównają szanse obu stron. I w ten to właśnie sposób oboje się tutaj znaleźliśmy. Więc może byś tak wzięła tę swoją czerwoną gadkę i spróbowała ją sprzedać komuś innemu?

Ależ była idiotką. Jakąż bezbrzeżną kretyką, ze swoją żalosną sesją indoktrynacji, jakby Robbins był członkiem jakiejś komunistycznej młodzieżówki. Odkąd przywieziono ją do Strefy Milczenia, wiedziała, że nie ma żadnego marginesu błędu, a tymczasem już od czterech dni nie wzywano jej na widzenia z Robbinssem.

Proszę, nie pozwól im mnie odesłać. Proszę, nie pozwól im... Teraz już nieprzerwanie biegły jej przez głowę dziecinne modlitwy kierowane do losu. Ależ była zakłamana. Przez całe życie, mimo absolutnego braku wiary, modliła się w ten nerwowy, chaotyczny sposób. Czyż wyciągnąłeś mnie z otchłani tylko po to, by na powrót mnie do niej stracić? Z odmętów pamięci wyławiała zapomniane modlitwy dzieciństwa. Baruch Ata Adonaj Eloheinu melech haolam, hagomel lechajawim towot szegemalani kol tow. Ale takie modlitwy nie były dla niej wyrazem wiary czy ambicji, lecz wołaniem uwięzionego zwierzęcia. Nocą, nie mogąc zasnąć w niepokojącym księżycowym świetle, czuła, jak jej dusza unosi pysk do księżyca, by wydać wysoki skowyt.

Gdyby tylko przebaczone jej wszystko, co zrobiła...

Florence nie wiedziała o połączeniach telefonicznych wykonywanych w obie strony na linii Kaczak – Beria. Nie mogła również wiedzieć, że nieoznakowany pociąg wiozący częściowo roztrzaskany i rozłożony na części F-86 sabre zbliża się już do Moskwy. Nie podejrzewała także rosnącej desperacji Kaczaka, gotowego za wszelką cenę wydrzeć z Robbinsa cenne informacje, zanim będzie musiał przekazać go moskiewskim zwierzchnikom.

Kiedy więc ponownie wezwał Florence do pokoju przesłuchań, nagła odmiana zarówno jego tonu, jak i propozycji zupełnie ją zaskoczyła, sprawiając wrażenie wyniku jakiejś nadnaturalnej interwencji.

– Powiedz mu, że zamierzam go wysłać do Moskwy – powiedział Florence siedzącej obok niego przy stole naprzeciw milczącego Robbinsa. – Mam dość wyciskania wody z kamienia. Mam nadzieję – odwrócił się do Robbinsa – że koledzy z Łubianki odniosą większy sukces.

Florence posłusznie przetłumaczyła. Robbins nie mógł wiedzieć, czym jest więzienie na Łubiance, a ona nie miała żadnej sposobności, by mu to teraz wyjaśnić, tak dokładnie. Wyczuła, że wypowiedź Kaczaka skierowana jest tak samo do Robbinsa jak do niej.

– Muszę cię jednak uprzedzić: jeśli myślisz, że potraktują cię łagodniej niż my, to jesteś w błędzie. To tutaj to plac zabaw w porównaniu z tym, co czeka cię tam.

Przetłumaczyła i to. Żadnej reakcji ze strony Robbinsa.

– Myliłbyś się, sądząc, że sprawia mi przyjemność przekazywanie cię mniej litościwym nadzorcom. Można by nawet powiedzieć, że w pewnym sensie podziwiam twoją... wytrwałość. Ale w niczym ci się nie przysłuży. Trzymając cię tutaj, próbowałem oszczędzić ci najgorszego, co nieuchronnie cię spotka. Nigdy nie byłem szczególnym entuzjastą tortur i sadystycznych zwyczajów zaszczepionych przez Mongołów w rosyjskim charakterze narodowym.

Urwał, dając Florence sposobność przetłumaczenia wszystkiego, co powiedział. Była przekonana, że Kaczak rozwinie ten wątek, opisując, których konkretnie

mongolskich tortur Robbins może oczekiwać, ale nie zrobił tego, pozostawiając tę kwestię wyobraźni Amerykanina.

– Jeśli nadal będziesz uporczywie milczał w sprawie F-86, to twoja sprawa. Ja już nie jestem za ciebie odpowiedzialny. Jeśli jednak postanowisz przyjąć do wiadomości swoje położenie i dasz mi to, czego oczekuję... – odwrócił się teraz do Florence, jakby to, co miał do zaproponowania, wymagało podpory mocniejszej od języka – ...osobiście zaangażuję się w jego obronę. Dostanie mieszkanie. Opiekę medyczną. O ile tylko informacje, które przekaze, okażą się wartościowe, możemy zawrzeć układ. Nowa tożsamość. Może nawet wykładać w naszej Akademii Sił Powietrznych taktykę, techniki walki w powietrzu. Nasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych może mu stworzyć tego rodzaju możliwości.

Mówił to z naciskiem i (pomyślała o tym dopiero później) niepokojąco przychylnie, jakby sam nie do końca potrafił uwierzyć, że to mówi. Florence przełożyła jego słowa najlepiej, jak umiała.

I wtedy odezwał się Robbins:

– No dobrze, w takim razie dlaczego nie wyślecie mnie do Moskwy jeszcze dziś wieczorem?

To była drwina. Niebezpieczna drwina. Nie miała ochoty tłumaczyć tego komendantowi, w którego propozycji czaiła się desperacja. Robbins wyczuwał ją równie dobrze jak ona. Ale wahanie Florence wynikało z czegoś więcej: nie chciała, żeby Robbinsa wysłano do Moskwy. Razem z nim przepadłaby jej jedyna nadzieja na uniknięcie wyniszczającego oddziaływania łagru.

Ostatecznie wcale nie musiała przekładać jego słów, Kaczak połapał się bez trudu.

– To nie takie proste – powiedział. – Musi mi pokazać, że mogę go potraktować poważnie. Przekazać mi informację, którą specjaliści będą mogli zweryfikować. Wtedy mogę mu dać moje słowo.

Komendant kazał Robbinsowi to przemyśleć. Nowe życie, o ile tylko będzie chciał.

Ale następnego ranka, „przemyślawszy to”, Robbins zażądał rozmowy nie z Kaczakiem, tylko z Florence. Na osobności.

Tym razem Kaczak nie zaproponował Florence herbaty.

– Niezłe miałaś wywczasy, co?

– Jestem wdzięczna z całej duszy, że mogłam wam się w jakikolwiek sposób przydać, komendancie.

– Nie wątpię. – Wstał, by wyrzeć na brudny, błotnisty śnieg na zewnątrz. Na dziedzińcu klasztoru leżały kamienie i kawałki zwałonego muru. Florence widziała miejsce, gdzie pierwszy raz upadła, celowo, przy ciężarówce, która miała zabrać ją z powrotem do obozu kobiecego. – Nie cierpię tego miejsca. – Mówił chyba do siebie. – Już Kołyma byłaby lepsza. Tam też ziemia przez okrągły rok jest zamrożona na kamień, ale przynajmniej nie byłoby irytującego problemu, co zrobić z tymi wszystkimi ciałami. Trafiłyby do szybów. Opuszczone szyby kopalń... Idealne do pozbywania się zmarłych. Tutaj doły zapełniają się, jak tylko zostaną wykopane. Obarczyli mnie pracą przedsiębiorcy pogrzebowego. To naprawdę nużące.

Jego skarga została obmyślona strategicznie. Florence przyzwyczaiła się już do

jego szorstkiego, krzykliwego sposobu bycia i teraz przeszło jej przez głowę, że mógłby być niezłym aktorem, chociaż ta myśl wcale nie sprawiła, by zaczęła się go mniej bać. Kaczak odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Oczekuję od Robbinsa właściwej odpowiedzi. Rozumiesz?

Słabo kiwnęła głową.

– Dałem ci mnóstwo sposobności odwołania się do jego zdrowego rozsądku – powiedział nagle prosto z mostu. – A ty wykazałaś się znacznie mniejszą pomysłowością, niż można się było spodziewać. A może powinienem powiedzieć: okazałaś się znacznie mniej zaangażowana w przekonanie jego niż w przekonywanie mnie.

W jego oddechu wyraźnie dawał się wyczuć zapach wódki.

– To nie tak. Próbowалам. Dalej próbuję!

– Wiesz, że nie tylko trupy wrzucamy do szybów? Może nasze nie są tak głębokie jak na Kołymie, ale nikt jeszcze nie wygrzebał się z nich z połamanymi rękami!

Oczy wezbrały jej łzami. Łkała teraz, bezwstydnie, tragicznie.

– Przestań ryczeć!

Nie miała nic, czego dałoby się użyć jako chusteczki. Nie chciała, żeby widział, jak ociera nos rękawem.

– Postaram się bardziej – powiedziała gorączkowo, gorliwie kiwając głową.

Ale to nie groźba śmierci z połamanymi rękami na stosie trupów doprowadziła ją do hysterii. To było coś, czego wręcz nie potrafiła do siebie dopuścić, nie zalewając się znowu łzami: ta męczarnia nigdy się nie skończy. Dopóki nie wyzionie ducha, będzie łagodzić, informować, przekonywać, zdradzać, przystawać na wszystkie odrażające, niemożliwe żądania, jakie jej postawią. Wszystkim, czego w życiu pragnęła, była wolność, swoboda oddychania! Wszystkim, co dostała, była niewola. Bo Florence nie przypominała Robbinsa. Bo brakowało jej odwagi, by odmówić, a taka była cena prawdziwej wolności.

– Dość tego! – powiedział Kaczak. – Idź. Wiesz, co masz robić.

Kiedy ją wprowadzono, Robbins leżał na plecach, wpatrzony w sufit. Kamienie w sklepieniu, jak zauważyła Florence, w miarę przybliżania się do zwornika stawały się coraz mniejsze i węższe, najcieńsze w najwyższym punkcie, niczym klepki parkietu, okopcone i poczerńiałe, bez wątplenia z powodu ognisk, którymi mnisi ogrzewali się co noc.

Miała szczęście, że odezwał się pierwszy.

– Masz dzieci, Florence?

Pytanie przeszło ją jak prądem.

– Tak – odparła spokojnie. – Syna. Ma osiem lat. A ty?

Nie odpowiedział.

– Mieszka z twoją rodziną?

– Nie mam tu rodziny, Henry. Już nie mam – sprecyzowała, przypominając sobie, co mu naopowiadała o wymyślonym ojcu szmuglerze. – Mój syn jest w domu dziecka.

– Znaczy co, w sierocińcu?

– Mniej więcej.

– Pewnie trudno się tak wychowywać, bez mamy.

– Wiem, jak się czujesz, Henry. Tęsknisz za rodziną.

– Guzik wiesz – uciał krótko, ale bez złości. Nadal na nią nie patrzył. – Moja żona, Judith... Jej rodzice zmarli, gdy miała dziesięć lat. Wychowywała się to u jednych krewnych, to u drugich. Nigdy się tam nie przelewało. Mamy córeczkę, Berthę. Spodziewaliśmy się drugiego dziecka, kiedy mnie powołali. Gdyby urodził się chłopiec, chcieliśmy go nazwać Virgil. Pewnie się nigdy nie dowiem. Ten plan, co to go niby ma Kaczak... To wszystko bujda, prawda?

– Nie wiem, Henry. Może to rzeczywiście szansa.

– Wierzysz mi?

– Wierzę – powiedziała – że Kaczak tak samo jak wszyscy chce się stąd wydostać. Jeśli ze swojej strony...

– Pewnie!

– Nowe życie. W Moskwie...

– Nie moje życie. Nigdy więcej nie zobaczę rodziny... Nigdy się nie dowiedzą, co się wydarzyło...

– Dowiedzą się, że zginąłeś bohaterską śmiercią jako kapitan Henry Robbins. I to będzie prawda. Tutaj będziesz kimś innym.

– Jeśli zdradzę...

– Nie myśl o tym w ten sposób. Wszystkiego, co wiesz o tym samolocie, oni również się prędzej czy później dowiedzą. Życie toczy się dalej. Wskakuj do tego autobusu, zanim odjedzie.

– Jestem Amerykaninem, Florence...

Czuła, jak ogarnia ją gniew, piekący szyć i uszy. Był taki jak ona siedemnaście lat wcześniej, niezdolny do jasnej oceny sytuacji, z klapkami zasad na oczach.

– Henry, posłuchaj mnie – powiedziała, ujmując jego lodowatą dłoń. – Całymi latami próbowałam stąd wyjechać... Naprawdę. Szukałam wszelkich sposobów, by wrócić do domu. Sądziłam początkowo, że to Rosja nas tutaj zabarykadowała, ale nie udało mi się wsunąć nawet na milimetr na teren amerykańskiej ambasady. To wtedy dowiedziałam się czegoś o naszym wspaniałym, wolnym kraju... Ameryka nie chciała naszego powrotu. Jesteśmy dla niej zwykłymi dezertkami. Myślisz, że z tobą jest inaczej, bo jesteś żołnierzem. A ja ci mówię, Henry, że nawet gdyby wiedzieli, gdzie jesteś... Teraz jesteśmy rozbitkami. Straconymi dla naszego kraju.

Przyjrzał się jej. Tym opuchniętym, podbitym okiem poważnie, a tym zdrowym z jakimś zdumionym rozbawieniem.

– Możesz powiedzieć swojemu komendantowi, że nie odezwę się do niego ani słowem, dopóki nie poinformuje rządu Stanów Zjednoczonych, że kapitan amerykańskich sił powietrznych Henry Robbins przebywa jako jeńiec wojenny na terenie Związku Radzieckiego.

– Do diabła z tobą, Henry! – Cała jej desperacka siła woli została anihilowana jego uporczywą odmową. – Niech cię piekło pochłonie! Nie ma żadnego znaczenia, czy te twoje Stany wiedzą, że jesteś jeńcem, czy nie – powiedziała, bezlitośnie przedrzeźniając jego akcent. – Nawet jeśli ta wojna kiedykolwiek się skończy, to ty na pewno nie wrócisz do domu. Nie po tym, jak zobaczyłeś naszą sieć sanatoriów. Oto jest właśnie tajemnica

sowieckiego cudu gospodarczego. Myślisz, że dopuszczą, żeby ta informacja, idealny żer dla propagandy, kiedykolwiek wyszła na jaw? – Miała gdzieś, że jej głos stał się nagle piskliwy. – Ale teraz możesz żyć. Teraz masz nad nimi władzę... Wykorzystaj ją, na miłość boską!

Zwrócił w jej stronę wymizerowaną anglosaską twarz. I w końcu powiedział:

– Wciąż nie rozumiesz. Nie obchodzi mnie, czy odeślą mnie do kraju. Myślisz, że nie wiem, że nie wrócę do Karoliny, nigdy więcej nie zobaczę rodziny? Jasna cholera, nie zależy mi już na życiu... Nie rozumiesz? To o nich się martwię... Judy i moje dzieci nigdy się nie dowiedzą, co się ze mną stało. Będą czekać, czekać w nieskończoność. Powiedzą im tylko: „Zaginął w akcji”. Nie mogę jej pozostawić w niewiedzy. Nie oczekuję, że to zrozumiesz, ale nawet ust nie otworzę, dopóki nie zobaczę potwierdzenia od Wujka Sama.

– Jak sobie życzysz – odparła.

– A zatem – powiedział Kaczak – jaką masz dziś dla mnie odpowiedź?

– Chce, by Amerykanie zostali poinformowani. Chce, by jego rodzina wiedziała – odparła. Nie obchodziło jej już, czy Kaczak połamie jej ręce i wrzuci na stos trupów. Czekala ją tutaj śmierć, więc niech i tak będzie. – Chce potwierdzenia. Oficjalnego pisma od władz Stanów Zjednoczonych.

– Więc mu je napisz.

Ośmieliła się podnieść na niego wzrok. Spojrzenie miał jasne i łagodne. Wytrzeźwiał?

– Możesz je sama napisać – powiedział, uśmiechając się szeroko.

– Nie chcecie...

– Muszą być jakieś standardowe sformułowania... Nasze organy bezpieczeństwa znajdą ci jakąś urzędową amerykańską papeterię. Ale pozwól, że zapytam: jak sądzisz, co się stanie, kiedy on już dostanie „potwierdzenie”, co? Myślisz, że wtedy zaczniesz mówić?

– Chce tylko, żeby jego żona dowiedziała się, co się z nim stało.

– Wzruszające. – Kaczak pokręcił głową. – Ty stara, głupia kurwo. Jak zyska przekonanie, że Amerykanie znają miejsce jego pobytu, nigdy nie zaczniesz gadać! Jakiegokolwiek informacje od niego uzyskamy... Jego rząd będzie doskonale wiedział, jakie jest ich źródło. No jasne. Rodzina? Zostaną poinformowani jedynie o tym, że ten Robbins był zdrajcą. Zrobił cię w konia, ty sentymentalna, stara prukwo. Od początku powinienem był sam się tym zająć. I teraz właśnie się zajmę.

Chciała coś powiedzieć, ale usta tak jej drżały, że nie potrafiła wyartykułować słowa. Jej wysiłki były od początku beznadziejne, a absurdalny ciężar nadziei zmaćcił jej umysł, nie pozwalając tego pojąć. Owszem, była głupia – ale nie tak, jak był o tym przekonany Kaczak. To nie sentymentalizm rozświetlił ciemny zakątek jej duszy, ale pobrzmiwające w daremnym żądaniu Robbinsa echo czegoś dobrze jej znanego – czegoś, co sama czuła wtedy, gdy z pełną świadomością pozostawiła na pastwę losu Essie, swoją najbliższą przyjaciółkę. W zwierzęcym oddaniu rodzinie gotowa była posunąć się do wszystkiego.

Jednak popełniła błąd. Powiedziała Kaczakowi o „kraju” i „rodzinie”, jakby dla Robbinsa były jednym i tym samym. Na tym właśnie polegała jej pomyłka. Opacznie go zrozumiała. Nie był tak ślepo zasadniczy, jak sądziła. Gotów był sprzeniewierzyć się

krajowi, ale nigdy nie skrzywdziłyby własnej rodziny. Przez cały ten czas próbował jej to przekazać – nawet jeśli sam sobie tego jeszcze nie uświadamiał.

– Dajcie mi jeszcze jedną szansę z nim porozmawiać. Wiem, jak go skłonić do zmiany zdania.

– Zrobiłaś już dość.

Kaczak kiwnął ręką na stojącego za drzwiami strażnika.

Ale Florence nie wstała.

– Mogę mu zaoferować coś, czego wy nie możecie.

Kaczak sprawiał wrażenie poirytowanego tym, że nie może jej zignorować.

– Czyli?

– Nie mogę powiedzieć. Musicie mi zaufać.

Jego oczy błysnęły zimno na tę zuchwałość. Wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że jest człowiekiem, który potrafiłby ją zastrzelić, nie odrywając od ust filiżanki herbaty. A jednak się nie poddała.

– Jeśli on pojedzie do Moskwy – powiedziała – wy tam już nigdy nie wrócicie.

Pozwolono jej wejść do celi Robbinsa, by się z nim pożegnała. Kiedy weszła, nie podniósł na nią wzroku, powtórzył tylko jak zakłęcie wyuczone na pamięć żądanie.

– Nic z tego nie będzie, Henry – powiedziała. – Obiecuję ci, co chcesz, a i tak twojemu rządowi powiedzą, że jesteś martwy. I jak nie zmienisz zdania, to wkrótce naprawdę będziesz.

– No cóż. – Uśmiechnął się do niej nieprzyjemnie. – Tak czy inaczej, szanowna pani, nie ujdę z tego z życiem, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Możesz mi powiedzieć prawdę, Florence.

– Nie. Nie ujdiesz.

– Dziękuję ci. Tylko to się dla mnie liczy. Prawda. I dla mojej rodziny tak samo.

– Ty nie ujdiesz – odezwała się znowu. – Ale ja tak.

Utkwił w niej spojrzenie lewego, prawie już zdrowego oka.

– Mogę się stąd wydostać i zrobię to. Wydostanę się stąd i odnajdę twoją rodzinę. Napiszę do nich i wyjaśnię im, co się z tobą stało. To się nie wydarzy od razu, ale znajdę jakiś sposób. Ale nie zdołam zrobić tego sama. Jeśli nie chcesz pomóc sobie, pomóż mnie. Powiedz mi coś. Coś, co będę mogła przekazać komendantowi. Żyję tylko dlatego, Henry, że nadal ze mną rozmawiasz. Kiedy przestaniesz – zakaszłała – wrzucą mnie z powrotem do tego piekła cierpienia i brudu... Na to wysypisko trupów. I umrę, a razem ze mną przepadną wszelkie szanse na to, by twoja rodzina kiedykolwiek dowiedziała się o tym, co naprawdę się z tobą stało. Ale jeśli zaczniesz mówić, jeśli zrobisz to ze względu na mnie, jeśli utrzymasz mnie przy życiu, skontaktuję się z nimi i powiem im to, co będziesz chciał.

Wieczorem spakowała tych kilka nędznych, bezwartościowych przedmiotów, które udało jej się zgromadzić podczas paru tygodni spędzonych w szpitalu. Kilka rolek bandaży do opatrywania stóp. Tępa igła od strzykawki, której używała do łątania kufajki i walonek. Maleńka fiolka z kilku ostatnimi kroplami jodiny. Pełna butelka skażonego spirytusu. Aluminiowa łyżka skradziona ze szpitalnej kuchni. Witaminowy syrop, który

nadal miała w zapasie. Płatki bawełny. To były jej skarby – będzie mogła je sprzedać lub wymienić po powrocie do obozu kobiecego. Skażony spirytus zaproponuje od razu najważniejszej błatnej, która natychmiast go wypije, a potem – taką w każdym razie Florence miała nadzieję – zostawi ją w spokoju. Pozwoliła tym nerwowym taktycznym planom zagłuszyć dręczące ją myśli całkiem innego rodzaju: myśli o jej skróconej przyszłości, jakakolwiek ona będzie. I myśli o Robbinsie, który w żaden sposób nie zareagował na jej wariacką propozycję.

Rano przyszedł po nią strażnik i Florence ze wszystkich sił starała się przekonać samą siebie, że zrobiła, co mogła. Mgła na zewnątrz była tak gęsta, że Florence ledwie widziała plecy ciemnozielono ubranego strażnika idącego kilka kroków przed nią. Po trudnościach, które miała z oddychaniem, zorientowała się, że temperatura spadła poniżej minus pięćdziesięciu. Ale zamiast do ciężarówki zaprowadzono ją raz jeszcze do pokoju przesłuchań w klasztorze. Jej oczy, załzawione z zimna, potrzebowały dłuższej chwili, by rozpoznać szczupłego mężczyznę towarzyszącego Kaczakowi. Kiedy zamruła, odpędzając złodowaciale łzy, przekonała się, że to Finkleman, inżynier fizyk. Był tam też Robbins. Rozkuto mu ręce i teraz siedział jak bezwładna marionetka przy drewnianym stole.

– A więc zaczynajmy – powiedział Kaczak.

Przez następne dziesięć tygodni przychodziła codziennie, by pełnić obowiązki tłumaczki komendanta, podczas gdy ten, wykazując się zaskakującą wiedzą i cierpliwością, wyciągał z Robbinsa tajemnice radarowego celownika odrzutowca Sabre. Celownik zaprojektowany był tak, by wyliczać strzał z wyprzedzeniem w zasięgu do półtora kilometra. Wydłużony czas lotu wymagany przez jednostkę obliczeniową celownika sprawiał, że celownik był bardzo wrażliwy na ruchy samolotu, co utrudniało pilotom utrzymanie celu na muszce, kiedy manewrowali w pobliżu jednostek wroga. Większość tego, co mówił Henry, była dla Florence ledwie zrozumiała, ale po jakimś czasie zaczęła pojmować jego powściągliwe pochwały możliwości maszyny, a nawet czułe skargi na jej narowy. Była pilną uczennicą i już po kilku tygodniach równie biegle jak inżynier fizyk posługiwała się określeniami w rodzaju „rozwiązania balistyczne”, „instrumenty wyboru zasięgu” czy „wartości radaru” przekazywane do komputera. Opierając się na tym, co pamiętał Robbins, zrekonstruowano rysunki zniszczonego kokpitu F-86, a kiedy wysłano je do Moskwy, gdzie składano i powielano przechwycone amerykańskie odrzutowce, Robbins opowiedział im o szeregu problemów związanych z serwisowaniem maszyny, których powinni się spodziewać, o możliwości uszkodzenia delikatnych komponentów elektronicznych na nierównych pasach startowych i o tym, jakiego rodzaju zakłócenia z ziemi mogą uniemożliwić pracę radaru na wysokości poniżej tysiąca ośmiuset metrów. Florence przypuszczała, że nie musiał im tego wszystkiego mówić. Podejrzewała, że rozwijał listę szczegółów technicznych ze względu na nią, przeciągał sprawę, by mieć pewność, że Florence przeżyje zimę. Mimowolnie zaczęła sobie wyobrażać młodą żonę Robbinsa i jego dzieci. To przez lojalność wobec nich sprzedał za pośrednictwem Florence lojalność wobec kraju. Ona ze swoją amerykańską rodziną nie wymieniała listów od ponad pięciu lat. Dziesięć miesięcy wcześniej jej ojciec zmarł we śnie na atak serca. Florence miała się o tym dowiedzieć dopiero wiele lat

później.

A potem, pewnego kwietniowego dnia, kiedy odbijające się od śniegu słońce niemal oślepiało, jeszcze raz wezwano ją do gabinetu Kaczaka. Zastała go w wojskowej czapce, nonszalancko nasuniętej na czoło, by osłaniała oczy przed słońcem, i jakby korespondującej z jego beztroskim nastrojem. Tak jak Florence chyba przeczuwał, że wiosna jest już blisko.

– Szykuj się na pożegnanie ze swoim Amerykaninem – obwieścił. Wyraz niepokoju na jej twarzy zdawał się sprawiać mu przyjemność. – Zabieram twojego pilota do Moskwy. Będzie pomagał inżynierom z MiG-a w testowaniu ich nowych maszyn. Zaczyna nowe życie, tak samo jak ja. Nie wyglądasz na szczególnie szczęśliwą, Floro.

– Jestem po prostu zaskoczona, pułkowniku.

– Sądziłaś, że nie dotrzymam słowa? Obrażasz mnie, Floro Solomonowna. Robbins dotrzymał swojej części umowy, ja dotrzymuję swojej. Skłamałbym, mówiąc, że to jakieś wielkie poświęcenie. Obejmuję stanowisko w moskiewskich strukturach wywiadu technicznego. Opuszczam to pustkowie na dobre i to w dużej mierze twoja zasługa. Chciałbym jakoś podziękować.

– Podziękować?

– Za usługi oddane krajowi. Zostanie to uwzględnione, kiedy będziesz się ubiegać o zwolnienie po odbyciu całej kary.

Jej nadzieja przygasła.

– Nie leży w mojej gestii złagodzenie wyroku takiej politycznej zdrajczynie jak ty. Mimo wszystko chciałbym coś dla ciebie zrobić, aby twoje wysiłki nie pozostały niewynagrodzone.

– Proszę mi pozwolić nadal pracować w szpitalu. Jako salowej. Nauczyłam się wszystkiego, w czym mogę być tutaj użyteczna.

– Nie chcesz, by odesłano cię z powrotem do poprzedniego obozu.

– Wolałabym nie.

– No dobrze. Możemy się postarać, żeby zostało tak, jak jest.

– Dziękuję, pułkowniku – powiedziała, za jego przykładem wstając.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Jeśli chcesz, możesz pójść się pożegnać ze swoim przyjacielem Robbinsem.

– Tak.

– W końcu, jakkolwiek na to patrzeć, jest teraz twoim towarzyszem.

Kaczak uśmiechał się jeszcze, gdy Florence wychodziła.

Oczy Henry'ego, choć zupełnie wygojone, były zaczerwienione. Pilot gestem poprosił strażnika, by ten poczekał za drzwiami, gdy on i Florence będą zamieniać kilka ostatnich zdań.

– Witaj, Henry.

– Florence.

– Komendant mówi, że jutro wyjeżdżacie.

Nie podniósł wzroku, unikając jej spojrzenia.

– Henry. – Dotknęła jego dłoni. – To bardzo dobrze. Proszę, nie zdręczaj się.

– Postąpiłem potwornie, Florence.

– Nie.

– Jestem zdrajcą. Zdradziłem mój kraj.

– Idź i nie oglądaj się za siebie. Jestem przekonana, że wiele osiągniesz.

Pokręcił głową, jakby próbując wyrzucić z niej tego rodzaju myśl.

– Zrobiłem to, czego przysiągłem nigdy nie robić. – Mocno uścisnął jej rękę. – Obiecuj mi, że im o tym nie powiesz. Powiesz tylko, co się ze mną stało. Kiedy się stąd wydostaniesz, powiedz im, że umarłem jako Amerykanin. Bo tutaj kończy się historia Henry’ego Robbinsa.

Była przekonana, że chodzi mu o to, że otrzyma nowe nazwisko. Jego poprzednia tożsamość zostanie wymazana, kontakt z przeszłością stanie się niemożliwy.

– Oczywiście.

– Pamiętasz adres.

– Nie mogłabym zapomnieć.

– Niech Bóg obdarzy cię długim życiem. – Położył szorstkie, kościste dłonie na jej głowie, jakby ją błogosławiąc, ale trzymał je tam dłużej niż jakikolwiek kapłan, tak długo, aż i jego, i jej oczy wypełniły się łzami. – Żegnaj, Florence.

Wiadomość o tym, co się stało potem, dotarła do Florence dopiero kilka dni później. Informację przekazał jej Konstantin, jeden z pielęgniarzy, który na polecenie lekarza zaczął ją uczyć, jak znajdować żyły na ramionach gruźlików przed zrobieniem zastrzyku z chlorku wapnia.

– Twój Amerykanin nie żyje – powiedział.

Znajdowali się w sali, w której składowano ciała zmarłych w celu pobrania odcisków palców przed przewiezieniem ich do kostnicy.

Florence z wysiłkiem udała, że nie rozumie. Uprzedzono ją, by nigdy nie rozmawiała o tym, co się wydarzyło. Skąd oni to wiedzieli?

– Nie żyje, nie żyje – powiedział pielęgniarz. – Strzelił sobie prosto w podniebienie... No, przecież go znałaś.

– Ale on... miał jechać do Moskwy.

– Słyszałem tylko tyle, że był już spakowany, bo mieli go gdzieś wysłać. Strażnik wyprowadził go z celi na korytarz. Nie przeszli nawet kilku kroków, kiedy Amerykanin obrócił się w miejscu, chwycił za broń, zwyczajnie obezwładnił strażnika, a potem strzelił sobie w usta. Rozwalił sobie mózg.

W sercu Florence rozwarła się wielka czarna dziura, otchłań bez dna.

– Przecież nie mógł mieć tyle siły.

– Musiał to planować od jakiegoś czasu i tylko czekał na odpowiednią chwilę. Na korytarzu nie było nikogo, kto mógłby go powstrzymać, a do tego strażnik był jakimś młodzikiem bez doświadczenia. No, w każdym razie ten twój Amerykanin miał wystarczająco dużo siły, żeby wyszarpnąć mu broń z ręki.

– To niemożliwe.

A jednak. Informacja pochodziła od kierowcy, który zabierał ciała i zrzucał je do wspólnej mogiły. Widział zwłoki Amerykanina na własne oczy.

– Ale ani słowa – ostrzegł Konstantin. – Wspomniał ci coś o tym?

– Kto?

– Amerykanin!

– Na Boga, nie!

„Obiecuj mi, że im o tym nie powiesz. Powiesz tylko, co się ze mną stało”.

Z wściekłością potrząsnęła głową.

„Bo tutaj kończy się historia Henry’ego Robbinsa”.

Ale czy nie mówił o amerykańskiej skórze, którą właśnie zrzucał i zostawiał w Permie, by w stolicy stać się innym człowiekiem? Och, jaka była głupia. Przecież ją uprzedził, bardzo klarownie wyłożył swój plan.

– Nic mi nie powiedział.

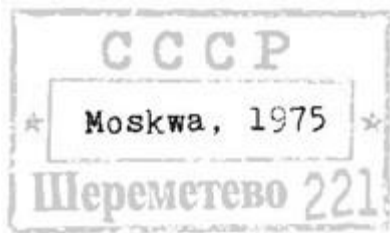
– No to i lepiej – odparł Konstantin. – Komendant wkurzony jak diabli, przesłuchuje wszystkich po kolei.

Zrozumiała, że Konstantin mówi jej to, żeby ją ostrzec.

Nie wezwano jej jednak na przesłuchanie. Jakimś zrządzeniem losu znów wyszła cało z opresji.

Jeszcze przez wiele tygodni zamartwiała się, że za ten incydent Kaczak zapłaci utratą możliwości ucieczki z Permu, a ona – wytchnienia, które jej obiecał. Ale ów nieokreślony awans, który udało mu się wymóc na szwach z MGB, nie został cofnięty, a Kaczak dotrzymał obietnicy: Florence pozostawiono w rejestrze jako salową w szpitalu.

Aż wreszcie rok później, pewnego marcowego dnia, z zamontowanych na głównym oddziale szpitala głośników popłynęły dźwięki, jakich Florence nie słyszała od lat. Muzyka klasyczna! Nie marsze, ale subtelne tony przywodzące na myśl głosy anielskie. Beethoven? Händel? Po fragmencie muzycznym podano informację medyczną: raport na temat aktualnego stanu zdrowia Stalina, w tym wyniki badania moczu. Mocz! Podobnie jak muzyka, głos obwieszczał żałobne wieści, lecz budził ekstatyczną radość: mówił o Bogu, który szczał i srał jak cała reszta brudnej ludzkości. I Florence pojęła, że to już niedługo.



W latach sześćdziesiątych Moskwa, niczym dąb, obrosła kolejnym słojem: obwodnicą samochodową. Gdybyś w 1975 roku znalazł się w samochodzie jadącym jednym z jej czterech pasów, twoim oczom ukazałby się rozjaśniony tysiącami światel pejzaż: przypominające nieznanne gatunki pieczarek białe ostańce wyrastały półkolami wokół nakreślonych wcześniej dziedzińców, bezceremonialnie obsadzając swoimi przejrzystymi formami obszary przeznaczone pod przyszłą zabudowę. Nasze nowe dzielnice mieszkaniowe, mikrorajony, niegdyś wsie zamieszkiwane przez ledwie setki mieszkańców, zabudowywane były teraz z myślą o setkach tysięcy.

Ludzie żegnali się z zatłoczonymi, sypiącymi się komunałkami, porzucali zanedbane kawalerki w ospowatych „chruszczowkach” z pustaków i przenosili się do dziewięcio-, szesnasto-, dwudziestopięciopiętrowych bloków na obrzeżach miasta. W 1975 roku wyniosła się i moja rodzina. Wraz z Łukiją i dziećmi przyłączyliśmy się do fali optymistów kupujących jugosłowiańskie meblościanki, polskie sypialnie i bułgarskie szafki kuchenne, które miały wypełnić rozległe przestrzenie całych trzech pokoi. W kuchni, na naszej nowej pralce półautomatycznej, którą Łukija próbowała udomowić jakąś makramą, stało odbierające na falach krótkich niemieckie radio marki Grundig, a za szybką jugosłowiańską meblościankę przysiadł z dumą japoński zestaw stereo. Relacje handlowe pomiędzy blokiem wschodnim a zachodnim coraz bardziej się ożywiały i słowo „odprężenie” było na ustach wszystkich. Na orbicie astronauta z misji Apollo i kosmonauta z Sojuza połączyli swoje wirujące jednostki w kosmicznym nieważkim tangu. Wiadomości o tej wspaniałej współpracy były nam przekazywane za pośrednictwem telewizora Horyzont, na którym kilka miesięcy później mieliśmy oglądać, jak Fordowi i Breżniewowi, który mówił tak, jakby usta miał pełne kiełbasy, nie udaje się osiągnąć porozumienia w sprawie pocisków manewrujących i balistycznych. No oczywiście – to przecież nie mogło trwać wiecznie, całe to helsińskie obcałowywanie się po policzkach. Pod koniec dekady imprezę przeniesiono do Afganistanu.

Od tych wydarzeń dzieliło nas jednak jeszcze kilka lat. Wiosną 1975 roku musiałem się zająć innego rodzaju kruchym odprężeniem. Od wielu lat utrzymywaliśmy z matką chwiejny rozejm, co oznaczało, że „żyliśmy w zgodzie”, co z kolei znaczyło, że nie poruszaliśmy tematów politycznych. Florence nie pozwalała już sobie na uwagi, że socjalizm był – w teorii – cudowną ideą, a ja nie odparowywałem, że równie cudowną jak machanie rękami i fruwanie po domu – dla rozgrzewki – przed śniadaniem. W końcu doszło do rozłamu, ale nie z powodu wydarzeń o charakterze państwowym, tylko za sprawą najbardziej moskiewskiego z impasów: kwestii mieszkania.

– To nie dla mnie. – Tylko tyle można było z niej wyciągnąć. – Mnie jest doskonale tu, gdzie jestem. Dam sobie radę.

„Dam sobie radę”. Ulubione zdanie matki, obok: „Nie ma potrzeby robić zamieszania”.

– Nie, nie dasz sobie rady – powiedziałem. – A może nawet i dasz, ale dlaczego miałabyś to robić? – Przypomniałem jej, jak w zeszłym miesiącu dwukrotnie wozłem ją do szpitala po tym, jak przepuklina kręgosłupa, której nabawiła się w łagrze, prawie wywołała u niej paraliż nogi. – A jeśli ból wróci i nie będziesz mogła się ruszyć?

– Nie będę miała bliżej do lekarza, jak mnie wywieziecie na jakieś odludzie.

– Będziesz miała bliżej do nas... Właśnie to próbuję ci powiedzieć.

Zajmowała nadal pokój w tym samym ciasnym komunalnym mieszkaniu, w którym gnieździliśmy się oboje od 1956 roku, kiedy ona wróciła z obozu, a ja z domu dziecka.

– Nie mogę się wspinać po tych wszystkich schodach.

– W tych budynkach są windy!

– Nie, nie... Widziałam już, jak to wygląda. Bardzo niskie stropy. Całe życie mieszkałam w wysokich pomieszczeniach.

– Ale, mamo, będziesz miała więcej przestrzeni, nie mniej! Ty tu mieszkasz niemal w szafie, tyle że z wysokim sufitem. Wszystko stoi poupychane jedno na drugim, na ścianie nie ma miejsca, żeby powiesić zwykły obrazek! Z kuchni do łazienki są dosłownie dwa kroki. Jak tu w ogóle można myśleć?

– Mnie to odpowiada.

Powiedziałem jej, że jeśli to kwestia pieniędzy, to będę bardzo szczęśliwy, mogąc wnieść za nią wkład spółdzielczy na kawalerkę w naszym bloku. Oferta była nieszczerą, przyznaję. Nie dlatego, że nie miałem ochoty wnieść wkładu spółdzielczego za mamę, ale dlatego, że orientowałem się doskonale, że ma wystarczająco dużo własnych środków. Wiedziałem o tym, bo dwa lata wcześniej, kiedy poprosiłem ją o pożyczkę mi niewielkiej sumy na nasz wkład, zdumiała mnie bezgranicznie, wyciągając jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki sześć grubych rolek banknotów sturublowych, łącznie prawie cztery tysiące rubli, zwiniętych tak ciasno i tak mocno ściśniętych gumką, że nie dało się ich wyprostować bez żelazka. Powiedziała mi stanowczo, że to nie jest pożyczka.

– Czy ja jestem Egipcjaninem, żeby mieli mnie z tym pochować? – skwitowała moją obietnicę spłacenia długu.

Jak sześćdziesięcioletnia emerytka utrzymująca się z chudej państwowej pensyjki zdołała zaoszczędzić taką sumę? Utrzymywała, że to kwestia żywienia się wyłącznie sardynkami i czarną kawą, kupowania nowych ubrań tylko od wielkiego dzwonu i zelowania co sezon tej samej starej pary butów. Ale jakim cudem w ogóle je zdobyła? Było to zagadnienie znacznie bardziej interesujące i mogę je chyba wstępnie naświetlić informacją, że po dwudziestu latach życia w poststalinowskiej Moskwie matka wypracowała sobie wcale intratne zajęcie dodatkowe.

Dopóki w wieku pięćdziesięciu pięciu lat oficjalnie nie przeszła na emeryturę, pracowała jako zwykła ekspedientka w Domu Książki, a konkretnie w mniejszej,

sąsiadującej z tą księgarnią filii – Domu Książki Zagranicznej. Było to jedno z niewielu w Moskwie miejsc, w których można było dostać obcojęzyczne wydawnictwa: słowniki, angielskie przekłady Czechowa i Pasternaka, popularne wydania w miękkich okładkach takich autorów, jak Jack London, Ernest Hemingway, Arthur Hailey czy Erich Maria Remarque, a ponadto angielskie podręczniki z gatunku tych niezwykle poszukiwanych przez ambitne matki nowego pokolenia nastolatków, wożonych czarnymi wołgami na zajęcia w MGIMO. Wystrojone, niebojące się rywalizacji żony nowej nomenklatury zdecydowane były umieścić swoje dzieci na dyplomatycznych posadach i pchnąć je na ścieżkę kariery wymagającą znajomości „prawidłowej angielszczyzny”, niespartaczonej przez nauczycieli szkół publicznych, którzy nauczali angielskiego, choć nigdy nie musieli się w tym języku porozumiewać.

Praca w księgarni przynosiła mamie grosze, ale dawała sposobność zaprezentowania wachlarza jej umiejętności. Zawsze potrafiła je wypatrzeć – te kobiety w importowanych kozaczkach do kolan, wkraczające buńczucznie do nieznannej sobie wcześniej księgarni, by odszukać odpowiednie podręczniki i rozmówki. Florence prowadziła je uprzejmie ku słabo oświetlonym regałom w głębi, gdzie wyczerpująco omawiała zalety i poziom poszczególnych podręczników, dla przykładu odczytując swoją nienaganną angielszczyznę po kilka linijek to z tej, to z innej książki, tak że w końcu zainteresowana matka decydowała się zadać pytanie o jej „historię”. Florence z uśmiechem na ustach przedstawiała ją w bardzo skróconej wersji, po czym podawała swój numer telefonu na wypadek, gdyby „pojawiły się jakieś pytania” dotyczące zakupionej książki. Nie mijało wiele czasu i zapraszano ją na niezobowiązującą herbatę, a potem co wieczór udzielała prywatnych korepetycji, lista oczekujących zaś wydłużała się z każdym miesiącem. W niedziele, kiedy ja wkuwałem do egzaminów wstępnych na uczelnię, matka odwiedzała wspaniale umeblowane mieszkania na Wzgórzach Leninowskich, wchodząc z odbitymi na powielaczu lekcjami, a wychodząc z gotówką. Cierpkość jej opinii o odwiedzanych domach była zawsze proporcjonalna do uwagi, jaką otaczali ją klienci. W domowym zaciszu wykpiwała proponowany jej francuski koniak i belgijskie czekoladki, szydziła z prostackich nawyków mężów i kulturalnych pretensji żon, przewracała oczami, opowiadając o meblach na wysoki połysk i starannie wyeksponowanych ikebanach. Pamiętam, jak o jednej klientce, uznanej kremlowskiej lekarce, powiedziała: „Trudno mi się wypowiadać o jej znajomości medycyny, ale fartuch ma szyty na miarę, żeby miał wygodne, głębokie kieszenie”. Nikt z tych ludzi nie był w jej przekonaniu „prawdziwym komunistą”. Wszyscy prawdziwi komuniści nie żyli.

Ale nawet te uszczypliwe opinie – którymi dzieliła się, jestem tego pewien, tylko ze mną – były w gruncie rzeczy wyrazem satysfakcji, jaką czerpała ze swej spóźnionej niezależności. Nie była służącą tych ludzi. Sama ustalała godziny, sama wybierała dzieci, z którymi chciała pracować, i rezygnowała, jeśli uczeń nie przykładął się do nauki. I przez cały czas zwijała niebieskie, fioletowe i brzoskwiniowe banknoty w ciasne ruloniki, które utykała w szafie między ręcznikami i prześcieradłami. Jej amerykańskość – ta sama cecha, która niegdyś tak fatalnie ją wyróżniała – stała się kluczem do jej wolności.

Czy teraz sądziła, że to właśnie tej wolności zamierzam ją pozbawić?

– Nie chcę się wyprowadzać z miasta.

– Ależ nie próbujemy cię przeprowadzić na wieś, tylko bliżej nas. Bliżej twojej rodziny. Nie jesteś już zmęczona dzieleniem łazienki z jedenastoma innymi osobami?

– Przeżyłam gorsze rzeczy.

– Jeśli cokolwiek ci się stanie, to nie mogę obiecać, że będę cię codziennie odwiedzał. Nie wtedy, kiedy będziemy mieszkać po dwóch przeciwnych stronach miasta. Ja pracuję! Łukija tak samo.

– Mam sąsiadów. To przyzwoici ludzie. Nikt nie krzyczy, nie pije. I nie podobają mi się ludzie, którzy włóczą się po tych zewnętrznych dzielnicach.

– Jacy ludzie? Normalni ludzie, jak my.

– Mnie nie musisz tego mówić. Widziałam ich. Zwykli robotnicy, pijacy... Całe to sąsiedztwo... Kompletny brak kultury. Nie ma teatrów, nie ma księgarni. To nie życie, to wegetacja. Jakby to wszystko było za karę.

– Nie będziesz miała dużo dalej do centrum niż teraz. Mieszkamy tuż obok stacji metra. A sąsiedzi to nie to samo co rodzina. To dobry czas na kupowanie... I wybacz, mam, że ci przypomnę, ale nie robisz się młodsza.

– Zamierzasz mnie już pochować?

Gadałem do ochrypnięcia. Bez skutku.

Wszystko to powinno mi uzmysłwić, na jak niebezpieczne terytorium się zapuszczam, przystępując dwa lata później do omawiania już nie przeprowadzki na przedmieścia, lecz wyprawy na znacznie większą odległość. Kilka rzeczy się do tego czasu zmieniło. Nie byłem już obiecującym doktorantem, ale kolejnym Żydem, któremu odmówiono stopnia naukowego, i wreszcie pojąłem, że niezależnie od wszelkich powiewów cywilizacyjnej zmiany, jakie udawało mi się czasem wychwycić, nic nigdy nie zdoła zagłuszyć woni zgnilizny bijącej od mojego kraju. Podobnie jak wielu innych, rozbudziłem w sobie nadzieję, a teraz zmuszony byłem za swój optymizm płacić.

I właśnie wtedy moje perspektywy tak szybko, jak się zamknęły, tak szybko się otwały. Importowane w celu podreperowania żenujących wyników radzieckich kolchozów buszle amerykańskiego zboża umożliwiły mojej rodzinie opuszczenie tego dławiącego nas wszystkich więzienia. Nigdy nie przeszłoby mi przez myśl, że największą przeszkodą, która stanie na mojej drodze, będzie matka.

– Czy nie omawialiśmy już tego ze sto razy? – mówiła, patrząc na nas niewinnie, gdy pytałem, czy zamierza pojechać z nami do Stanów, czyli – jak ona to określała – „tam”.

Była tak konsekwentna w unikaniu nazwy kraju, że przypadkowy świadek naszej wymiany zdań mógłby sądzić, że nadal dyskutujemy o możliwości wyprowadzenia jej na przedmieścia Moskwy.

– Mam, nie wyjedziemy stąd bez ciebie.

– Nie, nie, nie. – Zbyła mnie krótkim potrząśnięciem głowy. – Moje życie jest tu, gdzie jest.

– Nie mogę tak po prostu cię tu zostawić, zupełnie samej.

– Dam sobie radę.

– Nie o to chodzi! Składamy wniosek o papiery. Jesteśmy gotowi do wyjazdu. Rozumiesz, co to oznacza?

– Nie będę wam stawać na drodze – powiedziała, jakby wszystko to było wyłącznie jakimś nieprzyjemnym nieporozumieniem. – Jakiegokolwiek papiery każecie mi podpisać, nie będę się z wami spierać.

Ta ostatnia stawiana emigrantom niedorzeczna przeszkoda była wciąż obecna w sowieckich kodeksach: każda chcąca wyemigrować osoba dorosła potrzebowała pisemnej zgody matki lub ojca. Miałem zgodę matki, ale nie mogłem liczyć na jej współpracę. Któregoś popołudnia pojawiła się w naszym mieszkaniu, by podpisać dokumenty pozwalające mnie i Łukii wyjechać z kraju.

– Mamo, to twoja ostatnia szansa – powiedziałem. – Zostaniesz rozdzielona ze mną i wnukami, na zawsze. Naprawdę tego chcesz?

Widziałem, że jest roztrzęsiona, choć starała się nad sobą panować. Trudno! Miałem dość obchodzenia się z nią jak z jajkiem. Chciałem wytrącić ją z równowagi.

– Właśnie tego? – zapytałem napastliwie.

Mur berliński miał runąć dopiero za jedenaście lat. Prezydentem USA był Jimmy Carter. Nie było jeszcze żadnego Gorbaczowa, żadnej pieriestrojki, żadnych dziurawych granic, Skype'a i tanich lotów. Wyjechać znaczyło wyjechać. I pozostać tam, gdzie się wyjechało.

Ale mama zbyła mnie milczeniem.

Uczucie, które wzbudziła we mnie jej reakcja, nie było wściekłością. Nie było gniewem. To było coś głębszego niż gniew. Coś, co zerwało się z cywilizacyjnego łańcucha wychowania. Próbowałem je zamaskować gotowością do współczującego jej wysłuchania.

– Co w mojej prośbie jest takiego koszmarnego, możesz mi powiedzieć?

– To może ty mi powiesz: co miałabym tam robić?

– Będziesz miała emeryturę, tak samo jak tutaj.

– Więc mam siedzieć na zasiłku i kręcić młynka palcami. Tutaj mam pracę, uczniów.

– Masz sześćdziesiąt siedem lat, mamo! Ile zostało ci jeszcze lat pracy? Życie to nie tylko praca, mamo. Ja się o nas wszystkich zatroszczę.

– Nigdy nie zamierzałam ustawiać się w roli kogoś, o kogo będziesz musiał się troszczyć!

– Ale ja chcę!

– Dlaczego mnie tak dręczysz?

– Co robię?

– Chcesz ze mnie zrobić inwalidkę!

– Nie chcę niczego z ciebie robić.

– Chcesz, żebym się stała bezużyteczna. Żeby nikt mnie nie potrzebował.

– To nieprawda... Ja cię potrzebuję. I właśnie to próbuję ci powiedzieć.

– Próbujesz mi odebrać niezależność. Czy po tym wszystkim nie zasługuję przynajmniej na tyle? Czy nie zasłużyłam sobie na tym świecie na prawo do odrobiny wolności?

– Nazywasz to wolnością? Życie w tym kraju, z tymi jego wszystkimi kłamstwami, z całą tą hipokryzją, z tymi obrzydliwymi limitami...

Wiedziała oczywiście, że odmówiono mi stopnia doktorskiego, i jej spojrzenie nie potrafiło tego ukryć, choć usta odruchowo wypowiedziały jej ulubione: „Przeżyłam gorsze rzeczy”.

Słyszałem głosy dzieci w salonie, z którego moja żona nie pozwalała im wyjść, moją córkę pytającą, dlaczego tata krzyczy na babcię. Do pokoju weszła zaniepokojona Łukija i nerwowo próbowała nas pogodzić, ale teraz toczyliśmy się już siłą rozpędu; nie mogliśmy się zatrzymać.

– Te wszystkie brednie – wrzeszczałem – którymi karmię nas od rana do wieczora! A my łykamy to wszystko z szerokim uśmiechem na twarzach.... Ja tu marnuję życie! Moje życie!

– Nigdy nie miałam zamiaru uniemożliwiać ci wyjazdu...

– Boisz się wrócić, prawda?

– Przestań!

Widziałem, że trafiłem ją w tętnicę.

– Zmarnowałaś życie i nie potrafisz tego znieść...

– Nie będę tego słuchać.

Nie możesz znieść porażki! Właśnie to chciałem jej wyrzeszczyć. Nie potrafisz się przyznać, że wszystkie twoje egzaltowane idee, twoje tak zwane zasady, wszystkie twoje wysiłki, wszystko, z czego zrezygnowałaś – wszystko poszło na marne!

Ale nie powiedziałem tego, wpatrując się w przerażone niebieskie oczy, te bezdenne oczy, które choć utraciły z wiekiem część blasku, nadal tak mocno przykuwały uwagę patrzącego. Wypowiedzenie tego wszystkiego wymagałoby okrucieństwa i bezduszności, do których nie byłem zdolny.

To, co powiedziałem, nie było aż tak śmiałe, choć prawdopodobnie nie było mniej bolesne dla kobiety, której równowaga została już nadwerężona:

– Chcesz umrzeć w samotności, mamó? Bo tak właśnie się stanie. Umrzesz samotnie w tym nędznym pokoiku, który tak kochasz, rzut kamieniem od tych twoich „teatrów” i tej twojej „kultury”, umrzesz, czego nikt nie zauważy, i nikt nie zapuka, dopóki jakiś kot, zwabiony smrodem, nie zacznie drapać w drzwi. Słyszysz mnie?

– Nie będę tego słuchać! – Głos jej drżał, oczy wezbrały łzami wściekłości. – Nie zmusisz mnie, żebym porzuciła wszystko, co...

Głos jej się załamał. Wybiegła z pokoju, byle dalej ode mnie, a potem z mieszkania, zanim zdążyłem pomyśleć, by za nią pójść.

Nie czekała na windę. Jak szybko zeskakiwała ze stopni, żeby ode mnie uciec?

Kiedy usłyszałem zamieszanie kilka pięter niżej, początkowo nie zrozumiałem, co się stało. Wśród głosów odbijających się echem na klatce schodowej nie od razu rozpoznałem zduszone jęki matki.

Kiedy dotarłem na podest na siódmym piętrze, dwie osoby próbowały pomóc jej się podnieść, jakaś para, która miała właśnie wejść do swojego mieszkania. Brodaty mężczyzna unosił ją pod pachy, a kobieta podtrzymywała w dłoniach jej prawą stopę, jakby piastowała pęknięte jajko.

To był fatalny upadek, choć mama chyba nie do końca zdawała sobie z tego sprawę.

– Absolutnie nic mi nie jest – upierała się, pojękując z bólu. Może sądziła, że

upadek, choć groźny i bolesny, był po prostu zawstydzającym potknięciem? Nie patrzyła mi w oczy. Podeszedłem do niej z drugiej strony i założyłem sobie jej ramię na szyję. Była lekka jak dziecko.

– To wcale nie wygląda dobrze – powiedziała kobieta, odsłaniając kostkę mamy. W podartej nylonowej pończosze stopa puchła jak kielbaska na patelni. Kiedy dotknąłem pięty, z piersi mamy wydarł się okrzyk bólu.

Starożytni Grecy wierzyli, że próby uniknięcia pisanego nam losu prowadzą prosto ku przeznaczeniu. I tak to właśnie było z mamą. W końcu spełnił się jej najgorszy koszmar – została inwalidką.



W pierwszych tygodniach rekonwalescencji Florence samo podźwignięcie się o kulach, które stały oparte w nogach jej posłania, stanowiło dla niej tak gigantyczny wysiłek, że nie było szans, by mogła wrócić do starego pokoju na Czechowa. Nie mogli ryzykować. W salonie, gdzie już i tak panował gigantyczny przedwyjazdowy rozgardiasz, Julian zorganizował jej na kanapie posłanie właściwie na stałe. Tutaj rozłożyła się ze swoimi rzeczami jak uchodźca, podczas gdy reszta rodziny przygotowywała się do wyjazdu – bez niej.

Pomimo tej niedogodności wszyscy byli troskliwi i usłużni. Każdego ranka dziewięcioletnia wnuczka przynosiła jej śniadanie na tacy: kaszę gryczaną, czarną herbatę, tabletki przeciwbólne. Pokonany Julian nie nękał jej już, by jechała razem z nimi. Za każdym razem, gdy pytał, jak się miewa jej stopa, w jego oczach malowały się frustracja i wyrzuty sumienia. Łukija podzielała jego uczucia. Cała ta ostrożna troskliwość sprawiała, że Florence czuła się jak pacjent na oddziale psychiatrycznym. Tylko mały Lenny, który pakował się jej na kolana i hałasował radośnie, kiedy matka próbowała go uciszyć, „żeby babcia mogła pospać”, był całkowicie odporny na całą tę osłabiającą grzeczność. I dlatego to jego Florence kochała najbardziej.

Mimo wszystko była zadowolona, gdy po porannym zamieszaniu, czesaniu włosów, karmieniu i szykowaniu dzieci do szkoły wszyscy wypadali wreszcie z domu i zostawała sama. Sącząc herbatę, obserwowała przez kuchenne okno, jak jesień strumieniami nieustającego deszczu rozpuszcza resztki lata. Bloki dominujące w tym pozbawionym jakichkolwiek cech szczególnych krajobrazie nowo powstałej dzielnicy okrywała mgła. Deszcz zmywał dziurawe ulice, a nowe metro, dziewięć pięter niżej, wsysało i wypluwało spieszących do pracy ludzi. W okresie gdy potrzaskana kostka zrastała się w gipsie, Florence musiała odwołać większość lekcji. Przez jakiś czas kilkoro uczniów przychodziło do mieszkania Juliana, gdzie Florence prowadziła z nimi lekcje przy małym laminowanym stoliku w mikroskopijnej kuchence, w której siedziała teraz sama, ale w permanentnym rozgardiaszu domu roznoszonego przez dwoje dzieci właściwe wywiązywanie się z obowiązków okazało się niemożliwe.

Przez całe życie udawało jej się być nieustannie czymś zajęta, zawsze o krok przed niechcianymi myślami. Ale teraz, gdy do jej obowiązków należało wyłącznie dochodzenie do siebie, nie pozostało jej nic oprócz rozmyślania. Osłabienie i tabletki przeciwbólne sprawiały, że po południu była już zmęczona. W tych martwych godzinach chętnie uciekała w sztucznie wywoływany sen, ale wymuszony odpoczynek robił z nią coś dziwnego. Czasem, wynurzając się z mgły farmakologicznej drzemki,

czuła w gardle albo w żołądku coś jakby odcumowywanie, jakby stała przy relingu kołyszącego się na falach statku. Kiedy indziej budziła się ze zdrygnięciem, słysząc we śnie głos, który pytał: „Jak dziewczyna może opuścić własną rodzinę? Co to za wariactwo?”. Od bardzo dawna głos jej ojca nie powracał do niej z taką siłą. W gasnącym popołudniowym świetle rozjaśniającym mieszkanie to nie rozczarowanie syna, lecz ojca odczuwała najdotkliwiej.

Ale przecież musiała wyjechać. W tamtym miejscu, tak dawno temu, spętana odziedziczonymi po przodkach wyrzutami sumienia nie zgodziła się na to, by jej pragnienia zagłuszyła cała ta bezmyślna prawość. Nie chodziło o to, że nie wierzyła, iż Ameryka może się zmienić – zmieniała się, nawet wtedy, wszędzie jak okiem sięgnąć. Ale kto mógł przewidzieć to, co musiało nadejść: rozłamy, wojny, walkę o równouprawnienie kolorowych, całą tę epokę „polityki seksualnej”, o której się teraz rozpisywano. Ruch wyzwolenia kobiet. Kto mógł przewidzieć pigułkę zdejmującą dziewczętom z ramion ciężar tysiącleci? Owszem, mogła zostać i poczekać, aż wszystkie te zmiany się dokonają, mogła obserwować rozpisany na dziesięciolecia marsz ku postępowi. Mogła zostać i przyłączyć się do maszerujących. Ale nie miała do tego cierpliwości. Chciała przeskoczyć wszystkie te zakazy i przeszkody, wszystkie uprzedzenia, całą tę poprawność i skoczyć prosto w przyszłość. Właśnie tym był dla niej wówczas Związek Radziecki: miejscem, w którym przyszłość stała się teraźniejszością. Uciekła z kraju wolnych ludzi, by poczuć wolność. Musiała podjąć decyzję całkiem samodzielnie, inaczej nie podjęłaby jej nigdy.

„Jak dziewczyna może opuścić własną rodzinę?” Nie zastanawiała się wówczas nad tym, co to znaczy: mieć dziecko. Co to znaczy: stracić dziecko. Tego miała się dowiedzieć później.

Coraz częściej myślała o Leonie. Czy gdyby wiedziała, jak niewiele spędzą razem czasu, nadal byłaby tak niecierpliwa, tak skąpo udzielałaby mu swoich uczuć? Jaką była fatalną żoną – dla niego, tak stałego w miłości, tak skłonnego wybaczać niewybaczalne, usprawiedliwiać bagno, w którym ugrzęzła za sprawą służby bezpieczeństwa, uwikłanie, którego sama przed sobą usprawiedliwiać nie miała już siły. Przez wszystkie te lata upokorzeń i strachu nie dane jej było zaznać spokoju, o ile jednak ten czas byłby straszniejszy, gdyby nie miała u boku Leona! Czy nie zginąłby, gdyby okazała się mądrzejsza? Gdyby nie rozmawiała z Subotinem o wiecu dla Meyerson, nie wspomniała o ich przyjacielu Seldonie? Owszem, nad tym też się czasem zastanawiała. Czy to, w co się wplątała, oddaliło od nich przeznaczenie, czy przeciwnie, szybciej sprowadziło na nich wyrok?

Nie było odpowiedzi na te pytania. Na starość człowiek odkrywał, że wyrzuty sumienia dręczą go nie z powodu wielkich błędów, lecz drobnych pomyłek. To, że nie wniosła więcej radości w życie Leona, sprawiło jej teraz większy ból niż cokolwiek, co mogła lub czego nie mogła zrobić dla jego ocalenia. Zrywała się jak oparzona i zaczynała krzątać się po ich pokoju, gdy on chciał po prostu, żeby przez chwilę posiedziała i posłuchała jakiegoś dowcipu. Przewracała oczami na wyprawiane przez niego sztuczki, te wszystkie „głupstwa”, kiedy jemu zależało tylko na tym, żeby właśnie ją rozbawić. Jakaż była chytra, nie kochając się z nim częściej, odrzucając ze znużeniem jego awanse,

nie mówiąc mu, ile dla niej znaczy.

Mimo wszystkich nieszczęść życie pod pewnymi względami okazało się dla niej łaskawe. Dało jej dobre dziecko. Wróciwszy z łagru, bez Leona, Florence niczego nie pragnęła tak mocno, jak tego, by nadrobić stracony czas, wychować i chronić Juliana tak, jak powinna to robić matka. Tyle że on nie potrzebował już wtedy jej ochrony. Nauczył się sam o siebie troszczyć. Każdego ranka słał łóżko, przyszywał guziki do koszul, pastował buty jak żołnierz. Jeszcze niezgrabny i patykowaty, a i tak coraz bardziej przypominający młodego mężczyznę, gotował sobie po szkole makaron. Wszystkie te lata, które ją ominęły, uczyniły z niego opanowanego i samodzielnego chłopca. Jako trzynastolatek odnosił się do niej serdecznie, z szacunkiem, mówił do niej „mamo”, choć to słowo wychodziło mu z ust jakby z trudem. Dla niej z kolei nie było wcale takie proste wejść w rolę matki po wszystkich przeżytych samotnie latach.

Część jego wspomnień o niej pozostała nietknięta, ale potrzeba było czasu, by znów mogło się między nimi zrodzić jakiekolwiek uczucie. A przecież wydawało się, że Julian nie chowa wobec niej urazy. Przynajmniej przez jakiś czas. Napięcia pojawiły się później, w ostatnim roku nauki w szkole średniej, na który przypadł początek wielkiego buntu, zakamuflowany w jego przekonaniach politycznych i filozoficznych, w retorycznych pojedynkach, w pogardzie dla wszystkiego, czego ośmielała się bronić lub choćby traktować obojętnie. Wszystkie krzywdy, które w ciągu tych straconych lat wypuściły korzonki, wykiełkowały wreszcie na powierzchnię.

Była to być może zasłużona kara za pogardę, jaką okazała własnym rodzicom. Jej syn zdawał się czerpać przyjemność z wytykania jej każdej ideologicznej sprzeczności, jak to określał. Wystarczyło, by poskarżyła się na przepity oddech kierowcy autobusu albo ekspedienta, a już rzucał cynicznie: „Masz na myśli lud pracujący, mamo?”. Kiedyś opowiedział jej z obrzydzeniem o tym, jak razem z kolegami z uczelni zostali zmuszeni do chodzenia w dniu wyborów od drzwi do drzwi z drewnianymi urnami i namawiania ludzi, by dla zapewnienia dziewięćdziesięciosiedmioprocentowej frekwencji wrzucali do nich karty do głosowania, na których mogli zaznaczyć tylko jednego kandydata. Kiedy mu odpowiedziała, że przynajmniej każdy zyskuje w ten sposób możliwość oddania głosu, popatrzył na nią tak, jakby straciła rozum. Nie potrafił przestać się śmiać, kiedy wspomniała (tylko raz!), że powinien być dumny z tego, że w jego kraju nie ma bezrobocia. „Wiesz, gdzie jeszcze mieli zerowe bezrobocie, mamo? – rzucił zgryźliwie. – W Bergen-Belsen”. Kiedy zachnęła się, że mogłby być przynajmniej wdzięczny za darmową edukację na uniwersytecie, na którym uczą go tak znakomicie szermować logiką, przypomniał jej o nakazie pracy, który zmusił go do spędzenia trzech lat w jakiejś zapadłej dziurze, i o tym, że jako inżynier skazany jest na życie pracownika naukowego opłacanego gorzej niż pijak przy taśmie fabrycznej.

Wiedziała oczywiście, że rodzice i dzieci się kłóca, ale w przypadku Juliana to było coś innego. Nie przyznawał się, jak bardzo obwinia ją o to, że go opuściła, gdy był dzieckiem. Dziecko nie dbało o to, jaki był powód porzucenia, a umysł dorosłego człowieka nie potrafił pojąć tej prostej prawdy. Julian chciał, by odpokutowała swój czyn potępieniem całego systemu, który ich rozdzielił. Nie wystarczało mu, że on ma rację, a ona się myli. Gdyby to wystarczyło, mogłaby się podporządkować. Ale nie. Chciał, by

odrzucała wszystko, wyrzekła się wszystkich hołubionych niegdyś pięknych idei. Ta potrzeba wydała jej się tak głęboka i o tyle silniejsza od zwykłego pragnienia wygrania z nią na gruncie intelektualnym, że nie miała pojęcia, jak mogłaby ją zaspokoić.

W tamtych czasach przeżywała utratę Leona najdotkliwiej. Leon wiedziałby, jak rozmawiać z Julianem. Przetopiłby na komediowe złoto nieszlachetny metal bezlitosnego sarkazmu syna. A ona nie wiedziała, skąd czerpać takie piękne słowa. „Mielesz językiem tak szybko, że nie nadążam” – mówiła za każdym razem, gdy próbował ją przyprzeć do muru. Pojęli wreszcie, że najlepsze, co mogą dla siebie zrobić, to milczeć i uszanować milczenie drugiej strony.

Teraz, gdy Julian nie wymawiał już nazwy miejsca, do którego zabierał rodzinę, jedynie powoli pustoszejące mieszkanie przypominało Florence o nieuchronności jego wyjazdu.

Wyprzedawali rzeczy. Wieczorami obserwowała, jak syn z palcami poplamionymi fioletowym tuszem z kalki włożonej między kartki spisuje listy książek i nagrań do sprzedania lub rozdania znajomym. W ciągu kilku tygodni regały pokoju dziennego, w którym spała, opróżniono z dzieł autorów będących dla niej w okresie rekonwalescencji wiernymi i niezawodnymi przyjaciółmi. Poszły w świat szyte tomy Tołstoja i Puszkina, przepadli Gogol i Lermontow, zniknął odtwarzacz, na którym słuchała Strawińskiego i wierszy Cwietajewej. Opróżnione półki zaczęły się wypełniać lakierowanymi na czarno, malowanymi ręcznie w złote listki i czerwone jagody drewnianymi talerzami, drewnianymi łyżkami i solniczkami w zielono-złote płatki i truskaweczki, dekoracyjną chochłomą, która nigdy, przez wszystkie te spędzone w Rosji lata, nie kusiła Florence. To był pomysł jej synowej. Łukija, dziewczyna praktyczna i nerwowa, chciała owinąć w walizce te ludowe durnostojki w skarpetki i koszulki i zabrać je do Stanów jako podarki dla wszystkich, którzy mogliby im pomóc. Co innego mogli zaproponować amerykańskim dobroczyńcom? Jakie to dziwne, pomyślała Florence, wyobrażać sobie przyjazd własnego syna, Rosjanina wiozącego dary od Starego Świata, do miejsca, gdzie się urodziła.

Sądziła, że gdy odstawi tabletki nasenne, głos ojca przestanie ją prześladować, ale w miarę jak wracała do zdrowia i zaczynała samodzielnie poruszać się po mieszkaniu, zdawało się jej, że głos robi się coraz bardziej stanowczy. Po raz kolejny przecinała łączącą ją z rodziną pępowinę. W głębi ducha zawsze wiedziała, że ta chwila nadejdzie. Modliła się za dzień wyzwolenia Juliana, zbierała w sobie, by pozwolić mu odejść. Czy jej syn nie pojmował, że zmuszona odmówić mu tylu rzeczy – bo przecież nie mogła zostawić w spadku nic wartościowego – chciała mu oszczędzić ciężaru własnej starości u progu jego nowego, amerykańskiego życia? „Nie mogę, tato – powiedziała do Solomona. – Nie mogę go zobowiązać do tego, by wiecznie się o mnie troszczył”. Ale to, co odpowiedział jej ojciec, zupełnie zbiło ją z tropu. „Ale to o niego trzeba się zatroszczyć, czy ty tego nie widzisz?” I wtedy zrozumiała: mogła się pojednać z Julianem. Nie za pomocą słów, lecz czynów.

Ale czy miała prawo uciec z tej ziemi, która pochłonęła Leona, Seldona i Essie? Jak długo była pewna, że jej kości spoczną obok nich, tak długo mogła odwlekać dzień rozrachunków. Jak długo nie wyjeżdżała, tak długo mogła sobie powtarzać, że to ta

przeklęta ziemia ich pochłonięła, a nie ona poświęciła ich dla własnego zbawienia. Po czterdziestu spędzonych na pustyni latach nawet staremu Mojżeszowi nie pozwolono wejść do Ziemi Obiecanej.

Kiedy czasu nie pochłaniały jej już lekcje z uczniami, zaczęła uczyć angielskiego wnuki, czytając im bajki z brytyjskich zbiorów, które udało się zdobyć Łukii. Masza była bystrym, uważnym dzieckiem, podobnie jak kiedyś Julian, ale to kędzierzawego Lonię, małego Lenny'ego, który dostał imię po jej Leonie, Florence wprost uwielbiała. To on przytulał się do niej na leżance, siadał na podkurczonych nóżkach w wełnianych rajstopkach i otwierał szeroko różowe usteczka, przysłuchując się, jak Florence opowiada o krokodylach grasujących w nowojorskim metrze.

– Powinienem się ich bać?

– Tylko gdybyś był sam, a przecież nie będziesz.

– Bo babcia będzie tam ze mną.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Tata i mama z tobą będą, króliczku.

Wyglądał na nieprzekonanego, jakby intuicyjnie już wtedy przeczuwał, jak zagubieni w ponurym labiryncie metra będą jego rodzice imigranci.

Ale jego babcia... Ona to by się nigdzie nie zgubiła.

– Ty też tam będziesz – powtórzył, tym razem z większym przekonaniem.

A ona zrozumiała, że nie znajdzie w sobie siły, by mu odmówić.



Pracownicy ośrodka opieki Avalon złożyli i spakowali wszystkie leżaki poza naszymi. Wciąż siedzieliśmy z Sidneyem na trawniku, obserwując gasnące niebo. Błękit zmienił się w blade bursztyn, niemal identyczny w kolorze z sączonym przez nas amstel lightem. Niepokoilem się, jaki wpływ będzie miało piwo na kiszki mojego wuja, ale uspokoił mnie, że od czasu operacji czuje się znacznie lepiej, a poza tym chyba na każde pięć moich łyków on pociągał jeden. Choć nadgarstki wciąż miał niepokojąco cienkie, zauważyłem z ulgą, że jego twarz nie jest już tak zapadnięta jak ostatnim razem, co tak mnie wówczas zmartwiło.

Koniec września w New Jersey był na tyle ciepły, że można było powylegiwać się pod gołym niebem. W powietrzu unosił się zapach sosen błotnych, które właśnie zrzucały igły, a także może nieco mniej wyrazista kwaskowata i odrobinę nieprzyjemna woń glonów zarastających staw na skraju posiadłości. Sidney zapytał mnie o rodzinę, a ja odparłem, że Lenny ubiega się o pracę w funduszach inwestycyjnych działających na całym świecie, od Pragi po Pretorię, na wszystkich rynkach, które uczciwie można określić mianem wschodzących.

– Żadna to ujma na honorze szukać zysku. – Sidney pokiwał głową. – Absolutnie. Ale chyba nie spieszy mu się z powrotem do domu, co?

Powiedziałem, że może nieobecność Lenny’ego skłoni w końcu mnie i Łukiję do wybrania się na wakacje. Czas, żebyśmy zaczęli przypominać prawdziwych Amerykanów z pokolenia urodzonego tuż po wojnie i nauczyli się czerpać przyjemność z każdego okresu życia.

– Może pojedziemy na safari do Kapsztadu? – rzuciłem.

– A co z tobą? Zamierzasz wrócić do Moskwy?

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą.

Nasze joint venture nabrało rozpędu; wykonałem swoją robotę. Ale nie była to jedyna wiadomość, którą podzieliłem się z wujem. Zdradziłem mu, że znów nawiązałem kontakty z kolegami z firmy Herbert Engineering, w której pracowałem, zanim zostałem podkupiony przez Continental Oil. Za sześć miesięcy lodołamacz, który projektowałem, miał popłynąć z Nowej Zelandii na Antarktydę, eskortując statki zaopatrujące stację polarną McMurdo; taką wyprawę organizowano tylko raz do roku. Misję naukową sponsorowała jak zwykle National Science Foundation i w tym roku kierownik projektu zadzwonił do mnie z pytaniem, czy mam ochotę wsiąść na pokład razem z zespołem badaczy i wszystkich tych dziwaków. Jedyne haczyk – bo haczyk oczywiście był – polegał na tym, że będę musiał tam pojechać jako niezależny inżynier, a nie jako

menedżer zatrudniany przez wielki koncern naftowy.

– A zatem chcesz sobie zmniejszyć zarobki o połowę tylko po to, by dostać szansę obejrzenia niedźwiedzi polarnych?

– Tam nie ma niedźwiedzi, ale... – usłyszałem, jak mój głos z podniecenia zaczyna przybierać wyższe tony – ...tam na południu... to zupełnie inny świat, wuju.

Opowiedziałem mu, że czytałem o rozmaitych ekscentrykach i całkowicie pochłoniętych swoją pasją specjalistach, którzy spędzali na Antarktydzie całe miesiące. Sądziłem, że odnajdę wśród nich bratnie dusze. Pojadę zobaczyć obozowiska wielkich odkrywców, Scotta i Shackletona, bohaterskich awanturników, o których opowiadania jako mały chłopiec po prostu pożerałem. W ich chatkach wszystko pozostawiono tak, jak wyglądało to przed stu laty; wszystko zachowane na wieczność w doskonałym zimnie.

– To samo dno świata – powiedziałem, starając się nie mówić jak napalony gówniarz. – Miejsce, w którym czas się zatrzymał.

Sidney ze współczuciem pokiwał głową.

– A twoje własne odkrycia? Znalazłeś to, po co pojechałeś?

Wiedziałem, że pije do naszej ostatniej rozmowy, kiedy zatelefonowałem do niego o trzeciej nad ranem.

– Nie wszystko.

Ktoś na drugim piętrze włączył w radiu wieczorną audycję jazzową i przez kilka chwil siedzieliśmy z Sidneyem w milczeniu, póki kruche dysharmonijne fortepianowe akordy nie przeszły wreszcie w jedwabistą spokojną melodię.

– Wuju, kiedy konkretnie się dowiedziałeś, że próbowała uciec?

– Wiedziałem o tym. – Sidney zamknął oczy. – W czterdziestym siódmym już wiedziałem. Może nawet przed wojną, tyle że wtedy byłem za mały, żeby to zrozumieć. Napisała do rodziny.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

– Opisała swoje zamiary w liście?

– Bardzo ezopowym językiem. Trzeba było czytać między wierszami, co moim rodzicom kiepsko wychodziło.

– To znaczy? – Nie mogłem w to uwierzyć.

– No, zostawiała tropy. W jednym z listów do mnie wspominała, jak to będąc dziećmi, wychowywaliśmy się na farmie i ona wpadła do studni, a ja pobiegłem do miasta po pomoc, i że zawsze wiedziała, że gdyby coś jej się stało, to znów przyszedłbym jej na ratunek.

– Naprawdę zdarzyło się coś takiego?

– Zwariowałeś? Jaka tam znowu farma? Mieszkaliśmy na Brooklynie!

– Czyli to był szyfr?

– No tak, ale domyśliłem się tego dopiero po wojnie, jak już co nieco przeżyłem i kapkę zmądrzałem. Wszystko pisała kodem. Wiedziała, że cenzura każdy list czyta od pierwszej do ostatniej kropki. – Oddychał z trudem. Sięganie w głąb pamięci chyba sporo go kosztowało. – Potem, po wojnie, próbowałem się skontaktować z sekretarzem stanu, Byrnesem, potem z Marshalllem. Napisałem odręcznie list, w którym poinformowałem go, że moja siostra, Florence Fein Brink, mieszkająca w Związku Radzieckim od tysiąc

dziewięćset trzydziestego czwartego roku, jest tam przetrzymywana wbrew swojej woli. Zapytałem uprzejmie, czy Departament Stanu nie mógłby zainteresować się tematem za pośrednictwem ambasady amerykańskiej w Moskwie.

– Dostałeś odpowiedź?

– Owszem, po drugim liście.

– No i?

– Była bardzo zwięzła: „Ponieważ Pana siostra nie posiada już statusu obywatelki Stanów Zjednoczonych, Departament Stanu nie może podjąć żadnych kroków ani udzielić jakiegokolwiek pomocy w uzyskaniu dotyczących jej informacji”. Ciągle pamiętam, jak to sformułowali.

– I tyle?

– No.

Teraz ja wypuściłem powietrze.

– Nic więcej nie mogłeś zrobić.

To była chyba najsensowniejsza odpowiedź, biorąc pod uwagę drżący głos Sidneya.

– Może tak, może nie. – Urwał, jakby przysłuchując się kilku taktom melodii. – W każdym razie – powiedział chwilę później – tutaj z kolei mnie zabrakło odwagi. Dostałem odpowiedź i nie drażyłem już tej kwestii. Miałem dwadzieścia dziewięć lat, rozpoczynałem karierę zawodową, zakładałem rodzinę... Pochłaniały mnie własne sprawy. Amerykański rząd kazał mi się odczepić, więc się odczepiłem. Znałem człowieka w Departamencie Stanu, chodziliśmy razem do szkoły. Mogłem do niego zadzwonić, nie odpuszczać, ale to był tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy rok, McCarthy wszędzie miał swoich ludzi. Cały kraj oglądał w telewizji Algiera Hissa zeznającego przed Kongresem, że nie jest komunistą. To był człowiek bardzo wysoko postawiony w administracji Roosevelta. Nikt nie był nietykalny. Zaczęło się spisywanie czarnych list. Moja firma realizowała wielkie kontrakty rządowe, wszyscy musieli zobowiązać się do lojalności. Na co mi były kłopoty? Dzwonienie i rozprowadzanie na prawo i lewo o lewicującej siostrze, która siedzi w Związku Radzieckim... Dostałem od nich list i dałem spokój.

– To by nic nie zmieniło – powiedziałem i natychmiast uzmysłowiłem sobie, że palnąłem głupstwo, próbując uspokoić zawieruchę, która przez wszystkie te lata kotłowała się w jego sercu.

– Sęk w tym, przyjacielu – powiedział Sidney ostro – że wszystkich nas krótko trzyma epoka, w której żyjemy. Tyrania naszych czasów. Nawet mnie. Nawet ciebie. Nikt z nas nie jest tak wolny, jak chciałby sądzić. Nie traktuj tego jako usprawiedliwienie się, ale bardzo niewielu ludzi potrafi się oprzeć sile oddziaływania całego tego prawdopodobieństwa. A ci, którym się to udaje... Kto może wiedzieć, czy ich życie stało się przez to lepsze?

Wiedziałem, że ma na myśli Florence, wymykającą się jednym okolicznościom tylko po to, by znaleźć się w potrzasku innych.

– Ale dość już... – powiedział. Wyczerpało go to wyplątywanie na filozoficzne głębiny i wyczułem, że wolałby zmienić temat.

Tyle że ja nie mogłem.

– Ją trzymała rzeczywiście krótko – powiedziałem. – Kiedy wreszcie miała możliwość wyjechać, nie sposób jej było, do cholery, przekonać.

– Od lat masz o to pretensje do swojej nieszczęsnej nieżyjącej matki, a w tym akurat nie ma nic dziwnego. Urządziła tam sobie życie! Miała swoje teatry, swoich uczniów. Ciekawsze jest to, dlaczego się ostatecznie zgodziła.

– Przecież to proste – odparłem. – Zdrowie jej szwankowało. Miała ten wypadek i nie chciała zostać zmuszona do samodzielnego troszczenia się o siebie.

– Tak sądzisz? Że my, starowiny, tak się strasznie boimy, że nie znajdzie się nikt, kto mógłby nas pochować? Daj spokój. Po wszystkim, co przeszła, samotność była ostatnią rzeczą, która mogła ją niepokoić.

– No to dlaczego?

– Dla ciebie, głupolu! Bo nigdy byś jej nie wybaczył, gdyby nie wyjechała.

Wpatrywałem się w ostre, kruche rysy jego twarzy, które w zapadających ciemnościach coraz trudniej było dostrzec.

– I to właśnie ci powiedziała?

– O, aż tak wylewna nie była. Powiedziała mi: „Byłam złą córką, Sidney, a jaką żoną, to w ogóle szkoda mówić. Nie rozumiałam znaczenia słowa «obowiązek». Chciałam być prawdziwą matką, ale tę szansę mi odebrano”. Zatelefonowała do mnie z Moskwy, żeby mi o tym powiedzieć. Byłem oczywiście wniebowzięty, kiedy się dowiedziałem, że przyjeżdża do Stanów razem z resztą rodziny. Zapytałem: „Florie, co się zmieniło?”. A ona na to: „Już raz osierociłam mojego chłopca, Sidney. Nie mogę mu tego zrobić po raz drugi”.

Jego słowa zarezonowały mi w ciele, wprawiły żyły w drżenie, spęczniały głą w gardle. Uczucie, którego doznałem tamtej nocy w hotelowym pokoju, przekonanie, że przez te wszystkie lata tak mało starałem się ją zrozumieć, zalało mnie na nowo falą dręczącego żalu.

– Miałem trzydzieści sześć lat – powiedziałem piskliwym głosem. – Miałem własne dzieci. Nie załamałbym się, gdyby mama...

– Mnie nie musisz tego mówić – przerwał mi Sidney.

Miał rację. Zaciągnąłem się głęboko przesyconym wonią sosen powietrzem. Zrozumiałem lepiej, niżbym chciał, co właściwie miała na myśli. Nigdy wcześniej tak nie rozmawialiśmy. Nigdy wcześniej nie opowiadał mi o dziewczynie, która odwróciła się plecami do „obowiązku”, i o starej kobiecie, która wyrzekła się wolności dla obowiązku, który niegdyś porzuciła.

Sidney siedział z zamkniętymi oczami. W miarę jak się ściemniało, trawnik zaczął ożywać i owadzia symfonia zagłuszyła płynącą z okna muzykę. Ten, kto słuchał radia, nastawił je nieco głośniej, by nie przeszkadzały mu wdzierające się do środka odgłosy natury, ale żaby i świerszcze także zdwoiły wysiłki, by nie dać się zepchnąć do narożnika. Siedziałem w niemal całkowitych ciemnościach, przysłuchując się koncertowi na trąbkę, fortepian i szeleszczącą perkusję koników polnych, którym wtórowały żaby – całej tej pulsującej życiem orkiestrze świata natury, który nie miał pojęcia o blaskach i cieniach naszych krótkich żywotów i zupełnie się o nie nie troszczył.

Sidney siedział z zamkniętymi oczyma i przez chwilę sądziłem, że w swoim

wyściełanym fotelu zapadł w głęboki sen, a nasza rozmowa tak go wyczerpała, że trudno mi będzie go dobudzić. Ale kiedy cicho wypowiedziałem jego imię, otworzył oczy, a lekko wypukłe białka zaśniły jak ślepka jakiegoś czujnego nocnego zwierza.

Podtrzymując go za łokieć, pomogłem mu się podnieść i wprowadziłem go po schodach na tylną werandę, gdzie zostawiono otwarte przesuwne drzwi.

– Nie zabaw zbyt długo na tym biegunie południowym – uprzedził. – Tam może i czas się zatrzymał, ale tu, gdzie siedzę, płynie bardzo szybko.

Obiecałem mu, że wkrótce znów przyjdę go odwiedzić. Patrzyłem, jak wchodzi wolno do środka i zamyka za sobą drzwi, po czym przeszedłem dziesięć metrów wilgotnego trawnika do samochodu i pustawą o tej porze szosą wróciłem do domu.



Każdego dnia, poruszając się po tym obcym jej, nowym mieście odkrywała coś, czego tam wcześniej nie było. Polo Grounds. Niebosięzna szklana katedra Penn Station. Wspaniała gotycka iglica Singer Building zastąpiona opasłą funkcjonalnością innego wieżowca. Tramwaje na moście Brooklińskim. Ukochani Dodgersi Sidneya i ich nieistniejący już stadion Ebbets Field, na którego miejscu stały teraz nowe budynki mieszkalne.

Były takie dzielnice, w które nie zapuszczała się sama. Brownsville, Bed-Stuy, południowy Brooklyn. Miejsca, gdzie część ulic zrujnowały podpalenia i coś o nazwie „hera”. Budynki, w których kiedyś brała lekcje pisania na maszynie, wysmarowane były graffiti. Zniknęły biegnące nad ulicami tory, z których sadza spadała jak deszcz na idących niżej przechodniów. Nie zdobiły już Fulton Street, którą oddano światłu i zieleni. Nawet znaki uliczne zrezygnowały z monotonnych żółci i szarości na rzecz jaskrawej, pewnej siebie chemicznej zieleni.

W pierwszych miesiącach Florence czuła się osaczona przez wszystkie te zmiany, ale wkrótce zaczęło jej się podobać to, że tak niewiele na starym Brooklynie pozostało rzeczy, które mogłyby jej przypominać o przeszłości. Chłubiła się tym, że nigdy specjalnie nie ulegała nostalgii. Stęchlizna tej zapuszczonej dzielnicy nie mogła jej już odebrać żadnych złudzeń.

To zabawne – myślała czasem, siedząc w kuchni i patrząc z góry na Ocean Parkway przez okno wychodzące na schody pożarowe – że zrealizowawszy w młodości wielki plan ucieczki z tego miejsca, to właśnie tu, na Brooklyn, ostatecznie wróciła.

Od razu po powrocie przyznano jej amerykańskie obywatelstwo (nagroda za to, że urodziła się jako Amerykanka). Uzyskanie kolejnych przywilejów kosztowało ją nieco więcej wysiłku. Przy pomocy Sidneya i Juliana złożyła do urzędu stanu Nowy Jork i urzędu miejskiego podanie o włączenie jej do systemu ubezpieczenia społecznego oraz wnioski o mieszkanie z programu Section 8 i opiekę pracownicy społecznej z Jamajki, która przychodziła dwa razy w tygodniu, by pomóc jej w sprzątanii i gotowaniu, zmierzyć ciśnienie, zabrać do lekarza albo fryzjera. Pomijając jednak tę cotygodniową pomoc, Florence znów mieszkała sama, w dwupokojowym mieszkaniu na rogu Avenue C, gdzie alarmy samochodowe wyły przez całą dobę i gdzie co sobotę patrzyła, jak Żydzi w czarnych kapeluszach niczym duchy z jakiejś zamierzchłej epoki maszerują z zastępami dzieci do synagogi.

Odkryła, że wbrew swym obawom nie jest bezużyteczna. Jej nowi sąsiedzi – z Odessy i Kijowa, kobiety w wydekoltowanych sukienkach, z włosami ufarbowanymi na

wściekle rudy kolor, Gruzini mówiący po rosyjsku z jeszcze silniejszym akcentem niż ona, Tatarzy z Azerbejdżanu w turbanach i kaftanach tak długich, że zamiatali nimi kurz z wykładanych kafelkami podłóg wynajmowanych mieszkań – od rana do wieczora znajdowali jakiś powód, by zapukać do jej drzwi, szukając pomocy przy tłumaczeniu niezrozumiałych dokumentów przychodzących co tydzień w kopertach zaadresowanych przez ubezpieczalnię albo fundusz opieki zdrowotnej. Starsi przychodzili z prośbą o pomoc w porozumieniu się z mówiącymi dla nich niezrozumiałym językiem gosposiami, które uporczywie nazywali cudzoziemkami, choć te kobiety z Jamajki i Barbadosu mieszkały w Stanach znacznie dłużej niż oni.

Ale osobą, której pukania do drzwi wyczekiwała najbardziej, był jej brat. To Sidney wyciągał Florence z domu i prowadził w starsze rejony Brooklynu, gdzie pięćdziesiąt lat wcześniej wyszukiwali rozmaite drobne skarby: foremki do ciasta, wisiorki mocowane do ołówków, policyjne gwizdki, cukierki do ssania, papużki. Oczywiście nie było tam już supermarketów sieci Woolworths ani sklepów z tysiącem i jeden drobiazgow, w których dało się upolować za bezcen takie tandetne perełki. Za pięć czy dziesięć centów nie sposób już było nic kupić; nawet do publicznych aparatów telefonicznych wrzucało się teraz ćwierćdolarówkę. Nie było już miejsc, w których można by dostać porządne mleko z syropem czekoladowym i wodą sodową. Brat i siostra siadywali więc na ławce w parku i rozmawiali, obserwując ruch uliczny, rozmawiali tak długo, aż wątek tej gawędy otaczał ich kręgiem, za którym zniknęło ostatnie pół wieku. Pamiętasz? Pamiętasz?

– Pamiętasz, jak próbowałaś dostać taką samą pracę jak Eliza Weiss? Sprzedawała przez cały sezon bożonarodzeniowy zegarki w sklepie Martin's.

– Eliza... Dobry Boże, czy ta biedna dziewczyna w ogóle potrafiła odczytać godzinę?

– Pamiętasz, jak mama zabrała nas na spacer obok rezydencji Menkenów, żeby móc zerknąć na ich nowy „pokój orientalny”?

– Pewnie. Wciąż mówiła tylko o tych papierowych wachlarzach i adamaszkowych tapetach! Podobno pan Menken miał za co przepraszać.

– Jakiś skandal?

– No właśnie o tym wszyscy mówili, głuptasie. Byłeś za mały, żeby to zrozumieć.

– A tobie kto o tym powiedział?

– Nikt mi nie powiedział, po prostu usłyszałam. Jak mawiała nasza niania Sissy: biednego nie stać na przepraszenie klejnotami, bogaty nie może przepraszać bukiecikiem stokrotek.

Dzisiaj minęli swoją ulubioną ławkę; szli powoli, by Florence nie obciążała mniej sprawnej nogi. Oparła się na ramieniu Sidneya, zawiesiwszy torebkę między nimi, żeby żaden chuligan nie mógł jej wyrwać, choć w środku było tylko dwadzieścia dolarów i garść żetonów autobusowych – nic cennego, nic ważnego. Oprócz listu.

Jej brat był jedyną osobą, która kiedykolwiek dowiedziała się o pierwszej wersji tego listu. Tej, którą po pięciu latach formułowania w głowie Florence przelała wreszcie na papier w lipcu 1959 roku. Właśnie wtedy Sidney odwiedził ich w Moskwie, zaaranżowawszy swój przyjazd w charakterze delegata goszczonej przez Chruszczowa Amerykańskiej Wystawy Narodowej.

Nie zapomniała przez wszystkie te lata o swoim pilocie, o człowieku, który spadł jej z nieba, dając szansę na drugie życie. A przecież obiecując, że opowie rodzinie Henry'ego o jego losie, skłamała po raz kolejny. Jeszcze wiele lat po wyjściu z łagru, odbudowując z trudem swoje życie i wychowując syna, powtarzała sobie, że złożona w tamtych okolicznościach obietnica nie mogła być wiążąca. Wymuszona głodem i rozpaczą, dana, gdy człowiek nie miał cienia nadziei, że przetrwa – taka obietnica nie mogła być przecież ważna. Gdyby taki list został wysłany z terenu Związku Radzieckiego i otwarty przez władze, Florence mogłaby się spodziewać natychmiastowej i bardzo nieprzyjemnej wizyty ludzi z gatunku tych, którzy wciąż mieli moc wyrządzenia jej i jej synowi ogromnej krzywdy.

Zastanawiała się, czy miałaby odwagę go napisać, gdyby jej nieustraszony brat nie zaoferował się go przemyścić. Widząc Sidneya tamtego popołudnia na Sokolnikach, tak pozornie innego – wyprostowanego jak struna, w sportowej marynarce i okularach przeciwsłonecznych, ze sterczącymi niegdyś włosami przyglądzonymi pomadą i ułożonymi w modną falę, z bransoletą z czystego złota na ręce – wpadła w panikę. Jaki był pewny siebie i własnego życia. Jaki amerykański, otoczony nimbem zdrowia i przekonania o własnej słuszności. Jaki obcy. A jednak źle go oceniła – płonęły w nim ta sama miłość i lojalność co zawsze. Przywiózł ze sobą gruby plik fotografii rodziców, starszego brata, bratanków i bratanic, których, byli tego pewni, nigdy nie miała poznać, i opowiadał jej godzinami o całym życiu, które ją ominęło. W końcu to on zaproponował, żeby zaszła list do rodziny Robbinsa w podszewce jego flanelowego garnituru. Zachęcał ją, żeby podpisała się prawdziwym nazwiskiem, ale ona była zbyt ostrożna. I nie ucieszyło jej wcale, gdy uzmysłowiła sobie w dniu odlotu Sidneya z moskiewskiego lotniska, który obserwowała wraz z Julianem, że obietnica złożona w złej wierze Robbinsowi była jedyną obietnicą, której udało jej się w życiu dotrzymać.

Na Albemarle Road znajdował się kościół baptystów, który niegdyś był synagogą. Po otwarciu drzwi wciąż widać było na wewnętrznej kracie gwiazdę Dawida. Teraz wśród wiernych słyszało się nie jidysz, lecz francuski dialekt z Luizjany. Julian wolał, by w pewne dzielnice nie zapuszczała się nawet w towarzystwie Sidneya, ale przy pierwszej nadarzającej się okazji jej syn opuścił Nowy Jork i przeniósł się do Westchester, a czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. A poza tym nie wszystko się zmieniło. Erasmus Hall był nadal białą gotycką fortecą, jaką zapamiętała, rosnące przed nią sosny wyrosły na tyle, że zasłaniały już górne okna. Loew's Kings Theatre wciąż stał na Flatbush Avenue niczym wspaniały zabytkowy gmach opery; niszczejący splendor barokowej fasady pokrywały zacieki i plamy sadzy. Również poczta znajdowała się dokładnie tam, gdzie Florence zapamiętała – w starej kamienicy, która, jeśli nie liczyć jakichś wysprejowanych bazgrołów, oparła się niszczącemu upływowi czasu.

W liście, który Florence zamierzała dziś wysłać, znajdowało się więcej szczegółów niż w tym, który napisała w 1959 roku. Na przykład jej prawdziwe nazwisko, którym strach nie pozwolił się jej podpisać za pierwszym razem. Szczegóły dotyczące obozu, w którym natknęła się na Henry'ego. Gdyby pragnęli dowiedzieć się więcej, mogli do niej zadzwonić. Zapisała swój numer telefonu.

Wciąż ją mldiło i kręciło jej się w głowie na myśl o podaniu takiej ilości informacji

na swój temat, zwłaszcza że Sidney przekonał ją do wysłania kopii listu do waszyngtońskiego biura osób zaginionych Departamentu Weteranów Wojennych. Jeśli spędzone w Rosji lata czegokolwiek ją nauczyły, to tego, że wyjawiając zbyt wiele, płacono się bardzo wysoką cenę.

A przecież zlekceważenie tych nauk, przerwanie pokutniczego milczenia przyniosło jej ogromną ulgę.

Na poczcie nie było kolejki. Urzędniczka, przysadzista kobieta w grubych szklach, wzięła od Florence koperty, przystawiła na nich pieczętki i wręczyła jej dowód nadania.

Na zewnątrz kwietniowy wiatr rozrzucał resztki skórki pomarańczowej i rozmiękle gazety. Stojące w najwyższym punkcie słońce świeciło jaskrawym blaskiem i Florence uniosła brodę, wystawiając twarz na ciepłe promienie. Wciąż miała go przed oczami – mężczyznę, którego oczy, czarne i podbite, jaśniały niezachwianą, nieprawdopodobną, niezłomną wiarą w nią. Robbins nazwał ją Śpiącą Królową. Poczula, że wreszcie się budzi.

Sidney czekał na chodniku.

– Gotowa ruszać do domu, Florie?

Sucha, ciepła dłoń ujęła ją pod ramię.

– Tak – odparła. – Chodźmy.

Podziękowania

Są ludzie, bez których ta książka nigdy by nie powstała. Ich opowieści i spostrzeżenia były glebą, na której wyrosły moje postaci. To Timothy Friedman, Aleksandr Jeruzalimski, Ilja Ponorowski – moi bohaterowie w każdym znaczeniu tego słowa. Jestem wdzięczna mojej rodzinie, która nie dopuściła, bym sprzeniewierzyła się własnej wizji tej książki: Zofii Krasikov, mojej matce dzielącej moją wizję twórczą, która przeczytała całość od pierwszej do ostatniej strony i nie pozwoliła, by na karty tej książki wkraść się jakikolwiek fałsz, oraz Gregory'emu Warnerowi, mojemu mężowi, towarzyszowi w życiu i powieściopisanium, najlepszemu redaktorowi.

Wdzięczna jestem spostrzegawczym przyjaciółom, którzy przeczytali pierwszą wersję rękopisu i udzielili mi wspianiałych rad: Alexis Calice, Aoife Naughton i Laurze Starecheski. Dziękuję mojemu tacie, Jakubowi Krasikovowi, za jego bezlitosne cięcia, i mojej siostrze, Tatianie, mojej kotwicy. Przyjaciołom, którzy na przestrzeni lat spędzonych na pisaniu stali się dla mnie jak rodzina: Nataszy Jeruzalimskiej oraz Oldze i Ani Ponorowskim. Proszę, by podziękowania przyjęli moi przyjaciele i przewodnicy po Moskwie: Olga Ładygina, Olga Osnowska, Siergiej Żurawlew i Tatiana Smirnowa. Jestem dłużniczką Fundacji Rodziny Rohr, która sprezentowała mi bezcenny dar czasu, oraz Carolyn Hessel za entuzjastyczne wsparcie tego przedsięwzięcia wówczas, gdy przeobrażało się z rozmów w prozę. Składam podziękowania Cindy Spiegel, mojej redaktorce, Richardowi Abate, mojemu agentowi, oraz uważnym pierwszym czytelnikom: Judy Sternlight, Laurze Van der Veer, Caitlin McKennie, Louisowi Pelosi, Jackie Stapleton, Lynn Lovett, Michaelowi Meyerowi, Walterowi i Betty Greyom, Carol Christian, Robertowi Hertzowi i Rosalind Fink.

Winna jestem wdzięczność autorom setek wywiadów, gazet i książek, które uzupełniły moją wiedzę o burzliwej i tragicznej epoce stalinowskiej i pozwoliły wypełnić luki w życiorysach moich postaci. Dwie pozycje były mi szczególnie pomocne w zrozumieniu politycznego kontekstu ich trudnych losów: znakomite *The Forsaken: An American Tragedy in Stalin's Russia* Tima Tzouliadisa oraz *Stalin's Secret Pogrom: The Postwar Inquisition of the Jewish Anti-Fascist Committee* pod redakcją Joshuy Rubensteina i Władimira P. Naumowa.

Składam wreszcie podziękowania memu duchowi przewodniemu, Pauline Friedman, jednej z tych śmiałych kobiet, które kręcą światem.

1 Walt Whitman, Pieśń o sobie samym, część 51, w: Kim ostatecznie jestem. Poezje wybrane, tłum. Krzysztof Boczkowski, Inter Esse, Kraków 2003.

2 Biblia gdańska, Mt 11,28.

3 George Eliot, Miasteczko Middlemarch, tom II, przeł. Anna Przedpełska-Trzeciakowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005.

4 YMCA (Young Men's Christian Association) – Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej, międzynarodowa ekumeniczna organizacja propagująca program oparty na wartościach chrześcijańskich, założona w 1844 roku w Londynie (przyp. red.).

5 OGPU (Objediniionnoje gosudarstwiennoje političzeskoje uprawlenije) – Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny, służba specjalna działająca w ZSRR w latach 1923–1934 (przyp. red.).

6 William Szekspir, Makbet, akt 1, scena 7, tłum. Leon Urlich, w: Tegoż, Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare (Szekspira) w dwunastu tomach, tłum. L. Ulrich, objaśnienia J.I. Kraszewski, tom V, nakł. G. Gebethnera i spółki, Kraków 1895 (dostęp: <http://wolnelektury.pl>).

7 Mark Twain, Życie na Missisipi, tłum. Zofia Siwicka, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2006, s. 71.

8 Wasilij Grossman, Wszystko płynie, tłum. Wiera Bieńkowska, W.A.B., Warszawa 2010, s. 218.

9 Biblia Tysiąclecia, Rdz 3,13.